

**Joanne Harris**

# **Rubinowe czółenka**

*(The lollipop shoes)*

*Przełożyła Magdalena Gawlik-Małkowska*

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**ŚMIERĆ**

*Środa, 31 października Dia de los Muertos*

Mało kto wie, że w ciągu jednego roku zmarli otrzymują około dwudziestu milionów listów. Pograżone w smutku wdowy i przyszli spadkobiercy zapominają anulować prenumeratę, powiadomić dalekich znajomych, uregulować kary za przetrzymywanie książek. Dwadzieścia milionów ulotek, wyciągów bankowych, kart kredytowych, listów miłosnych, kart z pozdrowieniami i ploteczkami oraz rachunków codziennie spada na wycieraczki albo parkiety, od niechcenia szybuje przez barierki, tłoczy się w skrzynkach, zaściela klatki schodowe i zaśmieca ganki, nigdy nie docierając do adresatów. Zmarłym jest wszystko jedno. Co bardziej istotne, żywym też. Pochłonięci swymi nieistotnymi problemami nie wiedzą, że tuż obok, dosłownie na wyciągnięcie ręki, staje się cud. Zmarli powstają z grobów.

Niewiele trzeba, aby wskrzesić zmarłego. Kilka rachunków, nazwisko, kod pocztowy... nic, czego nie można by znaleźć w starym, rozdartym (na przykład przez lisy) worku na śmieci, pozostawionym na progu niczym bezcenny dar. Porzucona korespondencja to niezastąpione źródło informacji: nazwiska, dane bankowe, hasła, adresy mailowe, kody bezpieczeństwa. Przy umiejętnej konfiguracji danych osobowych można założyć rachunek, wynająć samochód, a nawet ubiegać się o nowy paszport. Zmarli nie potrzebują takich drobiazgów. Jak wspomniałam, to dar, który tylko czeka, by go sobie wziąć.

Czasem ów dar to prawdziwe zrządenie losu, warto zatem mieć oczy i uszy otwarte. *Carpe diem*, kto pierwszy, ten lepszy, ostatniego gryzą psy. Dlatego zawsze czytam nekrologi. Bywa, że przybieram tożsamość jeszcze przed pogrzebem. I dlatego na widok znaku oraz widniejącej pod nim wypełnionej po brzegi skrzynki na listy łaskawie przyjął podarunek.

Oczywiście to nie była moja skrzynka. Tutejsza poczta świadczy usługi na najwyższym poziomie i rzadko dostarcza korespondencję pod niewłaściwy adres. Oto kolejny powód, dla którego upodobałam sobie Paryż: restauracje, wino, teatry, butiki oraz praktycznie nieograniczone możliwości. Ale luksus kosztuje, są spore wydatki, poza tym od pewnego czasu mam ochotę na kolejną przemianę. Od blisko dwóch miesięcy nie wychylam nosa z szeregu, pracując jako nauczycielka w liceum w jedenastym *arrondissement*, [Francuski okręg administracyjny bez osobowości prawnej, coś w rodzaju powiatu. W zamierzeniu miał pełnić funkcję związku gmin, który jednak utworzono niezależnie

(wszystkie przyp. tłumaczki).] lecz w świetle ostatnich perypetii postanowiłam zniknąć (wraz z dwudziestoma pięcioma tysiącami euro funduszu wydziałowego, przelanymi na rachunek utworzony na nazwisko dawnej koleżanki z pracy, z którego wycofam je dyskretnie w ciągu najbliższych paru tygodni) i rozejrzeć się za mieszkaniem do wynajęcia.

Najpierw spróbowałam na Lewym Brzegu. Ceny nieruchomości jak z kosmosu, ale nie dałam nic po sobie poznać przed agentką. Wyposażona w brytyjski akcent, nazwisko Emma Windsor oraz torebkę Mulberry zawieszoną nonszalancko w zgięciu łokcia, w jedwabnych połyskujących pończochach, spowita w dyskretną mgiełkę Prądy, spędziłam upojny ranek na wycieczce szlakiem wytwornych rezydencji.

Poprosiłam o pokazanie tylko pustych mieszkań. Wzdłuż Lewego Brzegu było ich kilka: przestronne apartamenty z widokiem na Sekwanę, mieszkania w kamienicach z ogrodami na dachach, przybudówki z parkietem.

Nie bez żalu skreśliłam wszystkie, zgarniając po drodze kilka użytecznych drobiazgów. Czasopismo, jeszcze w folii, z numerem klienta na kartce z adresem, ulotki bankowe oraz kartę płatniczą na nazwisko Amelie Deauxville – do aktywacji potrzebuję jedynie budki telefonicznej.

Zostawiłam agentce numer komórki. Telefon należy w sumie do Noelle Marcellin, której tożsamość przybrałam przed paroma miesiącami. Na bieżąco reguluję wszystkie należności: biedaczka zmarła w ubiegłym roku w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat, co oznacza, że każdy, kto próbowałby ustalić miejsce mojego pobytu, napotkałby niespodziewane problemy. Konto internetowe też założyłam na jej nazwisko i skrzętnie pilnuję wszystkich opłat. Noelle jest dla mnie zbyt cenna, ale nigdy nie będzie moją główną przykrywką. Przede wszystkim nie chcę mieć dziewięćdziesięciu czterech lat. I mam serdecznie dość ulotek reklamujących montaż krzesełek dźwigowych.

Ostatnio występowałam pod nazwiskiem Françoise Lavery, nauczycielki z liceum imienia Rousseau w jedenastym. Trzydzieści dwa lata, urodzona w Nantes, żona Raoula Lavery'ego, który zginął w wypadku samochodowym w przeddzień pierwszej rocznicy ślubu: uznałam to za romantyczny detal, który tłumaczy otaczającą Françoise aurę melancholii. Wegetarianka, trochę nieśmiała, pracowita, lecz za mało zdolna, by stanowić zagrożenie. Podsumowując: miła dziewczyna, co tylko świadczy o tym, że nie należy sądzić po pozorach.

Ale dzisiaj jestem kimś innym. Dwadzieścia pięć tysięcy euro to niebagatelna suma i zawsze istnieje ryzyko, że ktoś zacznie węszyć. Większość ludzi nie będzie

nie podejrzewać (większość ludzi nie zauważy zbrodni popełnionej przed własnym nosem), ale lepiej dmuchać na zimne. Gdyby nie moja ostrożność, nie zaszłabym tak daleko. Nigdzie nie zagrzewam długo miejsca, tak jest bezpieczniej.

Podróżuję bez zbędnego balastu: sfatygowany skórzany neseser i laptop marki Sony z bazą danych obejmującą ponad sto ewentualnych przykrywek. Wystarczy jedno popołudnie, aby się spakować i zatrzeć za sobą wszelkie ślady.

W ten sposób znikła Francoise. Spaliłam jej dokumenty, korespondencję, papiery bankowe, notatki. Zamknęłam wszystkie konta założone na jej nazwisko. Książki, ubrania, meble i pozostałe drobiazgi oddałam do Czerwonego Krzyża. Balast przeszkadza.

Potem nie pozostawało mi nic innego, jak odnaleźć się na nowo. Wynajęłam pokój w tanim hotelu, zapłaciłam kartą kredytową Amelie, zdjęłam ubrania Emmy i poszłam na zakupy.

Francoise była typem niechlujnego bezguścia, z tych co to paradują w pantoflach na płaskim obcasie, a włosy spinają w nudny koczek. Moje nowe ja reprezentuje odmienny styl. Nazywa się Zoie de l'Alba i jest cudzoziemką o bliżej nieokreślonych korzeniach. Stanowi całkowite przeciwieństwo bezbarwnej Francoise: nosi ozdoby we włosach, lubuje się w jaskrawych barwach i odważnych fasonach, chętnie buszuje po bazarach oraz sklepach z używaną odzieżą i w życiu nie włożyłaby butów na płaskim obcasie.

Przemiana odbyła się nadzwyczaj gładko. Weszłam do sklepu jako Francoise Lavery, w szarym kostiumie i naszyjniku ze sztucznych pereł. Wyszłam dziesięć minut później jako zupełnie inna osoba.

Pytanie brzmi wciąż: dokąd mam pójść? Lewy Brzeg, wprawdzie bardzo kuszący, niestety nie wchodzi w rachubę, choć podejrzewam, że z Amelie Deauxville dałoby się jeszcze wydusić parę tysięcy, zanim przyjdzie mi ją zostawić na dobre. Oczywiście mam jeszcze parę innych źródeł, nie licząc ostatniego, czyli madame Beauchamp, sekretarki odpowiedzialnej za fundusz wydziałowy w moim ostatnim miejscu pracy.

Tak łatwo założyć konto. Wystarczy kilka rachunków za prąd czy choćby stare prawo jazdy. A rosnąca popularność zakupów w sieci z każdym dniem otwiera nowy wachlarz możliwości.

Lecz moje potrzeby wykraczają poza marne źródło dochodu. Panicznie boję się nudy. Potrzebuję znacznie więcej: pola do popisu, przygody, wyzwania, odmiany.

Potrzebuję życia.

I oto, co zesłał mi los, gdy w pewien wietrzny poranek pod koniec października

zerknęłam na witrynę i ujrzałam kartkę przylepioną taśmą do drzwi:

*Ferme pour cause de deces.* Nieczynne z powodu żałoby.

Minęło trochę czasu, odkąd byłam tu po raz ostatni. Zdażyłam zapomnieć, jak tu ładnie. Mówi się, że Montmartre to ostatnia wioska w Paryżu, a ta część Butte to niemalże parodia prowincjonalnej Francji, z kafejkami i naleśnikarniami, domami pomalowanymi na różowo lub pistacjowo, ozdobnymi okiennicami i geranium na każdym parapecie. Wszystko ostentacyjnie malownicze, podrabiana idylla ledwie maskująca kamienne serce.

Pewnie dlatego tak mi się tutaj podoba. Wymarzone miejsce dla Zozie de l'Alba. Trafiłam tam niemalże przypadkowo: przystanąłam na skwerze za bazyliką Sacre Coeur, [Bazylika Najświętszego Serca, inaczej „Biała Bazylika”, znajdująca się na szczycie wzgórza Montmartre.] kupiłam rogalika w barze „Le P'tit Pinson” i usiadłam przy stoliku na ulicy.

Napis na niebieskiej, metalowej tabliczce na rogu ulicy głosił: „Place des Faux-Monnayeurs”. Skwer przywodził na myśl schludnie zasłane łóżko. Kawiarnia, naleśnikarnia, kilka sklepów. Nic więcej. Nie było nawet drzewa, które złagodziłoby ostre krawędzie. Ale, nie wiedzieć czemu, jeden z nich przykuł moją uwagę. Jakaś *confiserie*, pomyślałam, omiatając wzrokiem pusty sztyld nad drzwiami. Przez na wpół opuszczone żaluzje dostrzegłam kawałek witryny. Drzwi błękitniały jak skrawek nieba, a zawieszane ponad nimi dzwonki wietrzne regularnie mąciły ciszę skweru swym melodyjnym brzęczeniem, brzmiącym niby wysyłane w eter tajemnicze sygnały.

Co mnie zaciekało w tej cukierni? Nie wiedziałam. Zatłoczone uliczki Butte de Montmartre roją się od podobnych sklepików, przycupniętych na bruku jak pokutniky. Ich wynajęcie kosztuje majątek; wąskie od frontu, przygarbione i pełne wilgoci, zawdzięczają istnienie przede wszystkim głupocie i naiwności turystów.

Położone nad nimi mieszkania przedstawiają się niewiele lepiej. Są ciasne i niewygodne, a nocą, gdy miasto budzi się do życia, hałas nie daje lokatorom spać. W zimie lodowate, latem zaś, kiedy słońce rozgrzewa kamienne dachówki, a jedyne okienko wpuszcza do środka tylko żar, panuje w nich niewyobrażalna duchota.

A jednak coś przykuło moją uwagę. Być może listy, których plik wzywał ze skrzynki niczym koniuszek wścibskiego języka. Może ulotna woń gałki muszkatołowej i wanilii (albo pleśni?), płynąca spod niebieskich drzwi. Może wiatr, który flirtował z rąbkami mojej spódnicy i trącał dzwoneczki. A może napisana równym pismem informacja i jej niewypowiedziany, zwodniczy

potencjał.

„Nieczynne z powodu żałoby”.

Dokończyłam kawę i rogalika. Zapłaciłam, po czym wstałam i podeszłam bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. Sklep z czekoladą, mała witryna zagracona puszkami i bombonierkami, za którymi dostrzegłam w półmroku piramidy czekoladek, każda pod półokrągłym szklanym kloszem, na podobieństwo ślubnego bukietu sprzed stu lat.

Za moimi plecami, w barze „Le P'tit Pinson” dwaj starszycy zajadali gotowane jajka i długie pajdy chleba z masłem, a odziany w fartuch patron utyskiwał głośno na niejakiego Paulpaula, który był mu winien pieniądze.

Skwer był niemal pusty, jeśli nie liczyć kobiety zmiatającej chodnik i dwóch artystów, którzy ze sztalugami pod pachą zmierzali w kierunku Place du Tertre.

Jeden z nich, młody mężczyzna, podchwycił moje spojrzenie.

– Witaj! To ty!

Stara zagrywka ulicznego portrecisty. Znam ją na pamięć, podobnie jak minę mającą wyrażać rzekome olśnienie na widok muzy, której bezskutecznie poszukiwał od wielu lat. I bez względu na to, ile zażąda za swe wiekopomne dzieło, cena i tak będzie niewspółmierna do doskonałości jego *oeuvre*.

– Nie, to nie ja – burknęłam. – Uwiecznij kogoś innego.

Wzruszył ramionami i rozczarowany dogonił kolegę. *Chocolaterie* była moja.

Zerknęłam na listy, zuchwale wychylone ze skrzynki. W sumie nie było po co ryzykować. Jednakże sklepik wabił mnie jak błyskotka uwięziona wśród kocich łbów, moneta, pierścionek lub zwykły kawałek folii odbijający światło. W powietrzu unosił się szept obietnicy, a poza tym było przecież Halloween, *Dia de los Muertos*, mój szczęśliwy dzień, dzień początku i zakończenia, dzień niespokojnych wiatrów, chytrych przysług i ognia rozpraszającego mrok nocy. Czas sekretów, cudów i oczywiście zmarłych.

Rozejrzałam się ponownie. Nikt nie patrzył. I na pewno nikt nie zauważył, jak jednym, zwinnym ruchem wyjęłam listy i ukryłam je w kieszeni.

Jesienny wiatr dał ile sił, wzbijając tumany kurzu. Pachniał dymem, nie dymem Paryża, ale dymem mojego dzieciństwa, rzadko wskrzeszanym aromatem kadzidła, *frangipani* i opadłych liści. Na Butte de Montmartre nie ma drzew. Jest tylko kamień, a gruba warstwa lukru skrywa kompletny brak smaku. Ale niebo, o kruchej barwie skorupki od jajka, poprzecinane było słupami dymu. Mistyczne symbole na szarawym tle.

Wśród nich zobaczyłam Kukurydzę, znak Naszego Pana, Obdartego ze Skóry:

ofiare, dar.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Zbieg okoliczności?

Śmierć – i dar – jednego dnia?

Dawno temu, kiedy byłam mała, matka zabrała mnie do Meksyku na obchody Święta Zmarłych, żeby obejrzeć ruiny stolicy Azteków. Było cudownie i teatralnie: kwiaty, *pan de muerto*, [Chleb zmarłych (hiszp.), specjalnie wypiekany i sprzedawany przed Świętem Zmarłych.] śpiewy i cukrowe czaszki. Ale najbardziej podobała mi się piñata, pomalowana figura zwierzęcia z papiermache, obwieszona sztucznymi ogniami i wypełniona słodkościami, monetami oraz drobnymi upominkami.

Zabawa polegała na tym, by zawiesić piñatę nad drzwiami i dopóty rzucać w nią patykami i kamykami, dopóki nie pęknie, ujawniając swoją zawartość.

Śmierć i dar, dwa w jednym.

To nie mógł być zbieg okoliczności. Ten dzień, sklep, znak na niebie: zupełnie jakby były dziełem samej Mictecacihuatl. Moja własna piñata...

Odwróciłam się, wciąż z uśmiechem na twarzy, i zobaczyłam, że ktoś mnie obserwuje. Nieopodal stała jedenasto, dwunastoletnia dziewczynka w jaskrawoczerwonym płaszczu i znoszonych brązowych butach, z chmurą czarnych włosów rodem z bizantyjskiej ikony. Spoglądała na mnie bez wyrazu, z lekko przekrzywioną głową.

Może widziała, jak brałam listy, pomyślałam przelotnie. Trudno ocenić, jak długo tam stała. Przywołałam na twarz swój najbardziej ujmujący uśmiech i upchnęłam listy głębiej w kieszeni.

– Cześć – powiedziałam. – Jak ci na imię?

– Annie – odpowiedziała dziewczynka, nie odwzajemniając uśmiechu. Jej oczy miały niespotykany szarozielononiebieski odcień, a czerwone wargi wyglądały jak umalowane. Chłodne światło poranka pogłębiło niezwykłą barwę tęczówek, nadając im kolor jesiennego nieba.

– Nie jesteś stąd, prawda, Annie?

Zamrugła powiekami, zapewne zdziwiona moją przenikliwością. Paryskie dzieci nie rozmawiają z nieznanymi, nieufność wpaja im się od kołyski. Ta dziewczynka była inna: ostrożna, lecz nie do końca niechętna, a na pewno mało odporna na urok osobisty.

– Skąd wiesz? – spytała wreszcie.

Punkt dla mnie.

– Słyszę – odpowiedziałam z uśmiechem. – Midi? [z południa Francji (fr.)]



– Niezupełnie – ucięła. Ale przynajmniej zobaczyłam uśmiech.

Z dzieci można sporo wyciągnąć. Nazwiska, zawody oraz drobne informacje, które nadają odgrywanej roli ów bezcenny rys autentyzmu. Większość haseł internetowych to imiona dzieci, małżonków czy nawet zwierząt.

– Nie powinnaś być w szkole, Annie?

– Nie dzisiaj. Jest święto. Poza tym... – Spojrzała na drzwi i kartkę.

– „Nieczynne z powodu żałoby” – przeczytałam na głos.

Skinęła głową.

– Kto umarł? – Czerwony płaszcz nie wyglądał zbyt żałobnie, a jego właścicielka też nie sprawiała wrażenia szczególnie zmartwionej.

Annie milczała, dostrzegłam jednak w jej niezwykłych oczach pewien błysk, coś na kształt przekory, jakby zachodziła w głowę, czy moje pytanie wynikało ze wścibstwa, czy też zwykłej ludzkiej życzliwości.

A niech sobie patrzy. Przywykłam do natrętnych spojrzeń. Zdarzają się nawet w Paryżu, gdzie nie brakuje pięknych kobiet. Powiedziałam „pięknych”, choć to jedynie złudzenie, pospolity wdzięk, który z magią nie ma nic wspólnego. Odpowiednia postawa, krok, ubranie stosowne do okazji. Każda to potrafi.

No, powiedzmy, prawie każda.

Odpowiedziałam jej szerokim uśmiechem, słodkim, zuchwałym i nieco posepnym. Na chwilę stałam się rozczochraną starszą siostrą, której nigdy nie miała, pełną wdzięku buntowniczką z papierosem w ręku, w obcisłej spódnicy i jaskrawej bluzce, niedościgłym wzorem do naśladowania.

– Nie powiesz? – zapytałam.

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Dojrzała ponad wiek, znużona posłuszeństwem, jeszcze chwila, a sama zacznie się buntować. Miała nadzwyczaj przejrzystą aurę: dostrzegłam w niej cień uporu, trochę smutku i złości oraz jaskrawe pasmo czegoś, co nie do końca umiałam określić.

– No, Annie. Powiedz. Kto umarł?

– Moja matka – odpowiedziała. – Vianne Rocher.

*Środa, 31 października*

Vianne Rocher. Minęło dużo czasu, odkąd nosiłam to nazwisko. Niczym płaszcz, ukochany, ale dawno rzucony na dno szafy: prawie zapomniałam, jak rozkosznie grzeje i otula. Tyle razy zmieniałam imię, nasze imiona, gdy podróżowałyśmy od wioski do wioski gnane przez wiatr, że dawno powinnam była porzucić tę tęsknotę. A jednak...

A jednak lubiłam być Vianne Rocher. Lubiłam brzmienie owych słów w ich ustach. Vianne, jak uśmiech. Jak słowa powitania.

Oczywiście noszę teraz inne imię, które nie różni się specjalnie od dawnego. Mam życie, niejeden uznałby, że lepsze. Ale to nie to samo. Z powodu Rosette, z powodu Anouk, z powodu wszystkiego, co zostawiłyśmy w Lansquenetsous-Tannes owej Wielkanocy, kiedy zmienił się wiatr.

Wiatr. Czuję, jak wieje. Ukradkowy, ale kategoryczny, dyktuje każde nasze posunięcie. Moja matka go czuła i ja go czuję, nawet tu, nawet teraz, kiedy z rozmachem przerzuca nas z miejsca na miejsce i obraca w pył jak garść uschłych liści.

*Via Vbon vent, v'ld Ujoli vent...*

[Wietrze mój, miły mój... (fr.)]

Myślałam, że na dobre go uciszyłyśmy. Lecz wiatr ma lekki sen, obudzi go słowo, nieopatrzny gest, a nawet czyjaś śmierć. Liczy się wszystko. I wszystko ma swoją cenę: koniec końców kropla przepelnia czarę, a my znów ruszamy w drogę pełne nadziei, że „może następnym razem”...

Cóż, nie będzie następnego razu. Tym razem nie ucieknę. Nie chcę znów zaczynać od początku, tak jak czyniłam to wielokrotnie przed i po Lansquenet. Tym razem zostaniemy tu, gdzie jesteśmy. Choćby nie wiem co. Bez względu na cenę.

Zatrzymałyśmy się w pierwszej wiosce, gdzie nie było kościoła. Zostałyśmy tam sześć tygodni i ruszyłyśmy w dalszą drogę. Trzy miesiące, potem tydzień, miesiąc, kolejny tydzień. Po drodze zmieniałyśmy nazwiska, do chwili aż mój stan

przestał budzić wątpliwości obserwatorów.

Anouk miała wówczas prawie siedem lat. Była podekscytowana myślą o siostrze, a ja miałam dość niezliczonych wiosek nad rzeką, schludnych domków i geranium w skrzynkach. Tego, jak na nas patrzono, szczególnie na małą. I wiecznie zadawanych pytań, zawsze tych samych.

„Przyjechałyście z daleka?” „Zamieszkacie u krewnych?” „Dołączy do was pan Rocher?”

A gdy udzielałyśmy odpowiedzi, przychodziła pora na znajome, taksujące spojrzenie, którym ogarniano naszą znoszoną odzież oraz jedyną walizkę. I każdy bez trudu odgadywał, że ma przed sobą wiecznych tułaczy, którzy odwiedzili o jeden dworzec i pokój hotelowy za dużo.

Tak bardzo chciałam wreszcie być wolna. Wolna jak nigdy przedtem, by móc zapuścić korzenie, poczuć na twarzy oddech wiatru i stać się głuchą na jego wołanie.

Jednak bez względu na nasze starania plotki towarzyszyły nam krok w krok. Jakiś skandal, szeptano. Ktoś słyszał o pewnym księdzu. A kobieta? Cyganka, zbratała się z włóczęgami z rzeki, znachorka, para się zielarstwem. I podobno ktoś umarł, został otruty albo zwyczajnie nie dopisało mu szczęście.

Nieważne. Plotki rozprzestrzeniały się jak zaraza, osaczając nas ze wszystkich stron. Wreszcie, powoli zaczęło to do mnie docierać.

Coś wydarzyło się po drodze. Coś, co nas zmieniło. Być może za długo zabawiłam w jakiejś wiosce, o dzień, może tydzień. Nastąpiła zmiana. Cienie się wydłużyły. Uciekałyśmy.

Przed czym? Nie miałam pojęcia, ale widziałam to w swoim odbiciu, w lustrach hotelowych pokoi i w lśniących witrynach. Zawsze nosiłam czerwone buty, indiańskie spódnice z dzwoneczkami, używane płaszcze ze stokrotkami na kieszeniach, dzinsy haftowane w kwiaty i liście. Teraz zapragnęłam wtopić się w tłum. Czarne prochowce, czarne buty, czarny beret na czarnych włosach.

Anouk nic z tego nie rozumiała.

– Dlaczego tym razem nie mogłyśmy zostać?

Wieczny refren pierwszych dni. Wzdragałam się przed samą nazwą tamtej miejscowości, przed wspomnieniami, które lgnęły jak rzepy do naszych podróżnych płaszczy. Dzień za dniem podróżowałyśmy z wiatrem. Nocą leżałyśmy obok siebie w pokoju nad kawiarnią albo robiłyśmy gorącą czekoladę nad obozowym paleniskiem. Czasem zapalałyśmy świece i urządałyśmy na ścianach teatr cieni, snując magiczne baśnie o czarownicach, piernikowych chatkach i

mrocznych bohaterach, którzy zamieniali się w wilki, częstokroć na zawsze.

Lecz baśnie były wówczas tylko baśniami. Prawdziwe czary, które towarzyszyły nam przez całe życie, zaklęcia i uroki mojej matki, sól przy drzwiach i czerwona, jedwabna saszetka w celu zaskarżenia sobie łask bóstw pomniejszych, wszystko to obróciło się przeciwko nam, tak jak poczciwy pająk, który wraz z wybiciem północy przeistacza się w złą wróżbę, a w jego pajęczynie więzną nasze sny. I wszystkie zaklęcia, karty, runy i znaki wydrapane na progu, by odwrócić zły los, niezmiennie sprawiały, że wiatr dał mocniej, szarpał za poły płaszczy i obwąchiwał je jak głodny pies, gnając nas coraz dalej, przed siebie.

Ale zawsze wyprzedzałyśmy go o krok. W sezonie zbierałyśmy wiśnie, potem jabłka, dorabiałyśmy w kafejkach i restauracjach, ciulając grosz do grosza i co rusz zmieniając nazwisko. Stałyśmy się ostrożne. Musiałyśmy. Ukrywałyśmy się jak kuropatwy na polu. Przestałyśmy tańczyć i śpiewać.

Stopniowo karty tarota poszły w odstawkę, zioła również. Szczególne dni mijały niezauważone, księżyc niepostrzeżenie nabierał ciała i chudł, a znaki poczynione na szczęście w zagłębieniach dłoni przybladły, by wreszcie zniknąć bez śladu.

Nastał czas względnego spokoju. Dotarłyśmy do miasta, znalazłam mieszkanie, sprawdziłam szkoły i szpitale. Na *marche aux puces* [pchli targ (fr.)] kupiłam tanią obrączkę i przybrałam nazwisko madame Rocher.

Rosette przyszła na świat w grudniu, w szpitalu na przedmieściach Rennes. Zamieszkałyśmy tymczasowo w Les Laveuses, wiosce nad Loarą. Wynajęłyśmy mieszkanie nad *creperie*. [naleśnikarnia (fr.)] Spodobało nam się tam. Mogłyśmy pozostać tam dłużej...

Ale grudniowy wiatr miał inne plany.

*Via l'bon vent, v'ld l'joli vent*

*Via l'bon vent, ma mie m'appelle...*

Matka nauczyła mnie tej kołysanki. To stara melodia, piosenka miłosna, zaklęcie; śpiewam ją, aby ułagodzić wiatr, sprawić, by tym razem zostawił nas w spokoju, uciszyć kwilącą istotkę, przyniesioną ze szpitala, maleństwo, które nie chciało jeść ani spać, tylko noc w noc miauczało jak kot, podczas gdy wiatr wokół nas wył i miotał się jak rozgniewana kobieta. Co wieczór śpiewałam mu do snu, nazywając go „dobrym wiatrem” i „ładnym wiatrem”, podobnie jak prości ludzie ochrzczili kiedyś Furie, nazywając je „Miłymi” i „Życzliwymi” w nadziei, że dzięki

temu zdołają uniknąć ich zemsty.

Czy Życzliwe prześladują zmarłych?

Dopadły nas nad Loarą i znów musiałyśmy uciekać. Tym razem do Paryża, rodzinnego miasta mojej matki, gdzie przyszłam na świat i obiecałam sobie, że nigdy więcej tam nie wrócę. Lecz miasto zapewnia niewidzialność. Przestałyśmy się wyróżniać. Obleczone w piórka miejscowych ptaków giniemy w tłumie. Moja matka uciekła do Nowego Jorku, żeby umrzeć, ja uciekłam do Paryża, aby odrodzić się na nowo. Chora czy zdrowa? Wesoła czy smutna? Bogata czy biedna? Nieważne. Miasto ma ważniejsze sprawy na głowie. Mija cię obojętnie, bez zbędnych pytań i jednego spojrzenia.

Tak czy inaczej, był to ciężki rok. Panował ziąb, dziecko płakało, mieszkaliśmy w pokoiku na piętrze opodal Boulevard de la Chapelle: neon migał na zielono i czerwono, przyprawiając o obłęd. Bez trudu mogłam go naprawić, znam odpowiednie zaklęcie, ale obiecałam sobie: nigdy więcej magii. Spałyśmy więc w krótkich przerwach pomiędzy jednym błyskiem a drugim, Rosette płakała aż do Święta Trzech Króli (tak mi się przynajmniej zdawało), a nasza *galette des wis* [Tradycyjne ciasto pieczone we Francji specjalnie na to święto.] po raz pierwszy pochodziła ze sklepu. Zresztą i tak nie miałyśmy ochoty świętować.

Jak strasznie nienawidziłam wtedy Paryża. Nienawidziłam zimna, brudu i zapachów, grubiaństwa mieszkańców, hałasu kolei, przemocy, wrogości. Wkrótce dowiedziałam się, że Paryż to nie miasto, tylko tłum matroszek, z których każda ma własną tradycję i uprzedzenia, własny kościół, meczet lub synagogę, kipiące bigoterią i plotkami, z donosicielami, kozłami ofiarnymi, frajerami, kochankami, przywódcami oraz obiektami kpin i docinków.

Niektórzy ludzie okazali się całkiem mili, tak jak ta hinduska rodzina, która zajmowała się Rosette, gdy szłam z Anouk na rynek, albo handlarz, który dawał nam nadpsute owoce i warzywa ze swego straganu. Inni nie. Na przykład brodaci mężczyźni, którzy odwracali wzrok, kiedy przechodziłyśmy obok meczetu na Rue Myrrha albo kobiety przed kościołem St Bernard, patrzące na mnie, jakbym była śmieciem.

Od tamtej pory dużo się zmieniło. Wreszcie znalazłyśmy swoje miejsce. Place des Faux-Monnayeurs, pół godziny drogi od Boulevard de la Chapelle, to zupełnie inny świat.

Montmartre to wioska, jak mawiała moja matka, wyspa zrodzona z paryskiej mgły. Oczywiście nie przypomina Lansquenet, ale i tak bardzo tu przyjemnie. Mamy przytulne mieszkanko nad sklepem, kuchnię i oddzielne pokoiki dla

dziewczynek tuż pod dachem, na którym gnieźdzą się ptaki.

Nasza *chocolaterie* była dawniej małą kafejką; prowadziła ją Marie-Loupe Poussin, która zajmowała pięterko. Madame mieszkała tu dwadzieścia lat, przeżyła najpierw męża, potem syna i mimo słabej kondycji uparcie wzbraniała się przed emeryturą. Potrzebowała pomocy, a ja potrzebowałam pracy. Zgodziłam się poprowadzić interes w zamian za niewielkie wynagrodzenie i pokoje na drugim piętrze, a gdy madame jeszcze bardziej podupadła na zdrowiu, zamieniłyśmy kafejkę w sklep z czekoladą.

Zamawiałam towar, prowadziłam rachunki, organizowałam dostawy, zajmowałam się sprzedażą. Remont i naprawy też były na mojej głowie. Nasz układ trwa już ponad trzy lata, zdążyliśmy się przyzwyczaić. Nie mamy ogrodu ani przestrzeni, ale widzimy z okna Białą Bazylikę, która wznosi się nad ulicami niczym statek powietrzny. Anouk poszła do szkoły imienia Julesa Renarda, położonej w pobliżu Boulevard des Batignolles. Jest zdolna, przykłada się do nauki. Jestem z niej bardzo dumna.

Rosette ma prawie cztery lata, ale nie chodzi do przedszkola. Przesiaduje ze mną w sklepie, tworząc na podłodze esy floresy z guzików i słodczy. Układa je w rzędkach według kolorów i kształtów albo zapełnia kartki postaciami zwierząt. Uczy się języka migowego. Świetnie jej idzie, opanowała już znaki na „dobrze”, „jeszcze”, „znowu”, „małpa”, „kaczki”, a ostatnio (ku wielkiemu zadowoleniu Anouk) „chrzanisz”.

W czasie przerwy na lunch idziemy do Parc de la Turlure, gdzie Rosette lubi karmić ptaki, albo jeszcze dalej na miejscowy cmentarz. Anouk lubi go za mroczną dostojność oraz koty, które licznie zamieszkują jego zakamarki. Czasami zamieniam słówko z innymi właścicielami sklepów w *quartier*, z Laurentem Pinsonem, prowadzącym obskurny bar po drugiej stronie placu, z jego klientami, czyli w większości stałymi bywalcami, którzy przychodzą na śniadanie i zostają do południa, z madame Pinot, handlującą na rogu pocztówkami i dewocjonaliami, z artystami, którzy koczują na Place du Tertre w nadziei na przybycie turystów.

Istnieje wyraźna granica pomiędzy mieszkańcami Butte i resztą Montmartre'u. Butte przewyższa Montmartre pod każdym względem (przynajmniej w mniemaniu moich sąsiadów) i stanowi ostatni przyczółek paryskości w mieście okupowanym przez obcokrajowców.

Ci ludzie nigdy nie kupują pralinek. Tu obowiązują twarde, chociaż niepisane reguły. Niektóre miejsca są przeznaczone wyłącznie dla ludzi z zewnątrz, na przykład *boulangeriepatisserie* [piekarnia i ciastkarnia (fr.)] na Place de la Galette, z

lustrami w stylu art deco, witrażami i barokowymi piramidami makaroników. Miejscowi chodzą na Rue des Trois Freres, do tańszej, mniej efektownej piekarni, gdzie chleb smakuje lepiej i codziennie wypiekane są świeże rogaliki. Na śniadanie przyjdą oczywiście do „Le P'tit Pinson”, ze stołami przykrytymi ceratą, na *piat du jour*, podczas gdy zamiejscowi tacy jak my po cichu wolą „La Bohemę” albo co gorsza „La Maison Rose”, gdzie nigdy nie postanie noga szanującego się syna lub córki Butte. Żadne z nich nie zgodzi się też pozować artyście na tarasie kawiarni na Place du Tertre, ani nie pójdzie na mszę do bazyliki Sacre Coeur.

Nie, nasi klienci pochodzą przeważnie spoza dzielnicy. Owszem, mamy swoich stałych bywalców. Na przykład madame Luzeron, która zagląda co czwartek w drodze na cmentarz i zawsze kupuje to samo: trzy trufle rumowe, ani mniej, ani więcej, w ozdobnym pudełku ze wstążką. Albo krucha blondynka z ogryzionymi paznokciami, która wpada, by potrenować samokontrolę. I Nico z włoskiej restauracji na Rue de Caulaincourt. On przychodzi prawie codziennie, a jego namiętność do czekolady (i wszystkiego) przypomina mi kogoś, kogo znałam dawno temu.

Zdarzają się też przypadkowi goście. Wpadają, żeby się rozejrzeć, kupić prezent albo smakołyk, cukier jęczmienny, fiołki, kawałek marcepana lub *pain d'epices*, [chleb korzenny (fr.)] różane kremówki bądź kandyzowane ananasy, nasączone rumem i naszpikowane goździkami.

Znam ich przysmaki. Wiem, czego chcą, chociaż nigdy tego nie zdradzę. Za duże ryzyko. Anouk ma jedenaście lat; czasami czuję, jak ta świadomość drży w niej niczym zwierzę w klatce. Anouk, moje dziecko lata, kiedyś wiecznie roześmiane i organicznie niezdolne do kłamstwa. Anouk, która potrafiła liznąć mnie w policzek i zatrąbić „kocham cię!”, na całe gardło, nie bacząc na audytorium. Anouk, moja mała obca, jej niezrozumiałe humory, milczenie i to, jak spogląda spod przymrużonych powiek, jakby wypatrywała czegoś, co, na poły zapomniane, majaczy gdzieś za moją głową.

Oczywiście musiałam zmienić również jej imię. Obecnie nazywam się Yanne Charbonneau, a ona jest Annie, chociaż dla mnie zawsze będzie Anouk. Ale nie martwią mnie same imiona, zmieniałyśmy je tyle razy. Umknęło nam coś jeszcze. Nie wiem co, ale bardzo mi tego brakuje.

Ona dorasta, wiem. Cofa się i kurczy jak dziecko w gabinecie luster, Anouk dziewięcioletnia, jeszcze z przewagą słońca, Anouk siedmio, a następnie sześciioletnia, drepcząca w swoich żółtych kaloszach w asyście Pantoufle'a, Anouk z kłębkim waty cukrowej w różowej piątce: wszystkie stają gęsiego za plecami

przyszłych Anouk. Anouk trzynastoletnia, pierwsze miłości, Anouk czternastoletnia, a potem, dziw nad dziwy, w wieku lat dwudziestu, zdążająca ku nowym horyzontom coraz szybciej i szybciej...

Zastanawiam się, ile jeszcze pamięta. Cztery lata to dla dziecka w jej wieku szmat czasu; przestała wspominać Lansquenet, czary, albo, co gorsza, Les Laveuses, chociaż czasem coś jej się wymyka – nazwisko, urywek wspomnienia – które mówią mi więcej, aniżeli się spodziewa.

Lecz siedmio – i jedenastolatkę dzieli niezgłębiona przepaść. Mam nadzieję, że dobrze wykonałam swoje zadanie. Dość dobrze, by zwierzę pozostało w klatce, wiatr wstrzymał oddech, a wioska nad Loarą stała się wyblakłą widokówką z wyspy marzeń.

I tak pilnie strzegę prawdy, a życie toczy się własnym trybem. Trzymamy czary na uwięzi i nie ingerujemy w rzeczywistość, nawet dla przyjaciół. Nie kreślimy nawet znaków na pudełkach, na szczęście.

Wiem, że to niewielka cena za blisko cztery lata spokoju. Czasami zastanawiam się jednak, ile jeszcze przyjdzie nam zapłacić.

Matka opowiadała mi historię o chłopcu, który odsprzedał swój cień domokrażcy w zamian za dar wiecznego życia. Dobił targu i odszedł zadowolony – no bo czymże jest cień, myślał, i jaki z niego pożytek?

Ale mijały miesiące, a potem lata, i chłopiec zaczął rozumieć. Idąc, nie rzucał cienia, lustra nie pokazywały jego twarzy, a stawy odbicia. Ogarnął go lęk, czy nie jest aby niewidzialny: jał w pogodne dni kryć się pod dachem i unikał księżycowych nocy, wytlukł wszystkie zwierciadła, a okna zabił od środka deskami. Lecz nie doznał spodziewanej ulgi. Ukochana go opuściła, przyjaciele zestarzelili się i pomarli. On zaś żył w wiecznym półmroku i wreszcie, ogarnięty rozpaczą, poszedł do księdza i przyznał się do swego czynu.

Ksiądz, młody w czasach gdy chłopiec zawarł swą haniebną umowę, a teraz kruchy i pożółkły ze starości, potrząsnął głową i odezwał się w te słowa:

– To nie był handlarz. Targowałeś się z szatanem, a z takiej umowy ktoś zawsze wychodzi bez duszy.

– Przecież to był tylko cień – zaproponował chłopiec.

Stary ksiądz raz jeszcze potrząsnął głową.

– Człowiek, który nie rzuca cienia, tak naprawdę nie jest człowiekiem – odpowiedział, po czym odwrócił się plecami i nie wyrzekł więcej ani słowa.

Chłopiec wrócił do domu. Znaleźli go następnego dnia wiszącego na gałęzi, z twarzą skąpaną w porannym słońcu i podłużnym, chudym cieniem w trawie u stóp.



To tylko bajka, wiem. Lecz powraca do mnie późną nocą, kiedy nie mogę spać, a dzwonki wietrzne podnoszą rwetes. Siadam wtedy na łóżku i unosząc ręce, sprawdzam obecność swojego cienia na ścianie.

Ostatnio coraz częściej sprawdzam też cień Anouk.

*Środa, 31 października*

O rany. Vianne Rocher. Że też musiałam to chlapnąć. Dlaczego nigdy nie mogę utrzymać języka za zębami? Czasami sama nie wiem. Pewnie dlatego że słuchała, a ja byłam wściekła. Ostatnio często bywam wściekła.

A może z powodu butów? Cudnych, lśniących czólenek na wysokich obcasach, migoczących rubinowo jak klejnoty na szarym bruku. W Paryżu rzadko widuje się podobne buty. Zwykli ludzie takich nie noszą. No a przecież my jesteśmy zwykłymi ludźmi, tak przynajmniej twierdzi *maman*, choć czasami trudno w to uwierzyć.

Co za buty...

Stuk, stuk, stuk, zaśpiewały rubinowe czólenka i przystanęły przed *chocolaterie*, a ich właścicielka zajrzała do środka.

Od tyłu wydała mi się dziwnie znajoma. Jaskrawoczerwony płaszcz pod kolor butów. Brązowe włosy przewiązane z tyłu apaszką. Czy na wzorzystej spódnicy nie było aby dzwoneczków, a na nadgarstku brzęczącej bransoletki z amuletami? I czy nie otaczała jej aura rozgrzanego powietrza, na podobieństwo migotliwej aureoli?

Sklep był zamknięty z powodu pogrzebu. Jeszcze chwila i odejdzie. Zapragnęłam, aby została i zrobiłam coś, czego nie powinnam robić i dawno nie robiłam. Coś, o czym, zdaniem *maman*, dawno zapomniałam. Wycelowałam splecione palce w jej plecy, kreśląc niewielki znak w powietrzu.

Wiatr przesiąknięty wanilią, mleko z gałką muszkatołową, prażone ziarna kakaowca.

To nie są czary, naprawdę. To tylko sztuczka, jedna z moich zabaw. Prawdziwe czary nie istnieją. A jednak to działa. Przynajmniej czasami.

Słyszysz? Nie powiedziałam tego głośno. Pytanie zaszeleściło jak nakrapiane liście.

Poczuła, wiem to na pewno, i zeszywniała w pół obrotu. Sprawiałam, że drzwi zabłyśły mocniej, przybierając odcień nieba. Promienie słońca zatańczyły na gładkim drewnie, odbłask połaskotał ją w policzek.

Woń ogniska zamknięta w filiżance, kropla śmietanki, szczypta cukru. Gorzka pomarańcza, twoja ulubiona. Grube, soczyste plastry prosto z Sewilli, oblane najciemniejszą czekoladą deserową. Skosztuj. Spróbuj. Posmakuj.

Odwróciła się. Wiedziała, że to zrobi. Wydawała się zaskoczona moim widokiem, ale się uśmiechnęła. Zobaczyłam jej twarz – niebieskie oczy, szeroki uśmiech, parę piegów na nosie – i polubiłam ją od pierwszego wejrzenia, tak samo jak Roux...

Zapytała, kto umarł.

Odpowiedziałam odruchowo. Może z powodu butów, a może dlatego, bo wiedziałam, że *maman* stoi za drzwiami. Stało się, tak samo jak kolor drzwi i zapach dymu.

Powiedziałam „Vianne Rocher”, trochę zbyt głośno. *Maman* stanęła na progu. *Maman* w czarnym palcie, z Rosette na rękach i z miną jak zawsze, gdy napsocę albo gdy Rosette ma jeden ze swoich Wypadków.

– Annie!

Nieznajoma w rubinowych czółenkach przeniosła wzrok na mnie, a potem znów popatrzyła na matkę.

– Madame... Rocher?

*Maman* natychmiast odzyskała rezon.

– To moje nazwisko... panieńskie – odpowiedziała. – Teraz nazywam się Charbonneau. Yanne Charbonneau. – Ponownie rzuciła mi znaczące spojrzenie. – Córka lubi sobie pozartować. Mam nadzieję, że się pani nie naprzykrzała?

Nieznajoma roześmiała się aż po czubki czerwonych pantofelków.

– Ależ skąd – odpowiedziała. – Właśnie podziwiałam pani uroczą cukierenkę.

– Nie należy do mnie – sprostowała *maman*. – Ja tu tylko pracuję.

Tamta znowu się roześmiała.

– Tylko pozazdrościć! Ja też powinnam szukać pracy, a stoję przed wystawą z czekoladkami!

*Maman*, wyraźnie uspokojona, postawiła Rosette na chodniku i wyjęła klucz, żeby zamknąć drzwi. Rosette z powagą przyjrzała się nieznajomej. Kobieta uśmiechnęła się, lecz Rosette nie odwzajemniła uśmiechu. Rzadko uśmiecha się do obcych. Odczułam coś na kształt zadowolenia. To ja ją wynalazłam, pomyślałam. Ja ją zatrzymałam. Należy do mnie, przynajmniej na razie.

– Pracy? – spytała z uprzejmym zainteresowaniem *maman*.

Kobieta skinęła głową.

– Moja współlokatorka wyprowadziła się miesiąc temu, a pensja kelnerki nie starczy na opłacenie całego mieszkania. Nazywam się Zozie... Zozie de l'Alba, a tak w ogóle to ubóstwiam czekoladę.

Nie można było jej nie lubić. Miała oczy jak bławatki, a jej uśmiech

przypominał plaster przepołowionego arbuza. Zerknęła na drzwi i spoważniała.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała. – Zjawiłam się nie w porę. Nikt bliski, mam nadzieję?

*Maman* podniosła Rosette.

– Madame Poussin mieszkała tutaj. Pewnie powiedziałaaby, że prowadzi sklep, ale szczerze mówiąc, niewiele robiła.

Pomyślałam o madame Poussin, jej gąbczastej twarzy i fartuchach w niebieską kratę. Najbardziej lubiła różane kremówki i pochłaniała je ponad miarę, ale *maman* nigdy nie powiedziała ani słowa.

Udar mózgu, dodała *maman*. Zabrzmiało to tajemniczo i dramatycznie, a ja zrozumiałam, że już nigdy, przenigdy nie zobaczę madame Poussin. Zakręciło mi się w głowie, jakbym stanęła nad przepaścią i spojrzała pod nogi.

– Nieprawda – wtrąciłam, wybuchając płaczem. Zanim się spostrzegłam, otoczyła mnie ramionami. Pachniała lawendą i jedwabiem; szepnęła mi coś do ucha, a ja ze zdziwieniem zrozumiałam, że to zakłęcie, jak w czasach kiedy mieszkałyśmy w Lansquenet. Lecz gdy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że to wcale nie *maman*, tylko Zozie. Długie włosy zasłoniły mi twarz, czerwony prochowiec zalsnił w słońcu.

*Maman* stała za jej plecami w żałobnym płaszczu, z oczami ciemnymi jak noc, tak ciemnymi, że nikt nie potrafił odgadnąć jej myśli. Zrobiła krok do przodu, nadal trzymając w ramionach Rosette. Wiedziałam, że jeśli się nie ruszę, obejmie nas obie, a ja rozbeczę się na dobre i nie powiem jej dlaczego – ani teraz, ani nigdy, a zwłaszcza nie w obecności tej kobiety w rubinowych czółenkach.

Odwróciłam się więc i pobiegłam białą uliczką, wolna jak ptak. Dobrze jest czasami puścić się biegiem; sadzisz przed siebie wielkimi susami, rozkładasz ręce i czujesz się jak latawiec, smakujesz wiatr, a słońce pędzi nad twoją głową. Czasem możesz przegonić wszystkich: i słońce, i wiatr, i cień depczący ci po piętach.

Bo wiecie, mój cień też ma swoje imię. Nazywa się Pantoufle. Podobno miałam kiedyś królika o tym imieniu, ale nie wiem, czy był zabawką, czy prawdziwym królikiem. *Maman* czasem mówi o nim „twój wymyślony przyjaciel”, ale ja jestem niemal pewna, że on naprawdę istniał, szary cień u moich stóp, nocą zwinięty w kłębuszek na moim łóżku. Nadal lubię myśleć, że czuwa nade mną, gdy śpię i wraz ze mną usiłuje prześcignąć wiatr. Czasami czuję jego obecność. Czasami nawet go widzę, chociaż *maman* twierdzi, że mam wybujałą wyobraźnię i nie lubi, jak wspominam o nim choćby w żartach.

*Maman* nie żartuje i bardzo rzadko się śmieje. Pewnie wciąż martwi się o

Rosette. Wiem, że o mnie też się martwi. Uważa, że nie traktuję życia z należytą powagą. I że powinnam zmienić nastawienie.

Czy Zoie traktuje życie poważnie? Akurat. Założę się, że nic z tych rzeczy. W takich butach? Pewnie dlatego z miejsca ją polubiłam. Czerwone buty, spojrzenie, jakim obrzuciła wystawę... Jestem pewna, że dostrzegła Pantoufle'a u moich stóp. I w jej oczach wcale nie był cieniem.

*Środa, 31 października*

Lubię myśleć, że mam podejście do dzieci. Do rodziców też, to część mojego nieodpartego uroku osobistego. Urok osobisty jest w tej branży niezbędny, a w sytuacji gdy stawką jest coś więcej aniżeli tylko dobra materialne, to ważne, aby dotknąć życia, które masz objąć w posiadanie.

Nie, żebym jakoś szczególnie zainteresowała się wówczas życiem tej kobiety. Przyznam jednak, że byłam zaintrygowana. Osoba zmarłej nie obchodziła mnie w najmniejszym stopniu, podobnie jak sam sklep, wprawdzie dość ładny, ale stanowczo zbyt mały i niepozorny jak dla kogoś o moich aspiracjach. Ale ta kobieta mnie zaintrygowała, a dziewczynka...

Wierzycie w miłość od pierwszego wejrzenia?

Tak myślałam. Ja też nie. Chociaż...

Snop barw przez na pół uchylone drzwi. Zwodnicze widmo rzeczy na poły widzianych, na poły doznanych. Pluskanie dzwonek wietrznych nad progiem... To wszystko obudziło najpierw moją ciekawość, a następnie żądę posiadania.

Widzicie, nie jestem złodziejką. Przede wszystkim zasługuję na miano kolekcjonerki. Stałam się nią w wieku ośmiu lat, kiedy zaczęłam zbierać amulety do bransoletki, teraz natomiast kolekcjonuję osoby, ich nazwiska, sekrety, historie i życiorysy. Ach, po części robię to dla zysku, ma się rozumieć. Ale same poszukiwania i towarzyszący im dreszczyk emocji to dla mnie źródło największej frajdy. Podchodzę coraz bliżej, uwodzę, nacieram. A chwila, gdy pęka piñata...

To lubię najbardziej ze wszystkiego.

– Dzieci – rzuciłam z pobłażliwym uśmiechem.

Yanne westchnęła.

– Rosną tak szybko. Wystarczy mrugnąć okiem i już ich nie ma. – Dziewczynka oddalała się coraz bardziej. – Nie odchodź za daleko! – krzyknęła Yanne.

– Nie odejdzie.

Wygląda jak uładzona wersja córki. Czarne, równo przycięte włosy, proste brwi, oczy w kolorze gorzkiej czekolady. Identyczne uparte usta w jaskrawym odcieniu, z lekko uniesionymi kącikami. Te same mgliście cudzoziemskie rysy, choć na pierwszy rzut oka nic nie wskazuje na egzotyczne pochodzenie. Mówi bez

śladu akcentu, nosi sfatygowaną odzież z La Redoute i nieładny, brązowy beret włożony nieco na bakier, na nogach ma solidne półbuty.

Buty dużo mówią o człowieku. Te są konserwatywne, czarne, z okrągłymi noskami; kompletnie niczym się nie wyróżniają i przypominają szkolne trzewiki jej córki. Całość zaniedbana i nieco zbyt zgrzebna, zero biżuterii, jeśli nie liczyć prostej, złotej obrączki, makijaż oszczędny, byle się nie wyróżniać.

Młodsza dziewczynka wygląda na góra trzy lata. Ma uważne spojrzenie matki, ale jej włosy przypominają barwą świeżą dynię, a drobna twarzyczka, nie większa niż gęsie jajo, jest doszczętnie usiana morelowymi piegami. Niby zwyczajna rodzina, przynajmniej na oko, a jednak nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że kryje w sobie coś więcej, subtelny blask na kształt i podobieństwo mojego własnego.

Oto rzecz godna kolekcji, pomyślałam.

Yanne spojrzała na zegarek.

– Annie! – zawołała.

Widoczna na końcu uliczki dziewczynka zamachała rękami w przyjaznym, a może buntowniczym geście. Błękitna poświata wokół jej postaci potwierdza moje przypuszczenia. Najmłodsza również kryje w sobie tajemnicę, a co do matki...

– Jest pani mężatką? – zapytałam.

– Wdową – odrzekła. – Od trzech lat. Mieszkałyśmy wtedy gdzie indziej.

– Ach tak.

Dobre sobie. Wdowa to nie tylko czarny płaszcz i obrączka, a Yanne Charbonneau (o ile rzeczywiście tak się nazywa) wcale nie wygląda mi na wdowę. Może inni dają się nabrać, ale ja widzę więcej.

Po co te kłamstwa? Bądź co bądź mieszkamy w Paryżu: tutaj nikt nikogo nie ocenia na podstawie braku obrączki. Jaka tajemnicę ukrywa? Czy aby na pewno wartą zachodu?

– Prowadzenie sklepu to ciężki kawałek chleba, zwłaszcza tutaj. – Montmartre to kamienna wysepka oblegana przez artystów i cudzoziemców. Rynsztoki, stada żebraków i nocne kluby pod lipami, a w tych urokliwych zaułkach łatwo skończyć z nożem w plecach.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Nie jest tak źle.

– Czyżby? – zapytałam. – Teraz, kiedy zabrakło madame Poussin...

Odwróciła wzrok.

– Możemy liczyć na życzliwość właściciela. Nie wyrzuci nas na bruk. – Chyba lekko się zarumieniła.

– A interesy?

– Mogłoby być gorzej.

Turyści, gotowi przepłacić za byle drobiazg.

– Cóż, nie zbijemy na tym majątku...

Tak myślałam. Szkoda zachodu. Nadrabia miną, ale tania spódnica, wystrzepione paltko dziecka i lichy, nieczytelny szyld nad drzwiami *chocolaterie* mówią same za siebie.

Mimowolnie kieruję wzrok na zagraconą witrynę. Sterty puszek i bombonierek, czarownice z czekolady deserowej w kapeluszach z kolorowej słomy, dorodne, marcepanowe dynie i czaszki z utwardzonego syropu klonowego łypią spod na wpół opuszczonych żaluzji.

Dokoła unosi się przydymiona woń jabłek i karmelu, rumu i wanilii, czekolady i kardamonu. I chociaż wcale nie przepadam za czekoladą, czuję, jak ślina napływa mi do ust.

*Spróbuj. Skosztuj.*

Zrobiłam palcami znak Dymiącego Zwierciadła, znany jako Oko Czarne Tezcatlipoca, i okno jakby nieco pojaśniało.

Kobieta chyba coś poczuła i zrobiła niepewną minę. Dziecko w jej ramionach miauknęło śmiechem i wyciągnęło rączkę...

Ciekawe, pomyślałam.

– Sama robi pani czekoladę? – zapytałam.

– Kiedyś owszem. Ale teraz już nie.

– To niełatwe.

– Jakoś daję radę – skwitowała.

Hm. Bardzo ciekawe.

Ale czy rzeczywiście daje sobie radę? I jak będzie teraz, po śmierci starej? Jestem pełna wątpliwości. O tak, z tymi upartymi ustami i zaciętym spojrzeniem ta kobieta wygląda na taką, która umie dopiąć swego. A mimo to ma w sobie słabość. Słabość, a może siłę.

Potrzeba siły, aby żyć tak, jak ona, wychowywać samotnie dwójkę dzieci w Paryżu, harować od świtu do nocy za wynagrodzenie, które w najlepszym wypadku starcza zaledwie na pokrycie czynszu. Ale jej słabość wynika z czegoś innego. Weźmy na przykład tę małą. Boi się o nią. Boi się o obie: nie wypuszcza ich z rąk, jakby wiatr lada chwila miał zdmuchnąć dziewczynki z powierzchni ziemi.

Wiem, co sobie myślicie. Co mnie to obchodzi?

Cóż, pewnie jestem wścibska. Bądź co bądź sekrety to moja specjalność.



Sekrety, drobne oszustwa, akwizycja, inkwizycja, defraudacja na małą i wielką skalę, kłamstwa, cholerne łgarstwa, wykręty, podwójne dna, ciche wody, opończe i sztylety, ukryte przejścia, potajemne zebrania, szpary i zaułki, tajne operacje i próby wyłudzenia czyjejs własności, informacji i tym podobnych.

Czy to takie złe?

Pewnie tak.

Ale Yanne Charbonneau (lub Vianne Rocher) ukrywa coś przed światem. Woń tajemnicy oblepia ją jak odór spalenizny piñatę. Wystarczy celny rzut kamieniem i sekrety wydostaną się na wolność. Wtedy zobaczą, czy mi się na coś przydadzą.

Po prostu chcę wiedzieć. Ciekawość jest cechą często występującą u szczęśliwców spod znaku Jaguara.

A poza tym kłamie jak z nut, prawda? A my, Jaguary, jeszcze bardziej niż słabości nienawidzimy kłamców.

*Czwartek, 1 listopada Wszystkich Świętych*

Anouk znów była dziś niespokojna. Pewnie przez ten wczorajszy pogrzeb, a może wiatr. Czasami bierze ją na grzbiet i ponosi jak dziki rumak. Nie wiem, co w nią wtedy wstępuje: staje się uparta, płaczliwa i niegrzeczna. Moja mała obca.

Nazywałam ją tak przed laty, kiedy byłyśmy tylko we dwie. „Mała obca” – jakby mi ją tylko pożyczano i kiedyś miał nadejść dzień, gdy ktoś upomni się o zwrot. Zawsze otaczała ją aura inności, jej oczy zaglądały zbyt daleko, a myśli wędrowały na skraj świata.

„Zdolne dziecko”, mówi nowa nauczycielka. „Cóż za wyobraźnia, cóż za bogate słownictwo”... ale już dostrzegam w jej taksującym spojrzeniu cień podejrzliwości, jakby owa wyobraźnia stanowiła niezbity dowód głębszej, kto wie, może złowrogiej prawdy.

To moja wina, wiem. Wychowanie jej zgodnie z tradycją wpojoną mi przez matkę stanowiło w moim mniemaniu naturalną kolej rzeczy. Miałyśmy plan, własne obrzędy, magiczny krąg zamknięty przed resztą świata. Wystarczyła chwila nieuwagi i krąg stał się pułapką. Uwięzione we własnoręcznie utkany kokonie żyjemy na uboczu, wiecznie odizolowane od innych.

A przynajmniej żyłyśmy, do pewnego momentu cztery lata temu.

Od tamtej pory żyjemy w krzepiącym kłamstwie.

Nie róbcie takiej zdziwionej miny. Pokażcie mi matkę, a ja pokażę wam kłamcę. Opowiadamy naszym dzieciom, jaki powinien być świat, przekonujemy, że potwory i duchy nie istnieją, że jeśli czynisz dobro, ludzie odpłacą ci tym samym, że matka zawsze będzie blisko, gotowa w każdej chwili nieść pomoc. Naturalnie nigdy nie nazywamy tego kłamstwem, mamy przecież jak najlepsze intencje. Ale fakt jest faktem.

Po Les Laveuses nie miałam wyboru. Na moim miejscu każda matka postąpiłaby tak samo.

– Co się stało? – pytała raz po raz. – Czy to nasza wina, *maman*?

– Nie, to był wypadek.

– Ale wiatr... sama powiedziałaś...

– Śpij.

– Nie mogłybyśmy tego odczarować?

– Nie. To była tylko zabawa. Czary nie istnieją, Nanou.

Spoglądała na mnie z powagą.

– Istnieją – oznajmiła. – Pantoufle tak mówi.

– Kochanie, Pantoufle też nie istnieje.

Niełatwo być córką czarownicy. A jeszcze trudniej być jej matką. Po tym, co zdarzyło się w Les Laveuses, stanęłam wobec konieczności dokonania wyboru. Powiedzieć prawdę i skazać córki na życie, które stało się moim udziałem, czyli wieczną tułaczkę i pogoń z miejsca na miejsce, życie na walizkach i ciągły wyścig z wiatrem...

Albo skłamać i żyć jak inni.

Toteż skłamałam. Okłamałam Anouk. Przekonałam ją, że wszystko było tylko złudzeniem. Że czary istnieją tylko w bajkach, że nie ma mocy nadprzyrodzonych, bóstw domowych, czarownic, runów, zaklęć, totemów ani znaków na piasku. To, co niewyjaśnione, zyskało rangę Przypadku, przez duże „P”: niespodziewany łut szczęścia, odwrócenie losu, dar od bogów. Pantoufle zaś został zepchnięty do roli „wymyślnego przyjaciela” i popadł w zapomnienie, chociaż wciąż widzę go czasem kątem oka.

Dziś odwracam się plecami. Przymykam oczy, dopóki kolory nie znikną.

Po Les Laveuses odrzuciłam wszystko w obawie, że Anouk będzie miała mi za złe, a nawet trochę mnie znienawidzi. Miałam nadzieję, że w przyszłości to zrozumie.

– Musisz kiedyś dorosnąć, Anouk. Poznać różnicę pomiędzy tym, co prawdziwe i zmyślane.

– Dlaczego?

– Tak jest lepiej – zapewniłam. – To wszystko sprawia, że odstajemy od reszty. Jesteśmy inne. Wolisz być inna? Nie chcesz być częścią społeczności, choć jeden, jedyny raz? Mieć przyjaciół i...

– Miałam przyjaciół. Paul i Framboise...

– Nie mogłyśmy tam zostać. Nie po tym, co się stało.

– Zezette i Blanche...

– To podróżnicy, Nanou. Ludzie z rzeki. Nie można wiecznie mieszkać na łodzi, zwłaszcza gdy ktoś powinien chodzić do szkoły.

– Pantoufle...

– Wymyślony przyjaciel się nie liczy, Nanou.

– A Roux, *maman*? Roux był naszym przyjacielem.

Cisza.

– Dlaczego nie mogliśmy z nim zostać, *maman*? Dlaczego nie powiedziałaś mu, dokąd jedziemy?

Westchnęłam.

– To skomplikowane.

– Tęsknię za nim.

– Wiem.

Dla Roux oczywiście wszystko jest proste. Rób, co chcesz. Bierz, co chcesz. Jedź tam, dokąd cię poniesie wiatr. On tak potrafi. To go uszczęśliwia. Ale ja wiem, że nie można mieć wszystkiego. Podążałam tą drogą i wiem, dokąd prowadzi. To trudne, Nanou. Bardzo trudne.

„Za bardzo się przejmujesz”, powiedziałby Roux. Roux, ze strzechą rudych włosów, leniwym uśmiechem i ukochaną łodzią pod niebem pełnym dryfujących gwiazd. „Za bardzo się przejmujesz”. Kto wie, może rzeczywiście za bardzo. Przejmuję się, że Anouk nie ma w nowej szkole przyjaciół. I dręczy mnie to, że Rosette, blisko czteroletnia i bardzo bystra, trwa w uporczywym milczeniu jak ofiara złego uroku albo księżniczka, której odebrano mowę w obawie, że się wygada.

Jak wytłumaczyć to Roux, który nie wie, co to strach, i nie dba o nikogo? Być matką równa się żyć w strachu, strachu przed śmiercią, chorobą, utratą, wypadkiem, nieznanymi albo Człowiekiem w Czerni bądź tymi wszystkimi codziennymi drobiazgami, które jakimś cudem ranią nas najbardziej: niecierpliwym spojrzeniem, opryskliwą uwagą, niechcianą bajką na dobranoc, zapomnianym całusem oraz tą straszną chwilą, gdy matka przestaje być dla córki centrum wszechświata i staje się kolejnym satelitą orbitującym wokół jakiegoś tam słońca.

To jeszcze nie nastąpiło, jeszcze nie. Ale widzę to w innych dzieciach, w nastoletnich dziewczynkach z uchem przyklepionym do komórki, z wydętymi ustami i pogardą dla świata w oczach. Zawiodłam ją, wiem. Nie jestem matką, jaką chciałyby mieć. Ma dopiero jedenaście lat i mimo swej inteligencji jest za młoda, aby zrozumieć, co poświęciłam i dlaczego.

„Za bardzo się przejmujesz”.

Żeby to było takie proste.

„Jest”, podpowiada jego głos w moim sercu.

Może kiedyś było, Roux. Ale już nie.

Ciekawe, czy się zmienił. Pewnie by mnie nie poznał. Czasem napisze kilka słów (dostał mój adres od Blanche i Zezette), głównie na Boże Narodzenie i

urodziny Anouk.

Odpisuję na adres poczty w Lansquenet, czasami tam zagląda. W żadnym liście nie wspomniałam o Rosette. Ani o Thierryem, moim pracodawcy, który okazał nam tyle wsparcia i życzliwości. Nie znajduję słów, by opisać jego cierpliwość.

Thierry Le Treset, lat pięćdziesiąt jeden. Rozwiedziony, jeden syn, przykładny katolik, człowiek opoka.

Proszę się nie śmiać. Naprawdę bardzo go lubię.

Zastanawiam się, co we mnie widzi.

Gdy spoglądam w lustro, zamiast twarzy widzę płaski portret trzydziestoparoletniej kobiety. Nic specjalnego, nie wyróżnia się ani urodą, ani charakterem. Kobieta jakich wiele, czyli osiągnęłam swój cel, lecz owa myśl dzisiaj działa na mnie szczególnie przygnębiająco. Może to z powodu pogrzebu: smutna, blado oświetlona kaplica przystrojona kwiatami po poprzednim nieboszczyku, puste ławki, niedorzecznie wielki wieniec od Thierry'ego, obojętny ksiądz, któremu ciekło z nosa, i „Nimrod” Elgara płynący z trzeszczących głośników.

Śmierć jest banalna, powtarzała moja matka parę tygodni przed własną śmiercią na ruchliwej ulicy w centrum Nowego Jorku. Życie jest niezwykle. My jesteśmy niezwykle. Zaakceptować niezwykłość równa się celebrować życie.

No cóż, mamó. Czasy się zmieniają. Dawniej (w sumie nie tak dawno, upominam się w duchu) w dniu takim jak wczoraj świętowałybyśmy na całego. Wigilia Wszystkich Świętych, czas magiczny, czas sekretów i tajemnic, saszetek z czerwonego jedwabiu porozwieszanych po całym domu dla ochrony przed złem, czas rozsypanej soli, grzanego wina i miodowych placków pozostawionych na parapecie, czas dyń, jabłek, petard oraz aromatu świerku i dymu, gdy jesień opuszcza scenę, ustępując miejsca starej Zimie. Byłyby śpiewy i tańce przy ognisku, Anouk w czarnych piórach, usmarowana szminką i płasająca od drzwi do drzwi w asyście Pantoufle'a, no i Rosette z latarnią i własnym toternem (przystrojonym pomarańczowym futerkiem pod kolor jej włosów), sunąca w ślad za siostrą.

Dość tego, serce boli na samą myśl. Za duże ryzyko. Moja matka wiedziała: jej ucieczka przed Człowiekiem w Czerni trwała dwadzieścia lat. Ja uwierzyłam na chwilę, że wywalczyłam sobie miejsce, lecz wkrótce zrozumiałam, że moje zwycięstwo to jedynie iluzja. Człowiek w Czerni ma wiele twarzy, licznych zwolenników i nie zawsze nosi koloratkę.

Kiedyś myślałam, że boję się ich Boga. Po latach zrozumiałam, że najbardziej

przeraza mnie ich życzliwość. Ich troska. I litość. Przez ostatnie cztery lata czułam na karku ich świszczący oddech, nie odstępowali nas na krok, myszkując i węsząc. Od czasów Les Laveuses dosłownie deptają nam po piętach. Są życzliwi, mają szczerą chęć, chcą jak najlepiej dla moich pięknych dzieci. I nie spoczną, dopóki nas nie rozdziela, dopóki nie rozerwą nas na kawałki.

Może dlatego nigdy nie zwierzyłam się Thierry'emu. Dobremu, spolegliwemu Thierry'emu, mojemu niezawodnemu przyjacielowi z niemrawym uśmiechem, wesołym głosem i wzruszającą wiarą w uzdrawiającą moc pieniądza. Chce pomóc, w tym roku bardzo nam pomógł. Wystarczy jedno moje słowo, a uczyni to ponownie. Wszystkie nasze kłopoty mogłyby się zakończyć w jednej chwili. Nie wiem, co mnie powstrzymuje. Zastanawiam się, dlaczego tak mi trudno komuś zaufać, przyznać, że bez niego ani rusz.

Nadchodzi północ; wracam myślami do matki, do kart, do Życzliwych. Anouk i Rosette już śpią. Wiatr ucichł raptownie. Pod nami Paryż faluje jak mgła. Ale ponad jego ulicami Butte de Montmartre dryfuje niczym magiczne miasto utkane z dymu i blasku gwiazd. Anouk myśli, że spaliłam karty, bo nie wyciągałam ich od ponad trzech lat. Lecz nadal je mam, karty mojej matki, przesycone aromatem czekolady i wyświecone od częstego tasowania.

Schowałam szkatułkę pod łóżkiem. Pachnie straconym czasem i porą mgieł. Otwieram ją i widzę karty, starodawne marsylskie drzeworyty sprzed stuleci: Śmierć, Kochankowie, Wieża, Głupiec, Mag, Wisielec, Koło Fortuny.

To nie będzie wróżba, przekonuję samą siebie. Na chybił trafił wyciągam karty, nie myśląc o konsekwencjach. Wszelako nie mogę opędzić się od myśli, że coś wyjdzie na jaw, że kryją jakąś wiadomość.

Odkładam karty. To był błąd. Dawniej przepędziłabym nocne demony zaklęciem – a kysz! Zgiń, przepadnij! – i uzdrowicielskim wywarem, odrobiną kadzidła oraz solą rozsypaną na progu. Dziś jestem cywilizowana, parzę tylko herbatę rumiankową. Pomaga mi zasnąć.

Ale w nocy, po raz pierwszy od miesięcy snią mi się Życzliwi, przyczajeni i węszący w zaułkach i bocznych uliczkach starego Montmartre'u. I żałuję we śnie, że nie rozsypałam soli i nie powiesiłam saszetki nad drzwiami. Bez nich noc zakradnie się niepostrzeżenie, zwabiona zapachem czekolady.

**CZEŚĆ DRUGA**

**JAGUAR**

*Poniedziałek, 5 listopada*

Pojechałam autobusem do szkoły, jak zwykle. Gdyby nie tabliczka przy wejściu, nikt by się nie domyślił, że to szkoła. Reszta znajduje się za wysokimi murami, które mogłyby skrywać biura, prywatny park lub coś jeszcze innego. Gimnazjum imienia Julesa Renarda, według paryskich standardów niezbyt duże, ale dla mnie to praktycznie metropolia.

W mojej szkole w Lansquenet było czterdzieścioro uczniów. Tutejsza mieści osiemset chłopców i dziewcząt oraz ich plecaki, iPody, telefony komórkowe, dezodoranty, podręczniki, pomadki ochronne, gry komputerowe, tajemnice, plotki i kłamstwa. Mam tylko jedną przyjaciółkę, a raczej prawie przyjaciółkę. Nazywa się Suzanne Prudhomme, mieszka przy Rue Ganneron od strony cmentarza i czasem zagląda do *chocolaterie*.

Suzanne (chce, żeby ją nazywać Suze, jak ten drink) ma rude włosy, których serdecznie nie znosi, okrągłą, różową twarz i wiecznie się odchudza. Jej włosy bardzo mi się podobają (przypominają mi mojego przyjaciela Roux) i wcale nie uważam, że jest gruba, ale ona wie swoje i bez przerwy narzeka. Dawniej byłyśmy bardzo zżyte, jednak ostatnio zrobiła się humorzasta i czasem wybucha bez powodu albo grozi, że nie będzie się do mnie odzywać, jeśli nie zrobię tego, o co mnie prosi.

Dzisiaj znowu się nie odzywała, bo nie poszłam wczoraj do kina. Bilety są drogie, do tego dochodzi jeszcze popcorn i cola: jak ich nie kupię, Suzanne potem nabija się w szkole, że jestem splukana. Poza tym wiedziałam, że zjawi się też Chantal, a przy niej Suzanne robi się nie do poznania.

Chantal to nowa przyjaciółka Suzanne. Zawsze ma nienaganną fryzurę, i forse na kino. Nosi diamentowy krzyżyk od Tiffany'ego; kiedyś nauczycielka kazała jej go zdjąć i ojciec Chantal napisał do gazety, że to skandal, aby jego córka była prześladowana za swoje przekonania religijne, podczas gdy muzułmanki obnoszą się z chustami. Zrobiła się z tego afera, w wyniku której w szkole zakazano noszenia i chust, i krzyżyków. Ale Chantal nie zdjęła swojego. Wiem, bo widziałam na gimnastyce. Nauczycielka udaje, że nie widzi. To wpływ ojca Chantal.

„Nie przejmuj się nimi – mówi *maman*. – Znajdź sobie inne przyjaciółki”.



Nie myślcie, że nie próbowałam. Za każdym razem, gdy poznaję nową koleżankę, Suzanne zawsze wkrci się między nas. Przeżyłam to nieraz. Nie wiadomo dokładnie, o co chodzi, ale coś wisi w powietrzu. Nagle ludzie, którzy okazywali ci sympatię, z dnia na dzień zaczynają cię unikać i trzymają z Suzanne. I zanim się obejrzyysz, są jej przyjaciółmi, a ty zostajesz sama jak palec.

No więc dzisiaj Suze nie chciała ze mną gadać i na wszystkich lekcjach siedziała z Chantal. Kładła obok siebie plecak, żebym nie mogła się przysiąść, a gdy patrzyłam w ich stronę, wyglądały tak, jakby śmiały się ze mnie do rozpuku.

A co mi tam. Kto chciałby być taki jak te dwie?

Ale potem widzę, jak szepczą, i choć usilnie omijają mnie wzrokiem wiem, że znowu się nabijają. Dlaczego? Co we mnie takiego jest? Dawniej wiedziałam, że jestem inna. Ale teraz...

Chodzi o moje włosy? Ubranie? O to, że nie robimy zakupów w Galerii Lafayette, nie jeździmy na narty do Val dTserre, a latem do Cannes? A może o niewidzialną metkę, według której jestem towarem drugiego gatunku, jak taniocha z bazaru?

*Maman* próbowała pomóc. Nie ma we mnie nic niezwykłego; nic, co wskazywałoby, że jesteśmy bez grosza. Noszę takie same ciuchy jak inni. Mam identyczną torbę. Oglądam odpowiednie filmy, czytam odpowiednie książki, słucham odpowiedniej muzyki. Powinnam pasować do reszty. A jednak nie pasuję.

Problem tkwi we mnie. Jest coś, co mnie wyróżnia. Jestem niewłaściwego kształtu, może koloru. Lubię niewłaściwe książki. Potajemnie oglądam niewłaściwe filmy. Jestem inna, czy im się to podoba, czy nie, i nie rozumiem dlaczego miałabym udawać, że tak nie jest.

Ale to trudne, kiedy wszyscy pozostali mają przyjaciół. Trudne, kiedy ludzie akceptują cię tylko wtedy, gdy udajesz kogoś innego.

Kiedy przyszłam dziś rano, dziewczyny bawiły się w klasie piłeczką tenisową. Suze odbiła ją do Chantal, która przekazała ją Lucie. Dalej piłka powędrowała w ręce Sandrine, która rzuciła ją na drugi koniec sali do Sophie. Kiedy weszłam, nikt nie odezwał się ani słowem. Dalej odbijały piłkę, ale nikt nie rzucał jej do mnie, a gdy zawołałam: „tutaj!”, udawały, że nie rozumieją. Gra niepostrzeżenie zmieniła reguły: piłka przelatywała nad moją głową, jak gdyby ktoś wykrzyknął: „głupi Jaś!”, każąc mi puścić się za nią w pogoń.

Wiem, że to niemądre. Przecież to tylko gra. Ale każdy dzień w szkole wygląda tak samo. W klasie liczącej dwadzieścia trzy osoby to ja jestem nieparzystą, ja muszę siedzieć sama i dzielić komputer z dwiema innymi uczennicami (zwykle

Suze i Chantal). To ja samotnie spędzam przerwę, przesiadując w bibliotece albo po prostu na ławce, podczas gdy wszyscy spacerują grupkami, śmieją się i gadają. Nie miałabym nic przeciwko temu, by czasami ktoś inny odgrywał rolę głupiego Jasia. Ale nie. Zawsze wypada na mnie.

I wcale nie chodzi o to, że jestem nieśmiała. Lubię ludzi i umiem się z nimi dogadać. Lubię rozmawiać i bawić się w berka, nie jestem taka jak Claude, który jąka się wywołany do odpowiedzi, zbyt nieśmiały, aby sam do kogoś zagadać. Nie jestem obrażalska jak Suze i nabzdyczona jak Chantal. Zawsze wysłucham, kiedy ktoś ma problem: kiedy Suze pokłóci się Lucie albo Danielle, zawsze najpierw przychodzi do mnie, a nie do Chantal. Lecz gdy zaczynam mieć nadzieję, że jesteśmy na dobrej drodze, ona zaraz z czymś wyskakuje, na przykład pstryka mi komórką zdjęcia w szatni i pokazuje wszystkim naokoło. Proszę, aby tego nie robiła, na co posyła mi to swoje spojrzenie i mówi, że przecież tylko żartuje, a ja muszę się śmiać, bo znowu wyjdzie na to, że nie znam się na żartach. Ale wcale nie jest mi do śmiechu. Zupełnie jak z rzucaniem piłką: jest fajnie, dopóki sam nie zostajesz głupim Jasiem.

Tak właśnie sobie rozmyślałam w drodze powrotnej, a Suze i Chantal chichotały na siedzeniu za moimi plecami. Nie odwróciłam się, tylko udawałam, że czytam książkę, chociaż strasznie trzęsło i litery skakały mi przed oczami, które wreszcie zaczęły łzawić. Przeniosłam więc wzrok za okno: prawie zapadł zmierzch i lało jak z cebra. Kiedy zbliżaliśmy się do mojego przystanku za stacją metra przy Rue Caulaincourt, miasto spowijała iście paryska szarość.

Może od jutra zacznę jeździć metrem. Stacja nie leży wprawdzie tak blisko jak przystanek, ale lubię metro: biskopowy zapach schodów, podmuch powietrza, gdy nadjeżdża kolejka, ludzi, tłum. W metrze widuje się najróżniejsze postacie. Przedstawiciele wszystkich ras, turystów, muzułmanki okutane chustami, afrykańskich handlarzy z kieszeniami pełnymi podrabianych zegarków, bibelotów z kości słoniowej, koralików i bransoletek z muszelek. Są mężczyźni przebrani za kobiety i kobiety przebrane za gwiazdy filmowe, ludzie pałaszujący dziwne dania z brązowych papierowych torebek, pasażerowie z tatuażami, włosami na sztorc i kolczykami w brwiach, żebracy, muzycy, kieszonkowcy i pijacy.

*Maman* woli, żebym jeździła autobusem.

No jasne. Jakże by inaczej.

Suzanne parsknęła śmiechem; wiedziałam, że znowu mnie obgaduje. Wstałam i nie patrząc w jej stronę, przeszłam na przód autobusu.

Wtedy zobaczyłam Zozie. Stała w przejściu; miejsce rubinowych czółenek

zajęły fioletowe koturny z klamrami aż do kolan. Miała na sobie krótką, czarną sukienkę i golf w odcieniu limonki, a wśród ciemnych włosów widniało jaskraworóżowe pasmo. Wyglądała bombowo.

Po prostu musiałam powiedzieć to na głos.

Byłam pewna, że mnie nie pozna, ale tak się nie stało.

– Annie! To ty! – Cmoknęła mnie w policzek. – To mój przystanek. Wsiadasz?

Odwróciwszy się spostrzegłam, że Suzanne i Chantal wybałuszają na nas oczy. Z wrażenia zapomniały nawet zachichotać. Nie, żeby ktoś odważył się zakpić z Zozie. Zresztą pewnie i tak miałyby to w nosie. Suzanne siedziała z otwartymi ustami (nie wyglądała przy tym zbyt korzystnie), a twarz Chantal przybrała kolor swetra Zozie.

– Koleżanki? – spytała Zozie, gdy wysiadałyśmy z autobusu.

– Powiedzmy – odparłam, przewracając oczami.

Roześmiała się w odpowiedzi. Właściwie śmieje się bez przerwy, bardzo głośno, i nic nie robi sobie z ludzkich spojrzeń. Na tych koturnach sprawiała wrażenie strasznie wysokiej. Mnie też by się takie przydały.

– Spraw sobie podobne – zaproponowała.

Wzruszyłam ramionami.

– Muszę przyznać, że wyglądasz bardzo... konwencjonalnie. – Lubię, jak mówi „konwencjonalnie”, z tym swoim błyskiem w oku, jakże różnym od zwykłej kpiny.

– Uważałam cię za bardziej oryginalną, o ile wiesz, co mam na myśli.

– *Maman* nie lubi, jak się wyróżniamy.

Uniosła brwi.

– Naprawdę?

Ponownie wzruszyłam ramionami.

– No cóż. Każdy ma prawo do własnego zdania. Słuchaj, znam niedaleko cudną kafejkę, gdzie podają najlepsze napoleonki pod słońcem. Zajrzyjmy tam na chwilę, w końcu mamy co świętować.

– Jak to? – spytałam.

– Będę waszą sąsiadką!

Wiem, że nie wolno mi nigdzie chodzić z obcymi. *Maman* powtarza mi to do znudzenia, poza tym mieszkaniac Paryża uczy się dmuchać na zimne. Ale to była inna sytuacja, w końcu mówimy o Zozie. A zresztą miałyśmy siedzieć w miejscu publicznym, w angielskiej herbaciarni, gdzie podobno serwowano najpyszniejsze ciastka.

Sama w życiu bym tam nie poszła. Takie miejsca strasznie mnie onieśmielają; szklane blaty, paniusie w futrach, popijające wymyślne gatunki herbaty z porcelanowych filiżanek, no i kelnerki w czarnych spódniczkach. Teraz spojrzały na mnie (rozczochną, w szkolnym ubraniu) i Zozie (na fioletowych koturnach), jakby nie wierzyły własnym oczom.

– Kocham to miejsce – wyznała szeptem. – Jest boskie. I tak śmiertelnie poważne...

W dodatku bardzo się ceniło. Dziesięć euro za dzbanek herbaty, dwanaście za filiżankę czekolady. Nie na moją kieszeń.

– Nic nie szkodzi, ja stawiam – zapewniła Zozie, gdy usiadłyśmy przy stoliku w rogu, a nadaśana kelnerka o twarzy Jeanne Moreau ze zboląłą miną wręczyła nam kartę.

– Znasz Jeanne Moreau? – spytała ze zdziwieniem Zozie.

Wciąż onieśmielona skinęłam głową.

– Była świetna w „Jules i Jim”.

– Zwłaszcza bez tego kija w dupie – dodała Zozie, wskazując na kelnerkę, która, rozpluwając się w uśmiechach, obsługiwała dwie wyfiokowane damulki o identycznych blond włosach.

Prychnęłam śmiechem. Damulki spojrzały na mnie, a potem na fioletowe koturny Zozie. Następnie pochyliły głowy ku sobie, a ja przypomniałam sobie Suze i Chantal i zaschło mi w gardle.

Zozie musiała coś zauważyć, bo przestała się śmiać i na jej twarzy odmalował się wyraz troski.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie wiem. Przyszło mi do głowy, że one się z nas śmieją. – Próbowałam wyjaśnić, że Chantal bywa z matką w takich właśnie miejscach, gdzie chude damy w pastelowych kaszmirach popijają herbatę cytrynową, rozmyślnie ignorując ciastka.

Zozie założyła jedną długą nogę na drugą.

– Bo nie jesteś klonem. Klon wtapia się w tło, a cudak odcina barwną plamą. Zgadnij, którego wolę.

Wzruszyłam ramionami.

– Pewnie masz rację.

– Nie jesteś przekonana. – Posłała mi figlarny uśmiech. – Patrz uważnie. – I pstryknęła palcami w kierunku sobowtóra Jeanne Moreau. Dokładnie w tej samej chwili kelnerka potknęła się na wysokich obcasach, wylewając na obrus zawartość

imbryka. Gorąca herbata chlapnęła na drogie torebki i buty obu pań.

Popatrzyłam na Zozie.

Odpowiedziała mi niewinnym uśmiechem.

– Niezła sztuczka, co?

Roześmiałam się, bo przecież to był wypadek, nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie, chociaż na moje oko winę za całe zamieszanie ponosiła właśnie Zozie. Patrzyłam, jak kelnerka załamuje ręce nad przemoczonymi butami klientek; już nikt na nas nie patrzył ani nie wyśmiewał dziwnych butów Zozie.

Zamówiliśmy ciastka z karty oraz kawę ze specjalnego baru. Zozie wzięła napoleonkę (do licha z dietą), a ja frangipane. Obie zamówiliśmy waniliową latte i długo rozmawialiśmy o Suze, o szkole, książkach, *maman*, Thierryem i *chocolaterie*.

– Musi być super mieszkać nad takim sklepem – zauważyła Zozie, napoczynając swoje ciastko.

– Nie jest tak fajnie jak w Lansquenet.

Zozie okazała zainteresowanie.

– Lansquenet?

– Kiedyś tam mieszkaliśmy. To gdzieś na południu. Było ekstra.

– Lepiej niż w Paryżu? – Zrobiła zdziwioną minę.

Opowiedziałam jej o Lansquenet, o Les Marauds, gdzie lubiliśmy się bawić, Jeannot i ja, nad brzegiem rzeki. Następnie opisałam jej Armande i ludzi z rzeki, łódź Roux z przeszklonym dachem i poobtłukiwane rondle w naszej kuchni. Opowiedziałam, jak do późna i bladym świtem robiłyśmy czekoladę, a wszystko nią pachniało, nawet kurz.

Potem sama byłam zdziwiona, że tak rozwiązał mi się język. Nie powinnam o tym mówić, wspominać dawnych miejsc. Ale z Zozie jest inaczej. Przy niej czuję się bezpieczna.

– Kto teraz pomoże twojej matce? – zapytała, wybierając piankę łyżeczką.

– Damy sobie radę – odpowiedziałam.

– Rosette chodzi do przedszkola?

– Jeszcze nie. – Z jakichś powodów nie miałam ochoty mówić o Rosette. – Ale jest bardzo mądra. Ślicznie rysuje. Zna język migowy, a nawet wodzi paluszką po tekście, kiedy jej czytamy.

– Nie jesteście podobne.

Wzruszyłam ramionami.

Zozie spojrzała na mnie z tym swoim błyskiem w oku, jakby chciała coś dodać,

ale nie odezwała się ani słowem. Dopiła swoją latte.

– Bez taty musi być ci ciężko.

Znowu wzruszyłam ramionami. Mam tatę, tylko po prostu nie wiem, kim jest. Ale tego nie powiem Zozie za żadne skarby.

– Pewnie ty i mama jesteście z sobą bardzo blisko.

– Uhm. – Kiwnęłam głową.

– Jesteście jak dwie krople wody... – Urwała, po czym z lekkim uśmiechem zmarszczyła brwi, jakby czegoś nie rozumiała. – Masz w sobie coś, czego nie umiem rozgryźć, Annie...

Oczywiście nic jej na to nie odpowiedziałam. *Maman* mówi, że milczenie jest złotem. To, czego nie powiesz, nie zostanie wykorzystane przeciwko tobie.

– Cóż, nie jesteś klonem, to nie ulega wątpliwości. Założę się, że znasz kilka sztuczek...

– Sztuczek? – Pomyślałam o kelnerce i rozlanej herbacie, a potem skrępowana odwróciłam wzrok. Niech no wreszcie przyniosą rachunek, pomyślałam. Będę mogła się pożegnać i dać nogę.

Ale kelnerka traktowała nas jak powietrze. Flirtowała zawzięcie z mężczyzną za kontuarem, chichocząc i potrząsając włosami jak Suze w obecności Jeana-Loupa Rimbaulta (to chłopiec, który jej się podoba). Zauważyłam pewną prawidłowość w zachowaniu kelnerów: obsłużą cię na czas, jednak zawsze zwlekają z rachunkiem.

Wtedy Zozie szybko, niemal niepostrzeżenie, nakreśliła palcami znak w powietrzu. Potarła palcem wskazującym o kciuk, jakby nakręcała zegarek, a kelnerka o wyglądzie Jeanne Moreau podskoczyła jak dźgnięta ostrogą i od razu przyniosła nam rachunek na tacy.

Zozie z uśmiechem wyjęła portmonetkę. Jeanne Moreau czekała ze znudzoną i nadąsaną miną. Spodziewałam się, że Zozie coś palnie: w końcu ktoś, kto nie waha się użyć w angielskiej herbaciarni słowa „dupa”, zawsze powie, co mu leży na wątrobie.

Ale czekało mnie rozczarowanie.

– Pięćdziesiąt – powiedziała. – Proszę zatrzymać resztę. – I podała kelnerce pięć euro.

Nawet ja widziałam, że to piątka. Patrzyłam, jak Zozie kładzie ją na tacy, jak gdyby nigdy nic. Ale kelnerka niczego nie zauważyła.

– *Merci, bonne journee* – odpowiedziała, na co Zozie znów nakreśliła coś w powietrzu i schowała portmonetkę.

A potem odwróciła się i puściła do mnie oko.

Pomyślałam, że mi się przywidziało. Bądź co bądź takie rzeczy się zdarzają, lokal był zatłoczony, a kelnerce spieszyło się do innych klientów. Każdy może się pomylić.

Ale po incydencie z herbatą...

Zozie posłała mi uśmiech sfinksa.

„Sztuczki”, powiedziała.

Przypadek, pomyślałam.

Nagle pożałowałam, że dałam się namówić na te ciastka, że zauważyłam ją wtedy przed naszym sklepem. Niby zwykła zabawa, a czujesz się, jakbyś stąpał po stłuczonym szkle. Jeden nieostrożny krok i tryśnie krew.

Spojrzałam na zegarek.

– Muszę lecieć.

– Daj spokój, Annie. Jest wpół do piątej...

– *Maman* będzie się niepokoić.

– Pięć minut cię nie zbawi.

– Naprawdę muszę już iść.

Chyba spodziewałam się, że spróbuje mnie zatrzymać, każe mi zawrócić tak jak kelnerce. Ale tylko się uśmiechnęła, a ja poczułam się strasznie głupio. Niektórzy łatwo ulegają sugestii. Być może kelnerka należała do tej grupy. Albo ktoś tu się pomylił. Na przykład ja.

Nie, na pewno się nie pomyliłam. Wiedziała, że zauważyłam. Domyśliłam się po jej minie i znaczącym spojrzeniu, jakby łączyło nas coś więcej niż tylko wspólnie zjedzone ciastka...

Wiem, że to niebezpieczne. Ale lubię ją, naprawdę. Chciałam coś dodać, żeby zrozumiała...

Tknięta ostatnią myślą odwróciłam się na pięcie. Wciąż spoglądała na mnie z uśmiechem.

– Hej, Zozie – zagadnęłam. – Czy to twoje prawdziwe imię?

– Hej, Annie. – Kpiąco odbiła piłeczkę. – A twoje?

– No cóż, ja... – Z zaskoczenia mało się nie wygadałam. Prawdziwi przyjaciele mówią na mnie Nanou.

– A ilu ich masz? – zapytała.

Ze śmiechem uniosłam jeden palec.

*Wtorek, 6 listopada*

Cóż za intrygujące dziecko. W pewnym sensie młodsze od rówieśników, a zarazem od nich starsze, z łatwością porozumiewa się z dorosłymi, lecz w obecności innych dzieci zachowuje powściągliwość, jakby badało terytorium. Przy mnie była wylewna, rozgadana i dowcipna, choć przy każdej wzmiance a propos swej inności zaraz chowała się jak ślimak w skorupę.

To jasne, żadne dziecko nie chce uchodzić za inne. Lecz rezerwa Annie sięga znacznie głębiej. Zupełnie jakby skrywała przed światem tajemnicę, której ujawnienie niesie poważne niebezpieczeństwo.

Inni mogą tego nie dostrzegać, ale nie ja: czuję, że dziewczynka przyciąga mnie jak magnes. Nie mogę się temu oprzeć. Zastanawiam się, czy wie, czy rozumie... czy w tej rozczochranej głowie kryje się choćby blade pojęcie na temat własnych możliwości.

Dzisiaj znów ją spotkałam, kiedy właśnie wracała ze szkoły. Wydawała się... może nie chłodna, lecz z pewnością bardziej lakoniczna niż wczoraj. Jakby czuła, że zrobiła o jeden krok za dużo. Jak wspomniałam, jest bardzo intrygująca, po części ze względu na wyzwanie, jakie stanowi. Jej opór nie jest niezłomny, ale Annie ma się na baczności, toteż muszę działać powoli, żeby jej nie przestraszyć.

Zamieniłyśmy parę zdań (ani słowa na temat jej inności, miejsca o nazwie Lansquenet i *chocolaterie*), po czym rozeszłyśmy się każda w swoją stronę. Jednak najpierw nie omieszkalam jej poinformować, gdzie mieszkam i pracuję.

No właśnie, praca. Każdy potrzebuje pracy. Dzięki niej mam okazję się zabawić, pobyc z ludźmi i ich poobserwować, a następnie zgłębić ich małe sekrety. Na razie nie potrzebuję pieniędzy, dlatego mogłam zadowolić się pierwszą z brzegu posadką. Każda dziewczyna bez trudu znajdzie na Montmartre taką pracę.

Nie, nie mówię o tym. Mam na myśli posadę kelnerki.

Minął szmat czasu, odkąd ostatnio pracowałam w kawiarni. Obecnie nie ma takiej konieczności: pensja jest do kitu, a godziny pracy poniżej wszelkiej krytyki, odnoszę jednak wrażenie, że to wymarzone zajęcie dla Zozie de l'Alba. Poza tym mam oko na wszystko, co dzieje się w okolicy.

„Le P'tit Pinson”, wciśnięty w róg Rue des Faux-Monnayeurs, to staroświecka kafejka z przebrzmiałej epoki, ciemna i zadymiona, o ścianach oblepionych



warstwami brudu i nikotyny. Należy do Laurenta Pinsona, sześćdziesięcioletniego rodowitego paryżanina z agresywnym wąsem i nikłym zamiłowaniem do higieny osobistej. Zgodnie z trendem narzuconym przez właściciela lokal cieszy się przychylnością głównie starszego pokolenia (które docenia umiarkowane ceny i *piat du jour*) oraz narwańców mojego pokroju, których bawi manifestacyjne chamstwo Pinsona i radykalne poglądy podstarzałych bywalców.

Turyści wybierają raczej Place du Tertre, przede wszystkim za sprawą urokliwych kawiarenek i stolików z parasolami, ustawionych na brukowanych uliczkach. Lubią też *patisserie* w stylu art deco, położoną w dolnej części Butte i radującą oko kaskadami strojnych tart i broszek. No i herbaciarnię angielską przy Rue Ramey. Ale mnie nie interesują turyści. Interesuje mnie *chocolaterie* po drugiej stronie placu. Widzę dokładnie, kto wchodzi i wychodzi, mogę policzyć klientów, oglądać dostawy i zaznajomić się z rytmem jej cichego życia.

Listy, które ukradłam pierwszego dnia, pod względem praktycznym okazały się kompletnie nieprzydatne. Rachunek z datą dwudziestego października i stemplem ZAPŁACONO GOTÓWKĄ, od Sogar Fils, dostawcy wyrobów cukierniczych. Kto w dzisiejszych czasach płaci gotówką? Cóż za bezsensowna forma zapłaty: czy ta kobieta nie ma konta? Co można z tego wywnioskować?

W drugiej kopercie znajdowała się kartka z kondolencjami z powodu śmierci madame Poussin, podpisana „Thierry XXX”. Wysłano ją z Londynu, z dopiskiem „do zobaczenia, o nic się nie martw”.

Może jeszcze kiedyś się przyda.

Trzecia wiadomość, skreślona na widokówce z Rodanem, była jeszcze bardziej lakoniczna.

„Jadę na północ. Wpadnę, jeśli dam radę”.

Podpisano: „R”. Kartkę zaadresowano do „Y i A”, choć pismo było tak niedbałe, że „Y” wyglądało bardziej jak V”

Prócz tego w skrzynce znalazłam tylko ulotkę z reklamą doradztwa finansowego.

Nie szkodzi, pomyślałam. Mamy czas.

– Hej! To ty!

Znów ten portrecista. Zdążyłam go poznać, nazywa się Jean-Loup, a jego kolega w berecie to Paupaul. Często widuję ich w „Le P'tit Pinson”, jak popijają piwo i zagadują panie. Pięćdziesiąt euro za portret, a ściślej mówiąc dziesięć za

portret, a czterdzieści za pochlebstwa, które opracowali do perfekcji. Jean-Loup to prawdziwy czaruś (brzydule szczególnie biorą się na lep), a swój sukces zawdzięcza bardziej wytrwałości aniżeli rzeczywistym umiejętnościom.

– I tak go nie kupię, więc nie trać czasu – ostrzegłam, gdy zamasyście otworzył blok.

– No to sprzedam go Laurentowi – odparł, puszczając oko. – Albo zatrzymam sobie.

Paupaul udaje obojętność. Jest starszy i mniej wylewny od przyjaciela. Prawie się nie odzywa, stoi na rogu przy sztalugach, intensywnie wpatrzony w kartkę, po czym rzuca się i smaruje jak szalony. Ma groźnego wąsa i każe pozować sobie godzinami, mrużąc zawzięcie pod nosem ku przerażeniu struchlałych klientów, którzy zdruzgotani rozmiarami dzieła bez szemrania sięgają po portfel.

– Uważaj – rzuciłam pod adresem Jeana-Loupa, przeciskając się między stolikami. – To cię może drogo kosztować.

– Uznajcie jako lilie polne rosną – odpowiedział żartobliwie. – Nie pracują ani nie przęda\* i nie każą sobie płacić za pozowanie.

– Lilie nie muszą płacić rachunków.

Dziś rano poszłam do banku. W tym tygodniu robię to codziennie. Wypłacenie dwudziestu pięciu tysięcy euro w gotówce ściągnęłoby na mnie niepotrzebną uwagę, ale kilka mniejszych wypłat (raz sto, raz dwieście) nie budzi podejrzeń.

Zbytek pewności siebie rzadko wychodzi człowiekowi na zdrowie.

Poszłam tam nie jako Zozie, tylko koleżanka, na której nazwisko otworzyłam rachunek: Barbara Beauchamp, sekretarka o nieposzlakowanej dotąd reputacji. Specjalnie oszpeciłam się na tę okazję: tam, gdzie prawdziwa niewidzialność jest niemożliwa (i zanadto rzuca się w oczy), szara myszka w wełnianej czapce i rękawiczkach przemknie prawie niezauważona.

Dlatego od razu wyczułam, że coś nie gra. Baczne, ukradkowe spojrzenie, stan wzmożonego napięcia, zagęszczona atmosfera. I to przymilne: „proszę zaczekać”.

\* Ewangelia św. Mateusza Postanowiłam nie zwlekać ani chwili dłużej. Uciekłam z banku, jak tylko kasjerka znikła mi z oczu, po czym wsunęłam książeczkę czekową i kartę do koperty i wrzuciłam do najbliższej skrzynki. Nabazgrałam fikcyjny adres: obciążające mnie dowody będą przez trzy miesiące błądzić po urzędach pocztowych, by wreszcie trafić do biura przesyłek niedoręczonych, gdzie nikt nie natrafi na ich ślad. Gdybym kiedykolwiek musiała pozbyć się ciała, uczyniłabym to w ten sam sposób, rozsyłając poćwiartowane

członki po całej Europie, podczas gdy policja na próżno szukałaby płytkiego grobu.

Nie, żebym uciekała się do takich rozwiązań. Nie sposób jednak wykluczyć żadnej opcji. Po drodze znalazłam sklep, gdzie madame Beauchamp na powrót przeobraziła się w Zozie de l'Alba. Następnie wróciłam okrężną drogą, z oczami dokoła głowy, do mieszkania na Montmartre, gdzie oddałam się niewesołym rozmyśleniom o przyszłości.

Cholera.

Na fałszywym koncie Barbary Beauchamp pozostało dwadzieścia dwa tysiące euro, będących zwieńczeniem półrocznego planowania, matactw i ekwilibrystyki towarzyszącym tworzeniu nowej tożsamości. Nie ma wątpliwości, że przypadły z kretesem. Zamazany obraz z kamer bankowych raczej nie doprowadzi do mnie policji, lecz konto z pewnością zostało zamrożone na czas śledztwa. Spójrzmy prawdzie w oczy: forsa przypadła, a mnie został nowy amulet przy bransoletce na pocieszenie. Notabene w kształcie myszy: wypisz wymaluj biedna Francoise.

Smutna prawda jest taka, że artyzm nie popłaca. Sześć zmarnowanych miesięcy i wracam do punktu wyjścia. Bez pieniędzy, bez życia.

Cóż, to się może zmienić. Potrzebuję tylko odrobiny inspiracji. Może zaczniemy od *chocolaterie*, hm? Od Vianne Rocher z Lansquenet, która z nieznanых przyczyn przemianowała się na Yanne Charbonneau, matkę dwu córek i szanowaną wdowę z Butte.

Czy wyczuwam pokrewną duszę? Nie. Wyzwanie, owszem. Wprawdzie ze sklepiku na razie można niewiele wyciągnąć, lecz życie Yanne jest na swój sposób intrygujące. No i ma to dziecko. Jakże niezwykle dziecko.

Mieszkam opodal Boulevard de Clichy, dziesięć minut drogi od Place des Faux-Monnayeurs. Dwa pokoiki wielkości znaczków pocztowych na czwartym piętrze, ale tanie i wystarczająco dyskretne, aby zapewnić mi anonimowość. Mam dobry widok na sąsiednie ulice i bez trudu wtapiam się w tło.

To nie Butte, tamtejsze czynsze przerastają moje możliwości. I w porównaniu z przytulnym gniazdkiem Francoise to istna nora. Ale Zozie nie lubi się wychylać, a zgrzebne warunki wcale jej nie przeszkadzają. Okolicę zamieszkują najróżniejsi ludzie: studenci, sklepikarze, imigranci, zarówno legalni, jak i nielegalni. W tej niewielkiej dzielnicy znajduje się pół tuzina kościołów (pobożność i rozpusta, syjamskie bliźnięta), śmieci wyprawiają harce na trotuarach, a w powietrzu wiecznie unosi się smród ścieków i psich odchodów. W tej części Butte ładne kafejki ustąpiły miejsca tanim barom z jedzeniem na wynos i sklepom monopolowym, gdzie nocą zbierają się bezdomni, wychylają czerwone wino z

butelki z plastikową nakrętką i zwijają się w kłębek przed okratowanym wejściem.

Pewnie niedługo mi się tu znudzi, lecz na razie muszę się przyczać, dopóki nie przycichnie afera z madame Beauchamp tudzież Francoise Lavery. Ostrożność nie zawadzi, a zresztą (jak mawiała moja matka) na zbieranie wiśni potrzeba czasu.

*Czwartek, 8 listopada*

W oczekiwaniu na dojrzewanie moich wiśni zebrałam garść informacji o mieszkańcach Place des Faux-Monnayeurs. Gadatliwa madame Pinot, właścicielka kiosku z pamiątkami, ostatnio nie narzeka na brak tematów do plotek i skwapliwie przedstawiła mi własną charakterystykę sąsiadów.

Dzięki niej dowiedziałam się, że Laurent Pinson chodzi do baru dla samotnych, a gruby młodzian z włoskiej restauracji waży ponad sto pięćdziesiąt kilogramów i mimo to co najmniej dwa razy w tygodniu zagląda do *chocolaterie*. Kobieta z psem, która przechodzi tędy w każdy czwartek o dziesiątej rano, to madame Luzeron. Jej mąż w zeszłym roku miał wylew, a syn zmarł w wieku czternastu lat. Co czwartek chodzi na cmentarz, z tym głupim psem, dodała pani Pinot. Punktualnie jak w zegarku. Biedaczka.

– A *chocolaterie*? – spytałam, wybierając „Paris-Match” (nie cierpię „Paris-Match”) z półki z czasopismami. Pod i nad półką ustawiono rzędami tandetne dewocjonaalia, gipsowe Maryje, tanią ceramikę, śnieżne kule z Sacre-Coeur, medaliki, krzyże, różańce, kadzidelka na przeróżne okazje. Podejrzewam, że madame to świętoszka: spojrzała na okładkę mojej gazety (gdzie księżniczka Stefania frywolnie przeżyła się w bikini na jakiejś plaży) i w wyrazie dezaprobaty paskudnie zasnurowała usta.

– A co tu dużo mówić? – odrzekła. – Jej mąż umarł gdzieś na południu. Ale i tak spadła na cztery łapy. – Znowu ta mina. – Pewnie niedługo będziemy mieli wesele.

– Naprawdę?

Kiwnęła głową.

– Thierry Le Tresset, właściciel sklepu. Wynajmował go tanio madame Poussin, bo była ponoć przyjaciółką rodziny. W ten sposób poznał madame Charbonneau. Zakochał się jak szczeniak... – Nabiła cenę. – Swoją drogą, ciekawe, czy wie, na co się porywa. Przecież ona jest dwadzieścia lat młodsza... a jego wiecznie nie ma, wciąż w rozjazdach. Dwójka dzieciaków, w tym jedno szczególnie...

– Szczególnie? – zapytałam.

– Ach, nie słyszała pani? Biedactwo. Taki ciężar dla wszystkich. I jakby tego

było mało – dodała – nikt mi nie wmówi, że ten sklep przynosi zyski. Wydatki, ogrzewanie, czynsz...

Dałam jej się wygadać. Dla osób tego pokroju plotka jest jak powietrze. Czuję, że sama też niedługo pójdę na żer. Różowy kosmyk we włosach i szkarłatne pantofle na pewno zwróciły uwagę miejscowych kumoszek. Pożegnałam się wesoło i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wróciłam do pracy.

Lokal Pinsona jest wymarzonym punktem obserwacyjnym. Mam stąd oko na wszystkich klientów Yanne, widzę, kto wchodzi i wychodzi, śledzę dostawy i obserwuję dzieci.

Mała to żywe srebro, niby cicha, ale wszędzie jej pełno; pomimo drobnej postury jest starsza, niż początkowo myślałam. Według madame Pinot dziewczynka ma prawie cztery lata i jeszcze nie mówi, chociaż zna chyba jakiś język migowy. Szczególne dziecko, mówi pani Pinot z uśmiechem zarezerwowanym dla czarnych, żydów, podróżników i politycznej poprawności.

Szczególne? Niewątpliwie. Jeszcze zobaczymy, pod jakim względem.

Rubinowe czółenka No i oczywiście jest też Annie. Widuję ją codziennie rano przed ósmą i po południu około wpół do piątej. Nawet chętnie ze mną rozmawia: o koleżankach, szkole, nauczycielach, o ludziach, których widuje w autobusie. Dobrze i to, ale czuję, że stać ją na znacznie więcej. W pewnym sensie sprawia mi to przyjemność, wystarczy ją odpowiednio poprowadzić, a daleko zajdzie. Poza tym dałam sobie czas: ostatecznie na tym polega sztuka uwodzenia.

„Le P'tit Pinson” działa mi już na nerwy. Tygodniówka ledwie starcza na pokrycie wydatków, a Laurent to wymagający chlebobdawca. Co gorsza, wpadłam mu w oko: widzę to po jego zachowaniu. Raptem zaczął przyglądać włosy i przywiązywać większą wagę do swojego wyglądu.

To niebezpieczne, no przecież wiem. Francoise Lavery przemknęłaby niezauważona. Ale Zoie de l'Alba emanuje zgoła innym urokiem. On tego nie rozumie, nie znosi cudzoziemców, a jej egzotyczny, cygański wygląd nie budzi jego zaufania.

A jednak, po raz pierwszy od lat, Laurent zaczyna starannie dobierać ubrania. Wyrzuca krawat (za szeroki, zbyt jaskrawy), ogląda garnitury i przypomina sobie o istnieniu starego flakonu wody toaletowej, której użył ostatnio na czyjeś wesele. Jego zwietrzała zawartość znaczy białą koszulę brudnymi plamami...

Zwykle pewnie bym go zachęciła, podbechtała starczą próżność w nadziei na kilka łatwych łupów: kartę kredytową, trochę gotówki bądź zachomikowaną pod łóżkiem skrzynkę z gotówką. Laurent nigdy nie zgłosiłby kradzieży.

W normalnych okolicznościach pewnie bym się o to pokusiła. Ale facetów jak Laurent jest na pęczki. A kobiet takich jak Yanne...

Przed laty, kiedy byłam kimś innym, poszłam do kina na film o starożytnych Rzymianach. Pod wieloma względami sprawił mi wielki zawód: ot, hollywoodzka szmira skąpana w hektolitrach sztucznej krwi. Sceny walk gladiatorów uderzyły mnie jako najbardziej nierealistyczne, gigantyczna arena otoczona galeriami zaludnionymi przez rzesze komputerowo wygenerowanych widzów w tle, którzy krzyczeli, śmiali się i synchronicznie wymachiwali rękami niczym ruchoma fototapeta. Zastanawiałam się wówczas, czy twórcy filmu obserwowali kiedyś prawdziwy tłum. Ja tak (tłum bywa ciekawszy aniżeli sam spektakl) i choć publiczność w filmie była w miarę przekonująca jako animacja, żadna z przedstawionych tam osób nie posiadała aury, a ich zachowanie nie miało nic wspólnego z realizmem.

Tak, Yanne Charbonneau przypomina mi tamtą publiczność. Stanowi element tła, dość wiarygodny dla przypadkowego obserwatora, acz funkcjonujący wedle przewidywalnych i ściśle określonych schematów. Nie ma aury bądź też z czasem nauczyła się ją ukrywać za zasłoną przypadkowości.

Tymczasem jej dzieci emanują feerią barw. Większość dzieci posiada wyraźniejszą aurę niż dorośli, lecz Annie i tak wyróżnia się na ich tle, odcinając się szafirowo na tle nieba.

Jest jeszcze coś, tak mi się wydaje. Cień, który nie odstępował jej na krok. Ujrzałam go ponownie, kiedy bawiła się przed sklepem z Rosette. Annie, z chmurą bizantyjskich włosów ozłoconych w popołudniowym słońcu, ścisnęła rączkę młodszej siostry, która skakała po kałużach w jaskrawożółtych kaloszach.

Cień. Pies, może kot?

Cóż, i tego się dowiemy. Nie ma obawy. Daj mi czas, Nanou. Daj mi czas.

*Czwartek, 8 listopada*

Thierry wrócił dziś z Londynu ze stosem prezentów dla dziewczynek i tuzinem herbacianych róż dla mnie.

Było piętnaście po dwunastej, kwadrans przed przerwą obiadową. Pakowałam klientce makaroniki, wyczekując z utęsknieniem spokojnej godziny z dziećmi (w czwartkowe popołudnia Anouk ma wolne). Wyćwiczonym ruchem owinęłam pudełko różową wstążką, zawiązałam kokardę, po czym przejechałam końcówki ostrzem nożyczek, żeby je zakręcić w spiralki.

– Yanne!

Upuściłam nożyczki, psując efekt.

– Thierry! Miałeś być dopiero jutro!

Jest postawnym mężczyzną, wysokim i zwałistym. Stał na progu w kaszmirowym palcie, niemal rozpierając framugę. Otwarta twarz, niebieskie oczy, gęste, wciąż jeszcze brązowe włosy. Ręce bogacza pamiętają ciężką pracę, zgrubiała skóra kłóci się z wypolerowanymi paznokciami. Wokół niego unosi się zapach gipsu, potu i skóry oraz *jambonfrites* i wypalanych sporadycznie opasłych cygar.

– Stęskniłem się za tobą – odparł, całując mnie w policzek. – Wybacz, że nie dałem rady wrócić na pogrzeb. Było okropnie?

– Nie. Tylko smutno. Nikt nie przyszedł.

– Jesteś prawdziwą gwiazdą, Yanne. Nie mam pojęcia, jak ty to robisz? Jak interesy?

– W porządku – skłamałam. Obsługiwana właśnie dziewczyna była dziś dopiero drugą klientką, nie licząc osób, które przyszły się tylko rozejrzeć. Lecz gdy przyszedł Thierry, jej obecność sprawiła mi pewną ulgę. Była to młoda Chinka w żółtym płaszczu. Ze smakiem zje makaroniki, choć ucieszyłyby się bardziej z truskawek w czekoladzie. Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. To nie moja sprawa. Przynajmniej już nie.

– Gdzie dziewczynki?

– Na gorze – odpowiedziałam. – Oglądają telewizję. Jak było w Londynie?

– Wspaniale. Też powinnaś pojechać.

Szczerze mówiąc, znam to miasto na wylot, mieszkaliśmy tam z matką blisko



rok. Naprawdę nie wiem, dlaczego mu tego nie powiedziałam i dlaczego utrzymuję go w przeświadczeniu, że urodziłam się i wychowałam we Francji. Być może wynika to z mojej potrzeby zwyczajności, a może z obawy, że wzmianka o matce każe mu spojrzeć na mnie inaczej.

Thierry to porządny obywatel. Syn murarza, dorobił się pokaźnego majątku i twardo stąpa po ziemi. Ma konwencjonalny gust. Lubi steki, pije czerwone wino, kocha dzieci, kiepskie kalambury i głupie rymowanki, woli gdy kobiety noszą spódnice, z przyzwyczajenia chodzi na mszę, nie ma nic przeciwko cudzoziemcom, choć wolałby ich w sąsiedztwie nie oglądać. Naprawdę go lubię, lecz myśl o tym, że miałabym się zwierzyć... jemu, komukolwiek...

Nie, żebym potrzebowała takiej osoby. Nigdy nie szukałam powierników. Mam Anouk. Mam Rosette. Czy kiedykolwiek potrzebowałam kogoś jeszcze?

Młoda Chinka wyszła.

– Wyglądasz na zmartwioną. Pójdziemy na obiad?

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. W świecie Thierry'ego obiad to niezawodne lekarstwo na smutek. Nie byłam głodna, ale postanowiłam pójść, inaczej przesiedziałby w sklepie całe popołudnie. Zawołałam Anouk, nie bez trudu wbiłam Rosette w płaszczyk i poszliśmy na drugą stronę skweru do „Le P'tit Pinson”. Thierry uwielbia jego zgrzebny styl i tłuste dania. Ja nie cierpię go z tych samych względów.

Anouk siedziała skwaszona, właśnie przypadała też pora drzemki Rosette, ale Thierry wprost kipiał entuzjazmem, sypiąc anegdotkami z podróży. Jego firma odnawia biurowce w pobliżu King's Cross, a że Thierry lubi sprawować osobistą pieczę nad wykonywanymi pracami, w poniedziałki jeździ pociągiem do Anglii i wraca na weekend. Jego była żona Sarah nadal mieszka wraz z synem w Londynie, ale Thierry nie szczędzi zapewnień (tak jakbym ich potrzebowała), że od lat nic ich nie łączy.

Jego prawdomówność nie budzi moich wątpliwości, Thierry nie ucieka się do wybiegów. Najbardziej lubi zwykłą mleczną czekoladę w tabliczkach, dostępną w każdym supermarkecie. Trzydzieści procent zawartości kakao; dać mu coś mocniejszego, a wywali język jak mały chłopiec. Ale kocham jego entuzjazm i zazdroszczę mu prostolinijności oraz całkowitego braku cwaniactwa. Być może moja zazdrość bierze górę nad miłością, ale czy to ma większe znaczenie?

Poznaliśmy się w zeszłym roku, przy okazji dziury w dachu. Większość właścicieli co najwyżej przysłałaby fachowca, ale Thierry znał madame Poussin od lat (podobno była starą przyjaciółką jego matki), toteż własnoręcznie naprawił

dach, po czym został na gorącą czekoladę i pobawił się z Rosette.

Od tamtej chwili minął rok, a my upodobniliśmy się do starego małżeństwa. Mamy swoje ulubione miejsca i przyzwyczajenia, ale Thierry jeszcze nigdy nie został na noc. Uważa mnie za wdowę i chce taktownie „dać mi czas”. Lecz wyczuwam jego pożądanie, nieme i tłumione. Czy rzeczywiście byłoby aż tak źle?

Tylko raz poruszył ten temat, nawiązując mimochodem do swego mieszkania przy Rue de la Croix, do którego byliśmy wielokrotnie zapraszane. Zdaniem właściciela potrzebuje ono „kobiecej ręki”.

Kobiecej ręki. Co za staroświeckie określenie. No ale w końcu Thierry jest mężczyzną starej daty. Mimo uwielbienia do nowoczesnych gadżetów, komórki oraz wieży z systemem surround, pozostaje wierny swym ideałom i głęboko tkwi korzeniami w o ileż łatwiejszej przeszłości.

Łatwy. Oto słowo klucz. Takie byłoby życie u boku Thierry'ego. Nigdy nie zabrakłoby nam pieniędzy. Czynniki zawsze byłby zapłacony na czas. Anouk i Rosette miałyby zabezpieczony byt. Skoro zaś kocha dziewczynki – i mnie – czy to nie wystarczy?

„A wystarczy, Vianne?” Głos mojej matki do złudzenia przypomina ostatnio głos Roux. „Pamiętam czasy, gdy mierzyłaś trochę wyżej”.

Tak jak ty, mamó? Ciągnęłaś dziecko z miejsca na miejsce, wiecznie w biegu, wiecznie na walizkach, żyjąc z dnia na dzień, oszukując i kradnąc. Sześć miesięcy albo trzy tygodnie, czasami cztery dni w jednym miejscu, a potem dalej, przed siebie. Bez domu, bez szkoły, wsłuchana w karty i zapatrzona w sny, które wyznaczały trasę naszej tułaczki, ubrana w złachmanioną odzież z odzysku, jak szewc, któremu nie starcza czasu, by podzeliwać własne buty.

„Przynajmniej wiedziałyśmy, kim jesteśmy, Vianne”.

Wyrocznia się znalazła. Poza tym doskonale wiem, kim jestem. Prawda?

Zamówiliśmy kluski dla Rosette oraz *piat du jour* dla naszej trójki. Lokal świecił pustkami, ale w powietrzu wisiała stęchła woń piwa i gitanów. Laurent Pinson jest swoim ulubionym klientem, gdyby nie to, już dawno zamknąłby tę knajpę na cztery spusty. Zręczliwy, o wiecznie nieogolonych obwisłych policzkach, traktuje gości jak intruzów i obnosi się ze swą pogardą dla wszystkich prócz garstki stałych bywalców, którzy stanowią zarazem grono jego serdecznych przyjaciół.

Łaskawie toleruje Thierry'ego, który specjalnie na tę okazję wciela się w rolę rubasznego paryżanina. Wkracza do baru z tubalnym: *He, Laurent, ca va, mon pote!* [Hej Laurent, jak leci, stary! (fr.)] I z rozmachem kładzie na ladę gruby banknot.

Laurent uważa go za biznesmena; dopytywał o ewentualną cenę swego lokalu po renowacji i teraz zwraca się doń per „m'sieur Thierry” i traktuje z rewerencją, która po części może wynikać z autentycznego szacunku, a po części nadziei na rychły interes.

Zauważyłam, że wygląda jakoś schludniej niż zwykle: rozsiewał dokoła intensywny zapach wody kolońskiej, miał na sobie czyste ubranie oraz krawat, który pamiętał zapewne późne lata siedemdziesiąte. Uznałam to za wpływ Thierry'ego, ale potem miałam zmienić zdanie.

Usiadłam przy stoliku, po czym zamówiłam kawę dla siebie i colę dla Anouk. Kiedyś piłybyśmy gorącą czekoladę ze śmietaną i pianką, którą wybierałybyśmy łyżeczką, ale teraz Anouk zawsze wybiera colę. Zrezygnowała z czekolady. Dieta, pomyślałam na początku i zabolalo mnie to idiotycznie, tak jak wówczas, gdy po raz pierwszy nie chciała posłuchać bajki na dobranoc. Nadal słoneczna, a jednak coraz bardziej wyczuwam w niej mroczne zakątki, do których zabrania mi wstępu. Znam je doskonale, byłam taka sama: czy mój lęk nie wynika z tego, że w jej wieku też nade wszystko pragnęłam odciąć się od matki?

Nowa kelnerka wygląda jakby znajomo. Długie nogi, ołówkowa spódnica, włosy związane w kucyk. Rozpoznałam ją po butach.

– Zoe, prawda?

– Zozie. – Pokazała w uśmiechu ładne zęby. – Witamy w naszych skromnych progach. – I rozłożyła ręce w komicznym geście powitania. – Ale, ale – dorzuciła szeptem – właściciel chyba smali do mnie cholewki.

Thierry zarechotał głośno, a Anouk uśmiechnęła się z ukosa.

– Zaczepiłam się tu na chwilę – uzupełniła Zozie. – Dopóki nie znajdę czegoś lepszego.

*Piat du jour* składał się z *choucroute garnie*, [Tradycyjne danie alzackie, przyrządzane z kiszanej kapusty, kielbasek i wieprzowiny.] potrawy, którą kojarzę poniekąd z naszym pobytem w Berlinie. Jedzenie okazało się wyjątkowo smaczne, co złożyłam raczej na karb starań Zozie aniżeli kulinarnej finezji Laurenta.

– Idą święta, nie będzie pani potrzebować w sklepie dodatkowej pomocy? – spytała Zozie, zdejmując kielbaski z rusztu. – Jeśli tak, zgłaszam się na ochotnika. – Zerknęła przez ramię na Laurenta, który w swoim kącie silił się na obojętność. – Oczywiście byłoby mi żal stąd odejść...

Laurent zabelkotał coś pod nosem, a Zozie komicznie uniosła brwi.

– Proszę się zastanowić – rzuciła na odchodne, po czym z wprawą chwyciła cztery kufle i z uśmiechem pozęglowała do innego stolika.

Potem już nas nie zagadywała: miała na głowie pozostałych klientów, a ja zajmowałam się Rosette. Moja młodsza córeczka nie jest trudnym dzieckiem; coraz lepiej radzi sobie przy stole, chociaż ślini się bardziej niż inne maluchy i wciąż woli jeść rękami. Czasami jednak dziwnie się zachowuje: siedzi ze wzrokiem utkwionym w nieistniejące przedmioty, wzdryga się na niedosłyszalne odgłosy i bez powodu wybucha śmiechem. Mam nadzieję, że niedługo z tego wyrośnie, od jej ostatniego Wypadku minęło wiele tygodni. Nadal kilkakrotnie budzi się w nocy, pozostawiając mi mało czasu na sen. Liczę, że jej bezsenność też ma charakter przejściowy.

Thierry jest zdania, że za bardzo małej pobłażam; ostatnio coraz częściej mówi o wizycie u lekarza.

– Nie ma takiej potrzeby. Zacznie mówić, kiedy będzie na to gotowa – odpowiedziałam jak zwykle, patrząc, jak Rosette mozolnie radzi sobie z kluskami. Trzyma widelec w niewłaściwej ręce, choć to jedyna oznaka jej rzekomej leworęczności. Jest bardzo zręczna i niezmiernie lubi rysować: zapełnia kartki patyczkowatymi figurkami kobiet i mężczyzn, małpkami (jej ulubione zwierzęta), domami, koźmi, motylami, nieco koślawymi, ale za to we wszystkich kolorach tęczy.

– Jedz jak należy, Rosette – upomniał ją Thierry. – Masz łyżkę.

Rosette dalej jadła po swojemu, jakby nie dosłyszała. Kiedyś bałam się, że jest głucha, ale teraz już wiem, że po prostu ignoruje to, co uważa za mało istotne. Szkoda, że jest tak obojętna wobec Thierry'ego; rzadko się śmieje czy choćby uśmiecha w jego obecności, częściej zamyka się i ogranicza do kilku niezbędnych gestów.

W domu, z Anouk, bawi się i chichocze, godzinami siedzi nad książką, słucha radia i tańczy po pokoju jak mały derwisz. W domu, nie licząc Wypadków, zachowuje się nienagannie; przed snem kładę się z nią do łóżka, tak jak kiedyś z Anouk. Śpiewam jej i opowiadam bajki, a mała wlepia we mnie roziskrzona ślepka, jaśniejsze od oczu Anouk, zielone i bystre jak u kota. Lubi nucić wraz ze mną kołysankę mojej matki. Radzi sobie z melodią, ale słowa zostawia mnie:

*Via l'bon vent, via Vjoli vent,*

*Via l'bon vent, ma mie m'appelle.*

*Via l'bon vent, v'ld l'joli vent,*

*Via l'bon vent, ma mie m'attend.*

[Wietrze mój, dobry mój, mama woła nas. Wietrze mój, piękny mój, do domu wracać czas.]

Thierry mówi o niej, że jest „trochę opóźniona” i „wolniej się rozwija”, uważa też, że powinnam ją „przebadać”. Nie wspomniał jeszcze o autyzmie, ale wkrótce to zrobi: podobnie jak wielu jego rówieśników czyta „Le Point”, co w jego mniemaniu czyni go ekspertem w większości dziedzin. Ja zaś jestem tylko kobietą, co w połączeniu z rolą matki wyklucza obiektywne spojrzenie na sprawę.

– Powiedz „łyżka”, Rosette.

Rosette podnosi łyżkę i spogląda na nią z zaciekawieniem.

– No dalej, Rosette. Powiedz „łyżka”.

Rosette pohukuje jak sowa, a łyżka odstawia na obrusie bezczelny taniec-połamaniec. Nietrudno zgadnąć, że dziewczynka kpi sobie z Thierry'ego w żywe oczy. Pospiesznie odbieram jej łyżkę. Anouk przygryza wargę, żeby się nie roześmiać.

Rosette patrzy na siostrę i szczyrzy zęby.

„Przestań”, miga Anouk.

„Chrzaniisz”, odpowiada Rosette.

Uśmiecham się do Thierry'ego.

– Ma dopiero trzy lata.

– Wkrótce skończy cztery. Najwyższy czas, aby jadła jak należy. – Twarz Thierry'ego przybiera dobrotliwy wyraz, jak zawsze, kiedy jego zdaniem staję okoniem. Thierry wygląda przy tym starzej i jakoś obco. Czuję nagły przypływ irytacji; wiem, że jestem niesprawiedliwa, ale nic na to nie poradzę. Po co się wtrąca?

Mało nie wypowiadam tego na głos, powstrzymuję się w ostatniej chwili. Widzę, że Zozie, kelnerka, łypie na mnie niebieskim okiem, ze zmarszczką rozbawienia na gładkim czole. I nie mówię ani słowa.

Mówię sobie, że jestem winna Thierry'emu mnóstwo wdzięczności. I nie chodzi tylko o sklep ani o pomoc, jakiej udzielił nam w ciągu ostatniego roku, nie chodzi nawet o prezenty, którymi obsypywał mnie i dziewczynki. Thierry jest wielki. Wszystkie trzy chowamy się w jego cieniu, dzięki niemu stajemy się naprawdę niewidzialne.

Dzisiaj jednak wydawał się czegoś nieswój i co rusz sięgał ręką do kieszeni. W pewnej chwili rzucił mi dziwne spojrzenie.

– Wszystko w porządku?

– Jestem zmęczona.

– Potrzebujesz wakacji.

– Wakacji? – Mało się nie roześmiałam. – W wakacje czekoladki sprzedają się najlepiej.

– Czyli zamierzasz dalej to ciągnąć?

– Naturalnie. A czemuż by nie? Do świąt zostały niecałe dwa miesiące i...

– Yanne – wpadł mi w słowo. – Gdybyś potrzebowała pomocy, na przykład finansowej... – Dotknął mojej ręki.

– Dam sobie radę – odpowiedziałam.

– Oczywiście. Oczywiście. – Jego dłoń znów powędrowała do kieszeni. Chce dobrze, upomniałam się w duchu. A jednak coś burzy się we mnie na tę ingerencję, choćby płynęła z jak najlepszych chęci. Tyle czasu obywałam się bez pomocy – bez żadnej pomocy – że jakkolwiek zmianę owego stanu rzeczy uważam za przejaw niebezpiecznej słabości.

– Nie możesz sama prowadzić sklepu. A dzieci?

– Dam sobie radę – powtórzyłam. – Ja...

– Nie powinnaś brać wszystkiego na siebie. – Mój upór chyba wyprowadził go z równowagi: siedział zgarbiony, z rękami wciśniętymi w kieszenie.

– Wiem. Poszukam kogoś do pomocy.

Ponownie zerknęłam na Zozie, która taszczyła dwie tace z talerzami, żartując z gośćmi, którzy w tyle sali grali w belotkę. Jest taka swobodna, taka niezależna: z werwą rozkłada talerze, figlarnie opędzając się od natarczywych rąk.

Zaraz, zaraz. Przecież byłam taka sama. Zupełnie jakbym oglądała siebie sprzed dziesięciu lat.

Może nawet nie dziesięciu, Zozie nie mogła być dużo młodsza ode mnie. Ale nie ulegało wątpliwości, że jest bardziej „Zozie” niż ja kiedykolwiek byłam „Vianne”.

Kim ona jest? Te oczy spoglądają daleko poza stertę naczyń do zmycia i napiwek wsunięty mimochodem pod talerz. W niebieskich oczach czytać łatwo, lecz umiejętność, do której uciekałam się wielokrotnie, choć nie zawsze z korzyścią dla samej siebie, w tym przypadku zawodzi z kretesem. Niektórzy po prostu tacy są, konstatuje w duchu. Ale mleczna czy deserowa, krucha czy z nadzieniem, z nutą róży czy gorzkiej pomarańczy, *Manon blanc* czy trufle waniliowe... Nie umiem nawet powiedzieć, czy w ogóle lubi czekoladę, a co dopiero wskazać jej ulubiony przysmak.

Ale jakim cudem ona zna mój?

Przeniosłam wzrok na Thierry'ego, który też przyglądał jej się spod oka.

– Nie stać cię, żeby kogoś zatrudnić. Ledwie wiążesz koniec z końcem.

Znów ukłucie irytacji. Za kogo on się uważa? Zupełnie jakbym nigdy nie była zdana na siebie, a sklep stanowił jedynie formę rozrywki. Prawda, w ostatnim czasie interesy w *chocolaterie* nie szły najlepiej. Ale czynsz opłaciłam do końca roku, a zła passa nie może przecież trwać wiecznie. Idą święta i przy odrobinie szczęścia...

– Porozmawiajmy, Yanne. – Uśmiech zniknął, ustępując miejsca zaaferowanej minie biznesmena, który zaczął w wieku czternastu lat, odnawiając wraz z ojcem zapuszczone mieszkanie przy Gare du Nord, by stać się jednym z głównych właścicieli nieruchomości w Paryżu. – Wiem, jak ci ciężko. Ale wcale nie musi tak być. Zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie. Wiem, ile zrobiłaś dla madame Poussin, bardzo jej pomogłaś i jestem ci za to niezmiernie wdzięczny...

On naprawdę w to wierzy. Być może słusznie, mam jednakże poczucie, że bardzo ją wykorzystałam, tak jak wykorzystałam swe rzekome wdowieństwo, aby odwlec to, co nieuniknione, ów straszliwy punkt bez odwrotu...

– Możemy znaleźć wyjście.

– Wyjście?

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

– To może być dla ciebie okazja. Oczywiście szkoda biednej madame Poussin, ale w pewnym sensie odzyskałaś wolność. Możesz robić, co chcesz, Yanne. Myślę jednak, że znalazłem dla ciebie coś odpowiedniego...

– Uważasz, że powinnam zrezygnować z *chocolaterie*? Odniosłam wrażenie, jakby przemawiał w obcym języku.

– Daj spokój, Yanne. Widziałem twoje księgi rachunkowe, wiem, jak stoją sprawy. To nie twoja wina, ciężko pracowałaś, ale sytuacja na rynku...

– Thierry, proszę. Nie chcę teraz tego słuchać.

– A czego chcesz? – Nie krył rozdrażnienia. – Bóg mi świadkiem, że często ci ustępowałem. Nie rozumiesz, że próbuję wam pomóc? Dlaczego mi na to nie pozwalasz?

– Wybacz, Thierry. Wiem, że chcesz jak najlepiej. Ale...

I wtedy je zobaczyłam. Czasami tak mi się zdarza: przelotny obraz w lustrze lub filizance, scena dryfująca ponad szklistą powierzchnią świeżo zmieszanej czekolady.

Puzderko. Małe, błękitne puzderko.

Co w nim jest? Nie umiałam powiedzieć. Ale poczułam narastającą panikę i zaschło mi w gardle; na zewnątrz hulał wiatr, a ja zapragnęłam chwycić dziewczynki za ręce i uciec, uciec...

Weź się w garść, Vianne!

Nadałam swemu głosowi pogodny ton.

– Czy to nie może poczekać, aż wszystko sobie poukładam?

Ale Thierry jest jak wypuszczony ogar, tryska determinacją i entuzjazmem, głuchy na perswazje. Uparcie trzyma rękę w kieszeni, palcami drugiej przebiera po stole.

– Ależ ja tylko próbuję ci pomóc. Nie widzisz? Nie chcę, żebyś się tak katowała. Nie warto, nie dla kilku marnych bombonierek. To w stylu madame Poussin. Ale ty jesteś młoda, bystra: masz przed sobą całe życie.

Nagle zrozumiałam. Obraz stanął mi przed oczami jak żywy. Błękitne pudełko od jubilera z Bond Street kryło błyskotkę wybraną za radą sprzedawczyni. Nieduży, ale klarowny, wsunięty w aksamitną wyściółkę...

Och, proszę. Tylko nie tutaj. Nie teraz.

– Chwilowo nie potrzebuję pomocy. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Jedz *choucroute*. Przepyszne...

– Sama go prawie nie tknęłaś – zauważył.

Nabrałam trochę na widelec i włożyłam do ust.

– Jak to nie?

Thierry uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Zamknij oczy.

– Co? Tutaj?

– Zamknij oczy i wyciągnij rękę.

– Thierry, proszę... – Próbowałam się roześmiać. Ale śmiech uwiązł mi w gardle jak ość.

– Zamknij oczy i policz do dziesięciu. Spodoba ci się, na pewno. To niespodzianka.

Cóż miałam robić? Posłusznie zamknęłam oczy. Wyciągnęłam rękę jak podekscytowana dziewczynka. Coś małego, wielkości pralinki w sreberku, opadło mi na dłoń.

Gdy otworzyłam oczy, Thierry'ego nie było. Na mojej dłoni spoczywało błękitne pudełko z Bond Street. Pierścionek lśnił na granatowym tle jak okruch lodu.



*Piątek, 9 listopada*

No proszę. Dokładnie tak, jak myślałam. Obserwowałam ich ukradkiem: Annie w aurze szafirowego błękitu; ta druga, złocistoruda, jeszcze za mała do moich celów, lecz wcale nie mniej intrygująca; mężczyzna, głośny, ale mało istotny, i wreszcie matka, czujna i nieruchoma, o barwach tak zblakłych i przygaszonych, że wyglądały jak odbicie ulic i nieba we wzburzonej tafli jeziora.

Musi mieć słaby punkt. Coś, co da mi punkt zaczepienia. Na przestrzeni lat rozwinęłam w sobie instynkt łowcy, umiejętność wyczuwania na odległość kulawej gazeli bez choćby uchylenia powieki. Jest podejrzliwa, ale niektórzy nade wszystko pragną wierzyć – w czary, w miłość, w oferty współpracy mające podreperować interes – i to czyni ich bezbronnymi wobec takich jak ja. Czy to moja wina, że zawsze dają się złapać w sidła?

Po raz pierwszy zaczęłam dostrzegać aurę, kiedy miałam jedenaście lat. Zrazu było to coś na kształt poświaty, złote lśnienie widziane kątem oka, srebrne brzegi bez chmury, barwna plama pośród tłumu. Zdolności rosły wprost proporcjonalnie do mojego zainteresowania zjawiskiem. Zrozumiałam, że każdy posiada sygnaturę, oznakę swego jestestwa widoczną, przy odrobinie wprawy, dla garstki wybrańców.

Z reguły nie ma na co patrzeć, większość ludzi jest bezbarwna jak pergamin. Czasem zdarza się jednak coś godnego uwagi. Flara gniewu z pozornie beznamiętnej twarzy. Różowy porporzec nad parą zakochanych. Szarozielony woal konspiracji. Muszę przyznać, że to znacznie ułatwia obcowanie z innymi. I pomaga w kartach, kiedy brakuje pieniędzy.

Istnieje stary znak, znany niektórym jako Oko Czarnego Tezcatlipoki, a innym jako Dymiące Zwierciadło. Pomaga mi skupić się na aurze. Nauczyłam się go w Meksyku; dzięki niemu wiem, kto kłamie albo się boi, kto zdradza żonę, a kto martwi się o pieniądze.

Krok po kroku nauczyłam się manipulować widzianymi kolorami, nadawać sobie różaną poświatę, łunę niezwykłości lub wręcz przeciwnie, narzucać krzepiącą pelerynę błahości, dzięki której nie rzucam się w oczy i nie zapadam w pamięć.

Minęło trochę czasu, zanim zaczęłam to kojarzyć z czarami. Tak jak wszystkie dzieci karmione bajkami wyobrażałam sobie magię jako fajerwerki, czarodziejskie

różdżki oraz przejażdżki na miotle. Prawdziwa magia z książek mojej matki wydawała się nudna, zacofana i na wskroś naukowa, a nedorzeczne zaklęcia i zgrzybiali, napuszeni wyznawcy bynajmniej nie przynosili jej chwały.

Tak naprawdę matka nie znała się na czarach. Mimo jej determinacji, ksiąg, kart i kryształowych kul, nigdy nie widziałam, by rzuciła choćby jedno zaklęcie. Niektórzy po prostu tacy są, widziałam to w aurze matki na długo przed objawieniem jej tej smutnej prawdy. Niektóre kobiety nie nadają się na czarownice.

Jednak ona nadrabiała brak talentu wiedzą. Prowadziła sklep okultystyczny na przedmieściach Londynu. Przychodzili tam najróżniejsi ludzie. Magicy, odyniści, wiccanie, czasem zjawiał się niedoszły satanista (niezmiennie nękany trądzikiem, jakby nigdy nie osiągnął dojrzałości).

Dzięki nim, właśnie nim, stopniowo uzupełniałam swoją wiedzę. Matka wychodziła z założenia, że dostęp do wszelkich form okultyzmu ułatwi mi wybór własnej ścieżki. Sama była wyznawczynią bliżej niezdefiniowanej sekty, która wierzyła w wyższość delfinów nad rodzajem ludzkim i praktykowała „ziemską magię”, równie nieszkodliwą, co bezużyteczną.

Ale wszystko znajduje swoje zastosowanie, toteż w miarę upływu lat mozolnie nauczyłam się odróżniać bezcenne okruchy magii użytkowej od tombaku, który zadawał kłam jej istnieniu. Odkryłam, że większość czarów (jeżeli w ogóle mamy z nimi do czynienia) kryje się pod zatechłą pierzyną rytuału, teatralności oraz czasochłonnych praktyk, stworzonych w celu nadania tajemniczości temu, co sprowadza się do znalezienia skutecznych środków wyrazu. Moja matka kochała rytuał, a ja marzyłam o książce z przepisami.

Próbowałam runów, kart, wahadełek i zielarstwa. Liznęłam trochę I Ching i Złotego Brzasku, [Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku – stowarzyszenie okultystycznoezoteryczne, założone w drugiej połowie XIX wieku w Londynie. Krzewiło nauki różokrzyżowców, alchemików i kabalistów.] odrzuciłam Crowleya [Aleister Crowley (1875-1947) – brytyjski okultysta i mistyk, wybitny szachista i alpinista.] (choć jestem pełna podziwu dla jego tarota), sumiennie poszukiwałam swej Bogini Wewnętrznej i zaśmiewałam się do łez nad „Liber Nuli” i „Necronimiconem”.

Najpilniej jednak studiowałam wierzenia mezoamerykańskie, Majów, Inków, a przede wszystkim Azteków. Z jakichś powodów zawsze mnie do nich ciągnęło; dzięki nim dowiedziałam się o ofierze, dwoistej naturze bogów, złośliwości wszechświata, języku barw, potworności śmierci oraz o tym, że aby przetrwać, trzeba walczyć, bez względu na środki...

W wyniku tego powstał mój System, starannie opracowany metodą prób i

błędów, oparty na solidnych podstawach z ziołarstwa (w tym paru użytecznych trucizn i halucynogenów), magii gestów i znaków, sztuce panowania nad ciałem i oddechem, tynkturach na poprawę nastroju, projekcji astralnej i autohipnozie, kilku zaklęciach werbalnych (za którymi nie przepadam, jednak część w gruncie rzeczy działa) oraz zrozumieniu kolorów, a co za tym idzie, skuteczniejszej nimi manipulacji. Dzięki niej mogłam dodawać powabu sobie i innym oraz kształtować rzeczywistość wedle swojej woli.

Ku zaniepokojeniu matki przez cały ten czas stroniłam od wszelkich grup. Oponowała; czuła, że to niemoralne czerpać z tyłu pomniejszych, niedoskonałych wierzeń. Najchętniej ujrzałaby mnie w szeregach sympatycznego, koedukacyjnego stowarzyszenia, gdzie wiodłabym bujne życie towarzyskie i biegała na randki z nieszkodliwymi gołowasami. Ewentualnie mogłam pójść w jej ślady i w myśl akwatyecznej szkoły filozoficznej bić pokłony delfinom.

– W co tak naprawdę wierzysz? – pytała, obracając nerwowo na długim palcu sznur koralików. – Gdzie w tym dusza, gdzie awatar?

Wzruszałam ramionami.

– Zawsze musi być dusza? Liczy się to, co działa, a nie to, ile roztańczonych aniołów mieści się na główce od szpilki i jakim kolorem świecy zwabić kochanka. (Wiedziałam już, że w kwestii uwodzenia świece przegrywają w konkurencji z seksem oralnym).

Matka wzdychała z rezygnacją, mamrocząc coś o podążaniu własną ścieżką. Tak też zrobiłam i podążam nią po dziś dzień. Doprowadziła mnie do wielu ciekawych miejsc, na przykład tutaj. Nigdy jednak nie napotkałam po drodze dowodu, że nie jestem jedyna w swoim rodzaju.

Być może aż do teraz.

Yanne Charbonneau. Zbyt ładnie, zbyt gładko to brzmi. Wyczuwam w niej szachrajstwo, choć podejrzewam, że ma się na bacności. Muszę poczekać, aż straci czujność. Wtedy odkryję prawdę.

„*Maman* nie lubi, kiedy się wyróżniamy”.

Ciekawe.

Jak nazywała się ta wioska? Lansquenet? Trzeba to sprawdzić. Może natrafię na jakiś ślad, na przykład echa skandalu z przeszłości bądź trop matki i dziecka, które rzucą światło na ów niezwykły duet.

Szperając w Internecie na swoim laptopie, znalazłam tylko dwie wzmianki o tym miejscu, obie poświęcone folklorowi i uroczystościom na południowym zachodzie. Nazwa Lansquenetsous-Tannes wiązała się z popularnym świętem

wielkanocnym, po raz pierwszy obchodzonym przed czterema laty.

Festiwal czekolady. A to ci dopiero niespodzianka.

No tak. Czyżby życie na prowincji dało jej się we znaki? Narobiła sobie wrogów? Dlaczego stamtąd wyjechała?

Rankiem jej sklep świecił pustkami. Obserwowałam go z „Le P'tit Pinson”: nikt nie zjawił się aż do wpół do pierwszej. Piątek i taki mały ruch. Nie przyszedł nawet rozgadany grubas, nie zajrzał sąsiad ani przypadkowy turysta.

Co tu jest grane? Zamiast roić się od klientów, *chocolaterie* kuli się w rogu placu. Nic dziwnego, że cienko przęda. Niewiele trzeba, aby to miejsce rozbłysło i przyciągnęło oko, jak pierwszego dnia. Tymczasem ona siedzi z założonymi rękami. Ciekawe dlaczego? Moja matka poświęciła życie, aby się wyróżnić – dlaczego Yanne nie szczeni wysiłków, by zginąć w tłumie?

*Piątek, 9 listopada*

Thierry przyszedł o dwunastej. Oczywiście spodziewałam się jego wizyty, a nocą leżałam bezsennie, myśląc, jak rozegram następne spotkanie. Żałuję, że wyciągnęłam tamte karty: Śmierć, Kochanków, Wieżę, ponieważ teraz wszystko zdaje się dziełem Opatrzności, a dni i miesiące mojego życia nie są niczym innym jak tylko klockami domina. Wystarczy jeden nieostrożny ruch...

Zaraz, przecież to kompletna bzdura. Poza tym ja wcale nie wierzę w Opatrzność. Wierzę, iż dano nam wybór, że możemy uciszyć wiatr, oszukać Człowieka w Czerni, a nawet poskromić Życzliwych.

Ale jakim kosztem? To pytanie nie pozwoliło mi zasnąć i sprawiło, że na dźwięk dzwonek u drzwi serce mało nie stanęło mi w piersi. Thierry wszedł do środka z upartą miną człowieka, który ma do załatwienia pewne niedokończone sprawy.

Próbowałam grać na zwłokę. Zaproponowałam mu gorącą czekoladę, którą przyjął bez większego entuzjazmu (woli kawę), ale przynajmniej mogłam się czymś zająć. Rosette bawiła się na podłodze; Thierry patrzył, jak wyjmuję z pudełka guziki i tworzy z nich koliste wzory na płytkach.

W innych okolicznościach nie omieszkałaby napomknąć o higienie lub wyrazić niepokój, czy Rosette nie udławi się aby guzikiem. Ale teraz milczał: był to znak ostrzegawczy, o którym próbowałam nie myśleć, zajęta przygotowywaniem czekolady.

Mleko w rondelku, kuwertura, cukier, gałka muszkatołowa, chili. Kokosowy makaronik na spodeczku. Krzepiący jak wszystkie rytuały szereg gestów, przekazany najpierw mnie, potem Anouk, a kiedyś może jej córce, w zbyt odległej przeszłości, aby móc ją sobie teraz wyobrazić.

– Pyszna czekolada – zapewnił nieco zbyt skwapliwie, trzymając malutką filiżankę w dłoniach stworzonych do układania cegieł.

Upiłam łyk; smakowała jesienią i słodkawym dymem, ogniskiem, świątynią, żalobą i smutkiem. Trzeba było dodać wanilii, pomyślałam. Wanilia, jak lody, jak dzieciństwo.

– Gorzkawa – zauważył, wrzucając do filiżanki kostkę cukru. – Może po południu dasz sobie trochę wolnego? Co powiesz na spacer Polami Elizejskimi:

kawa, zakupy, obiad?

– Thierry – powiedziałam. – To miłe, ale nie mogę zamknąć sklepu na całe popołudnie.

– Naprawdę? Przecież i tak nie ma ruchu.

Chciałam coś odburknąć, na szczęście w porę ugryzłam się w język.

– Nie wypileś czekolady – przypomniałam.

– A ty nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Yanne. Zerknął na moją rękę. – Nie nosisz pierścionka. Czy to znaczy, że odpowiedź brzmi „nie”?

Roześmiałam się odruchowo. Bezpośredniość Thierry'ego często mnie bawi, choć on sam nie rozumie, dlaczego.

– Zaskoczyłeś mnie po prostu.

Spojrzał na mnie znad filiżanki. Miał zmęczone oczy, jakby się nie wyspał, a dokoła jego ust widniały zmarszczki, na które nie zwróciłam dotąd uwagi. Zapisana w nich słabość i bezbronność wzbudziła mój niepokój i zdziwienie: dotąd wmawiałam sobie, że go nie potrzebuję i nigdy nie przyszło mi do głowy, że to on może potrzebować mnie.

– No więc – podjął. – Znajdziesz dla mnie godzinkę?

– Zaczekaj, pójdę się przebrać – odpowiedziałam.

Aż mu oczy rozblęły.

– To rozumiem! Wiedziałem, że się zgodzisz.

W jednej chwili odzyskał rezon, moment niepewności minął bezpowrotnie. Wstał, po czym wpakował ciastko do ust (zauważyłam, że nie dopił czekolady). Uśmiechnął się do Rosette, która dalej bawiła się jak gdyby nigdy nic.

– Co ty na to, *jeune filie*? Moglibyśmy pojechać do Ogrodów Luksemburskich, puszczając łódki na jeziorze...

Rosette z zainteresowaniem uniosła wzrok. Uwielbia łódki i człowieka, które je wypożycza, najchętniej spędziłaby tam całe lato...

„Zobaczyć łódki”, pokazała energicznie.

– Co powiedziała? – Thierry zmarszczył brwi.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Że to fantastyczny pomysł.

Ku swojemu zdumieniu poczułam nagły przypływ czułości, za jego entuzjazm, dobroć. Wiem, że kontakt z Rosette, za sprawą jej uporczywego milczenia i wiecznej powagi, kosztuje go niemało wysiłku, dlatego doceniłam jego starania.

Na górze zdjęłam ubrudzony czekoladą fartuch i włożyłam czerwoną flanelową sukienkę. Od lat nie nosiłam nic w tym kolorze, ale potrzebowałam czegoś na

przekór listopadowej wichurze, poza tym narzucę na wierzch płaszcz. Wciągnęłam wierzgającej Rosette rękawiczki i ubrałam ją w anorak (z niejasnych powodów żywi do tego zestawu instynktowną odrazę), po czym pojechaliśmy metrem do Ogrodów Luksemburskich.

Jak dziwnie wciąż być przyjezdnią w mieście swojego urodzenia. Ale Thierry myśli, że jestem tu obca i czerpie taką radość z pokazywania mi swojego świata, że nie mam serca sprawić mu zawodu. Ogrody tętnią dziś życiem, usiane cętkami słońca pod kalejdoskopem opadłych liści. Rosette kocha liście, z impetem wskakuje w ich sterty, wzbijając w górę barwne kaskady. Uwielbia też małe jezioro i patrzy na łódki z nabożnym zachwytem.

– Powiedz „łódka”, Rosette.

– Bam – odpowiada, łypiąc kocim okiem.

– Nie, Rosette. „Łódka”. – Thierry nie daje za wygraną. – Daj spokój, przecież umiesz powiedzieć „łódka”.

– Bam – powtarza Rosette i pokazuje na migi „małpa”.

– Wystarczy. – Uśmiecham się do niej, ale serce zaczyna mi mocniej bić. Była dziś taka grzeczna: biega w tym swoim jaskrawozielonym anoraku i czerwonej czapeczce jak nakręcona zabawka świąteczna, wykrzykując „bambambam!” i strzelając do niewidzialnych wrogów. Nie śmieje się (rzadko to robi), ale widzę na jej buzi skupienie: wysuwa dolną wargę i ściąga brwi, jakby nawet igraszki wymagały powagi oraz pełnego zaangażowania.

Lecz niebezpieczeństwo wisi w powietrzu. Wiatr zmienił kierunek; kątem oka widzę złocistą poświatę i zaczynam myśleć, że czas...

– Pora na lody – mówi Thierry.

Łódka wykonuje nagły zwrot na prawą burzę pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i sunie na środek jeziora. Rosette rzuca mi figlarne spojrzenie.

– Rosette, nie.

Łódka obraca się ponownie, celując dziobem w wózek lodziarza.

– No dobrze, tylko małe.

Pocałowaliśmy się, kiedy Rosette jadła na brzegu swoje lody; Thierry był ciepły i po ojcowsku pachniał tytoniem. Okryte kaszmirem ramiona ogarnęły mnie całą, drżącą w zbyt cienkiej czerwonej sukience i jesiennym płaszczu.

Zaczął od moich zziębniętych palców, następnie powędrował do szyi i do ust, topiąc to, co zamroził wiatr.

– Kocham cię, kocham – mamrotał, jak dziecko, które gorliwie klepie zdrowaśki w nadziei na odkupienie.

Musiał coś zauważyć.

– Co się stało? – spytał, poważniejąc.

Jak mam mu to powiedzieć? Jak wytłumaczyć? Patrzył żarliwie niebieskimi, załamionymi z zimna oczami. Sprawiał wrażenie na wskroś otwartego i zwyczajnego, mimo swej przedsiębiorczości niezdolnego, by zrozumieć naszą mistyfikację.

Cóż takiego widzi w Yanne Charbonneau? Nieraz próbowałam to pojąć. I co zobaczyłby w Vianne Rocher? Czy jej niekonwencjonalne usposobienie wzbudziłoby jego nieufność? Czy wyśmiałby jej przekonania? Osądził wybory? I zgorszył się kłamstwami?

Powoli ucałował moje palce, kolejno unosząc je do ust. Spojrzał z uśmiechem.

– Smakujesz czekoladę.

Ale wiatr nadal dmuchał mi w uszy i szumiał w koronach drzew, jak ocean, jak monsun. Konfetti z martwych liści zasnuło niebo, nasuwając wspomnienie tamtej rzeki, tamtej zimy, tamtego wiatru.

Wówczas naszła mnie osobliwa myśl.

A gdybym wyznała Thierry'emu prawdę? Gdybym opowiedziała mu wszystko, od początku do końca?

Dać się poznać, pokochać, zrozumieć. Oddech uwiązał mi w gardle...

Ach, gdybym tylko zebrała się na odwagę...

Wiatr robi z ludźmi dziwne rzeczy, obraca ich dokoła własnej osi, każe im tańczyć i wirować. Za jego sprawą Thierry na powrót stał się rozczochranym chłopcem, z oczami pełnymi blasku i nadziei. Wiatr bywa w ten sposób prawdziwym uwodzicielem, sprowadza nieokiełznane myśli i niepokromione sny. Wciąż jednak słyszałam ostrzeżenie i wiedziałam, że mimo swej miłości i ciepła Thierry Le Tresset nie może się mierzyć z wiatrem.

– Nie chcę stracić sklepu – powiedziałam Thierry'emu (albo wiatrowi). – Chcę go zatrzymać. Chcę, żeby był mój.

Thierry wybuchnął śmiechem.

– To wszystko? – spytał. – Wyjdź za mnie, Yanne. Uśmiechnął się szeroko. – Możesz mieć tyle sklepów i czekoladek, ile dusza zapagnie. Zawsze będziesz smakować czekoladę. Będziesz nawet nią pachnieć. I ja też...

Nie mogłam się nie roześmiać. Thierry chwycił mnie za rękę i zakręcił młynka na żwirowej ścieżce, aż rozbawiona Rosette dostała czkawki.

Pewnie dlatego to powiedziałam, pod wpływem impulsu, z wiatrem w uszach i włosami na twarzy, podczas gdy Thierry obejmował mnie z całej siły, szepcząc mi



do ucha: „Kocham cię, Yanne" głosem, w którym jakby czał się lęk.

Boi się mnie stracić, pomyślałam nieoczekiwanie i zrozumiałam, że nie będzie odwrotu. I wypowiedziałam te słowa, ze łzami w oczach i mokrym z zimna, zaróżowionym nosem.

– Dobrze. Ale po cichu...

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

– Jesteś pewna? – zapytał bez tchu. – Myślałem, że będziesz chciała... no wiesz.

– Uśmiechnął się znacząco. – Suknia. Kościół. Rozspiewany chór. Druhny, dzwony i różne takie.

Potrząsnęłam głową.

– Żadnego zamieszania – powiedziałam.

Znowu mnie pocałował.

– Najważniejsze, że się zgadzasz.

I przez chwilę było tak dobrze: małe, słodkie marzenie, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Thierry to dobry człowiek, pomyślałam. Mężczyzna z tradycją, z zasadami.

*/ pieniędzmi, Vianne, nie zapominaj o tym,* wyszemrał paskudny głos w mojej głowie, po czym przycichł i umilkł zupełnie, gdy dałam się ponieść marzeniu. Do diabła z twoimi szeptami, pomyślałam. I do diabła z wiatrem. Tym razem nie pozwolimy się zdmuchnąć.

*Piątek, 9 listopada*

Dzisiaj znowu pokłóciłam się z Suze. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje: im bardziej się staram, tym gorzej wychodzi. Tym razem poszło o moje włosy. O rany. Suze uważa, że powinnam je prostować.

Zapytałam, dlaczego.

Suzanne wzruszyła ramionami. Siedziałyśmy same w bibliotece w czasie przerwy, inni poszli do sklepiku po słodycze, a ja usiłowałam przepisać notatki z geografii, ale Suze zebrało się na pogawędki. W takich chwilach żadna siła jej nie powstrzyma.

– Bo dziwnie wyglądają – odparła. – Jakbyś miała afro. Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że mam to w nosie. Suze zrobiła rybie usta, jak zawsze gdy ktoś jej się sprzeciwia.

– Twój tata chyba nie był czarny, co? – zapytała.

Potrząsnęłam głową, czując się jak ostatnia kłamczucha. Suzanne myśli, że mój ojciec nie żyje. Może i był Murzynem. Mógł być również piratem, seryjnym mordercą albo królem...

– Bo wiesz, ludzie mogą pomyśleć...

– Jeśli mówiąc „ludzie”, masz na myśli Chantal...

– Nie – burknęła Suzanne, ale jej różowa twarz przybrała jeszcze bardziej intensywny odcień. Mówiąc, unikała mojego wzroku. – Słuchaj – podjęła, kładąc mi rękę na ramieniu. – Jesteś tu nowa, nie znamy cię. My chodziliśmy tutaj do podstawówki. Umiemy się dopasować.

Umiemy się dopasować. W Lansquenet miałam nauczycielkę, madame Drou, która mówiła dokładnie to samo.

– Ale ty jesteś inna – upierała się Suze. – Ja tylko próbuję ci pomóc...

– Niby jak? – nie wytrzymałam, myśląc o notatkach z geografii i o tym, że w jej obecności nigdy, ale to nigdy nie mogę robić tego, co chcę. Zawsze tylko jej zabawy, jej problemy i jej „przestań za mną łązić, Annie”, gdy nawinie się ktoś lepszy. Wiedziała, że niechcący podniosłam głos, ale i tak zrobiła urażoną minę i odrzuciła do tyłu (wyprostowane) włosy.

– No cóż, skoro nawet nie raczysz mnie wysłuchać... skwitowała swym niby to dorosłym tonem.

– Niech ci będzie – odpowiedziałam. – Co jest ze mną nie tak?

Spoglądała na mnie przez chwilę. Nagle zadzwonił dzwonek na lekcję, a ona uśmiechnęła się szeroko i podała mi złożoną kartkę papieru.

– Zrobiłam listę.

Przeczytałam listę na geografii. Monsieur Gestin opowiadał nam o Budapeszcie; mieszkaliśmy tam kiedyś króciutko, ale niewiele już pamiętam. Tylko rzekę, śnieg i starą dzielnicę, która tak bardzo przypomina mi Montmartre, z krętymi uliczkami, stromymi schodami i starym zamkiem na niewielkim wzgórzu. Lista, sporządzona pulchną ręką Suze, zajęła pół strony z zeszytu do ćwiczeń. Kilka uwag na temat pielęgnacji (wyprostowane włosy, opiłowane paznokcie, ogolone nogi, dezodorant zawsze w plecaku), ubrania (żadnych skarpetek ze spódnicami, róż, ale nie pomarańcz), kultury (literatura dziewczęca – tak, książki przygodowe dla chłopaków – nie), filmów oraz muzyki (tylko najświeższe hity), programów telewizyjnych, stron internetowych (tak jakbym miała komputer), sposobów spędzania wolnego czasu i modelu komórki, który niezwłocznie powinnam kupić.

Początkowo wzięłam to za kolejny kawał, ale po szkole, kiedy spotkałyśmy się w kolejce do autobusu, zrozumiałam, że Suze traktuje sprawę ze śmiertelną powagą.

– Musisz się postarać – przekonywała. – Inaczej ludzie powiedzą, że jesteś dziwna...

– Nie jestem dziwna – odparłam. – Jestem tylko...

– Inna.

– Co w tym złego?

– Annie, jeśli chcesz mieć przyjaciół...

– Prawdziwi przyjaciele nie zwracają uwagi na takie głupoty.

Suze poczerwieniała. Często tak ma w chwilach zdenerwowania, przez co jej karnacja gryzie się z włosami.

– Ja zwracam – syknęła, po czym jej spojrzenie powędrowało na czoło kolejki.

W kolejce do autobusu obowiązują pewne reguły, tak samo jak podczas wchodzenia do klasy bądź wybierania drużyny do gry w dwa ognie. Suze i ja stoimy mniej więcej pośrodku, miejsce przed nami należy do klasy A, czyli dziewcząt ze szkolnej reprezentacji koszykówki, starszych, które już malują usta, podciągają wyżej spódniczki i palą gitany przed bramą szkoły. Dalej stoją chłopcy, ci najprzystojniejsi, należący do drużyn, ci, którzy chodzą z postawionym

kołnierzem i żelują włosy.

Jest też nowy chłopiec, nazywa się Jean-Loup Rimbault. Wpadł Suzanne w oko. Podoba się również Chantal, chociaż nigdy nie zwraca na nie uwagi i nie bierze udziału w ich grach. Zrozumiałam, o czym myśli Suze.

Odszczepieńcy i frajerzy stoją z tyłu. Najpierw czarne dzieciaki z drugiej strony Butte, które nie wychylają nosa spoza własnej grupy i nie gadają z pozostałymi. Potem Claude Meunier, jąkała, Mathilde Chagrin, grubaska i około tuzina muzułmanek, które na początku semestru narobiły tyle szumu o chusty. Kierując wzrok w stronę tyłu kolejki zauważyłam, że żadna nie stoi z gołą głową: podczas lekcji nie wolno im nosić chust, więc zakładają je z chwilą opuszczenia szkoły. Suze uważa, że to głupota, bo skoro mają mieszkać w naszym kraju, powinny być takie jak my, ale tylko powtarza słowa Chantal. Nie rozumiem, o co się czepia. No bo czym różni się chusta od podkoszulki czy zwykłej pary dżinsów? W końcu to ich sprawa, co noszą.

Suze nadal obserwowała Jeana-Loupa. Jest wysoki i chyba dosyć przystojny, ma czarne włosy i grzywkę, która zasłania większość twarzy. Ma dwanaście lat, jest rok starszy od nas. Powinien być klasę wyżej. Suze mówi, że został na drugi rok, ale jest naprawdę mądry, zawsze w czołówce. Podoba się wielu dziewczynom, ale nie dba o powodzenie. Patrzyłam, jak stoi oparty nonszalancko o znak przystanku i patrzy w monitor małego aparatu cyfrowego, z którym nigdy się nie rozstaje.

– O Boże – szepnęła Suze.

– Zagadaj do niego.

Uciszyła mnie ze złością. Jean-Loup na chwilę podniósł wzrok, po czym znów zajął się aparatem. Suze jeszcze bardziej poczerwieniała.

– Spojrzał na mnie! – pisnęła. Chowając twarz w kapturze, łypnęła na mnie i przewróciła oczami. – Zrobię sobie pasemka. Pójdę tam, gdzie chodzi Chantal. – Mocno złapała mnie za rękę, aż zabolalo. – Wiem – dodała. – Możemy pójść razem! Ja zrobię pasemka, a ty wyprostujesz włosy...

– Odczep się od moich włosów.

– Daj spokój, Annie. Będzie fajnie. I...

– Powiedziałam, odczep się! – Teraz naprawdę mnie wkurzyła. – Dlaczego w kółko o tym nadajesz?

– Jesteś beznadziejna – skwitowała Suze, tracąc cierpliwość. – Wyglądasz jak ostatnia kretynka i masz to gdzieś?

Kolejna z jej zagrywek. Niby zadaje człowiekowi pytanie, ale tak naprawdę

stwierdza fakt.

– A jeśli nawet? – odparowałam. Wzbierająca złość zabulgotała we mnie jak woda pod pokrywką czajnika, gotowa w każdej chwili wydostać się na powierzchnię, czy mi się to podoba, czy nie. Wtedy przypomniałam sobie słowa Zozie w angielskiej herbaciarni i zapragnęłam zrobić coś, aby zetrzeć z twarzy Suze ten protekcjonalny uśmieszek. Nic złego, nigdy bym się do tego nie posunęła. Ale żeby popamiętała.

Skrzyżowałam palce za plecami i powiedziałam w myślach:

Zobaczymy, co powiesz na TO.

I wtedy coś zobaczyłam. Przelotny grymas na twarzy, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Wolę być kretynką niż klonem – uzupełniłam.

Potem odwróciłam się i pod obstrzałem spojrzeń pomaszerowałam na koniec kolejki. Suze stała jak niepyszna i wytrzeszczała oczy, brzydka jak noc z tymi swoimi rudymi włosami, twarzą czerwoną jak burak i rozdziawionymi ustami.

Nie jestem pewna, czy miałam nadzieję, że pójdzie za mną. Może i tak, ale nie poszła. Po przyjeździe autobusu usiadła obok Sandrine i więcej na mnie nie spojrzała.

Po powrocie próbowałam opowiedzieć o wszystkim *maman*, ale rozmawiała z Nico, owijając jednocześnie papierem bombonierkę truflii rumowych i szykując przekąskę dla Rosette, a poza tym nie bardzo umiałam znaleźć odpowiednie słowa na określenie tego, co czuję.

– Nie zwracaj na nie uwagi – poradziła wreszcie, nalewając mleko do miedzianego rondla. – Przypilnuj, dobrze? Mieszaj delikatnie, a ja zawinę bombonierkę.

Trzyma składniki do gorącej czekolady w szafce w tyle kuchni. Z przodu chowa rondle, lśniące formy w rozmaitych kształtach i granitową płytę do hartowania. Obecnie stoją bezużyteczne; większość dawnych przyborów zalega w piwnicy. Nawet za życia madame Poussin nie było czasu na przyrządzanie naszych specjałów.

Ale zawsze jest czas na gorącą czekoladę na mleku, z mieloną gałką muszkatołową, wanilią, brązowym cukrem, kardamonem i siedemdziesięcioprocentową kuwerturą (zdaniem mamy jedyną, którą warto kupować). Jest gęsta i zostawia gorzkawy posmak na języku, jak karmel o krok od przypalenia. Chili dodaje nieco żaru (trzeba pamiętać, żeby dodać tylko odrobinę,

dla smaku), przyprawy zaś tworzą kościelny aromat, który nie wiedzieć czemu przypomina mi Lansquenet, noc w mieszkanku nad *chocolaterie* i tylko nas dwie, z Pantoufle'em przycupniętym obok i świecami płonącymi na stoliku ze skrzynki po pomarańczach.

Oczywiście tu nie mamy takiego stolika. W zeszłym roku Thierry urządził nam całą kuchnię. No ba: w końcu jest właścicielem, ma kupę szmalu i bądź co bądź sam odpowiada za wszystkie naprawy. Ale *maman* oczywiście robiła wielkie ceregiele i urządziła na jego cześć uroczysty obiad w nowej kuchni. O rany, zupełnie jakby pierwszy raz widziała na oczy kuchnię. Teraz nawet kubki są nowe, na wszystkich widnieje napis „Chocolat”, wymalowany ozdobnymi literami. To również prezent od Thierry'ego: po jednym dla każdej z nas i jeden dla madame Poussin. Wspaniały gest ze strony kogoś, kto nie znosi gorącej czekolady (wiem, bo dosypuje za dużo cukru).

Kiedyś miałam swój kubek, czerwony, pękaty i lekko obtłuczony, z literą A jak Anouk. Dostałam go od Roux. Już go nie mam, nie wiem, co się z nim stało. Pewnie się potłukł albo zgubił gdzieś po drodze. Nieważne. I tak już nie piję czekolady.

– Suzanne mówi, że jestem dziwna – powiedziałam, kiedy *maman* wróciła do kuchni.

– Nie jesteś – odrzekła, ścierając na tarce laskę wanilii. Czekolada była prawie gotowa, na jej powierzchni tworzyły się bąbelki. – Chcesz? Dobra.

– Nie, dziękuję.

– Jak uważasz.

Naląła Rosette i dodała posypkę oraz odrobinę śmietany. Ładnie to wyglądało, a pachniało jeszcze lepiej, ale nie dałam nic po sobie poznać. Zajrzałam do szafki i znalazłam połówkę rogalika ze śniadania i dżem.

– Nie zwracaj uwagi na Suzanne – dodała *maman*, nalewając sobie czekolady do filiżanki od espresso. Zauważyłam, że ani ona, ani Rosette nie piją ze swoich kubków. Znam ten typ. Spróbuj znaleźć sobie inną przyjaciółkę.

Łatwo powiedzieć, pomyślałam. Zresztą po co? Nie przyjaźniłaby się ze mną, tylko z jakimś tworem...

– Na przykład? – zapytałam.

– A skąd mam wiedzieć? – odpowiedziała niecierpliwie, chowając przyprawy do szafki. – Przecież musi być ktoś, z kim masz wspólny język.

Chciałam powiedzieć, że to nie moja wina. Dlaczego uważa, że to ja jestem trudna? Problem w tym, że *maman* nigdy nie chodziła do szkoły, wszystkiego

nauczyła się w praktyce, tak przynajmniej twierdzi. Wie tylko to, co wyczytała w książkach dla dzieci albo oglądała zza płotu boiska. Z mojej strony nie jest tak kolorowo.

– No i? – Wciąż ta niecierpliwość, ton mówiący „powinnaś być wdzięczna, wiele mnie to kosztowało, aby posłać cię do dobrej szkoły, uchronić przed życiem, które sama miałam...”.

– Mogę cię o coś zapytać? – zdecydowałam się.

– Oczywiście, Nanou. Co się stało?

– Czy mój ojciec był czarny?

Wzdrygnęła się lekko, prawie niezauważalnie. Zobaczyłam to w jej aurze.

– Tak rozpowiada w szkole Chantal.

– Naprawdę?

*Maman* ukroiła kromkę chleba dla Rosette. Chleb, nóż, krem czekoladowy. Małpie paluszki Rosette obracające pajdę, wyraz wzmożonego skupienia na twarzy *maman*. Nie wiedziałam, co sobie myśli. Jej oczy były ciemne jak Afryka, nieprzeniknione.

– A czy to ma znaczenie? – spytała w końcu.

– Bo ja wiem. – Wzruszyłam ramionami.

Spojrzała na mnie i przez chwilę wyglądała jak dawna *maman*, której nigdy nie obchodziło zdanie innych.

– Wiesz co, Anouk – odparła z wolna. – Przez długi czas sądziłam, że nie potrzebujesz ojca. Myślałam, że zawsze będziemy tylko we dwie, tak jak moja matka i ja. Potem zjawiała się Rosette, a ja pomyślałam, że może... – Urwała, po czym tak gładko zmieniła temat, że w pierwszej chwili wcale tego nie zauważyłam, zupełnie jak w tej sztuczce z trzema odwróconymi kubkami i piłką. – Lubisz Thierry'ego, prawda? – spytała znienacka.

Ponownie wzruszyłam ramionami.

– Ujdzie w tłoku.

– Wydawało mi się, że go lubisz. On ciebie tak...

Ugryzłam kawałek rogalika. Rosette w swoim wysokim krzeselku udawała, że kromka to samolot.

– Chcę powiedzieć, że gdybyście go nie lubiły...

Właściwie to za nim nie przepadam. Jest głośny i śmierdzi cygarami. Do tego zawsze przerywa *maman* w pół słowa i nazywa mnie *jeune filie*, jakby to był świetny kawał. Nigdy nie rozumie, co mówi do niego Rosette, a mnie tłumaczy znaczenie długich wyrazów, jakby miał do czynienia z ostatnią kretynką.

– Ujdzie w tłoku – powtórzyłam.

– No więc... Thierry chce, żebym za niego wyszła.

– Od kiedy? – zapytałam.

– Po raz pierwszy wspomniał o tym w zeszłym roku. Powiedziałam mu, że nie jestem gotowa na poważny związek, musiałam myśleć o Rosette i madame Poussin. Uznał, że poczeka. Ale teraz zostałyśmy same...

– Chyba się nie zgodziłaś? – powiedziałam, chyba trochę zbyt głośno, bo Rosette zasłoniła uszy rękami.

– To skomplikowane – odparła *maman* znużonym tonem.

– Zawsze to mówisz.

– Bo zawsze jest skomplikowane.

Nie rozumiem. Dla mnie to proste jak drut. Nigdy nie była mężatką, tak? To co ją teraz naszło?

– Wszystko się zmieniło, Nanou – dodała.

– To znaczy co? – chciałam wiedzieć.

– No, weźmy na przykład sklep. Zapłaciłam czynsz do końca roku. Ale potem...

– Westchnęła. – Nie będzie łatwo związać koniec z końcem. Nie mogę tak po prostu brać pieniędzy od Thierry'ego. Jest bardzo szczodry, ale to nie wypada. Więc pomyślałam...

Cóż, powinnam była się domyślić, że coś nie gra. Sądziłam jednak, że jest przynębiona po śmierci madame. Teraz zrozumiałam, że chodzi o Thierry'ego; boi się, że storpedują ich plan.

I to jaki plan. Widzę nas jak na dłoni. *Maman*, papa i dwie dziewczynki, żywcem wyjęci z opowiadki *comtesse de Segur*. [Sophie Rostopchine de Segur (1799-1874).] Będziemy chodzić do kościoła, codziennie pałaszować *steackfrites* i nosić ubrania z Galerii Lafayette. Thierry postawi na biurku nasze zdjęcie, mnie i Rosette w identycznych sukienkach, uwiecznione aparatem zawodowego fotografa.

Nie zrozumcie mnie źle, powiedziałam, że ujdzie w tłoku. Ale...

– Co? – ponagliła. – Zapomniałaś języka w buzi?

Odlamałam kawałek rogalika.

– Nie potrzebujemy go – odparłam wreszcie.

– Cóż, kogoś potrzebujemy, to nie ulega wątpliwości. Myślałam, że to zrozumiesz. Musisz chodzić do szkoły, Anouk. Potrzebujesz normalnego domu... ojca...

Zaraz umrę ze śmiechu. Ojca? Dobre sobie. Sami wybieramy sobie rodzinę, mówiła zawsze. Jaki wybór daje mnie?



- Anouk – powtórzyła. – Robię to dla ciebie...
- Jak uważasz. – Wzruszyłam ramionami, po czym wzięłam rogalika i wyszłam na dwór.

*Sobota, 10 listopada*

Dziś rano zajrzałam do *chocolaterie* i kupiłam bombonierkę wiśni w likierze. Była tam Yanne z małą. Mimo spokoju w sklepie wyglądała na udręczoną, niemal zniechęconą na mój widok, a czekoladki wcale nie okazały się nadzwyczajne.

– Kiedyś sama je robiłam – oznajmiła, podając mi wiśnie w papierowym rożku.  
– Ale pralinki z likierem wymagają tyle zachodu, a mnie wiecznie brakuje czasu. Mam nadzieję, że będą ci smakować.

Z udawanym apetytem wsadziłam jedną do ust.

– Pychota – odparłam z pełnymi ustami, usiłując jak najszybciej przełknąć kwaskowate paskudztwo. Rosette siedziała na podłodze za ladą i nuciała pod nosem, otoczona rozsypanymi kredkami i kolorowym papierem.

– Nie chodzi do przedszkola?

Yanne potrząsnęła głową.

– Wolę sama mieć na nią oko.

Tak, widzę. Odkąd zaczęłam baczniej wyteżać wzrok, dostrzegam też inne drobiazgi. Błękitne drzwi skrywają rzeczy, które umykają uwadze zwykłych klientów. Przede wszystkim stary sklep jest w opłakanym stanie. Witryna, ozdobiona ładnymi puszkami i bombonierkami, jeszcze wygląda w miarę. Ściany pomalowano na wesoły, żółty odcień, lecz mimo to wilgoć czai się w kątach i pod podłogą, niezbity dowód wiecznego braku czasu i pieniędzy. Podjęto niemrawe próby, aby to zatuszować: złote, pajęczce girlandy sprytnie zawieszono na framudze zasłaniają szczeliny i pęknięcia, mając obietnicą czegoś więcej aniżeli mdły smak kiepskiej czekolady.

Spróbuj. Skosztuj.

Lewą ręką, dyskretnie zrobiłam znak Oka Czarnego Tezcatlipoki. Kolory wokół mnie rozbłysły, potwierdzając moje podejrzenia z pierwszego dnia. Ktoś tu majstrował i raczej nie była to Yanne Charbonneau. Młodzieńczy i naiwny powab owego blasku świadczył o zdolnej, acz niewprawnej ręce.

Annie? A któżby inny? A matka? Hm, jest w niej coś, co nie daje mi spokoju, coś, co zobaczyłam tylko pierwszego dnia, kiedy stanęła w drzwiach na dźwięk swego imienia. Miała wówczas jaśniejszą, bardziej wyrazistą aurę. Coś mi mówi, że wciąż ją ma, tyle że dobrze ukrytą.

Rosette rysowała, dalej nucąc piosenkę bez słów. Bambambamm...  
Bambambamm...

– Idziemy, Rosette. Pora na drzemkę.

Rosette nie podniosła oczu znad kartki. Śpiew zabrzmiał nieco głośniejszym, tym razem towarzyszyło mu wybijanie rytmu obutą w sandałki stopą.  
Bambambamm...

– Rosette – upomniała łagodnie Yanne. – Czas odłożyć kredki.

Nadal zero reakcji.

– Bambambamm... Bambaddabamm...

– Ciii, Rosette!

Wyczułam napięcie Yanne. Nie było to jedynie zakłopotanie matki, której dziecko publicznie okazuje nieposłuszeństwo, raczej poczucie nadchodzącego zagrożenia. Podniosła Rosette, która dalej nadawała swoje, po czym rzuciła mi przepaszające spojrzenie.

– Przepraszam – powiedziała. – Kiedy jest zmęczona, robi się nieznośna.

– Nic nie szkodzi. Jest słodka.

Kubek z ołówkami zsunął się z lady. Ołówki potoczyły się po podłodze.

– Bam – oznajmiła Rosette.

– Muszę ją położyć – powiedziała Yanne. – Niech się wyśpi, inaczej będzie jak nakrecona.

Ponownie spojrzałam na małą. Przyszło mi do głowy, że dziewczynka wcale nie wygląda na zmęczoną. W przeciwieństwie do matki, która dosłownie padała z nóg, a jej zbyt geometryczna fryzura i tani, czarny sweter dodatkowo podkreślały przeraźliwą błądź twarzą.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

Kiwnęła głową.

Żarówka nad jej głową zamigotała. Stare domy, pomyślałam. I ich przestarzałe instalacje.

– Jesteś pewna? Coś mizernie wyglądasz.

– To zwykły ból głowy, nic mi nie będzie.

Skąd ja to znam? Słowa zabrzmiały niezbyt przekonująco; Yanne kurczowo chwyciła córkę, jakby w obawie, że spróbuję ją wyrwać.

Myślicie, że miałabym na to ochotę? Dwukrotnie wychodziłam za mąż (choć ani razu pod własnym nazwiskiem), a mimo to nigdy nie myślałam o dziecku. Nie potrzebuję komplikacji, a poza tym w mojej branży lepiej się podróżuje bez nadbagażu.

A jednak...

Trzymając rękę za plecami narysowałam w powietrzu kaktus, znak Xochipilli. [(„książę kwiatów”) w mitologii azteckiej bóg miłości, śpiewu, muzyki i tańca, a także ekstazy i zachwyty. Patron 11 dnia miesiąca.] Xochipilli o srebrnym języku jest bogiem proroctw i snów. Proroctwa niezbyt mnie interesują, ale niedbała wymiana zdań może przynieść wymierne korzyści, a w moim zawodzie przede wszystkim liczy się informacja.

Symbol załśnił, po czym rozproszył się w powietrzu niczym srebrzysty krąg dymu.

Przez chwilę nic się nie działo.

Cóż, szczerze powiedziawszy, nie spodziewałam się fajerwerków. Ale mnie zaintrygowała, poza tym, czy nie była mi czegoś winna?

Raz jeszcze narysowałam znak. Xochipilli szepejący, odkrywający tajemnice, sprzyjający zwierzeniom. Tym razem efekt przerósł moje najśmielsze oczekiwania.

Najpierw rozblęśla jej aura. Niedużo, acz zauważalnie, jak rozdmuchany ogień w palenisku. Niemal w tej samej chwili pogodna dotąd Rosette wyprężyła się w ramionach matki i zaczęła się z całej siły wyrwać. Rozmigotana żarówka pękła z głośnym trzaskiem, a piramida puszek z herbatnikami w witrynie z ogłuszającym łoskotem runęła na podłogę.

Yanne Charbonneau straciła równowagę i uskokzyła w bok, uderzając biodrem w kontuar.

Na kontuarze stała niewielka, odkryta szafka ze szklanymi miseczkami, wypełnionymi migdałami w kolorowej glazurze z cukru. Szafka zatrzęsa się, Yanne odruchowo wyciągnęła rękę... i jedno z naczyń spadło na podłogę.

– Rosette! – Yanne była bliska płaczu.

Naczynie rozprysło się w drobny mak, cukierki potoczyły się po podłodze.

Usłyszałam brzęk, ale nie odrywałam wzroku od Yanne i Rosette. Dziewczynka płonęła feerią barw, a jej matka zastygła jak słup soli.

– Pozbieram. – Pochyliłam się nad szczątkami.

– Proszę, nie...

– Daj spokój.

Czułam, że jej napięcie sięga zenitu. Z pewnością nie chodziło o rozbite naczynie: wiem z doświadczenia, że kobiety pokroju Yanne Charbonneau nie rwą szat z powodu garstki skorup. Powody mogły być różne: zły dzień, ból głowy, nieoczekiwana życzliwość obcych.

Naraz zobaczyłam to kątem oka, skulone pod ladą.

Było złocistopomarańczowe, o niewyraźnych konturach, lecz długi zakręcony

ogon i bystre oczka wyraźnie świadczyły, że mam przed sobą małpę. Wymieniłyśmy spojrzenia; wyszczerzyła na mnie spiczaste zęby, a następnie rozplynęła się w powietrzu.

– Bam – powiedziała Rosette.

Zapadła długa, długa cisza.

Podniosłam miskę: szkło z Murano, o delikatnie żłobionych brzegach. Przed chwilą z trzaskiem rozprysła się na kawałki, a oto trzymałam ją w rękach, całą i nienaruszoną. Jak gdyby nigdy nic.

Bam, pomyślałam.

Rozsypane cukierki chrzęściły mi pod stopami, co brzmiało jak zgrzytanie zębami. Yanne Charbonneau obserwowała mnie w gęstej ciszy, która otaczała nas jedwabnym kokonem.

Mogłam powiedzieć „niewiele brakowało” albo bez słowa odstawić naczynie, ale pomyślałam „teraz albo nigdy”. Trzeba kuć żelazo, póki gorąca. Kolejna szansa może się nie trafić.

Wstałam i popatrzyłam Yanne prosto w oczy, roztaczając maksimum swego czaru.

– Nic się stało – powiedziałam. – Wiem, czego ci trzeba.

Zesztywniała, przytrzymując mój wzrok, po czym na jej twarzy odmalowała się przekora i niepewność. Z uśmiechem wzięłam ją pod rękę.

– Nie ma to jak gorąca czekolada – uzupełniłam łagodnie. – Gorąca czekolada według mojego specjalnego przepisu. Chili i gałka muszkatołowa, z armaniakiem i szczyptą pieprzu. Idziemy. Bez gadania. Zabierz dzieciaka.

Bez słowa podążyła za mną do kuchni. Dopięłam swego.

**CZEŚĆ TRZECIA**

**DWA KRÓLIKI**

*Środa, 14 listopada*

Nigdy nie chciałam być czarownicą. Nawet mi się to nie śniło, chociaż matka zapewniała, że słyszała moje wołanie na kilka miesięcy przedtem, zanim pojawiłam się na scenie. Rzecz jasna tego nie pamiętam: lata mojego wczesnego dzieciństwa to zlepek miejsc, zapachów i ludzi, umykających przed oczami jak widok z okna pociągu. Granice przekraczane bez paszportu, podróżowanie pod różnymi nazwiskami, nocne ucieczki z hoteli, codzienne witanie dnia w nowym miejscu. I ciągle w biegu, jakby jedynym sposobem na przetrwanie było przemknąć każdą arterią, żyłą i naczyniem krwionośnym mapy, nie pozostawiając za sobą nic, nawet cienia.

Sama wybierasz sobie rodzinę, mówiła matka. Mój ojciec najwyraźniej nie został wybrany.

– A do czego byłby nam potrzebny, Vianne? Ojcowie się nie liczą. Jesteśmy tylko my dwie...

Prawdę mówiąc wcale za nim nie tęskniłam. Bo niby jak? Nie miałam do czego porównać jego nieobecności. Wyobrażałam go sobie jako ciemnowłosego i nieco złowrogiego mężczyznę, kto wie, może nawet krewnego Człowieka w Czerni, przed którym uciekałyśmy. Poza tym kochałam matkę, kochałam świat, który dla siebie stworzyłyśmy i który towarzyszył nam na każdym kroku, bez względu na to, gdzie byliśmy, świat poza zasięgiem zwykłych ludzi.

Jesteśmy szczególne, mawiała. Widziałyśmy różne rzeczy, miałyśmy dar. Sami wybieramy sobie rodzinę. Zawsze postępowałyśmy w myśl owej zasady, wszędzie, gdzie się znalazłyśmy. Siostra tu, babka tam, znajome twarze rozproszonego plemienia. Lecz o ile wiedziałam, w życiu mojej matki nie było mężczyzn.

Z wyjątkiem Człowieka w Czerni, ma się rozumieć.

„Czy mój ojciec był czarny?” – pytanie Anouk przyprawiło mnie o dreszcz. Sama też się nad tym zastanawiałam, gdy podążałyśmy przed siebie, barwne jak tęcza i smagane przez wiatr. Oczywiście Człowiek w Czerni nie istniał naprawdę. Przywykłam wierzyć, że mój ojciec również.

Ale i tak, dręczona ciekawością niejednokrotnie przeczesywałam tłumy w Nowym Jorku, Berlinie, Wenecji i Pradze, w nadziei, że go zobaczę, samotnego mężczyznę o ciemnych oczach podobnych do moich...

Tymczasem gnałyśmy dalej przed siebie, matka i ja. Lecz to, co najpierw sprawiało przyjemność, w miarę upływu czasu stało się przyzwyczajeniem, a następnie męczącą rutyną. Wreszcie zaczęłam myśleć, że tylko ucieczka trzyma przy życiu jej trawione nowotworem ciało.

To wówczas po raz pierwszy wspomniała o tamtej dziewczynce. Zrazu pomyślałam, że bredzi, że nadmiar środków przeciwbólowych pomieszał jej w głowie. Pod koniec naprawdę bredziła, snuła bezsensowne historie, opowiadała o Człowieku w Czerni, toczyła dyskusje sama ze sobą.

Dziewczynka o imieniu, które tak bardzo przypominało moje własne, mogła być jednym z wytworów dręczonego chorobą umysłu, archetypem, animą, wycinkiem z gazety, kolejną zbląkaną duszyczką o ciemnych włosach i oczach, porwaną sprzed sklepu pewnego deszczowego dnia w Paryżu.

Sylviane Caillou. Jedna z wielu zaginionych, zabrana w wieku osiemnastu miesięcy z fotelika samochodowego sprzed apteki w La Villette. Urowadzona wraz z torbą na pieluchy i zabawkami. Kiedy widziano ją po raz ostatni, miała na ręczce tanią srebrną bransoletkę z amuletem w kształcie kotka.

To nie byłam ja. To niemożliwe. A nawet jeśli, to po tylu latach...

Sama wybierasz sobie rodzinę, mówiła matka. Tak jak ja wybrałam ciebie, a ty mnie. Tamta kobieta... ona nie umiałaby cię kochać. Nie wiedziałaby, jak się tobą opiekować, jak przekroić jabłko, żeby pokazać ukrytą wewnątrz gwiazdę, jak zawiązać woreczek na amulet, jak przepędzić demony, wałąc w blaszany garnek, jak ukołysać wiatr do snu. Nigdy by cię tego nie nauczyła... I co, nie było nam dobrze, Vianne? Czy nie obiecywałam, że będzie nam dobrze?

Wciąż mam tego kotka. Bransoletki nie pamiętam, pewnie ją sprzedała albo komuś podarowała, zachowałam jednak mgliste wspomnienie zabawek, czerwonego pluszowego słonia i małego, brązowego misia bez oka, ukochanej przytulanki. Amulet spoczywa w szkatułce mojej matki, tania błyskotka na skrawku czerwonej wstążeczki. Leży tam razem z jej kartami i garstką innych drobiazgów: naszym wspólnym zdjęciem, na którym mam sześć lat, kaczidełkami z drewna sandałowego, paroma wycinkami z gazet, pierścieniem. Jest też rysunek, który zrobiłam w swojej pierwszej (i jedynej) szkole, w czasach gdy jeszcze planowałyśmy osiąść gdzieś na stałe.

Oczywiście nigdy go nie noszę. Nie lubię nawet go dotykać: kryje w sobie zbyt wiele tajemnic, jak zapach, który potrzebuje tylko ludzkiego ciepła, by wypełnić powietrze. Z reguły nie dotykam niczego ze szkatułki, choć nie mam odwagi jej wyrzucić. Za dużo balastu ciąży i spowalnia krok, lecz zbyt mała jego ilość sprawi,



że pofrunę z wiatrem jak dmuchawiec.

Zozie towarzyszy mi od czterech dni i jej osobowość wywiera wpływ na wszystko, czego tylko się dotknie. Nie wiem, jak to się stało, zapewne w chwili przelotnej słabości. Przecież nie miałam zamiaru zaproponować jej pracy. Zaczniemy od tego, że nie może liczyć na uczciwe wynagrodzenie, gdyż zwyczajnie mnie na to nie stać. Ona jednak uparcie twierdzi, że to nic, zaczeka, a jej obecność wydaje się tak naturalna, jakby Zozie była przy mnie przez całe życie.

Trwa to od dnia Wypadku, kiedy zrobiła czekoladę i wypiliśmy ją w kuchni, słodką i gorącą, z chili oraz posypką. Rosette wysiorbała ją ze swojego kubeczka, po czym zaczęła spokojnie bawić się na podłodze. Ja siedziałam w milczeniu, a Zozie obserwowała mnie z tym swoim uśmiechem i oczami zmrużonymi jak u kota.

Sytuacja była niecodzienna. Innego dnia, w jakimkolwiek innym czasie, byłabym lepiej przygotowana. Ale wówczas, z pierścionkiem Thierry'ego ciężącym w kieszeni, rozbrykaną Rosette u kolan, milczącą Anouk i perspektywą długiego, wypełnionego pustką dnia...

W innych okolicznościach nie odpuściłabym tak łatwo. Ale tamtego dnia...

„Nic się nie stało. Wiem, czego ci trzeba”.

Niby czego? Co ona może wiedzieć? Że stłuczone naczynie jednak ocalało? Przecież to bzdura, nikt by w *to* nie uwierzył. Nikt nie uwierzyłby też, iż stało się to za sprawą czterolatki, która nawet nie umie mówić.

– Wyglądasz na zmęczoną, Yanne – powiedziała Zozie. Musi być ciężko ogarnąć to wszystko w pojedynkę.

W milczeniu skinęłam głową.

Wspomnienie Wypadku Rosette tkwiło między nami jak ostatni kawałek urodzinowego tortu.

Nie mów tego, rozkazałam jej w duchu, tak jak wcześniej usiłowałam rozkazać Thierry'emu. Proszę, nie mów; nie ubieraj tego w słowa.

Wydało mi się, że wyczułam zwięzłą odpowiedź. Uśmiech, westchnienie, coś nieokreślonego w półcieniu. Cichy szelest kart przesyconych wonią drewna sandałowego.

Cisza.

– Nie chcę o tym rozmawiać – oznajmiłam.

Zozie wzruszyła ramionami.

– To pij.

– Widziałaś.

- Widzę różne rzeczy.
- Na przykład?
- Widzę, że jesteś zmęczona.
- Źle sypiam.

Przez chwilę spoglądała na mnie w milczeniu. Nakrapiane złotymi cętkami oczy, nieodparte wspomnienie lata. Powinnam znać twój przysmak, pomyślałam na wpół sennie. Może po prostu straciłam smykałkę...

– Wiesz co? – powiedziała wreszcie. – Pozwól, że zajmę się twoim sklepem. Wychowałam się za ladą, wiem, na czym to polega. Weź Rosette i idźcie się położyć. Gdybym cię potrzebowała, zawołam. No już. To mój żywioł.

Było to zaledwie cztery dni temu. Od tamtej chwili nie nawiązywałyśmy do owego zdarzenia. Rosette oczywiście jeszcze nie rozumie, że w prawdziwym świecie naczynie musi pozostać stłuczone, choćbyśmy za wszelką cenę pragnęli tego uniknąć. A Zozie nie wróciła do tematu, za co jestem jej bardzo wdzięczna. Naturalnie wie, że COS się stało, ale najwyraźniej przeszła nad tym do porządku dziennego.

– W jakim sklepie się wychowałeś, Zozie?  
– W księgarni. No wiesz, New Age i te rzeczy.  
– Naprawdę?  
– Moja matka bardzo się tym wszystkim interesowała. Komercyjna magia, karty tarota. Sprzedawała świece i kadzidelka zagorzałym hipisom z okropnymi włosami i bez grosza przy duszy.

Uśmiechnęłam się, choć ta wiadomość nieco mnie zaniepokoiła.

– Ale to było dawno temu – dodała Zozie. – I już niewiele pamiętam.  
– Ale czy nadal... wierzysz? – zapytałam.

Uśmiechnęła się lekko.

– Wierzę, że dużo zależy od nas samych.

Cisza. – A ty?

– Też kiedyś w to wierzyłam – odpowiedziałam. – Ale już nie.

– Wolno spytać, dlaczego?

Potrząsnęłam głową.

– Może kiedyś.

– W porządku – skwitowała.

Wiem, wiem. To niebezpieczne. Każda, choćby błaha decyzja ma swoje konsekwencje. Magia kosztuje. Minęło dużo czasu, zanim to do mnie dotarło – najpierw Lansquenet, potem Les Laveuses – lecz teraz, gdy konsekwencje naszej

wędrówki rozchodzą się jak kręgi na wodzie, stało się to jasne jak słońce.

Weźmy na przykład moją matkę, hojnie szafującą szczęściem i pomyślnością, podczas gdy rak rósł w niej jak procent na lokacie bankowej, której istnienia nawet się nie domyślała. Wszechświat zamyka księgi. Każde, choćby najmniejsze zaklęcie, urok czy kółko na piasku mają swoją cenę. Należy spłacić dług, co do grosza. I to własną krwią.

Równowaga musi zostać zachowana. Za każdy łut szczęścia należy się jeden cios, a za każdą osobę, do której wyciągnęliśmy pomocną dłoń, ucierpi ktoś inny. Czerwona saszetka nad naszymi drzwiami oznacza, że gdzieś pada cień. Świeca zapalona, by odwrócić zły los, to pożar po drugiej stronie ulicy. Festiwal czekolady, śmierć przyjaciela.

Pech.

Wypadek.

To dlatego nie mogę się zwierzyć Zozie. Za bardzo ją polubiłam, by stracić jej zaufanie. Dziewczynki chyba też ją lubią. Jest w niej coś młodzieńczego, coś, co czyni ją bliższą Anouk niż mnie i sprawia, że jest bardziej przystępna.

Może to jej włosy, długie i rozpuszczone, z różowym kosmykiem z przodu. Albo kolorowe ciuchy z lumpeksu, zestawione z dziecięcą przesadą i fantazją, a przy tym dziwnie pasujące do jej osoby. Dziś ma na sobie błękitną sukienkę z lat pięćdziesiątych, z zakładkami na wysokości talii i deseniem w żaglówki. Na nogi włożyła żółte baletki, trochę nieodpowiednie jak na listopadową aurę, ale co to ją obchodzi? Jej nic nie obchodzi.

Pamiętam, że kiedyś też taka byłam. Pamiętam tę przekorę. Ale macierzyństwo zmienia wszystko. Macierzyństwo przemienia nas w istoty tchórzliwe, tchórzliwe i kłamliwe. Czasami jeszcze gorzej.

Les Laveuses. Anouk. I... ach! Tamten wiatr.

Cztery dni, a ja wciąż nie mogę uwierzyć, że Zozie pomaga mi nie tylko przy Rosette, jak niegdyś madame Poussin, ale i w sklepie. Owija, pakuje, sprząta, zamawia. Twierdzi, że bardzo jej się to podoba, że zawsze chciała pracować w *chocolaterie*, a mimo to nigdy nie podjada, jak miała w zwyczaju czynić madame Poussin, ani nie wykorzystuje swej pozycji, prosząc o darmowy przydział.

Jeszcze nie wspomniałam o niej Thierry'emu. Sama nie wiem dlaczego; czuję tylko, że nie będzie zadowolony. Może z powodu mojej samowolnej decyzji, a może z powodu samej Zozie, która w niczym nie przypomina statecznej madame Poussin.

Wobec klientów jest przyjazna i (czasem niepokojąco) bezpośrednia. Gdy

pakuje i odważa czekoladki, usta wprost jej się nie zamykają. Pokazuje nowości, doradza. Ma dar skłaniania ludzi do zwierzeń; troskliwie pyta o bolące plecy madame Pinot i zawsze utnie sobie pogawędkę z listonoszem. Zna przysmaki Nico, bezwstydnie flirtuje z Jeanem-Loupem i Paulpaul'em, którzy czyhają na klientów w okolicach „Le P'tit Pinson”, a także dyskutuje z Richardem i Mathurinem, dwoma starymi, jak ich nazywa, „patriotami”, którzy zjawiają się w kawiarni o ósmej rano i rzadko wychodzą przed kolacją.

Zna imiona szkolnych koleżanek Anouk, pyta o nauczycieli, doradza mojej córce w kwestii ubioru. A przy tym nie przekracza pewnych granic, zadając pytania, przed którymi na jej miejscu nikt by się nie zawahał.

Budzi we mnie podobne odczucia jak niegdyś Armande Voizin z Lanquenet. Brawurowa, figlarna, niepoprawna Armande; czasem wciąż widzę kątem oka jej czerwone halki i nieraz stoję jak wryta na dźwięk głosu, który dociera do mnie z zaświatów podobnie jak głos mojej matki.

Oczywiście nie łączy ich fizyczne podobieństwo. Kiedy poznałam Armande, miała osiemdziesiąt lat, była zasuszonej, stara i kłóliwa. Mimo to dostrzegam u Zozie jej fantazję i nieposkromiony apetyt na życie. Skoro zaś Armande posiadała iskrę tego, co moja matka nazywała „magią”...

Ale teraz o tym nie rozmawiamy. Na mocy cichego porozumienia w ogóle nie poruszamy owego tematu. Jeden, choćby najmniejszy przejaw niedyskrecji, a domek z kart raz jeszcze pójdzie z dymem. Zdarzyło się to w Lansquenet, w Les Laveuses oraz w stu innych miejscach. Ale koniec z tym. Basta. Tym razem zostaniemy na dobre.

Dziś przyszła wcześniej, w momencie gdy Anouk wychodziła do szkoły. Zostawiłam ją samą na niespełną godzinę, tylko żeby wziąć Rosette na spacer, a po powrocie sklep wydał mi się jakby jaśniejszy, mniej zagracony i ładniejszy. Zmieniła dekorację w witrynie, przykrywając piramidę puszek płachtą granatowego aksamitu, a na szczycie ustawiła parę lśniących, rubinowych pantofelków na wysokim obcasie, wypełnionych po brzegi czekoladkami w złotych i czerwonych sreberkach.

Efekt jest cokolwiek ekscentryczny, ale przykuwa oko. Pantofle – rubinowe czółenka, które miała na nogach pierwszego dnia – zdają się lśnić w mrocznym wnętrzu, a słodczyce wysypują się z nich jak barwne okruchy światła.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zła – powiedziała Zozie, kiedy weszłam do środka. – Uznałam, że przydałoby się trochę retuszu.

– Podoba mi się – odrzekłam. – Buty i czekolada.

Zozie uśmiechnęła się kpiąco.

– Moje dwie bliźniacze pasje.

– A... co lubisz najbardziej? – spytałam delikatnie. Chodziło mi nie tyle o samą informację, ile o zaspokojenie zawodowej ciekawości. Minęły cztery dni, a ja nie jestem choćby o krok bliżej od rozwiązania zagadki.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko. Ale kupne czekoladki to nie to samo, prawda? Mówiłaś, że kiedyś robiłaś je sama...

– Owszem. Wtedy miałam więcej czasu...

Spojrzała z ukosa.

– Przecież masz mnóstwo czasu. Ja zajmę się sprzedażą, a ty możesz odprawiać swoje czary na zapleczu.

– Czary?

Ale Zozie już snuła plany, pozornie nieświadoma wpływu własnych słów. Najpierw trufle własnej roboty, mówiła, najłatwiejsze ze wszystkich, a potem może *mendiants* (moje ulubione), medaliony posypane migdałami, wiśniami i żółtymi, mięsistymi sułtankami.

Mogłabym je zrobić z zamkniętymi oczami. Nawet dziecko umie zrobić *mendiants*: Anouk często pomagała mi w czasach Lansquenet, wybierając najpulchniejsze rodzynki i najśłodsze wiśnie (zawsze odkładała hojną porcję dla siebie), którymi następnie ozdabiała krążki roztopionej czekolady, mlecznej lub deserowej.

Od tamtej pory nie robiłam *mendiants*. Za bardzo przypominają mi dawne dni, maleńką piekarnię ze snopem nad drzwiami, Armande, Josephine, Roux...

– Czekoladki własnej roboty są droższe, będziesz mogła podnieść ceny – paplała niefrasobliwie Zozie. – Można by też zrobić tu trochę miejsca, postawić kilka krzeseł – wskazała mi miejsce. – Ludzie mogliby usiąść, zamówić czekoladę do picia, zjeść kawałek ciasta... Byłoby miło, prawda? To znaczy swojsko i przytulnie. Aż chciałoby się tu zagłębiać.

– Hm.

Ogarnęły mnie wątpliwości. To za bardzo przypominałoby Lansquenet. *Chocolaterie* powinna pozostać tylko sklepem, a klienci klientami, nie przyjaciółmi. Inaczej bowiem któregoś dnia stanie się to, co nieuniknione, a raz uchylone wieko nie da się z powrotem domknąć. Poza tym z góry znałam zdanie Thierry'ego...

– Raczej nie – odparłam w końcu.

Zozie łypnęła na mnie bez słowa. Czułam, że w jakiś sposób sprawiłam jej zawód. Niedorzeczne uczucie, a jednak...

Od kiedy stałam się taka strachliwa, pytam? I od kiedy tak się wszystkim przejmuję? Mówię oschłym, marudnym głosem, jak jakaś świętoszka. Ciekawe, czy Anouk też to słyszy...

– Jak chcesz. Tak mi tylko przyszło do głowy.

A co mi szkodzi, pomyślałam. Przecież to tylko czekolada, kilka partii trufli, żeby nie wyjść z wprawy. Thierry uzna, że marnuję czas, ale co tam. Co mnie to obchodzi?

– No cóż... pewnie mogłabym przygotować kilka pudełek na święta.

Mam jeszcze rondle, miedziane i emaliowane; starannie owinięte leżą w piwnicy. Zachowałam nawet granitową płytę, na której hartuję roztopioną czekoladę, specjalne termometry, formy plastikowe i ceramiczne, chochle, skrobaczki i czerpaki. Wszystko czeka, wymyte i gotowe do użycia. Rosette byłaby zachwycona, pomyślałam. A Anouk...

– Świetnie! – zawołała Zozie. – Mogłabyś mnie nauczyć.

Hm, czemu nie? Ostatecznie cóż w tym złego?

– No dobrze – odpowiedziałam. – Spróbuję.

Zatem klamka zapadła. Zgoła nieprzewidziany powrót do branży, nie ma co. A jeśli nadal mam wątpliwości...

Parę trufli jeszcze nikomu nie wyrządziło krzywdy. Tak samo taca *mendiants* bądź jedno lub dwa ciasta. Życzliwi nie zaprzatają sobie głowy czymś równie trywialnym jak pralinki.

Taką mam przynajmniej nadzieję: Vianne Rocher, Sylvie Caillou, a nawet Yanne Charbonneau z każdym dniem odpływają coraz dalej, ulotne niczym dymy na wietrze, stając się historią, przypisem, nazwiskiem na wyblakłej liście.

Pierścionek na prawej ręce, od dawna nienawykłej do biżuterii, drażni i uwiera. Nazwisko, Le Tresset, zdaje się jeszcze bardziej obce. Przymierzam je jak ubranie, na poły z rozbawieniem, na poły z powagą.

Yanne Le Tresset.

To tylko nazwisko.

„Chrzaniś – mówi Roux, zawodowy kameleon, Cygan i bystry obserwator rzeczywistości. – To nie tylko nazwisko. To całe zdanie”.

*Czwartek, 15 listopada*

Stało się. Nosi jego pierścionek. Musiało paść akurat na Thierry'ego, który nie znosi jej gorącej czekolady i nawet nie zna jej prawdziwego imienia. *Maman* twierdzi, że to nie było zaplanowane. I że sama musi się przyzwyczaić. Tak jak z butami, które trzeba rozchodzić, nim na dobre dopasują się do stopy.

Cichy ślub, mówi *maman*. Urząd stanu cywilnego, żadnego księdza, żadnego kościoła. Ale z góry wiadomo, jak to się skończy. Thierry dopnie swego i urządzi weselicho, ze mną i Rosette w identycznych sukienkach. Zgroza.

Powiedziałam to Zozie, która zrobiła śmieszoną minę i stwierdziła, że „swój ciągnie do swego”. Zabrzmiało to bardzo zabawnie, bo nawet ślepy widzi, że ci dwoje pasują do siebie jak pięść do nosa. Miłość, dobre sobie.

Cóż, może on jest zakochany. Co on tam wie. Wczoraj wieczorem zabrał nas do miasta, tym razem nie do „Le P'tit Pinson”, tylko do drogiej restauracji nad rzeką, skąd mogliśmy oglądać przepływające łodzie. Miałam na sobie sukienkę i Thierry łaskawie zauważył, że ładnie wyglądam, chociaż powinnam była się uczesać. Rosette została w sklepie pod opieką Zozie, gdyż Thierry stwierdził, że to nie miejsce dla maluchów (ale dla nas wszystkich było jasne, dlaczego naprawdę jej nie zabrał).

*Maman* włożyła pierścionek zaręczynowy. Tłusty, wstrętny brylant przysiadł na jej palcu jak lśniący robak. W sklepie go nie nosi (za bardzo przeszkadza), wczoraj zaś bez przerwy obracała go na palcu, jakby ją uwierał.

„Przyzwyczyłaś się już?” – pyta Thierry. Zupełnie jakbyśmy mogły się przyzwyczaić – do pierścionka, do niego i do tego, jak nas traktuje: jakbyśmy były rozpuszczonymi dziećmi, które łatwo omamić błyskotką i przekupić. Na dodatek dał *maman* telefon komórkowy, żeby być „w kontakcie” („aż trudno uwierzyć, że nigdy go nie miałaś”). Potem wypiliśmy szampan (którego nie cierpię), zjedliśmy ostrygi (fuj), a na deser zamówiliśmy suflet czekoladowy, dosyć smaczny, chociaż nie dorastał do pięt sufletom *maman* i do tego był tyci.

Thierry tryskał humorem za nas troje, nazywał mnie *jeune filie* i gadał o *chocolaterie*. Podobno znów wybiera się do Londynu i chce namówić *maman* na wspólny wyjazd. Wykreśliła się przedświąteczną gorączką w sklepie.

– Coś podobnego! – zdumiał się Thierry. – A mówiłaś, że interes się nie kręci.

– Chcę wypróbować coś nowego – wyjaśniła *maman* i opowiedziała mu o pomysły z truflami, tymczasowym zatrudnieniu Zozie i przyniesieniu z piwnicy starych przyborów. Mówiła długo i miała zaróżowioną twarz, jak zawsze, kiedy jest przejęta. Im dłużej mówiła, tym cichszy i poważniejszy stawał się Thierry. Wreszcie umilkła z zakłopotaną miną.

– Wybacz – powiedziała. – Pewnie nie masz ochoty tego wysłuchiwać.

– Ależ skąd – zaprzeczył Thierry. – I to wszystko pomysł Zozie, tak? – Nie wyglądał na zbyt zadowolonego.

– Bardzo ją lubimy – odrzekła z uśmiechem *maman*. Prawda, Anouk?

Potwierdziłam.

– Ale czy twoim zdaniem nadaje się na kierowniczkę sklepu? Nie przeczę, że pewnie jest w porządku, jednak na dłuższą metę będziesz potrzebować kogoś lepiej wykwalifikowanego niż kelnerka, którą podkupiłaś Laurentowi...

– Kierowniczkę sklepu? – powtórzyła *maman*.

– No, przecież po ślubie nie będziesz sama go prowadzić.

Po ślubie. O rany.

*Maman* uniosła głowę i lekko zmarszczyła brwi.

– No tak, wiem, że chcesz go sobie zostawić, ale chyba nie musisz cały czas być na miejscu. Będziemy mieli ciekawsze zajęcia. Będziemy podróżować, zwiedzać świat...

– Dosyć się nazwiedzałam – odparła trochę zbyt szybko i Thierry spojrzał na nią dziwnie.

– Chyba nie sądzisz, że wprowadzę się do mieszkania nad sklepem – spytał z uśmiechem, że niby to żartuje. Ale nie żartował, słyszałam to w jego głosie.

*Maman* bez słowa odwróciła wzrok.

– A ty, Annie? – zwrócił się do mnie. – Założę się, że chciałabyś zobaczyć trochę świata. Na przykład Amerykę? Byłoby ekstra, nie?

Nie cierpię, jak mówi „ekstra”. Ludzie kochani, on ma co najmniej pięćdziesiąt lat! Wiem, że się stara, ale to żalosne, nie uważacie?

Gdy Zozie mówi „ekstra” brzmi to zupełnie inaczej, bo naprawdę tak myśli. Zupełnie jakby sama wymyśliła to słowo. Ameryka byłaby ekstra, ale tylko z Zozie. Nawet *chocolaterie* wygląda teraz jakoś bardziej ekstra, ze złotym lustrem naprzeciw starej, szklanej gabloty i rubinowymi czółenkami, które kuszą w witrynie jak czarodziejskie pantofelki pełne klejnotów.

Gdyby tu była Zozie, zaraz dałaby mu popalić, pomyślałam przypominając sobie Jeanne Moreau z angielskiej herbaciarni. I zrobiło mi się głupio, jakbym



miała coś na sumieniu i sama myśl o tym mogła spowodować Wypadek.

Zozie miałyby to w nosie, szepnął przekorny głosik w mojej głowie. Zozie zrobiłaby to, na co miałyby ochotę.

Czy to byłoby takie złe, zapytałam się w duchu. Naturalnie, że tak. A jednak...

Tego ranka, kiedy szykowałam się do szkoły, zobaczyłam Suze, stojącą z nosem przyklejonym do witryny. Na mój widok odwróciła się i uciekła (nadal ze sobą nie gadamy), a ja poczułam się tak okropnie, że musiałam przysiąc na starym fotelu przytaszczonym przez Zozie i wyobrazić sobie zasłuchanego Pantoufle'a, wpatzonego we mnie czarnymi oczkami.

Wiecie, nie chodzi nawet o to, że tak bardzo ją lubię. Ale na początku była naprawdę super; przychodziła do *chocolaterie* i rozmawiałyśmy albo oglądałyśmy telewizję, a czasem szłyśmy na Place du Tertre i obserwowałyśmy portrecistów przy pracy. Kiedyś, na jednym ze straganów kupiła mi różowy, emaliowany wisiołek, małego pieska z podpisem „Najlepszy Przyjaciel”.

Wisiołek był tani, a ja nigdy nie przepadałam za różowym kolorem, ale nigdy też nie miałam Najlepszego Przyjaciela, przynajmniej prawdziwego. Gest Suze sprawił mi przyjemność, chociaż nie pamiętam, kiedy ostatnio nosiłam ten wisiołek.

A potem zjawiała się Chantal.

Doskonałą, popularna Chantal o idealnych blond włosach i w idealnych ciuchach, z wiecznie pogardliwym spojrzeniem na świat. Teraz Suze chce się do niej upodobnić, ja zaś jestem piątym kołem u wozu albo (jeszcze częściej) popychadłem.

To niesprawiedliwe. No bo kto o tym decyduje? Kto zdecydował, że Chantal jest najpopularniejszą dziewczyną w klasie, skoro nigdy nie stanęła w niczyjej obronie i dba wyłącznie o własny zasmarkany interes? Co sprawia, że Jean-Loup Rimbault jest bardziej lubiany niż Claude Meunier? A inni? Mathilde Chagrin albo dziewczęta w czarnych chustach? Co sprawiło, że znalazły się na marginesie? A co ze mną?

Siedziałam pogrążona w rozmyślaniach, i nie zauważyłam, kiedy weszła Zozie. Chodzi cicho jak kot, nawet ja tak nie umiem. To dziwne, zwłaszcza że dziś miała na nogach drewniaki, w których nie sposób stapać bezszelestnie. Na dodatek w odcieniu fuksji, przez co wyglądały bajecznie.

– Z kim rozmawiałaś?

Zrozumiałam, że ostatnie zdanie wypowiedziałam na głos.

– Z nikim. Sama z sobą.

– No cóż, nie ma w tym nic dziwnego.

– Chyba nie. – Ogarnęło mnie zakłopotanie; nadal czułam obecność wpatrzonego we mnie Pantoufle'a. Marszczył nosk zupełnie jak prawdziwy królik. W chwilach zdenerwowania widzę go wyraźniej, dlatego powinnam unikać mówienia do siebie. Poza tym *maman* zawsze podkreśla różnicę pomiędzy tym, co istnieje naprawdę, a co nie. Kiedy zacierają się granice, dochodzi do Wypadków.

Zozie uśmiechnęła się, po czym złączyła kciuk i palec wskazujący, jakby pokazywała, że „wszystko gra”. Popatrzyła na mnie przez to kółko i opuściła rękę.

– Wiesz, w dzieciństwie także często mówiłam do siebie. A raczej do mojego wymyślonej przyjaciółki. Rozmawiałam z nią na okrągło.

Sama nie wiem, dlaczego się zdziwiłam. – Ty?

– Miała na imię Mindy – ciągnęła Zozie. – Mama nazywała ją duchem przewodnim. Tak, moja matka wierzyła w takie rzeczy. Właściwie to wierzyła we wszystko, w kryształy, magię delfinów, w uprowadzenia przez kosmitów, w yeti. Taka z niej była ufna duszyczka. – Uśmiechnęła się ironicznie. – Ale w niektórych przypadkach miała rację. Prawda, Nanou?

Nie wiedziałam, *co* odpowiedzieć. „W niektórych przypadkach miała rację”. Cóż to mogło oznaczać? Poczułam się nieswojo, a zarazem ogarnęło mnie podniecenie. Przecież nie chodziło tylko o zbieg okoliczności albo o Wypadek, taki jak na przykład w herbaciarni. Zozie mówiła o prawdziwej magii, w dodatku czyniła to z powagą i otwarcie, jakby nie chodziło o dzieciinną zabawę, z której niedługo miałam wyrosnąć.

Ona naprawdę w to wierzyła.

– Muszę lecieć. – Chwyciłam torbę i ruszyłam w kierunku drzwi.

– Powtarzasz się. Co to jest? Kot? – Przymknęła jedno oko i raz jeszcze spojrzała na mnie przez dwa złączone czubkami palce.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedziałam.

– Mały, wielkie uszy.

Wytrzeszczyłam oczy. Zozie nie przestawała się uśmiechać.

Wiem, że nie powinnam o tym mówić. Rozmowa tylko pogarsza sprawę. Ale nie chciałam jej okłamywać. Zozie nigdy mnie nie okłamuje.

Westchnęłam.

– Królik. Nazywa się Pantoufle.

– Ekstra – powiedziała Zozie.

I na tym stanęło.

*Piątek, 16 listopada*

Kolejny punkt dla mnie. Ponownie wchodzę do gry. Wystarczy jedno celne uderzenie i piñata zaczyna pękać. Matka to słabe ogniwo: kiedy Yanne przechodzi na moją stronę, Annie podąża za nią jak w dym.

Cudowne dziecko. Taka młoda, a jaka bystra. Mogłabym z nią zrobić wspaniałe rzeczy, jeśli tylko matka zejdzie nam z drogi. Wszystko po kolei, dobrze? Jeden nieostrożny ruch i tyle po mojej przewadze. Mała jest ostrożna i wciąż może się wycofać, jeśli zacznę za bardzo naciskać. Dlatego poczekam i popracuję tymczasem nad Yanne, co – muszę przyznać – bardzo mnie bawi. Samotna matka, ze sklepem na głowie i małym dzieckiem wiecznie pod nogami... zobaczycie, że niebawem stanę się jej prawą ręką, powiernicą i przyjaciółką. Potrzebuje mnie, a Rosette ze swą nieokiełznaną ciekawością świata i talentem do pakowania się w kłopoty da mi pretekst.

Rosette coraz bardziej mnie intryguje. Mała jak na swój wiek, o trójkątnej twarzyczce i szeroko osadzonych oczach, przemieszcza się na czworakach jak kot (zdecydowanie woli to niż chodzenie na dwóch nogach), wkłada palce w szczeliny boazerii, raz po raz otwiera i zamyka drzwi kuchenne bądź układa na podłodze długie, misterne wzory z przeróżnych drobiazgów. Nie można spuszczać jej z oka: zwykle dość grzeczna, wydaje się nie znać poczucia zagrożenia. W przyływach frustracji lub złości miewa (często bezgłośnie) ataki, polegające na gwałtownym kołysaniu się na boki, łącznie z waleniem głową w podłogę.

– Co jej jest? – spytałam Annie.

Spojrzała czujnie, jakby oceniała, czy bezpiecznie będzie zdradzić sekret, czy może zachować milczenie.

– Właściwie to nikt nie wie – odpowiedziała. – Kiedyś badał ją jeden lekarz, jak była całkiem mała. Powiedział, że być może mamy do czynienia z *cri-du-chat*, [(fr.), czasami *cat cry syndrome* (ang.) – zespół kociego krzyku lub zespół miauczenia kota, choroba genetyczna.] ale nie był pewien. Więcej do niego nie poszliśmy.

– *Cri-du-chat*? – Nazwa przywodziła na myśl średniowieczną przypadłość, spowodowaną miauczeniem kota.

– Płakała jak kot. Nazywałam ją Kocim Dzieckiem. – Roześmiała się, po czym szybko uciekła spojrzeniem w bok, jakby się zawstydzila, jakby nawet nie należało

o tym wspominać. Nic jej nie jest – uzupełniła. – Po prostu jest inna, i tyle.

Inna. Znowu to słowo. Podobnie jak „Wypadek”, niesie swoisty ciężar, coś, co wykracza poza ogólnie rozumiane pojęcie. Tak, tak, Rosette często przydarza się to i owo. Wyczuwam jednak, że chodzi o coś więcej aniżeli wlewanie mydlin do kaloszy, wkładanie grzanek do odtwarzacza wideo bądź robienie palcem dziur w serze dla niewidzialnych myszy.

W obecności Rosette nietrudno o Wypadek. Na przykład naczynie z Murano: mogłabym przysiąc, że się stłukło, choć teraz wcale nie dałabym za to głowy. Albo światła, które zapalają się i gasną, chociaż nikogo nie ma w pokoju. Tak, to może być z powodu przestarzałej instalacji. Pewnie mam wybujałą wyobraźnię. Może tak, a może nie, jak mawiała moja matka. Poza tym nie mam w zwyczaju zmyślać.

W ciągu ostatnich kilku dni uwijałyśmy się jak w ukropie. Sprzątanie, przemeblowywanie, zamawianie towaru.

Trzeba też było poznosić z piwnicy miedziane rondle i formy Yanne: mimo starannego przechowywania wiele garnków pokryło się osadem i podczas gdy ja zajmowałam się sklepem, Yanne musiała je na nowo wyszorować i wypolerować, aż zaczęły lśnić jak dawniej.

– Robię to tylko dla zabawy – powtarza, jakby zawstydzona własnym entuzjazmem, który uważa za dziecinny i niedorzeczny. – To przecież nic poważnego.

Cóż, z mojego punktu widzenia rzecz prezentuje się całkiem poważnie. Żadnej zabawy nie da się tak metodycznie zaplanować.

Kupuje tylko najlepszą kuwerturę od dostawcy z okolic Marsylii, za wszystko płaci gotówką. Na początek tuzin bloków każdego rodzaju, mówi, ale ja już widzę, że to nie wystarczy. Podobno robiła kiedyś własnoręcznie cały asortyment, i choć przyznaję, że początkowo nie chciało mi się w to wierzyć, jej obecne zaangażowanie świadczy dobitnie, że nic a nic nie przesadzała.

Robota dosłownie pali jej się w rękach; widok całego procesu działa na obserwatora nadzwyczaj kojąco. Najpierw roztapianie i krystalizacja surowej kuwertury, dzięki czemu zyskuje ona połysk i gładkość konieczne do przygotowania trufli. Yanne używa do tego granitowej płyty: wylewa roztopioną czekoladę i wygładza ją szpatułką. Następnie masa wraca do ciepłego rondla i cały proces odbywa się na nowo dopóty, dopóki Yanne nie uzna, że wystarczy.

Rzadko korzysta z termometru. Mówi, że robi czekoladki od tak dawna, że na oko umie określić temperaturę. Jestem skłonna w to uwierzyć: obserwuję ją od

trzech dni i ani razu nie popełniła błędu. W tym czasie nauczyłam się sprawdzać, czy w gotowym produkcie nie ma smug bądź bladych zacieków świadczących o złej krystalizacji, wiem też, że połysk i równomierna łamliwość świadczą o czekoladzie doskonałej jakości.

Trufle są łatwe, przekonuje Yanne. Annie umiała je robić w wieku czterech lat. Teraz kolej na Rosette, która z powagą toczy kulki po obsypanym kakao pergaminie, a oczy błyszczą jej w usmarowanej twarżyczce jak ślepka dzikiego zwierzątka...

Po raz pierwszy słyszę głośny śmiech Yanne.

Ach, Yanne. Ta słabość.

Tymczasem ja też nie próżnuję. W moim interesie jest, aby sklep prosperował jak najlepiej, toteż nie szczędzę wysiłków, by zwiększyć jego atrakcyjność. Yanne jest przewrażliwiona, więc muszę działać ostrożnie, jednakże symbole Kłacza Kukurydzy Cinteotla i Ziarna Kakaowca Pani Krwawego Księżyca, wydrapane nad framugą i zakłete w schodach powinny sprawić, że interes się rozkręci.

Wiem, co kto lubi, Vianne. Widzę to w ich aurze. Wiem też, że dziewczyna z kwiaciarni żyje w strachu, a kobieta z pieskiem ma nieustanne poczucie winy. Natomiast gruby młodzieniec, który gada jak nakręcony, umrze przed upływem trzydziestego roku życia, jeśli nie zgubi trochę wagi.

To dar, wiesz. Umiem określić, czego potrzebują. Umiem powiedzieć, czego się boją, mogę sprawić, że zatańczą, jak im zagram.

Gdyby moja matka wybrała podobną drogę, nie musiałaby się tyle w życiu naszarpać. Ale ona nie ufała mojej magii, nazywała ją wtykaniem nosa w cudze sprawy i twierdziła, że tak niedobre wykorzystywanie moich umiejętności jest w najlepszym razie samolubne, a w najgorszym ściągnie na nas obie straszliwą karę.

– Pamiętaj Credo Delfina – powtarzała do znudzenia. – Kto zdaje się na łaskę bałwanów, musi utonąć. – Rzecz jasna Credo Delfina roiło się od podobnych bzdur, lecz mój System posiadał już wówczas solidne fundamenty i od dawna wiedziałam, że po pierwsze nie dla mnie droga Delfina, a po drugie bałwany to mój żywioł.

Pytanie tylko, od czego zacząć? Od Yanne czy Annie? Od Laurenta Pinsona czy madame Pinot? Tyle splecionych ze sobą życiorysów, tyle marzeń, tajemnic, aspiracji, skrywanych wątpliwości, ponurych rozmyślań, zapomnianych namiętności, niewyrażonych pragnień. Wystarczy, że ktoś taki jak ja wyciągnie rękę i może brać, kosztować...

Rano przyszła dziewczyna z kwaciarni.

– Zobaczyłam witrynę – szepnęła. – Wygląda prześlicznie, aż musiałam zajrzeć do środka.

– Alice, prawda? – zapytałam.

Skinęła głową, czujnie łypiąc na dekoracje, wystraszona jak osaczone zwierzę.

Wszyscy wiemy, że Alice jest chorobliwie nieśmiała. Chowa się za zasłoną włosów, a jej głos *to* szmer strumyka. Obwiedzione czarnym ołówkiem ładne oczy wyzierają spod gęstej, tlenionej grzywki, a chude kolana wystają spod niebieskiej sukienki, która mogła kiedyś należeć do dziesięciolatki. Masywne koturny ciążą na patykowatych nogach.

Najbardziej lubi ciągutki z mlecznej czekolady, ale zawsze kupuje tabliczki deserowe, gdyż mają o połowę mniej kalorii. Ma aurę podszytą strachem.

– Ładnie pachnie – zauważyła, pociągając nosem.

– Yanne robi pralinki.

– Robi? Sama?

Posadziłam ją na starym fotelu, który znalazłam na śmietniku przy Rue de Clichy. Sfatygowany, ale wygodny, zresztą niedługo się nim zajmę, podobnie jak całym sklepem.

– Proszę spróbować – zachęciłam. – Na koszt firmy.

Oczy jej rozblęły.

– Właściwie to nie powinnam...

– Przekroję na pół. Podzielimy się – odrzekłam, przysiadając na poręczu fotela. Tak łatwo narysować paznokciem uwodzicielski znak Ziarna Kakaowca, tak łatwo patrzeć przez Dymiące Zwierciadło, jak nieśmiało skubie swoją połówkę truflii.

Znam ją na wylot. Widziałam ją wiele razy. Nerwowe dziecko, zawsze świadome własnych niedociągnięć, świadome, że odstaje od reszty. Ma dobrych, lecz ambitnych rodziców, którzy stawiają wysokie wymagania i nie kryją, że porażka nie wchodzi w grę; oni i ich mała córeczka zasługują tylko na to, co najlepsze. Dziewczynka nie je śniadania; nowe, ekscytujące poczucie kontroli nad własnym ciałem uderza jej do głowy. Zwycięsko przechodzi kolejną próbę i nagradza się za wytrwałość. I oto siedzi przede mną („grzeczna dziewczynka, stara się jak może”), dwudziestotrzyletnia, chociaż wygląda na trzynaście lat, i wciąż nie dość dobra, nie dość przystosowana...

Dokończyła truflę.

– Mmmm – mruknęła.

Ostentacyjnie zjadłam swoją połówkę.

– Praca tutaj musi być bardzo ciężka.

– Ciężka?

– No, znaczy się niebezpieczna. – Zarumieniła się lekko. – Wiem, że to głupio brzmi, ale tak właśnie myślę. Cały dzień w otoczeniu czekoladek... wśród tylu zapachów... Nieśmiałość powoli zaczęła ją opuszczać. – Jak pani to robi? Jakim cudem nie opycha się pani tymi wszystkimi pysznościami?

Uśmiechnęłam się z rozbawieniem.

– A skąd pani wie, że się nie opycham?

– Jest pani taka szczupła – odpowiedziała Alice (w sumie to bez trudu mogłabym jej dodać jakieś dwadzieścia kilo).

– Zakazany owoc – skwitowałam ze śmiechem. – Kusi najbardziej. Proszę jeszcze się poczęstować.

Potrząsnęła głową.

– Czekolada – oznajmiłam. – *Theobroma Cacao*, strawa bogów. Zmielone ziarna kakaowca, chili, cynamon i odrobina cukru dla stłumienia goryczy. Tak dwa tysiące lat temu przyrządzali ją Majowie. Używali jej podczas ceremonii, dla dodania sobie odwagi. Dawali ją swoim ofiarom tuż przed tym, zanim wyrwali im serce. I pokrzepiali się nią w ciągu wielogodzinnych orgii.

Popatrzyła na mnie wytrzeszczonymi oczami.

– Zatem, jak pani widzi, czekolada może być niebezpieczna – uzupełniłam z uśmiechem. – Lepiej za dużo nie jeść.

Uśmiechałam się też, gdy wychodziła ze sklepu z tuzinem trufli.

Tymczasem w innym życiu...

Francoise Lavery trafiła na pierwsze strony gazet. Wychodzi na to, że myliłam się co do kamer bankowych, policja dysponuje bowiem całkiem niezgorszym zestawem zdjęć z mojej ostatniej wizyty i któraś ze współpracownic rozpoznała Francoise. Naturalnie dalsze śledztwo wykazało, że nie ma żadnej Francoise, a jej życiorys był od początku do końca jedną wielką fikcją. Konsekwencje były raczej do przewidzenia. W wieczornym dzienniku zamieszczono ziarnistą fotografię grupową, na której widnieje Francoise, i zasugerowano w artykule, iż mogły ją kierować bardziej zbrodnicze motywy aniżeli zwykła chęć zysku. Możliwe też, zachłystywał się „Paris-Soir”, że mamy do czynienia z pedofilką, która obrała sobie za cel młodych chłopców.

Powiedzmy, jak skwitowałyby to Annie. Tak czy inaczej, dziennikarze zwietrzyli sensację i pewnie jeszcze nie raz przyjdzie mi oglądać to zdjęcie, nim

emocje opadną. Nie, żeby spędzało mi to sen z oczu. Nikt nie rozpozna Zoie de l'Alba w szarej myszce z kiepskiego zdjęcia. Problemy z rozpoznaniem Francoise miałyby również większość jej koleżanek z pracy: wdzięk to ulotne zjawisko i nie przenosi się na celuloide (dlatego właśnie nigdy nie próbowałam zrobić kariery na dużym ekranie). Poza tym osoba na zdjęciu nie przypomina Francoise, tylko znaną mi niegdyś dziewczynę. Dziewczynę, która w St Micheal'son the Green zawsze była głupim Jasiem.

Obecnie rzadko o niej myślę. Biedaczka o brzydkiej cerze, ze stukniętą matką z piórami we włosach. Jaką miała szansę?

Cóż, taką samą jak wszyscy. Szansę, którą dostajemy na starcie, tę jedyną. Niektórzy spędzają całe życie, szukając wymówek, narzekając na karty i na próżno marząc o lepszym rozdaniu, inni zaś idą na żywioł, podbijają stawkę i blefują ile wlezie...

I wygrywają. Wygrywają. Tylko to się liczy. Lubię wygrywać. Jestem wytrawnym graczem.

Pytanie brzmi, od czego zacząć. Annie niewątpliwie przydałoby się nieco wsparcia; trzeba by umocnić jej pewność siebie, wprowadzić dziewczynkę na właściwą ścieżkę.

Nazwy i symbole 1 jaguara i królika-księżycy, zapisane markerem na dnie jej torby, powinny poprawić kontakty z ludźmi, ale moim zdaniem ta dziewczynka potrzebuje czegoś więcej. Dlatego daję jej Hurakan, czyli Huragan, który wynagrodzi małej doznane upokorzenia.

Zapewne Annie tak tego nie odbiera. To dziecko przejawia pożałowania godną wielkoduszność: jego zdaniem wszyscy powinni się ze sobą przyjaźnić. Jestem pewna, że bez trudu mogłabym ją z tego wyleczyć. Zemsta to potężny narkotyk: gdy raz jej posmakujesz, nie zdołasz o niej zapomnieć. Kto jak kto, ale ja coś o tym wiem.

O nie, spełnianie życzeń to nie moja broszka. W moim świecie wszyscy postępują wedle zasady „każdy sobie”. Lecz Annie to prawdziwa perła, niepozorny pączek, który przy odpowiedniej pielęgnacji rozkwitnie w piękny kwiat. Wreszcie mam okazję spełnić się twórczo. Większość moich dotychczasowych przypadków nie stanowiła dla mnie wyzwania: po cóż artysta tam, gdzie można się posłużyć zaklęciem?

Bądź co bądź stać mnie na współczucie. Pamiętam, jak to jest być w skórze ofiary. I pamiętam radość płynącą z wyrównania rachunków.

Będzie zabawa.



*Sobota, 17 listopada*

Gruby gaduła ma na imię Nico. Dowiedziałam się tego dziś po południu, kiedy przyszedł na rekonesans. Yanne skończyła akurat jedną partię truflii kokosowych i cały sklep przesiąkł ich korzennym, drapiącym w gardle aromatem. Chyba wspomniałam, że nie lubię czekolady, jednakże ten zapach, gęsty, słodki i niepokojący, działa na mnie jak narkotyk. Robię się lekkomyślna i impulsywna, i pałam nieodpartą żądzą mieszania się w cudze sprawy.

– Szanowanie miłej pani! Ładne buty. Ekstra! – Gruby Nico, na oko dwudziestoparolatek, sto pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi, ma kręcone włosy do ramion i obrzmiałą, pomarszczoną twarz wielkiego niemowlaka, wiecznie na granicy śmiechu lub łez.

– Dziękuję uprzejmie – odpowiedziałam. Właściwe to moje ulubione pantofle: szpilki z lat pięćdziesiątych, ze spłowiałego aksamitu, z kokardką i kryształową sprzączką na nosku...

Często można określić osobę po butach. Nico ma buty czarnobiałe, solidnej jakości, ale przydeptane jak klapki, jakby nie zadawał sobie trudu, by włożyć je jak należy. Pewnie wciąż mieszka w domu rodziców, typowy maminsynek: przydeptane buty to przejaw jego niemrawego buntu.

– Co tak pachnie? – Aromat wreszcie połaskotał go w nozdrza i Nico zwrócił szeroką twarz w stronę jego źródła. W kuchni, za moimi plecami śpiewała Yanne. Rosette akompaniowała matce, wystukując rytm drewnianą łyżką o garnek. – Ktoś tu chyba coś piecze. Proszę mi zdradzić, co dziś na obiad, Bucikowa Pani?

– Trufle kokosowe – odpowiedziałam z uśmiechem.

W niespełną minutę wykupił całą partię.

Och, nie pochlebiam sobie, że tym razem to moja zasługa. Tacy jak on idą jak muchy na lep, nawet dziecko sobie z nimi poradzi. Zapłacił kartą: w mgnieniu oka skopiowałam numer (aby nie wyjść z wprawy), chociaż na razie nie mam zamiaru z niej skorzystać. Trop z miejsca doprowadziłby do *chocolaterie*, a ja za dobrze się bawię, by na tym etapie wszystko popsuć. Może później. Kiedy już się dowiem, po co tu jestem.

Nie tylko Nico zauważył różnicę. Tego ranka sprzedałam zawrotną liczbę ośmiu bombonierek specjalnych truflii Yanne. Część zakupili stali bywalcy, a część

obcy, zwabieni z ulicy kuszącym, zawieszonym aromatem.

Po południu zjawił się Thierry le Tresset. Kaszmirowy płaszcz, ciemny garnitur, różowy krawat z jedwabiu i robione na zamówienie buty z niewyprawionej skóry. Hmm. Uwielbiam buty szyte na zamówienie: lśnią jak bok zadbanego konia i z daleka pachną grubymi pieniędzmi. Może niesłusznie skreśliłam Thierry'ego; z punktu widzenia intelektu może być bezużyteczny, ale krezus zawsze zasługuje na uwagę.

Zastał Yanne w kuchni z Rosette, obie śmiały się do rozpuku. Ku jego niezadowoleniu oznajmiła, że jest zajęta (wrócił z Londynu tylko po to, żeby się z nią zobaczyć), ale zgodził się przyjść po piątej.

– Czemu, do licha, nie sprawdziłaś komórki? – doleciały z kuchni jego słowa.

– Wybacz – odrzekła Yanne (odniosłam wrażenie, że z trudem zachowuje powagę). – Nie umiem się w tym połapać, pewnie zapomniałam ją włączyć. A zresztą, Thierry...

– Boże miej nas w swojej opiece! – jęknął. – Żenię się z neandertalką.

Yanne roześmiała się serdecznie.

– Raczej technofobką.

– Jak nazwać osobę, która nie potrafi odebrać telefonu?

Potem je zostawił i przyszedł zamienić ze mną słówko.

Wiem, że mi nie ufa. Nie jestem w jego typie. Pewnie uważa mnie za niezłe ziółko, gdyż podobnie jak większość mężczyzn zwraca uwagę tylko na to, co najbardziej oczywiste: różowe włosy, ekscentryczne buty i nieco cygański wizerunek, którego wypracowanie kosztowało mnie tyle wysiłku.

– Pomagasz Yanne. To miło – zagaił. Uśmiechnął się; potrafi być naprawdę czarujący, ale w jego aurze widzę czujność. – A co z „P'tit Pinson”?

– Ach, nadal pracuję tam wieczorami – odpowiedziałam. – Laurent nie potrzebuje mnie cały dzień, a poza tym trudno go nazwać wymarzonym szefem.

– A Yanne?

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Powiedzmy, że Yanne nie ma... myszkujących dłoni.

Zaskoczyłam go.

– Przepraszam. Myślałem...

– Wiem, co myślałeś. Nie należy sądzić po pozorach. Ja naprawdę chcę tylko pomóc Yanne. Zgodzisz się ze mną, że zasługuje na trochę wytchnienia.

Kiwnął głową.

– Wiem, czego ci trzeba, Thierry. Kawa ze śmietanką i kostka mlecznej czekolady.

– Wiesz, co lubię – odparł z uśmiechem.

– Jasne – skwitowałam. – Mam dryg.

Potem zjawił się Laurent Pinson (Yanne twierdzi, że po raz pierwszy od trzech lat), sztywny, uroczysty i nadgorliwy, w tanich, brązowych butach wypolerowanych na wysoki połysk. Boki zrywać. Stękał i mamrotał pod nosem, co rusz rzucając mi zazdrosne spojrzenia, po czym wybrał najtańsze pralinki i kazał mi je zapakować na prezent.

Z celowym namaszczeniem odmierzyłam sznurek i opakowałam bombonierkę w błękitną bibułkę, ozdabiając ją podwójną srebrną kokardą i różą z papieru.

– Ktoś ma urodziny? – spytałam.

Swoim zwyczajem w odpowiedzi mruknął coś pod nosem i odliczył drobne. Nie kryje urazy, ale jak dotąd nie podjął tematu mojej dezercji. Kiedy podałam mu bombonierkę, podziękował za nią z uprzedzającą grzecnością.

Nagle zainteresowanie Laurenta czekoladkami nie stanowi dla mnie tajemnicy. Chce mi pokazać, że Laurent Pinson to coś znacznie więcej aniżeli wątpliwa aparycja. Ostrzega też, że jeśli w swej głupocie zignoruję jego zaloty, obdarzy względami inną szczęściarę.

A proszę bardzo. Zegnam go sympatycznym uśmiechem oraz spiralnym znakiem Hurakanu, wydrapanym ostrym paznokciem na bombonierce. Nie życzę mu źle, choć gdyby piorun strzelił w kawiarnię, a jakiś klient zatruł się jednym ze specjalów i postanowił pozwać właściciela, raczej bym się nie zmartwiła. Sęk w tym, że nie mam czasu z nim się cackać, a podstarzały wielbiciel łączy za mną krok w krok to ostatnia rzecz, jaka mi jest potrzebna.

Po jego wyjściu odwróciłam się i podchwyciłam baczne spojrzenie Yanne.

– Od kiedy to Laurent Pinson kupuje czekoladki?

Prychnęłam.

– Mówiłam ci, że smali do mnie cholewki.

Roześmiała się odruchowo, po czym zrobiła speszoną minę. Zza matczynej nogi wyjrzała Rosette z drewnianą łyżką w jednej i roztopioną mazią w drugiej ręczce. Pokazała coś usmarowanymi paluszkami. Yanne podała jej makaronik.

– Wszystkie czekoladki domowej roboty już się skończyły – zakomunikowałam.

– Wiem. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Pewnie muszę trochę dorobić.

– Pomogę ci, jeśli chcesz. Przyda ci się nieco wytchnienia.

Nie odpowiedziała, tylko spojrzała na mnie z namysłem, jakby chodziło o coś więcej niż zwykły wyrób czekolady.

– Zobaczysz, że szybko się uczę. Słowo honoru.

Jakże by inaczej. Nie mam innego wyjścia. Mając taką matkę jak moja, człowiek albo szybko przyswaja wiedzę, albo ginie. Potem była londyńska szkoła, świeżo po pseudoreformie oświaty, pełna imigrantów i młodocianych rzeźmieszków. Tam zdobywałam pierwsze szlify. Uczyłam się wprost śpiewająco.

Matka próbowała uczyć mnie w domu. W wieku dziesięciu lat umiałam czytać, pisać i zrobić podwójny lotos. Potem w sprawę zaangażowały się służby socjalne i wytknęły mojej matce brak odpowiednich kwalifikacji. Odesłano mnie do St Michae Fsonthe Green, przybytku niedoli, do którego uczęszczało około dwóch tysięcy duszyczek, a który w jednej chwili wchłonął mnie bez reszty.

Mój System znajdował się jeszcze wówczas w powijkach. Byłam całkowicie bezbronna: nosiłam zielone aksamitne ogrodniczki z delfinami na kieszeniach i turkusową opaskę na głowie dla równowagi czakr. Matka czekała na mnie po lekcjach przy bramie. Pierwszego dnia zebrał się tłumek gapiów. Drugiego ktoś rzucił kamieniem.

Teraz trudno sobie wyobrazić podobne sytuacje. Co nie znaczy, że ich nie ma. Owszem, są, i to z powodu większych błahostek. Zdarzyły się tutaj, w szkole Annie, przez głupie chustki na głowę. Zwykle ptaki zadziobią ptaka egzotycznego: kanarki i papużki, które uciekają z klatki, by zakosztować nieba, zwykle kończą na ziemi, oskubane do cna przez swoich bardziej konformistycznych kuzynów.

To było nieuniknione. Przez pierwsze pół roku zasypiałam we łzach. Błagałam, żeby wysłano mnie do innej szkoły.

Uciekłam, ale mnie znaleźli. Modliłam się żarliwie do Jezusa, Ozyrysa i Quetzalcoatla, by ocalili mnie przed demonami St Michae Fsonthe Green.

Jak łatwo się domyślić, wszystko na próżno. Próbowałam się zasymilować, zamieniłam ogrodniczki na džinsy i podkoszulek, zaczęłam palić i włóczyć się z łobuzerią, ale było już za późno. Klamka zapadła. Każda szkoła ma swego czubka i na kolejnych pięć lat padło na mnie.

Wtedy przydałaby mi się taka Zozie de l'Alba. No bo jaki był pożytek z matki, tej przesiąkniętej wonią paczuli trzeciorzędnej wiedźmy i jej kryształów, łapaczy snów i kretyńskiej gadki o karmie? Miałam gdzieś karmiczną odpłatę. Moja zemsta musiała być prawdziwa, marzyłam, by prześladowcy legli u moich stóp, wijąc się i

blagając o litość. Chciałam odplacić im z nawiązką – i to nie kiedyś tam, w przyszłym życiu, ale teraz, natychmiast.

Dlatego kułam, kułam ile wlezie. Opracowałam sobie spis książek i broszur ze sklepu matki. W rezultacie powstał mój System, którego wszystkie starannie dopieszczone elementy opierały się na jednym, jedynym założeniu.

Pragnieniu zemsty.

Pewnie nie pamiętacie tamtej sprawy. Oczywiście wówczas trąbiły o niej wszystkie gazety, ale teraz w prasie roi się od podobnych incydentów. Opowieści o sfrustrowanych frajerach uzbrojonych w karabiny i kusze, którzy zaklepują sobie miejsce w historii edukacji jednym krwawym, samobójczym wyskokiem.

Rzecz jasna nie byłam taka jak oni. Butch Cassidy i Sundance Kid to nie moje autorytety. Ja byłam ocalałym, sponiewieranym weteranem pięciu lat szyderstw, obiektem wyzwisk, zastraszania, poszturchiwania, szczypania, aktów przemocy i drobnych kradzieży. To moje imię uwieczniano w plugawym graffiti. Byłam kozłem ofiarnym dla wszystkich.

Krótko mówiąc, byłam głupim Jasiem.

Mimo to grałam na zwłokę. Wytrwale poświęcałam się zgłębianiu wiedzy. Opracowałam nieortodoksyjny, żeby nie powiedzieć bluźnierczy program nauki, ale zawsze znajdowałam się w czołówce klasy. Matka miała blade pojęcie o moich studiach, w przeciwnym razie byłaby wstrząśnięta. Magia interwencyjna, jak ją nazywała, stanowiła antytezę jej niezachwianych przekonań. Matka wyznawała mętną teorię kosmicznej odpłaty dla tych, którzy odważyli się wziąć sprawę w swoje ręce.

No cóż. Ja się odważyłam. Kiedy wreszcie byłam gotowa, przeszłam przez St Michae Pson the green jak grudniowa zawierucha. Matka nigdy się nie domyśliła: może to i dobrze, zapewne byłaby temu ostro przeciwna. Ale zrobiłam to. W wieku zaledwie szesnastu lat zdałam jedyny istotny egzamin w życiu.

Naturalnie Annie ma przed sobą długą drogę. Lecz z czasem mam nadzieję zrobić z niej kogoś zupełnie wyjątkowego.

Wróćmy zatem do zemsty, Annie.

*Poniedziałek, 19 listopada*

Suze przyszła dziś do szkoły w chustce na głowie. Zrobiła sobie pasemka i włosy zaczęły jej wychodzić garściami. Według fryzjerki to reakcja na utleniacz: Suze okłamała ją, że miała już rozjaśniane włosy. Teraz fryzjerka utrzymuje, że to nie jej wina, bo włosy Suzanne były już mocno zniszczone prostowaniem, i że gdyby Suzanne powiedziała prawdę, użyłaby innego, delikatniejszego środka.

Suzanne mówi, że jej mama poda salon do sądu za stres i traumę emocjonalną.

Moim zdaniem cała sytuacja jest po prostu przezabawna.

Wiem, że nie powinnam tak mówić, przecież Suzanne to moja przyjaciółka. Tylko czy aby na pewno? Przyjaciel stoi za tobą murem, gdy masz kłopoty, i nie śmieje się, kiedy ktoś ci dokucza. Na przyjaciela zawsze możesz liczyć, jak podkreśla Zozie. Dla prawdziwych przyjaciół nigdy nie jesteś głupim Jasiem.

Ostatnio dużo rozmawiam z Zozie. Wie, jak to jest mieć jedenaście lat i być inną. Opowiadała mi, że jej mama miała sklep. Niektórym bardzo się to nie podobało i ktoś kiedyś nawet próbował go podpalić.

– To trochę jak z nami – zauważyłam, po czym musiałam jej opowiedzieć resztę. O tym, jak na początku Wielkiego Postu wprowadziłyśmy się do Lansquenetsous-Tannes i wynajęłyśmy sklep naprzeciwko kościoła, o *cure*, który nas nienawidził, o naszych przyjaciółkach i wodniakach, o Roux i Armande, która umarła tak, jak żyła, bez żalu i pożegnania, z posmakiem czekolady w ustach.

Pewnie nie powinnam jej o tym mówić. Ale przy Zozie trudno utrzymać język za zębami. Zresztą dla nas pracuje. Jest po naszej stronie. I wszystko rozumie.

– Nienawidziłam szkoły – powiedziała mi wczoraj. – Nienawidziłam koleżanek i nauczycieli. Nienawidziłam wszystkich, którzy uważali mnie za nienormalną i nie chcieli siedzieć ze mną w ławce z powodu ziół i amuletów, które mama upychała mi po kieszeniach. Asafoetida (na Boga, co za paskudztwo!) i paczula na wzmocnienie duchowości, a do tego jeszcze smocza krew, która plami wszystko na czerwono. Inne dzieciaki nabijały się ze mnie, mówiły, że mam wszy i śmierdzieć. Nawet nauczyciele dali się na to nabrać, a pani Fuller, okropny babsztyl, zrobiła mi pogadankę na temat higieny osobistej.

– To straszne!

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Dałam im popalić.

– Jak?

– Może kiedyś ci opowiem. Sęk w tym, Nanou, że przez długi czas myślałam, że to moja wina. Że naprawdę jestem stuknięta i do niczego się nie nadaję.

– Przecież jesteś taka mądra... i ładna...

– Wtedy się taka nie czułam. Nigdy nie czułam się wystarczająco dobra, czysta czy miła. Nie chciało mi się nic robić, bo uznałam, że inni robią to lepiej. Bez przerwy gadałam z Mindy...

– Twoją niewidzialną przyjaciółką...

– A inni oczywiście mieli zabawę. Chociaż i tak wtedy było nieważne, co robiłam. I tak by się ze mnie śmiali.

Zamilkła, a ja przyjrzałam się jej uważnie, próbując sobie wyobrazić tamtą Zozie. Zozie bez pewności siebie, urody, stylu...

– Z urodą to jest tak – powiedziała Zozie – że w sumie ma niewiele wspólnego z wyglądem. Nie chodzi o kolor włosów, rozmiar ubrania ani budowę. Wszystko jest tutaj. Postukała się w głowę. – To, jak chodzisz, mówisz i myślisz. To, czy ludzie widzą cię tak...

I nagle zrobiła coś niesamowitego. Jej twarz uległa całkowitej przemianie. I nie stało się to za sprawą głupiej miny, po prostu zgarbiła ramiona i uciekła spojrzeniem w bok, ukrywając twarz za zasłoną oklapniętych włosów i wyginając usta w podkówkę. Stała się kimś innym w przebraniu Zozie, kimś może nie do końca brzydkim, ale bezbarwnym i nijakim. Osobą, za którą nikt nie obejrzałby się na ulicy.

– Czy tak – uzupełniła, odrzucając włosy w tył i prostując plecy. I nagle z powrotem stała się Zozie, wspaniałą Zozie z brzęczącymi bransoletkami i różowym pasmem we włosach, w sutej żółtoczarnej spódnicy i jaskrawożółtych koturnach, które u kogoś innego wyglądałyby idiotycznie, ale u niej prezentowały się ekstra. W końcu to Zozie, na niej wszystko wygląda ekstra.

– Rany – jęknęłam. – Mogłabyś mnie tego nauczyć?

– Właśnie to robiłam – odparła ze śmiechem.

– To było jak... czary – zawołałam i zaraz spiekłam raka.

– Cóż, większość czarów to tak naprawdę prosta sprawa – skwitowała rzeczowo.

Gdyby te słowa padły z ust innej osoby, pomyślałabym, że sobie ze mnie żartuje, ale Zozie nigdy ze mnie nie żartowała. Nigdy.

– Czary nie istnieją – odpowiedziałam niepewnie.

– Więc wymyśl na to inną nazwę. – Wzruszyła ramionami. – Nazwij to podejściem do życia. Nazwij to charyzmą, chucpą, tupetem albo urokiem. Wszystko sprowadza się do tego, żeby stanąć prosto, spojrzeć ludziom prosto w oczy, błysnąć zabójczym uśmiechem i powiedzieć: „Spierdalajcie. Jestem boska”.

Zachichotałam, nie tylko z powodu brzydkiego słowa.

– Chciałabym tak umieć – westchnęłam.

– Spróbuj – zachęciła Zoie. – Możesz się zdziwić.

Poszczeniło mi się, to był naprawdę wyjątkowy dzień.

Nawet Zoie nie mogła tego przewidzieć. Rzeczywiście jakimś cudem czułam się inaczej, czułam się pełna energii, jakby wiatr zmienił kierunek.

Najpierw Zoie wyskoczyła z tą swoją zmianą podejścia do życia. Obiecałam jej, że spróbuję i spróbowałam. Lekko onieśmielona stanęłam rano przed lustrem ze świeżo umyтыми włosami i kroplą różanych perfum Zoie za uchem, po czym przećwiczyłam swój zabójczy uśmiech.

Muszę przyznać, że wyszło całkiem nieźle. Może nie doskonale, ale naprawdę, kiedy staniesz prosto i wypowiesz te słowa (choćby w duchu), od razu poczujesz różnicę.

I wyglądałam jakoś inaczej, trochę jak Zoie, trochę jak osoba, która potrafi zakląć w herbaciarni i ma wszystko w nosie.

To nie czary, powiedziałam sobie w duchu. Zobaczyłam kątem oka, że Pantoufle łypie na mnie z dezaprobatą i marszczy nos.

– Wszystko w porządku, Pantoufle – uspokoiłam. – To nie czary. Tak wolno.

Potem rzecz jasna zjawiała się Suze w chustce na głowie. Podobno musi ją nosić, dopóki jej włosy nie odrosną. Muszę przyznać, że wygląda nieciekawie. Przypomina wkurzoną kulę do gry w kręgle. Niektórzy zaczęli za nią wołać „Allah Akbar”, Chantal śmiała się do rozpuku, Suze się obraziła i teraz ze sobą nie gadają.

Chantal spędziła przerwę obiadową z innymi koleżankami, a Suze przyszła mi się wypłakać w rękaw. Trafiała nie w porę, gdyż po pierwsze niespecjalnie siliłam się na współczucie, a po drugie byłam z kimś innym.

Co prowadzi nas do punktu numer trzy.

Stało się to dziś rano, w czasie przerwy. Inni rzucali do siebie piłkę tenisową, oprócz Jeana-Loupa Rimbaulta, który jak zwykle siedział z nosem w książce, i paru klasowych dziwolągów (głównie muzułmanek), którzy nie biorą udziału w żadnych grach.

Kiedy weszłam do klasy, Chantal rzucała właśnie piłkę do Lucie i na mój widok



krzyknęła: „głupi Jaś!”, po czym wszyscy zaczęli ze śmiechem odbijać piłkę, wołając: „skacz, skacz!”.

W inny dzień może włączyłabym się do zabawy. W końcu to tylko gra i lepiej być głupim Jasiem niż w ogóle nikim. Ale dzisiaj ćwiczyłam postawę Zozie.

Co zrobiłaby na moim miejscu, zapytałam się w duchu. I rozumiałam, że Zozie prędeej wolałaby umrzeć, niż zostać głupim Jasiem.

Chantal wołała dalej: „skacz, Annie, skacz!”, jakby mówiła do psa. A ja przyjrzałam się jej uważniej, jak gdybym widziała ją po raz pierwszy w życiu.

Kiedyś myślałam, że jest ładna. W sumie nic dziwnego, jeśli ktoś spędza tyle czasu przed lustrem... Lecz dzisiaj zobaczyłam aurę jej i Suzanne; nie widziałam ich od bardzo dawna, toteż zapatrzyłam się mimowolnie, zdumiona ich odrażającą brzydotą.

Pozostali musieli coś wyczuć, bo gdy Suze upuściła piłkę, nikt się po nią nie schylił. Poczulałam, że tworzą krąg, jakby w powietrzu zawisła zapowiedź walki lub intrygującego spektaklu.

Chantal nie spodobało się moje spojrzenie.

– A tobie co? – burknęła. – Czego się tak chamsko gapisz?

W odpowiedzi uśmiechnęłam się tylko i dalej patrzyłam jakby nigdy nic.

Zobaczyłam, że siedzący za nią Jean-Loup Rimbault odrywa wzrok od książki. Mathilde też się gapiała z lekko rozdziawionymi ustami, Faridah i Sabinę przestały szeptać w swoim kącie, a Claude uśmiechnął się nieznacznie, jak gdyby nagle przestało padać i zza chmur wyrzało słońce. Chantal rzuciła mi miażdżące spojrzenie.

– Cóż, niektórych stać na prawdziwe życie. Widać ty musisz sobie szukać innych rozrywek.

Dobrze wiedziałam, co Zozie by na to odpowiedziała. Lecz ja nie jestem Zozie, nie cierpię scen, a poza tym część mnie chciała usiąść w ławce i schować twarz w książce. Ale obiecałam, że spróbuję, dlatego wyprostowałam się jak struna, popatrzyłam jej prosto w oczy i zastrzeliłam wszystkich zabójczym uśmiechem.

– Spierdalaj – oznajmiłam. – Jestem boska. – Następnie podniosłam piłkę, która znajdowała się dokładnie między moimi stopami i odbiłam ją o głowę Chantal.

– Głupi Jaś – powiedziałam.

Przeszłam na tył klasy i stanęłam przed ławką Jeana-Loupa, który przestał udawać, że czyta i spoglądał na mnie w osłupieniu.

– Zagramy?

Poszedł za mną bez jednego słowa sprzeciwu.

Potem długo rozmawialiśmy. Okazało się, że mamy wiele wspólnych zainteresowań: stare czarnobiałe filmy, fotografia, Juliusz Verne, Chagall, Jeanne Moreau, cmentarz...

Zawsze brałam go trochę za ważniaka; nie bawi się z innymi, może dlatego że jest o rok starszy, i bez przerwy fotografuje jakieś dziwactwa swoim małym aparatem. Odezwałam się do niego w sumie tylko po to, żeby zagrać na nosie Suze i Chantal.

Ale jest w porządku. Śmiał się z mojej opowieści o Suze i jej liście, a gdy powiedziałam mu, gdzie mieszkam, ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

– Mieszkasz w *chocolaterie*? Ale bomba!

Wzruszyłam ramionami.

– No.

– I jesz czekoladki?

– Na okrągło.

Przewrócił oczami, a ja parsknęłam śmiechem. Wtedy...

– Czekaj. – Wyjął srebrny aparacik, niewiele większy od pudełka zapalek, i wycelował we mnie. – Mam cię – powiedział.

– Hej, przestań. – Odwróciłam głowę. Nie lubię swoich zdjęć.

Ale Jean-Loup już spoglądał na wyświetlacz. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Zobacz. – Podsunął mi aparat pod nos.

Rzadko oglądam swoje zdjęcia. Większość to sztywne ujęcia, zdjęcia paszportowe na białym tle i bez uśmiechu. Na tej fotografii jestem roześmiana; Jean-Loup pstryknął ją pod dziwnym kątem i pochylał się w stronę obiektywu, a światło pada mi na twarz okoloną chmurą rozwianych włosów.

Jean-Loup uśmiechnął się z satysfakcją.

– No, przyznaj, że niezłe.

Wzruszyłam ramionami.

– Może być. Od dawna się tym zajmujesz?

– Od kiedy po raz pierwszy poszedłem do szpitala. Mam trzy aparaty, mój ulubiony to stara yashica, której używam tylko do czarnobiałych zdjęć. Ale cyfrówka też jest w porządku, no i zawsze mogę ją nosić przy sobie.

– Dlaczego byłeś w szpitalu?

– Mam kłopoty z sercem – wyjaśnił. – To dlatego straciłem rok. Miałem dwie operacje i opuściłem cztery miesiące. Beznadzieja. – („Beznadzieja" to jedno z

ulubionych określić Jeana-Loupa).

– Czy to poważne? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Prawie umarłem. Na stole operacyjnym. Przez pięćdziesiąt dziewięć sekund oficjalnie byłem trupem.

– Rany – powiedziałam. – Masz bliznę?

– Całą masę – odparł Jean-Loup. – Wyglądam jak Frankenstein.

I ani się obejrzeliśmy, jak gadaliśmy na całego. Wspomniałam mu o *maman* i Thierrym, a Jean-Loup opowiedział mi, że jego rodzice rozwiedli się, kiedy miał dziewięć lat, a tata ożenił się ponownie w zeszłym roku. Jego laska jest miła, ale to nieważne, ponieważ...

– Ponieważ wtedy nie znosimy ich najbardziej – uzupełniłam z uśmiechem, na co Jean-Loup wybuchnął śmiechem i zostaliśmy przyjaciółmi, tak po prostu. Po cichu i bez ceregieli. I nagle przestało mnie obchodzić, że Suze woli Chantal, a ja zawsze jestem głupim Jasiem.

Kiedy czekaliśmy na autobus, stanęłam z Jeanem-Loupem na przodzie kolejki. Suze i Chantal łypały na nas ze swego miejsca pośrodku, ale nie powiedziały ani słowa.

*Poniedziałek, 19 listopada*

Anouk wróciła dziś ze szkoły w podskokach. Przebrała się, ucałowała mnie soczyście po raz pierwszy od wielu tygodni i oznajmiła, że wychodzi z „kolegą”.

Nie naciskałam; była ostatnio tak drażliwa, że wołałam nie psuć jej humoru, ale od razu nadstawiłam ucha. Od kłótni z Suzanne Prudhomme nie poruszała tematu przyjaciół i choć mam dość oleju w głowie, by nie ingerować w dziecięce niesnaski, boli mnie, że została wykluczona z grupy.

Tak bardzo się starałam, żeby ją zaakceptowano. Wielokrotnie zapraszałam Suzanne, piekłam ciasta, organizowałam wyjścia do kina. Ale wszystko na nic, jakby niewidzialna linia oddzielała Anouk od reszty i z każdym dniem rysowała się coraz wyraźniej.

Ale dzisiaj było inaczej. Gdy wychodziła z domu (jak zwykle pędem), wydawało mi się, że widzę dawną Anouk, biegnącą przez skwer w czerwonym płaszczku, z włosami rozwianymi jak flaga piracka i „cieniem” depczącym po piętach.

Ciekawe, co to za „kolega”. W każdym razie na pewno nie Suzanne. Ale coś wisi w powietrzu, czuję powiew optymizmu, każący mi odsunąć troski na bok. Może to słońce, które ponownie zaświeciło na niebie po siedmiu pochmurnych dniach. Albo to, że po raz pierwszy od trzech lat sprzedaliśmy wszystkie zestawy upominkowe. A może to po prostu zapach czekolady i zadowolenie z podjętej na nowo pracy, krzepiące bulgotanie rondli i dotyk granitowej płyty, która rozgrzewa się od ciepła moich rąk. No i to, że znów robię coś, co sprawia ludziom tyle radości...

Dlaczego tak długo zwlekałam? Czy to możliwe, że chciałam w ten sposób zatrzeć wspomnienie przeszłości, Lansquenet i Roux, Armande i Josephine, a nawet *cure* Francisa Reynauda, czyli tych wszystkich osób, których życie przybrało inny obrót, w chwili gdy znalazłam się w pobliżu?

„Wszystko musi kiedyś wrócić do domu”, mawiała moja matka, każde wypowiedziane słowo, każdy rzucony cień i odcisk stopy na piasku. Nie ma na to rady, po części dzięki temu jesteśmy, jacy jesteśmy. Dlaczego teraz miałabym się bać? Dlaczego miałabym się bać czegokolwiek?

Ostatnie trzy lata upłynęły nam na ciężkiej pracy. Wytrwałyśmy. Zaslugujemy

na udany plon. Chyba wreszcie czuję, że wiatr zmienia kierunek. I nie zawdzięczamy tego urokom ani zaklęciom, tylko własnej harówce.

Thierry siedzi w Londynie i nadzoruje swój projekt. Dziś rano znów przysłał kwiaty: wielki bukiet związanych rafią wielobarwnych róż, z bilecikiem.

„Mojej ulubionej technofobce, z wyrazami miłości. Thierry”.

Uroczy gest, staroświecki i trochę dziecinny, jak kwadraciki mlecznej czekolady, za którymi tak przepada. Trochę mi głupio, bo w ferworze zajęć przez ostatnie dwa dni prawie o nim nie myślałam, a jego pierścionek, który w kuchni tylko zawadza, od sobotniego wieczora leży w szufladzie.

No ale przecież ucieszy się na widok sklepu i zmian, jakie w nim wprowadziłyśmy. Nie zna się na czekoladzie, uważa ją za domenę kobiet i dzieci, i nie zauważył rosnącej popularności wysokogatunkowych pralinek, w związku z czym ciężko mu traktować *chocolaterie* jak coś godnego uwagi.

Oczywiście dopiero się rozkręcamy. Ale obiecuję, Thierry, że przy najbliższej okazji zdziwisz się co niemiara.

Wczoraj rozpoczęłyśmy pracę nad zmianą wystroju. Kolejny pomysł Zozie. Początkowo obawiałam się bałaganu, lecz przy udziale Anouk i Rosette rozgardiasz zamienił się w szaloną zabawę. Zozie w zielonej chustce na głowie balansowała na drabinie, z połową twarzy pomazaną na żółto malowała ściany, Rosette atakowała meble swoim pędzelkiem, Anouk zaś za pomocą szablonów ozdabiała ściany niebieskimi kwiatami, spiralami i zwierzętami. Wszystkie meble wystawiłyśmy na nasłonecznioną ulicę i przykryłyśmy folią.

– Nic nie szkodzi, to też możemy pomalować – oznajmiła Zozie, kiedy na białym, wysłużonym krześle w kuchni odkryłyśmy odciski rączek Rosette. Dziewczynki od razu chwyciły za plakatówki i przystąpiły do dzieła, a gdy skończyły, krzesło wyglądało tak wesoło, że postanowiłyśmy zrobić to samo z pozostałymi oraz starym stolikiem, który miał stanąć w głównym pomieszczeniu.

– Co się stało? Chyba nie zamykacie?

To Alice, która wpada prawie co tydzień, chociaż rzadko kiedy cokolwiek kupuje. W dodatku prawie się nie odzywa, lecz zdumienie na widok wyniesionych mebli, upstrzonych farbą płacht folii i kolorowych krzeseł schnących na ulicy kazało jej zapomnieć o nieśmiałości.

Mój śmiech chyba trochę ją wystraszył, ale zaraz z podziwem zwróciła uwagę na dzieło Rosette (i poczęstowała się truflą). Wydaje się, że jest w dobrych stosunkach z Zozie, z którą kilkakrotnie rozmawiała w sklepie, i bardzo lubi Rosette: bez wahania przyklękła obok niej na podłodze i przyłożyła drobne dłonie

do kolorowych odcisków jeszcze mniejszych łapek Rosette.

Potem przyszli Jean-Loup i Paulpaul zaciekawieni, co się dzieje. Następnie zjawili się Richards i Mathurin, stali bywalcy „Le P'tit Pinson”. A madame Pinot z sąsiedniej ulicy przemknęła obok niby to w pośpiechu, zobaczyłam jednak, że pilnie rejestruje chaos panujący przed sklepem.

Wpadł też gruby Nico i swoim zwyczajem wylewnie skomentował nowy wizerunek firmy.

– Hej, żółty i niebieski! Moje ulubione kolory! To pewnie twój pomysł, Bucikowa Damo?

Zozie uśmiechnęła się skromnie.

– Wszystkie wzięłyśmy w tym udział.

Dzisiaj paradowała na boso: długie, kształtne stopy pomykały lekko po szczeblach rozchwianej drabiny. Parę kosmyków wymknęło się spod chustki, a na gołych ramionach widniały egzotyczne zawijasy farby.

– Wygląda nieźle – zawyrokował w zadumie Nico. – Te odciski rączek. – Spojrzał na własne dłonie, blade i serdelkowate. Oczy mu załśniły. – Też chciałbym spróbować, ale pewnie skończyłyście, co?

– Proszę bardzo – odpowiedziałam, wskazując na plakatówki.

Wyciągnął rękę w kierunku czerwonej, lekko zabrudzonej farbki. Po chwili wahania zanurzył w niej palec.

– Fajnie – oznajmił z uśmiechem. – Jakbym mieszał sos do spaghetti bez łyżki. – Ponownie wyciągnął rękę, tym razem farba pokryła całą dłoń.

– Tutaj. – Anouk pokazała fragment pustej przestrzeni na jednym z krzeseł. – Rosette zostawiła placek.

Okazało się, że Rosette zostawiła dużo placków. Potem Nico pomógł Anouk przy szablonach i nawet Alice została, żeby popatrzeć. Przygotowałam dla wszystkich gorącą czekoladę i wypiliśmy ją jak Cyganie, na schodach, śmiejąc się do rozpuku, kiedy grupa japońskich turystów zaczęła nam robić zdjęcia.

Jak to ujął Nico, było fajnie.

– Wiesz co – zagadnęła Zozie, kiedy sprzątałyśmy sklep przed porannym otwarciem. – To miejsce potrzebuje nazwy. Wprawdzie jest szyld... – Wskazała na wyblakły kawałek deski zawieszony nad drzwiami. – ...ale wygląda tak, jakby od lat nie widniał na nim żaden napis. Co o tym myślisz, Yanne?

Wzruszyłam ramionami.

– Żeby ludzie wiedzieli, co zacząć? – Właściwie to doskonale wiedziałam, o co jej chodzi. Nazwa nigdy nie jest tylko nazwą. Nadanie czemuś nazwy jest

równoznaczne z tchnieniem w owo coś siły i treści emocjonalnej, których brakowało dotąd mojej cichej *chocolaterie*.

Zozie puściła moje słowa mimo uszu.

– Mogłabym spróbować. Pozwolisz?

Ponownie wzruszyłam ramionami. Ogarnęła mnie niepewność. Ale Zozie okazała nam tyle życzliwości, jej oczy lśniły tak szczerą żarliwością, że dałam za wygraną.

– Niech ci będzie – ustąpiłam. – Ale żadnych udziwnień. Po prostu *chocolaterie*. Żadnego fiubździa.

Mówiąc to, miałam oczywiście na myśli „nic w stylu Lansquenet”. Żadnych wymyślnych nazw i sloganów. Wystarczy, że to, co z założenia miało być dyskretną zmianą wystroju, zamieniło się w psychodeliczny paintball.

– Naturalnie – odpowiedziała Zozie.

Tym sposobem zdjęliśmy sfatygowany szyld (bliższe oględziny ujawniły upiorny napis „Freres Payen”, który mógł być nazwą kawiarni bądź instytucji zgoła odmiennego rodzaju). Zozie zawyrokowała, że drewno jest wyblakłe, ale w dobrym stanie; wystarczy papier ścierny i trochę farby, a szyld będzie jak nowy.

Następnie rozeszliśmy się każde w swoją stronę: Nico udał się do swego mieszkania przy Rue Caulaincourt, a Zozie pobiegła do pokoiku po drugiej stronie Butte, gdzie miała zaraz przystąpić do pracy nad szyldem.

W duchu wyraziłam nadzieję, że nie będzie zbyt krzykliwy: pod względem doboru kolorów Zozie przejawia pewne skłonności do ekstrawagancji, toteż wyobraziłam sobie dzieło w kolorze kanarkowej żółci, czerwieni i zjadliwego fioletu, ozdobione kwiatkami albo jednorożcem, które będę musiała zawiesić nad wejściem bądź zranić uczucia artystki.

Dlatego gdy rankiem wychodziłam przed sklep (z zasłoniętymi oczami, na jej prośbę), towarzyszył mi lekki niepokój.

– No i? – zapytała. – Co o tym sądzisz?

Przez chwilę nie mogłam wydobyć głosu. Wisiał nad drzwiami, tam gdzie zawsze; żółty, prostokątny szyld ze starannie wymalowanym niebieskim napisem.

– Fiubździa? – W głosie Zozie dał się słyszeć cień lęku. – Wiem, że miało być skromnie, ale nie mogłam się powstrzymać... no, i co ty na to?

Mijały sekundy. Nie mogłam oderwać wzroku od napisu, równych niebieskich liter i nazwiska. Mojego nazwiska. Oczywiście był to zbieg okoliczności, jakże by inaczej? Zdobyłam się na pogodny uśmiech.

– Prześliczny – powiedziałam.

Westchnęła.

– O matko, już myślałam, że ci się nie podoba.

I z uśmiechem przesadziła próg, który za sprawą gry świateł bądź nowego doboru kolorów zdawał się wręcz emanować blaskiem. Zostałam sama przed sklepem i z zadartą głową raz jeszcze odczytałam napis, wymalowany starannym charakterem pisma Zozie:

Le Rocher de Montmartre Chocolat



**CZEŚĆ CZWARTA**

**KOŁO FORTUNY**

*Wtorek, 20 listopada*

Zostałam oficjalną przyjaciółką Jeana-Loupa. Suzanne nie było, więc nie widziałam jej miny, ale Chantal naburmuszyła się za dwie. Udawała, że mnie nie zauważa, a jej przyjaciółki gapiły się i szeptały po kątach.

– Chodźcie ze sobą? – zapytała na chemii Sandrine. Kiedyś trochę ją lubiłam, zanim spiknęła się z Chantal i spółką. Miała oczy okrągłe jak dwa kamyki i pragnęła informacji. – Całowaliście się?

Gdyby naprawdę zależało mi na popularności, pewnie odpowiedziałabym, że tak. Ale nie muszę być popularna. Wolę być cudakiem niż klonem. A Jean-Loup, mimo swojego powodzenia u dziewcząt, też jest niezłym dziwakiem, z tymi swoimi filmami, książkami i aparatami.

– Nie, po prostu się przyjaźnimy.

Łypnęła z ukosa.

– Phi, nie chcesz, to nie mów. – I polazła do Chantal, po czym przez resztę dnia chichotały i nie spuszczały nas z oka, a my gadaliśmy sobie jak gdyby nigdy nic i pstrykaliśmy im zdjęcia, jak się gapią.

To dziecinada, Sandrine. Jak powiedziałam, jesteśmy przyjaciółmi, a Suze, Chantal i reszta mogą się odwalić.

Po szkole poszliśmy razem na cmentarz. To jedno z moich ulubionych miejsc w Paryżu, Jeana-Loupa też. Cmentarz na Montmartre jest pełen mauzoleów, pomników, kapliczek o spiczastych dachach i smukłych obelisków, poprzecinany alejkami, ścieżkami i placykami.

Necropolis. Miasto umarłych. To naprawdę istne miasto, niektóre grobowce wyglądają moim zdaniem jak domki mieszkalne: skrupulatnie zamknięte furtki, zagrabione żwirowe dróżki, ukwiecone skrzynki w oknach przedzielonych kamiennymi słupkami. Takie miniprzedmieście umarłych. Ta myśl przyprawiła mnie o dreszcz, a zarazem rozśmieszyła i Jean-Loup spojrział pytająco znad aparatu.

– Można by tu zamieszkać – wyjaśniłam. – Śpiwór, poduszka, ognisko, trochę prowiantu. I urządzić przytulne gniazdko, nikt by się nie domyślił. Pozamykane drzwi. I cieplej niż pod mostem.

Uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Spałaś kiedyś pod mostem?

Cóż, parę razy mi się zdarzyło, ale wolałam mu o tym nie mówić.

– Nie, ale potrafię to sobie wyobrazić.

– Nie bałabyś się?

– Niby czego? – spytałam.

– Duchów.

Wzruszyłam ramionami.

– To tylko duchy.

Jedną z kamienistych alejek szedł zdziczały kot. Jean-Loup wycelował w niego aparat. Kot syknął i czmychnął między groby. Pewnie zauważył Pantoufle'a: koty i psy czasami się go boją, jakby czuły, że nie powinien tutaj być.

– Kiedyś zobaczę ducha. Dlatego zawsze przynoszę tu aparat.

Spojrzałam na niego, miał roziskrzone oczy. Naprawdę w to wierzy, nie udaje. Właśnie to w nim lubię. Nie cierpię, kiedy ludzie mają wszystko w nosie i idą przez życie obojętni i bez wiary.

– Ty naprawdę nie boisz się duchów – zauważył.

Hm, jeśli ktoś je oglądał tyle razy co ja, przestaje się nimi martwić. Ale tego też mu nie powiedziałam. Jego matka jest gorliwą katoliczką. Wierzy w Ducha Świętego. I egzorcyzmy. I komunię, podczas której wino zamienia się w krew. Co za ohyda. A w piątek zawsze podaje rybę. O rany. Czasem myślę, że sama jestem duchem. Chodzącym, gadającym, oddychającym duchem.

– Zmarli nic nie robią, dlatego tu są. I dlatego drzwi mauzoleów nie mają od środka klamek.

– A śmierć? – zapytał. – Boisz się śmierci?

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba tak. Jak wszyscy, nie?

Kopnął kamień.

– Nie wszyscy wiedzą, jak to jest – odparł.

Ogarnęło mnie zaciekawienie.

– A jak?

– Pytasz o śmierć? – Teraz to on wzruszył ramionami. No, najpierw widzisz oświetlony korytarz. I zmarłych krewnych oraz przyjaciół, którzy czekają na ciebie na drugim końcu. Wszyscy się uśmiechają. U wylotu korytarza widzisz światło, jasne i oślepiające, no wiesz, święte światło, które mówi, że jeszcze nie czas, że musisz wracać, ale nic się nie martw, bo kiedyś tu powrócisz, znów spotkasz swoich bliskich i... – Urwał. – No, tak przynajmniej myśli moja mama. Tak jej

powiedziałem.

Wytrzeszczyłam oczy.

– A co naprawdę widziałeś?

– Nic – odpowiedział. – Zupełnie nic.

Zapadła cisza. Jean-Loup oglądał przez wyświetlacz cmentarne alejki, po czym pstryk! zrobił zdjęcie.

– Czy to nie byłoby paradne – odezwał się po chwili gdyby to wszystko okazało się na nic? (Pstryk!) A jeśli niebo nie istnieje... (Pstryk!) ...i ci wszyscy ludzie po prostu gniją w ziemi?

Rzucił to podniesionym głosem i grupka ptaków, które przysiadły na jednym z obelisków, poderwała się z trzepotem skrzydeł.

– Wmawiają nam, że wszystko wiedzą – dodał. – Ale nie wiedzą. Kłamią. Kłamią jak z nut.

– Nie wszyscy – zaproponowałam. – *Maman* nie kłamie.

Spojrzał na mnie dziwnie, tak jakby dzieliło nas wiele lat. W jego oczach lśniła mądrość zrodzona z bólu i rozczarowania.

– Ale to robi – zapewnił. – Jak wszyscy.

*Wtorek, 20 listopada*

Anouk przyprowadziła dziś nowego kolegę. Jean-Loup Rimbault, miły chłopiec, nieco starszy od niej i po staroświecku uprzejmy, co wyróżnia go na tle rówieśników. Przyszedł prosto ze szkoły – mieszka po drugiej stronie Butte – i zamiast od razu się ulotnić, pół godziny przesiedział w sklepie, rozmawiając z Anouk nad ciasteczkami i kubkiem mokki.

Miło widzieć Anouk w towarzystwie, choć ukłucie, jakie czuję w sercu, jest tak samo silne, co irracjonalne. Kartki zagubionej książki. *Anouk trzynastoletnia*, szepcze cichy głos w mojej głowie; *Anouk szesnastoletnia, jak latawiec na wietrze...* *Anouk dwudziesto, a potem trzydziestoletnia...*

– Masz ochotę na czekoladę, Jean-Loup? Na koszt firmy.

Jean-Loup. Niezwykle imię. I niezwykle chłopiec o mrocznym, taksującym spojrzeniu, jakie pokazuje światu. Podobno jego rodzice są rozwiedzeni; mieszka z matką i widuje ojca trzy razy do roku. Najbardziej lubi wiórki migdałowe. Dość osobliwy przysmak jak na dwunastolatka, ale w końcu mam do czynienia z nad wiek dojrzałym i opanowanym młodzieńcem. Ma niepokojący zwyczaj oglądania wszystkiego przez wyświetlacz aparatu, jakby usiłował zdystansować się wobec świata, wybierając ładniejszą i mniej skomplikowaną rzeczywistość cyfrową.

– Pokażesz mi?

Posłusznie podał mi aparat. Na pierwszy rzut oka zdjęcie wyglądało na abstrakcyjne, feeria barw i kształtów geometrycznych. Potem zobaczyłam buty Zozie, uchwycone z wysokości oczu, celowo przymglone w kalejdoskopie pralinek w sreberkach.

– Niezłe – oceniłam. – A co tam jest w rogu? – Wyglądało to tak, jak coś spoza kadru rzucało na obraz cień.

Wzruszył ramionami.

– Może ktoś stanął za blisko. – Wycelował aparat w Zozie, stojącą za ladą z pękiem kolorowych wstążek w rękach. – Jak ładnie – powiedział.

– Nie chcę. – Nie podniosła wzroku, ale jej głos zabrzmiał ostro i kategorycznie.

– Ja tylko... – zająknął się Jean-Loup.

– Wiem. – Uśmiechnęła się i chłopiec odetchnął z ulgą. Po prostu nie lubię, jak

ktoś mnie fotografuje. Rzadko jestem do siebie podobna.

To akurat byłam w stanie zrozumieć. Ale ów cień niepewności, jakże niepodobny do Zozie, której wesołe usposobienie sprawia, że wszystko wydaje się łatwiejsze, nieco mnie zaniepokoił. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie za bardzo poległam na przyjaciółce, mającej przecież własne troski i problemy.

Cóż, jeśli tak rzeczywiście jest, dobrze je ukrywa. Uczy się z łatwością, która zaskoczyła nas obie. Codziennie zjawia się o ósmej, kiedy Anouk wychodzi do szkoły, i przez godzinę siedzi ze mną w kuchni, poznając przeróżne techniki wyrobu czekolady.

Wie, jak hartować kuwerturę, jak odważać składniki, jak mierzyć temperaturę i utrzymać ją na stałym poziomie, jak uzyskiwać najładniejszy połysk, jak ozdobić uformowane figurki i robić czekoladowe kędziory za pomocą obieraczki do ziemniaków.

Ma smykałkę, jak powiedziałyby moja matka. Ale jej prawdziwy dar ujawnia się podczas rozmów z klientami.

Oczywiście już wcześniej zwróciłam uwagę na jej podejście do ludzi, niezwykłą pamięć do imion, zaraźliwy uśmiech oraz życzliwość, która sprawia, że nawet w zatłoczonym sklepie każdy czuje się tą jedną, najważniejszą osobą.

Nieraz próbowałam jej podziękować, jednak zbywa to śmiechem, jakby ta praca była dla niej zabawą, czymś, co robi dla uciechy, a nie dla pieniędzy. Proponowałam jej normalną pensję, ale jak dotąd odmawiała, choć zamknięcie „Le P'tit Pinson” oznacza, że znowu jest bez pracy.

Dziś znów poruszyłam ten temat.

– Zaslugujesz na godziwe wynagrodzenie, Zozie – powiedziałam. – W sumie pracujesz już na pełen etat.

Wzruszyła ramionami.

– Nie stać cię, żeby wypłacać komuś pensję.

– Ale naprawdę...

– Naprawdę. – Uniosła brew. – Proszę przestać się martwić o innych, madame Charbonneau, i dla odmiany łaskawie zająć się Numerem Jeden.

– Jesteś aniołem, Zozie – odpowiedziałam ze śmiechem.

– No ba. – Błysnęła zębami w uśmiechu. – A teraz może byśmy tak zajęły się czekoladkami?

*Środa, 21 listopada*

To zabawne, jaką różnicę robi jeden mały znak. Oczywiście mój w pewnym sensie pełnił rolę światła przewodniego, omiatającego paryskie ulice.

Spróbuj. Skosztuj. Posmakuj.

To działa; dziś miałyśmy wielu zarówno obcych, jak i stałych bywalców, i nikt nie wyszedł z pustymi rękami: tu bombonierka ze wstążką, tam kilka pralinek. Cukrowa mysz, śliwka w likierze, garść *mendiants* lub kilka zapakowanych luzem, gorzkich truflii obtoczonych w kakao jak czekoladowe bomby o krok od detonacji.

Rzecz jasna jeszcze za wcześnie, aby świętować sukces. Najtrudniej będzie skusić miejscowych. Ale zaczynam wyczuwać pewien przełom. Do świąt zdobędziemy serca ich wszystkich.

A myślałam, że nic tu po mnie. To miejsce to istny dar. Ciągną tu jak muchy do miodu. I pomyśleć, co możemy zyskać: nie tylko pieniądze, ale historie, ludzi, życiorysy...

My? Owszem, jestem gotowa podzielić się łupem. Jesteśmy we trzy, cztery, jeśli doliczyć Rosette, i każda ma swój własny, szczególny dar. Mogłybyśmy wiele zdziałać. Zrobiła to już w Lansquenet. Próbowwała zatrzeć ślady, ale ja jestem sprytniejsza. Nazwisko Vianne Rocher oraz pewne szczegóły opowieści Annie pomogły mi ustalić trop. Reszta okazała się bardzo prosta: kilka rozmów międzymiastowych, stare egzemplarze miejscowej gazety sprzed czterech lat, wyblakła, pożółkła fotografia przedstawiająca uśmiechniętą Vianne na progu *chocolaterie*, z kudłatym stworzonkiem (oczywiście Annie) wyglądającym spod jej wyciągniętego ramienia.

*La Celeste Praline*. Ciekawa nazwa. Vianne Rocher miała fantazję, chociaż teraz czasami trudno w to uwierzyć. W tamtych czasach była nieustraszona, nosiła czerwone buty, brzęczące bransoletki i miała burzę potarganych włosów jak Cyganka z komiksu. Może nie klasycznie piękna (ma trochę za duże usta i zbyt blisko osadzone oczy), ale każdy, kto choć trochę znał się na czarach, z miejsca rozpoznawał w niej prawdziwą wiedźmę. Umiała zmieniać koleje czyjegoś życia, rzucać urok, leczyć i ukrywać.

Wobec tego co się stało?

Nie można przestać być czarownicą, Vianne. Umiejętności nie opuszczają nas

tak po prostu.

Patrzę, jak pracuje w kuchni, robiąc trufle i czekoladki z likierem. Odkąd się poznałyśmy, jej aura nabrała intensywności. Wiem, gdzie szukać, toteż widzę magię we wszystkim, czego tylko się dotknie. Tymczasem ona wydaje się kompletnie tego nieświadoma, jakby lata wypierania się własnej tożsamości pozwoliły jej zapomnieć, kim jest, i na to nie zważać, tak jak nie zważa na totemy własnych córek. Vianne nie jest głupia, więc dlatego tak się zachowuje? Co mogłoby otworzyć jej oczy?

Spędziła rano na zapleczu, do sklepu dolatują słodkie zapachy. Przede mną stoi rondel z czekoladą. W ciągu minionego tygodnia to miejsce zmieniło się nie do poznania. Pstrokaty stół i krzesła, dzieło Anouk i Rosette, nadają wnętrzu odświętny charakter. Beładnie nałożone kolory tworzą mgliste wrażenie chaosu. Na ścianach wiszą obrazki i oprawione kwadraty haftowanych szat indyjskich w jaskraworóżowych i cytrynowożółtych barwach. Znalazło się też miejsce dla dwóch ocalonych ze śmietnika foteli ze sterzącymi sprężynami i rozchwianymi nogami. Ale wystarczyło parę metrów weluru w odcieniu fuksji i kawałek złotej tkaniny ze sklepu z używaną odzieżą, a odzyskały dawną postać i funkcjonalność.

Annie jest wniebowzięta, ja również. Gdyby nie ograniczona przestrzeń, moglibyśmy uchodzić za kawiarnię ze snobistycznej dzielnicy Paryża.

Czas też nam sprzyja. Dwa dni temu zamknięto „Le P'tit Pinson” (a to ci dopiero niespodzianka), po tym jak ktoś zatrzał się obiadem i zaalarmowano sanepid. Podobno Laurenta czeka miesiąc sprzątnięcia i dezynfekowania lokalu, zanim pozwolą mu na nowo otworzyć podwoje, co oznacza, że przed świętami raczej nie może liczyć na zysk.

Czyli jednak zjadł tamte czekoladki. Biedny Laurent. Niezbadane są wyroki Hurakana. Niektórzy ściągają klęskę na swoją głowę, tak jak odgromnik przyciąga pioruny.

No cóż, będzie więcej dla nas. Wprawdzie nie mamy licencji na alkohol, ale gorąca czekolada, ciasta, biskwity, makaroniki, no i rzecz jasna syreni śpiew gorzkich trufli, beczulek kawowych, truskawek w polewie, glazurowanych orzechów, całusków morelowych...

Na razie miejscowi odnoszą się do nas z rezerwą, nieco zaniepokojeni zachodzącymi zmianami. W ich oczach *chocolaterie* to wciąż pułapka na turystów i żaden szanujący się tubylec nie przestąpi jej progu. Tak więc będę musiała użyć całej swojej siły perswazji.

Nieświadomie pomoże nam Laurent. Laurent, który nienawidzi wszelkich



zmian, który mieszka w urojonym mieście, gdzie mają wstęp wyłącznie rodowici paryżanie. Przepada za słodyczami, podobnie jak wszyscy alkoholicy, poza tym dokąd pójdzie, skoro zamknęli mu kawiarnię? Gdzie znajdzie publiczność, gotową wysłuchać jego skarg?

Wpadł wczoraj w porze obiadu, był nadęty, ale zżerała go ciekawość. Z kwaśną miną rozejrzał się po odmienionym wnętrzu. Tak się szczęśliwie złożyło, że akurat miałyśmy klientów: byli to Richard i Mathurin, którzy zajrzeli w drodze do parku, gdzie swoim zwyczajem mieli zagrać w *petanque*. Wyraźnie zmieszali się na widok Laurenta. Jako stali bywalcy „Le P'tit Pinson” mieli do tego święte prawo. Ten obrzucił ich pogardliwym spojrzeniem.

– Komuś się dobrze powodzi – zauważył z przekąsem. Co to ma być, cholerna kawiarnia czy co?

Uśmiechnęłam się słodko.

– Podoba ci się?

Laurent prychnął.

– Każdy osioł myśli, że może prowadzić kawiarnię. Samo małpowanie nie wystarczy.

– Nawet byśmy nie śmiały – odparłam. – Niełatwo dziś stworzyć prawdziwą atmosferę.

– Tylko nie zaczynaj – fuknął Laurent. – Niedaleko stąd jest „Cafe des Artistes”. Właściciel jest Turkiem, dasz wiarę? Obok znajduje się włoska kawiarnia, angielska herbaciarnia oraz kilka amerykańskich lokali sieciowych. Ci cholerni jankesi uważają, że to oni wymyślili kawę... Popatrzył na mnie ze złością, jakby i ja miała amerykańskie korzenie. – Co z lojalnością, pytam? – warknął. – Co ze starym, dobrym francuskim patriotyzmem?

Mathurin jest przygłuchy i chyba rzeczywiście nie dosłyszał, ale byłam pewna, że Richard udaje.

– Było pyszne, Yanne. Na nas już czas.

Zostawili pieniądze na stole i uciekli, nie oglądając się na Laurenta, który poczerwieniał niebezpiecznie i oczy mało nie wyszły mu z orbit.

– Cioty... – nie wytrzymał. – Tak to przychodzi na piwo i karty, a gdy człowiekowi powinie się noga...

Posłałam mu swój najbardziej współczujący uśmiech.

– Wiem, Laurent. Ale wiesz, sklepy z czekoladą mają długą tradycję. Kto wie, czy nie dłuższą niż kawiarnie. Można wręcz powiedzieć, że na dobre wrosły w krajobraz Paryża... – Zaprowadziłam go, wciąż kipiącego ze złości, do

zwolnionego właśnie stolika. – Może usiądziesz i napijesz się czekolady? Oczywiście na koszt firmy.

I tak się zaczęło. Laurent dał się przekupić czekoladą i pralinką. Nie, żebyśmy szczególnie go potrzebowały: to w gruncie rzeczy pasożyt, który napycha kieszenie kostkami cukru z cukiernicy i godzinami siedzi nad jedną filiżanką. Niemniej jednak stanowi słabe ogniwo w naszej małej społeczności: dokąd pójdzie Laurent, tam podążą również inni.

Rano zajrzała madame Pinot. Wprawdzie nic nie kupiła, ale rozejrzała się uważnie i wyszła z darmową pralinką w kieszeni. Potem przyszli Jean-Loup i Paulpaul, a dziewczyna, która kupiła dziś trufle, pracuje w *boulangerie* przy Rue des Trois Freres i na pewno szepnie słówko swoim klientom.

Nie chodzi wyłącznie o smak, spróbuje im wyjaśnić. Ciemne trufle z aromatem rumu i domieszką chili, jedwabisty środek i gorycz kakaowej otoczki. Żadne słowa nie oddadzą powabu czekoladowych truflif Yanne Charbonneau.

Może chodzi o to, że dodają siły i energii, wyostają zmysły, pozwalają na nowo docenić barwę i fakturę przedmiotów. Człowiek staje się świadomy siebie i tego, co w nim głęboko, swoich ust, podniebienia, wrażliwego języka.

– Tylko jedna – mówię.

Próbują. I kupują.

Kupują tyle, że Vianne nie wychodziła dziś z kuchni. Ja zajmowałam się sklepem i serwowałam gorącą czekoladę. Przy odrobinie dobrej woli przy stoliku mieści się sześć osób. Sklep wywiera na ludzi magnetyczny wpływ: mimo panującej tu ciszy i spokoju wewnątrz technie radością i klienci chętnie rozsiadają się w fotelach, aby zamienić kilka słów, wypić czekoladę i zapomnieć o kłopotach.

Tak, usta im się nie zamykają. Tylko Vianne wciąż milczy jak zaklęta. Ale mamy czas. Nie ma sensu działać pochopnie. Na razie zajmę się Nico.

– Uszanowanie miłej pani! Co dziś na obiad?

– A co pan sobie życzy? – pytam. – Skryzalizowane płatki róż, kwadraciki chili, kokosowe makaroniki... – Przeciagam ostatnie słowo, świadoma jego upodobania do kokosanek.

– Ach! Nie powinienem.

Oczywiście udaje. Kryguje się z uśmiechem, wie, że nie dam się oszukać.

– Tylko jeden – kuszę.

– No dobrze, niech będzie połowa.

No tak, połówki się nie liczą. Podobnie jak mała filiżanka czekolady z czterema makaronikami na talerzyku, ciasto kawowe przyniesione przez Vianne oraz

polewa, którą wyskrobuje z makutry.

– Mama zawsze dorabiała polewę – powiedział. – Żebym miał więcej do wylizywania. Czasami robiła tyle, że nawet ja nie dawałem rady... – Urwał raptownie.

– Mama?

– Umarła. – Dziecinna twarz spochmurniała.

– Tęsknisz za nią – rzuciłam domyślnie.

Kiwnął głową.

– No chyba.

– Kiedy umarła?

– Trzy lata temu. Spadła ze schodów. Miała trochę nadwagi.

– Musi ci być ciężko. – Z trudem zachowuję powagę. „Trochę nadwagi” w kategoriach Nico to pewnie co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów. Jego twarz przybiera otępiały wyraz, a aura mieni się matową zielenią i srebrzystą szarością, które kojarzę z negatywnymi emocjami.

Obwinia się za jej śmierć, widzę to jak na dłoni. Poślizgnęła się na dywaniku, a on nie wrócił z pracy na czas: zamarudził w *boulangerie* albo zasiedział się o dziesięć minut za długo na ławce, żeby popatrzeć na przechodzące dziewczęta...

– Nie jesteś sam – zapewniłam. – Inni też to przeżywają. Ja też się obwiniałam, kiedy moja mama umarła...

Wzięłam go za rękę. Kości pod warstwą tłuszczu były kruche jak u dziecka.

– Stało się to, jak miałam szesnaście lat. Nigdy nie przestałam myśleć, że to moja wina. – Rzuciłam mu krzepiące spojrzenie, krzyżując za plecami palce drugiej ręki, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Jasne, że nie przestałam. Miałam ku temu podstawy.

Ale Nico rozjaśnił się w jednej chwili.

– Naprawdę? – spytał.

Skinęłam głową.

W odpowiedzi westchnął jak miech kowalski.

Odwróciłam się, aby ukryć uśmiech i zajęłam się czekoladkami, które stygły obok na ladzie. Pachniały niewinnie, dzieciństwem i wanilią. Ludzie pokroju Nico rzadko zawierają przyjaźnie. Nieszczęśliwy grubasek pod opieką jeszcze bardziej otylej matki, rekompensujący brak kolegów wiecznym podjadaniem pod rozczulonym spojrzeniem rodzicielki.

„Wcale nie jesteś gruby, Nico. Jesteś po prostu grubokościsty. Jedz, Nico. Grzeczny chłopiec”.

– Może nie powinienem – oznajmił wreszcie. – Lekarz mówi, że muszę się ograniczać.

Uniosłam brew.

– A cóż on może wiedzieć?

Wzruszył ramionami, które zatrzęsły się jak galareta na całej długości.

– Czujesz się dobrze, nie?

Znowu ten głupawy uśmieszek.

– Chyba tak. Sęk w tym...

– No?

– No... chodzi o dziewczęta. – Poczzerwieniał jak burak. No bo co widzą? Wielkiego, tłustego gościa. Gdybym stracił trochę ciała... trochę poćwiczył... wtedy może, no wiesz...

– Nie jesteś gruby, Nico. Nie musisz się zmieniać. Znajdziesz kogoś, zobaczysz. Cierpliwości.

Kolejne westchnienie.

– No więc co ma być?

– Poproszę paczkę makaroników.

Właśnie zawiązywałam kokardę, kiedy do sklepu weszła Alice. Nie mam pojęcia, po co mu wstążka: oboje wiemy, że ciastka nie dotrważą do powrotu do domu, ale z jakichś powodów tak ma być. Żółta wstążka, absurdalna na tle wielkich dłoni.

– Cześć, Alice – powiedziałam. – Siadaj, za minutę do ciebie przyjdę.

Tak naprawdę odczekałam pięć minut. Alice potrzebuje czasu. Z lękiem zerka na Nico. Wygląda przy niej jak olbrzym, w dodatku wygłodniały. Nico, o dziwo, zapomniał języka w gębie. Kuli się w sobie, a na jego twarz wypełza szkarłatny rumieniec.

– Nico, poznaj Alice.

Alice pozdrawia go szeptem.

To najprostsza rzecz na świecie. Wystarczy naskrobać paznokciem znak wzdłuż satynowej wstążki na bombonierce. To może być cokolwiek, na przykład Wypadek, lecz również początek czegoś nowego, zakręt na drodze, szlak wiodący ku nowemu życiu...

Wszystko się zmienia...

Dziewczyna znowu coś szepcze. Patrzy na swoje buty, po czym jej wzrok pada na paczkę makaroników.

– Uwielbiam je – oświadcza Nico. – Poczęstujesz się?

Alice już ma pokręcić głową. Ale on jest taki miły, mówi sobie w duchu. Zwaliste cielsko kryje w sobie coś krzepiąco dziecinnego, niemal bezbronnego. Ma w sobie coś, co pozwala uwierzyć, że może... kto wie... on rozumie.

– Tylko jeden – zachęca Nico.

Symbol na bombonierce rozbłyska bladym światłem. To Księżyc Królika, znak miłości i płodności. I zamiast kwadracika gorzkiej czekolady Alice nieśmiało godzi się na filiżankę spienionej mokki z makaronikiem. Wychodzą jednocześnie (żeby nie powiedzieć razem), ona z małym, on z dużym pudełkiem pod pachą.

Patrzę, jak Nico otwiera ogromny, czerwony parasol z napisem: *Merde, il pleut!* [Psiakrew, znowu leje! (fr.)] i osłania nim chudziutką Alice. Jej śmiech rozbrzmiewa w oddali raczej jak wspomnienie aniżeli sam dźwięk. Patrzę, jak odchodzą brukowaną ulicą, ona przeskakuje kałuże w swoich wielkich butach, on z przejęciem trzyma parasol nad jej głową. Wyglądają jak rysunkowy niedźwiedź i brzydkie kaczątko z pokręconej bajki, oboje w drodze ku nowej, wielkiej przygodzie.

*Czwartek, 22 listopada*

Trzy nieodebrane telefony od Thierry'ego i zdjęcie z Muzeum Historii Naturalnej z podpisem: „Neandertalko! Ty włączyć telefon!”. Rozbawił mnie, chociaż wcale nie było mi do śmiechu; nie podzielałam jego pasji do nowinek technicznych i po kilku bezskutecznych próbach wysłania odpowiedzi ponownie schowałam aparat w kuchennej szufladzie.

Zadzwoił później. Wygląda na to, że nie wróci na najbliższy weekend, ale obiecuje zjawić się w przyszłym tygodniu. W pewnym sensie jest mi to na rękę. Mam czas, żeby uporządkować wszystkie sprawy, przygotować towary oraz przywyknąć do „nowego” sklepu, jego zwyczajów i klienteli.

Dzisiaj przyszli Nico i Alice. Alice kupiła małe opakowanie czekoladowych ciagutek (bardzo małe, ale spałaszowała wszystkie bez niczyjej pomocy), a Nico kilogram makaroników.

– Nigdy nie mam ich dość – wyznał z rozbijającą szczerością. – Tylko bym jadł i jadł. Nie przestaniesz ich robić, Yanne?

Uśmiecham się na ten jego entuzjazm. Usiedli przy stoliku: Alice zamówiła mokkę, a Nico gorącą czekoladę ze śmietaną i pianką. Zozie i ja dyskretnie wyszliśmy na zaplecze, zaglądając do sklepu tylko wówczas, gdy zjawiał się nowy klient. Rosette wyjęła blok i zaczęła rysować małpki, ogoniaste, uśmiechnięte i we wszystkich kolorach tęczy.

– Hej, niezłe – oznajmił Nico, kiedy podała mu rysunek przedstawiający grubą, fioletową małpę zjadającą orzech kokosowy. – Pewnie lubisz małpy, co?

I zrobił małpią minę. Rosette zapiła z radości. „Jeszcze raz”, pokazała. Zauważyłam, że coraz częściej się śmieje. Do Nico, do mnie, do Anouk, do Zozie. Może przy kolejnej wizycie Thierry'ego też będzie bardziej otwarta.

Alice również wybuchnęła śmiechem. Rosette lubi ją najbardziej ze wszystkich, pewnie dlatego, że w krótkiej, wzorzystej sukience i błękitnym płaszczku sama wygląda niemalże jak dziecko. Albo dlatego, że prawie się nie odzywa, nawet do Nico, który gada za dwoje.

– Ta małpka wygląda jak Nico – powiedziała. W obecności dorosłych jej głos brzmi jak szmer wiatru. Przy Rosette przybiera inny ton, brzmi głęboko i komicznie, a mała odpowiada szerokim uśmiechem.

Potem rysuje małpki dla wszystkich. Małpka Zozie nosi czerwone mitenki na wszystkich czterech nogach. Małpka Alice jest jaskrawoniebieska, ma chudziutkie ciało i absurdalnie długi, wywinięty ogon. Moja jest zakłopotana, chowa w łapkach włochatą twarz. Rosette ma talent, jej rysunki są proste, ale nadzwyczaj pełne życia. Kilkoma kreskami bezbłędnie oddaje mimikę.

Wśród ogólnej wesołości weszła madame Luzeron ze swym kudłatym pieskiem o brzoskwiowej sierści. Madame Luzeron przejawia wyjątkową dbałość o strój: nosi szare kostiumy, które tuszują coraz szerszą talię, i pięknie skrojone płaszcze w odcieniach czerni i grafitu. Mieszka za parkiem, w jednym z wielkich domów ze stiukami, codziennie chodzi na mszę, a co drugi dzień do fryzjera, z wyjątkiem czwartków, kiedy w drodze na cmentarz mijają nasz sklep. Być może nie liczy sobie więcej niż sześćdziesiąt pięć lat, ale ręce ma powykręcane artretyzmem, a wychudłą twarz pokrywa gruba, kredowa warstwa pudru.

– Trzy trufle rumowe w pudełku.

Madame Luzeron nigdy nie mówi „proszę”. Zapewne uważa to słowo za zbyt burżuazyjne. Ukradkiem popatrzyła na Alice, grubego Nico, puste filiżanki i małpki. Wyskubana brew podjechała do góry.

– Widzę, że zmieniliście... wystrój. – Króciutka pauza poprzedzająca ostatnie słowo ma podważyć słuszność naszej decyzji.

– Cudnie, prawda? – To Zozie. Nie jest przyzwyczajona do maniery madame Luzeron, która mierzy krytycznym spojrzeniem jej przydługą spódnicę, plastikową różę we włosach, brzęczące bransoletki i buty na klinie z wesołym nadrukiem wisienek, włożone do rajstop w czarne i różowe paski.

– Same pomalowałyśmy krzesła – uzupełnia Zozie, sięgając do gabloty po czekoladki. – Uznałyśmy, że przydałoby się tu trochę koloru.

Madame uśmiechnęła się uśmiechem cierpiętnicy. Zozie trajkotała w najlepsze jak gdyby nigdy nic.

– Już podaję. Trufle rumowe. Proszę uprzejmie. Jaki kolor wstążki? Może różowa, wygląda bardzo ładnie. Albo czerwona. Jak pani uważa?

Madame milczała, ale Zozie wcale nie czekała na odpowiedź. Zapakowała trufle, ozdobiła pudełko wstążką i papierowym kwiatem, a następnie położyła bombonierkę na ladzie.

– Te trufle wyglądają jakoś inaczej – oznajmiła podejrzliwie madame Luzeron, oglądając czekoladki przez celofan.

– Owszem – odrzekła Zozie. – Yanne sama je robi.

– Szkoda – skwitowała madame. – Lubiłam tamte.

– Te będą pani bardziej smakować – zapewniła Zozie. Proszę spróbować. Na koszt firmy.

Mogłam jej powiedzieć, że traci czas. Paryżanie nieufnie odnoszą się do prezentów. Niektórzy odruchowo odmawiają, nie lubią mieć długów, nawet tak błahych. Madame Luzeron pociągnęła nosem – była to arystokratyczna wersja prychnięcia Laurenta. Położyła monety na ladzie...

Wtedy to zobaczyłam. Prawie niezauważalny ruch palców, kiedy jej dłoń musnęła rękę Zozie. Przebłysk na szarym listopadowym niebie. Może to neon po drugiej stronie placu, chociaż „Le P'tit Pinson” stoi zamknięty na glucho, a uliczne latarnie zapalą się dopiero za dwie godziny. Poza tym powinnam rozpoznać ów błysk, który na podobieństwo iskry elektrycznej przeskakuje z jednej osoby na drugą...

– Proszę – zachęciła Zozie. – Przecież może sobie pani na to pozwolić.

Madame poczuła to dokładnie w tym samym momencie co ja. Jej twarz uległa raptownej zmianie. Spod warstwy retuszu przebiło zmieszanie, tęsknota, samotność i żal, uczucia, które przemknęły po pobladłej twarzy jak chmury po niebie...

Pospiesznie odwróciłam wzrok. Nie chcę znać twoich tajemnic, pomyślałam. Nie chcę znać twoich myśli. Zabieraj tego głupiego psa i czekoladki i wracaj do domu, zanim będzie...

Za późno. Zobaczyłam.

Cmentarz, potężny obelisk z jasnoszarego marmuru w kształcie fali oceanicznej. I zdjęcie na nagrobku, na którym mniej więcej trzynastoletni chłopiec uśmiecha się szeroko do aparatu. Pewnie szkolna fotografia, ostatnia przed śmiercią, czarnobiała, ale podkolorowana pastelowo specjalnie na tę okazję. Niżej stoją rzędy bombonierek, zniszczonych przez deszcz. Jedna na każdy czwartek, wszystkie nietknięte i przewiązane wstążkami, żółtymi, różowymi, zielonymi...

Podnoszę wzrok. Madame Luzeron patrzy, ale nie na mnie. Jej przerażone, wodniste oczy są szeroko otwarte i pełne dziwnej nadziei.

– Spóźnię się – mówi cicho.

– Ma pani czas – uspokaja łagodnie Zozie. – Proszę usiąść, odpocząć. Nico i Alice właśnie wychodzili. Proszę nalega, kiedy kobieta chce zaprotestować. – Niech pani usiądzie i napije się czekolady. Pada, syn może zaczekać.

Ku mojemu zdumieniu tamta ustępuje.

– Dziękuję – mówi i siada na podsunętym krześle. Jakże nie pasuje do różowego tła! Z przymkniętymi oczami je czekoladkę, opierając głowę o puszysty zagłówek ze sztucznego futerka.



Wygląda przy tym na spokojną, ba, szczęśliwą...

Na zewnątrz wiatr trzęsie świeżo pomalowanym szyldem, deszcz zrasza brukowane ulice, a grudzień czai się za węglem. Jest miło i przytulnie: prawie zapominam, że nasze ściany są z papieru, a życie ze szkła, że podmuch wiatru może pogruchotać nas na kawałki, a zawierucha obrócić wszystko wniwecz.

*Piątek, 23 listopada*

Powinnam się domyślić, że im pomogła. Kiedyś, w czasach Lansquenet, pewnie sama bym to zrobiła. Najpierw Nico i Alice, tak dalece niepodobni; wiem przypadkiem, że zwrócił na nią uwagę już wcześniej, bo co tydzień zagląda do kwaciarni i kupuje żonkile (swoje ulubione), ale nigdy nie odważył się zagadać i poprosić o spotkanie.

Aż tu nagle, przy czekoladzie...

Przypadek, mówię sobie.

Teraz madame Luzeron, dawniej tak krucha i pełna rezerwy, uwalnia sekrety jak wyschnięty flakonik, z którego rzekomo ulotnił się zapach.

Słoneczna poświata wokół framugi, nawet w pochmurne dni, nasuwa obawę, że ktoś maczał w tym palce, a nieoczekiwany napływ klientów to nie tylko zasługa naszych wyrobów.

Wiem, co powiedziałyby na to moja matka.

„I co w tym złego? Przecież nikomu nie dzieje się krzywda. Uważasz, że na to nie zasłużyli, Vianne?”

Oni to jedno, a my?

Wczoraj próbowałam ostrzec Zoie. Wyjaśnić, że nie wolno się wtrącać. Ale nie mogłam. Raz uchylona szkatułka sekretów nie da się więcej domknąć. Wyczuwam, że dziewczyna ma mi to za złe. Stanowimy dwa przeciwieństwa, wspaniałomyślność i skąpstwo, przy czym ja reprezentuję to drugie, jak zły piekarz z bajki, który pobierał opłatę za zapach piekącego się chleba.

„A cóż w tym złego – zapytałaby na pewno. – Czy ta pomoc nas coś kosztuje?”

Ach, często byłam już o krok od wyjawienia prawdy. Za każdym razem jednak się powstrzymywałam. Poza tym może to rzeczywiście zbieg okoliczności.

Ale dziś stało się coś jeszcze. Coś, co potwierdziło moje obawy. Rzecz dotyczy tego katalizatora z bożej łaski, Laurenta Pinsona. W tym tygodniu zajrzał do „Rocher de Montmartre” kilkakrotnie. Nic w tym dziwnego, o ile się nie mylę, nie sprowadza go do nas apetyt na czekoladę.

Dziś rano zjawił się znowu. Oglądał pralinki w gablotach, kręcił nosem na ceny i z kwaśną miną rejestrował kolejne zmiany, okraszając ów spektakl pełnym dezaprobaty pochrząkiwaniem.

– Phi.

Był to jeden z nielicznych słonecznych dni. Bezwietrzny jak w sercu lata i bezchmurny; czyste niebo przecinały jedynie wstęgi dymów.

– Ładny dzień – zauważyłam.

– Phi – odparł Laurent.

– Szukasz czegoś konkretnego, czy mam ci przynieść coś do picia?

– Za taką cenę?

– Na koszt firmy.

Niektórzy nie są w stanie odmówić, gdy ktoś proponuje im darmowy poczęstunek. Laurent przysiadł niechętnie na fotelu, łaskawie przyjął filiżankę kawy i pralinę, po czym przystąpił do swej zwykłej litanii.

– Zamknąć mi lokal, o tej porze roku. To się nazywa wyzysk! Ktoś chce mnie puścić z torbami.

– Co się stało? – zapytałam.

Wylał zale. Ktoś doniósł, że odgrzewa resztki, jakiś idiota się pochorował i nasłali mu na kark sanepid. Inspektor sanitarny ledwie mówił po francusku i choć Laurent okazał mu nienaganną uprzejmość, obraził się na jakąś niefortunną uwagę i...

– Bach! Zamknęli! Tak po prostu! Ten kraj schodzi na psy, ot co! Żeby zamknąć szanującą się kawiarnię, która działa od dziesięcioleci, i to za sprawą cholernego czarnucha...

Udawałam, że słucham, robiąc w myślach listę najlepiej sprzedających się czekoladek, których zapasy należało uzupełnić. Nie zareagowałam też, kiedy Laurent bez pytania poczęstował się drugą praliną. Mogę sobie na to pozwolić. A on musi się wygadać...

Po chwili nadeszła Zozie, która robiła w kuchni rolady czekoladowe. Laurent natychmiast przerwał swoją tyradę i zarumienił się aż po uszy.

– Dzień dobry, Zozie – powiedział z przesadną godnością.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Reakcja Laurenta była całkowicie zrozumiała, na jego miejscu każdy by się zapatrzył. W aksamitnej sukni do podłogi i trzewikach za kostkę w identycznym, chabrowym odcieniu Zozie wyglądała olśniewająco.

Mimowolnie ogarnęło mnie współczucie. Zozie to atrakcyjna kobieta, a Laurent osiągnął etap, kiedy mężczyźnie najłatwiej zawrócić w głowie. Jednocześnie zrozumiałam, że będziemy mieć go na karku do świąt, bezwstydnie wykorzystującego naszą gościnność, denerwującego klientów, kradnącego cukier,

utyskującego, że dzielnica schodzi na psy i...

Odwracając się, zobaczyłam w ostatniej chwili, jak Zozie pstryka za plecami kciukiem i palcem wskazującym. Znak mojej matki: A kysz! Zgiń, przepadnij!

Laurent klepnął się w kark, jakby go coś ukąsiło. Wstrzymałam oddech: za późno. Stało się. Tak naturalnie, w Lansquenet sama uciekłabym się do podobnego wybiegu. Nie robiłam tego od czterech lat.

– Laurent? – rzuciłam pytająco.

– Muszę lecieć – oznajmił. – Kupa spraw do załatwienia, sama wiesz. Nie mam czasu. – Wciąż pocierając szyję, podniósł się z fotela, który zajmował od blisko pół godziny, i prawie wybiegł ze sklepu.

Zozie posłała mi niewinny uśmiech.

– Najwyższy czas.

Ciężko usiadłam na krześle.

– Dobrze się czujesz?

Popatrzyłam na nią w milczeniu. Zawsze zaczyna się od nieistotnych drobiazgów. Ale ziarnko do ziarnka i nim się obejrzysz, wiatr zmienia kierunek, a Życzliwi wietrzą trop...

Przez chwilę miałam jej to za złe. Bądź co bądź to właśnie ona zamieniła mój zwykły sklep w tę jaskinię piratów. Przed jej przybyciem byłam po prostu Yanne Charbonneau, która prowadziła niczym niewyróżniającą się *chocolaterie*, miała nosić pierścionek Thierry'ego i pozwalała, aby życie toczyło się własnym trybem, bez najmniejszej ingerencji z jej strony.

Ale wszystko się zmieniło. Kilka pozornie niewinnych gestów obróciło wniwecz cztery lata, a kobieta, która od dawna powinna być martwa, raptem otwiera oczy i bierze głęboki oddech...

– Vianne... – powiedziała cicho.

– To nie moje imię.

– Ale tak się nazywałaś, prawda? Vianne Rocher.

Skinęłam głową.

– W minionym życiu.

– Dlaczego by do niego nie wrócić?

No właśnie, dlaczego? Niebezpiecznie kusząca myśl. Znów być Vianne, mnożyć cuda, pokazywać ludziom magię ukrytą w nich samych...

Musiałam jej powiedzieć. Trzeba z tym skończyć. To nie jej wina, ale nie mogę tego ciągnąć. Życzliwi depczą nam po piętach, na razie jeszcze ślepi, ale niezmiennie wytrwali.

Czuję, jak nadchodzą przez mgłę, przeczesują powietrze długimi palcami, wrażliwi na najlżejszy przejaw niezwykłości.

– Wiem, że próbujesz pomóc – powiedziałam. – Ale same damy sobie radę.

Uniosła brew.

– Wiem, *co* myślisz. – Nie czułam się na siłach, żeby powiedzieć wprost. Zamiast tego dotknęłam bombonierki, przesuwając palcem po mistycznej spirali na wieku.

– Ach, rozumiem, o jakiej pomocy mówisz. – Rzuciła mi nieodgadnione spojrzenie. – Dlaczego? Co się stało?

– Nie zrozumiesz.

– Dlaczego? – zapytała. – Przecież jesteśmy takie same.

– Nie jesteśmy! – Powiedziałam to za głośno, cała się trzęsłam. – Już tego nie robię. Jestem zwyczajna. Nudna. Spytaj, kogo chcesz.

– Spoko. – Ulubiona odzywka Anouk, poparta zamaszystym wzruszeniem ramion, jakim nastolatki manifestują dezaprobatę. Efekt miał być komiczny, ale mnie nie było do śmiechu.

– Przepraszam – powiedziałam. – Wiem, że chcesz jak najlepiej. Ale dzieci... łatwo podchwytyją takie rzeczy. Zaczyna się od zabawy, a potem wymyka się spod kontroli...

– Czy to się właśnie stało? Sytuacja wymknęła się spod kontroli?

– Nie chcę o tym mówić, Zozie.

Usiadła obok mnie.

– Daj spokój, Vianne. Nie mogło być tak źle. Możesz mi powiedzieć.

Zobaczyłam Życzliwych, ich twarze, wyciągnięte ręce. Widziałam ich za głową Zozie, słyszałam głosy, rozważne, perswazyjne i jakże życzliwe...

– Dam sobie radę – ucięłam. – Jak zawsze.

„Ty kłamczucho”.

Znowu głos Roux, tak wyraźny, jakby on stał tuż obok. Za dużo tutaj duchów, pomyślałam. Za dużo plotek typu „kiedy”, „gdzie” i, co najgorsze, „co by było gdyby”.

Idź sobie, nakazałam mu w duchu. Jestem teraz kimś innym. Zostaw mnie w spokoju.

– Dam sobie radę – powtórzyłam, siłąc się na uśmiech.

– No cóż, gdybyś mnie potrzebowała...

Kiwnęłam głową.

– Poproszę.

*Poniedziałek, 26 listopada*

Suzanne znów nie przyszła do szkoły. Podobno ma grypę, ale Chantal mówi, że to z powodu włosów. Nie, żebyśmy ze sobą rozmawiały, lecz odkąd zaprzyjaźniłam się z Jeanem-Loupem, jest jeszcze bardziej paskudna niż zwykle, o ile to w ogóle możliwe.

Bez przerwy się mnie czepia. Czepia się moich włosów, ubrań, zachowania. Dziś włożyłam nowe buty (takie sobie, zwyczajne, ładne, ale nie „Zozie”). Nadawała o nich przez cały dzień, pytała, gdzie je kupiłam, ile kosztowały. I uśmiechała się kretyńsko (jej buty jakoby pochodzą ze sklepu przy Polach Elizejskich; nie wierzę, że nawet jej matka byłaby skłonna tyle zapłacić). Potem wsiadła na moje włosy i wypytywała, gdzie chodzę do fryzjera i ile płacę za strzyżenie. I znów ten durnowaty uśmieszek.

O co jej chodzi? Zapytałam Jeana-Loupa – powiedział, że musi się czuć zagrożona. Hm, może to prawda. Ale od zeszłego tygodnia mam same problemy. A to giną mi z ławki zeszyty, a to ktoś „przypadkowo” kopnie moją torbę, rozrzucając wszystko po całej podłodze. Ludzie, których dosyć lubiłam, nagle nie chcą obok mnie siedzieć. Widziałam wczoraj, jak Sophie i Lucie udawały, że na moim krześle siedzą robaki i z obrzydzeniem odsuwały się jak najdalej ode mnie.

A gdy graliśmy w koszykówkę i jak zwykle zostawiłam ubranie w szatni, po skończonym meczu nie mogłam znaleźć butów. Szukałam ich wszędzie, dopiero Faridah znalazła je za kaloryferem, pogniecione i brudne. I choć nie mogłam udowodnić, że to sprawka Chantal, wiedziałam.

Po prostu wiedziałam.

Potem uwzięła się na *chocolaterie*.

– Słyszałam, że jest bardzo ładna – powiedziała. Znów ten uśmieszek, jakby określenie „ładna” oznaczało szyfr zrozumiały tylko dla niej i jej przyjaciół. – Jak się nazywa?

Nie chciałam jej mówić, ale powiedziałam.

– Oooooo, ładnie – orzekła Chantal i wszystkie zachichotały. Ma własną świętą: Lucie i Danielle oraz parę „dochodzących” typu Sandrine, która była kiedyś wobec mnie bardzo miła, ale teraz odzywa się, tylko kiedy Chantal nie widzi.

Wszystkie wyglądają trochę jak ona, jak gdyby bycie Chantal było czymś

zaraźliwym, jak rodzaj modnej wysypki. Wszystkie mają identyczne wyprostowane włosy, wycieniowane i lekko wywinięte na samych końcach. Wszystkie używają tych samych perfum (w tym tygodniu to „Angel”) i malują usta tym samym różowym odcieniem perłowej szminki. Chyba umrę, jeśli przyjdą do naszego sklepu. Na pewno. Umrę jak nic. Zaczną się gapić i rechotać, ze mnie, z Rosette, z *maman* z rękami po łokcie w czekoladzie i nadzieją w oczach: „czy to twoje przyjaciółki?”.

Wczoraj powiedziałam to Zozie.

– Wiesz, co masz robić. To jedyny sposób, Nanou, musisz stawić im czoło. Musisz odpłacić pięknym za nadobne.

Wiedziałam, że to powie. Zozie nie cofnie się przed walką. Ale są rzeczy, na które nie pomoże sama postawa. Oczywiście wiem, że od czasu naszej rozmowy wyglądam znacznie lepiej. Sęk w tym, żeby stanąć prosto i przećwiczyć zabójczy uśmiech, a poza tym zaczęłam też nosić to, co mi się podoba (wcześniej pozwalałam decydować *maman*)

i choć jeszcze bardziej wyróżniam się na tle innych, czuję się fantastycznie. Czuję się sobą.

– No i super. Bywa jednak, że to za mało, Nanou. Nauczyłam się tego w szkole. Musisz ich nauczyć *moresu* raz na zawsze. Skoro one grają nie *fair*, musisz postąpić tak samo.

Gdybym tylko umiała.

– Chcesz powiedzieć, że mam jej schować buty?

Zozie spojrzała na mnie wyniośle.

– Nie, nie mam na myśli butów!

– No to co?

– Sama wiesz, Annie. Już to kiedyś zrobiłaś.

Pomyślałam o dniu, w którym czekałyśmy na autobus, o Suze i jej włosach, o tym, co powiedziałam...

To nie moja wina. Ja tego nie zrobiłam!

Ale potem przypomniałam sobie *Lansquenet*, *Wypadki Rosette*, *Pantoufle'a*, Zozie w herbaciarni, aurę i małą wioskę nad Loarą, ze szkółką, muzeum wojennym, wałem nabrzeżnym i rybakami oraz kawiarnię, nad którą mieszkało to miłe małżeństwo. Przypomniałam sobie... jak to się nazywało?

*Les Laveuses*, szepnął cichy głos w mojej głowie.

– *Les Laveuses* – powiedziałam.

– Co się stało, Nanou?

Nagle zakręciło mi się w głowie. Usiadłam z rozmachem na krześle, upstrzonym odciskami małych rączek Rosette i wielkich dłoni Nico.

Zozie spojrzała na mnie uważnie i zmrużyła roziskrzone, niebieskie oczy.

– Czary nie istnieją – oznajmiłam.

– Jak to nie?

Potrząsnęłam głową.

– Wiesz, że istnieją, Nanou.

I – na jedną króciutką chwilę – uwierzyłam jej na słowo. Było to podniecające, a zarazem przerażające, jakbym kroczyła wąską, krętą ścieżką po krawędzi klifu, ponad wzburzoną powierzchnią oceanu.

Spojrzałam na Zozie.

– Nie mogę – powiedziałam.

– Dlaczego?

– To był wypadek! – krzyknęłam. Łzy zapiekły mnie pod powiekami, a serce zabiło gwałtownie w piersi. I przez cały czas ten wiatr, ten wiatr...

– W porządku, Nanou. Już dobrze. – Objęła mnie, a ja ukryłam twarz na jej ramieniu. – Nie musisz robić nic, czego nie chcesz. Ja się tobą zaopiekuję. Będzie ekstra.

Tak dobrze było oprzeć głowę na jej ramieniu i przymknąć oczy, wdychając otaczający nas zapach czekolady. I uwierzyć na chwilę, że naprawdę będzie ekstra, że Chantal & Ska zostawią mnie w spokoju, i że przy Zozie nigdy nie stanie mi się nic złego.

Przeczuwałam, że kiedyś się zjawią. Może Suze powiedziała im, gdzie mnie szukać, a może sama to zrobiłam, dawno temu, kiedy jeszcze wierzyłam, że znajdę prawdziwych przyjaciół. Tak czy inaczej był to szok. Musiały przyjechać metrem i przebiec przez Butte, żeby mnie wyprzedzić i...

– Cześć, Annie! – Nico właśnie wychodził ze sklepu z Alice u boku. – Niezłe zgromadzenie, to chyba twoje koleżanki ze szkoły...

Zauważyłam, że bardzo poczerwieniał na twarzy. Oczywiście jest tęgi i szybko dostaje zadyszki, ale poczułam, że dzieje się coś niedobrego.

Mało nie obróciłam się na pięcie i nie uciekłam. Cały dzień był do niczego: w porze obiadowej Jean-Loup musiał się zwolnić (wizyta u lekarza), a Chantal nie dawała mi spokoju, co rusz pytając „gdzie twój chłopak?”, bez przerwy gadając o pieniądzach i o tym wszystkim, czego to nie dostanie na święta.

To pewnie był jej pomysł. Tak czy inaczej, czekała na mnie w sklepie razem ze



swoją switą. Lucie, Danielle, Chantal i Sandrine siedziały przy stoliku, piły colę i chichotały jak nienormalne.

Musiałam wejść do środka. Nie było gdzie się schować, a poza tym przecież nie jestem ostatnim tchórzem, nie? „Jestem boska” – mruknęłam pod nosem, ale szczerze mówiąc, wcale się tak nie czułam. Byłam wykończona, miałam sucho w ustach i zrobiło mi się niedobrze. Chciałam usiąść przed telewizorem i obejrzeć z Rosette jakąś głupią bajkę. Albo poczytać książkę...

– Widziałyście go? – perorowała na cały głos Chantal, gdy weszłam do środka.  
– Wygląda jak ciężarówka...

Na mój widok udała zdziwienie.

– Ooo, Annie. To był twój chłopak?

Stłumione śmieszki.

– Ooo, to ładnie.

Wzruszyłam ramionami.

– Znajomy.

Zozie siedziała za ladą, udając, że nie słucha. Zerknęła na Chantal, po czym rzuciła mi pytające spojrzenie: „To ta?”.

Z ulgą skinęłam głową. W sumie nie wiem, czego się po niej spodziewałam, że każe im się wynosić albo że rozleje na nie colę, tak jak urządziła kelnerkę w herbaciarni...

Dlatego zdumiałam się niezmiernie, kiedy po chwili podniosła się z krzesła.

– Usiądź i pogadaj z koleżankami. W razie czego będę na zapleczu. Miłej zabawy.

I wyszła, mrugając porozumiewawczo, jakby rzucenie mnie na pastwę wilków było tym, o czym w tamtej chwili marzyłam najbardziej.

*Wtorek, 27 listopada*

Dziwne, tak się zapierać przed tym, co naturalne. Inna dziewczyna na jej miejscu oddałaby wszystko za takie zdolności. „Wypadek”, dobre sobie...

Vianne też używa tego słowa na określenie rzeczy niechcianych i niewyjaśnionych. Zupełnie jakby nie miały racji bytu w świecie, gdzie wszystko splata się ze wszystkim, a zjawiska tworzą sieć wzajemnych powiązań jak jedwabne nici w gobelinie. Nic nie zdarza się przypadkowo, każdy ma swoje miejsce. A my, ludzie obdarzeni szczególnym darem, ludzie przenikliwi, podążamy przez życie, zbierając poszczególne nici, łącząc je ze sobą i tworząc nowe, misterne wzory na obrzeżach głównego obrazu.

Czy to nie cudowne, Nanou? Cudowne, przewrotne, piękne i wspaniałe? Naprawdę nie zamierzasz w tym uczestniczyć? Nie chcesz znaleźć swego przeznaczenia wśród splecionych wątków i łączyć je nie przypadkowo, ale z rozmysłem?

Po pięciu minutach przysłała do mnie do kuchni, blada z tłumionej wściekłości. Znam to uczucie: dławiące w gardle i ściskające żołądek poczucie bezsilności.

– Każ im odejść – powiedziała. – Chcę, żeby sobie poszły przed powrotem *maman*.

Nie chcę im dawać amunicji, mówiło jej spojrzenie.

Popatrzyłam na nią ze współczuciem.

– To klientki. Cóż mogę zrobić?

Utkwiła we mnie wzrok.

– Mówię poważnie – dodałam. – Są twoimi koleżankami...

– Nie są!

– Aha. Wobec tego... – Udałam, że się waham. – Nic by się stało, gdybyśmy trochę...

Aura rozbłysła jej na samą myśl.

– *Maman* mówi, że to niebezpieczne.

– Pewnie ma swoje powody.

– Jakie powody?

Wzruszyłam ramionami.

– Nanou, dorośli czasem ukrywają przed dziećmi prawdę, żeby je chronić.

Czasem zaś chronią nie tyle dzieci, ile samych siebie przed konsekwencjami owej wiedzy...

Zrobiła zdumioną minę.

– Myślisz, że mnie okłamała?

Wiedziała, że stąpać go grząskim gruncie. Ale to dla mnie nie pierwszozna, poza tym ona sama się o to prosi. W duszy każdego grzecznego dziecka kryje się bunt, pragnienie podważenia autorytetów i zdetronizowania bożków, którymi mianują się rodzice.

Annie westchnęła.

– Nie rozumiem.

– Owszem, rozumiesz. Boisz się – uzupełniłam. – Boisz się być inna. Myślisz, że to cię wyróżnia.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie o to chodzi – odrzekła wreszcie.

– A o co? – zapytałam.

Obrzuciła mnie bacznyim spojrzeniem. Zza drzwi dochodziły piskliwe, szklane głosy spiskujących nastolatków. Posłałam jej swój najbardziej współczujący uśmiech.

– One nigdy nie zostawią cię w spokoju. Teraz wiedzą, gdzie mieszkasz. Zawsze mogą tu wrócić. Dokuczały Nico...

Drgnęła. Wiem, jak bardzo go lubi.

– Codziennie chcesz je tu oglądać? Patrzyć, jak siedzą i zrywają boki...

– *Maman* je wyprosi – rzuciła bez przekonania.

– I co potem? – zapytałam. – Przerabialiśmy to z matką setki razy. Zaczyna się od drobnostek, z którymi łatwo sobie poradzić. Niewybredne żarty, kradzieże w sklepie, ordynarne napisy na okiennicach. No cóż, można z tym żyć. Niezbyt miłe, ale da się przeżyć. Tylko że na tym się nie kończy. Oni nigdy nie dają za wygraną. Psie kupy na wycieracze, głuche telefony w środku nocy, wybite okna, a potem, któregoś dnia, benzyna wlana przez otwór na listy i wszystko idzie z dymem...

Wiem coś o tym. Prawie tak było. Księgarnia okultystyczna przyciąga uwagę, zwłaszcza gdy leży na przedmieściu. Listy do lokalnej gazety, broszury potępiające Halloween, a nawet mała demonstracja przed sklepem: sześciu świątobliwych parafian postulujących o zamknięcie nas na cztery spusty.

– Czy nie to zdarzyło się w Lansquenet?

– W Lansquenet było inaczej.

Zerknęła na drzwi. Czułam, że analizuje to w myślach. Czułam to blisko, na

wyciągnięcie ręki, jak wyładowania atmosferyczne.

– Zrób to – powiedziałam.

Podniosła na mnie wzrok.

– Zrób to. Nie ma się czego bać, daję słowo.

Jej oczy zabłyśły.

– *Maman* mówi...

– Rodzice nie są nieomylni. Prędzej czy później będziesz musiała stanąć na własnych nogach. No dalej. Nie bądź ofiarą, Nanou. Nie pozwól, żeby zapędziły cię pod ścianę.

Widziałam, że się zastanawia, ale chyba jej nie przekonałam.

– Są gorsze rzeczy, niż dać się zapędzić pod ścianę – odpowiedziała.

– Tak mówi twoja mama? Czy dlatego zmieniła nazwisko? Dlatego każe ci żyć w strachu? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się stało w Les Laveuses?

Trafiłam celniej, ale do środka tarczy wciąż było daleko. Twarz Annie przybrała uparty, nieustępliwy wyraz, jakże typowy dla dziewcząt w jej wieku. „Możesz sobie gadać do woli...”.

Postanowiłam spróbować. Jeden, jedyny raz. Sprawiałam, że moja aura załśniła kolorami tęczy i wyciągnęłam rękę po sekret, czymkolwiek był...

I ujrzałam w przelocie ciąg obrazów, jak dymy na wodzie.

Woda. Tak jest. Rzeka. Srebrny kotek, mały amulet w kształcie kotka, rozświetlony blaskiem halloweenowych świec. Ponownie wyciągnęłam rękę, już prawie go miałam... A potem...

BAM!

To było niczym prąd elektryczny. Przeszył moje ciało i odrzucił mnie w tył. Dym rozpląnął się w powietrzu, obrazy znikły, czułam każdy swój nerw. Zrozumiałam, że to było nieplanowane: nastąpiło wyładowanie skumulowanej energii, jak wówczas, gdy rozzłoszczone dziecko tupie nogą. Gdybym w jej wieku miała choćby połowę tej mocy...

Patrzyła na mnie z zaciśniętymi pięściami.

– Dobra jesteś – powiedziałam z uśmiechem.

Potrząsnęła głową.

– Owszem, dobra. Bardzo dobra. Może nawet lepsza ode mnie. Masz dar...

– Jasne. – W cichym głosie pobrzmiwało napięcie. – Też mi dar. Wolałabym umieć tańczyć albo malować akwarelami. – Naraz coś przyszło jej do głowy i drgnęła. – Nie powiesz *maman*?

– A po co miałabym to robić? – spytałam. – Hm? Myślisz, że tylko ty umiesz

dochować tajemnicy?

Długo spoglądała na moją twarz.

Brzęknął dzwonek i trzasnęły zamykane drzwi.

– Poszły sobie – powiedziała Annie.

Rzeczywiście; dziewczęta znikły, pozostawiając odsunięte krzesła, niedopitą colę oraz lekki aromat gumy balonowej i lakieru do włosów oraz herbatnikową woń nastoletniego potu.

– Wróć – odparłam cicho.

– Może nie.

– Cóż, gdybyś potrzebowała pomocy...

– Poproszę.

Poproszę, poproszę. Co ja jestem, wróżka z bajki? Spróbowałam znaleźć Les Laveuses, poczynając od Internetu. I nic, nawet w informacji turystycznej, żadnej wzmianki o festiwalu bądź sklepie z czekoladą. W czasopiśmie kulinarnym wygrzebałam coś o miejscowej naleśnikami. Właścicielką była wdowa, Françoise Simon.

Czyżby Vianne pod przybranym nazwiskiem? Możliwe, choć w artykule nie ma o niej ani słowa. Jeden telefon później dochodzę po nitce do kłębka. Odbiera sama Françoise. Głos w słuchawce jest oschły, podejrzliwy i należy do siedemdziesięciolatki. Podaję się za dziennikarkę. Mówi, że nigdy nie słyszała o Vianne Rocher. Yanne Charbonneau? Też nie. Do widzenia.

Les Laveuses to mała miejscina, ledwie wioska. Kościół, kilka sklepów, naleśnikarnia, kawiarnia, muzeum wojenne. Wokół głównie pola; słoneczniki, kukurydza i sady. Rzeka biegnie obok jak długi, brunatny pies. Ot, zapadła dziura, można by pomyśleć, a jednak jest w niej coś, co odbija się echem. Jakieś wspomnienie, zdawkowa informacja w prasie...

Poszłam do biblioteki i poprosiłam o numery archiwalne. Mają tam wszystkie egzemplarze „Ouest-France”, przechowywane na dyskach i mikrofilmie. Zaczęłam wczoraj, o szóstej wieczorem. Szukałam przez dwie godziny, potem poszłam do pracy. Jutro powtórka, dopóty, dopóki nie natrafię na jakiś ślad. To miejsce, Les Laveuses nad Loarą, stanowi klucz do zagadki. Kto wie, co kryje się za drzwiami?

Wciąż wracam myślami do Annie. „Poproszę”, obiecała wczoraj wieczorem. Lecz aby to nastąpiło, musi zajść rzeczywista potrzeba, coś znacznie więcej aniżeli drobne niesnaski w Lycee Jules Renard. Coś, co rzuci ostrzeżenie wiatrowi i sprawi, że obie przybiegną do swej drogiej przyjaciółki Zozie.

Wiem, czego się boją?

Ale czego potrzebują?

Dziś po południu, kiedy Vianne zabrała Rosette na spacer, poszłam na górę poszperać w jej rzeczach. Delikatnie, sami rozumiecie: nie chodzi o pospolitą kradzież, lecz o coś znacznie bardziej doniosłego. Jej dobytek okazał się nadzwyczaj warty: kilka ubrań, oprawiony obrazek na ścianie (pewnie zakupiony na *marche aux puces*), patchworkowa narzuta (raczej własnej roboty), trzy pary butów (wszystkie czarne, cóż za brak wyobraźni) i wreszcie, pod łóżkiem... bingo! Drewniana szkatułka wielkości pudełka do butów, wypełniona garstką śmieci.

Vianne Rocher jest zapewne innego zdania. Wiem, co to znaczy żyć bez walizek; tacy ludzie nie zachowują byle czego. Drobiazgi ukryte w szkatułce to elementy układanki jej życia, rzeczy, których nigdy się nie pozbędzie, jej przeszłość, jej tajemnice.

Ostrożnie otworzyłam szkatułkę. Vianne jest skryta, a w związku z tym bardzo podejrzliwa. Zna dokładne położenie każdego skrawka papieru, każdego przedmiotu i każdej drobinki kurzu. Domyśli się, jeśli coś ulegnie zmianie. Ale ja mam doskonałą pamięć wzrokową. Wszystko zostanie tak, jak było.

Wyjmuję jedno po drugim. Vianne Rocher w pigułce. Najpierw karty tarota, nic specjalnego, zwykła talia marsylska, sfatygowana i pożółkła.

Pod spodem znajdują się dokumenty, paszport na nazwisko Vianne Rocher i akt urodzenia Anouk, na którym widnieje to samo nazwisko. Czyli Anouk została Annie, myślę, tak jak Vianne stała się Yanne. Żadnych papierów Rosette, co uważam za bardzo dziwne, tylko nieważny paszport na nazwisko Jeanne Rocher, zapewne należący do matki Vianne. Patrząc na zdjęcie, nie dostrzegam żadnego podobieństwa, ale w końcu Anouk i Rosette też wyglądają kompletnie inaczej. Kawalek spłowiałej wstążki z amuletem w kształcie kotka. Kilka, niespełna tuzin zdjęć. Rozpoznaję na nich małą Anouk, młodszą Vianne i młodszą Jeanne na czarnobiałej fotografii. Wszystkie starannie przechowywane i przewiązane wstążką wraz z plikiem starych listów i paroma wycinkami z gazet. Pomna zażółconych krawędzi i kruchych zagieć przeglądam je ostrożnie i widzę znajomą wzmiankę o festiwalu czekolady w Lansquenetsous-Tannes, wyciętą z lokalnej gazety. Tu fotografia jest większa, obok Vianne stoją jeszcze dwie osoby, kobieta i mężczyzna. Ona ma długie włosy i tartanowy płaszcz, on uśmiecha się niechętnie do obiektywu. Przyjaciele? W artykule nie ma żadnych nazwisk.

Dalej wycinek z paryskiej gazety, brązowy i szeleszczący jak uschły liść. Boję

się go rozłożyć, widzę jednak, że dotyczy zaginięcia małej Syhdane Caillou, porwanej z samochodu ponad trzydzieści lat temu. Kolejny wycinek, sprzed paru lat, z opisem dziwnego tornado w Les Laveuses, małej wiosce nad Loarą. Wydarzenia dziwnie trywialne, a mimo to towarzyszą jej z miejsca na miejsce, przez tyle lat. Sądząc po pokrywającej je warstwie kurzu od dawna nikt do nich nie zaglądał...

Zatem to są twoje duchy, Vianne Rocher. Dziwnie niepozorne i o tyleż skromniejsze od moich. Ale skromność to podrzędna cnota. Stać cię na znacznie więcej, Vianne. Z moją pomocą, kto wie...

Wczoraj godzinami siedziałam przy komputerze, popijając kawę i obserwując neony. Raz po raz obracałam w myślach to pytanie. Nic więcej ani o Les Laveuses, ani o Lansquenet. Zaczęłam wierzyć, że Vianne Rocher to istota równie ulotna jak ja, rozbitek na wyspie Montmartre, nieprzenikniony i pozbawiony przeszłości.

Bzdura. Nikt nie jest nieprzenikniony. Wyczerpałam wszystkie możliwe tropy i miałam do wyboru tylko jedną, ostatnią drogę. Rozmyślałam nad nią długo w noc.

Oczywiście nie chodzi o strach. Jednakże na tych rzeczach nie zawsze można polegać i czasem rodzą one więcej pytań niż odpowiedzi, jeśli zaś Vianne zwietrzy pismo nosem, moja ostatnia szansa pryśnie jak bańka mydlana.

Ale w końcu ryzyko to nieodłączny element gry. Od dawna nie bawiłam się we wróżby: mój System opiera się na czymś więcej aniżeli prymitywnych gusłach, a w dziewięciu razach na dziesięć lepiej sprawdza się Internet. Ale tutaj trzeba się wykazać kreatywnością.

Szczypta korzenia kaktusa, suszonego, sproszkowanego i rozpuszczonego w gorącej wodzie pomaga uzyskać pożądany stan ducha. To *pulque*, boski środek odurzający Azteków, nieco zmodyfikowany dla moich potrzeb. Dalej przychodzi czas na Dymiące Zwierciadło, nabazgrane na zakurzonej podłodze u moich stóp. Siedzę po turecku przy laptopie, włączam abstrakcyjny wygaszacz ekranu i czekam na iluminację.

Matka byłaby niezadowolona. Należała do zwolenników tradycyjnych szklanych kul, choć nie pogardziłaby również tańszymi zamiennikami: magicznym lustrem lub kartami tarota. Jeśli jednak rzeczywiście kiedykolwiek doświadczyła z ich strony objawienia, nie zdradziła się na ten temat ani słowem.

O wróżeniu krążą różne mity. Jeden z nich narzuca konieczność zastosowania odpowiedniego przyrządu. To nieprawda. Wystarczy zamknąć oczy, chociaż ja osobiście wolę czerpać inspirację z widoku przeskakujących kanałów bądź zawijasów na komputerowym wygaszaczu. Sposób dobry jak każdy inny:

analityczna lewa półkula skupia się na banałach, podczas gdy prawa, odpowiedzialna za twórcze myślenie, szuka rozwiązań.

A potem...

Odpywasz.

To miłe uczucie, spotęgowane działaniem narkotyku. Zaczyna się od lekkiego zaburzenia rzeczywistości i choć nie odrywam wzroku od monitora, pokój wydaje się większy niż zwykle, ściany ustępują na boki, a wewnątrz rozszerza się, pęcznieje...

Oddycham głęboko i myślę o Vianne.

Widzę przed sobą jej twarz, w sepii, jak na zdjęciu w gazecie. Kątem oka dostrzegam otaczający mnie krąg światła. Obiegają mnie jak świetliki.

Co ukrywasz, Vianne?

Co ukrywasz, Anouk?

Czego potrzebujecie?

Dymiące Zwierciadło migocze. Być może to efekt działania narkotyku, metafora wizualna staje się rzeczywistością. Na monitorze pojawia się kolejna twarz: Anouk, wyraźna jak na fotografii. Potem Rosette, z pędzlem w ręczce. Spłowiła pocztówka znad Rodanu. Srebrna bransoletka, o wiele za mała dla dorosłego, z dyndającym amuletem w kształcie kotka.

Czuję podmuch powietrza, echo owacji, szum niewidzialnych skrzydeł. Stoję o krok od ważnego odkrycia. Widzę... kadłub. Łódź jest długa, niska, powoli sunie po wodzie. Moim oczom ukazuje się skreślona niedbale linijka...

Kto? Kto, do cholery?

Z rozświetlonego monitora nie pada żadna odpowiedź. Tylko plusk wody i stłumiony warkot silników, ginące w miarowym szumie komputera. Czuję, że nadciąga ból głowy.

Ziarnko do ziarnka i zbierze się...

Jak wspomniałam, ta metoda nie zawsze bywa skuteczna.

A jednak chyba czegoś się dowiedziałam. Ktoś nadchodzi. Jest coraz bliżej. Ktoś z przeszłości. Ktoś, kto niesie ze sobą kłopoty.

Jeszcze tylko jedno uderzenie, Vianne. Jedna odkryta słabość i piñata ujawni swą zawartość, a jej skarby i tajemnice, życie Vianne Rocher oraz jej uzdolnione dziecko wreszcie staną się moją własnością.



*Środa, 28 listopada*

Pierwsze skradzione życie należało do mojej matki. Zawsze zapamiętujemy swój pierwszy raz, bez względu na wątpliwy styl kradzieży. Nie, żebym wówczas uważała to za kradzież, niemniej jednak musiałam uciec. Paszport matki leżał bezużyteczny, a jej oszczędności marnowały się w banku. Poza tym zmarli nie potrzebują przecież paszportów i oszczędności...

Miałam zaledwie siedemnaście lat. Mogłam wyglądać na starszą (i często wyglądałam), a w razie potrzeby również na młodszą. Ludzie rzadko widzą to, co wydaje im się, że widzą. Widzą jedynie to, co chcemy im pokazać: urodę, wiek, świeżość, intelekt, a nawet szereg cech, które nigdy nie zapadną im w pamięć. To ostatnie opracowałam niemalże do perfekcji.

Poleciałam samolotem do Francji. Zgodnie z moimi przewidywaniami celnik pobieżnie przejrzał paszport. Odrobina makijażu, zmiana fryzury i płaszcz należący do matki zrobiły swoje. Reszta była, jak to mówią, w głowie.

Naturalnie w tamtych czasach ochrona na lotniskach pozostawiała wiele do życzenia. Przekroczyłam granicę jedynie z trumną i jedną parą butów (oraz dwoma pierwszymi amuletami na bransoletce), po czym znalazłam się w obcym kraju, praktycznie bez znajomości francuskiego i z marnymi sześcioma tysiącami funtów, które udało mi się wypłacić z konta matki.

Potraktowałam to jako wyzwanie. Znalazłam pracę w niewielkim zakładzie tekstylnym na obrzeżach Paryża. Mieszkałam w pokoju ze współpracownicą, Martine Matthieu z Ghany. Miała dwadzieścia cztery lata i czekała na półroczne pozwolenie na pracę. Powiedziałam jej, że mam dwadzieścia dwa lata i pochodzę z Portugalii. Uwierzyła, tak mi się przynajmniej zdawało. Byłam sama jak palec, a ona okazała mi życzliwość. Zaufałam jej, straciłam czujność. To mój jedyny błąd. Martine była ciekawska: pogrzebała w moich rzeczach i znalazła dokumenty matki, ukryte w dolnej szufladzie komody. Nie mam pojęcia, po co je zachowałam. Niedopatrzenie albo lenistwo bądź przejaw idiotycznej nostalgii. Przecież nie mogłam więcej wykorzystać tej tożsamości, za bardzo wiązała się ze sprawą St Michae-Psonthe-Green. Pech chciał, że Martine przeczytała o tym w gazecie i skojarzyła mnie z osobą ze zdjęcia.

Byłam młoda, sami rozumiecie. Wpadłam w panikę na samą wzmiankę o

policji. Martine wiedziała, co robi: moja naiwność kosztowała mnie połowę tygodniówki. Zdzierstwo, wiem, ale cóż mogłam zrobić?

Cóż, pewnie mogłam uciec. Ale już wtedy byłam uparta. A przede wszystkim chciałam się odegrać. Dlatego co tydzień płaciłam frycove, dawałam sobą pomiatać, znosiłam jej humory, ścieliłam łóżko, gotowałam i czekałam na właściwy moment. Gdy przyszły papiery Martine, pod jej nieobecność wzięłam zwolnienie, wyczyściłam mieszkanie ze wszystkiego, co mogło mi się przydać (łącznie z pieniędzmi, paszportem i dowodem osobistym), po czym złożyłam donos w Biurze Imigracyjnym, pogrążając nie tylko Martine, ale cały zakład.

Dzięki Martine zyskałam trzeci amulet. Srebrny półokrągły wisiołek, jak ulał pasujący do mojej bransoletki. Był to początek kolekcji, gdyż odhaczam w ten sposób każde kolejne życie, które przypadło mi w udziale. Pozwalam sobie na ten niewielki przejaw próżności dla przypomnienia drogi, jaką przyszło mi pokonać.

Oczywiście spaliłam paszport matki. Nie tylko nasuwał niemiłe wspomnienia, ale i był zbyt niebezpieczny. Lecz oficjalnie było to moje pierwsze udane przedsięwzięcie i nauczyło mnie jednej, ważnej rzeczy. Gdy w grę wchodzi życie, nie ma miejsca na sentymenty.

Od tamtej pory duchy ścigają mnie na próżno. Mogą się przesuwac wyłącznie po linii prostej (tak wierzą Chińczycy), a Butte de Montmartre, ze swymi schodkami i krętymi uliczkami, to wymarzone schronienie dla każdego uciekiniera.

Taką mam przynajmniej nadzieję. Wczorajszy dziennik wieczorny po raz kolejny zamieścił zdjęcie Francoise Lavery. Musieli je poprawić komputerowo, bo wydaje się jakby mniej ziarniste, choć podobieństwo do Zoie de l'Alba jest wciąż cokolwiek znikome.

Jednakże śledztwo wykazało, że „prawdziwa” Francoise umarła w zeszłym roku w okolicznościach, które obecnie uznano za podejrzone. Pograżona w depresji po śmierci męża zmarła w wyniku przedawkowania leków, co w świetle ostatnich wydarzeń wcale nie musiało być przypadkowe. Jej sąsiadka, dziewczyna o nazwisku Paulette Yatoff, znikła wkrótce po śmierci Francoise, lecz od jej zaginięcia upłynęło zbyt wiele czasu, by skutecznie powiązać obydwie sprawy.

No tak. Niektórym naprawdę nie warto pomagać. A miałam o niej takie dobre zdanie. Szare myszki przejawiają niekiedy zdumiewającą siłę wewnętrzną, choć jej to akurat nie dotyczyło. Biedna Francoise.

Wcale mi jej nie brakuje. Lubię być Zoie. Oczywiście wszyscy ją lubią. Zoie jest zawsze sobą i nie dba o cudze zdanie. Tak dalece różni się od miss Lavery, że nikt nie dopatrzyłby się w nich choćby cienia podobieństwa.

Na wszelki wypadek postanowiłam jednak ufarbować włosy. Z czarnymi bardzo mi do twarzy. Wyglądam na Francuzkę albo na Włoszkę; ciemne włosy nadają mojej skórze perłowy odcień i podkreślają kolor oczu. To niezły wizerunek. I podoba się mężczyznom, co też jest nie do pogardzenia.

Mijając portrecistów skulonych pod parasolami na mokrym Place du Tertre, pomachałam do Jeana-Loupa, który pozdrowił mnie swoim zwyczajem.

– Hej, to ty!

– Nigdy nie dajesz z wygraną, co?

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– A ty? Cudownie dziś wyglądasz. Co powiesz na szybki profil? Mogłabyś go powiesić w swoim sklepie.

Parsknęłam śmiechem.

– Po pierwsze, to nie mój sklep. A po drugie, mogę ci pozować pod warunkiem, że przyjdiesz na czekoladę.

No i proszę, jak powiedziałaaby Anouk. Kolejny punkt dla *chocolaterie*. Jean-Loup i Paulpaul weszli do środka i kupili czekoladę. Podczas następnej godziny Jean-Loup narysował nie tylko mój portret, ale i portret młodej kobiety, która przyszła po trufle i bez oporów uległa jego namowom, oraz portret Alice, zamówiony spontanicznie przez Nico, gdy ten swoim zwyczajem wpadł po makaroniki.

– Nie potrzebujecie przypadkiem nadwornego plastyka? – spytał na odchodne Jean-Loup. – To miejsce jest niesamowite. Tak bardzo się zmieniło...

– To miło, że ci się podoba, Jean-Loup – odpowiedziałam z uśmiechem. – Mam nadzieję, że wszyscy podzielą twoje zdanie.

Oczywiście nie zapomniałam, że w sobotę wraca Thierry. Obawiam się, że, niestety, będzie miał inne odczucia. Biedny, romantyczny Thierry, ze swoimi pieniędzmi i zapyziałym światopoglądem.

W Vianne pociąga go bezbronność: dzielna, młoda wdowa przeciwko całemu światu. Myśli, że jej walka jest z góry skazana na klęskę, a rzekomy hart ducha skrywa Kopciuszka, który czeka na przybycie wymarzonego księcia.

To w niej pokochał. Marzy mu się, że wybawi ją z opresji. Czy wie, jakich opresji? Nigdy się do tego nie przyzna, nawet przed sobą. Widzę to w jego aurze, tę niezachwianą pewność siebie i dobroduszną, acz niezachwianą wiarę w moc pieniędzy i uroku osobistego, który Vianne myli z pokorą.

Ciekawe, jak Thierry przyjmie ów nagły rozkwit interesu?

Mam nadzieję, że nie dozna zawodu.

*Sobota, 1 grudnia*

Wczorajsza wiadomość od Thierry'ego.

*Widziałem 100 kominków, lecz ani 1 nie rozgrzał mojego serca. Czy to możliwe, że za Tobą tęsknię? Do zobaczenia jutro. Kocham, T.*

Pada deszcz; drobna, upiorna mżawka zrasza Butte, lecz „Le Rocher de Montmartre” wygląda niemalże bajkowo, lśniąc na mokrej, nieruchomej ulicy. Dzisiejszy utarg przeszedł najśmielsze oczekiwania, od rano tuzin klientów, w większości przypadkowych, choć zjawilo się również paru stałych bywalców.

Wszystko stało się w okamgnieniu, w ciągu niespełna dwóch tygodni, a zmiana jest oszałamiająca. Być może to zasługa nowego wystroju, zapachu roztopionej czekolady bądź przykuwającej oko witryny.

Tak czy inaczej, liczba naszych klientów wzrosła radykalnie. Są wśród nich zarówno miejscowi, jak i turyści, a początkowa wprawka przerodziła się w nie lada wyzwanie, mające zaspokoić stale rosnący popyt.

Dziś zrobiliśmy prawie czterdzieści bombonierek. Piętnaście opakowań trufli (wciąż idą jak woda), ale także partię kwadracików kokosowych, ciągutki wiśniowe, płatki pomarańczowe w czekoladzie deserowej, fiołki oraz około setki *Lunes de miel*, małych, czekoladowych dysków mających przypominać księżyc przybywający, z białym profilem na tle ciemnej twarzy.

Tak miło kupić bombonierkę, z pietyzmem wybrać czekoladki i patrzeć, jak sadowią się w gniazdkach z szeleszczącej bibułki w jagodowym kolorze, zastanowić się nad kształtem pudełka (okrągłe, kwadratowe czy w kształcie serca?), wciągnąć w nozdrza splątane wonie śmietanki, karmelu, wanilii i brązowego rumu, wybrać wstążkę i papier, dodać kwiaty bądź papierowe serduszka, usłyszeć jedwabisty szum ryżowego papieru na wieczku...

Od narodzin Rosette bardzo mi tego brakowało. Bulgotanie miedzianego rondla na kuchni. Zapach roztopionej kuwertury. Ceramiczne formy o kształtach równie znajomych i ukochanych jak rodzinne ozdoby świąteczne, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Gwiazda, kwadracik, kóleczo. Każdy przedmiot ma własne znaczenie, a każda wielokrotnie powtarzana czynność kryje w sobie cały wachlarz wspomnień.

Nie przechowuję zdjęć. Nie mam albumów ani pamiątek, wyjąwszy drobiazgi

w szkatułce matki, pocztówki, dokumenty i amulet w kształcie kotka. Wspomnienia przechowuję gdzie indziej. Pamiętam każdą bliznę, każde zadrapanie na drewnianej łyżce lub miedzianym rondlu. Łyżka o płaskiej krawędzi to moja ulubiona; Roux wystrugał ją z kawałka drewna, idealnie pasuje do mojej dłoni. Czerwona szpatułka (plastikowa, ale mam ją od dziecka) była prezentem od praskiego sklepikarza, a w małym emaliowanym garnku o obtłuczonych brzegach przyrządzałam gorącą czekoladę dla Anouk, w czasach gdy ów codzienny rytuał był dla nas tym, czym komunia dla cure Reynauda...

Płyta, której używam do hartowania, ma liczne ryski i skaleczenia. Umiejętniej czytać w nich lepiej aniżeli w liniach własnej dłoni, choć wolę tego nie robić. Lepiej nie widzieć tam przeszłości. Teraźniejszość wystarczy aż nadto.

– Czy zastałem *chocolatier*?

Głos Thierry'ego nie budzi wątpliwości: jest głośny, tubalny i przyjacielski. Usłyszałam go z kuchni (właśnie robiłam beczułki z likierem, które wymagają najwięcej zachodu). Brzęknęły dzwonki, rozległo się tupanie, po czym nastąpiła cisza, kiedy Thierry rozglądał się dookoła.

Wyszłam z kuchni, wycierając dłonie w fartuch.

– Thierry! – zawołałam i objęłam go mocno, szeroko rozkładając ręce, by nie pobrudzić mu płaszcza.

– Boże – powiedział z uśmiechem. – To ci dopiero zmiany.

– Podoba ci się?

– Jest... inaczej. – Powinnam była przewidzieć ten cień niezadowolenia w głosie, kiedy tak stał, przesuwał wzrokiem po jaskrawych ścianach, zwierzątkach z szablonów, pomalowanych palcami meblach, wysłużonych fotelach oraz dzbanku z czekoladą i filiżankach na stoliku z trzema nogami. Kipiące słodyczami czerwone buty Zozie w witrynie wieńczyły dzieło. – Wygląda... – Urwał, zerkając mimochodem na moją rękę, po czym zacisnął lekko usta, jak zawsze, kiedy coś mu się nie podoba. Lecz zaraz podjął ciepłym tonem: – Wygląda wspaniale. Dokonałaś istnych cudów.

– Czekolady? – spytała Zozie, napełniając filiżankę.

– Ja... nie... no dobrze.

Podawała mu filiżankę z truflą na talerzyku.

– To jedna z naszych specjalności – oznajmiła z uśmiechem.

Ponownie omiół wzrokiem spiętrzone bombonierki, szklane misy, pomadki, wstążki, rozety, precle, fiołki, pralinki kawowe, trufle rumowe, kwadraciki chili, cytrynowe całuski oraz pokrojoną roladę na kontuarze. Z jego twarzy było lekkie

oszołomienie.

– Czy to twoje dzieło? – spytał wreszcie.

– Nie rób takiej zdziwionej miny – odrzekłam.

– Cóż, w sumie idą święta... – Zerknął na karteczkę z ceną na pudełku kwadracików i lekko zmarszczył brwi. – I ludzie naprawdę to kupują?

– Jeszcze jak.

– To musiało kosztować majątek – zauważył. – Remont, malowanie.

– Wszystko zrobiliśmy same. Wspólnymi siłami.

– Hm, to wspaniale. Musiałaś się napracować. – Skosztował czekolady i znów zacisnął usta.

– Nie musisz jej pić, jeśli ci nie smakuje – powiedziałam, ukrywając zniecierpliwienie. – Mogę zaparzyć kawę.

– Nie, przepyszna. – Upił kolejny łyk. Nie umie kłamać. Wiem, że jego uczciwość powinna mnie cieszyć, a jednak budzi mimowolny niepokój. Pod maską pewności siebie kryje się bezbronny człowiek, który nie wie, do czego zdolny jest wiatr. – Po prostu jestem zdziwiony – dodał. Wszystko się zmieniło dosłownie z dnia na dzień.

– Nie wszystko – odrzekłam z uśmiechem.

Zauważyłam, że nie odwzajemnił uśmiechu.

– Jak było w Londynie? Co robiłeś?

– Widziałem się z Sarah. Opowiedziałem jej o naszym ślubie. Strasznie za tobą tęskniłem.

Znowu się uśmiechnęłam.

– A Alan? Twój syn?

Tym razem nie powstrzymał uśmiechu, jak zawsze kiedy pytam o syna, chociaż sam rzadko o nim wspomina. Zastanawiam się często, jak im się układa, ten uśmiech jest bowiem nieco zbyt szeroki. Jeśli jednak Alan choć trochę przypomina ojca, ich podobieństwo raczej wyklucza większą zażyłość.

Zobaczyłam, że nie tknął trufli.

Speszył się, kiedy o tym wspomniałam.

– Znasz mnie, Yanne. Nie przepadam za słodczami. I znowu ten promienny uśmiech jak na wzmiankę o synu. Dziwne: Thierry lubi słodcze, ale się tego wstydzi, tak jakby upodobanie do mlecznej czekolady kwestionowało jego męskość. Jednak moje trufle są dla niego zbyt ciemne, o zbyt gorzkim, wyrazistym, a przez to obcym smaku...

Podalam mu tabliczkę.

– Proszę – powiedziałam. – Czytam w twoich myślach.

W tej samej chwili weszła Anouk, mokra, rozczochrana i przesiąknięta zapachem wilgotnych liści, z papierowym różkiem gorących kasztanów w ręku. Od kilku dni ktoś sprzedaje je przed Sacre-Coeur i Anouk za każdym razem kupuje różek. Była w wyśmienitych humorze; z burzą kędzierzawych włosów, w czerwonej kurtce i zielonych spodniach wyglądała jakby urwała się z choinki.

– Witaj, *jeune fille* – zawołał Thierry. – Gdzie się podziewałaś, młoda damo? Jesteś przemoczona do nitki!

Anouk rzuciła mu jedno ze swych dorosłych spojrzeń.

– Byłam na cmentarzu z Jeanem-Loupem. I wcale nie jestem przemoczona. To anorak. Jest wodoszczelny.

– Necropolis – zaśmiał się Thierry. – Wiesz, co to znaczy, Annie?

– Oczywiście, że wiem. Miasto umarłych. – Słownictwo Anouk, zawsze rozwinięte, wskutek znajomości z Jeanem-Loupem Rimbaultem zyskało w dwójnasób.

Thierry zrobił śmieszoną minę.

– Czy to nie dziwne miejsce na spotkania z przyjaciółmi?

– Jean-Loup fotografował cmentarne koty.

– Naprawdę? – zdziwił się Thierry. – Hm, jeśli pozwolicie, chciałbym was teraz porwać na obiad w „La Maison Rose”...

– Na obiad? Przecież sklep...

– Zostanę na posterunku – wtrąciła Zozie. – Bawcie się dobrze.

– Annie? Gotowa? – spytał Thierry.

Anouk rzuciła mu spojrzenie nie tyle pogardliwe, ile pełne urazy. Bynajmniej mnie to nie zdziwiło: mimo dobrych chęci Thierry ma staroświeckie podejście do dzieci, a niektóre nawyki Anouk (bieganie z Jeanem-Loupem po deszczu, przesiadywanie godzinami na cmentarzu, gdzie koczują bandyci i włóczędzy, oraz hałaśliwe igraszki z Rosette) niekoniecznie budzą jego aprobatę.

– Może powinnaś włożyć sukienkę – zasugerował.

Wyraz niechęci przybrał na sile.

– Lubię to, co noszę.

Prawdę mówiąc, w pełni podzielałam jej zdanie. W mieście, gdzie króluje elegancki konformizm, Anouk pozwala sobie na niczym nieskrępowaną fantazję. Być może to zasługa Zozie, w każdym razie kontrastowe kolory oraz nowy zwyczaj urozmaicania garderoby pasmanteryjnymi dodatkami dodają mojej córce kolorytu, jakiego nie przejawiała od czasów Lansquenet.

Może właśnie to próbuje osiągnąć: chodzi jej o powrót do czasów, gdy życie było łatwiejsze. W Lansquenet biegała jak szalona, całymi dniami przesiadywała nad rzeką, bez przerwy dyskutowała z Pantoufle'em, bawiła się w piratów i krokodyle i była pierwszym rozrabiaką w szkole.

Ale żyłyśmy wówczas w innym świecie. Prócz nadrzecznych Cyganów (o wątpliwej reputacji, czasami nieuczciwych, lecz nigdy niebezpiecznych) w Lansquenet nie widywało się obcych. Nikt nie zamykał drzwi na klucz, nawet psy były znajome.

– Nie lubię sukienek – oznajmiła teraz przekornie.

Wyczułam bijącą od Thierry'ego dezaprobatę. W jego świecie dziewczynki noszą sukienki; w ciągu ostatniego półrocza kupił nawet kilka dla Anouk i Rosette w nadziei, że podchwycę aluzję.

Patrzył na mnie z zaciśniętymi ustami.

– Właściwie to nie jestem głodna – powiedziałam. – Może po prostu pójdziemy na spacer i kupimy po drodze coś do jedzenia? Na przykład w Parc de la Turlure albo...

– Przecież zrobiłem rezerwację – przerwał.

Z trudem zachowałam powagę. W świecie Thierry'ego wszystko odbywa się ściśle według planu. Są zasady, harmonogramy i wytyczne. Nie można odwołać rezerwacji stolika, i choć oboje znamy jego słabość do miejsc w rodzaju „Le P'tit Pinson”, dziś wybór padł na „La Maison Rose”, do którego dziewczynce nie wypada iść w spodniach. Taki już jest – nieustępliwy, przewidywalny, opanowany – lecz chwilami wolę, by wykazywał większą elastyczność i czasem zdobył się na spontaniczny gest...

– Nie nosisz pierścionka – zauważył.

Odruchowo popatrzyłam na swoje ręce.

– To przez czekoladę – wyjaśniłam. – Jest dosłownie wszędzie.

– Ty i ta twoja czekolada – odpowiedział.

Nie była to jedna z naszych najbardziej udanych eskapad. Może z powodu kiepskiej pogody, tłumów, marnego apetytu Anouk lub uporu Rosette, która po raz kolejny odmówiła jedzenia łyżką. Thierry patrzył z zaciśniętymi ustami, jak układała palcami groszek w spiralny wzór na swoim talerzu.

– Zachowuj się, Rosette – nie wytrzymał w końcu.

Zignorowała go, skupiona na swojej czynności.

– Rosette – rzucił ostrzej.



Dalej wbijała wzrok w talerzyk, choć podniesiony głos Thierry'ego zwrócił nawet uwagę kobiety przy sąsiednim stoliku.

– Daj spokój, Thierry. Wiesz, jaka jest. Nie zwracaj na nią uwagi i...

Thierry sapnął z irytacją.

– Boże, przecież ona ma prawie cztery lata! – Utkwił we mnie roziskrzony wzrok. – To nie jest normalne, Yanne – dodał. – Spójrz prawdzie w oczy. Ona potrzebuje pomocy. No zobacz... – Popatrzył ze złością na Rosette, która z wyrazem wzmożonego skupienia na twarzy wkładała do buzi po jednym groszku.

Sięgnął ręką przez stół i złapał małą za rękę. Zaskoczona uniosła wzrok.

– Proszę. Weź łyżkę. Trzymaj ją, Rosette... – Na siłę wcisnął jej do rączki łyżkę. Upuściła ją na stół.

Thierry podniósł łyżkę.

– Thierry...

– Nie, Yanne. Ona musi się nauczyć.

Ponownie spróbował podać jej łyżkę. Rosette buntowniczo zacisnęła piąstkę.

– Posłuchaj, Thierry. – Zaczęła mnie opuszczać cierpliwość. – Pozwól, że sama będę...

– Au! – Thierry z okrzykiem cofnął rękę. – Ugryzła mnie! Wstrętny bachor! Ona mnie ugryzła! – rzucił z pretensją w głosie.

Kątem oka zobaczyłam złotą poświatę, paciorkowate oko, zawinięty ogon...

„Chodź tutaj”, pokazała Rosette.

– Rosette, proszę...

– Barn – oznajmiła Rosette.

O nie. Tylko nie teraz...

Wstałam od stołu.

– Anouk, Rosette... – Spojrzałam na Thierry'ego. Na jego nadgarstku widniało małe ugryzienie. Poczulałam nagłą falę paniki. Wypadek w sklepie to jedno, ale w miejscu publicznym, w obecności tylu osób...

– Wybacz – powiedziałam. – Musimy iść.

– Przecież nie zjadłyście.

Widziałam, jak walczy ze sobą, rozdarty między oburzeniem, gniewem a rozpaczliwą chęcią zatrzymania nas przy stole, udowodnienia sobie, że wszystko jest w porządku, że sytuację da się odkręcić i nie będzie żadnych odstępstw od planu.

– Nie mogę – uciełam i podniosłam Rosette. – Przepraszam. Muszę stąd wyjść.

– Yanne – rzucił Thierry, chwytając mnie za łokieć. I widok jego błagalnego

spojrzenia sprawił, że mój własny gniew (że ingeruje w moje życie, w wychowanie moich dzieci) wyparował bez śladu.

– Miało być tak wspaniale – powiedział.

– Nic się nie stało – odrzekłam. – To nie twoja wina.

Zapłacił rachunek i odprowadził nas do domu. Dochodziła czwarta; zapadł zmrok i blask latarni odbijał się na mokrym bruku. Szliśmy w ciszy, Anouk trzymała Rosette za rękę i obie starannie omijały dziury w chodniku. Thierry milczał; miał ściągnięte rysy, rękę wsunął głęboko do kieszeni.

– Thierry, proszę. Nie bądź taki. Przecież wiesz, co się dzieje, kiedy Rosette nie pości w ciągu dnia.

Czyżby rzeczywiście wiedział? Jego syn ma około dwudziestki; Thierry pewnie zdążył zapomnieć, jak to jest mieć dziecko, nie pamięta wybuchów złości, hałasu, łez. A może tę część wzięła na siebie Sarah, pozwalając mężowi odegrać wdzięczniejszą rolę towarzysza zabaw i kibica na szkolnych meczach.

– Zapomniałeś, jak to jest – dodałam. – Mnie też bywa ciężko. A twoje zachowanie wcale mi tego nie ułatwia...

Zwrócił ku mnie bladą, napiętą twarz.

– Wcale nie zapomniałem. Po narodzeniu Alana... Urwał; widziałam, że z trudem odzyskuje panowanie nad sobą.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

– Co się stało?

Potrząsnął głową.

– Później – rzucił ochryple. – Później ci opowiem.

Dotarliśmy na Place des Faux-Monnayeurs i przystanąłam na progu „Rocher de Montmartre”. Nowy szyld zaskrzypiał z lekka, a ja wciągnęłam w płuca zimne powietrze.

– Przepraszam, Thierry – powtórzyłam.

Wzruszył ramionami. W kaszmirowym palcie wyglądał jak niedźwiedź, ale jego twarz jakby nieco złagodniała.

– Wynagrodzę ci to – dorzuciłam. – Ugotuję obiad, położymy Rosette i porozmawiamy.

Westchnął.

– No dobrze.

Otworzyłam drzwi.

I zobaczyłam stojącego wewnątrz, ubranego na czarno mężczyznę o twarzy znanej mi lepiej aniżeli moja własna. Rzadko pojawiający się uśmiech, świetlisty

jak błyskawica pośrodku lata, powoli gasł na jego ustach...

– Vianne – powiedział.

Roux.

**CZEŚĆ PIĄTA**

**ADWENT**

*Sobota, 1 grudnia*

Z chwilą gdy wszedł do środka, wyczułam bratnią duszę. No wiecie, niektórzy noszą w sobie swoisty ładunek, widać to w ich aurze: jego tliła się bladym, żółtobłękitnym płomykiem przykręconej lampy gazowej, która w każdej chwili może buchnąć blaskiem.

Na pierwszy rzut oka nie dawał nic po sobie poznać. Ot, nic specjalnego. Paryż połyka co roku milion takich jak on, mężczyzn w dżinsach i roboczych butach, którzy nienawidzą wielkiego miasta i pobierają pensję w gotówce. Na kilometr rozpoznam ten typ. Od razu wiedziałam, że nie przyszedł po czekoladę.

Stałam na krześle i wieszałam obrazek, mój portret naszkicowany przez Jeana-Loupa. Usłyszałam, jak wchodzi. Brzęk dzwonków, kroki na parkiecie.

– Vianne – odezwał się. Coś w jego tonie kazało mi się odwrócić. Spojrzałam przez ramię. Facet w dżinsach i czarnym podkoszulku, rude, związane do tyłu włosy. Tak jak mówiłam, nic specjalnego.

Jednakże było w nim coś znajomego. Na jego twarzy widniał promienny uśmiech, który nadawał jej niezwykły wyraz. Ale zaraz zrozumiał swoją pomyłkę i uśmiech zgasł.

– Przepraszam – powiedział. – Wziąłem panią za... Urwał. – Jest pani kierowniczką? – Cichy głos nosił wyraźne ślady akcentu z *Midi*.

– Nie, ja tu tylko pracuję – wyjaśniłam z uśmiechem. Kierowniczką to madame Charbonneau. Zna ją pan?

Na jego twarzy odbiło się zakłopotanie.

– Yanne Charbonneau? – powtórzyłam wyczekująco.

– Tak. Znam.

– Tak się składa, że właśnie wyszła. Ale powinna niedługo wrócić.

– W porządku, zaczekam. – Usiadł przy stole i rozejrzał się po sklepie, z przyjemnością, a zarazem skrepowaniem, jakby nie był pewien przyjęcia.

– Pan jest...? – zagadnęłam.

– Och. Znajomym.

Uśmiechnęłam się.

– Pytałam o nazwisko.

– Aha. – Jego zmieszanie sięgnęło zenitu. Trzymał ręce w kieszeniach, aby

pokryć zdenerwowanie, jakby moja obecność storpedowała plan, którego misterna konstrukcja wykluczała jakiejkolwiek zmiany na bieżąco.

– Roux – odpowiedział.

Przypomniałam sobie widokówkę podpisaną „R”. Imię czy przezwisko? Pewnie to drugie. „Jadę na północ. Wpadnę, jeśli dam radę”.

Już wiedziałam, skąd go znam. Widziałam go u boku Vianne Rocher na fotografii z Lansquenetsous-Tannes.

– Roux? – powtórzyłam. – Z Lansquenet?

Kiwnął głową.

– Annie opowiada o panu bez przerwy.

Jego aura rozbłysła jak choinka, a ja zrozumiałam, co Vianna widziała w mężczyźnie takim jak Roux. Thierry umie zapalić tylko cygaro, no ale ma pieniądze, które rekompensują większość pozostałych braków.

– Proszę się rozgościć, zrobię panu czekoladę.

Teraz on się uśmiechnął.

– Moją ulubioną.

Zrobiłam mocną, z rumem i brązowym cukrem. Wypił, po czym znowu zaczęło go nosić: krążył pomiędzy sklepem a zapleczem, oglądając rondle, słoje i łyżki, główne rekwizyty w czekoladowym teatrze Yanne.

– Jesteście podobne – stwierdził w końcu.

– Naprawdę?

Wcale nie jesteśmy podobne, ale zdążyłam zauważyć, że mężczyźni rzadko widzą dokładnie to, co mają przed nosem. Powiew perfum, długie rozpuszczone włosy, czerwona spódnica i buty na wysokich obcasach: sztuczki tak oczywiste, że dziecko przejrzałoby je na wylot, ale mężczyzna za każdym razem da się oszukać.

– Dawno się nie widzieliście?

– Zbyt dawno. – Wzruszył ramionami.

– Wiem, jak to jest. Proszę się poczęstować.

Obok filiżanki położyłam trufkę obtoczoną w kakao według mojego specjalnego przepisu i naznaczoną kaktusowym symbolem Xochipilli, boga ekstazy, skutecznie rozwiązującym język.

Nie ruszył czekoladki, tylko toczył ją bezmyślnie po talerzyku. Skądś znałam ten gest, ale nie wiedziałam skąd. Czekałam, aż zacznie mówić (w mojej obecności ludzie zwykle nie mają z tym problemu), lecz on z upodobaniem chował się w milczenie, bawiąc się nietkniętą trufką i wyglądając na ciemniejącą ulicę.

– Zostanie pan w Paryżu? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– To zależy.

Spojrzałam pytająco, ale nie zauważył tego.

– Od czego? – spytałam wreszcie.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Nie lubię długo siedzieć w jednym miejscu.

Dolałam mu czekolady. Jego niemalże grubiańska rezerwa zaczynała działać mi na nerwy. Siedzi tu już od pół godziny. Jak to możliwe, że wciąż jest dla mnie zagadką? Starzeję się czy co? Urodzony mąciwoda, bez dwóch zdań, a przy tym całkowicie obojętny na mój wpływ.

Ogarnęło mnie zniecierpliwienie. Wiedziałam, że wiąże się z nim *coś* ważnego, musiałam wiedzieć co. Czulałam to na wyciągnięcie ręki, tak blisko, że włoski zjeżyły mi się na karku, a jednak...

Myśl, do diabła.

Rzeka. Bransoletka. Amulet w kształcie kotka. Nie, uznałam. To nie tak. Rzeka. Łódź. Anouk; Rosette...

– Nie zjadł pan czekoladki – zauważyłam. – Proszę spróbować. To nasza specjalność.

– O, przepraszam. – Wziął z talerzyka trufkę, a kaktusowy znak Xochipilli błysnął mu zachęcająco między palcami. Roux podniósł czekoladkę do ust i zastygł ze zmarszczonymi brwiami, pewnie za sprawą ostrego zapachu czekolady; mrocznej, drzewnej woni pokusy...

Spróbuj. Skosztuj. Posmakuj.

I wtedy, gdy już prawie był mój, rozległy się głosy za drzwiami.

Roux odłożył trufkę i wstał.

Zabrzęczały dzwonki, drzwi się otworzyły.

– Vianne – powiedział.

A ona stanęła jak skamieniała, z twarzą białą jak płótno i rękami wysuniętymi do przodu, jakby chciała uniknąć jakiejś potwornej kolizji.

Zdziwiony Thierry spoglądał znad jej ramienia, zbyt pochłonięty sobą, by zrozumieć oczywiste. Dziewczynki stały obok, trzymając się za ręce, Rosette urzeczona, Anouk z rozjaśnioną twarzą...

Roux zaś...

Na widok mężczyzny, dziecka, wstrząśniętej twarzy Yanne i pierścionka na palcu jego aura przygasła, na powrót stając się mętным, żółtobłękitnym płomykiem.

– Przepraszam – powiedział. – Przechodziłem w pobliżu. No wiesz. Moja łódź...

Nie umie kłamać, pomyślałam. Pozornie lekki ton zabrzmiał nienaturalnie, dłonie ukryte w kieszeniach mocno zacisnęły się w pięści.

Yanne nie odrywała od niego wzroku, jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Stała bez ruchu, kryjąc się za maską, za którą gorzały rozszalałe barwy aury.

Anouk uratowała sytuację.

– Roux! – krzyknęła.

Napięcie prysło jak bańka mydlana. Yanne zrobiła krok do przodu z na poły przestraszonym, na poły sztucznym uśmiechem, który ukrywał coś, czego nie umiałam dokładnie określić.

– Thierry, poznaj mojego starego przyjaciela... – Zarumieniła się ładnie, a lekkie drżenie jej głosu mogło świadczyć o radości ze spotkania (ale ja wiedziałam swoje). W roziskrzonych oczach krył się niepokój. – To Roux z Marsylii, a to Thierry, mój, hm...

Niewypowiedziane słowo zawisło między nimi jak lont.

– Miło cię poznać... Roux.

Następny kłamca. Niechęć do intruza jest natychmiastowa, irracjonalna i z gruntu instynktowna. Thierry próbuje to zatuszować dobroduszością podobną do protekcyjnej postawy wobec Laurenta Pinsona. Huczy jak Święty Mikołaj, miażdżąc dłoń gościa w potężnym uścisku i lada chwila nazwie go *mon pote*.

– Zatem jesteś przyjacielem Yanne, tak? Ale rozumiem, że z innej branży?

Roux kiwa głową.

– No tak. – Thierry poufale szczyrzy zęby; kładzie na szali młodość nieznajomego i porównuje z tym, co sam ma do zaoferowania. Przelotna zazdrość mija; widzę, jak jej stalowe pasmo przybiera miedziany odcień samozadowolenia.

– Napijesz się czegoś, *mon pote*?

No proszę. A nie mówiłam?

– Może piwko? Kawalek stąd jest całkiem przyjemny lokal.

Roux potrząsa głową.

– Wystarczy czekolada, dziękuję.

Thierry triumfuje. Jako pełniący honory domu nalewa czekoladę, nie odrywając oczu od twarzy intruza.

– Jaką branżę reprezentujesz?

– Żadną – odpowiada Roux.

– Ale pracujesz, tak?



– Pracuję.

– Gdzie? – pyta z uśmiechem Thierry.

Roux wzrusza ramionami.

– Po prostu pracuję.

Thierry nie kryje rozbawienia.

– I mieszkasz na łodzi, tak?

Informacja padła z ust Anouk, ale Roux kiwa głową. Uśmiecha się do dziewczynki, jedynej osoby szczerze ucieszonej jego wizytą, a coraz bardziej zafascynowana Rosette ani na chwilę nie odrywa oczu od gościa.

Teraz wiem, co dotąd umykało mojej uwadze. Drobne rysy twarzyczki Rosette są jeszcze nieukształtowane, ale ma rude włosy i zielone oczy ojca oraz jego nieokiełznany temperament.

Oczywiście nikt inny nie zwraca na to uwagi, a już najmniej sam zainteresowany. Podejrzewam, że bierze ją za znacznie młodszą, niż jest w istocie.

– Od dawna jesteś w Paryżu? – pyta Thierry. – Niektórzy mówią, że wodniaków mamy tu pod dostatkiem. I jeszcze trochę. – Znowu się śmieje, trochę za głośno. Roux patrzy na niego beznamyślnie.

– Ale jeśli szukasz pracy, przyda mi się ktoś do wykończenia mieszkania. Rue de la Croix... – Wskazuje głową kierunek. – Duże, ładne mieszkanie, ale trzeba obejrzeć instalacje, zagipsować to i owo, zrobić podłogi, pomalować ściany... Mam nadzieję uporać się z tym w ciągu najbliższych trzech tygodni, żeby Yanne z dziewczynkami mogły się wprowadzić na święta...

Opiekuńczo obejmuje Yanne, która z niechęcią strząsa jego rękę.

– Pewnie się domyśliłeś, że zamierzamy się pobrać.

– Moje gratulacje – mówi Roux.

– Jesteś żonaty?

Roux potrząsa głową. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji. Widzę tylko lekki błysk w oku, choć jego aura płonie tłumionym gniewem.

– Cóż, gdybyś potrzebował pomocy, wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział Thierry. – Znajdę ci w miarę przyzwoite gniazdko już za jakieś pół miliona...

– Muszę już iść – mówi Roux.

Anouk protestuje.

– Przecież dopiero przyszedłeś! – Strzela wściekłym spojrzeniem na Thierry'ego, który nic nie zauważa. Jego niechęć do Roux nie opiera się na żadnych racjonalnych przesłankach. Oczywiście prawda znajduje się poza jego zasięgiem, niemniej jednak czuje, że Roux wygląda na takiego, który „coś” przeskrobał.

Jak to: wygląda? No, wiecie. To nie ma nic wspólnego z jego tanim ubraniem, za długimi włosami lub brakiem obycia. Po prostu jest w nim coś pokrętnego, coś, co automatycznie stawia go po drugiej stronie barykady. Tacy jak on są zdolni do wszystkiego: mogą skopiować kartę kredytową, założyć konto na podstawie kradzionego dowodu rejestracyjnego, zdobyć akt urodzenia (albo nawet paszport) w imieniu dawno zmarłej osoby lub ukraść cudze dziecko i zniknąć jak Szczurołap, pozostawiając za sobą jedynie szereg pytań, na które brakuje odpowiedzi.

Tak, jak mówiłam.

Bratnia dusza.

*Sobota, 1 grudnia*

O rany. Witaj, nieznajomy. Stał sobie w *chocolaterie*, jakby nie było go parę godzin, a nie bite cztery lata, cztery lata urodzin i świąt. Kilka zdawkowych kartek i ani jednej wizyty, a teraz...

– Roux!

Chciałam być na niego wściekła. I byłam, ale mój głos zdecydował inaczej.

Wyszło głośniej, niż zamierzałam.

– Nanou – powiedział. – Ale wydorostałaś.

Rzucił to ze smutkiem, jakby ów fakt sprawił mu przykrość. Ja się zmieniałam, ale on wyglądał tak samo, dobry, stary Roux, miał tylko dłuższe włosy, czystsze buty i inne ubranie. Poza tym wyglądał identycznie, zgarbiony, z rękami w kieszeniach, jak zawsze, gdy czuł się nieswojo. Ale patrzył na mnie z uśmiechem, dając do zrozumienia, że to nie moja wina, i że gdyby nie Thierry, to zaraz porwałby mnie w objęcia i zakręcił młynka jak dawniej, w Lansquenet.

– Wcale nie – odparłam. – Mam jedenaście i pół.

– Jedenaście i pół brzmi bardzo dorośle. Kim jest ta mała nieznajoma?

– To Rosette.

– Rosette – powtórzył Roux. Pomachał do niej ręką, ale swoim zwyczajem nie odmachala, patrzyła tylko na niego wielkimi, kocimi oczami, aż nawet Roux musiał odwrócić wzrok.

Thierry zaproponował mu czekoladę. Roux zawsze za nią przepadał. Wypił mocną, osłodzoną i zaprawioną rumem, a Thierry opowiadał mu o pracy, Londynie, *chocolaterie* i mieszkaniu...

No właśnie. O mieszkaniu. Okazało się, że robi remont, przygotowuje wszystko na nasze przyjęcie. Oznajmił to podczas wizyty Roux; podobno będziemy miały swoje pokoje i do świąt wszystko ma być na cacy, żeby nam było wygodnie...

Jego opowieść miała jednak w sobie coś przykrego. Owszem, uśmiechał się, ale tylko ustami, tak jak Chantal, kiedy gada o swoim nowym iPodzie, ubraniu, butach i bransoletce od Tiffany'ego, a ja stoję obok i słucham.

Roux wyglądał, jakby dostał w twarz.

– Muszę już iść – powiedział, kiedy Thierry wreszcie się przymknął. – Wpadłem tylko sprawdzić, co u was, tak się złożyło, że przechodziłem w pobliżu.

Łżesz jak pies, pomyślałam. Wyczyściłeś buty.

– Gdzie mieszkasz?

– Na łodzi.

A to możliwe. Zawsze lubił łodzie. Pamiętam jego łódź z Lansquenet, tę co spłonęła. I pamiętam twarz Roux, kiedy to się stało: twarz człowieka, który harował na coś w pocie czoła, a potem jakiś drań mu to odebrał.

– Gdzie? – zapytałam.

– Na rzece – odpowiedział Roux.

– Co ty powiesz? – burknęłam, żeby go rozśmieszyć. I zrozumiałam, że jeszcze ani razu go nie przytuliłam ani nie pocałowałam. Poczulałam się głupio, bo gdybym to teraz zrobiła, zaraz by się domyślił, że dopiero mi się przypomniało, a tego bym nie chciała.

Wzięłam go za rękę. Była szorstka i spracowana. Odniosłam wrażenie, że spojrzał zdziwiony, ale zaraz się uśmiechnął.

– Chciałabym zobaczyć twoją łódź – powiedziałam.

– Może zobaczysz – odparł Roux.

– Jest taka ładna jak poprzednia?

– Sama musisz ocenić.

– Kiedy?

Wzruszył ramionami.

*Maman* spojrzała na mnie jak zawsze, kiedy jest zdenerwowana, ale nie chce tego okazać przy ludziach.

– Przepraszam, Roux – powiedziała. – Gdybyś mnie uprzedził... nie wiedziałam...

– Pisałem – odrzekł. – Wysłałem kartkę.

– Nie doszła.

– Aha. – Widziałam, że jej nie wierzy. I wiedziałam, że ona nie wierzy jemu. Jeśli chodzi o listy, nie można na nim polegać. Chce napisać, jednak nigdy tego nie robi, nie lubi też rozmawiać przez telefon. Wysyła tylko pocztą różne rzeczy: wyrzeźbiony liść dębu na sznurku, kamień w paski znad morza, książkę, czasem z liścikiem, ale najczęściej bez niczego.

Popatrzył na Thierry'ego.

– Muszę lecieć.

Jasne. Jakby wzywały go sprawy niecierpiące zwłoki. Roux zawsze był panem samego siebie, nigdy nie pozwolił sobą pomiatać.

– Jeszcze kiedyś wpadnę.

Kłamczuch.

Tak się na niego wściekłam, że następne zdanie prawie wypowiedziałam na głos: „Po co w ogóle wróciłeś, Roux? Po co przyjechałeś?”.

Powiedziałam to swoim głosem wewnętrznym, najgłośniej jak umiałam, tak jak przemówiłam do Zoie pierwszego dnia.

Tchórz. Uciekasz jak ostatni tchórz.

Zoie usłyszała i rzuciła mi zagadkowe spojrzenie. A Roux tylko wsunął ręce głębiej do kieszeni dżinsów, po czym otworzył drzwi i wyszedł, ani razu nie patrząc za siebie. Thierry polazł za nim jak pies, który przepędza intruza. Oczywiście nie odważy się go tknąć, ale łzy napłynęły mi do oczu na samą myśl.

*Maman* chciała za nimi pobiec, lecz Zoie ją powstrzymała.

– Ja pójdę – powiedziała. – Nic im nie będzie. Ty zajmij się Annie i Rosette.

I wyszła w ciemność.

– Idźcie na górę, Anouk – poprosiła *maman*. – Zaraz do was przyjdę.

Poszłyśmy na górę i czekałyśmy. Rosette zasnęła, po jakimś czasie wróciła Zoie i *maman* cichutko weszła po schodach, żeby nas nie obudzić. Wreszcie położyłam się do łóżka, ale skrzypienie podłogi w pokoju *maman* budziło mnie kilka razy. Wiedziałam, że w ciemnościach stoi przy oknie i nasłuchuje wiatru w nadziei, że – choć raz – zostawi nas w spokoju.

*Niedziela, 2 grudnia*

Wczoraj wieczorem zapalono świąteczne dekoracje. Rozbłysła cała *quartier*, oświetlona nie kolorowymi, ale białymi lampkami. Miasto jarzy się tysiącami gwiazd. Na Place du Tertre, gdzie stoją artyści, postawiono tradycyjną szopkę, z uśmiechniętym Dzieciątkiem w żłóbku, Marią i Józefem oraz Trzema Mędrcami, którzy stoją obok ze swymi darami. Rosette jest zafascynowana i najchętniej zaglądałaby tam codziennie.

„Dziecko”, pokazuje na migi. „Zobaczyć dziecko”. Dwukrotnie była tam z Nico, raz z Alice i niezliczoną ilość razy z Zozie, Jeanem-Loupem i Paulpaulem oraz oczywiście z Anouk, która wydaje się równie urzeczona jak jej siostra. Opowiada Rosette o tym, jak dziecko (które w jej wersji jest dziewczynką) urodziło się zimą w stajence, jak przyszły do niego zwierzęta, a potem przybyli Trzej Królowie i nawet gwiazda znieruchomiała na niebie, wskazując drogę.

– Bo była szczególnym dzieckiem – tłumaczy wniebowziętej Rosette. – Szczególnym dzieckiem, tak jak ty. I niedługo są też twoje urodziny...

Adwent. Oczekiwanie na coś niezwykłego. Nigdy nie obchodziłam chrześcijańskich świąt, nigdy nie pościłam, nie spowiadałam się i nie pokutowałam za grzechy.

W każdym razie prawie nigdy.

Kiedy Anouk była mała, obchodziliśmy Yule; o zmierzchu zapalałyśmy ognisko, robiłyśmy wieńce z jemioli i ostrokrzewu, piłyśmy cydr i grzaniec i jadłyśmy gorące kasztany z otwartego koksownika.

Potem przyszła na świat Rosette i wszystko się zmieniło. Już nie ma miejsca na jemiolę, świece i kadzidło. Teraz chodzimy do kościoła, kupujemy więcej prezentów, niż możemy sobie na to pozwolić, kładziemy je pod plastikowym drzewkiem, oglądamy telewizję i martwimy się, że garnek nam wykipi. Światelka mogą wyglądać jak gwiazdy, lecz bliższe oględziny ujawniają mistyfikację w postaci zasilających je kabli i przewodów. Czary znikły: *czy nie tego chciałaś, Vianne?*, pyta oschły głos w mojej głowie, głos mojej matki, głos Roux, a ostatnio również jakby głos Zozie, która przypomina mi tamtą Vianne, jaką byłam dawniej, i której ciepłość odczytuję jako niemy wyrzut.

W tym roku będzie inaczej. Thierry kocha tradycję. Kościół, pieczona gęś,

czekoladowe ciasto w kształcie polana; w tym roku będziemy obchodzić nie tylko Boże Narodzenie, ale wszystkie święta, które spędziliśmy i będziemy spędzać razem...

Naturalnie obejdzie się bez czarów. Czy to źle? Będzie spokój, przyjaźń, bezpieczeństwo... i miłość. Czy to nam nie wystarczy? Nie miałyśmy w życiu dość udreki? Wychowałam się na bajkach, więc dlaczego nie potrafię uwierzyć w szczęśliwe zakończenie? I choć znam finał opowieści o Szczurołapie, dlaczego tak chętnie poszłabym za jego głosem?

Wysłałam dziewczynki do łóżka, a potem poszłam za Roux i Thierrym. Minęło zaledwie kilka minut, trzy, góra pięć, lecz wychodząc na wciąż zaludnioną ulicę, czułam przez skórę, że Roux zniknął, rozplynał się w mrocznych zakamarkach Montmartre. Ale nie dałam za wygraną. Ruszyłam w kierunku Sacre-Coeur i zobaczyłam wśród turystów znajomą sylwetkę Thierry'ego, który podążał w kierunku Place Dalida z rękami w kieszeniach i głową pochyloną do przodu jak nastroszony kogut.

Skreśliłam w brukowaną uliczkę i weszłam na Place du Tertre. Wciąż ani śladu Roux. Przepadł jak kamień w wodę. Jakże by inaczej, po co miałby tu zostać? Mimo to postąpiłam chwilę na obrzeżach placu, trzęsąc się z zimna (zapomniałam płaszcza) i nasłuchując odgłosów nocnego życia dzielnicy, muzyki z klubów pod Butte, śmiechu, kroków, dobiegających od strony szopki dziecięcych głosików, saksofonu ulicznego grajka, niesionych z wiatrem strzępów rozmowy...

Moją uwagę przykuła wreszcie samotna nieruchoma sylwetka. Paryżanie są jak ławice ryb, nieruchomieją dopiero chwilę przed śmiercią. Ale on zastygł w miejscu, w łaciatej plamie czerwonego światła padającego z kawiarnianej witryny. Patrzył w milczeniu i czekał. Czekał na mnie.

Przebiegłam przez ulicę i zarzuciłam mu ręce na szyję. Poczułam przelotną obawę, że nie zareaguje, że zmrozi mnie chłodem; czułam jego napięcie i widziałam zmarszczkę między brwiami. W ostrym świetle prawie go nie poznawałam.

Ale zaraz mnie objął, najpierw z ociąganiem, potem zapalczywie, na przekór własnym słowom.

– Nie powinnaś tu być, Vianne.

Moje czoło idealnie pasuje do zagłębienia pod lewym barkiem Roux. Ponownie odszukałam to miejsce i oparłam głowę. Pachniał nocą, olejem silnikowym, cedrem, paczulą, czekoladą, smarem, wełną oraz po prostu sobą, czymś tak znajomym i ulotnym jak powtarzający się sen.

– Wiem – odpowiedziałam.

Mimo to nie mogłam pozwolić mu odejść. Wystarczyłoby jedno słowo, ostrzeżenie, zmarszczona brew. „Jestem teraz z Thierryem. Niczego nie popsuj”. Próba stworzenia iluzji byłaby bezcelowa, bolesna i z góry skazana na niepowodzenie. Chociaż...

– Miło cię widzieć, Vianne. – W jego pozornie łagodnym głosie kryło się napięcie.

– Ciebie też – odrzekłam z uśmiechem. – Ale dlaczego akurat teraz? Po tylu latach?

Jego wzruszenie ramion może symbolizować cały wachlarz odczuć. Obojętność, pogardę, niewiedzę, a nawet rozbawienie. W każdym razie oderwał moje czoło od swego ramienia i brutalnie sprowadził mnie na ziemię.

– Czy zapowiedź przyjazdu cokolwiek by zmieniła?

– Kto wie.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem – skwitował. – Jesteś tutaj szczęśliwa?

– Oczywiście.

Mam wszystko, o czym zawsze marzyłam. Sklep, dom, szkołę dla dzieci. Niezmienny widok z okna. A Thierry...

– Nie mogłem sobie ciebie tu wyobrazić. Sądziłem, że to tylko kwestia czasu. I że któregoś dnia...

– Co? Zobaczę ukryty sens? Opuścę? I dalej będę żyła w biegu, z dnia na dzień, codziennie gdzie indziej, jak ty i twoje szczury wodne?

– Wolę być szczurem niż ptakiem w klatce.

Widziałam, że jest zdenerwowany. Wciąż mówił łagodnym głosem, tylko jego południowy akcent stał się wyraźniejszy, jak zawsze w chwilach wzburzenia. Przyszło mi do głowy, że być może chciałam sprowokować ten gniew, wymusić konfrontację, która nie pozostawi nam obojgu wyboru. Ostatnia myśl sprawiła mi ból, ale nie mogłam zupełnie jej wykluczyć. Chyba Roux pomyślał o tym samym, bo spojrzał z ukosa i uśmiechnął się krzywo.

– A gdybym ci powiedział, że się zmieniłem? – spytał.

– Nie zmieniłeś się.

– Nie możesz tego wiedzieć.

Ależ wiem. I na samą myśl pęka mi serce. A ja się zmieniłam. Dzieci mnie zmieniły. Nie mogę już robić tylko tego, co chcę. A chcę...

– Roux – powiedziałam. – Naprawdę miło cię widzieć. Cieszę się, że



przyjechałeś. Jednak już za późno. Jestem z Thierryem. Jest bardzo miły, trzeba tylko poznać go bliżej. Anouk i Rosette tyle mu zawdzięczają...

– Kochasz go?

– Proszę, Roux...

– Pytałem, czy go kochasz?

– Oczywiście.

Tym razem wzruszenie ramion wyrażało bezbrzeżną pogardę.

– Moje gratulacje, Vianne.

Pozwoliłam mu odejść. Cóż mogłam zrobić? Wróci, pomyślałam. Musi wrócić. Ale jeszcze się nie pojawił; nie zostawił nic, ani adresu, ani numeru telefonu, chociaż zdziwiłabym się, gdyby miał telefon. O ile wiem, nigdy nie miał nawet telewizora; twierdzi, że woli oglądać niebo, widowisko, które nigdy się nie nudzi, gdzie nigdy nie puszczają powtórek.

Ciekawe, gdzie mieszka. Powiedział Anouk, że na łodzi. Raczej na barce, przewożącej towary po Sekwanie. Chyba że istotnie znalazł tanią łódź. Pewnie jakiś wrak, który pracowicie łąta i remontuje między jednym dorywczym zajęciem a drugim. Roux ma do łodzi świętą cierpliwość. Ale do ludzi...

– Czy Roux dzisiaj przyjdzie, *maman*? – spytała przy śniadaniu Anouk.

Zwlekąła z tym pytaniem od wczoraj. Anouk rzadko odzywa się bez zastanowienia; najpierw analizuje sytuację, a potem mówi, uważnie dobierając słowa, jak telewizyjny detektyw o krok od rozwiązania zagadki.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – To zależy od niego.

– A chciałabyś, żeby przyszedł? – Nieustępliwość to jedna z jej głównych cech. Westchnęłam.

– Trudne pytanie.

– Dlaczego? A co, już go nie lubisz? – W jej głosie zabrzmiała nuta prowokacji.

– Nie, Anouk, nie o to chodzi.

– A o co?

Mało się nie roześmiałam. Jej zdaniem wszystko jest takie proste, jakby nasze życie nie było domkiem z kart, zbudowanym z decyzji i wyborów, niebezpiecznie wspartych o siebie i drżących przy każdym oddechu...

– Posłuchaj, Nanou. Wiem, że go lubisz. Ja też go lubię. Bardzo lubię. Ale musisz pamiętać... – Szukałam właściwych słów. – Roux zawsze robi, co chce. Nigdzie długo nie zagrzeje miejsca. Ma prawo, jest sam. Jednak my potrzebujemy czegoś więcej.

– Gdybyśmy mieszkały z Roux, nie byłby sam – zauważyła przytomnie Anouk.

Musiałam się roześmiać, chociaż pękało mi serce. Roux i Anouk są do siebie niezwykle podobni. Oboje myślą w kategoriach absolutu. Oboje uparci i skryci, długo chowają urazę.

Spróbowałam jej to wyjaśnić.

– On lubi być sam. Przez cały rok mieszka na łodzi, śpi pod gołym niebem, a w czterech ścianach czuje się jak w więzieniu. Nie mogłybyśmy tak żyć, Nanou. On dobrze o tym wie. I ty też.

Zmierzyła mnie mrocznym, taksującym spojrzeniem.

– Thierry go nienawidzi. To jasne jak słońce.

Cóż, po wczorajszym wieczorze raczej nikt nie miał co do tego wątpliwości. Ta manifestacyjna, podszyta złośliwością jowialność, zazdrość, jawna pogarda. Ale to nie był prawdziwy Thierry, pomyślałam. Coś musiało wyprowadzić go z równowagi. Czyżby incydent w „La Maison Rose”?

– Thierry go nie zna, Nou.

– Thierry nie zna nikogo z nas.

Pomaszerowała na górę z rogalikiem w każdej ręce i miną zwiastującą rychły powrót do rozmowy. Poszłam do kuchni i zrobiłam czekoladę, po czym usiadłam i czekałam, aż wystygnie. Myślałam o Lansquenet w lutym, o mimozie kwitnącej na brzegu Tannes i rzecznych Cyganach z długimi, wąskimi łodziami, tak licznymi i ustawionymi tak blisko przy sobie, że prawie można było przejść po nich na drugi brzeg...

I o mężczyźnie siedzącym z dala od reszty i obserwującym rzekę z dachu swej łodzi. Niby się nie wyróżniał, a jednak od razu go rozpoznałam. Od niektórych ludzi bije blask. On jest jednym z nich. Nawet teraz, po tylu latach czuję, jak ten blask wabi mnie i przyciąga ku sobie. Gdyby nie Anouk i Rosette, być może poszłabym za nim wczoraj. Ostatecznie istnieją gorsze rzeczy niż bieda. Ale jestem winna dzieciom coś więcej. Dlatego się tu znalazłam. Vianne Rocher umarła, a ja nie wrócę do Lansquenet. Nawet dla Roux. Nawet dla siebie.

Kiedy Thierry wszedł do kuchni, nadal siedziałam jak posąg. Dochodziła dziewiąta, oknami sączyła się szarość pochmurnego dnia. Mokra ulica tętniła życiem, słyszałam odległe bicie dzwonów w kościółku na Place du Tertre.

Bez słowa usiadł naprzeciw mnie. Bił od niego zapach cygar i paryskiej mgły. Po trzydziestu sekundach milczenia nakrył ręką moją dłoń.

– Przepraszam za wczoraj – powiedział.

Podniosłam filiżankę i zajrzałam do środka. Mleko musiało się zagotować;

wystygła czekolada pokryła się kozuchem. Ale ze mnie gapa, pomyślałam.

– Yanne.

Spojrzałam na niego.

– Przepraszam – powtórzył. – Byłem zdenerwowany. Chciałem to inaczej urządzić. Zabrać was na obiad, opowiedzieć o mieszkaniu... Mamy już datę ślubu: pobierzemy się w tym samym kościele, co moi rodzice...

– Słucham?

Ścisnął moją rękę.

– Notre-Dame des Apôtres. Za siedem tygodni. Trafił się wolny termin, znam księdza... Kiedyś coś dla niego robiłem.

– O czym ty mówisz? – nie wytrzymałam. – Straszysz moje dzieci, obrażasz przyjaciela i wychodzisz bez słowa, a ja mam się podniecać twoim mieszkaniem i planami weselnymi?

Thierry uśmiechnął się smętnie.

– Wybacz – powiedział. – Nie chcę się śmiać, ale ty naprawdę wciąż nie umiesz posługiwać się telefonem, co?

– Nie rozumiem.

– Włącz telefon.

Zrobiłam, o co prosił, i na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość wysłana przez Thierry'ego wczoraj o ósmej trzydzieści wieczorem.

*Kocham Cię do nieprzytomności. To moje jedyne wytłumaczenie.*

*Do zobaczenia jutro o 9. Thierry.*

– O – powiedziałam.

Wziął mnie za rękę.

– Naprawdę bardzo cię przepraszam. Twój przyjaciel...

– Roux.

Skinął głową.

– Wiem, że *to* idiotyczne. Ale kiedy patrzyłem, jak ty i Annie rozmawiacie z nim, jakbyście się znali od lat, zrozumiałem, że tak niewiele o tobie wiem. Ludzie, których znałaś, mężczyźni, których kochałaś...

Popatrzyłam na niego z lekkim zdziwieniem. Jak dotąd nie przejawiał większego zainteresowania moją przeszłością. Nigdy nie okazywał ciekawości, co bardzo mi odpowiadało.

– Zależy mu na tobie. Nawet ja to widzę.

Westchnęłam. Wszystko zawsze się do tego sprowadza.

Pytania, indagacje, niby w dobrej wierze, ale podszyte domysłami i podejrzliwe.

Skąd przybywasz? Dokąd jedziesz? Przyjechałaś do rodziny?

Wydawało mi się, że Thierry i ja mamy układ. Ja nie wspominam o jego rozwodzie, on nie pyta o moją przeszłość. Jak dotąd zawsze się to sprawdzało. Aż do dziś.

Ale wybrałaś moment, Roux, pomyślałam gorzko. Cały ty. Jego głos w mojej głowie przypomina szum wiatru. „Nie oszukuj się, Vianne. Nie możesz tu zostać. Myślisz, że twój mały domek da ci schronienie. Ale ja wiem lepiej, tak jak wilk z bajki”.

Poszłam zrobić świeżą czekoladę. Thierry podążył za mną. Niezdarny w swoim obszernym płaszczu z trudem lawirował między stolami i krzeselkiem Zozie.

– Co chcesz o nim wiedzieć? – zapytałam, ścierając czekoladę do rondla. – Poznałam go, kiedy mieszkaliśmy na południu. Przez jakiś czas prowadziłam *chocolaterie* w miasteczku opodal Garonny. Mieszkał na łodzi, pływał to tu, to tam, chwytając się dorywczych zajęć. Pracował jako stolarz, naprawiał dachy, zbierał owoce. Ja też miałam dla niego kilka zleceń. Nie widziałam go cztery lata. Zadowolony?

Był wyraźnie zakłopotany.

– Przepraszam, Yanne. Dureń ze mnie. Wcale nie miałem zamiaru cię przesłuchiwać. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

– Nigdy nie posądzałam cię o zazdrość – odpowiedziałam, dodając do garnka wanilię oraz szczyptę gałki muszkatołowej.

– I słusznie – odparł. – Żeby ci to udowodnić... – Położył mi ręce na ramionach, zmuszając, żebym na niego spojrzała. – Posłuchaj, Yanne. To twój przyjaciel. Widać, że przydałoby mu się trochę grosza. A ja naprawdę chcę wykończyć to mieszkanie, choć sama wiesz, jak przed świętami trudno o fachowców, więc przyszło mi do głowy, żeby go zatrudnić.

. Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Naprawdę?

– Nazwij to zadośćuczynieniem za grzechy – odpowiedział z uśmiechem. – Chcę ci pokazać, że ten zazdrosny facet, którego zobaczyłaś wczoraj wieczorem, nie ma ze mną nic wspólnego. I jeszcze coś... – Sięgnął do kieszeni płaszcza. – Kupiłem ci taki drobiazg. To miał być prezent zaręczynowy, ale...

„Drobiazgi” Thierry'ego bywają nadzwyczaj hojne. Cztery tuziny róż, biżuteria

z Bond Street, szalik od Hermesa. Są może nieco zbyt konwencjonalne, ale taki jest właśnie Thierry. Na wskroś przewidywalny.

– I co?

Podał mi kopertę. W środku znalazłam skórzane etui z czterema biletami biznes class do Nowego Jorku, z datą dwudziestego ósmego grudnia.

Utkwiłam w nich wzrok.

– Spodoba ci się tam, zobaczysz – zapewnił. – To wymarzone miejsce na sylwestra. Zarezerwowałam pokoje w wielkim hotelu, dziewczynki będą zachwycone. Będzie śnieg, muzyka, fajerwerki... – Uścisnął mnie mocno. – Ach, Yanne, nie mogę się doczekać, żeby ci pokazać Nowy Jork...

Byłam w Nowym Jorku. Moja matka zmarła tam na ruchliwej ulicy przed włoskimi delikatesami, w Dzień Niepodległości. Było wtedy słonecznie i gorąco. W grudniu zaś będzie zimno. W grudniu ludzie w Nowym Jorku umierają z zimna.

– Kiedy ja nie mam paszportu – odrzekłam z wolna. – To znaczy miałam, ale...

– Stracił ważność? Ja to załatwię.

Chodzi nie tylko o utratę ważności. Mam paszport na nazwisko „Vianne Rocher”. Jak mu powiedzieć, że kobieta, którą kocha, jest w gruncie rzeczy kimś innym?

Ale z drugiej strony jak mogłabym to ukrywać? Wczorajszy incydent uzmysłowił mi jedną rzecz: Thierry nie jest tak przewidywalny, na jakiego wygląda. Oszustwo pleni się jak chwast; pozostawione samo sobie, rozrasta się wzdłuż i wszerz i zapuszcza korzenie, tworząc gigantyczną sieć kłamstw.

Stał tuż przede mną, niebieskie oczy lśniły mu niepokojem albo czymś jeszcze innym. Pachniał krzepiąco jak skoszona przed chwilą trawa, stare książki, żywica bądź świeży chleb. Podszedł jeszcze bliżej i otoczył mnie ramionami. Oparłam głowę o jego pierś (gdzie to zagłębienie, stworzone dla mnie i tylko dla mnie?) i było mi tak dobrze, tak bezpiecznie, a jednak wisiało między nami napięcie. Czułam je przez skórę...

Pocałował mnie. Znów to napięcie, na poły przyjemne, na poły niemiłe. Uświadomiłam sobie, że myślę o Roux. A niech cię diabli. Nie teraz. Długi pocałunek. Odsunęłam się na wyciągnięcie ręki.

– Posłuchaj, Thierry. Muszę ci coś wyjaśnić.

Spojrzał ze zdziwieniem.

– Co?

– Nazwisko w moim paszporcie... nazwisko, które będę musiała podać w urzędzie stanu cywilnego... – Wzięłam głęboki oddech. – Jest inne niż to, które

obecnie noszę. Zmieniłam je. To długa historia. Powinnam była cię uprzedzić, ale...

Wpadł mi w słowo.

– Nieważne. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Wszyscy mamy sprawy, o których wolelibyśmy nie mówić. A co mnie to obchodzi, że zmieniłaś nazwisko? Obchodzi mnie, kim jesteś, a nie to, czy jesteś jakąś tam Francine, Marie-Claude czy nawet, nie daj Bóg, Kunegunda.

Musiałam się uśmiechnąć.

– Nie przeszkadza ci to?

Potrząsnął głową.

– Obiecałem, że nie będę cię wypytywał. Było, minęło. Nie muszę wiedzieć. Chyba że chcesz mi powiedzieć, że jesteś mężczyzną czy coś w tym rodzaju...

Parsknęłam śmiechem.

– To ci nie grozi.

– W sumie to mógłbym sam sprawdzić. Tak dla pewności. – Splótł ręce za moimi plecami. Pocałunek stał się bardziej natarczywy. Thierry nigdy nie stawia żądań. Jego staroświecka kurtuazja zawsze mi się podobała, dziś jednak zachowuje się nieco inaczej: czuję cień tłumionej namiętności, zniecierpliwienie i zachłanność. Na chwilę ulegam; jego ręce obejmują mnie w pasie, wędrują do piersi. Z niemal dziecięcą chciwością całuje moje usta, moją twarz, jakby chciał zagarnąć mnie całą. I cały czas szepcze: „Kocham cię, Yanne, pragnę cię, Yanne...”.

Ze śmiechem zaczerpnęłam powietrza.

– Nie tutaj. Minęło wpół do dziesiątej...

Zamruczał jak rozżalony niedźwiedź.

– Myślisz, że wytrzymam jeszcze siedem tygodni? – Ramiona zamykają się ciaśniej wokół mnie; wydziela piżmowy zapach potu i wypalonych cygar, a ja po raz pierwszy od chwili poznania wyobrażam sobie, jak leżymy nadzy w zmiętej pościeli. I uświadamiam sobie wstrząśnięta, że ta myśl przyprawia mnie o dreszcz obrzydzenia...

Odpycham go lekko.

– Thierry, proszę cię...

W odpowiedzi zacisnął zęby.

– Zaraz przyjdzie Zozie...

– No to chodźmy na górę.

Czułem, że brakuje mi powietrza. Zapach potu przybrał na sile, zmieszany z aromatem kawy, surowej wełny i wczorajszego piwa. Woń przestaje być krzepiąca

i nasuwa myśl o zatłoczonych barach, ciemnych zaułkach i pijanych nieznajomych pośród nocy. Wszędobylskie ręce Thierry'ego są usiane plamami i owłosione.

Pomyślałam o dłoniach Roux. Zwinnych dłoniach kieszonkowca, ze smarem pod paznokciami.

– No chodź, Yanne.

Pociągnął mnie przez kuchnię. W jego oczach lśniło oczekiwanie. Chciałam zaprotestować, ale było za późno.

Dokonałam wyboru. Nie ma odwrotu, pomyślałam. Ruszyłam za nim w kierunku schodów...

Z ogłuszającym trzaskiem pękła żarówka.

Szkło posypało się nam na głowy.

Szmer na górze. Rosette się obudziła. Zadrzałam w przyływie ulgi.

Thierry zaklął.

– Muszę iść do Rosette – powiedziałam.

Wydał jakiś dziwny odgłos, ni to śmiech, ni to nie wiadomo co. Ostatni pocałunek, ale nastrój przysł. Kątem oka dostrzegłam złotą poświatę w cieniu, zabłąkane promienie słońca albo lśniący refleks.

– Muszę iść do Rosette, Thierry.

– Kocham cię.

Wiem.

Zozie przysła o dziesiątej, tuż po wyjściu Thierry'ego. Otulona płaszczem, w fioletowych kozakach na koturnie, dźwigała oburącz duży karton. Wyglądał na bardzo ciężki. Stawiając go na podłodze, miała policzki zaróżowione z wysiłku.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Strasznie to ciężkie.

– A cóż to takiego? – zapytałam.

Zozie uśmiechnęła się z zadowoleniem. Podeszła do witryny i zdjęła z niej buty, które stały tam przez ostatnie dwa tygodnie.

– Pomyślałam sobie, że pora na zmianę. Co powiesz na nową wystawę? Przyda się trochę odmiany, no i, przyznaję się bez bicia, brakowało mi tych butów.

– Jasne – odpowiedziałam z rozbawieniem.

– Przyniosłam parę drobiazgów z *marche aux puces*. Wskazała na karton. – Mam pewien pomysł.

Spojrzałam na karton, po czym przeniosłam wzrok na Zozie. Jeszcze nie doszłam do siebie po wizycie Thierry'ego, wizycie Roux i jej nieuchronnych konsekwencjach, toteż niespodziewana życzliwość tego drobnego gestu

dziewczyny mało nie doprowadziła mnie do łez.

– Nie musiałaś tego robić, Zozie.

– Nie gadaj głupstw. Naprawdę to lubię. – Przyjrzała mi się uważnie. – Coś się stało?

– Ach, to tylko Thierry. – Próbowałam się uśmiechnąć. Od kilku dni jest jakiś nieswój.

Wzruszyła ramionami.

– Jakoś mnie to nie dziwi – odparła. – Stałaś na własnych nogach, interes kwitnie. Wreszcie zaczyna ci się układać.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie rozumiem.

– Chodzi o to – wyjaśniła cierpliwie Zozie – że Thierry za bardzo zżył się z rolą Świętego Mikołaja, księcia z bajki i dobrej wróżki w jednej osobie. Było dobrze, dopóki ci nie szło: stawiał ci obiad, kupował ubrania, obsypywał was prezentami. Ale teraz wszystko się zmieniło. Już nie musisz zaciskać pasa. Ktoś przemienił Kopciuszkę w kobietę z krwi i kości i Thierry ewidentnie ma z tym problem.

– On taki nie jest – zaproponowałam.

– Czyżby?

– No... – Uśmiechnęłam się smętnie. – Może trochę.

Roześmiała się, a ja zawtórowałam, chociaż czułam się trochę nieswojo. Nie ulega wątpliwości, że Zozie jest nadzwyczaj spostrzegawcza. Ale czy sama nie powinnam była tego zauważyć?

Zozie otworzyła karton.

– Może trochę odpoczniesz? Poleż, pobaw się z Rosette. Spokojna głowa, jeśli przyjdzie, dam ci znać.

Teraz mnie zastrzeżiła.

– Jeśli kto przyjdzie?

– O rany, daj spokój, Vianne...

– Nie nazywaj mnie tak!

Posłała mi niewinny uśmiezek.

– Roux, ma się rozumieć. A myślałaś, że kto, papież?

Uśmiechnęłam się blado.

– Dzisiaj nie przyjdzie.

– Skąd ta pewność?

Powtórzyłam jej słowa Thierry'ego, opowiedziałam o mieszkaniu, jego determinacji, żeby zobaczyć nas tam przed świętami, biletach do Nowego Jorku, i o



tym, że zaproponował Roux pracę przy Rue de la Croix...

Zozie zrobiła zdziwioną minę.

– No proszę – powiedziała. – Hm, jeśli ją przyjmie, to znaczy, że naprawdę potrzebuje pieniędzy. Bo raczej nie z miłości.

Potrząsnęłam głową.

– Co za bałagan – skwitowałam. – Dlaczego nie uprzedził mnie o przyjeździe? Inaczej bym to zaplanowała. Mogłabym się przygotować...

Zozie usiadła przy kuchennym stole.

– Jest ojcem Rosette, prawda?

Bez słowa włączyłam piekarniki. Zamierzałam upiec pierniczki do powieszenia na choince, ozdobione polewą i posypką, na kolorowych wstążkach...

– To oczywiście twoja sprawa – uzupełniła Zozie. – Czy Annie wie?

Potrząsnęłam głową.

– Czy ktokolwiek wie? Na przykład sam Roux?

Usiadłam bezsilnie na krześle. Czułam się, jakby podcięła mi skrzydła.

– Przecież nie mogę mu powiedzieć – wyszeptałam.

– Hm, Roux nie jest głupi. Domyśli się.

W milczeniu pokręciłam głową. Po raz pierwszy w życiu poczułam ulgę na myśl o tym, że Rosette różni się od innych dzieci: w wieku prawie czterech lat wciąż wyglądała i zachowywała się jak dwulatka.

– Za późno – odrzekłam. – Może gdybym powiedziała mu na początku... ale nie teraz.

– Dlaczego? Pokłóciliście się?

Zupełnie jakbym słyszała Anouk. Odruchowo chciałam jej wytłumaczyć, że to nie takie proste, że dom należy budować z cegieł, ażeby oparł się podmuchom wiatru i...

*Po co udawać, pyta głos w mojej głowie. Dlaczego na siłę próbujesz się dostosować? Cóż jest takiego w tych ludziach, że chcesz się do nich upodobnić?*

– Nie, nie pokłóciliśmy się – odpowiedziałam. – Po prostu... nasze drogi się rozeszły.

Nagły, zdumiewający obrazek: Szczurołap ze swoim fletem, za nim gromada dzieci, wszystkie oprócz kulawego chłopca, który został w tyle tuż przed zamknięciem się jaskini...

– A Thierry? – zapytała.

Dobre pytanie, pomyślałam. Czy Thierry coś podejrzewa? On też nie jest głupi, mimo ślepoty, która wynika z arogancji, ufności bądź odrobiny jednego i drugiego.

Ale do Roux odnosi się podejrzliwie. Widziałam to wczoraj jak na dłoni, widziałam owo taksujące spojrzenie, instynktowną niechęć statecznego obywatela do niebieskiego ptaka, Cygana, wagabundy...

Sama wybierasz sobie rodzinę, Vianne, pomyślałam.

– Rozumiem, że dokonałaś wyboru.

– Właściwego wyboru. Jestem o tym przekonana.

Ale widziałam, że mi nie wierzy. Jakby przez skórę wyczuwała kłamstwo, osnuwające mnie zwartym kokonem. Jednakże istnieje wiele odmian miłości: kiedy wygasa gorące, samolubne, zrodzone ze złości uczucie, mężczyźni pokroju Thierry'ego spadają nam jak z nieba. Bezpieczni i pozbawieni wyobraźni, uważają, że namiętność istnieje tylko w bajkach, podobnie jak czary i przygoda.

Zozie wciąż obserwowała mnie z cierpliwym półuśmiechem, jakby czekała, aż coś dodam. Wobec przedłużającego się milczenia wzruszyła ramionami i podała mi talerzyk *mendiants*. Robi je dokładnie tak jak ja, kruche i cienkie, a zarazem suto obsypane pulchnymi rodzynekami i ozdobione połówką orzecha, migdałem, fiołkiem, cukrową różą.

– Spróbuj – zachęciła. – Co o tym myślisz?

Znad talerza wzbił się dymny aromat czekolady, nostalgiczna woń lata i straconego czasu. Kiedy pierwszy raz pocałowałam Roux, smakował czekoladą; otaczał nas zapach mokrej trawy, jego dotyk był nadspodziewanie czuły, a włosy w gasnącym świetle miały odcień nagietków...

Zozie wciąż trzymała talerzyk w wyciągniętej ręce. Jest zrobiony z niebieskiego szkła z Murano, z małym złotym kwiatkiem z boku. Ot, drobiazg, ale bardzo go lubię. Roux dał mi go w Lansquenet; od tamtej pory towarzyszył mi w podróży, w walizce albo kieszeni, jak talizman.

Uniosłam wzrok i pochwyciłam jej spojrzenie. Jej oczy przybrały bajkowy odcień błękitu, jak coś, co widzujemy tylko we śnie.

– Dochowasz tajemnicy? – zapytałam.

– Naturalnie. – Delikatnymi palcami ujęła czekoladkę i wsunęła mi ją do ręki. Ciemna czekolada, rodzyнки nasączone rumem, wanilia, róża i cynamon...

– Spróbuj, Vianne – powtórzyła. – Twoje ulubione.

*Poniedziałek, 3 grudnia*

Dobrze się dzisiaj spisałam. Zwłaszcza że lwia część moich zajęć przypomina żonglerkę. Piłki, noże i pochodnie wirują w powietrzu: sęk w tym, aby pozostały tam jak najdłużej...

Musiałam się upewnić co do Roux. Jest ostry jak brzytwa i trzeba się z nim obchodzić jak z jajkiem. Nie mogłam zrobić nic więcej, żeby go zatrzymać. Ale w sobotę mi się udało. Parę gładkich słów i mam go pod kontrolą.

Muszę przyznać, że to nie było łatwe. W pierwszej chwili miał ochotę wrócić tam, skąd przyszedł i więcej się nie pokazywać. Nie musiałam nawet widzieć jego aury, wystarczył sam widok zasłoniętej włosami twarzy, gdy wojowniczo maszerował przez Butte z rękami głęboko wciśniętymi do kieszeni. Thierry podążał za nim krok w krok, musiałam posłużyć się zakłębieniem, żeby się potknął i został w tyle. Natychmiast dogoniłam Roux i wzięłam go pod rękę.

– Roux – powiedziałam. – Nie możesz tak po prostu odejść. Są rzeczy, o których nie masz pojęcia.

Wyrwał rękę i dalej pędził przed siebie.

– Dlaczego myślisz, że chcę wiedzieć?

– Bo ją kochasz – odparłam.

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– A ona się waha, ale nie wie, jak powiedzieć o tym Thierry'emu.

Nadstawił uszu i zwolnił kroku. Wykorzystując okazję, narysowałam mu na plecach znak Jaguara. Powinien stanąć jak wryty, ale tylko się otrząsnął.

– No, dajże spokój – rzuciłam w przyływie desperacji.

Obrzucił mnie niechętnym, mgliście zaciekawionym spojrzeniem.

– Musisz dać jej czas.

– Po co?

– Żeby zrozumiała, czego naprawdę chce.

Przystanął i utkwiał we mnie świdrujące spojrzenie. Poczułam ukłucie irytacji – ten mężczyzna był ślepy na każdego, kto nie jest Vianne – ale pocieszyłam się myślą, że na wszystko przyjdzie czas. Na razie był mi potrzebny. W wolnej chwili dam mu nauczki.

Tymczasem Thierry podniósł się z ziemi i podążał w naszym kierunku.

– Nie mamy czasu – rzuciłam pospiesznie. – Spotkajmy się w poniedziałek po pracy.

– Po pracy? – Parsknął śmiechem. – Naprawdę myślisz, że będę dla niego pracował?

– Owszem – odparłam. – Jeśli chcesz, żebym ci pomogła.

W samą porę zawróciłam i wyszłam na spotkanie Thierry'ego. Nadciągał ulicą, zachmurzony i zwalisty w swym obszernym kaszmirowym płaszczu, łypiąc wściekle na mnie i na Roux, który oddalał się za moimi plecami. Z guziczkowatych oczu ziała nienawiść: wyglądał jak wielki pluszowy misiek, który postanowił raz na zawsze skończyć z wizerunkiem poczciwca.

– Schrzaniłeś sprawę – oznajmiłam półgłosem. – Powiedz mi, co cię napadło? Yanne nie może się pozbierać...

Aż się obruszył.

– A co ja takiego zrobiłem? Przecież...

– Nieważne, co zrobiłeś. Mogę ci pomóc, ale lepiej się zachowuj. – Palcami zrobiłam zamaszysty znak Pani Krwawego Księżyca. Thierry uspokoił się wyraźnie, lecz z jego twarzy wciąż biła uraza. Potraktowałam go znakiem Jaguara i zobaczyłam, że jego aura jakby nieco przybladła.

W przeciwieństwie do Roux Thierry to łatwy orzech do zgryzienia. I bez porównania jest znacznie bardziej skłonny do współpracy. W paru słowach wyłuszczyłam mu swój plan.

– To bardzo proste – oznajmiłam. – Tym sposobem masz wygraną w kieszeni, a przy tym wyjdiesz na hojnego i wielkodusznego. A przy okazji niewielkim kosztem wyremontujesz mieszkanie i będziesz częściej widywać Yanne. Co więcej... – Ponownie zniżyłam głos. – Będziesz miał na niego oko.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami to ostatnie przesądziło sprawę. Thierry stanowi cudowne połączenie próżności, podejrzliwości oraz wybujałej pewności siebie. Prawie obyło się bez czarów. Sam mnie wyręczył.

Już prawie zaczynam go lubić. Krzepiący i przewidywalny, bez ostrych krawędzi, o które można się skaleczyć. I tak łatwo można nim manipulować: wystarczy uśmiech, jedno słowo, i jest mój. Nie to co Roux, z tymi swoimi zaciśniętymi ustami i wieczną nieufnością w oczach...

A niech go diabli, pomyślałam. Co jest ze mną nie tak? Wyglądam jak Vianne, mówię jak Vianne; przecież powinno pójść jak z płatka. Ale niektórzy są mniej podatni od innych, a ja wybrałam niewłaściwy moment. Nie szkodzi, mogę poczekać przynajmniej kilka dni. A gdy zawiodą czary, trzeba będzie sięgnąć po

inne środki.

Dzisiaj co rusz zerkałam na zegar, niecierpliwie wyczekując fajrantu. Dzień dłużył mi się niemiłosiernie, ale spędziłam go dość przyjemnie, nawet mimo deszczu rozmazującego widok za oknem. Ludzie przechodzili obok jak we śnie, przystając czasem, aby obejrzeć na wpół ukończoną dekorację wystawy, która z daleka promieniuje blaskiem jak magiczna latarnia.

Nie sposób przecenić mocy sklepowej witryny. Tak jak oczy są podobno oknami duszy, tak witryna jest oczami sklepu, lśniącymi obietnicą i zachwytem. Dotychczasowa dekoracja, z czerwonymi butami pełnymi czekoladek, oczywiście miała swój urok, lecz święta zbliżają się wielkimi krokami i chcąc przyciągnąć klientów, trzeba wymyślić coś bardziej magicznego aniżeli obuwie.

I tak nasza witryna stała się kalendarzem adwentowym, wyściełanym jedwabiem i oświetlonym pojedynczą żółtą latarnią. Sam kalendarz *to* stary domek dla lalek, który wygrzebałam na pchlim targu. Za stary, by zainteresować dziecko, zbyt zniszczony, by zadowolić kolekcjonera (niechlujnie przyklejony dach i fronton zlepiony taśmą klejącą), dla mnie okazał się jak znalazł.

Jest duży, dość okazały, by wypełnić witrynę, ze spadzistym, ukośnie ściętym dachem oraz malowaną fasadą z czterema zdejmowanymi listwami, dzięki którym można zajrzeć do środka. Na razie wszystkie znajdują się na swoich miejscach, w witrynie zaś opuściłam żaluzje, przez które sączy się złociste, przytulne światło.

– O rany – rzuciła z podziwem Vianne. – Co to ma być, szopka?

Uśmiechnęłam się tajemniczo.

– Niezupełnie. To niespodzianka.

Dziś pracowałam w pocie czoła, zasłoniwszy okno przed wścibskimi spojrzeniami sporym kawałkiem czerwonozłotego sari, za którym miała się dokonać transformacja.

Zaczęłam od otoczenia. Wokół domku stworzyłam miniaturowy ogród, jezioro ze skrawka błękitnego jedwabiu ze stadkiem czekoladowych kaczek, rzekę, ścieżkę z kryształków cukru, porośniętą drzewami i krzewami z kolorowej bibułki i szczotek na drucie, hojnie oproszonych cukrem pudrem. Z domku wybiegają kolorowe cukrowe myszki...

Stworzenie krajobrazu pochłonęło większość poranka. Tuż przed dwunastą wpadli Nico i Alice, obecnie nierozłączni. Z podziwem obejrzeeli moje dzieło, po czym Nico kupił kolejną paczkę makaroników, a Alice patrzyła urzeczona, jak za pomocą papierowego różka ozdabiam lukrem fasadę.

– Wygląda bajecznie – zachwyciła się. – Ładniej niż w Galerii Lafayette.

Muszę przyznać, że wyszło nieźle. Na poły dom, na poły tort, z polukrowanymi framugami okien, lukrowymi chimerami na dachu, lukrowymi kolumnami po obu stronach drzwi oraz niewielką czapą śniegu na każdym parapecie i szczycie dachu.

W porze obiadu zawołałam Vianne, żeby przyszła zobaczyć.

– Podoba ci się? – zapytałam. – Jeszcze nie skończyłam, ale... co myślisz?

Przez chwilę w ogóle się nie odzywała. Jednakże jej aura mówiła sama za siebie: rozbłysła tak silnie, że kolory wypełniły niemal całe pomieszczenie. Czy to możliwe, że w jej oczach zalśniły łzy? Owszem. Tak mi się przynajmniej zdawało.

– Cudownie – powiedziała w końcu. – Po prostu... cudownie.

Zrobiłam skromną minę.

– Och, no wiesz...

– Mówię poważnie, Zozie. Tak bardzo mi pomogłaś. Coś nie dawało jej spokoju. Nic dziwnego: znak Ehecatla ma potężną moc, symbolizuje podróże, zmiany, wiatr. Vianne musiała go wyczuwać dookoła, a nawet w sobie (moje *mendiants* posiadają walory nie tylko smakowe); jego właściwości wnikają w głąb jej ciała, zmieniają postać...

– A ja ci nawet nie płacę – uzupełniła.

– Zapłać mi w naturze – skwitowałam żartobliwie. – Daj mi tyle czekoladek, ile mogę zjeść.

Vianne zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową, nasłuchując, lecz mgła na zewnątrz tłumiła wszelkie odgłosy.

– Tyle ci zawdzięczam – podjęła w końcu. – A nigdy nic dla ciebie nie zrobiłam...

Urwała, jakby za sprawą nagłego hałasu bądź myśli, która nie pozwoliła jej dokończyć zdania. To pewnie znów jej ulubione *mendiants*: musiały jej przypomnieć o dawnych, szczęśliwszych czasach...

– Już wiem – powiedziała z uśmiechem. – Mogłabyś się tu wprowadzić. Zamieszkać z nami. Pokoje madame Poussin stoją puste, nikt ich nie używa. Nic specjalnego, ale lepsze to niż obskurny pensjonat. Możemy razem mieszkać, przygotowywać wspólne posiłki. Dziewczynki będą zachwycone. Nie potrzebujemy dużo miejsca. A w święta, kiedy się wyprowadzimy...

Mina jej zrzedła, ale tylko trochę. Pokręciłam głową.

– Tylko bym wam zawadzała.

– Nic podobnego, naprawdę. Zawsze ktoś byłby na miejscu, nie musiałabym zamykać sklepu w ciągu dnia. Wyświadczysz mi wielką przysługę, serio.

– A Thierry? – zapytałam.

– Co: Thierry? – odparła buntowniczo Vianne. – Przecież robimy to, czego sobie życzy, tak? Wprowadzamy się na Rue de la Croix, tak? Dlaczego nie możesz do tego czasu z nami pomieszkać? A kiedy się wyprowadzimy, zajmiesz się sklepem. Dopilnujesz porządku. Sam coś takiego zasugerował, wspomniał, że potrzebuję kierownika.

Udałam, że się zastanawiam. Czyżby Thierry się niecierpliwił? Czyżby wreszcie pokazał pazur? Można było się tego domyślić. Po nieoczekiwanym przyjeździe Roux Vianne musi trzymać obu na odległość ramienia, przynajmniej dopóty, dopóki nie podejmie decyzji...

Przyzwoitka. Oto, kogo jej trzeba. A któż nada się do tego lepiej niż jej przyjaciółka Zozie?

– Przecież dopiero się poznałyśmy – rzuciłam z wahaniem. – Nie wiesz, z kim masz do czynienia.

Zaśmiała się.

– Owszem, wiem.

– Niech ci będzie – ustąpiłam. – Wobec tego umowa stoi.

Kolejny punkt dla mnie.

*Wtorek, 4 grudnia*

Zatem postanowione. Wprowadza się do nas. No po prostu bomba, jak powiedziała Jean-Loup. Wczoraj przyniosła cały swój dobytek. W życiu nie widziałam, żeby ktoś miał tak mało rzeczy, może z wyjątkiem mnie i *maman*, kiedy jeszcze podróżowałyśmy z miejsca na miejsce. Dwie walizki: jedna z butami, druga z pozostałymi drobiazgami. Rozpakowanie wszystkiego zajęło niespełna dziesięć minut, a ja czuję się już, jakby mieszkała z nami od zawsze.

W jej pokoju wciąż stoją meble madame Poussin, sprzęty staruszki, szafa przesiąknięta zapachem naftaliny i komoda pełna wielgachnych drapiących koców. Kremowobrazowe zasłony z różanym wzorkiem, zapadnięte łóżko z zagłówkiem z końskiego włosia oraz upstrzone plamami lustro, w którym każdy wygląda ospowato. Pokój starej kobiety, ale dam głowę, że Zozie w mgnieniu oka odmieni go nie do poznania.

Pomogłam jej się rozpakować i przyniosłam zapachową saszetkę ze swojej szafy. Pomoże zabić ten zaduch.

– Damy radę – uśmiechnęła się Zozie, wieszając ubrania. – Kupiłam parę drobiazgów, aby ożywić wnętrze.

– Jakich?

– Zobaczycie.

I zobaczyłyśmy. Kiedy *maman* szykowała kolację, a Rosette i ja poszłyśmy po raz kolejny obejrzeć szopkę, Zozie upiększała swój pokój. Zajęło jej to niespełna godzinę, lecz gdy później poszłam go obejrzeć, wydawał się wprost nie do poznania. W miejsce staroświeckich zasłonek zawisły dwa wielkie kwadraty indyjskiego jedwabiu, czerwony i niebieski. Trzecim (fioletowym ze srebrną nitką) przykryła wyświechtaną narzutę. Nad półką nad kominkiem, na której ustawiła rzędem buty, niczym ozdoby nad ogniem, pojawił się podwójny sznur kolorowych światełek. W pokoju znalazły się również szmaciany chodnik oraz lampka z abażurem, na którym u dołu Zozie powiesiła swoje kolczyki. Na ścianie zaś, w miejscu obrazka zawisł jeden z kapeluszy, a na drzwiach – szlafrok z chińskiego jedwabiu, ramę upstrzonego plamami lustra obsiadły kolorowe motyle, które czasami wpina we włosy.

– Ojej – westchnęłam. – Jak tu ładnie.



W powietrzu unosił się słodki, kościelny zapach, który skojarzył mi się z Lansquenet.

– To kadzidełko, Nanou – wyjaśniła Zozie. – Zawsze palę je w pokoju.

Było to prawdziwe kadzidło, z rodzaju tych, jakie kładzie się na węgielkach. *Maman* i ja też kiedyś takie paliłyśmy, lecz teraz nigdy tego nie robimy. Pewnie za dużo z nimi kłopotu. Ale pachnie cudownie, poza tym nieporządek w wydaniu Zozie jest bardziej sensowny niż ład w ogólnym rozumieniu tego słowa.

Potem Zozie wygrzebała z dna walizki butelkę grenadyny i urządziłyśmy na dole przyjęcie, z ciastem czekoladowym i lodami dla Rosette. Siedziałyśmy w kuchni prawie do północy, Rosette zasnęła na swojej poduszce. Kiedy *maman* wstała, żeby posprzątać naczynia, ja spojrzałam na Zozie: ze swoimi długimi włosami, bransoletką i oczami roziskrzonymi jak gwiazdy wyglądała zupełnie jak dawna *maman*, *maman* z Lansquenet, kiedy jeszcze nazywała się Vianne Rocher.

– Co myślisz o moim domku adwentowym?

To nowa dekoracja, którą zastąpiła rubinowe czółenka. Na pierwszy rzut oka wzięłam ją za szopkę, taką jak na Place du Tertre, z małym Jezuskiem w otoczeniu świętej rodziny, Mędrców i pasterzy. Ale to coś znacznie ciekawszego: magiczny domek w bajkowym lesie. Codziennie nowa odsłona: dziś to Szczurołap. Ta opowieść rozgrywa się głównie przed domkiem, cukrowe myszki we wszystkich kolorach tęczy tłoczą się na bibule w zastępstwie szczurów, a Szczurołap – wystrugany z kołka, z namalowaną strzechą rudych włosów i fletem z zapalki – prowadzi je w kierunku jedwabnej płachty rzeczki...

W domku panoszy się burmistrz miasta Hamelin, ten, który nie chciał zapłacić Szczurołapowi. Stoi w oknie sypialni i wygląda na zewnątrz. On też jest drewniany, ma koszulę z chusteczki, papierową szlafmycę na głowie i twarz narysowaną długopisem, z szeroko rozdziawionymi ze zdumienia ustami.

Nie wiem czemu, ale rudy Szczurołap w zgrzebnym ubraniu przypomina mi Roux, a chciwy burmistrz wygląda kropka w kropkę jak Thierry. I, podobnie jak w przypadku szopki na Place du Tertre, czuję, że to coś więcej niż zwykła dekoracja...

– Jest piękny – odpowiedziałam.

– Miałam nadzieję, że ci się spodoba.

Rosette sapnęła na swojej poduszce i sięgnęła po kocyk, który zsunął się na podłogę. Zozie podniosła go, szczerze otuliła Rosette, po czym delikatnie dotknęła jej włosów.

Wówczas naszła mnie dziwna myśl. Nie tyle myśl, ile olśnienie. Pewnie przez

ten domek, w każdym razie pomyślałam o szopce, o tym, jak wszyscy ściągną do niej tłumnie – zwierzęta, Mędrcy, pasterze, aniołowie, a nawet gwiazda – chociaż nikt ich nie zaprasza. Jakby za sprawą czarów.

Mało nie powiedziałam o tym Zozie. Ale najpierw musiałam to sobie uporządkować, upewnić się, że nie palnę nic głupiego. Widzicie, coś mi się przypomniało. Coś sprzed wielu lat, kiedy jeszcze byłyśmy inne. Coś, co być może dotyczyło Rosette. Biednej Rosette, która miauczała jak kot, nie chciała jeść i czasami przestawała oddychać, ot tak, bez powodu...

Dziecko. Żłóbek. Zwierzęta...

Aniołowie i Mędrcy...

No bo kim jest Mędrzec? I dlaczego myślę, że kiedyś już go spotkałam?

*Wtorek, 4 grudnia*

Tymczasem wciąż miałam na głowie Roux. Moje plany wobec niego nie obejmują kontaktu z Vianne, ale wolę mieć go na oku. Dlatego zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, o godzinie wpół do szóstej udałam się na Rue de la Croix i poczekałam, aż wyjdzie z budynku.

Wyszedł tuż przed szóstą. Taksówka Thierry'ego już przyjechała (na czas remontu przeniósł się do ładnego hotelu); z dyskretnego punktu obserwacyjnego na rogu patrzyłam, jak Roux stoi w deszczu przed wejściem, z rękami w kieszeniach i postawionym kołnierzem, czekając, aż chlebowodawca oceni wykonaną robotę.

Thierry zawsze czerpał dumę z przekonania, iż jest człowiekiem bezpretensjonalnym, który nie waha się ubrudzić rąk i nigdy nie da drugiemu odczuć swej wyższości materialnej lub społecznej. Oczywiście to bzdura. Thierry jest w gruncie rzeczy snobem najgorszego gatunku, tylko po prostu nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale to widać na pierwszy rzut oka, chociażby po tym, jak woła na Laurenta *mon pote*. Widziałam to również teraz, gdy nonszalancko zamknął drzwi na klucz, ustawił alarm i z udawanym zdziwieniem popatrzył na Roux, jakby chciał powiedzieć: Ach tak, zapomniałem...

– Na ile się umawialiśmy? Sto? – zapytał.

Sto euro za dzień pracy, pomyślałam. Też mi hojność. Lecz Roux tylko po swojemu wzruszył ramionami, co doprowadza Thierry'ego do białej gorączki i czyni go nieobliczalnym. Roux, dla kontrastu, zachowuje spokój i tli się jak przykręcony płomyk lampy gazowej. Zauważyłam jednak, że nie podnosił oczu, jakby w obawie, że zdradzi go spojrzenie.

– Może być czek? – spytał Thierry.

Miły gest. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że Roux nie ma konta, nie płaci podatków i zapewne podróżuje pod przybranym nazwiskiem...

– A może wolisz gotówkę?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Wszystko mi jedno – odpowiedział. Woli zaprzepaścić dniówkę, aniżeli przegrać rundę.

Thierry wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– W porządku, niech będzie czek – rzucił. – Mam przy sobie mało pieniędzy.

Jesteś pewien, że to ci odpowiada?

Aura Roux rozbłysła, lecz on sam trwał w uporczywym milczeniu.

– Na jakie nazwisko?

– Zostaw wolne miejsce.

Thierry, wciąż uśmiechnięty, z rozmyślną powolnością wypisał czek, a następnie podał go Roux, mrugając porozumiewawczo.

– No to do zobaczenia jutro. Chyba że masz dość.

Roux potrząsnął głową.

– W porządku. Zatem jutro o wpół do dziewiątej. Tylko się nie spóźnij.

I odjechał taksówką, pozostawiając rywala z bezużytecznym czekiem.

Roux był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył mojego nadejścia.

– Roux.

– Vianne? – Aż zajaśniał tym swoim choinkowym uśmiechem. – Ach, to ty. –

Zrzedła mu mina.

– Mam na imię Zozie. – Rzuciłam mu znaczące spojrzenie. – Mógłbyś trochę popracować nad swoim urokiem osobistym.

– Słucham?

– Mógłbyś chociaż poudawać, że cieszysz się na mój widok.

– Aha. Wybacz. – Trochę się stropił.

– Jak robota?

– Nieźle – odpowiedział.

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

– Chodź – powiedziałam. – Usiądźmy w jakimś suchym miejscu i zamieńmy dwa słowa. Gdzie mieszkasz?

Podał nazwę podrzędnego hoteliku opodal Rue de Clichy. Dokładnie tego się po nim spodziewałam.

– Chodźmy. Mam mało czasu.

Znałam to miejsce: tanie i obskurne, ale przynajmniej można było płacić gotówką, co dla człowieka pokroju Roux nie jest bez znaczenia. Frontowych drzwi nie otwierało się kluczem, tylko trzeba było wstukać numer. Patrzyłam, jak Roux wprowadza kod, 825436. Jego profil odcinał się ostro na tle pomarańczowego światła latarni. Przezornie zapamiętałam cyfry. Wszystkie kody bywają użyteczne.

Weszliśmy do środka. Zobaczyłam jego pokój. Mroczne wnętrze, dywan klejący się do stóp, kwadratowy sufit w odcieniu przeżutej gumy, pojedyncze łóżko i niewiele więcej. Ani okna, ani krzesła, tylko zlew, kaloryfer i kiepska reprodukcja na ścianie.

– No i?

– Spróbuj. – Wyjęłam z kieszeni małe, ozdobnie zapakowane pudełko i wsunęłam mu do ręki. – Sama robiłam. Na koszt firmy.

– Dzięki – burknął oschle, po czym rzucił pudełko na łóżko i więcej na nie nie spojrzał.

Poczułam kolejne ukłucie irytacji. Jedna trufla, pomyślałam. Czy naprawdę wymagam zbyt wiele? Symbole na pudełku miały wielką moc (użyłam czerwonego kręgu Pani Krwawego Księżyca, uwodzicielki, Pożeraczki Serc); wystarczyłby tylko jeden kęs, a zmiękłby jak masło.

– Kiedy mogę przyjść? – spytał niecierpliwie.

Przysiadłam na skraju łóżka.

– To skomplikowane – zaczęłam. – Zaskoczyłeś ją, chyba rozumiesz. Spadłeś jak grom z jasnego nieba, a ona już zdążyła poukładać sobie życie...

Parsknął gorzkim śmiechem.

– No tak. Le Tresset. Pan Duży.

– Spokojna głowa, zrealizuję ci ten czek.

Spojrzał z ukosa.

– Skąd wiesz?

– Znam Thierry'ego. To człowiek, który nie potrafi uścisnąć drugiemu ręki, żeby jej nie pogruchotać. Do tego jest o ciebie zazdrosny...

– Zazdrosny?

– Naturalnie.

Na twarzy Roux odmalowało się szczere rozbawienie.

– No tak, przecież opływam we wszystko, nie? Jestem bogaty, przystojny...

– Posiadasz znacznie więcej – oznajmiłam.

– Nie rozumiem.

– Ona cię kocha, Roux.

Przez chwilę się nie odzywał, czułam jednak bijące od niego napięcie i widziałam grę kolorów, przechodzących od bladego błękitu po jaskrawą czerwień. I zrozumiałam, że trafiłam w dziesiątkę.

– Sama ci to powiedziała? – spytał wreszcie.

– Niezupełnie. Ale to prawda.

Przy zlewie stała szklanka. Roux napełnił ją wodą i wypił duszkiem, po czym wziął głęboki oddech i ponownie odkręcił kran.

– Jeśli to prawda – powiedział – to dlaczego wychodzi za Le Tresseta?

Z uśmiechem wyciągnęłam ku niemu pudełko. Krąg Pani Krwawego Księżyca

oświetlił mu twarz szkarłatną luną.

– Na pewno się nie poczęstujesz?

Niecierpliwie potrząsnął głową.

– No dobrze – westchnęłam. – Powiedz mi jedną rzecz. Kiedy się poznaliśmy, nazwałś mnie Vianne. Dlaczego?

– Już ci mówiłem. Wyglądałaś zupełnie jak ona. Jak ona... kiedyś.

– Kiedyś?

– Teraz wygląda inaczej – odparł. – Jej włosy, ubranie...

– Zgadza się – przytaknęłam. – To wpływ Thierry'ego. Ten człowiek ma bzika na punkcie kontroli, jest obsesyjnie zazdrosny i zawsze musi dopiąć swego. Na początku był do rany przyłóż. Pomagał jej przy dzieciach, obsypywał ją drogimi prezentami. Potem zaczął naciskać, a teraz mówi jej, jak ma się ubierać, zachowywać, jak postępować z córkami. To, że jest właścicielem sklepu i w każdej chwili może ją wyrzucić na bruk, wcale nie ułatwia sytuacji...

Roux zmarszczył brwi; wreszcie coś zaczęło do niego docierać. W jego aurze dostrzegłam zwątpienie i obiecujące załamki gniewu.

– Dlaczego mi nie powiedziała? Dlaczego nie napisała?

– Może się bała.

– Bała? Jego?

– Kto wie – uciełam.

Widziałam, że myśli intensywnie; w skupieniu pochylił głowę i zmrużył oczy. Nie ma do mnie zaufania, ale wiem, że połknie haczyk. Przez wzgląd na nią, na Vianne Rocher.

– Pójdę do niej. Muszę się z nią zobaczyć, porozmawiać...

– Popelnisz wielki błąd.

– Jak to?

– Jeszcze nie jest na to gotowa. Musisz dać jej czas. Nie możesz tak po prostu się zjawić i postawić ją przed koniecznością dokonania wyboru.

Widziałam w jego oczach, że tak właśnie zamierzał zrobić.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

– Posłuchaj – zaczęłam. – Porozmawiam z nią. Spróbuję przemówić jej do rozsądku. Ale żadnych wizyt, listów i telefonów. Zaufaj mi...

– Na jakiej podstawie? – spytał.

Cóż, wiedziałam, że nie będzie łatwo, ale to już zakrawało na absurd. Pozwoliłam sobie na ton lekkiego zniecierpliwienia.

– Na jakiej? Choćby takiej, że jestem jej przyjaciółką. Ona i jej dzieci są dla

mnie bardzo ważne. Spróbuj choć na chwilę zapomnieć o swoich zranionych uczuciach, a zrozumiesz, że potrzebny jej czas. Gdzie się podziewałeś przez ostatnie cztery lata, co? Skąd ma wiedzieć, że znów nie zostawisz jej na lodzie? Oczywiście Thierry nie jest chodzącym ideałem, ale przynajmniej można na nim polegać. A na tobie?

Z niektórymi facetami trzeba twardo. Roux chyba do nich należy, gdyż w jego głosie po raz pierwszy pojawiło się coś na kształt uprzejmości.

– Rozumiem – powiedział. – Przepraszam, Zozie.

– Zrobisz, co ci mówię? W przeciwnym razie moja pomoc nie ma najmniejszego sensu.

Skinął głową.

Westchnęłam. Najgorsze za nami.

W sumie szkoda, pomyślałam. Mimo wszystko jest nawet niczego sobie. Lecz każda przysługa wyświadczona przez bogów pociąga za sobą ofiarę. Niebawem upomnę się o swoje...

*Środa, 5 grudnia*

Dzisiaj wróciła Suze. Chustkę zastąpiła czapką i niezwłocznie zaczęła nadrabiać stracony czas. Przez całą przerwę obiadową szeptała coś z Chantal, a potem znów wyjechały z idiotyczną gadką w stylu: „gdzie twój chłopak” i „głupi Jaś!”.

To już nie jest zabawne, tylko na wskroś podłe. Na domiar złego Sandrine i Chantal opowiadają naokoło o swej wizycie w *chocolaterie*, którą opisują jako coś pośredniego między hipisowską komuną a chlewem. Bawi je to co niemiara.

Co gorsza Jean-Loup choruje i rola pierwszego dziwołaga klasy przypada wyłącznie mnie. Oczywiście mam w nosie ich gadanie, ale to takie niesprawiedliwe: *maman*, Zozie, ja i Rosette, włożyłyśmy w sklep tyle pracy, a teraz Chantal & Spółka przedstawiają nas jako bandę ostatnich frajerek.

Normalnie machnęłabym na nie ręką. Ale ostatnio tak dobrze nam się układa, Zozie się wprowadziła, wzrosła sprzedaż, w sklepie aż roi się od klientów, a Roux pojawił się jak gdyby nigdy nic...

Minęły jednak cztery dni, a on nie daje znaku życia. W szkole nie mogę przestać o nim myśleć. Ciekawe, gdzie trzyma łódkę? A może nas okłamał i nocuje pod mostem albo w jakimś opuszczonym domu, tak jak w Lansquenet, kiedy monsieur Muscat spalił jego łódź?

Na lekcjach nie mogłam się skupić i monsieur Gestin krzyczał, że myślę o niebieskich migdałach. Chantal & Spółka chichotały jak wariatki, a ja nie miałam komu się wyżalić.

Dzisiaj było jeszcze gorzej. Kiedy po lekcjach stanęłam w kolejce do autobusu obok Claude'a Meuniera i Mathilde Chagrin, ni stąd, ni zowąd podeszła do mnie Danielle.

– Czy to prawda – zapytała z udawanym współczuciem że twoja siostra jest niedorozwinięta?

Chantal i Suze stały w pobliżu z kamiennymi twarzami. Ale widziałam, że to ich sprawka; chciały mnie zrobić i w duchu dosłownie pękały ze śmiechu...

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Powiedziałam to możliwie beznamiętnym tonem. Nikt nie wie o Rosette, przynajmniej tak mi się zdawało. Aż do dziś. Nagle pomyślałam o Suze i dniu, który spędziłyśmy razem w *chocolaterie*...



– Tak słyszałam – odparła Danielle. – Twoja siostra jest niedorozwinięta. Każdy to wie.

„Najlepsza Przyjaciółka”, pomyślałam z goryczą. Różowy wisiołek i solenna obietnica, że dochowa sekretu i nigdy...

Łypała na mnie spod różowej czapki (rudzielce powinny unikać jaskrawego różu jak ognia).

– Niektórzy powinni pilnować własnego nosa – powiedziałam głośno, żeby wszyscy usłyszeli.

Na twarzy Danielle pojawił się złośliwy uśmiezek.

– Czyli to prawda – skwitowała, a jej aura rozbłysła zachłannie jak gorące węgle w przeciągu.

We mnie też coś rozbłysło. Ani mi się waży, powiedziałam sobie stanowczo. Jeszcze jedno słowo...

– Jasne, że prawda – wtrąciła Suze. – Ile ona ma, cztery lata, a nie umie ani mówić, ani jeść widelcem. Moja mama twierdzi, że to mongolizm. W każdym razie wygląda jak mongoł, bez dwóch zdań.

– To nieprawda – powiedziałam cicho.

– A właśnie, że prawda. Jest odrażającym półmózgiem, tak jak ty.

Suze wybuchnęła śmiechem, Chantal jej zawtórowała. I zaczęły skandować: „mongoł, mongoł”. Pochwyciłam niespokojne spojrzenie wodnistych oczu Mathilde Chagrin i nagle...

**BAM!**

Sama nie wiem, co się stało. Rozegrało się szybko, tak jak kot, który w jednej minucie śpi słodko zwinięty w kłębek, po czym zrywa się z posłania, by syczeć i drapać. Wiem tylko, że wycelowałam w nią skrzyżowane palce, jak Zozie w herbaciarni. Nie jestem pewna, co chciałam przez to osiągnąć, w każdym razie coś wyfrunęło mi z ręki, jakbym rzuciła kamykiem bądź małym, płonącym przedmiotem.

Na efekt nie trzeba było długo czekać. Usłyszałam przeraźliwy krzyk Suze, która chwyciła różową czapkę i pospiesznie zdarła ją z głowy.

– Auu! Auu!

– Co ci jest? – zapytała Chantal.

– Swędzi! – wrzasnęła Suze. Zawzięcie drapała się po głowie; między resztkami włosów widziałam różowe prześwity skóry. – Boże, jak swędzi!

Nagle poczułam mdłości i zmiękły mi kolana jak podczas tamtego popołudnia z Zozie. Ale najgorsze było to, że wcale nie czułam wyrzutów sumienia, tylko

podniecenie jak wówczas, kiedy coś przeskrobiemy i nikt nie wie, że to nasza sprawa.

– Co ci jest? – powtarzała w kółko Chantal.

– Nie wiem! – krzyczała Suze.

Danielle przypatrywała jej się z udawaną troską, jak wtedy gdy zagadnęła mnie o Rosette, a Sandrine popiskiwała, nie wiem czy z przejęcia, czy może ze współczucia.

Nagle Chantal też zaczęła się drapać.

– M-masz w-wszy, Chantal? – spytał Claude Meunier.

Tył kolejki wybuchnął śmiechem.

Potem przyszła kolej na Danielle.

Zupełnie jakby ktoś obsypał swędzącym proszkiem całą czwórkę. Proszkiem albo czymś znacznie gorszym. Chantal zrobiła wściekłą minę, po czym na jej twarzy pojawił się strach. Suzanne prawie dostała hysterii. To było takie przyjemne...

Naraz przypomniałam sobie pewne zdarzenie sprzed lat, kiedy byłam bardzo mała. Dzień na plaży, pluskam się w kostiumie przy brzegu, *maman* siedzi na piasku z książką. Jakiś chłopiec ochlapał mnie wodą, aż zapiekły oczy. Kiedy przechodził obok, rzuciłam kamyczkiem, pewna, że nie trafię.

„To był tylko wypadek...”.

Chłopiec z płaczem trzyma się za głowę, *maman* biegnie w moją stronę z wyrazem niezadowolenia na twarzy. Nagły ucisk w żołądku. Wypadek.

Potłuczone szkło, zbite kolano, skowyt bezpańskiego psa pod kołami autobusu.

„To wypadki, Nanou”.

Powoli zaczęłam się cofać. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać. Cała sytuacja była komiczna. Straszne rzeczy też bywają komiczne. Mimo to wciąż towarzyszyło mi dziwne, a zarazem przerażające poczucie zadowolenia...

– Co jest, do cholery? – wrzeszczała Chantal.

Cokolwiek to było, potężnie dało się odczuć. Żaden swędzący proszek nie zadziałałby tak skutecznie. Nie widziałam dokładnie, co się dzieje. W kolejce zapanował harmider, inni zasłonili mi widok, każdy chciał popatrzeć.

Ja nawet nie próbowałam. Wiedziałam.

Zapragnęłam porozmawiać z Zozie. Ona będzie wiedziała, co robić, pomyślałam. I nie zacznie mnie maglować. Nie czekając na autobus, wróciłam metrem, a całą drogę z Place de Clichy przebyłam biegiem. Kiedy dotarłam na miejsce, brakowało mi tchu. *Maman* szykowała w kuchni podwieczorek dla

Rosette. Dam głowę, że Zozie wiedziała, co zaszło, zanim jeszcze zdążyłam otworzyć usta.

– O co chodzi, Nanou?

Popatrzyłam na nią bez słowa. Miała na sobie dzinsy i rubinowe czółenka, jeszcze czerwieńsze, wyższe i błyszczące niż przedtem. Ich widok dodał mi otuchy i z westchnieniem ulgi opadłam na jeden z różowych foteli.

– Czekolady?

– Nie, dziękuję.

Nalała mi colę.

– Aż tak źle? – spytała, patrząc, jak wypijam wszystko duszkiem, aż bąbelki poszły mi z nosa. – Proszę, napij się jeszcze i gadaj mi tu zaraz.

Opowiedziałam jej ściszym głosem, żeby *maman* nie usłyszała. Dwukrotnie musiałam przerywać, raz kiedy weszli Nico z Alice, a drugi, kiedy napatoczył się Laurent, który marudził przez pół godziny, ile to go czeka roboty, że nie sposób o tej porze roku znaleźć hydraulika, że imigranci się panoszą, i tym podobne.

Wyszedł tuż przed zamknięciem, kiedy *maman* robiła kolację. Zozie zapaliła światła, żebym mogła obejrzeć domek adwentowy. W miejsce Szczurołapa pojawił się chór czekoladowych aniołów śpiewających w cukrowym śniegu. Jakie to piękne, pomyślałam. Ale sam domek wciąż stanowi zagadkę. Pozamykane drzwi, zasunięte zasłony, tylko z okienka na strychu prześwieca tajemnicze światło.

– Czy mogę zajrzeć do środka? – spytałam.

– Może jutro – odpowiedziała Zozie. – Może pójdziemy do mnie, co? Dokończymy naszą małą pogawędkę.

Powoli poszłam za nią na górę. Rubinowe czółenka stukwały przede mną na schodach, stuk, stuk, stuk, jakby ktoś pukał do drzwi błagając, żebym wpuściła go do środka.

*Czwartek, 6 grudnia*

Dziś rano, trzeci dzień z rzędu, mgła wisi nad Montmartre'em jak żagiel. Podobno za dzień lub dwa ma sypnąć śniegiem, dziś jednak panuje złowroga cisza, która połyka codzienny szmer ulicy i kroki przechodniów na bruku. Zupełnie jakbyśmy cofnęli się w czasie o sto lat, a za każdym węglem majaczył duch w powłóczyściej spódnicy...

Mógłby to również być mój ostatni dzień w szkole, gdy uwolniłam się od St Michael's on the Green i po raz pierwszy zrozumiałam, że życie – każde życie – to jedynie martwe listy na wietrze, które można podnieść, zebrać, spalić albo wyrzucić podług własnego uznania.

Wkrótce się o tym przekonasz, Anouk. Znam cię lepiej niż ty sama siebie; za tą ugrzeczną fasadą kryje się stłumiony potencjał gniewu i nienawiści, tak jak w *Dziewczynie, Która Była Głupim Jasiem*. Tak jak we mnie, przed laty.

Ale wszystko potrzebuje katalizatora. Czasem to drobiazg, lekki jak piórko, pstryknięcie palców. Niektóre pinaty są twardsze niż inne. Każdy ma jednak swój próg tolerancji, a raz uchylone wieko nie da się z powrotem domknąć.

W moim przypadku był to chłopiec. Nazywał się Scott McKenzie. Siedemnastolatek, atletyczny blondyn, bohater bez skazy. Był nowy w St Michael's on the Green, inaczej szybko poszedłby po rozum do głowy i zamiast *Dziewczyny, Która Była Głupim Jasiem*, wybrałby sobie ciekawszy obiekt westchnień.

A jednak wybrał mnie, przynajmniej na jakiś czas. Tak to się zaczęło. Niezbyt oryginalny początek sprawy, która skończyła się w płomieniach. Wszystkie powinny tak się kończyć. Miałam szesnaście lat i dzięki mojemu Systemowi stanęłam na wysokości zadania. Nadal byłam po trosze szarą myszką: owoc wieloletniej egzystencji na marginesie grupy. Ale miałam potencjał, nawet wtedy. Byłam ambitna, zawzięta, skryta. Moje metody zasługiwały na miano raczej praktycznych niż okultystycznych. Znałam się na ziołach i truciznach, wiedziałam, jak ściągnąć ból brzucha na tych, którzy ośmielili mi się narazić i szybko zrozumiałam, że odrobina swędzącego proszku w skarpetkach bądź kropla oleju chili w tuszu do rzęs bywa szybsza i bardziej dramatyczna w skutkach aniżeli garść zaklęć.

Co do Scotta, łatwo dał się usidlić. Nastoletni chłopcy, nawet ci najbystrzejsi, składają się w jednej trzeciej z mózgu, w dwóch trzecich zaś z testosteronu, a mój tajemny przepis – mieszanina pochlebstwa, wdzięku, seksu, *pulque* oraz szczypty sproszkowanego grzyba, dostępnego jedynie garstce wybranych klientów matki – szybko uczynił go moim niewolnikiem.

Nie zrozumcie mnie źle. Nigdy nie kochałam Scotta. Powiedzmy, że prawie, ale nigdy wystarczająco. Lecz Anouk nie musi o tym wiedzieć, nie musi też znać bardziej drastycznych szczegółów tego, co zaszło w St Michae Fsonthe Green. Przedstawiłam jej wyretuszowane zdarzenia i rozśmieszyłam ją do łez; Scott McKenzie z mojej wersji usunął w cień Adonisa, reszta zaś zyskała formę sztampowej opowieści rodem z serialu dla nastolatek. Plotka, graffiti, złośliwość i upokorzenie.

Seria drobnych przykrości, przynajmniej na początku. Skradzione ubrania, podarte książki, wyrócona do góry nogami zawartość szafki, kłamliwe plotki. To był dla mnie chleb powszedni, drobiazgi, za które nawet nie chciało mi się ich karać. Poza tym byłam prawie zakochana, a świadomość niewyobrażalnej dotąd zazdrości koleżanek mile łechtła moją próżność. Wprost nie mogły się nadziwić, co też chłopiec pokroju Scotta widzi w Dziewczynie, Która Była Głupim Jasiem.

Resztę zmyśliłam. Przedstawiłam Anouk listę drobnych złośliwości, do których posunęłam się w ramach rewanzu. Niegrzecznych, żebyśmy poczuły się jak współniczki, a zarazem na tyle nieszkodliwych, by oszczędzić jej czułe serduszko. Prawda była mniej ujmująca, jak to zwykle z prawdą bywa.

– Same się o to prosiły – oznajmiłam na zakończenie. Dałaś im tylko to, na co zasługiwały. To nie twoja wina...

Wciąż siedziała z pobladłą twarzą.

– Gdyby *maman* wiedziała...

– To jej nie mów – skwitowałam. – Poza tym nikomu nie zrobiłaś krzywdy. Chociaż... – dodałam niby to w zadumie. ... jeśli nie nauczysz się panować nad swymi umiejętnościami, to może kiedyś, przez przypadek...

– *Maman* mówi, że to tylko zabawa. Że to naprawdę nie istnieje. I że to tylko moja wyobraźnia.

Rzuciłam jej przeciągłe spojrzenie.

– I ty jej wierzysz?

Mruknęła coś, nie patrząc mi w oczy, po czym utkwiała wzrok w moich czółenkach.

– Nanou – powiedziałam.

– *Maman* nie kłamie.

– Wszyscy kłamią.

– Nawet ty?

Uśmiechnęłam się niewinnie.

– Ja to nie wszyscy. Prawda, Nanou? – Obróciłam stopę, a czerwony obcas odbił światło. Wyobraziłam sobie rubinowożłoty refleks w źrenicach Anouk. – Głowa do góry, Nanou. Wiem, co czujesz. Potrzebny ci System, ot co.

– System? – powtórzyła.

I puściła farbę, zrazu z ociąganiem, a potem z rosnącym podnieceniem, które rozgrzało mi serce. Jak się okazało, miały kiedyś swój własny System, barwną zbieraninę opowieści, sztuczek i uroków, saszetki z ziołami do przegania demonów oraz pieśni do uciszania wiatru, żeby ich nie zdmuchnął i zostawił w spokoju.

– Ale dlaczego miałyby was zdmuchnąć?

Anouk wzruszyła ramionami.

– Bo tak.

– Jaką piosenkę śpiewałyście?

Zaśpiewała mi ją. To stara pieśń, chyba miłosna, tęskna i trochę smutna. Vianne nadal ją śpiewa: słyszę ją czasem, gdy bawi się z Rosette albo hartuje czekoladę.

*Via l'bon vent, v'ld Vjoli vent Via Vbon vent, ma mie m'appelle –*

– Rozumiem – powiedziałam. – Boisz się, że wzniesiesz zawieruchę.

Powoli skinęła głową.

– To głupie, wiem.

– Wcale nie – zaproponowałam. – Ludzie wierzą w to od stuleci. W folklorze angielskim czarownice wywoływały wiatr, czesząc włosy. Aborygeni wierzą, że dobry wiatr Bara jest pół roku w niewoli u złego wiatru Mamarigi. Co roku muszą uwalniać go śpiewem. Aztekowie zaś... – popatrzyłam na nią z uśmiechem – znali moc wiatru, którego oddech porusza słońce i przegania deszcz. Nazywał się Ehecatl, składali mu w ofierze czekoladę.

– Ale... czy oni nie składali też ofiar z ludzi?

– A czy wszyscy w pewnym sensie tego nie robimy?

Ofiary z ludzi. Cóż za szumne określenie. A czy nie to uczyniła Vianne Rocher, składając swoje dzieci na ołtarzu tłustych bożków zadowolenia? Żądza wymaga ofiary: wiedzieli o tym Aztekowie, wiedzieli i Majowie. Znali potworną

zachłanność bogów, ich niezaspokojoną żądzę śmierci i krwi. I rozumieli świat o wiele lepiej niż świętoszki z Sacre-Coeur, wielkiego białego balonu na szczycie Butte. Zdrap lukier, a zobaczysz gorzką, ciemną warstwę pod spodem.

Czyż każdy z kamieni tworzących Sacre-Coeur nie został utoczony ze strachu przed śmiercią? Czy wizerunki Chrystusa z obnażonym sercem nie przypominają obrazów przypominających rytualne wyrywanie serc? I czy komunia, podczas której wierni dzielą się krwią i ciałem Zbawiciela, jest mniej okrutna i odrażająca niż tamte obrzędy?

Anouk wlepiła we mnie wytrzeszczone oczy.

– To Ehecatl nauczył ludzi miłości – uzupełniłam. – On tchnął życie w świat. Wiatr był dla Azteków ważniejszy niż deszcz, a nawet słońce. Wiatr oznacza zmianę, a bez niej świat jest skazany na zagładę.

Skinęła głową, pojętna uczennica. Poczulałam przyływ ciepłych uczuć, prawie czułych i niebezpiecznie macierzyńskich...

Ach nie, nie stracę głowy, nie ma obawy. Jednakże towarzystwo Anouk, przekazywanie jej wiedzy i snucie starych legend sprawia mi wiele frajdy. Przypomniałam sobie pierwszą, ekscytującą podróż do Meksyku, radość na widok kolorów, słońca, masek. I to cudowne poczucie, że wreszcie znalazłam się w domu...

– Słyszałaś kiedyś określenie „wiatr zmian”?

Ponownie skinęła głową.

– Mowa o nas. O ludziach takich jak my. Ludziach, którzy umieją wzniecić wiatr.

– Ale czy to nie jest złe?

– Nie zawsze – zapewniłam. – Są wiatry dobre i złe. Wybór należy do ciebie. Zrobisz, co zechcesz. Po prostu. Możesz dać się zastraszyć i możesz odpłacić pięknym za nadobne. Możesz okiełznać wiatr i podróżować z nim jak na skrzydłach orła albo pozwolić, żeby cię zdmuchnął.

Długo milczała, siedząc nieruchomo, wpatrzona w mój but. Wreszcie uniosła głowę.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała.

Uśmiechnęłam się pobłaźliwie.

– Urodzona w księgarni, wychowana przez czarownicę.

– I nauczysz mnie, jak okiełznać wiatr?

– Oczywiście, że tak. Jeśli tego chcesz.

Znów w milczeniu popatrzyła na but. Snop światła odbił się od obcasa i

rozproszył po ścianie.

– Chcesz przymierzyć?

Natychmiast uniosła głowę.

– Będą pasować?

Opanowałam uśmiech.

– Zobaczysz.

– Ojej. Ojej! No bomba!

Chwiejąc się jak nowo narodzona żyrafa, z roziskrzonym wzrokiem wyciągnęła przed siebie ręce niczym ślepiec, nieświadoma znaku Pani Krwawego Księżyca, naszkicowanego ołówkiem na podeszwie...

– Podobają ci się?

Z uśmiechem skinęła głową, nagle onieśmielona.

– Jeszcze jak – powiedziała. – Rubinowe czółenka.

Rubinowe czółenka! Musiałam się uśmiechnąć, lecz określenie wydało mi się ze wszech miar słuszne.

– Twoje ulubione, tak? – zapytałam.

Ponownie skinęła głową, jej oczy lśniły jak gwiazdy.

– No cóż, są twoje, jeśli chcesz.

– Serio? Na zawsze?

– Czemu nie? – odpowiedziałam.

Oniemiała. Uniosła jedną stopę w na poły niezdarny, na poły urzekający sposób i posłała mi uśmiech, który sprawił, że serce niemal zamarło mi w piersi.

Nagle mina jej zrzedła.

– *Maman* nie pozwoli mi ich nosić.

– *Maman* nie musi wiedzieć.

Anouk wciąż wpatrywała się w swoją stopę, blask z obcasa rozjaśniał podłogę. Myślę, że знаła moją cenę, jednakże czar butów okazał się nieodparty. Butów, które mogą zanieść cię wszędzie, sprawić, że się zakochasz, zamienić w kogoś innego...

– I nie stanie się nic złego? – zapytała.

– Nanou – upomniałam z uśmiechem. – Przecież to tylko buty.



*Czwartek, 6 grudnia*

Thierry ostatnio dużo pracuje. Od początku tygodnia prawie nie rozmawialiśmy; praca w sklepie i remont mieszkania nie pozostawiają nam czasu na normalny kontakt. Zadzwoił dziś do mnie w sprawie parkietu (wolę jasny czy ciemny dąb?), ale uprzedził, żebym nie przychodziła. Taki bałagan, powiedział. Wszędzie kurz, połowa podłogi zerwana. I dodał, że chce przed moją wizytą doprowadzić wszystko do perfekcji.

Nie mam odwagi spytać o Roux, chociaż wiem od Zozie, że tam jest. Minęło pięć dni od jego niezapowiedzianego przyjazdu i do dziś się nie pojawił. Trochę mnie to dziwi, choć może nie powinno. Wmawiam sobie, że tak jest lepiej, że jego widok tylko skomplikuje sprawę. Ale stało się. Zobaczyłam jego twarz. Z zewnątrz dochodzi dźwięk dzwonek; czuję na twarzy podmuch wiatru...

– Może powinnam tam zajrzeć – mówię pozornie obojętnym tonem, na który nikt się nie nabierze. – Niezręcznie tak go unikać, a poza tym...

Zozie wzruszyła ramionami.

– Jasne. Jeśli chcesz, żeby stracił pracę.

– Jak to?

– A co myślisz? – rzuciła niecierpliwie. – Nie wiem, czy zauważyłaś, Yanne, ale Thierry jest na jego punkcie trochę przewrażliwiony. Pójdiesz tam, dojdzie do sceny i zanim się obejrzysz...

Jej słowa brzmiały logicznie, jak zawsze. Na Zozie można było polegać. Musiałam chyba zrobić zawiedzioną minę, gdyż z uśmiechem otoczyła mnie ramieniem.

– Słuchaj, jeśli chcesz, ja tam pójde. Powiem Roux, że może przyjść, kiedy chce. Kurczę, mogę mu nawet zanieść kanapki...

Roześmiałam się, rozbawiona jej gorliwością.

– To chyba nie będzie konieczne.

– Nic się nie martw. Wszystko się ułoży.

W duchu zaczynam przyznawać jej rację.

Madame Luzeron zajrzała do nas dziś w drodze na cmentarz, razem ze swym brzoskwiowym pieskiem. Jak zwykle kupiła trzy trufle, jednak ostatnio wydaje

się bardziej przystępna, bardziej skłonna, aby usiąść, napić się mokki i skosztować mojego trzywarstwowego ciasta czekoladowego. Siada, ale rzadko się odzywa, choć lubi obserwować, jak Rosette rysuje lub przegląda jedną ze swoich książeczek.

Dziś patrzyła na domek adwentowy i przedstawioną wewnątrz scenkę. Dzisiejszy epizod rozgrywa się w holu, goście stoją u drzwi, a gospodyni w odświętnej sukience wychodzi na próg, aby ich powitać.

– Cóż za oryginalna dekoracja – oznajmiła madame Luzeron, przysuwając upudrowaną twarz bliżej do okna. Proszę, czekoladowe myszki. I laleczki...

– Ładne, prawda? To dzieło Annie.

Madame wypła łyk czekolady.

– Słusznie – powiedziała wreszcie. – Nie ma nic smutniejszego niż pusty dom.

Laleczki z kołków są starannie pomalowane i ubrane z wielką dbałością o szczegóły. Ich wykonanie pochłonęło dużo czasu i wysiłku. Rozpoznaję siebie w osobie pani domu. To znaczy rozpoznaję Vianne Rocher: ma czerwoną suknię ze skrawka jedwabiu i długie, czarne włosy z mojego kosmyka, przyklejone na czubku i związane kokardką.

– A gdzie twoja laleczka? – zapytałam później Anouk.

– Och, jeszcze jej nie skończyłam. Ale skończę – zapewniła tak żarliwie, że musiałam się uśmiechnąć. – Każdy będzie miał swoją. Będą gotowe przed Wigilią. Wtedy otworzymy wszystkie drzwi i wyprawimy wielkie przyjęcie.

Oho, pomyślałam. Zaczyna się.

Dwudziestego są urodziny Rosette. Nigdy nie wyprawialiśmy jej przyjęcia. To niefortunna data, za blisko Yule i nie dość daleko od Les Laveuses. Anouk wspomina o tym rok w rok, chociaż Rosette wcale nie nalega. Dla niej wszystkie dni są magiczne, a garść guzików i kawałek pognieczonego sreberka wydają się równie cudowne jak najpiękniejsza zabawka.

– Możemy wyprawić przyjęcie, *maman*?

– Och, Anouk. Przecież wiesz, że nie możemy.

– Ale dlaczego? – pyta uparcie.

– Przecież wiesz, mamy tyle na głowie. Poza tym przeprowadzamy się na Rue de la Croix...

– No właśnie – powiedziała Anouk. – Właśnie o to mi chodzi. Nie możemy się wyprowadzić bez pożegnania. Powinniśmy urządzić przyjęcie wigilijne. Z okazji urodzin Rosette. Dla przyjaciół. Sama rozumiesz, że po przeprowadzce wszystko się zmieni, będzie tak, jak chce Thierry i...

– To nie fair, Anouk.

– A co, nie będzie?

– Może – odpowiedziałam.

Przyjęcie wigilijne, pomyślałam. Tak jakbym nie miała co robić w sezonie przedświątecznym...

– Przecież ci pomogę – przekonywała Anouk. – Mogłabym wypisać zaproszenia, zaplanować menu, rozwiesić dekoracje i upiec tort dla Rosette. Wiesz, że najbardziej lubi czekoladowo-pomarańczowy. Na przykład w kształcie małpki. Albo możemy urządzić bal przebierańców, niech wszyscy przebiorą się za zwierzęta. Podamy grenadyne, colę, no i oczywiście czekoladę... Musiałam się roześmiać.

– Wszystko sobie obmyśliłaś, co?

Przewróciła oczami.

– No... może trochę.

Westchnęłam. Czemu nie? Może najwyższy czas.

– No dobrze – ustąpiłam. – Niech ci będzie.

Aż podskoczyła z radości.

– Ekstra! Myślisz, że spadnie śnieg?

– Kto wie.

– I wszyscy mogą się przebrać?

– Jeśli zechcą, Nanou.

– I możemy zaprosić, kogo chcemy?

– Oczywiście.

– Nawet Roux?

Mogłam się tego spodziewać. Zmusiłam się do uśmiechu.

– Czemu nie? – odpowiedziałam. – Jeśli jeszcze tu będzie.

Nie rozmawiałam z nią o Roux. Nie wspomniałam, że pracuje dla Thierry'ego zaledwie kilka przecznic dalej. Zatajenie prawdy to jeszcze nie kłamstwo, choć jestem pewna, że gdyby wiedziała...

Zeszłej nocy znów zajrzałam do kart. Nie wiem, *co* mnie naszło, ale wyjęłam je ze szkatułki, przesiąknięte zapachem mojej matki. Tak rzadko to robię... nie wierzę...

A jednak proszę, z wprawą tasuję karty i rozkładam je w ulubionej przez matkę formie Drzewa Życia. I widzę przepływające przed oczami obrazy...

Dzwonki wietrzne przy drzwiach trwają bez ruchu, ale ja wciąż słyszę ich dźwięk, rezonans kamertonu, od którego boli mnie głowa i dostaję gęsiej skórki.

Kolejno przewracam karty.

Znam je aż za dobrze.

Śmierć, Kochankowie, Wisielec, Koło Fortuny.

Głupiec, Mag, Wieża.

Ponownie tasuję i rozkładam.

Kochankowie, Wisielec, Koło Fortuny, Śmierć.

Te same karty w innej kolejności; to, co nieuniknione w subtelnie zmodyfikowanej postaci.

Mag, Wieża, Głupiec.

Głupiec ma rude włosy i gra na flecie. W sfatygowanym kapeluszu i łataniej kapocie przypomina mi Szczurołapa, wpatzonego w niebo i obojętnego na niebezpieczeństwa czyhające na ziemi. Czyżby sam rozwarł tę przepaść u swoich stóp, tę pułapkę na każdego, kto ruszy jego śladem? Czy może lekkomyślnie zrobi o jeden krok za dużo?

Po tym wszystkim prawie nie zmrużyłam oka. Wiatr i sny sprzysięgły się, żeby nie pozwolić mi zasnąć. Rosette też kręciła się niespokojnie i po raz pierwszy od pół roku nie dawała się uspić, w związku z czym siedziałam przy niej przez trzy godziny. Nic nie pomagało, ani gorąca czekolada w ulubionym kubku, ani ulubione zabawki, ani lampka nocna w kształcie małpki, ani specjalny kocyk (ubóstwiany przez nią koszmarek w odcieniu owsianki). Nie pomogła nawet kołysanka mojej matki.

Sprawiała wrażenie raczej pobudzonej niż zdenerwowanej; kiedy próbowałam wyjść z pokoju, czkała i zanosila się płaczem, a gdy kładłam się obok niej, wprost nie posiadała się ze szczęścia.

„Dziecko”, pokazała.

– Pora spać, Rosette. Śpij.

„Zobaczyć dziecko”.

– Teraz nie możemy. Może jutro.

Na zewnątrz wiatr szarpał framugą okna. Wewnątrz zaś kilka małych drobiazgów, domino, ołówek, kawałek kredy i dwa plastikowe zwierzątka, kolejno zsunęło się z półki nad kominkiem i poturlało po podłodze.

– Proszę, Rosette, nie teraz. Śpij. A jutro zobaczymy.

O wpół do trzeciej wreszcie zdołałam ją uspić, po czym zamknęłam drzwi i ległam na swoim zapadniętym łóżku. Niby jest pojedyncze, ale za duże dla jednej

osoby. Ma już swoje lata, a jęk nadwerżonych sprężyn stał się sprawcą niejednej bezsennej nocy. Dziś urządziły prawdziwą orkiestrę, więc tuż po piątej poddałam się z rezygnacją i zesłam na dół zaparzyć kawę.

Za oknem padał deszcz, obficie zlewając ulicę i ściekał z rynien gęstym strumieniem. Podniosłam koc, który leżał na schodach, po czym zaniiosłam go wraz z filiżanką do sklepu. Następnie usiadłam w jednym z foteli Zoie (znacznie wygodniejszym niż te na górze) i w miękkim, żółtym świetle sączącym się z kuchni przez na wpół uchylone drzwi zwinęłam się w kłębek, oczekując na nadchodzący poranek.

Musiałam przysnąć, gdyż obudził mnie jakiś szmer. To Anouk, bosa, w piżamie w czerwono-niebieską kratkę, z mglistym cieniem u stóp, w którym bezbłędnie rozpoznałam Pantoufle'a. W ciągu ostatnich kilku lat zauważyłam, że choć Pantoufle potrafi zniknąć na parę tygodni, a czasami nawet miesiący, nocą ma mocniej zarysowany kontur. Nic dziwnego, wszystkie dzieci boją się ciemności. Anouk podeszła bliżej i wśliznęła się pod koc, łaskocząc mnie włosami po twarzy i wsuwając mi pod kolana zimne stopy, jak dawniej, kiedy wszystko było takie proste.

– Nie mogłam spać. Dach przecieka.

No tak, zapomniałam. Mamy dziurę w dachu, której dotąd nikomu nie udało się naprawić. Urok starych domów: ledwo uporasz się z jednym, już czeka cię następna robota, a to spróchniała rama okienna, pęknięta rynna, na wskroś przeżarta rdzą, a to zerwana dachówka. I choć Thierry zawsze wykazywał wielką szczodrość, nie lubię zbyt często nadużywać jego uprzejmości. Wiem, że to niedorzeczne, ale nie lubię.

– Myślałam o naszym przyjęciu – powiedziała Anouk. Czy musimy zapraszać Thierry'ego? Sama wiesz, że wszystko zepsuje.

Westchnęłam.

– Błagam cię, nie teraz. – Entuzjazm Anouk bywa zabawny, ale nie o szóstej rano.

– Proszę, *maman* – nie ustępowała. – Czy możemy raz go nie zaprosić?

– Będzie dobrze – odpowiedziałam. – Zobaczysz. – Doskonale wiedziałam, że to nie jest odpowiedź na jej pytanie. Anouk wierciła się niespokojnie, chowając głowę pod koc. Pachniała wanilią, lawendą i chmurą włosów, które ostatnio stały się nieokiełznane jak motek splątanej włóczki i za nic nie dawały się uczesać.

Włosy Rosette są wciąż delikatne jak u niemowlęcia, jak mlecz i nagietki, a przy tym lekko wytarte na potylicy, w miejscu gdzie mała opiera główkę o

poduszkę. Za niespełna dwa tygodnie skończy cztery lata, a nadal wygląda na znacznie młodszą, z patyczkowatymi kończynami i wielkimi oczami, które rozsadzają drobną twarzyczkę. Moje Kocie Dziecko, jak nazywałam ją w czasach, gdy owe słowa można było obrócić w żart.

Moje Kocie Dziecko. Mój odmieniec.

Anouk znów poruszyła się pod kocem, wtuliła twarz w moje ramię i wsunęła mi dłoń pod pachę.

– Zimno ci – powiedziałam.

Potrząsnęła głową.

– Napijesz się gorącej czekolady?

Znów potrząsnęła głową, tym razem bardziej energicznie. A ja nie mogłam wyjść z podziwu, jak takie drobiazgi mogą ranić: zapomniany pocałunek, porzucona zabawka, niechciana bajka na dobranoc, zirytowane spojrzenie tam, gdzie kiedyś był uśmiech...

„Dzieci są jak noże – powiedziała kiedyś moja matka. – Niechący, ale tną”. Mimo to Igniemy do nich dopóty, dopóki nie popłynie krew. Moje dziecko lata, teraz z każdym rokiem coraz bardziej obce... Kiedy ostatnio tak się do mnie tuliła? Chciałam przeciągnąć tę chwilę w nieskończoność, ale zegar ścienny wskazywał kwadrans po szóstej...

– Idź do mojego łóżka, Nanou. Będzie ci cieplej. I dach nie przecieka.

– Co będzie z Thierryem? – zapytała.

– Porozmawiamy o tym później, Nanou.

– Rosette go nie chce – oświadczyła Anouk.

– A skąd niby to wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Bo wiem.

Z westchnieniem ucałowałam ją w czubek głowy, raz jeszcze czując mglisty aromat wanilii. Wraz z nim poczułam bardziej dorosłą i intensywną woń, w której rozpoznałam wreszcie kadzidełko. Zozie pali je w swoim pokoju. Wiem, że Anouk spędza z nią dużo czasu, trajkocze jak nakręcona i przymierza ubrania. Dobrze, że znalazła sobie taką powierniczkę.

– Powinnaś dać Thierry'emu szansę. Wiem, że nie jest doskonały, ale naprawdę cię lubi...

– Ty też go nie chcesz – oznajmiła. – Kiedy go nie ma, wcale za nim nie tęsknisz. Nie kochasz go...

– Och, już nie zaczynaj – przerwałam z rozdrażnieniem. Miłość ma wiele

twarży. Kocham cię, kocham Rosette, a to, że wobec Thierry'go żywię inne uczucia, nie znaczy wcale...

Lecz Anouk nie słuchała. Wylazła spod koca, wyślizgując się z moich objęć. Ale ja wiem, w czym rzecz. Lubiła Thierry'ego, zanim nie pojawił się Roux, a gdy znów odejdzie...

– Wiem, co dla nas najlepsze. Robię to dla ciebie, Nanou.

Ponownie wzruszyła ramionami. Wyglądała zupełnie jak Roux.

– Zaufaj mi. Wszystko się ułoży.

– Jak uważasz – odburknęła i poszła na górę.

*Piątek, 7 grudnia*

Ojej. To takie smutne, gdy słabnie więź między matką a córką. Zwłaszcza jeśli są ze sobą tak zżyte jak one. Vianne była dziś zmęczona, widziałam to po jej twarzy. Zeszłej nocy chyba nie zmrzyła oka. W każdym razie zmęczenie nie pozwoliło jej dostrzec narastającej niechęci w oczach Anouk. I tego, że w oczekiwaniu na aprobatę dziewczynka coraz bardziej łąnie do mnie.

Strata Vianne to mój zysk. Teraz to ja gram pierwsze skrzypce i mogę dyskretnie pociągać za sznurki. Zaczniemy od umiejętności tak sprytnie odsuniętych przez Vianne na drugi plan, owego cudownego oręza woli i pragnienia...

Jeszcze nie odkryłam, dlaczego Anouk tak obawia się z niego korzystać. Coś musiało się stać, coś, za co czuje się odpowiedzialna. Lecz oręż nie może leżeć bezużytecznie, Nanou. Od ciebie zależy, czy wykorzystasz go w dobrej, czy złej sprawie. Twój wybór.

Wciąż nie dowierza, ale udało mi się ją przekonać, że parę uroków jeszcze nikomu nie wyrządziło krzywdy. Ba, dzięki nim możemy nawet pomagać ludziom! Oczywiście w duchu przewracam oczami, z solennym postanowieniem, że niebawem oduczę ją takiej wielkoduszności i zajmiemy się tym, co najbardziej istotne.

Czego pragniesz, Anouk?

Czego pragniesz najbardziej na świecie?

Och, naturalnie tego, o czym marzą wszystkie grzeczne dziewczynki. Dostawać piątki, zyskać sympatię rówieśników, dać nauczkę wrogom. Nic prostszego. A teraz skupmy się na relacjach z ludźmi.

Weźmy na przykład madame Luzeron, smutną lalkę z porcelany, o bladej, upudrowanej twarzy i wyważonych ruchach. Musi kupować więcej czekoladek; marne trzy trufle tygodniowo nie zasługują na naszą uwagę.

Jest też Laurent, który przychodzi codziennie i godzinami przesiaduje nad jedną filiżanką czekolady. Wyjątkowy natręt. Jego obecność odstrasza innych, zwłaszcza Richarda i Mathurina, którzy inaczej wpadaliby każdego dnia. Na dodatek kradnie cukier, napychając nim kieszenie z miną człowieka, który bierze to, co mu się słusznie należy.



I jest gruby Nico. Wymarzony klient, kupuje sześć paczek tygodniowo. Lecz Anouk martwi się o jego zdrowie: widziała kiedyś, jak idzie ulicą, mozolnie pokonując nawet kilka schodków. Twierdzi, że nie powinien być taki gruby. Czy możemy mu jakoś pomóc?

No cóż, wszyscy doskonale wiemy, że spełnianie życzeń na prawo i lewo daleko nas nie zaprowadzi. Jednakże droga do jej serca jest usłana cierniami, a jeśli się nie mylę, efekt z pewnością będzie wart zachodu. Tymczasem niech się pobawi, tak jak kot ostrzy pazurki na kłębku w oczekiwaniu na pierwszą mysz.

Czas przystąpić do nauki. Lekcja pierwsza, czyli magia empatyczna.

Innymi słowy, lalki.

Zrobiłyśmy je z drewnianych kołków (mniej bałaganu niż z gliną); Anouk nosi je przy sobie, po dwie w każdej kieszeni, czekając na okazję, żeby je wypróbować.

Lalka numer jeden: madame Luzeron. Wysoka i sztywna, w sukience z tafty, przewiązanej w pasie szarfą z rdzawej wstążki. Ma włosy z włóczki, czarne buciki i ciemny szal oraz twarz narysowaną flamastrem (Nanou krzywi się strasznie, próbując oddać podobieństwo). Zrobiłyśmy nawet wełnianą replikę kudłatego pieska na smyczy przytroczonej do paska jego pani. Parę włosów zebranych ukradkiem z płaszcza madame wieńczy dzieło.

Lalka numer dwa to sama Anouk. Podobnie jak pozostałe, ją też wykonano z precyzją, od której aż ciarki przechodzą po grzbiecie. Replika Anouk ma jej kędzierzawe włosy i jest ubrana w żółty gałganek. Na jej ramieniu przysiadł Pantoufle z szarej włóczki.

Lalka numer trzy to Thierry Le Tresset we własnej osobie. Ma nawet komórkę.

Lalka numer cztery to Vianne Rocher w odświeżonej czerwonej sukni zamiast zwykłej czerni. Tylko raz widziałam ją w tym kolorze. Lecz dla Anouk matka wciąż preferuje czerwień, kolor życia, miłości oraz magii. Ciekawe. Mogłabym to wykorzystać. Ale później, w odpowiedniej chwili.

Teraz mam inne sprawy na głowie. Nie tylko w *chocolaterie*; święta za pasem, trzeba zapewnić dopływ klientów, ustalić, kto zasłużył na prezent, a kto na różgę, spróbować, skosztować, posmakować zimowych specjałów i być może poszerzyć asortyment.

Czekolada to nie tylko rozkosz dla podniebienia. Nasze trufle własnej roboty (wciąż cieszą się niezmienną popularnością) są obtaczane w mieszance kakao, cukru pudru oraz innych dodatkowych substancji, które wprawdzie nie wzbudziłyby aprobaty mojej matki, sprawiają jednak, że klienci są nie tylko zadowoleni, ale pełni wigoru i gotowi na więcej. Dziś sprzedałyśmy trzydzieści

sześć opakowań samych truflii i przyjęłyśmy zamówienia na kolejny tuzin. W tym tempie dojdziemy przed świętami do stu dziennie.

Thierry zajął o piątej, aby zdać relację z postępów w remoncie. Niezwykły ruch w sklepie zbił go z tropu i nieco zwarzył mu humor.

– Ale macie przerób – zauważył, wskazując głową na kuchnię, gdzie Vianne przygotowywała *mendiants du roi*, grube plastry kandyzowanych pomarańczy maczane w gorzkiej czekoladzie i ozdabiane złotymi, jadalnymi listkami. Są takie ładne, że aż żal je jeść. I naturalnie wymarzone na święta. – Czy ona w ogóle robi sobie przerwy?

Posłałam mu znaczący uśmiech.

– Sam rozumiesz. Gorączka przedświąteczna.

Chrząknął.

– Kiedy to się skończy, odetchnę z ulgą. Nigdy nie czułem takiej presji czasu. Ale mam nadzieję, że wysiłek się opłaci. O ile zdążę ze wszystkim na czas...

Anouk, siedząca przy stole z Rosette, rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

– Spokojna głowa – zapewnił. – Dotrzymam słowa. To będą wspaniałe święta. Tylko my czworo na Rue de la Croix. Pójdziemy na pasterkę do Sacre-Coeur. Będzie fajnie, co?

– Może. – Jej głos nie zdradzał żadnych uczuć.

Zobaczyłam, że Thierry tłumii zniecierpliwione westchnienie. Anouk to twardy orzech do zgryzienia, a jej niechęć jest wręcz namacalna. Być może z powodu Roux, który – choć nieobecny – na dobre zagościł w jej myślach. Oczywiście ją widuję go regularnie: kilkakrotnie na Butte, raz na Place du Tertre, zawsze w biegu, w wełnianej czapce nasuniętej na uszy, jakby się bał, że ktoś go rozpozna.

Spotykamy się też w jego hotelu; sprawdzam postępy, karmię go kłamstwami, realizuję czeki i pilnuję, żeby zachował spokój i dyscyplinę. Jest coraz bardziej niecierpliwy i urażony, że Vianne jeszcze o niego nie zapytała. W dodatku haruje na pełnym etacie dla Thierry'ego, zaczyna o ósmej i często kończy późnym wieczorem. Czasem wychodzi z Rue de la Croix zbyt zmęczony, żeby iść na kolację. Wraca wtedy do hotelu i pada na łóżko jak nieżywy.

Co do Vianne, wyczuwam jej niepokój i rozczarowanie. Nie była na Rue de la Croix. Anouk też ma przykazane trzymać się stamtąd z daleka. Jeśli Roux zechce je zobaczyć, sam raczy się zjawić, mówi Vianne. Jeśli nie, trudno. Jego wybór.

Thierry'ego aż roznosiło. Popędził do kuchni, gdzie Vianne rozkładała gotowe *mendiants* na papierze do pieczenia. Wydało mi się, że chyłkiem przymknął za sobą drzwi, a jego aura pulsowała bardziej niż zwykle, z mocno zaznaczonym

konturem w odcieniach czerwieni i fioletu.

– Ostatnio prawie cię nie widuję. – Jego głos niesie się daleko, słyszę go wyraźnie w sklepie. Vianne mówi ciszej, podchwytyję coś na kształt protestu. Odgłos szamotaniny i rubaszny śmiech Thierry'ego. – Dajże spokój. Tylko jeden pocałunek. Tęsknię za tobą, Yanne.

Kolejny pomruk, tym razem głośniejszy.

– Ostrożnie, Thierry. Czekoladki...

Powściągnęłam uśmiech. Stary cap. Zachciało mu się igraszek, co? Cóż, wcale mnie to nie dziwi. Może Vianne dała się nabrać na tę rycerską fasadę, ale mężczyźni są przewidywalni jak psy, a Thierry Le Tresset szczególnie. Pod maską pewności siebie ukrywa głębokie kompleksy. Przyjazd Roux sprawił, że zaczął tracić grunt pod nogami. Stał się bardziej apodyktyczny, zarówno na Rue de la Croix, gdzie swoista władza nad Roux daje mu dreszczyk podniecenia, jak i tutaj, w „Le Rocher de Montmartre”.

Przez uchylone drzwi doleciał niewyraźny głos Vianne.

– Proszę, Thierry. Nie teraz.

Anouk zastrzygła uszami. Na jej twarzy malowała się obojętność, lecz aura świeciła jak żarówka. Uśmiechnęłam się do niej. Nie odwzajemniła uśmiechu. Spojrzała na drzwi i lekko strzepnęła palcami. Ot, niewinny, prawie machinalny gest. Nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Ale w tej samej chwili przeciąg szarpnął drzwiami od kuchni i zatrzasnął je z hukiem, aż zadrżały we framudze.

Niby drobiazg, a zrobił swoje. Błysk irytacji w aurze Thierry'ego i ulgi w aurze Vianne. Jego zniecierpliwienie to dla niej nowość: przywykła uważać go za nieszkodliwego, ba, nawet nudnego poczciwca. Jego napastliwość przytłacza i Vianne po raz pierwszy odkrywa w sobie nie tyle strach, ile głęboko zakorzenioną odrazę.

Oczywiście składa to na karb przyjazdu Roux. Myśli, że jej wątpliwości odpłyną wraz z nim. Czuje się wytraconą z równowagi. Całuje Thierry'ego w usta – w języku barw poczucie winy ma odcień morskiej zieleni – i obdarza go aż nazbyt promiennym uśmiechem.

– Wynagrodzę ci to – obiecuje.

Anouk pociera kciukiem o palec wskazujący prawej ręki.

Siedząca naprzeciw niej Rosette obserwuje siostrę błyszczącymi oczkami. Następnie naśladuje jej gest: „A kysz! Zgiń, przepadnij!”. I Thierry klepie się w kark, jakby coś go ugryzło. Brzęczą dzwonki u drzwi...

– Muszę iść.

O tak, niezdarny w swym obszernym płaszczu, mało nie potyka się na progu. Dłoń Anouk wędruje do kieszeni. Dziewczynka wyciąga lalkę, podchodzi do witryny i ostrożnie stawia ją przed domkiem.

– Do widzenia, Thierry – mówi.

„Do widzenia”, pokazuje na migi Rosette.

Zamykają się drzwi. Dziewczynki wymieniają uśmiechy.

Straszny dzisiaj przeciąg.

*Sobota, 8 grudnia*

To dopiero początek. Szale przechylają się na drugą stronę. Nanou pewnie tego nie dostrzega, ale ja owszem. Parę drobnych aktów miłosierdzia i niedługo będzie moja.

Większość dnia spędziła w sklepie, bawiąc się z Rosette, pomagając i wyczekując odpowiedniej chwili, aby zrobić użytek z lalek. Opatrzność zesłała jej madame Luzeron, która zjawiała się przed południem (choć to nie czwartek) wraz ze swoim kudłatym pieskiem.

– Miło znów panią widzieć – przywitałam ją z uśmiechem. – Widać spisujemy się jak należy.

Wyglądała niewyraźnie i miała na sobie „cementarny” płaszcz, więc pewnie dzisiaj znów tam była. Może jakaś rocznica, pomyślałam. W każdym razie sprawiała wrażenie wyjątkowo znużonej i kruchej, a dłonie w rękawiczkach trzęsły się z zimna.

– Proszę usiąść – zaproponowałam. – Przyniosę pani filiżankę czekolady.

– Nie powinnam – odpowiedziała.

Anouk zerknęła na mnie ukradkiem; zobaczyłam, jak wyjmuje lalkę z uwodzicielskim znakiem Pani Krwawego Księżyca. Osadzona na cokole z modeliny replika madame Luzeron stanęła wewnątrz domku adwentowego, wyglądając na jezioro pełne łyżwiarzy i czekoladowych kaczek.

Madame Luzeron siedziała jak zaczarowana, ze wzrokiem utkwionym w dziecko o świeżej, zaróżowionej twarzyczce lub w dekorację okienną, od której biła niezwykła poświata.

Zaciśnięte usta złagodniały.

– Wiecie, jak też miałam kiedyś domek dla lalek – powiedziała, przesuwając wzrokiem po wystawie.

– Naprawdę? – spytałam, uśmiechając się do Anouk. Ta kobieta rzadko przejawia ochotę do zwierzeń.

Madame Luzeron wypła łyk czekolady.

– A tak. Należał do mojej babki i choć po jej śmierci miał przypaść mnie, nigdy nie pozwolono mi się nim bawić.

– Dlaczego? – zapytała Anouk, umieszczając wełnianego pieska obok figurki

właścicielki.

– Ach, był zbyt cenny. Pewien antykwariusz proponował mi kiedyś za niego sto tysięcy franków. W dodatku traktowano go raczej jako pamiątkę, a nie zabawkę.

– I nigdy się pani nim nie bawiła... To niesprawiedliwe oświadczyła Anouk, przesuając zieloną cukrową mysz pod bibułkowe drzewo.

– No cóż, byłam mała – odrzekła madame Luzeron. Mogłam go popsuć albo...

Urwała. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że zastygła bez ruchu.

– Zabawne – powiedziała w końcu. – Nie zastanawiałam się nad tym od lat. A kiedy Robert chciał się nim pobawić... – Machinalnie odstawiła filiżankę na spodek. – To rzeczywiście niesprawiedliwe, prawda? – dodała.

– Dobrze się pani czuje, madame? – zapytałam. Chuda twarz przybrała odcień cukru pudru, a pajęczyna zmarszczek stężała jak lukier na cieście.

– Tak, tak, naturalnie – odrzekła chłodnym tonem.

– Może kawałek ciasta czekoladowego? – zaproponowała przejęta Anouk, jak zawsze skora do rozdawania. Starsza dama rzuciła jej wygłodniałe spojrzenie.

– Dziękuję, moja droga. Bardzo chętnie.

Anouk ukroiła spory kawałek.

– Czy Robert to pani syn? – zapytała.

Madame Luzeron w milczeniu skinęła głową.

– Ile miał lat, kiedy umarł?

– Trzydzieści – odpowiedziała. – Był troszkę starszy od ciebie. Nikt nie umiał stwierdzić, co mu dolega. Zawsze był okazem zdrowia, nawet nie pozwalałam mu jeść słodyczy. Aż tu nagle... zmarł. Trudno w to uwierzyć, prawda?

Anouk skinęła głową.

– Dzisiaj jest rocznica – podjęła madame. – Ósmy grudnia 1979 roku. Na długo przed twoim urodzeniem. W tamtych czasach jeszcze można było wykupić miejsce na dużym cmentarzu, oczywiście za odpowiednią sumę. Mieszkam tu od lat, pochodzę z majątnej rodziny. Mogłam mu dać do zabawy ten domek. Czy ty miałaś kiedyś domek dla lalek?

Anouk zaprzeczyła.

– Wciąż leży gdzieś na strychu. Zostały nawet lalki i mebelki. Wszystko ręcznie wykonane. Na ścianach weneckie lustra, jeszcze sprzed rewolucji. Ciekawe, czy w ogóle ktoś bawił się tym cholerstwem.

Poróżowiała, jakby zakazane słowo tchnęło w jej bezkrwistą twarz coś na kształt życia.

– Może ty się nim pobawisz?

Anouk aż oczy rozbłysły.

– Jejku!

– Bardzo proszę, moja mała. – Madame zmarszczyła brwi. – Przecież ja nawet nie znam waszych imion. Ja mam na imię Isabelle, a to jest Salambó. Możesz ją pogłaskać, jeśli chcesz. Nie gryzie.

Anouk pochyliła się nad suczką, która wesoło polizała ją po rękach.

– Jaka słodka. Bardzo lubię pieski.

– Nie mogę uwierzyć, że przychodzę tu od lat i ani razu nie spytałam o wasze imiona.

Anouk uśmiechnęła się łobuzersko.

– Ja jestem Anouk – powiedziała. – A to moja przyjaciółka Zozie. – I dalej głaskała suczkę. Z przejęcia nie zwróciła uwagi, że podała madame niewłaściwe imię. Nie zauważyła też, że blask znaku Pani Krwawego Księżyca sączy się z domku adwentowego i opromienia cały sklep.

*Niedziela, 9 grudnia*

Pomylili się z tą prognozą. Zapowiadali śnieg i mróz, a dotąd mamy tylko deszcz i mgły. W domku adwentowym jest dużo lepiej, tam przynajmniej są prawdziwe święta. Ogród jest skuty lodem, krajobraz jak z bajki; lukrowe sople zwisają z dachu, a na jeziorze spoczywa świeża warstwa cukrowej szadzi. Niektóre figurki jeżdżą na łyżwach, okutane płaszczami i szalikami, a dzieci (czyli Rosette, Jean-Loup i ja) budują igloo z kostek cukru, podczas gdy ktoś inny (Nico we własnej osobie) ciągnie choinkę po zboczu z pudełka od zapalek.

W tym tygodniu zrobiłam mnóstwo lalek. Ustawiam je dokoła domku adwentowego i nikt się nie domyśla, czemu tak naprawdę służą. To naprawdę świetna zabawa: twarze rysuję flamastrem, a Zozie przyniosła mi całe pudło wstążek i gałganków na ubrania i różne takie. Na razie mam Nico, Alice, madame Luzeron, Rosette, Roux, Thierry'ego, Jeana-Loupa, *maman*, no i siebie.

Niektóre nie są jeszcze gotowe. Trzeba uzupełnić je o coś, co należy do danej osoby: kosmyk włosów, skrawek paznokcia lub coś, co nosiły bądź czego dotyczyły. Nie zawsze łatwo to zdobyć, potem wystarczy tylko nadać im imię oraz znak i wyszeptać do ucha tajemnicze słowa.

Przy niektórych to łatwizna. Pewne sekrety nietrudno odgadnąć, na przykład tajemnicę madame Luzeron, która opłakuje syna, choć zmarł dawno temu, tajemnicę Nico, który chce schudnąć, a nie może, lub Alice, która może schudnąć, ale tak naprawdę nie powinna.

Nasze imiona i symbole są podobno meksykańskie. Tak mówi Zozie. Niech sobie będą, jakie chcą, grunt, żeby były interesujące i łatwe do zapamiętania.

Tyle ich jest, że nauczenie się wszystkich na pamięć to prawdziwa sztuka. Czasem nie wiem, którego imienia użyć, są takie długie i skomplikowane, ale Zozie mówi, że nic nie szkodzi, ważne, żebym zapamiętała znaczenie symboli. Mamy tu na przykład Ziarno Kukurydzy, na szczęście, Dwa Króliki, dzięki któremu można zrobić nawet wino z kaktusa, Pierzasty Wąż, symbol władzy, Siedem Papug, znak powodzenia, Małpa, czyli żartowniś i przechera, Dymiące Zwierciadło, które pokazuje to, co niewidzialne dla zwykłych ludzi. Pani w Jadeitowej Spódnicy opiekuje się matkami i dziećmi, a Jaguar, symbolizuje odwagę i chroni przed złem. I jeszcze Księżyc Królika, czyli mój znak, symbol



miłości.

Zozie twierdzi, że każdy ma swój znak. Jej znakiem jest Jaguar. Znak *maman* to Ehecatl, czyli Zmienny Wiatr. To chyba coś w rodzaju totemów, które miałyśmy przed urodzeniem Rosette. Symbolem Rosette jest Czerwony Tezcatlipoka, czyli Małpa. To bóg żartowniś o wielkiej mocy, który potrafi przybierać kształt każdego zwierzęcia.

Lubię opowieści Zozie, ale czasami trochę się denerwuję. Wprawdzie ona utrzymuje, że nie robimy nic złego, ale jeśli się myli? Co jeśli zdarzy się wypadek? Jeśli przez pomyłkę zrobię niewłaściwy znak i stanie się coś strasznego?

Rzeka. Wiatr. Życzliwi.

Te słowa wracają do mnie jak bumerang. Nie wiedzieć czemu łączą się z szopką z Place du Tertre, z aniołami, zwierzętami i Mędrkami. Wciąż nie mam pojęcia, co tam robią. Czasem już prawie rozumiem, lecz nadal brakuje mi pewności. Tak jak ze snem, gdzie wszystko układa się w logiczną całość, po czym otwierasz oczy i zostają ci tylko strzępy wspomnień.

Rzeka. Wiatr. Życzliwi.

Co to może znaczyć? Słowa ze snu. Boję się, chociaż sama nie wiem, dlaczego. Czego tu się bać? Może Życzliwi to ktoś w rodzaju Trzech Mędrków, dostojni staruszkowie z darami. Niby pasuje, ale strach nie opuszcza mnie ani na chwilę, podobnie jak przecucie, że zaraz stanie się coś złego. I że to poniekąd moja wina...

Zozie powtarza, żebym się nie martwiła. Nie możemy nikogo skrzywdzić, jeśli tego nie chcemy. Nie chcę nikogo skrzywdzić, nawet Chantal. Nawet Suze.

Wczoraj zrobiłam figurkę Nico. Musiałam okręcić ją gałgankiem, żeby nie była za cienka. Przykleiłam jej włosy z brązowego włókna, które wypełnia stary fotel Zozie. Potem musiałam nadać jej symbol. Wybrałam Jaguara, czyli odwagę, po czym wyszeptaliśmy lalce do ucha: „Nico, musisz wziąć się w garść”. Chyba wystarczy, nie? Wstawię go do domku adwentowego, niech poczeka na swoją kolej.

Jest też Alice, czyli jego chodzące przeciwieństwo. Wyszła mi trochę grubsza niż w rzeczywistości, bo mam tylko jeden rodzaj kołków. Próbowałam ją trochę oskrobać po bokach, ale tylko zacięłam się scyzorykiem i Zozie musiała zabandażować mi palec. Następnie zrobiłam jej sukieneczkę z koronki i wyszeptaliśmy: „Alice, nie jesteś brzydka i musisz więcej jeść”. Dostała rybi znak Chantico, bogini domowego ogniska, i stanęła w domku obok Nico.

Thierry jest ubrany w szarą flanelę i trzyma w ręku kostkę cukru w papierku, czyli telefon komórkowy. Nie udało mi się zdobyć jego włosów, więc zadowoliliam

się płatkami róży, którą podarował *maman*, w nadziei że to wystarczy. Oczywiście nie chcę, żeby coś mu się stało. Ma się tylko trzymać od nas z daleka.

Dałam mu znak Jednej Małpy i postawiłam go przed domkiem, w płaszczu i szaliku z brązowego filcu, żeby nie zmarzł.

Oczywiście jest też Roux. Jeszcze nie skończyłam jego lalki, bo nie mam nic, co do niego należy, choćby niteczki.

Ale wygląda wypisz wymaluj jak on, w czerni, z kępką włosów z pomarańczowego futerka. Dałam mu dwa znaki: Księżyc Królika i Zmienny Wiatr, szepcząc: „Nie odchodź, Roux”, chociaż dotąd wcale go nie widzimy.

Ale to nieważne. Wiem, gdzie jest. Pracuje dla Thierry'ego na Rue de la Croix. Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze nie przyszedł, dlaczego *maman* nie chce go widzieć i dlaczego Thierry aż tak go nie znosi.

Dziś rozmawiałam o tym z Zozie, kiedy jak zwykle usiadłyśmy w jej pokoju. Była z nami Rosette; wymyśliłyśmy sobie niemądrą, hałaśliwą zabawę i zaśmiewała się do łez. Zozie była dzikim rumakiem, a Rosette ją ujeżdżała. Nagle poczułam, jak włoski na karku stają mi dęba, a gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam żółtą małpę siedzącą na półce nad kominkiem. Była tak wyraźna jak czasami Pantoufle.

– Zozie – powiedziałam.

Spojrzała we wskazanym kierunku, ale nie okazała zdziwienia. Widziała ją nieraz.

– Masz mądrą siostrzyczkę – oznajmiła, uśmiechając się do Rosette, która zsiadła z jej pleców i bawiła się cekinami na poduszce. – Niby nie jesteście podobne, jednak wygląd to nie wszystko.

Uściskałam Rosette i cmoknęłam ją w policzek. Jest taka wiotka, że czasem przypomina mi szmacianą lalkę albo pluszowego zajaczka.

– Mamy dwóch różnych tatusiów – wyjaśniłam.

– Domyślam się – odrzekła z uśmiechem Zozie.

– Ale to nieważne – podjęłam. – *Maman* mówi, że sami wybieramy sobie rodzinę.

– Tak? Kiwnęłam głową.

– Tak jest lepiej. Każdy może być naszą rodziną. *Maman* mówi, że nie liczą się więzy krwi, tylko to, ile ktoś dla ciebie znaczy.

– Czyli ja też mogę być twoją rodziną?

– Już jesteś.

Parsknęła śmiechem.

– Twoją złą ciotką. Psuję cię butami i magią.

Mało nie pękłam ze śmiechu, Rosette mi zawtórowała. Żółta małpa wywijała hołubce nad kominkiem, a wraz z nią tańczyły pantofle Zozie, ustawione w rzędzie jak dekoracja, o wiele ładniejsze niż porcelanowe bibeloty. Było nam tak fantastycznie we trójkę, że na myśl o *maman*, samej na dole, ruszyło mnie sumienie. Czasami tak mi tu dobrze, że w ogóle zapominam o jej istnieniu.

– Nigdy się nie zastanawiałaś, kim był jej ojciec? – spytała nagle Zozie.

Wzruszyłam ramionami. Nigdy nie uważałam tego za konieczne. Przecież miałyśmy siebie i nikt inny nie był nam potrzebny do szczęścia.

– Przecież musiałaś go znać – dodała Zozie. – Miałaś wtedy sześć albo siedem lat. Tak sobie pomyślałam... Spojrzała na swoją bransoletkę, bawiąc się amuletami, i odniosłam wrażenie, że chce mi coś powiedzieć, ale coś ją powstrzymuje.

– Co? – zapytałam.

– No... popatrz na jej włosy. – Położyła rękę na główce Rosette. Włosy mojej siostry mają odcień przekrojonego mango, są kędzierzawe i bardzo miękkie. – I na jej oczy... Rosette ma jasnozielone tęczówki, zupełnie jak u kota, i okrągłe jak monety. – Czy ona ci kogoś nie przypomina?

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Rusz głową, Nanou. Rude włosy, zielone oczy. Bywa czasami wkurzający...

– Chyba nie myślisz o Roux? – Roześmiałam się, ale zaraz coś ścisnęło mnie w żołądku i chciałam, żeby zamilkła.

– Dlaczego nie?

– Bo nie.

W sumie nigdy nie myślałam o ojcu Rosette. Gdzieś w mojej głowie pewnie błąkała się myśl, że wcale go nie miała, że została przyniesiona przez elfy, jak mówiła starsza pani.

Dziecko elfów. Szczególne dziecko.

To niesprawiedliwe, co myślą o niej inni ludzie, że jest przygłupia albo opóźniona w rozwoju. My nazywałyśmy ją „szczególną”. Szczególną, czyli inną. *Maman* nie lubi, kiedy jesteśmy inne, ale Rosette jest i już. I co w tym złego?

Thierry uważa, że Rosette potrzebuje pomocy. Trzeba wysłać ją do specjalisty, na terapię, jak gdyby byli lekarze zdolni wyleczyć ją z inności.

Na inność nie ma lekarstwa. Nauczyłam się tego od Zozie. Roux miałby być ojcem Rosette? Przecież nawet nie wiedział o jej istnieniu. Nie znał jej imienia...

– To niemożliwe – oznajmiłam, chociaż wcale nie byłam taka pewna.

– A ty na kogo stawiasz?

– Nie wiem. Ale na pewno nie na Roux.

– Dlaczego?

– Ponieważ nigdy by nas nie opuścił. Nie pozwoliłby nam odejść.

– Cóż, może po prostu nie wiedział – odrzekła Zozie. Może twoja mama nic mu nie powiedziała. W końcu ty też nie wiedziałaś...

Zaczęłam płakać. Wiem, że to beznadziejne. Nie cierpię tego, ale jakoś nie mogłam się powstrzymać. Zupełnie jakby coś we mnie wybuchło i sama nie wiedziałam, czy nienawidzę Roux, czy może pokochałam go jeszcze mocniej...

– Ciiiicho, Nanou. – Zozie otoczyła mnie ramieniem. Już dobrze.

Ukryłam twarz na jej ramieniu. Miała na sobie wielki, szorstki sweter, wełna drapała mnie w policzek. Miałam ochotę jej powiedzieć, że wcale nie jest dobrze. Dorośli zawsze tak mówią, kiedy chcą dzieciom zamydląć oczy. I przeważnie kłamią wtedy jak z nut, Zozie.

Dorośli zawsze kłamią.

Wstrząsnął mną szloch. Jakim cudem Roux mógłby być tatą Rosette? Przecież ona nawet go nie zna. Nie wie, że lubi czekoladę z rumem i brązowym cukrem. Nie widziała, jak z gałązek wierzby robi pułapkę na ryby, a z bambusa flet. Nie wie też, że Roux umie rozpoznać głosy wszystkich ptaków rzecznych i naśladuje je tak, że nawet one dają się nabrać.

Jest jej tatą, a ona nie ma o tym pojęcia.

To niesprawiedliwe. To ja powinnam być na jej miejscu.

Naraz poczułam, że wraca też inne wspomnienie. Znajomy dźwięk, zapach sprzed lat. Przybliżał się, coraz jaśniejszy jak gwiazda betlejemska. I prawie sobie przypomniałam, chociaż wcale nie chciałam pamiętać. Przymknęłam oczy. Nie mogłam się poruszyć. Byłam pewna, że wystarczy jeden nieostrożny ruch i wszystko tryśnie na zewnątrz jak oranżada ze wstrząśniętej butelki. A wtedy nie będzie odwrotu...

Zadrżałam.

– Co się stało? – zapytała Zozie.

Nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam mówić.

– Czego się boisz, Nanou?

Zabrzęczały amulety na bransoletce. Zupełnie jakbym słyszała dzwonki wietrzne u naszych drzwi.

– Życzliwi – szepnęłam.

– Co to znaczy? Jacy życzliwi? – W jej głosie zabrzmiało napięcie. Położyła mi ręce na ramionach i utkwiała we mnie badawcze spojrzenie. – Nie bój się, Nanou.

Powiedz mi, co to znaczy, dobrze?

Życzliwi.

Królowie. Mędrzy z darami.

Wydałam z siebie zduszony odgłos, jakbym chciała obudzić się z koszmarne­go snu. Wspomnienia kłębiły się we mnie, pchając się na świat.

Mały domek nad Loarą.

Tacy mili, tacy ciekawi.

Przynieśli nawet prezenty.

Naraz szeroko otworzyłam oczy. Już się nie bałam. Przypomniałam sobie wszystko, w najdrobniejszym szczególe. I zrozumiałam. Zrozumiałam, co nas odmieniło, co zmusiło nas do ucieczki, nawet przed Roux. I kazało nam udawać zwykłych ludzi, choć wiedziałyśmy w głębi serca, że nigdy nimi nie będziemy.

– O co chodzi, Nanou? – ponagliła Zoie. – Możesz mi powiedzieć?

– Chyba tak – odrzekłam.

– No to mów – poprosiła z uśmiechem. – Opowiedz mi wszystko.

**CZĘŚĆ SZÓSTA**

**ŻYCZLIWI**

*Poniedziałek, 10 grudnia*

Oto nadlatuje grudniowy wiatr, który hula po wąskich ulicach, zrywając z drzew resztki liści. „Gdy grudzień u drzwi staje, rozpacz ludziom daje”, powtarzała zawsze moja matka. I jak zawsze, gdy rok chyli się ku końcowi, mam poczucie, że zamykam kolejny etap życia.

Wszystko przez ten wiatr. Zresztą grudzień nigdy nam nie sprzyjał. Ostatni miesiąc, kres roku, wlecze za sobą ubłoconą spódnicę z lamety. Przed oczami majaczy ślepy zaułek dwunastu miesięcy, drzewa straszą nagimi gałęziami, niebo przyobleka szary całun, a wszystkie moje duchy zrywają się z uwięzi i harują jak świetliki.

Przywiał nas wiatr zapustów. Wiatr obietnicy, zmian. Wiatr radosny i magiczny, który miesza w głowie, szarpie połami płaszcz a porywa z głowy kapelusz. Wiatr, który pędzi na złamanie karku, zachłystując się wolnością.

Anouk była dzieckiem tego wiatru. Dzieckiem lata, z totemem królika, żarliwym, psotnym i bystrookim.

Moja matka wierzyła w totemy. Totem to coś więcej aniżeli niewidzialny przyjaciel, odsłania bowiem serce i duszę człowieka. Podobno moim totemem był kot, tak przynajmniej twierdziła, mając zapewne na myśli dziecięcą bransoletkę ze srebrnym amuletem. Koty są skryte z natury. Wystarczy lekki podmuch wiatru, a uciekają z sercem w gardle. Widzą świat duchów i stąpają po granicy między światłem a ciemnością.

Wiatr dmuchnął mocniej i uciekłyśmy. Oczywiście nie tylko z powodu Rosette. Od początku wiedziałam, że noszę w sobie dziecko i powiłam je w tajemnicy, jak kotka, z dala od Lansquenet...

Lecz wraz z nadejściem grudnia wiatr zmienił kierunek i świat spowił mrok. Przy Anouk obeszło się bez powikłań. Moje dziecko lata przybyło wraz ze słońcem, o czwartej piętnaście w czerwcowy poranek. I od pierwszej chwili wiedziałam, że jest moje i tylko moje.

Ale Rosette od początku była inna. Mała, słabiutka, kapryśna istotka nie chciała jeść i spoglądała na mnie obojętnie. Szpital znajdował się na obrzeżach Rennes; kiedy leżałyśmy obok siebie, przyszedł ksiądz i wyraził zdziwienie, że nie chcę ochrzcić noworodka w szpitalu.

Sprawił wrażenie opanowanego i życzliwego człowieka, jednakże niczym się nie różnił od innych, podobnych, ze swymi wyświechtanymi słowami otuchy i oczami, którym życie wieczne przysłańało to, co działo się na wyciągnięcie ręki. W odpowiedzi wyjechałam ze swą zwykłą bajeczką. Jestem wdową, nazywam się madame Rocher i jadę do krewnych. Nie uwierzył; obrzuciwszy Anouk podejrzliwym spojrzeniem, z niepokojem popatrzył na Rosette. Ona może nie przeżyć, przekonywał; chyba nie pozwolę, żeby dziecko umarło bez chrztu?

Wysłałam Anouk do pobliskiego hotelu, sama zaś powoli dochodziłam do siebie i opiekowałam się Rosette. Wioska była mała, nazywała się Les Laveuses i leżała nad Loarą. To właśnie tam uciekłam przed życzliwością starego księdza, który w miarę jak Rosette traciła siły, stawał się coraz bardziej kategoriyczny i napastliwy.

Życzliwość potrafi bowiem zabić na równi z okrucieństwem, wspomniany ksiądz zaś, który nazywał się *pere* Leblanc, jał prowadzić prywatne śledztwo na temat moich rzekomych krewnych z okolicy i wypytywać o opiekę nad starszą córką. Próbował dociec, gdzie chodziła do szkoły i kim był monsieur Rocher. Nie ulegało wątpliwości, że owo dochodzenie prędzej czy później doprowadziłby go do prawdy.

Tak więc któregoś ranka wsiadłyśmy w taksówkę i pojechałyśmy do Les Laveuses. Hotelik był tani, bez wyrazu, mały pokój z piecykiem gazowym oraz podwójnym łóżkiem, zapadniętym tak, że materac sięgał niemalże do podłogi. Rosette wciąż nie chciała jeść i wydawała miaukliwe, żałosne odgłosy, jakby naśladowała zawodzenie wiatru. Co gorsza czasem przestawała oddychać na pięć, dziesięć sekund, po czym czekała i chwytala raptownie powietrze, jak gdyby postanawiając jednak wrócić do świata żywych, przynajmniej na jakiś czas.

Spędziłyśmy w hotelu jeszcze dwie noce. Tuż przed Nowym Rokiem spadł śnieg, oprószając gorzkim cukrem czarne drzewa i piaszczyste brzegi Loary. Zaczęłam się rozglądać za innym lokum i zaproponowano mi mieszkanie nad małą *creperie*, prowadzoną przez starsze małżeństwo, Paula i Framboise.

– Nieduże, ale ciepłe – przekonywała Framboise, zażywna staruszka o oczach jak jagody. – Wyświadczysz mi wielką przysługę: w zimie lokal stoi zamknięty, nie ma turystów, będziesz mieć na wszystko oko. Żaden kłopot. – Obrzuciła mnie baczny spojrzeniem. – Ta mała płacze jak kot dodała.

Kiwnęłam głową.

– Hm. – Framboise pociągnęła nosem. – Powinnaś pójść z nią do lekarza.

– O co jej chodziło? – zapytałam później Paula, kiedy pokazywał nam



dwupokojowe mieszkanie.

Paul, małomówny staruszek, spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

– Jest przesadna – skwitował. – Jak wielu tutejszych. Nie bierz sobie tego do serca. Nieba by ci przychyliła.

Byłam zbyt zmęczona, żeby go ciągnąć za język. Ale kiedy się zadomowiliśmy i Rosette wreszcie zaczęła normalniej jeść (choć nadal była niespokojna i prawie nie spała), zapytałam Framboise, co miała na myśli.

– Podobno Kocie Dziecko przynosi nieszczęście – odpowiedziała. Przyszła posprzątać nieskazitelną kuchnię.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Przypominała Armande, moją ukochaną przyjaciółkę z Lansquenet.

– Kocie dziecko? – powtórzyłam.

– Uhm – potwierdziła Framboise. – Słyszałam o nich, ale nigdy nie widziałam żadnego na oczy. Mój ojciec opowiadał, że elfy porywają czasem dzieci z kołyski i kładą na ich miejsce koty. Kocie Dziecko nie chce ssać piersi i bez przerwy płacze. A gdy ktoś mu się narazi, już elfy się z nim rozprawia...

Złowieszczę przymrużyła oczy, po czym nieoczekiwanie jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Oczywiście to tylko bajka – dodała. – Tak czy inaczej, powinnaś iść z nią do lekarza. Kocie Dziecko nie wygląda najlepiej.

Tu się akurat zgadzałyśmy. Lecz księża i lekarze zawsze budzili moją nieufność, dlatego zwlekałam z decyzją. Minęły kolejne trzy dni, wypełnione płaczem i urywanym oddechem, toteż przemogłam niechęć i pojechałam do kliniki w pobliskim Angers.

Lekarz uważnie zbadał Rosette. Trzeba przeprowadzić dokładniejsze testy, oznajmił wymijająco. Ale płacz dziecka utwierdził go w słuszności pierwszej diagnozy. To choroba genetyczna, powiedział, powszechnie znana jako *cri-du-chat*, właśnie za sprawą tego charakterystycznego, niepokojącego pomiaukiwania. Wprawdzie nie śmiertelna, ale nieuleczalna, a biorąc pod uwagę wiek dziecka, trudno przewidzieć jej przyszły rozwój.

– A więc naprawdę jest Kocim Dzieckiem – powiedziała Anouk.

Spodobało jej się, że Rosette jest inna. Sama tak długo była jedynaczką, że teraz, w wieku siedmiu lat, sprawiała niekiedy wrażenie przedwcześnie dojrzałej. Opiekowała się małą, próbowała ją karmić z butelki, śpiewała jej kołysanki i bujała ją na foteliku, przywiezionym przez Paula ze starej farmy.

– Kocie Dziecko – nuciła, kołysząc siostrę. – Bujubuj, na wierzchołku drzewa.

– Rosette, o dziwo, zdawała się reagować. Płacz ustawał, przynajmniej na trochę. Zaczęła przybierać na wadze. Czasem przesypiała trzy, cztery godziny. Anouk mówiła, że to zasługa powietrza w Les Laveuses, i zostawiała na noc mleko i cukier dla elfów, na wypadek gdyby przyszło im do głowy odwiedzić maleństwo.

Nie pojechałam więcej do tamtego lekarza. Dodatkowe badania i tak nie mogły wpłynąć na poprawę stanu zdrowia Rosette. Anouk i ja nie spuszczałyśmy jej z oka, kapałyśmy ją w ziołach, śpiewałyśmy, nacierałyśmy chudziutkie rączki i nóżki lawendą i tygrysią maścią, karmiłyśmy ją za pomocą pipetki (za nic nie chciała jeść przez smoczek).

Dziecię elfów, mówiła Anouk. Była krucha i śliczna, miała małą, kształtną główkę, szeroko osadzone oczy i spiczasty podbródek.

– Ona nawet wygląda jak kot – stwierdzała Anouk. Pantoufle też tak mówi. Prawda, Pantoufle?

No tak, Pantoufle. Początkowo sądziłam, że z chwilą pojawienia się siostry Pantoufle zniknie. Wiatr wciąż szalał po rzece, a przesilenie zimowe, podobnie jak letnie, to czas zmian, niekorzystny dla podróżników.

Jednakże z chwilą pojawienia się Rosette Pantoufle urósł w siłę. Widywałam go, jak czuwa przy kołysce, obserwując niemowlę paciorkowatymi oczami, podczas gdy Anouk śpiewała i kołysała je do snu.

*Via l'bon vent, v'la l'joli vent...*

– Biedna Rosette nie ma swojego zwierzątka – powiedziała Anouk, kiedy siedziałyśmy razem przy ogniu. – Pewnie dlatego płacze. Może powinniśmy jakieś zaprosić. Żeby się nią opiekowało, tak jak Pantoufle opiekuje się mną.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęłam. Ale mówiła poważnie; wiedziałam, że jeśli ja nic nie zrobię, ona mnie wyręczy. Dlatego obiecałam, że spróbuję. A co mi szkodzi. Od pół roku zachowywałyśmy się nienagannie, żadnych kart, żadnych uroków ani rytuałów. Brakowało nam tego. To przecież tylko zabawa, nikomu nie stanie się krzywda.

Mieszkałyśmy w Les Laveuse blisko tydzień i wszystko zmierzało ku lepszemu. Zawarłyśmy kilka znajomości i bardzo polubiłam Paula i Framboise. Na dobre zadomowiłyśmy się w mieszkanku nad *creperie*. W zamieszaniu związanym z narodzinami Rosette święta przeszły w zasadzie niezauważone, ale zbliżał się Nowy Rok, a wraz z nim obietnica początku. Powietrze było mroźne i rześkie, a niebo nosiło wibrujący odcień błękitu. Wciąż niepokoiłam się stanem Rosette, ale powoli poznawałyśmy jej nawyki, a pipetka umożliwiała karmienie.

Wówczas ponownie zjawił się *pere* Leblanc. Tym razem przybył w

towarzystwie kobiety, którą przedstawił jako pielęgniarkę, lecz na podstawie jej pytań, powtórzonych mi przez Anouk, zrozumiałam, że była z opieki socjalnej. Przyjechali pod moją nieobecność – Paul zawiózł mnie do Angers po pieluszki i mleko dla Rosette. Zastali tylko Anouk, Rosette spała w kołysce na górze. Przywieźli torbę pełną zakupów i podając się za moich przyjaciół, okazali tyle troski i zainteresowania, że ufna Anouk, w swej dziecięcej naiwności, powiedziała im znacznie więcej, niż należało.

Opowiedziała im o Lansquenetsous-Tannes i naszej podróży Garonną z wodniakami. Opowiedziała o sklepie z czekoladą i zorganizowanym przez nas festiwalu. Opowiedziała o Yule i Saturnaliach, o Królu Dębu i Królu Ostrokrzewu oraz dwóch potężnych wichrach dzielących rok na pół. A gdy spytali o czerwone saszetki nad drzwiami oraz talerzyki z chlebem i solą na progu, opowiedziała im o elfach i bożkach, totemach i rytuałach ze świecami, o księżycu, wietrze, kartach tarota i Kocich Dzieciach...

– Kocich Dzieciach? – zdziwili się tamci.

– O tak – odpowiedziało moje starsze dziecko. – Rosette to Kocie Dziecko, dlatego tak przepada za mlekiem. I dlatego nocami płacze jak kot. Ale nic nie szkodzi. Po prostu potrzebuje totemu. Czekamy na niego.

Mogę sobie tylko wyobrazić ich reakcję. Sekrety i rytuały, nieochrzczone dzieci, dzieci pozostawione pod opieką obcych, albo jeszcze gorzej...

Zapytał, czy zechce z nim pojechać. Oczywiście nie mógł jej zmusić, nie miał prawa. Zapewnił, że będzie przy nim bezpieczna, na czas dochodzenia pozostanie u niego. Kto wie, może by ją nawet zabrał, gdyby nie Framboise, która zjawiała się w porę, aby zajrzeć do Rosette, i zastała w kuchni całą trójkę. Anouk siedziała bliska płaczu, a ksiądz i kobieta przemawiali do niej żarliwie. Tak, tak, wiedzą, że się boi, ale nie jest sama, jest mnóstwo takich dzieci. Niech im zaufa, jeszcze nie wszystko stracone...

Framboise szybko zrobiła z nimi porządek. Przepędziła ich ostrym językiem, po czym zaparzyła herbatę dla Anouk i ugotowała mleko dla Rosette. Poczekała, aż wrócę i opowiedziała o ich wizycie.

– Zawsze wtykają nos w nie swoje sprawy – podsumowała z pogardą. – Szukają diabła pod łóżkiem. Przyjrzyjcie się jej, powiedziałam – dodała, wskazując na Anouk, która cichutko bawiła się z Pantoufle'em. – Czy tak wygląda dziecko, któremu grozi niebezpieczeństwo? Czy ona wygląda na przerażoną?

Naturalnie byłam jej wdzięczna. Lecz w głębi serca wiedziałam, że tamci wrócą. Kto wie, może z urzędowym nakazem. Wiedziałam, że *pere* Leblanc nie da

tak łatwo za wygraną. Wiedziałam, że ten życzliwy, niebezpieczny człowiek o dobrych chęciach – lub ktoś do niego podobny – będzie mnie ścigał choćby na kraniec świata.

– Jutro wyjeżdżamy – oznajmiłam wreszcie.

Anouk jęknęła.

– Znowu?!

– Musimy, Nanou. Ci ludzie...

– Dlaczego my? Dlaczego zawsze my? Dlaczego wiatr choć raz nie zdmuchnie kogoś innego?

Popatrzyłam na śpiącą w kołysce Rosette. Na Framboise, z twarzą pomarszczonego jabłka, na Paula, który siedział w milczeniu bardziej wymownym aniżeli słowa. Naraz coś przykuło moją uwagę: złocisty odblask, gra światła bądź iskra z kominka.

– Wiatr się wzmacnia – powiedział Paul, nasłuchując. Nie zdziwiłbym się, gdyby przyszła zawierucha.

Ja też to słyszałam, ostatnie natarcie grudniowego wiatru. *Gdy grudzień u drzwi staje...* Nocą słyszałam jak wyje, jęczy i zanosi się śmiechem. Rosette była niespokojna, toteż większość czasu spędziłam przy jej kołysce, przysypiając na siedząco, a wiatr grzechotał dachówkami i dobijał się do okien.

O czwartej usłyszałam szmer dochodzący z pokoju Anouk. Wstałam i poszłam sprawdzić, co się stało. Anouk siedziała na podłodze w kręgu, narysowanym koślawo żółtą kredą. Jedna świeca płonęła przy jej łóżku, a druga przy kołysce Rosette.

– Wszystko naprawiliśmy, *maman* – powiedziała Anouk, unosząc ku mnie zaróżowioną twarzyczkę. – Naprawiliśmy i możemy zostać.

Usiadłam obok niej na podłodze. – Jak?

– Powiedziałam wiatrowi, że zostajemy. Niech zabierze kogoś innego.

– To nie takie proste, Nanou – odpowiedziałam.

– Ależ tak – zapewniła Anouk. – I jeszcze jedno. – Rozjaśniła się w uśmiechu.

– Widzisz go? – Wskazała coś w kącie pokoju.

Zmarszczyłam brwi. Nic nie widziałam. To znaczy, prawie nic. Przelotny błysk, migotanie świecy na ścianie, cień, oczy, zarys ogona...

– Nic nie widzę, Nanou.

– Należy do Rosette. Przyleciał z wiatrem.

– Ach, rozumiem. – Uśmiechnęłam się; wizje Anouk bywają tak sugestywne, że czasem ponosi mnie wyobraźnia i widzę rzeczy, które tak naprawdę nie istnieją.

Rosette wyciągnęła rączkę i miauknęła.

– To małpka – oznajmiła Anouk. – Nazywa się Bamboozle.

Musiałam się roześmiać.

– Też masz pomysły. – Mimo to poczułam się nieswojo. Wiesz, że to tylko zabawa, prawda?

– Ależ skąd – zaoponowała z uśmiechem Anouk. Spójrz, *maman*. Rosette też go widzi.

Rankiem wiatr ucichł. Zły wiatr, mówili miejscowi, powalał drzewa i niszczył stodoły. Gazety nazwały zawieruchę tragedią i szeroko rozpisywały się o tym, jak to w sylwestrowy wieczór gałąź spadła na przejeżdżający drogą samochód. Kierowca i pasażerka zginęli na miejscu. Jedną z ofiar był ksiądz z Rennes.

„Wola boska”, podsumowały gazety.

Anouk i ja wiedziałyśmy lepiej.

„To był tylko wypadek”, powtarzałam jej, kiedy noc w noc budziła się z płaczem w naszym ciasnym mieszkanku przy Boulevard de la Chapelle. „Anouk, takie rzeczy nie istnieją”, mówiłam. „To był wypadek, jakich wiele. Nic więcej”.

Z biegiem czasu uwierzyła. Koszmary ustały. Znowu wydawała się szczęśliwa. Ale coś pozostało w jej oczach, coś ją odmieniło, czyniąc starszą, mądrzejszą, bardziej obcą. Rosette zaś, moje zimowe dziecko, z każdym dniem coraz bardziej przypomina siostrę. Uwięziona w swoim małym świecie nie chce rosnąć jak inne dzieci, nie mówi ani nie chodzi i tylko patrzy wielkimi oczami dzikiego zwierzątka...

Czy rzeczywiście jesteśmy winne? Logika podpowiada, że nie. Ale logika ma swoje granice. Teraz znów wieje wiatr. Jeśli go nie posłuchamy, kogo zabierze tym razem?

Na Butte de Montmartre nie ma drzew. To dla mnie wielka ulga. Lecz grudniowy wiatr wciąż pachnie śmiercią, nie stłumi tego żadne kadzidło. Grudzień to mroczny czas, czas duchów (nie tylko świętych) i ognisk rozpalanych na przekór wszechogarniającej ciemności. Bóstwa Yule są srogie i lodowate, Persefona tkwi w niewoli pod ziemią, a wiosna to sen oddalony o tysiąc lat.

*Via l'bon vent, v'ld l'joli vent...*

*Via l'bon vent, ma mie m'appelle...*

A Życzliwi wciąż snują się nagimi ulicami Montmartre<sup>^</sup> i niecierpliwie wyczekują końca adwentu...

*Wtorek, 11 grudnia*

Poszło jak po maśle. Opowiedziała mi całą historię: o sklepie z czekoladą w Lansquenet, o skandalu i kobiecie, która umarła, a następnie o Les Laveuses, o narodzinach Rosette i Życzliwych, którzy chcieli ją zabrać, ale im się nie udało.

A więc tego się boi. Biedactwo. Nie myślcie, że żądza zysku całkowicie stępiła moją wrażliwość. Wysłuchałam chaotycznej opowieści, przytuliłam Anouk, kiedy nie mogła wydobyć słowa, pogłaskałam po głowie i otarłam łzy. Kiedy miałam szesnaście lat i mój świat legł w gruzach, nikt nie zrobił dla mnie nawet tyle.

Pocieszałam ją, jak mogłam. Magia, wyjaśniłam, to narzędzie Zmiany, przyływów, które trzymają świat przy życiu. Jedno wiąże się z drugim: zło popełnione w tym świecie ma swój odpowiednik po drugiej stronie. Nie ma światła bez ciemności, dobra bez zła, krzywdy bez kary...

Co do moich doświadczeń...

No cóż, przedstawiłam jej mocno okrojoną wersję. Żeby zrozumiała, że nie jest sama, że ktoś prócz niej dźwiga brzemień żalu i poczucia winy. Żeby wyrwać ją ze świata jasności i niepostrzeżenie poprowadzić w strefę mroku...

Jak już wspomniałam, w moim wypadku zaczęło się od chłopaka. I na nim skończyło, bo skoro nie ma większej furii niż wzgardzona kobieta, nic nie może się równać z oszukaną czarownicą.

Przez pierwszy tydzień lub dwa wszystko układało się jak w bajce. Błysnęłam na tle koleżanek i chlubiłam się swoim podbojem oraz nieoczekiwanie osiągniętą pozycją. Scott i ja byliśmy nierozłączni. Ale okazał się prózny i słaby (po części dlatego tak łatwo dał się usidlić), a do tego niedyskretny, toteż pyszałkowata natura niebawem wzięła górę nad lojalnością.

Zmiana była subtelna, acz wyczuwalna. Scott chlapanął dwa słowa za dużo i plotki rozpiezchły się po szkole jak suche liście. Na ścianach w łazience pojawiło się obraźliwe graffiti, na mój widok ludzie tręcali się łokciami. Moim największym wrogiem była podstępna dziewczyna o imieniu Jasmine (popularna w klasie, wcielenie cnoty i doskonałości), która zapoczątkowała pierwszą falę pogłosek. Zwalczałam je na wszelkie możliwe sposoby, lecz łotka ofiary to piętno na całe życie. Wkrótce wróciłam do swej poprzedniej roli i znów stałam się pośmiewiskiem całej szkoły. Scott McKenzie szybko dał się przekabacić.

Początkowo silił się na wymówki, potem otwarcie zaczął pokazywać się w mieście z Jasmine i jej przyjaciółmi. Kpiną, perswazją i podstępem nakłoniono go wreszcie do otwartego ataku. Padło na sklep mojej matki, tę wieczną sól w oku, łatwy, a zarazem najbardziej oczywisty cel.

Przyszli w nocy, całą bandą: rozbawieni, podpici, przepychając się i uciszając nawzajem. Trochę za wcześnie na Noc Psot, lecz sklepowe półki uginały się już od petard i fajerwerków, a Halloween wabiło długim, chudym palcem, roztaczając woń dymu i palonych liści. Mój pokój wychodził na ulicę. Usłyszałam kroki, zduszone śmiechy i szept „no dalej, zrób to!”. Ktoś odmruknął coś w odpowiedzi, a kolejny głos ponaglił: „no już, prędko!”, po czym zapadła złowroga cisza.

Trwała blisko minutę, sprawdziłam. Potem coś eksplodowało, bardzo blisko, w zamkniętym pomieszczeniu. Najpierw myślałam, że wrzucili petardy do śmietnika, lecz zapach dymu rozwiął moje wątpliwości. Wyjrzałam przez okno: rozproszyli się jak przestraszone gołębie, pięciu chłopców i dziewczyna, której sylwetkę rozpoznałam mimo ciemności...

Rozpoznałam też Scotta. Jakże by inaczej. Biegł na czele grupy, w świetle latarni jego jasne włosy wydawały się niemal białe. Patrzyłam za nim przez okno: spojrział przez ramię, kto wie, może nawet zderzyliśmy się wzrokiem...

Ale nie, łuna bijąca z witryny musiała to uniemożliwić. Czerwonopomarańczowy płomień, jak złowrogi akrobata, skoczył najpierw na drążek z jedwabnymi chustami, potem na trapez łapaczy snów, wreszcie sięgnął półki z książkami...

„Cholera” – wymamrotał bezgłośnie Scott. Przystanął, ale dziewczyna szarpnęła go za rękaw. Inni też zaczęli go ponaglać, więc odwrócił się i puścił biegiem. Zapamiętałam wszystkie twarze, wszystkie głupie, bezmyślne gęby, wyszczerzone w pomarańczowym świetle.

W sumie skończyło się na strachu, ugasiliśmy ogień przed przybyciem straży pożarnej. Uratowałyśmy nawet większość towarów, tylko sufit był osmolony i całe wnętrze przeszło zapachem spalenizny. Zwykła petarda, powiedzieli strażacy. Zapalona petarda, wsunięta przez szparę na listy. Policjant zapytał, czy coś widziałam. Zaprzeczyłam.

Ale następnego dnia zaczęłam obmyślać plan zemsty. Pod pretekstem choroby zostałam w domu i myślałam, myślałam intensywnie. Zrobiłam sześć laleczek z drewnianych kołków, z zachowaniem wszystkich cech charakterystycznych. Miały starannie uszyte ubranka i twarze wycięte z klasowej fotografii, przyklepione do drewna. Każda dostała swoje imię. W miarę zbliżania się *Día de los Muertos* mój

plan zyskiwał coraz bardziej realne kształty.

Zbierałam włosy z kurtek, kradłam odzież z szatni. Wrywałam kartki z zeszytów, odklejałam nalepki z toreb, szperałam w śmietnikach w poszukiwaniu zużytych chustek do nosa, a kiedy nikt nie patrzył, zabierałam z ławek pogryzione zakrętki od piór. Przed upływem tygodnia miałam tyle materiału, że starczyłoby na tuzin lalek, a w Halloween upomniałam się o zwrot długu.

Urządzano wówczas dyskotekę semestralną. Oficjalnie nikt mnie nie poinformował, ale wszyscy wiedzieli, że Scott idzie z Jasmine i jeśli się zjawię, będą kłopoty. Nie wybierałam się na potańcówkę, ale kłopoty? Czemu nie! Jeśli Scott lub ktokolwiek inny stanie mi na drodze, ma je jak w banku.

Musicie pamiętać, że byłam bardzo młoda. A do tego naiwna, choć nie tak naiwna i wrażliwa jak Anouk. Zemsta przyniosła mi podwójną korzyść: po pierwsze spełniła wymagania mojego Systemu, po drugie zaś rozwinęła praktyczną znajomość chemii, dzięki której zyskałam solidne podstawy do dalszego zgłębiania okultyzmu.

Jako szesnastolatka niespecjalnie znałam się na truciznach. Oczywiście znałam te najbardziej podstawowe, choć dotąd nie miałam okazji zastosować ich w praktyce. Postanowiłam to zmienić. Sięgnęłam po najbardziej toksyczne substancje, jakie mogłam zdobyć. Mandragora, powój, cis. Wszystkie znalazłam w sklepie matki; po dodaniu do wódki były praktycznie nie do wykrycia. Wódkę kupiłam w pobliskim sklepie, połowę zużyłam do mikstury, uzupełniając ją o parę ingrediencji własnego pomysłu, w tym sok z bedłki, którą miałam szczęście znaleźć pod szkolnym żywopłotem. Następnie ostrożnie przelałam miksturę z powrotem do butelki (opatrzonej symbolem Hurakana Niszczyciela) i pozostawiłam ją w otwartej torbie – z przekonaniem, że karma dopełni dzieła.

Niebawem butelka znikła, a Scott i jego kumple wymieniali ukradkowe spojrzenia i uśmiechali się porozumiewawczo. Tego wieczora wróciłam do domu prawie szczęśliwa, po czym przekułam wszystkie lalki długą igłą, szepcząc im do ucha tajemne słowa.

Jasmine – Adam – Luke – Danny – Michael – Scott...

Oczywiście nie mogłam do końca przewidzieć konsekwencji, tak jak nie mogłam wiedzieć, że zamiast wypić wódkę, kawalarze wlali ją ukradkiem do ponczu na dyskotecę, przez co zasięg karmy przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

Podobno było na co popatrzeć. Mój wywar spowodował zbiorowe wymioty, halucynacje, ból szarpiący wnętrzności, paraliż oraz dysfunkcję nerek i zwieraczy.



Ucierpiało czterdzieścioro uczniów, w tym sześciu głównych winowajców.

Mogło być gorzej. Nikt nie umarł. Przynajmniej nie bezpośrednio. Lecz zatrucie na taką skalę rzadko przechodzi niezauważone. Przeprowadzono dochodzenie, ktoś puścił farbę, wreszcie winowajcy przyznali się do podpalenia, obwiniając siebie nawzajem (i mnie) i próbując za wszelką cenę wykręcić się od odpowiedzialności. Przyznali, że wrzucili do sklepu zapaloną petardę. Przyznali, że ukradli z mojej torby wódkę. Przyznali się nawet, że zaprawili poncz. Ale wszyscy zgodnie utrzymywali, że nie mieli pojęcia o zawartości butelki.

Jak łatwo się domyślić, dalszy ślad prowadził do mnie. Policja zainteresowała się matczynym zielnikiem i wzięła mnie w obroty. Na próżno. Już wówczas umiałam zachowywać pozory i ani prośbą, ani groźbą nie zdołali nakłonić mnie do zmiany zeznania.

Tak, rzeczywiście przyniosłam butelkę wódki, powiedziałam. Sama ją kupiłam (mimo początkowych oporów), na wyraźne polecenie Scotta McKenzie'ego. Scott miał śmiałe plany na wieczór, chciał (jak to ujął) „rozruszać towarzystwo”. Wiedziałam, że chodzi o narkotyki i alkohol, dlatego wołałam nie iść, niż zdradzić kolegów.

Wiedziałam, że postępuję źle, wyznałam policjantom. Powinnam była coś zrobić, lecz po incydencie z petardą wołałam siedzieć cicho w obawie przed ewentualną zemstą tamtych.

Pewnie coś spaprali. Scott nie znał się na prochach i przedobrzył. Na samą myśl uroniłam parę krokodylich łez i uważnie wysłuchałam wykładu policjanta, pełna ulgi i wdzięczności, że tym razem „uszło mi płazem”, po czym złożyłam solenną obietnicę, że nigdy więcej nie dam się w nic wciągnąć.

Policjanci dali się nabrać na moją bajeczkę, ale z matką nie poszło tak łatwo. Odkrycie przekłutych lalek potwierdziło jej najgorsze obawy, a znajomość działania trujących substancji nie pozostawiała wątpliwości co do prawdziwej przyczyny zbiorowej dolegliwości.

Oczywiście wszystkiemu zaprzeczyłam. Ale było jasne, że mama nie uwierzyła w ani jedno słowo.

Ktoś mógł umrzeć, powtarzała. No ba, w końcu o nic innego nie chodziło. Po tym, co zrobili, miałam ich w nosie. Wreszcie zaczęła mówić, że potrzebuję pomocy; wspomniała coś o kursie panowania nad gniewem i wizycie u psychiatry dziecięcego...

– Nie powinnam była zabierać cię do Meksyku – żałowała. – Przedtem byłaś normalna, grzeczna...

Wariatka. Jak już wbiła sobie coś co głowy, nic nie mogło jej skłonić do zmiany zdania. Teraz zaś ubzduriała sobie, że tę posłuszną dziewczynkę, z którą pojechała do Meksyku na obchody *Dia de los Muertos*, opętały złe moce, popychając ją do złego.

– Czarna piñata – powtarzała jak nakręcona. – Co było w środku? Co było w środku?

Wpadała w taką histerię, że prawie nie rozumiałam, co do mnie mówi.

Nie pamiętałam czarnej piñaty, minęło tyle lat, a poza tym oglądałam ich całą masę. Co było w środku? Cóż, pewnie słodyczne, zabawki, cukrowe czaszki oraz inne drobiazgi, które upychano w nich na tę okazję.

Sugerować, że to mogło być coś innego, na przykład duch lub bożek (może nawet Santa Muerte, stara zachłanna Mictecacihuatl we własnej osobie), który wstąpił we mnie w czasie wycieczki...

Jeśli ktokolwiek potrzebował pomocy, na pewno była nią osoba, która wymyślała takie bzdury. Matka jednak nie dawała za wygraną, nazywała mnie niezrównoważoną, cytowała swoje credo, po czym oświadczyła, że jeśli nie przyznam się do winy, nie pozostanie jej nic innego...

To przesądziło sprawę. Nocą spakowałam swoje rzeczy. Zabrałam obydwa paszporty, swój i matki, trochę ubrań, pieniądze, karty kredytowe, książeczkę czekową oraz klucze do sklepu. Pewnie uznacie mnie za sentymentalną, bo wzięłam też jeden z jej kolczyków, malutką parę bucików, i przypięłam do bransoletki jako pierwszy amulet. Teraz mam ich wiele. Każdy amulet to swoiste trofeum, pamiątka po czyimś życiu, którymi wzbogaciłam własne. Ale od tego się zaczęło. Od pary srebrnych bucików.

Następnie zesłam po cichu na dół. Zbytek ostrożności. Matka zawsze spała jak kamień, zresztą potężna dawka waleriany i sałaty jadowitej, które dorzuciłam jej do herbaty, każdego wyleczyłaby z bezsenności. Podejrzenie padnie na Scotta i jego kompanów, przynajmniej do czasu potwierdzenia mojego zniknięcia. Ale wtedy ja już będę daleko.

Oczywiście Anouk nie usłyszała wszystkiego: pominęłam bransoletkę, piñatę oraz płomienne pożegnanie. Odmalowałam chwytający za serce obraz samej siebie, samotnej i niezrozumianej, błakającej się po paryskich ulicach i dręczonej wyrzutami sumienia, śpiącej pod mostem i pozbawionej środków do życia, jeśli nie liczyć garstki uroków i zaklęć.

– Musiałam być twarda. Musiałam być dzielna. To bardzo trudne, kiedy ma się szesnaście lat, ale jakoś mi się udało. Dowiedziałam się przy tym, iż żądzą nami

dwie siły, inaczej mówiąc, dwa wiatry wiejące w przeciwnych kierunkach. Jeden zanosi cię tam, gdzie chcesz. Drugi pomaga ci uciec przed tym, czego się najbardziej lękasz. Ludzie tacy jak my muszą dokonać wyboru. Lecieć z wiatrem albo dać się unosić.

Wreszcie piñata pęka, hojnie nagradzając zebranych, i nachodzi wyczekiwana przeze mnie chwila, bilet nie do jednego życia, ale dwóch...

– Co wybierasz, Nanou? – pytam. – Strach czy wolną wolę? Hurakana czy Ehecatla? Niszczyciela czy Wiatr Zmian?

Świdruje mnie szaroniebieskimi oczami w odcieniu burzowej chmury tuż przed poprawą pogody. Przez Dymiące Zwierciadło widzę, jak jej aura zyskuje czerwone i niebieskie zabarwienie.

Widzę coś jeszcze. Widzę obraz, którego nie opiszą słowa jedenastolatki. Trwa nie dłużej niż chwilę, ale to mi wystarczy. Przedstawia szopkę z Place du Tertre, matkę, ojca i źłóbek.

Jednakże w tej wersji matka ma na sobie czerwoną sukienkę, a włosy ojca...

Wreszcie zaczynam rozumieć. To dlatego tak jej zależy na tym przyjęciu, dlatego przywiązuje taką wagę do lalek w domku adwentowym, skrzętnie grupując je i przestawiając.

Patrzę na Thierry'ego, który stoi na zewnątrz. Nie ma do odegrania żadnej roli. Dalej są goście: Mędracy, pasterze, aniołowie. Nico, Alice, madame Luzeron, Jean-Loup, Paulpaul, madame Pinot. Oto chór grecki, zaproszony dla zachęty i wsparcia. Jest i centralna grupa postaci: Anouk, Rosette, Roux, Vianne...

Jakie były jej pierwsze słowa?

„Kto umarł?”

„Vianne Rocher”.

Wzięłam to za dziecięcy wybryk, próbę prowokacji. Ale teraz znam ją lepiej i wiem, ile sensu może kryć pozornie zdawkowa uwaga. Stary ksiądz i opiekunka społeczna nie byli jedynymi ofiarami grudniowej wichury przed czterema laty. Vianne Rocher i jej córka Anouk też poniosły wówczas śmierć. Trzeba je wskrzesić.

Ależ jesteśmy podobne, Nanou.

Widzisz, ja też potrzebuję nowego życia. Francoise Lavery nadal mnie prześladowuje. Znowu piszą o niej w gazetach; wiadomo już, że podawała się też między innymi za Mercedes Desmoines i Emmę Windsor. Zamieszczono dwa niewyraźne zdjęcia z CCTV. Widzisz, Annie, ja też mam swoich Życzliwych, którzy siedzą mi na karku i ani myślą ustąpić. Krąg wokół mnie zacieśnia się

powoli, lecz nieubłaganie...

Jakim cudem dowiedzieli się o Mercedes i tak szybko wpadli na trop Françoise? Jak myślisz, ile potrzebują czasu, żeby zwrócić uwagę na Zoie?

Może już pora, myślę sobie. Może Paryż jest dla mnie spalony. Może czas odłożyć na bok czary i pójść inną drogą? Ale nie jako Zoie. Już nie.

Czy gdyby ktoś podawał ci na talerzu nowe życie, pokręciłabyś przecząco głową?

Wątpię.

I gdyby to życie dawało ci wachlarz nowych możliwości i środków, a do tego dziecko, nie jakieś tam zwyczajne, tylko niezwykle, utalentowane i nieskażone karmą, która w trójnasób karze cię za każde złe słowo i uczynek; dziecko, które można rzucić Życzliwym, kiedy już zawiodą inne sposoby...

No, co byś zrobiła?

Odmówiłabyś?

Wykluczone.

*Środa, 12 grudnia*

No, mamy za sobą dopiero pierwszy tydzień lekcji, a już mówi, że zrobiłam postępy. Uczę się meksykańskich nazw i symboli, poznaję legendy. Wiem, jak wzniecić Ehecatla Zmiennego, jak wezwać Tlaloca i sprowadzić deszcz, a nawet, jak posłużyć się Hurakanem, by zemścić się na wrogach.

Nie, żebym myślała o zemście. Od incydentu na przystanku Chantal & Spółka nie pokazują się w szkole. Chyba wreszcie dostały nauczkę. Monsieur Gestin mówił, że cierpią na coś w rodzaju grzybicy, w każdym razie muszą siedzieć w domu, żeby nikogo nie zarazić. Aż dziw bierze, ile może zmienić nieobecność czterech najbardziej niemiłych osób w trzydziestoosobowej klasie. Bez Suzanne, Chantal, Sandrine i Danielle szkoła zrobiła się nawet fajna. Nikt nie jest głupim Jasiem, nikt nie wyśmiewa się z Mathilde z powodu jej tuszy, a Claude odpowiadał dzisiaj na matmie i nie zająknął się ani razu.

Tak między nami, dzisiaj się nim zajęłam. Przy bliższym poznaniu jest bardzo sympatyczny, choć przez to jąkanie raczej unika rozmów. Wsunęłam mu do kieszeni karteczkę z symbolem Jaguara, na odwagę. I może to zasługa nieobecności tamtej czwórki, ale naprawdę widzę poprawę.

Wydaje się bardziej rozluźniony, przestał się garbić i chociaż nadal się jąka, dzisiaj wcale nie brzmiało to tak źle. Czasem w ogóle nie może wykrztusić słowa, jest czerwony jak burak i bliski płaczu, a wszystkim, łącznie z nauczycielem, robi się głupio i nie wiedzą, gdzie podziać oczy (oczywiście nie dotyczy to Chantal & Spółki), ale dziś nie zdarzyło mu się to ani razu i rozgadał się na całego.

Rozmawiałam też z Mathilde. Jest bardzo nieśmiała i też niewiele mówi. Chowa się pod wielkimi, czarnymi swetrami i próbuje być niewidzialna, w nadziei że nikt jej nie zauważy. Ale gdzie tam, wszyscy dokuczają jej ile wlezie, dlatego chodzi zgarbiona, ze spuszczoną głową i nie patrzy nikomu w oczy. Wygląda przy tym jeszcze bardziej grubo i nieporadnie. I nikt nie widzi, jaką ma ładną cerę (w przeciwieństwie do pryszczatej Chantal) i piękne, gęste włosy. Gdyby tylko zmieniła nastawienie...

– Powinnaś spróbować – zachęciłam. – Na przekór sobie.

– Co masz na myśli? – spytała z miną, która mówiła wyraźnie „po co marnujesz na mnie czas?”.

Powtórzyłam jej to, czego nauczyła mnie Zozie. Słuchała uważnie, zapominając o patrzeniu w podłogę.

– Ja tak nie potrafię – odrzekła w końcu, ale w jej oczach błysnął cień nadziei. Dziś rano na przystanku wyglądała inaczej; stała prosto i po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, nie była ubrana na czarno. Miała na sobie zwykłą bluzkę, ale ciemnoczerwoną i nie za luźną.

– Ładnie – powiedziałam, a Mathilde zrobiła zakłopotaną, a zarazem uszczęśliwioną minę i po raz pierwszy weszła do szkoły z uśmiechem.

W sumie czuję się trochę nieswojo. Nagle stałam się... może zaraz nie „popularna”, ale na pewno coś w tym rodzaju. Ludzie patrzą na mnie jakoś inaczej i słuchają moich rad.

Jak *maman* mogła z tego zrezygnować? Szkoda, że nie wolno mi jej o to zapytać. Chciałabym jej opowiedzieć o Chantal & Spółce, o lalkach, Claudzie i Mathilde, o Roux i Jeanie-Loupie...

Jean-Loup wrócił dzisiaj do szkoły, trochę blady, ale w dobrym humorze. Okazało się, że był tylko przeziębiony, ale z jego sercem lepiej dmuchać na zimne, bo nawet katar może być niebezpieczny. W każdym razie wrócił i znów pstrykał zdjęcia, patrząc na świat przez swój aparat.

Robi zdjęcia dosłownie wszystkim, nauczycielom, woźnemu, uczniom, mnie. W dodatku trzaska je tak szybko, że nikt nie ma czasu się przygotować. Czasem mu się za to dostaje, na przykład od dziewczyn, które chętnie poprawiłyby najpierw włosy i przybrały odpowiednią pozę...

– I zepsuły zdjęcie – uzupełnił Jean-Loup.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo aparatem można zobaczyć więcej niż gołym okiem.

– Nawet duchy?

– Nawet.

Zabawne, pomyślałam, ale oczywiście przyznałam mu rację. Opowiada o Dymiącym Zwierciadle i rzeczach, których nie można dostrzec normalnym sposobem. Rzecz jasna nie zna starych symboli. Ale może tak długo robi zdjęcia, że – podobnie jak Zozie – opanował sztukę widzenia rzeczy takimi, jakie są naprawdę, niezależnie od woli ludzi. Dlatego tak lubi cmentarz: szuka tam tego, czego nie widzi ludzkie oko. Błędnym ogników, prawdy lub czegoś w tym rodzaju.

– Więc jak, twoim zdaniem wyglądam naprawdę?

Pokazał mi zdjęcie, zrobione gdy w czasie przerwy wybiegam na boisko.

– Trochę zamazane – stwierdziłam. Wyglądałam jak stonoga, ale twarz wyszła

wyraźnie. Uśmiechałam się od ucha do ucha.

– To właśnie ty – oznajmił Jean-Loup. – Cudo.

Nie wiedziałam, czy się nabija, czy prawi mi komplementy, dlatego puściłam to mimo uszu i przejrzałam pozostałe fotografie z galerii.

Zobaczyłam Mathilde, grubą i smutną, ale przecież ładną. Claude'a, który rozmawiał ze mną bez jednego zająknięcia, i monsieur Gestina, przyłapanego, w chwili gdy próbuje zrobić surową minę, choć w środku tak naprawdę pęka ze śmiechu. Było też parę zdjęć z *chocolaterie*, których Jean-Loup jeszcze nie przerzucił do komputera. Pospiesznie przeskakiwał z jednego na drugie.

– Czekał – powiedziałam w pewnej chwili. – Czy to nie *maman*?

Owszem, razem z Rosette. Wyglądała staro, a Rosette musiała się poruszyć, bo nie było widać jej twarzy. Obok siedziała Zoie, zupełnie niepodobna do siebie, z wykrzywionymi ustami i dziwnym wyrazem oczu...

– Chodź! Spóźnimy się! – zawołał Jean-Loup.

Pobiegliśmy do autobusu, a potem jak zwykle na cmentarz, żeby nakarmić koty i położyć alejkami wśród brunatnych liści, w otoczeniu duchów.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, było już prawie ciemno. Na tle nieba rysowały się mroczne zarysy pomników. Nie było sensu robić zdjęć, chyba że z lampą (która zdaniem Jeana-Loupa jest beznadziejna), ale fajnie było popatrzeć na Butte usiane gwiazdami zapalonych światełek.

– Większość ludzi wcale tego nie dostrzega.

Jean-Loup fotografował szarożółte niebo i obeliski, które na jego tle wyglądały jak wraki porzucone w jakiejś zapomnianej przystani.

– Dlatego tak mi się tu teraz podoba – podjął. – Jest już prawie ciemno, ludzie poszli do domów i widać, że to po prostu cmentarz, a nie park pełen sławnych osobistości.

– Niedługo zamkną bramę – przypomniałam.

Robią to, żeby włóczędzy nie nocowali na cmentarzu. Ale niektórym i tak się udaje. Wspinają się po murze i chowają tak, że żaden *gardien* w życiu ich nie znajdzie.

Początkowo wzięłam go za jednego z nich. Kolejny kloszard, który chce tu przekimnąć, ubrany w obszerną kurtkę i wełnianą czapkę wciśniętą na uszy. Dotknęłam ręki Jeana-Loupa. Kiwnął głową.

– Biegniemy?

Nie, żebym się przestraszyła. Bezdomni wcale nie są groźniejsi od ludzi, którzy mają dach nad głową. Ale nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy, było ciemno, a mama

Jeana-Loupa dostałaby zawału na wieść o tym, gdzie jej syn włóczy się po szkole.

Myśli, że chodzi do klubu szachowego.

Moim zdaniem ona wcale go nie zna.

No więc staliśmy tam, gotowi w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Naraz mężczyzna odwrócił się i zobaczyłam jego twarz...

Roux?

Ale nim zdążyłam zawołać, zniknął między pomnikami, zwinny jak cmentarny kot i bezszelestny jak duch.



*Czwartek, 13 grudnia*

Dziś przyszła madame Luzeron z drobiazgami na adwentową witrynę. Przyniosła mebelki ze starego domku dla lalek, zapakowane starannie w pudełka po butach i owinięte bibułą. Jest łóżko z ozdobnym baldachimem, duży stół i sześć krzesełek. Są lampy, dywaniki, maleńkie złożone lustro i kilka lalek o porcelanowych twarzyczkach.

– Nie możemy ich przyjąć – zaoponowałam, gdy wykladała wszystko na ladę. – To antyki...

– To tylko zabawki. Możecie je trzymać tak długo, jak chcecie.

Ustawiłam wszystko w domku. Otworzyłyśmy dziś kolejne drzwi. Uroczą scenką przedstawia rudowłosą dziewczynkę (jedną z laleczek Anouk), wpatrzoną z podziwem w gigantyczną stertę pudełek od zapalek, pieczołowicie owiniętych kolorowym papierem i przewiązanych cienkimi wstążkami.

No tak, niedługo urodziny Rosette. Zaplanowana przez Anouk impreza to po części przyjęcie urodzinowe, a zarazem próba wskrzeszenia (być może wyimaginowanego) okresu, kiedy Yule oznaczało więcej aniżeli lametę i prezenty, a prawdziwe życie przypominało inscenizację adwentową i nie miało zgoła nic wspólnego z burą paryską rzeczywistością.

Dzieci to jednak sentymentalne stworzenia. Próbowалаm sprowadzić ją na ziemię i wytłumaczyć, że przyjęcie – bez względu na mozolne przygotowania – to tylko przyjęcie: nie wskrzesi przeszłości, nie zmieni teraźniejszości, ani też nie zagwarantuje choćby symbolicznych opadów śniegu.

Ale moje uwagi trafiają w próżnię, zwłaszcza że teraz omawia wszystkie szczegóły z Zozie, nie ze mną. Zauważyłam też, że odkąd Zozie zajęła pokój na górze, Anouk przesiaduje u niej całymi godzinami, przymierzając buty (słyszę stukanie obcasów na górze), zaśmiewając się do łez i rozprawiając bez końca o... no właśnie. O czym?

W pewnym sensie to ujmujące. Ale jakaś część mnie, ta zawistna, niewdzięczna część, czuje się wykluczona poza nawias. Naturalnie to cudowne, że Zozie jest z nami: zawsze mogę na nią liczyć, opiekuje się dziewczynkami, pomogła wyremontować sklep i postawić interes na nogi...

Nie myślcie jednak, że jestem ślepa na to, co się dzieje. Widzę subtelne lśnienie

wnętrza, dzwonki w witrynie, talizman, który zrazu wzięłam za świąteczną dekorację na framudze, znaki, symbole, postacie w domku adwentowym, dawno porzuconą codzienną magię, która rozkwita w każdym zakamarku...

A co to komu szkodzi? Przecież to nie są prawdziwe czary; ot, parę niewinnych zaklęć i amuletów na szczęście, które moja matka zbyłaby machnięciem ręki.

Ale czuję się nieswojo. Przecież nie ma nic za darmo. Weźmy chłopca z bajki o cieniu sprzedanym za obietnicę: jeśli przymknę oczy na warunki układu i zacznę kupować od świata na kredyt, niedługo przyjdzie mi słono za to zapłacić...

Czego chcesz, Zozie?

Jakie są twoje warunki?

Przez resztę popołudnia dręczył mnie niepokój. Pewnie coś wisiało w powietrzu, zimowe światło zyskało złowrogi odcień. Czułam, że mi kogoś brakuje, choć nie wiedziałam, kto to może być. Może moja matka, może Armande lub Framboise. Ktoś zwyczajny, komu można zaufać.

Thierry zadzwonił dwa razy, ale nie odebrałam. Nic do niego nie dociera. Próbowałam skupić się na pracy, ale jakoś mi nie szło. Podgrzewałam czekoladę za mocno albo za słabo, niechcący zagotowałam mleko, a do ruloników orzechowych przez pomyłkę wsypałam pieprz zamiast cynamonu. Pod wieczór wreszcie rozboleła mnie głowa i zostawiwszy sklep pod opieką Zozie, poszłam się przewietrzyć.

Szłam bez celu, byle przed siebie. Na pewno nie planowałam wizyty na Rue de la Croix, ale to właśnie tam znalazłam się niespełna dwadzieścia minut później. Niebo przybrało kruchy, porcelanowy odcień błękitu, lecz słońce wisiało zbyt nisko, by grzać. Na szczęście włożyłam płaszcz, brunatny, podobnie jak moje buty. Owinęłam się nim szczelnie i wkroczyłam w rejony dolnego Butte.

Zwyczajny zbieg okoliczności, nic więcej. Od rana nie myślałam o Roux. Lecz oto stał przed budynkiem w roboczych butach i kombinezonie. Czarna wełniana czapka zasłaniała mu włosy. Stał do mnie tyłem, ale od razu go poznałam: porusza się w charakterystyczny sposób, zwinnie, a zarazem bez pośpiechu. Patrzyłam, jak się pochyla i zbiera resztki materiałów budowlanych, po czym wrzuca je do pojemnika.

Odruchowo cofnęłam się za zaparkowaną ciężarówkę. Nieoczekiwany widok Roux i świadomość, że Zozie przestrzegła mnie przed spotkaniem, odebrały mi odwagę. Z bijącym sercem obserwowałam go ze swojej kryjówki, niewidoczna w ciemnym palcie. Czy mam się odezwać? Czy na pewno chcę to zrobić? Co on tu w ogóle robi? Nienawidzi miasta, hałasu, gardzi bogactwem, a zamiast dachu woli

nad głową otwarte niebo.

Nagle pojawił się Thierry. Od razu wyczułam między nimi napięcie. Thierry sprawiał wrażenie poirytowanego, miał czerwoną twarz; burknął coś pod adresem Roux i zamaszystym gestem kazał mu wejść do środka. Roux udął, że nie słyszy.

– A ty co, głupi czy głuchy? – powiedział Thierry. – Nie zapominaj, że czas nagli. I bądź łaskaw korzystać z poziomicy: te deski to dąb, a nie sosnowe listewki.

– Mówisz tak do Vianne?

Akcent Roux zmienia się w zależności od nastroju. Tym razem zabrzmiał prawie egzotycznie i gardłowo. Przyzwyczajony do paryskiej wymowy Thierry nie zrozumiał ani słowa.

– Co?

– Pytałem, czy zwracasz się w ten sposób do Vianne wycedził z bezczelną powolnością Roux.

Twarcz Thierry'ego pociemniała.

– Robię to dla Yanne.

– Zaczynam rozumieć, co w tobie widzi.

Thierry roześmiał się nieprzyjemnie.

– Może dziś ją o to zapytam, co? Tak się składa, że jesteśmy umówieni. Może zabiorę ją na kolację. Gdzieś, gdzie nie kupuje się pizzy na kawałki.

I poszedł. Roux zrobił za jego plecami obsceniczny gest. Chyłkiem okrążyłam ciężarówkę; czułam się idiotycznie, ale nie chciałam, żeby mnie zauważyli. Thierry przeszedł dosłownie na wyciągnięcie ręki, na jego twarzy malowała się furia, niechęć i coś na kształt złośliwej satysfakcji. Wyglądał staro i dziwnie obco, i przez chwilę czułam się jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku. Oddalił się, a Roux został sam.

Obserwowałam go przez kolejnych parę minut. W takich chwilach ludzie ujawniają nieoczekiwane aspekty osobowości: weźmy chociażby Thierry'ego sprzed paru minut. Tymczasem Roux usiadł po prostu na krawężniku i zastygł bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wyglądał na znużonego, chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo.

Powinnam wrócić do sklepu, pomyślałam. Anouk będzie za niespełna godzinę, Rosette musi coś przekąsić, a skoro ma przyjść Thierry...

Wyszłam zza samochodu.

– Roux.

Skoczył na równe nogi, błyskając tym swoim uśmiechem. Ale zaraz powróciła czujność.

– Jeśli szukasz Thierry'ego, przed chwilą poszedł.

– Wiem.

Znowu uśmiech.

– Roux... – zaczęłam. Ale on wyciągnął ręce i znalazłam się w jego objęciach, tak jak ostatnio, z czołem opartym o ramię. Wdychałam jego zapach, zawierający w sobie znacznie więcej aniżeli woń trocin, lakieru do podłóg i potu. I poczułam się jakby ktoś przykrył nas niewidzialną kołdrą, odgradzając od świata.

– Wejźmy do środka. Cała się trzęsiesz.

Poszłam za nim i weszliśmy na górę. Mieszkanie wyglądało nie do poznania. Wszystko przykryte prześcieradłami, nieruchome jak śnieg, meble zepchnięte w kąty, warstwa pyłu na podłodze. Thierry wszędzie wnosi chaos; pod jego nieobecność ujrzałam to miejsce takim, jakie było naprawdę. Wysokie sufity z gipsowymi sztukateriami, szerokie framugi, misternie kute balkony od strony ulicy.

Roux zauważył, że się rozglądam.

– Przyjemne jak na klatkę. Pan Duży nie żałuje grosza.

Spojrzałam na niego spod oka.

– Nie lubisz go.

– A ty lubisz?

Puściłam jego słowa mimo uszu.

– Nie zawsze jest taki popędliwy. Jeśli chcesz wiedzieć, przeważnie bywa bardzo miły. Jest w stresie, może czymś go zdenerwowałaś...

– Albo jest miły dla tych, którzy coś znaczą. Pozostałych traktuje jak śmieci.

Westchnęłam.

– Miałam nadzieję, że się dogadacie.

– Jak myślisz, dlaczego wtedy nie wyszedłem? Albo nie dałem mu w twarz?

Bez słowa odwróciłam wzrok. Napięcie między nami przybrało na sile. Czułam jego bliskość, widziałam zacieki farby na jego kombinezonie. Miał pod spodem koszulkę, a na jego szyi błyskało zielone szkiełko na sznurku.

– Po co tu przyszłaś? – spytał. – Zadajesz się z robotem?

Och, Roux, pomyślałam. Co mam ci powiedzieć? Że to z powodu tego zagłębienia pod obojczykiem, do którego tak idealnie pasuje moje czoło? A może dlatego, że nie tylko wiem, co lubisz najbardziej, ale znam kręte ścieżki twojego serca? Może z powodu szczura wytatuowanego na twoim lewym barku, chociaż zawsze udawałam, że go nie lubię? A może z powodu twoich nagietkowych włosów lub rysunków Rosette, które tak bardzo przypominają mi twoje rzeźby z drewna i kamienia, że czasami muszę odwrócić wzrok, bo nie mogę znieść myśli,

że cię nie zna...

Pocałunek tylko pogorszyłby sprawę. Więc go pocałowałam, obsypałam mu twarz drobnymi pocałunkami, zdjęłam mu czapkę i swój płaszcz, z ulgą odnajdując usta Roux...

Przez pierwsze minuty byłam ślepa, w głowie miałam kompletną pustkę. Istniały tylko moje usta, moje dłonie na jego skórze. Reszta mnie była wymyślona i stopniowo budziła się do życia pod jego dotykiem jak topniejący śnieg. I znów się pocałowaliśmy, stojąc na środku pustego pokoju, otoczeni zapachem farby i trocin, z prześcieradłami rozpiętymi wokół nas jak żagle...

Gdzieś w mojej głowie kołatała myśl, że nie taki był plan, że teraz wszystko się skomplikuje. Ale nie mogłam przestać. Za długo czekałam. A teraz...

Zamarłam. Co teraz? Czy mamy do siebie wrócić? I co dalej? Czy to pomoże Anouk i Rosette? Odstraszy Życzliwych? Czy nasza miłość zapewni choć jeden posiłek i uciszy wiatr choćby na jeden dzień?

*Lepiej, gdybyś spała dalej, Vianne,* usłyszałam w głowie głos matki. *Oby ci na nim zależało...*

– Nie po to przyszłam, Roux. – Odepchnęłam go z wysiłkiem. Nie próbował mnie przytrzymać i tylko patrzył, jak narzucam płaszcz i przyglądam włosy drżącymi rękami.

– Dlaczego tu jesteś? – spytałam ostro. – Po co w ogóle zostałeś w Paryżu? Przecież widzisz, jak jest.

– Nie prosiłaś, żebym wyjechał – odpowiedział. – Poza tym chciałem wiedzieć, co to za gość. Chciałem mieć pewność, że u ciebie wszystko w porządku.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – ucięłam. – Sama potrafię o siebie zadbać. Widziałeś sklep.

Roux uśmiechnął się pojednawczo.

– Więc po co przyszłaś?

W ciągu minionych lat nauczyłam się kłamać. Okłamywałam Anouk, okłamywałam Thierry'ego, a teraz muszę okłamać Roux. Jeśli nie dla jego dobra, to przynajmniej dla własnego, wiedziałam bowiem, że uśpione dotąd uczucia każą mi na dobre odepchnąć Thierry'ego, a moje plany ulecą jak liście na wietrze.

– Teraz cię proszę – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. – Chcę, żebyś wyjechał. Nie mogę cię dłużej zwodzić. Czekam na coś, co nigdy nie nastąpi. Nie chcę cię więcej ranić.

– Nie potrzebuję pomocy – rzucił kpiąco. – Sam potrafię o siebie zadbać.

– Roux, proszę.

– Mówiłaś, że go kochasz. Teraz widzę, że to nieprawda.

– To nie takie proste...

– A dlaczego? – spytał Roux. – Z powodu *chocolaterie*? Wychodzisz za niego ze względu na sklep?

– Łatwo ci mówić. Ale gdzie byłeś cztery lata temu? I na jakiej podstawie myślisz, że tak po prostu możesz teraz wrócić, jak gdyby nigdy nic?

– Niewiele się zmieniłaś, Vianne. – Dotknął mojego policzka. Napięcie między nami znikło, wyparte przez tępy, słodki ból. – I jeśli sądzisz, że wyjadę...

– Muszę myśleć o dzieciach, Roux. Tu nie chodzi tylko o mnie. – Mocno ścisnęłam jego palce. – To, co dzisiaj zaszło, dowodzi jedynie, że nie możemy być razem. Nie ufam sobie. Nie czuję się bezpieczna.

– Bezpieczeństwo jest bardzo istotne, tak?

– Gdybyś miał dzieci, wiedziałbyś, o czym mówię.

Tak, to było największe kłamstwo ze wszystkich. Ale musiałam to powiedzieć. Roux musi wyjechać. Dla mojego spokoju, dla dobra Anouk i Rosette. Kiedy wróciłam, obie były na górze, Anouk biegła właśnie do Zoie z najświeższymi nowinkami ze szkoły. Samotność nieoczekiwanie sprawiła mi ulgę. Poszłam do swojego pokoju i spędziłam pół godziny nad matczynymi kartami, próbując uspokoić skolatane nerwy.

Mag, Wieża, Wisielec, Głupiec.

Śmierć. Kochankowie. Koło Fortuny.

Koło Fortuny. Karta przedstawia koło, kręcące się nieubłaganie. Papieża i żebracy, królowie i pospólstwo, wszyscy kurczowo uczeplieni szprych. Widzę ich otwarte usta i pyszałkowate uśmiechy, które przy kolejnym obrocie przechodzą w okrzyki trwogi.

Patrzę na Kochanków. Adam i Ewa, stoją nadzy, trzymając się za ręce. Ewa ma czarne włosy, Adam rude. Nie ma w tym żadnej tajemnicy, karty wydrukowano w trzech kolorach: żółć, czerwień oraz czerń, które wraz z bielą tła symbolizują kolory czterech wiatrów.

Co mnie znów podkusiło, żeby wyjąć te karty?

Co chcą mi przekazać?

O szóstej zadzwonił Thierry, chciał zaprosić mnie na kolację. Wymówiłam się migreną, co nie było dalekie od prawdy: głowa ćmiła jak chory ząb, a myśl o jedzeniu tylko pogarszała sprawę. Udobruchałam go obietnicą jutrzejszego spotkania i usiłowałam nie myśleć o Roux. Lecz kiedy próbowałam zasnąć, czułam

na twarzy dotyk jego ust, a gdy Rosette obudziła się z płaczem, usłyszałam w nim głos Roux i zobaczyłam jego cień w szarzielonych oczach córki...

*Piątek, 14 grudnia*

Zostało dziesięć dni do Wigilii. Dziesięć dni do wielkiego wybuchu, a to, co uważałam dotąd za proste jak drut, nieoczekiwanie się skomplikowało.

Po pierwsze, Thierry. Po drugie, Roux.

O rany. A to ci bajzel.

Od czasu niedzielnej rozmowy z Zozie zastanawiam się nad najlepszym rozwiązaniem. W pierwszym odruchu chciałam iść do Roux i wyłożyć mu całą prawdę, ale Zozie mówi, że to byłby błąd.

W bajce poszłoby jak po maśle. Powiedzieć Roux, że jest ojcem Rossette, pozbyć się Thierry'ego, a wtedy wszystko wróciłoby do normy i w święta urządzilibyśmy wielki bal. Koniec, kropka. Bułka z masłem.

Ale w prawdziwym życiu to nie takie proste. Zozie mówi, że w prawdziwym życiu niektórzy mężczyźni nie umieją sobie poradzić z ojcostwem. Zwłaszcza jeśli chodzi o takie dziecko jak Rosette. A jeśli to go przerośnie? I będzie się jej wstydział?

Zeszłej nocy prawie nie zmrużyłam oka. Zauważywszy go na cmentarzu, zaczęłam się zastanawiać, czy Zozie aby na pewno ma rację, że Roux nie chce nas widzieć. No to czemu pracuje dla Thierry'ego? Wie czy nie wie? Myślałam i myślałam, ale nic nie wymyśliłam. Dlatego dziś postanowiłam pójść na Rue de la Croix i zamienić z nim kilka słów.

Dotarłam na miejsce około wpół do czwartej, cała roztrzęsiona. Związałam z ostatniej lekcji; zbliża się koniec semestru, w razie czego powiem, że siedziałam w bibliotece. Jean-Loup zaraz by się domyślił, w czym rzecz, ale znowu był dzisiaj chory, toteż ze znakiem Małpy na ręce wymknęłam się ze szkoły niezauważona.

Pojechałam autobusem na Place de Clichy, po czym przeszłam na Rue de la Croix, cichą, szeroką ulicę z widokiem na cmentarz. Stojące po jednej stronie wielkie, stare domy ze stiukami wyglądały jak rząd tortów weselnych, po drugiej stronie zaś biegł gruby, wysoki mur.

Mieszkanie Thierry'ego znajduje się na najwyższym piętrze. Należy do niego cały budynek, dwa piętra i mieszkanie w suterenie. To największa chata, jaką kiedykolwiek widziałam, chociaż sam Thierry wiecznie marudzi i narzeka na ciasnotę.



Gdy dotarłam na miejsce, ulica była pusta. Po jednej stronie budynku stało rusztowanie, na drzwiach rozwieszono folię malarską. Na krawężniku siedział jakiś mężczyzna w kasku ochronnym i palił papierosa, ale widziałam, że to nie Roux.

Weszłam do środka. Na półpiętrze doleciał mnie szum maszyn oraz słodkawy, jakby koński zapach drewna. Usłyszałam też głosy, a właściwie jeden głos, Thierry'ego, wybijający się ponad hałasem. Pokonałam kilka ostatnich schodów, pokrytych pyłem i trocinami. Na drzwiach wisiała płachta folii; odsunęłam ją i zajrzałam do środka.

Roux, w masce na twarzy, cyklinował właśnie podłogę. Dokoła unosił się zapach surowego drewna. Thierry stał nad nim w szarym garniturze i żółtym kasku, z miną, jaką robi wówczas, gdy Rosette nie chce jeść łyżką albo wypluwa jedzenie na stół. Roux wyłączył maszynę i zdjął maskę. Wyglądał na zmęczonego i niezbyt uszczęśliwionego.

Thierry obrzucił parkiet krytycznym spojrzeniem.

– Zmieć ten pył i zabierz się do lakierowania. Przed wyjściem masz położyć chociaż jedną warstwę.

– Chyba żartujesz. Będę tu siedział do północy.

– Mam to gdzieś – odburknął Thierry. – Nie pozwolę, żebyś zmarnował kolejny dzień. Musimy skończyć do Wigilii.

Po czym wymaszerował z mieszkania i zszedł na dół. Nie zauważył mnie, bo stałam za folią, ale ja widziałam go bardzo dokładnie i to, co zobaczyłam, wcale mi się nie spodobało. Nie uśmiechał się, jednak miał bardzo zadowoloną minę, jak Święty Mikołaj, który zamiast rozdać dzieciom prezenty, w tym roku postanowił zachować je dla siebie. I wtedy go znienawidziłam. Nie tylko dlatego, że nakrzyczał na Roux, lecz dlatego że uważał się za lepszego niż on. To, jak na niego patrzył, stojąc nad nim jak nad pucybutem, w aurze czegoś, co wyglądało na zazdrość albo jeszcze gorzej...

Roux siedział po turecku na podłodze, z maską opuszczoną na szyję i butelką wody w ręce.

– Anouk! – uśmiechnął się szeroko. – Przyszłaś z Vianne?

Pokręciłam głową. Uśmiech zgasł.

– Dlaczego nie przyszedłeś? Obiecałeś...

– Byłem zajęty, po prostu. – Ogarnął wzrokiem pokój i meble opakowane w folię. – Podoba ci się?

– Ble – odpowiedziałam.

– Koniec z przeprowadzkami. Będziesz miała własny pokój. Blisko do szkoły.

Czasami się zastanawiam, dlaczego dorośli robią ze szkoły takie halo, skoro dzieci znają się na życiu lepiej od nich. Dlaczego tak wszystko komplikują? Czy choć raz wszystko nie może być proste?

– Słyszałam waszą rozmowę. Thierry nie powinien tak do ciebie mówić. Uważa się za Bóg wie kogo. Dlaczego go nie pošlesz na drzewo?

Roux wzruszył ramionami.

– Bo mi płaci. Zresztą... – Dostrzegłam błysk w jego oczach. – Może niedługo mu za to podziękuję.

Usiadłam obok niego na podłodze. Pachniał potem i trocinami, jego włosy i ręce pokrywał pył. Wyglądał jakoś inaczej, choć nie umiałam określić, na czym dokładnie polegała różnica. Sprawiał wrażenie pogodniejszego i pełnego nadziei, nie tak jak wtedy, gdy przyszedł do *chocolaterie*.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Anouk?

Powiedz Roux, że jest ojcem. Taa, jasne. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Pośliniłam czubek palca i narysowałam na zakurzonej podłodze symbol Księżycy Królika. Zozie mówi, że to mój znak. Kolo z królikiem w środku. Ma wyglądać jak księżyc w nowiu i symbolizuje miłość oraz nowy początek. Przyszło mi do głowy, że skoro to mój znak, to musi podzielać na Roux.

– Co się stało? – uśmiechnął się Roux. – Kot odgryzł ci język?

Być może sprawiło to słowo „kot”. Albo fakt, że nigdy nie umiałam okłamywać ludzi, zwłaszcza tych, na których mi zależało. Tak czy inaczej, powiedziałam to na głos. Zadałam pytanie, które miałam na końcu języka od czasu rozmowy z Zozie.

– Czy wiesz, że jesteś tatą Rosette?

Wytrzeszczył na mnie oczy.

– Że co, proszę? – Był autentycznie wstrząśnięty, czyli naprawdę nie miał o niczym pojęcia. Ale na jego twarzy nie malowało się zadowolenie.

Spojrzałam na znak Księżycy Królika i dorysowałam obok złamany krzyż Czerwonej Małpy Tezcatlipoca.

– Wiem, co sobie myślisz. Jest mała jak na swoje cztery lata. Trochę się ślini i nie przesypia nocy. Nie umie mówić ani jeść łyżką, ale potrafi być naprawdę kochana. Jeśli tylko dać jej szansę.

Twarz Roux przybrała odcień pyłu. Potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić.

– Cztery lata? – powtórzył.

– W przyszłym tygodniu ma urodziny. – Popatrzyłam na niego z uśmiechem. – Wiem, że nie miałeś o niczym pojęcia. Wierzę, że nigdy byś nas nie zostawił. Nie, gdybyś wiedział o Rosette. – Opowiedziałam mu o jej narodzinach, o tym, jak

mieszkałyśmy nad *creperie* w Les Laveuses, o tym, jak była chora i karmiłyśmy ją pipetką, jak przeniosłyśmy się do Paryża i co było dalej...

– Chwileczkę – Roux wpadł mi w słowo. – Czy Vianne wie, że tu jesteś? Wie, że mi o tym mówisz?

Potrząsnęłam głową.

– Nikt nie wie.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym spokojne zielenie i błękity jego aury ustąpiły miejsca czerwieni i mocno zacisnął usta, wcale nie jak Roux, którego znałam.

– Czyli... przez tyle lat nie powiedziała mi ani słowa? Mam córkę i nic o tym nie wiedziałem? – Kiedy jest zły, jego południowy akcent przybiera na sile. Tym razem jego słowa zabrzmiały tak, jakby mówił w obcym języku.

– Może po prostu nie miała okazji.

Prychnął.

– Albo uważa, że jestem słabym materiałem na ojca.

Chciałam go objąć, pocieszyć, powiedzieć, że wszystkie go kochamy. Ale był zbyt wzburzony, aby mnie wysłuchać, widziałam to nawet bez Dymiącego Zwierciadła. I nagle przyszło mi do głowy, że może Zoie miała rację i powinnam była trzymać buzię na kłódkę...

Nagle Roux wstał, jakby właśnie podjął jakąś decyzję. Szurnął nogą i zamazał znak Czerwonego Tezcatlipoki.

– Mam nadzieję, że się dobrze bawiłaś. Szkoda tylko, że nie zaczekałaś, aż skończę remont... – Zerwał z szyi maskę i rzucił nią ze złością o ścianę. – Możesz powiedzieć matce, że mam dość. Może odetchnąć z ulgą. Dokonała wyboru i niech tak zostanie. I przekaz Le Tressetowi, żeby sam wycyklinował podłogę. Ja spadam.

– Dokąd? – zapytałam.

– Do domu – odparł Roux.

– To znaczy na łódź?

– Jaką łódź?

– Mówiłeś, że masz łódź – przypomniałam.

– Aha. – Popatrzył na swoje ręce.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma żadnej łodzi?

– Jasne, że jest. Mam łódź jak się patrzy – powiedział bezbarwnym głosem i odwrócił wzrok.

Zrobiłam palcami Dymiące Zwierciadło i zobaczyłam jego aurę, całą w gniewnych czerwieniach i cynicznych zieleniach. Proszę, Roux. Ten jeden, jedyny

raz.

– A gdzie? – zapytałam.

– W Port de l’Arsenal.

– A skąd się tu wzięłeś?

– Przepływałem w pobliżu.

Kolejne kłamstwo, pomyślałam. Przyplnięcie łodzią z Tannes zabiera szmat czasu. Może nawet kilka miesięcy. Poza tym przez Paryż nie przepływa się tak po prostu. Najpierw trzeba się odmeldować w Port de Plaisance i zapłacić za cumowanie. Zresztą skoro miał łódź, to po co pracował dla Thierry'ego?

Jak tu gadać z takim kłamczuchem? To by było na tyle, jeśli chodzi o mój plan (tak go szumnie nazwijmy), oparty na założeniu, że Roux ucieszy się na mój widok, powie, jak strasznie za nami tęsknił i będzie niepokieszony na wieść o ślubie *maman*, a potem ja powiem mu o Rosette i zrozumie, że nie może wyjechać, tylko zamieszka z nami w *chocolaterie*, *maman* zerwie zaręczyny i wszyscy będziemy wielką, szczęśliwą rodziną...

Gdzie ja miałam głowę?

– A co ze mną i Rosette? – zapytałam. – W Wigilię urządzamy przyjęcie. – wyjęłam ze szkolnej torby kopertę i mu podałam. – Przecież musisz przyjść – rzuciłam desperacko. – Patrz, dostałeś zaproszenie, i w ogóle...

Roześmiał się nieprzyjemnie.

– Kto, ja? Musiałaś mnie pomylić z ojcem kogoś innego. O matko, pomyślałam. Ale historia. Im usilniej próbowałam przemówić mu do rozumu, tym bardziej się wkurzał.

Mój nowy System, który tak ładnie się sprawdził w wypadku Nico, Mathilde i madame Louzeron, kiedy chodziło o Roux był kompletnie bezużyteczny.

Gdybym tylko skończyła jego lalkę...

I doznałam olśnienia.

– Czekaj – powiedziałam. – Masz pył we włosach. – Podniosłam rękę, żeby go strzepnąć.

– Auu! – krzyknął Roux.

– Wybacz – odpowiedziałam. – Czy możemy się jutro zobaczyć? Choćby po to, żeby się pożegnać?

Długo się nie odzywał. Byłam pewna, że odmówi. Wreszcie westchnął.

– Spotkajmy się na cmentarzu o trzeciej. Przy grobie Dalidy.

– W porządku – odrzekłam, uśmiechając się leciutko.

Zauważył ten uśmiech.

– I tak nie zostanę – uprzedził.

Tak ci się tylko wydaje, Roux.

I zacisnęłam w rękę trzy rude włosy.

Ponieważ tym razem Roux, który zawsze chodzi swoimi ścieżkami, dla odmiany zrobi to, o co go poproszę. Tym razem to moja kolej. Ja decyduję. Przyjdzie na nasze przyjęcie wigilijne, choćby nie wiem co. Już ja tego dopilnuję. Pewnie będzie się wzbraniał, ale przyjdzie. Choćbym miała wezwać na pomoc Hurakana.

*Piątek, 14 grudnia*

Inwokacja do wiatru:

Najpierw zapal świece. Mogą być czerwone, na szczęście, białe też są dobre. Lecz jeśli naprawdę chcesz zrobić wszystko jak należy, weź czarne, ponieważ czerń to kolor końca roku, mrocznego czasu pomiędzy *Dia de los Muertos* i grudniową pełnią, kiedy martwy rok ponownie zaczyna się przeobrażać.

Teraz narysuj żółtą kredą krąg na podłodze. Przesuń łóżko i niebieski chodniczek, aby odsłonić deski. Tylko nie zapomnij przesunąć ich z powrotem, żeby *maman* nie zauważyła śladów. *Maman* by nie zrozumiała, ale w końcu...

*Maman* nie musi wiedzieć.

Widzisz, włożyłam czerwone buty. Sama nie wiem dlaczego, może na szczęście: kiedy mam je na nogach, jakoś nic złego nie może się wydarzyć. I weź trochę farby w proszku lub piasku (patrz, ja używam kryształków cukru), aby zaznaczyć punkty na okręgu. Kolor czarny na północy, biały na południu, żółty na wschodzie i czerwony na zachodzie. Rozsyp piasek wokół kręgu, żeby obłaskawić pomniejszych bóstwa wiatru.

Teraz ofiara, kadzidło i mirra. Pamiętasz, to dar Mędrców dla Dzieciątka w żłóbku. Skoro były dobre dla Jezusa, my też zrobimy z nich pożytek. I złoto: hm, mamy parę czekoladek w złotych papierkach, chyba się nadają, co? Zoie mówi, że Aztekowie składali bogom w ofierze czekoladę. Jeszcze tylko krew, mam nadzieję, że nie mają za dużych wymagań. Małe ukłucie szpilką... auu! Dobra, wystarczy. Teraz musimy tylko zapalić kadzidło i gotowe.

Usiądźmy w kręgu po turecku i weźmy lalki, po jednej w każdą rękę. Jeszcze będzie nam potrzebna torebka czerwonego cukru.

Najpierw znak Księżycy Królika. Niech będzie nim Pantoufle, tu, na granicy kręgu. Teraz rysujemy Kolibrę, Błękitnego Tezcatlipocę: niech będzie niebem po mojej lewej ręce. Symbolizująca ziemię Małpa, Tezcatlipoca Czerwony, znajdzie się po twojej lewej stronie. Tutaj niech czuwa Bam, tuż obok znaku Małpy.

No proszę. Gotowe. Czy to nie świetna zabawa? Kiedyś już to zrobiliśmy, pamiętasz? Ale coś nie wyszło. Tym razem stanie się inaczej. Dziś wezwiemy właściwy wiatr. Nie Hurakan, ale Wiatr Zmienny, ponieważ musi wprowadzić pewne zmiany.

W porządku? Zrób na podłodze spiralę z czerwonego cukru.

Teraz inwokacja. Wiem, że nie znasz słów, ale i tak możemy zaśpiewać razem. Śpiewamy...

*Via Vbon vent, v'la l'joli vent...*

Właśnie tak. Tylko po cichu.

Dobrze. Teraz lalki. Najpierw Roux. Jeszcze nie znasz Roux, ale wkrótce go poznasz. A to *maman*, widzisz? *Maman* w ślicznej czerwonej sukience. Tak naprawdę nazywa się Vianne Rocher. Szepczę jej to do ucha. A to kto, ta mała dziewczynka o pomarańczowych włosach i zielonych oczach? To ty, Rosette. Właśnie ty. Postawimy je w kręgu, obok siebie, wśród płonących świec, ze znakiem Ehecatla pośrodku. Należą do siebie, tak jak postacie w szopce. Wkrótce znów będą razem i staniemy się rodziną...

A to... któż to stoi poza żółtym kręgiem? To Thierry ze swoją komórką. Nie chcemy, żeby wiatr zrobił mu krzywdę, ale nie ma tu dla niego miejsca. Możesz mieć tylko jednego tatę, Rosette, i nie będzie nim Thierry. On musi odejść. Wybacz, Thierry.

Słyszysz, jak hula wiatr? To zdążający ku nam Wiatr Zmian. Zozie mówi, że można go ujeźdzać, okiełznać jak dzikiego rumaka, aż spotulnieje jak baranek. Możesz być latawcem, ptakiem, możesz spełniać życzenia i odnaleźć to, czego twoje serce pragnie najmocniej na świecie...

Gotowa?

Dalej, Rosette. Cugle w dłoń.

*Sobota, 15 grudnia*

To niewiarygodne, jaki z dziecka potrafi być mały krętacz. Zupełnie jak domowy kot, który za dnia mruczy sobie na kanapie, a nocą zamienia się w krwiożerczego drapieżnika, obojętnego na swój dotychczasowy wizerunek.

Anouk nie jest drapieżnikiem, przynajmniej na razie, ale ma w sobie pewną dzikość. Naturalnie bardzo mnie to cieszy (nie potrzebuję kotka do głaskania), jednak skoro woli działać na własną rękę, powinnam mieć na nią oko.

Po pierwsze, bez mojej wiedzy wezwała Ehecacatl. Nie, żebym miała coś przeciwko temu. Ba, jestem wręcz dumna. Jest bystra, ma fantazję i ucieka się do własnych pomysłów tam, gdzie zawodzą utarte schematy. Krótko mówiąc, jest urodzonym chaonitą. [Chaoizm – postmodernistyczny nurt filozoficzny, oparty na skrajnym indywidualizmie, subiektywizmie i relatywizmie.]

Po drugie zaś (co bardziej istotne), w tajemnicy i na przekór moim radom poszła wczoraj do Roux. Na szczęście opisała to w swoim dzienniku, do którego regularnie zaglądam. Nic prostszego: podobnie jak matka, trzyma swoje sekrety w kartonie po butach na dnie szafy. Przewidywalne i wygodne, dzięki temu mogę trzymać rękę na pulsie.

W sumie dobrze się stało. Umówili się na kolejne spotkanie: dziś, na cmentarzu, o trzeciej. Wszystko pięknie się układa; moje plany wobec Vianne są bliskie finalizacji i prawie pora na kolejny etap. Lecz zagarnięcie cudzego życia jest łatwiejsze na papierze aniżeli w praktyce: kilka wyrzuconych rachunków, paszport wyjęty z torebki na lotnisku, a nawet nazwisko na świeżym nagrobku. I *voilà!* Lecz tym razem chodzi mi o coś więcej niż samo nazwisko, więcej niż dane potrzebne do wzięcia kredytu, więcej nawet niż pieniądze.

Oczywiście to coś w rodzaju gry strategicznej. Polega na złożeniu wszystkiego do kupy bez wiedzy przeciwnika, a następnie określeniu, co można poświęcić dla odniesienia pełnego zwycięstwa. Potem zostaje już tylko potyczka jeden na jednego, walka na siłę woli pomiędzy mną i Yanne: muszę przyznać, że wprost nie mogę się doczekać. Stanać z nią oko w oko ze świadomością, co obie ryzykujemy...

Ha, o to dopiero warto zagrać.

Przeanalizujmy raz jeszcze moje dotychczasowe posunięcia. Nie marnowałam



czasu i pracowałam pilnie nad zawartością piñaty Yanne, co doprowadziło mnie do paru odkryć.

Po pierwsze, wcale nie nazywa się Yanne Charbonneau.

To oczywiście już wiemy. Ale powiem więcej: wszystko wskazuje na to, że nie nazywa się też Vianne Rocher. Czułam, że przeoczyłam coś ważnego, toteż któregoś dnia, pod jej nieobecność, ponownie przejrzałam pudełko i znalazłam to, czego szukałam.

Widziałam tę rzecz już za pierwszym razem, lecz zbagatelizowałam jej znaczenie, skoncentrowana na Vianne Rocher. Ale wciąż tam jest, zawieszona na spłowiej, czerwonej wstążce: srebrny, nieco szerniały amulet w kształcie kotka, zapewne pozostałość taniej błyskotki. Leży w kartoniku Vianne wraz z mlecznym zębem Anouk i kartami tarota, które pamiętają lepsze czasy.

Podobnie jak ja, Vianne podróżuje bez balastu. Nie przechowuje śmieci. Każda rzecz w pudełku została zachowana z konkretnego powodu. To samo dotyczy srebrnego kotka. Wzmianka na jego temat znajduje się w wycinku prasowym, tak kruchym i zbrązowiałym, że nie miałam odwagi rozłożyć go całkowicie. Artykuł dotyczy zaginięcia osiemnastomiesięcznej Sylviane Caillou, porwanej sprzed drogerii ponad trzydzieści lat temu...

Czy kiedykolwiek próbowała szukać, wrócić? Instynkt podpowiada mi, że nie. Sami wybieramy sobie rodzinę, powtarza, a tamta kobieta, jej matka, której imię nawet nie pojawiło się w gazecie, jest dla niej wyłącznie splotem DNA. Dla mnie jednak...

Możecie powiedzieć, że jestem ciekawska. Sprawdziłam ją w Internecie. Trochę to zajęło: dzieci znikają codziennie, a tamto zdarzenie było dawno temu i przeszło właściwie bez echa. Ale w końcu wpadłam na trop, czyli znalazłam nazwisko matki Sylvane. W chwili zniknięcia dziewczynki miała dwadzieścia jeden lat, teraz zaś, według internetowej relacji ze zjazdu absolwentów, liczy sobie lat czterdzieści dziewięć, jest rozwiedziona i bezdzietna, wciąż mieszka w Paryżu niedaleko Pere Lachaise i prowadzi niewielki pensjonat.

Nazywa się on „Le Stendhal” i jest na rogu Avenue Gambetta i Rue Matisse. Dwanaście pokoi, łysiejąca choinka oraz wnętrze zdradzające nadmierne upodobanie do perkalu. Przy kominku stoi mały stolik, na którym siedzi pod szklanym kloszem porcelanowa lalka w różowej, jedwabnej sukience. Kolejna, tym razem w stroju panny młodej, trzyma wartę u stóp schodów. Trzecia, niebieskooka, w czapce i płaszczu obszytym czerwonym futerkiem, przycupnęła na biurku w recepcji.

Za biurkiem siedzi madame we własnej osobie, grubokoścista kobieta o ściągniętych rysach i przerzedzonych włosach wielbicielki diet odchudzających. Patrzy na mnie oczami Vianne...

– Madame?

– W czym mogę pomóc?

– Pracuję w „Le Rocher de Montmartre”. Mamy specjalną promocję na czekoladki własnej roboty i chciałabym zostawić pani kilka próbek...

Madame robi odpychającą minę.

– Nie jestem zainteresowana.

– Żadnych zobowiązań. Proszę tylko spróbować i...

– Nie, dziękuję.

Spodziewałam się tego. Paryżanie są z gruntu podejrzliwi, a moja „promocja” jest szyta trochę zbyt grubymi nićmi. Mimo to wyjęłam bombonierkę i otwartą postawiłam na biurku. Dwanaście trufli obtoczonych w kakao, każda w wyściółce ze złotego papieru. W rogu bombonierki widnieje żółta róża, a na pokrywce migocze znak Pani Krwawego Księżycy.

– W środku jest wizytówka – powiedziałam. – Jeśli pani zasmakują, zapraszam do składania zamówień. Jeśli nie... Wzruszyłam ramionami. – Poczęstunek na koszt firmy. Proszę bardzo. Niech pani spróbuje. Chętnie poznam pani opinię.

Z wahaniem popatrzyła na trufle. Widziałam, że jej wrodzona podejrzliwość walczy z aromatem dochodzącym z bombonierki: dymną wonią kakao z nutką goździków, kardamonu i wanilii oraz lekką domieszką armaniaku. Zapach niczym stracony czas, gorzkosłodki, niczym aromat końca dzieciństwa.

– Rozdajecie je w każdym hotelu? W ten sposób daleko nie zajdziecie.

Uśmiechnęłam się wymijająco.

– Jak to mówią, trzeba stracić, żeby zyskać.

Podniosła jedną trufkę.

Ugryzła.

– Hm. Niezłe.

O, chyba znacznie więcej. Przemyka oczy, cienkie wargi wilgotnieją.

– Smakuje?

Ma się rozumieć; uwodzicielski znak Pani Krwawego Księżycy rozjaśnia jej twarz różaną poświatą. Teraz wyraźniej dostrzegam w niej Vianne, ale Vianne postarzała i znużona, zgorzkniała od pogoni za zyskiem, bezdzietną Vianne, która ulokowała wszystkie uczucia w hotelu i porcelanowych lalkach.

– To naprawdę coś – mówi madame.

– Wizytówka jest w środku. Proszę nas odwiedzić.

Nie otwierając oczu, sennie kiwa głową.

– Wesołych świąt – dodaje.

Madame nie odpowiada.

A niebieskooka lalka pod kloszem posyła mi marzycielski uśmiech, jak dziecko zamrożone w lodowej kuli.

*Sobota, 15 grudnia*

Nie mogłam się doczekać dzisiejszego spotkania z Roux. Ach, jak najszybciej sprawdzić, czy coś się zmieniło, czy udało *mi* się zawrócić wiatr. Czekałam na znak. Śnieg, zorzę polarną lub nieoczekiwaną zmianę pogody, kiedy jednak rano zerwałam się z łóżka, zza okna wyjrzało na mnie to samo żółte niebo. *Maman* też wyglądała tak samo jak zawsze, z gładko upiętymi włosami, w fartuchu na czarnej sukience, i jak gdyby nigdy nic krzątała się po kuchni.

Cóż, na wszystko potrzeba czasu. Zmiany nie zachodzą tak prędko. Trochę się zagalopowałam, oczekując, że w ciągu jednej nocy Roux wróci, *maman* przejrzy na oczy co do Thierry'ego, a do tego spadnie śnieg. Dlatego zachowałam spokój i wyszłam na spacer z Jeanem-Loupem, przez cały czas czekając na godzinę trzecią.

O trzeciej, przy grobie Dalidy. Trudno go nie zauważyć: stoi tam pomnik naturalnej wielkości. Nie jestem pewna, kim była ta Dalida, pewnie jakąś aktorką. Spóźniłam się parę minut i Roux już czekał. O wpół do czwartej było już prawie ciemno; biegnąc po schodkach na górę, widziałam, jak siedzi na sąsiednim obelisku. W długim szarym płaszczu sam trochę wyglądał jak pomnik.

– Już myślałem, że nie przyjdiesz.

– Przepraszam za spóźnienie. – Objęłam go na powitanie. – Musiałam się pozbyć Jeana-Loupa.

Uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Ależ to złowieszczo zabrzmiało. Kto to taki?

– Kolega ze szkoły – wyjaśniłam z lekkim zakłopotaniem. – Strasznie lubi przychodzić na groby. Często robi tu zdjęcia, ma nadzieję, że kiedyś zobaczy ducha.

– Cóż, wygląda na to, że wybrał właściwe miejsce uznał Roux. Popatrzył na mnie. – Co tam?

O rany. Nie wiedziałam, od czego zacząć. W ciągu ostatnich kilku tygodni tyle się wydarzyło...

– Właściwie to się pokłóciliśmy.

To idiotyczne, wiem, ale zbierało mi się na płacz. Oczywiście to nie miało związku z Roux, i wcale nie miałam zamiaru o tym mówić, ale skoro zaczęłam...

– O co? – spytał.

– O coś głupiego. Nieważne.

Roux posłał mi uśmiech, jaki widnieje czasem na twarzach kościelnych rzeźb. Nie, żeby przypominał anioła, ma się rozumieć. Ale... z jego twarzy była cierpliwość, coś w rodzaju „będę tu siedział cały dzień jeśli muszę”.

– Powiedział, że nie będzie przychodził do *chocolaterie* powiedziałam, rozżalona i zła, głównie dlatego że się wygadałam. – Podobno źle się tam czuje.

Właściwie niezupełnie o to chodziło. Jednakże prawda była tak idiotyczna i bezsensowna, że nie mogłam się zdobyć na jej powtórzenie. Ja naprawdę lubię Jeana-Loupa. Ale Zozie to moja najlepsza przyjaciółka, oczywiście oprócz Roux i *maman*. Nie mogę pojąć, dlaczego jest taki niesprawiedliwy.

– Nie lubi Zozie? – odgadł Roux.

Wzruszyłam ramionami.

– Przecież nawet jej nie zna – odpowiedziałam. – Zaczęło się od tego, że na niego naskoczyła. Zwykle na nikim się nie wyżywa. Po prostu nie lubi, jak ktoś ją fotografuje.

Nie tylko to. Pokazał mi dzisiaj dwa tuziny wydrukowanych zdjęć, które zrobił w *chocolaterie*, przedstawiających domek adwentowy, *maman*, mnie oraz Rosette, i wreszcie cztery fotografie Zozie, wszystkie pod dziwnym kątem, jakby usiłował przylapać ją z ukrycia.

– To nie w porządku. Prosiła cię...

Jean-Loup zrobił upartą minę.

– Powinnaś je obejrzeć.

I obejrzałam. Były okropne. Na wszystkich wyszła zamazana i wcale do siebie niepodobna: widać było tylko błądy owal twarzy i usta skrzycone jak drut kolczasty. Wszystkie też miały tę samą szkę, a mianowicie dokoła głowy Zozie widniała ciemna smuga z żółtym kręgiem...

– Musiałeś schrzanić odbitki – oznajmiłam.

Potrząsnął głową.

– Tak wyszły.

– To pewnie wina oświetlenia czy coś w tym stylu.

– Może – odpowiedział. – Albo coś innego.

Spojrzałam na niego pytająco.

– Co masz na myśli?

– No wiesz – powiedział. – Błędne ogniki.

O matko. Błędne ogniki! Biedak tak się zawziął, żeby zobaczyć ducha, że pomerdało mu się w głowie. Że też akurat padło na Zozie. No jak tak można?

Roux spoglądał na mnie z tą swoją miną rzeźbionego anioła.

– Opowiedz mi o Zoie – poprosił. – Odnoszę wrażenie, że jesteście ze sobą blisko.

Opowiedziałam mu o pogrzebie, rubinowych czółenkach i Halloween, i o tym, jak Zoie spadła nam jak z nieba i wszystko odmieniła...

– Twoja mama wygląda na zmęczoną.

Gadaj zdrów, pomyślałam. To on sprawiał wrażenie wyczerpanego, był bledszy niż zwykle, a jego włosy domagały się szamponu. Zastanawiałam się, czy Roux w ogóle coś je. Może powinnam była coś przynieść?

– Cóż, mamy dużo roboty, przed świętami i w ogóle...

Zaraz, zaraz.

– Szpiegujesz nas? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Kręciłem się w pobliżu.

– Po co?

Znów wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że z ciekawości.

– I dlatego zostałeś? Z ciekawości?

– Też. Ale głównie, bo wygląda na to, że twoja mama ma kłopoty.

Aż podskoczyłam.

– Bo ma! – zawołałam. – Wszyscy mamy. – I ponownie opowiedziałam mu o Thierry'emu i jego planach, o tym, że wszystko się zmieniło, i że tęsknię za naszym dawnym życiem, kiedy wszystko było takie proste...

Roux uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nigdy nie było proste.

– Przynajmniej wiedziałyśmy, kim jesteśmy – przypomniałam.

W milczeniu wzruszył ramionami. Włożyłam rękę do kieszeni. Była tam jego lalka, ta z ubiegłego wieczora. Trzy rude włosy, sekret wyszeptany do ucha i spiralny znak Ehecatla, Zmiennego Wiatru, narysowany flamastrem na sercu.

Zacisnęłam dłoń wokół niej, jakbym dzięki temu mogła go zatrzymać.

Roux zadrżał i szczerzej otulił się płaszczem.

– To... nie wyjedziesz, prawda? – spytałam ostrożnie.

– Chciałem. Może powinienem. Ale coś nie daje mi spokoju. Anouk, czy nie zdarza ci się mieć wrażenia, że dzieje się coś niedobrego, że ktoś was wykorzystuje, manipuluje wami, i że gdybyś wiedziała, w czym rzecz...

Spojrzał na mnie, a ja z ulgą stwierdziłam, że w jego aurze nie widać złości,

tylko refleksyjne błękity. Po chwili podjął ściszym głosem; nigdy nie słyszałam, by małowówny Roux wypowiedział na raz tyle słów.

– Byłem wczoraj bardzo zły. Tak się wściekłem, że Vianne zataiła to przede mną, że kompletnie nic do mnie nie docierało, nie mogłem myśleć. Potem mi przeszło i zacząłem się zastanawiać. Zastanawiałem się, jakim cudem Vianne Rocher, którą znałem, mogła się tak przeistoczyć. Początkowo obwiniałem Thierry'ego, ale znam ten typ. Znam także Vianne. Wiem, że jest twarda. Wiem też, że nie pozwoliłaby komuś takiemu jak Le Tresset przewrócić swego życia do góry nogami. Nie po tym, co przeszła. – Roux potrząsnął głową. – Nie, to nie on jest źródłem jej kłopotów.

– A kto? – zapytałam.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

– Twoja przyjaciółka Zozie ma w sobie coś... co nie do końca potrafię określić. Ale zawsze czuję to w jej obecności. Jest zbyt... doskonała. Doskonała aż do bólu. I przez to niebezpieczna.

– Nie rozumiem.

Tylko wzruszył ramionami.

Myślałam, że mnie rozsadzi. Najpierw Jean-Loup, teraz Roux. Spróbowałam przemówić mu do rozumu.

– Ona bardzo nam pomogła, Roux. Pracuje w sklepie, opiekuje się Rosette, uczy mnie różnych rzeczy...

– Jakich rzeczy?

Hm, skoro nie lubi Zozie, na pewno nie puszcę pary z ust. Ponownie wsunęłam dłoń do kieszeni i wymacałam palcami lalkę. Przypominała owiniętą gałgankiem małą kość.

– Po prostu jej nie znasz i tyle. Powinieneś dać jej szansę.

Spojrzał z powątpiewaniem. Jak coś sobie ubzdura, to ani rusz. Co za pech, dwoje moich najlepszych przyjaciół...

– Polubiłbyś ją, naprawdę. Jestem tego pewna. Opiekuje się nami...

– Gdybym w to wierzył, już by mnie tu nie było. A tak...

– Zostajesz?

Zapomniałam o złości i zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Przyjdiesz na przyjęcie wigilijne?

– No... – Westchnął.

– Super! Będziesz miał okazję lepiej poznać Zozie. I pobyć z Rosette... ach, Roux, tak się cieszę, że zostajesz!

– Ja też.

Ale nie wyglądał na ucieszonego. Szczerze powiedziawszy, miał bardzo zmartwioną minę. Tak czy inaczej, mój plan zadziałał, a tylko to się liczy. Rosette i ja zmieniłyśmy kierunek wiatru...

– Jak stoisz z gotówką? – zapytałam. – Mam... – Zajrzałam do kieszeni. – Szesnaście euro i trochę drobnych. Chciałam kupić Rosette prezent urodzinowy, ale...

– Nie – rzucił, jak mi się zdawało, trochę ostro. Zawsze miał problem z przyjmowaniem pieniędzy, chyba popełniłam gafę. – Jakoś sobie radzę, Anouk.

Wcale na to nie wyglądał. A skoro rzucił pracę...

Zrobiłam znak Ziarna Kukurydzy i przycisnęłam dłoń do jego ręki. To znak na szczęście, Zozie mnie nauczyła. Żeby nigdy nie zabrakło mu pieniędzy, jedzenia i w ogóle. Nie wiem, jak działa, ale działa: Zozie wykorzystwała go w *chocolaterie*, aby więcej ludzi kupowało trufle *maman*. Może dzięki niemu Roux dostanie pracę, wygra w totolotka albo znajdzie gruby banknot na ulicy. Sprawiałam, żeby znak zabłysnął i zaraz rozjarzył się na skórze jak gwiazdny pył. To powinno wystarczyć, pomyślałam. I nie ma nic wspólnego z litością.

– Zajrzysz przed Wigilią?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Najpierw mam do załatwienia... parę rzeczy.

– Ale przyjdiesz na przyjęcie? Obiecujesz?

– Obiecuję – odpowiedział Roux.

– Trzy palce na sercu?

– Trzy palce na sercu.



*Niedziela, 16 grudnia*

Roux nie przyszedł dzisiaj do pracy. Właściwie nie pokazał się przez cały weekend. Podobno w piątek ulotnił się przed czasem, wyprowadził z hotelu i od tamtej pory wszelki śluch po nim zaginął.

Pewnie można się było tego spodziewać. Przecież sama go prosiłam, żeby wyjechał. To dlaczego nie mogę sobie znaleźć miejsca? Dlaczego bez przerwy wyczekuję jego nadejścia?

Thierry wychodzi z siebie ze złości. W jego świecie podobne zachowanie zakrawa na wstyd i hańbę, nie znajduje nic na jego usprawiedliwienie. Mówił też o jakimś czeku, który Roux zrealizował albo go nie zrealizował...

Ostatnio prawie się nie widzimy. W sobotę wpadł na chwilę i napomknął o jakichś problemach w mieszkaniu. Przelotnie wspomniał o nieobecności Roux, a ja nie miałam odwagi wypytywać o szczegóły.

Dziś zajrzał pod wieczór i wszystko mi opowiedział. Zozie właśnie zamykała sklep, Rosette bawiła się układanką (nie próbuje układać obrazka, tylko tworzy skomplikowane spiralne wzory na podłodze), a ja zaczynałam robić nową partię wiśniowych trufli.

Thierry wpadł do sklepu rozsierdzony i czerwony jak burak, gotów w każdej chwili wybuchnąć.

– Od początku wiedziałem, co to za ziółko – oznajmił na wstępie. – Co jeden, to lepszy. Obiboki, złodziejskie nasienie... Włóczędzy. – Prawie wypluł to ostatnie słowo niczym egzotyczne przekleństwo. – Wiem, że to twój znajomy. Ale nawet ty nie jesteś ślepa. Wyjść bez słowa, rozwalić mi cały plan. Podam go do sądu. Albo stłukę tego rudego lenia na kwaśne jabłko...

– Thierry, proszę. – Nalałam mu kawy. – Spróbuj się uspokoić.

Lecz gdy w grę wchodzi Roux, Thierry potrafi być nieprzejednany. Są jak niebo i ziemia, to jasne. Rzetelny, pozbawiony wyobraźni Thierry, który od urodzenia mieszka w Paryżu i którego niechęć do samotnych matek, „alternatywnego” stylu życia i zagranicznej kuchni zawsze bawiła mnie do łez. Aż do dzisiaj.

– Kim on właściwie dla ciebie jest? Jakim cudem się spiknęliście?

Odwrociłam się z niechęcią.

– Już to przerabialiśmy.

Wlepiał we mnie rozjuszony spojrzenie.

– Byliście kochankami? – spytał. – O to chodzi? Spałaś z tym draniem?

– Thierry, proszę...

– Mów prawdę! Pieprzyłaś go? – wrzasnął.

Zadrzały mi ręce. Tłumiony dotąd gniew wreszcie zerwał się z uwięzi.

– A jeśli nawet, to co? – odburknęłam.

Tak proste słowa. Tak niebezpieczne słowa.

Spojrzał na mnie poszarzały na twarzy i zrozumiałam, że owa napaść, mimo swej gwałtowności, stanowiła jedynie kolejny z jego wielkich gestów, dramatyczny, przewidywalny i kompletnie bezsensowny. Musiał znaleźć upust dla swojej zazdrości, potrzeby panowania nad sytuacją oraz cichej niechęci wobec faktu, że nieoczekiwanie i bez jego pomocy stanęłam na nogi...

– Jesteś mi winna prawdę, Yanne – podjął roztrzęsionym głosem. – Za długo przymykałam na wszystko oczy. Na miłość boską, nawet nie wiem, kim jesteś. Wzięłam cię na wiarę, ciebie i twoje dzieci, czy kiedykolwiek usłyszałaś ode mnie słowo skargi? Jedna rozwydrzona, druga przygłupia... – Urwał.

Patrzyłam na niego bez słowa. Przebrałam miarę.

Rosette podniosła wzrok znad swojej układanki. Pod sufitem błysnęło światło. Plastikowe foremki do ciastek zadrzały na blacie, jakby nieopodal przejeżdżał pociąg.

– Przepraszam, Yanne. Wybacz mi. – Thierry rozpaczliwie próbował odzyskać grunt pod nogami jak handlarz obwoźny, który nie traci nadziei na tę jedną, intratną transakcję...

Ale zło już się dokonało. Mozolnie ustawiony domek z kart runął za sprawą jednego słowa. A ja zobaczyłam to, co umykało mi do tej pory. Po raz pierwszy zobaczyłam Thierry'ego takim, jaki jest naprawdę. Widziałam już jego małostkowość. Jego pogardę wobec podwładnych. Jego snobizm i arogancję. Lecz teraz po raz pierwszy ujrzałam też jego prawdziwe ja, jego kompleksy, niepewność skrytą za szerokim uśmiechem, napięcie ramion i dziwnie stężałą twarz, w chwilach gdy musiał spojrzeć na Rosette.

To fatalne słowo.

Oczywiście zawsze wiedziałam, że w obecności Rosette czuje się skrepowany. Zawsze próbował to zatuszować, lecz jego jowialność była wymuszona i brawurowa, jakby kusił los, drapiąc za uchem groźnego psa.

Teraz widzę, że chodziło nie tylko o Rosette. Czuł się skrepowany tym miejscem, miejscem, które stworzyliśmy bez jego udziału. Każda partia

czekoladek, każda sprzedana bombonierka, każdy klient przywitany po imieniu, a nawet krzesło, na którym siadał – wszystko to uświadamiało mu dobitnie, że jesteśmy samodzielne, prowadzimy niezależne życie i mamy przeszłość, w której Thierry Le Tresset nie odgrywał żadnej roli...

Ale on też ma swoją przeszłość. Coś, co sprawiło, że jest taki, a nie inny. To stamtąd biorą się jego lęki. Jego lęki, nadzieje, tajemnice...

Opuściłam wzrok na znajomy prostokąt granitowej płyty, na której hartuję czekoladę. Jest wiekowa i poczerniała ze starości; w chwili gdy otrzymałam ją na własność, nosiła już ślady wielokrotnego użycia. W kamieniu widnieją drobinki kwarcu, które nieoczekiwanie odbijają światło. Spoglądam na nie, czekając, aż czekolada ostygnie i będzie gotowa do ponownego podgrzania.

Nie chcę znać twoich tajemnic, myślę.

Ale granitowa płyta wie swoje. Upstrzona miką mruga, połyskuje i przyciąga wzrok, domagając się uwagi. Już niemal je widzę, obrazy odzwierciedlone w kamieniu. Na moich oczach nabierają kształtu i sensu, stają się okruchami życia, przeszłości, która ukształtowała Thierry'ego.

Thierry w szpitalu. Młodszy o jakieś dwadzieścia lat czeka przed zamkniętymi drzwiami. W rękę trzyma dwa ozdobnie zapakowane pudełka cygar, każde przewiązane wstążką, jedno różową, drugie niebieską. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Kolejna poczekalnia. Na ścianach wiszą obrazki z bohaterami kreskówek. Kobieta siedzi nieruchomo, z dzieckiem na kolanach. Chłopiec ma może sześć lat. Patrzy beznamiętnie na sufit i ani Kubuś, ani Tygrysek, ani Myszka Miki nie są w stanie wzbudzić błysku w jego oczach.

Budynek, podobny do szpitala. Chłopak... nie, młody mężczyzna, wsparty na ramieniu ładnej pielęgniarki. Wygląda na jakieś dwadzieścia pięć lat. Jest przysadzisty jak ojciec, głowa ciąży mu na szyi, a uśmiech wyraża kompletną pustkę.

Wreszcie zaczynam rozumieć. Oto jego sekret. Już rozumiem ten szeroki, promienny uśmiech faceta handlującego podrabianą religią, niechęć do rozmów o synu, wyteżony perfekcjonizm oraz to, jak patrzy na Rosette, a raczej jak na nią nie patrzy...

Westchnęłam.

- W porządku, Thierry. Już nie musisz kłamać.
- Kłamać?
- O swoim synu.

Zesztywniał; nawet bez granitowej płyty ujrzałam, jak wzbiera w nim wzburzenie. Zbladł, zaczął się pocić, a jego złość, na chwilę wyparta przez strach, powróciła gwałtownie jak podmuch złego wiatru. Wstał, zwałisty jak niedźwiedź, i przewrócił filiżankę, rozsypując czekoladki w kolorowych papierkach po całym blacie.

– O co ci chodzi? – burknął trochę zbyt głośno. – Alan pracuje w branży budowlanej. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Rzadko się widzimy, co nie znaczy, że mnie nie szanuje... i że nie jestem z niego dumny. – Zaczął krzyczeć, aż Rosette zasłoniła uszy rączkami. – Ktoś ci coś nagadał? Może Roux? Powiedz temu łajdakowi, żeby nie węszył!

– To nie ma nic wspólnego z Roux – odpowiedziałam. Skoro wstydzisz się własnego syna, jak mogłeś w ogóle myśleć o opiece nad Rosette?

– Yanne, proszę. To nie tak. Ja się nie wstydzę. Ale to mój jedyny syn, Sarah nie mogła mieć więcej dzieci. Zrozum, że chciałem, aby był...

– Idealny. Wiem.

Chwycił mnie za rękę.

– Mogę z tym żyć, Yanne. Przysięgam. Znajdziemy dla niej dobrego specjalistę. Dostanie wszystko, czego kiedykolwiek zapagnie. Opiekunkę, zabawki...

Znowu ta hojność, pomyślałam. Zupełnie jakby taka zasłona dymna mogła zmienić jego uczucia. Potrząsnęłam głową. Serca nie zmienisz. Możesz kłamać, mieć nadzieję, udawać sam przed sobą, ale jak uciekniesz przed tym, z czym przyszedłeś na świat?

Musiał dostrzec to w mojej twarzy, bo spuścił głowę, ramiona mu opadły.

– Przecież wszystko zaplanowane – powiedział.

Nie „kocham cię”, tylko „wszystko zaplanowane”.

Mimo gorzkiego smaku w ustach poczułam nagły przypływ radości. Zupełnie jakbym nagłe przełknęła coś, co tkwiło mi ością w gardle.

Dzwonki wietrzne zabrzęczały na zewnątrz, a ja odruchowo zrobiłam znak na przekór złym mocom. Trudno wykorzenić stare nawyki. Od lat go nie używałam. Ale coś nie dawało mi spokoju, jakby nawet taki drobiazg mógł na nowo obudzić wiatr. A gdy po wyjściu Thierry'ego zostałam sama, wydało mi się, że słyszę głosy na wietrze, głosy Życzliwych oraz dalekie echo śmiechu.

*Poniedziałek, 17 grudnia*

A więc stało się. Wesele odwołane. Hura! Chyba poszło o Roux. Nie mogłam się doczekać, aż opowiem mu o tym po szkole, ale nigdzie nie mogłam go znaleźć.

Zajrzałam do hotelu przy Avenue de Clichy, gdzie podobno mieszkał do tej pory. Pukałam i pukałam, ale nikt mi nie otworzył, a jakiś dziadyga z butelką wina nakrzyczał na mnie, że hałasuję. Nie było go też na cmentarzu i nikt go nie widział przy Rue de la Croix, dlatego wreszcie musiałam dać za wygraną, ale zostawiłam mu w hotelu wiadomość z napisem „pilne”, więc jak wróci, na pewno ją dostanie. Oczywiście jeśli wróci. Bo potem przyjechała policja i nikt nie mógł opuścić domu.

Najpierw myślałam, że przyjechali po mnie. Było już ciemno, dochodziła siódma, jadłyśmy z Rosette kolację w kuchni. Zozie gdzieś wyszła, *maman* miała na sobie czerwoną sukienkę i dla odmiany zostałyśmy tylko we trzy...

Nagle zjawiło się dwóch policjantów, a mnie przyszła do głowy głupia myśl, że coś stało się Thierry'emu i to moja wina, bo narozrabiałyśmy w piątkowy wieczór. Ale Thierry przylazł razem z nimi. Był cały i zdrowy, a do tego głośniejszy, weselszy i bardziej *salutmonpote* niż zwykle. Czułam jednak, że to tylko taka poza, że próbuje zamydląć policjantom oczy, i znów ogarnął mnie niepokój.

Okazało się, że szukają Roux. Posiedzieli pół godziny; *maman* wysłała nas na górę, ale i tak sporo usłyszałam, chociaż nie jestem pewna szczegółów.

Najwyraźniej chodziło o jakiś czek. Thierry twierdził, że dał go Roux; zachował odcinek i w ogóle. Podobno Roux coś przy nim majstrował przed przelaniem pieniędzy na swoje konto, dzięki czemu miał uzyskać więcej forsy, niż było w umowie.

Tysiąc euro. Thierry mówił, że to oszustwo. Można za to iść do więzienia, zwłaszcza jeśli otwierasz konto na inne nazwisko, po czym wypłacasz pieniądze i znikasz bez śladu.

Tak powiedzieli. Przecież to kompletna bzdura: wszyscy wiedzą, że Roux nie ma konta i nigdy by nic nie ukradł, nawet Thierry'emu. Ale rzeczywiście zniknął bez śladu, to jedno jest pewne. Od piątku nikt nie widział go w hotelu, nie pojawił się też w pracy, co oznacza, że najprawdopodobniej byłam ostatnią osobą, która go widziała. To również oznacza, że nie może tu wrócić, bo od razu zostanie aresztowany. Głupi Thierry. Nienawidzę go. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby to

wszystko wymyślił, żeby dobrać się Roux do skóry.

Po wyjściu policjantów pokłócili się z *maman*. Darł się tak, że było go słychać na górze. *Maman* próbowała zachować spokój, przekonywała, że „na pewno zaszła pomyłka”, co jeszcze bardziej wkurzyło Thierry'ego. Krzyczał, że to „niepojęte” i „jak możesz trzymać jego stronę”, nazwał Roux kryminalistą i degeneratem (czyli obibokiem, któremu nie można ufać) i powtarzał „jeszcze nie jest za późno, Yanne”, aż wreszcie *maman* kazała mu się wynosić. I polazł, zostawiając za sobą smugę barw, która ciągnęła się za nim jak smród.

Kiedy zeszałam na dół, *maman* płakała. Twierdziła, że nie płacze, ale ja wiedziałam swoje. Jej aura zachmurzyła się i pociemniała, a twarz pobladła jak ściana, jeśli nie liczyć dwu czerwonych plam pod oczami. Powiedziała, żebym się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze, ale wiedziałam, że kłamała. Zawsze to wiem.

To naprawdę zabawne, co też ci dorośli wmawiają dzieciom. Nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze. To nie twoja wina, to był wypadek. Ale ja bez przerwy myślałam o dniu, kiedy spotkaliśmy się przy grobie Dalidy. Przypomniałam sobie jego skwaszoną minę i znak Kukurydzy, który mu zostawiłam na szczęście...

I zastanawiałam się nad tym, co zrobiłam. Widziałam to oczami wyobraźni: ostatni czek z banku Thierry'ego; „muszę jeszcze załatwić parę spraw”, powiedział Roux, po czym dopisał do sumy kolejne zero...

Nie, niemożliwe. Roux nie jest złodziejem. Parę ziemniaków lub trochę kukurydzy ze skraju pola, jabłka z sadu, rybę z prywatnego stawu, ale pieniądze? Nigdy. Nie w ten sposób.

Ale zaraz ogarnęły mnie wątpliwości. A jeśli chodziło o zemstę? Jeśli próbował odegrać się na Thierryem? Lub, co gorsza, zrobił to dla mnie i Rosette?

Dla kogoś takiego jak Roux tysiąc euro to kupa kasy. Pewnie można by za to kupić łódź. Osiąść gdzieś na stałe. Założyć konto. Odłożyć trochę grosza dla rodziny...

Nagle przypomniałam sobie słowa *maman*. „Roux zawsze robi, co chce. Przez cały rok mieszka na łodzi, śpi pod gołym niebem, a w czterech ścianach czuje się jak w więzieniu. Nie mogłybyśmy tak żyć”.

I rozumiałam. To moja wina. Swoimi lalkami, symbolami i znakami zrobiłam z Roux przestępcę. A jeśli zostanie aresztowany? I pójdzie do więzienia?

*Maman* opowiadała nam kiedyś bajkę o trzech elfach noszących imiona: Pic Niebieski, Pic Czerwony i Colegram. Pic Niebieski opiekuje się niebem, gwiazdkami, deszczem, słońcem i ptakami. Pic Czerwony opiekuje się ziemią i

wszystkim, co na niej rośnie: roślinami, drzewami i zwierzętami. Colegram zaś, najmłodszy z całej trójki, ma za zadanie sprawować pieczę nad ludzkim sercem. Ale nigdy mu się nie udaje: ilekroć próbuje spełnić marzenie czyjegoś serca, zawsze kogoś rani. Któregoś razu chciał pomóc ubogiemu staruszkowi, zamieniając jesienne liście w złoto. Owładnięty żądzą zysku staruszek bez umiaru napełnił sakwę złotem, po czym padł martwy pod jego ciężarem. Nie pamiętam zakończenia tej historii, ale zawsze było mi żal Colegrama, który tak się starał, a nigdy nic mu nie wychodziło. Może ja też taka jestem. Może serca to nie moja specjalność.

Rany, ale kaszana. A już tak dobrze szło. Jednak w ciągu sześciu dni jeszcze dużo się może zdarzyć, wiatr nadal zmieniał kierunek. Poza tym już za późno. Nie mogłam tego odkręcić. Już nie było odwrotu. Czekala mnie tylko jedna rzecz, jeszcze jedna inwokacja do wiatru. Może ostatnio coś pomyliłyśmy, kolor, świecę, znak na piasku. Tym razem uporamy się z tym, jak należy, Rosette i ja. Raz na zawsze.

*Wtorek, 18 grudnia*

Thierry zjawił się z samego rana. Znów wypytywał o Roux. Chyba miał nadzieję, że cała ta afera wpłynie na poprawę naszych stosunków, że pogrążenie Roux w moich oczach pozwoli mu odzyskać własną utraconą pozycję.

Oczywiście to nie takie proste. Próbowałam mu wyjaśnić, że tu nie chodzi o Roux. Jednak Thierry idzie w zaparte. Ma znajomych w policji i udało mu się narobić wokół sprawy więcej szumu, niż to wszystko warte. Na szczęście Roux przepadł bez śladu, jak Szczurołap w jaskini na zboczu wzgórza.

Wychodząc, Thierry wypuścił ostatnią, zatrutą strzałę.

– Konto, na które przelał pieniądze... – Zawiesił głos. – Jest na nazwisko kobiety. – Rzucił mi chytry, triumfalny uśmiezek. – Wygląda na to, że twój koleżka nie działał sam...

Dzisiaj znów włożyłam czerwoną sukienkę. Rzadko to robię, ale kłótnia z Thierryem, zniknięcie Roux oraz pogoda (niebo wciąż szare i ponure, brzemienne śniegiem), obudziły we mnie tęsknotę za czymś jaskrawym.

I może to za sprawą samej sukienki, a może wiatru, lecz pomimo dręczących mnie obaw, słów Thierry'ego, bólu w sercu na myśl o Roux i bezsennych nocy, w kuchni machinalnie zaczęłam nucić.

Zupełnie jakby nastąpił przełom. Po raz pierwszy od lat poczułam się wolna, uwolniona od Thierry'ego, a nawet od Roux. Wolna, by być tym, kim chciałam być, chociaż sama nie wiem, któż to taki.

Zozie wzięła wolny ranek. Po raz pierwszy od paru tygodni zostałam sama, jeśli nie liczyć Rosette, pochłoniętej blokiem i guzikami. Prawie zapomniałam, jak to jest stać za ladą w zatłoczonej *chocolaterie*, rozmawiać z klientami, odkrywać ich przysmaki...

Liczba stałych bywalców wprawiła mnie w najwyższe zdumienie. Pracując w kuchni na zapleczu, słyszę, oczywiście, jak ktoś wchodzi i wychodzi, lecz nie zdawałam sobie sprawy, ilu zyskałiśmy nowych klientów. Najpierw przyszła madame Luzeron, chociaż to nie jej dzień. Potem Jean-Loup i Paulpaul, złaknieni ciepłego kącika do rysowania, a zarazem skuszeni perspektywą tortu kawowego, który ostatnio wybitnie sobie upodobali. Wpadł też Nico, ostatnio na diecie,



wszelako nie wyklucza ona spożywania ogromnych ilości makaroników. Alice przyniosła pęk jemioly i poprosiła o swoje ulubione ciagutki czekoladowe. Zjawila sie rowniez madame Pinot, pytajac o Zozie...

Nie tylko ona. Wszyscy stali bywalcy pytali o Zozie, Laurent Pinson zaś, odświezony i wyelegantowany, zaraz na wstepie zlozył mi wytworny ukłon, a zobaczywszy, z kim ma do czynienia, wzdrygnął sie lekko, jakby na widok czerwonej sukienki za ladą wziął mnie za kogoś innego.

– Podobno urządzenie przyjęcie? – zagadnął.

– Ot, spotkanie kameralne – odpowiedziałam z uśmiejchem. – W Wigilię.

Posłał mi ten swój uniżony uśmieszek, które zwykle trzyma w zanadru dla Zozie. Wspominała, że jest sam, czyli czekają go święta w pojedynkę. I choć niespecjalnie za nim przepadam, widok jego wykrochmalonego, zażółconego kołnierzyka i wygłodniałe spojrzenie wzbudziły we mnie litość.

– Oczywiście jest pan zaproszony – dodałam. – Chyba że ma pan już plany na Wigilię.

Zmarszczył brwi, jakby analizował swój napięty grafik.

– Może mi się uda – odpowiedział. – Mam masę roboty, ale...

Zasłoniłam ręką uśmiejch. Laurent reprezentuje grupę ludzi, którzy korzystając z uprzejmości, muszą czuć, że robią ci wielką łaskę.

– Będzie nam miło pana gościć, monsieur Pinson.

Wielkodusznie wzruszył ramionami.

– Cóż, skoro pani nalega...

– To miło z pana strony.

– Pozwolę sobie zauważyć, że w tej sukience bardzo pani do twarzy, madame Charbonneau.

– Proszę mówić do mnie Yanne.

Skłonił się ponownie. Poczulałam zapach potu i pomady do włosów. I zadałam sobie w myślach pytanie, czy właśnie to robi codziennie Zozie, kiedy ja pracuję na zapleczu. Czy w tym tkwi tajemnica naszego sukcesu?

Pani w szmaragdowym płaszczu szuka prezentów pod choinkę. Bez wahania oznajmiam jej, że najbardziej lubi całuski karmelowe. Jej mąż doceni morelowe serca, córce zaś przypadną do gustu kwadraciki chili.

Co się dzieje? Co się we mnie zmieniło?

Czuję kolejny przyływ beztroski, a zarazem nadziei i pewności siebie. Już nie jestem sobą; bardziej przypominam Vianne Rocher, kobietę, która przybyła do Lansquenet na skrzydłach wiatru zapustów...

Dzwonki wietrzne milczą jak zakłète, niebo ciemnieje, zapowiadając śnieg. Słupek rtęci poszybował w dół, para idzie z ust, a na skwerze mającą zamglone sylwetki przechodniów. Na rogu stoi muzyk, słyszę rozwlekłe dźwięki saksofonu; „Petite Fleur” brzmi niemal jak śpiew.

Pewnie mu zimno, myślę sobie.

Yanne Charbonneau nigdy by tak nie pomyślała. Prawdziwi paryżanie nie pozwalają sobie na sentymenty. W tym mieście roi się od biedaków, bezdomnych i starców, skulonych w bramach i bocznych uliczkach jak paczki z darami Armii Zbawienia. Wszyscy marzną i burczy im w brzuchu. Prawdziwi paryżanie mają to w nosie. Nie chcę być prawdziwą paryżanką...

Płyną dźwięki saksofonu, nasuwając wspomnienie innego czasu i miejsca. Ja też byłam wówczas kimś innym, a łodzie na Tannes przycumowano tak blisko siebie, że prawie można było po nich przejść na drugi brzeg. Grała muzyka, skrzypce i bębny, gwizdki i flety. Wodniacy kochali muzykę i choć wielu miejscowych nazywało ich żebrakami, nigdy nie widziałam, jak proszą o datek. Wtedy bym się nie wahała...

„Masz dar”, mawiała moja matka. „Darami trzeba się dzielić...”.

Robię gorącą czekoladę. Nalewam ją do kubka i zanoszę muzykowi (jest zaskakująco młody, ma nie więcej niż osiemnaście lat) wraz z kawałkiem czekoladowego ciasta na talerzyku. Vianne Rocher postąpiłaby tak bez chwili namysłu.

– Na koszt firmy.

– Hej, dzięki! – Twarz rozjaśnia mu się w uśmiechu. – Ty pewnie jesteś z *chocolaterie*. Słyszałem o tobie. Zozie, prawda?

Wybucham głośnym śmiechem. Jest słodkogorzki i dziwny, jak wszystko w tym dziwnym dniu, ale saksofonista chyba nie zwraca na to uwagi.

– Jakieś życzenia? – pyta. – Zagram, co tylko zechcesz. Na koszt firmy – dodaje z uśmiechem.

– Ja... – zająknęłam się. – Znasz „Via l’bon vent”?

– Pewnie. – Podnosi instrument. – Specjalnie dla ciebie, Zozie – mówi.

I gdy zaczyna grać, a ja zawracam w stronę „Rocher de Montmartre”, gdzie Rosette wciąż bawi się wśród setek rozsypanych guzików, drzę nie tylko z zimna.

*Wtorek, 18 grudnia*

Resztę dnia spędziłam w kuchni, a Zoie obsługiwała klientów. Przychodzi ich więcej niż kiedykolwiek, sama nie dałabym sobie rady i jestem jej wdzięczna za pomoc. Tym bardziej, że pół Paryża nieoczekiwanie nabrało apetytu na czekoladki mojej roboty.

Zapas kuwertyry, który miał wystarczyć do Nowego Roku, wyczerpał się w ciągu dwóch tygodni i chcąc sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu, musimy składać zamówienie co dziesięć dni. Osiągamy niebotyczne zyski, które Zoie kwituje jak zwykle: „wiedziałam, że przed świętami będzie poprawa”, zupełnie jakby podobne cuda zdarzały się każdego dnia...

Ponownie zastanawiam się nad tempem zachodzących zmian. Jeszcze trzy miesiące temu byliśmy tu intruzami, rozbitkami na skalistej wyspie Montmartre. Obecnie stanowimy element krajobrazu, tak jak „Chez Eugene” albo „Le P'tit Pinson”, a miejscowi, którzy nigdy nie przestąpiliby progu sklepu dla turystów, wpadają tu raz albo dwa razy w tygodniu (a bywa, że i codziennie), na kawę, ciasto lub czekoladę.

Co nas zmieniło? Czekoladki, oczywiście; wiem, że moje trufle po stokroć przewyższają produkty z fabryki. Wystrój też zrobił swoje, a dzięki pomocy Zoie jest czas, aby usiąść i porozmawiać.

Montmartre to wieś w obrębie wielkiego miasta i zachowało głęboko nostalgiczny, żeby nie powiedzieć szczególny charakter. Wąskie uliczki, stare kafejki i domki w rustykalnym stylu, z bielonymi ścianami, ozdobnymi okiennicami i geranium w ceramicznych skrzynkach na parapetach. Dla okolicznych mieszkańców, osiadłych nad Paryżem tętniącym od zmian, Montmartre jawi się czasem jako ostatnia wioska, ulotny skrawek przebrzmiałej dawno epoki, gdy życie było miłsze i łatwiejsze, drzwi nie zamykało się na klucz, a kostka czekolady stanowiła lek na wszelkie dolegliwości...

Obawiam się, że to niestety iluzja. Dla większości tutejszych ta epoka nigdy nie istniała. Żyją na poły w świecie fantazji, gdzie przeszłość spoczywa pod tak grubą warstwą pobożnych życzeń i żalu za grzechy, że prawie uwierzyli we własne projekcje.

Spójrzcie na Laurenta, zagorzałego przeciwnika imigrantów: jego ojciec był

polskim Żydem, który w czasie wojny zbiegł do Paryża, zmienił nazwisko i poślubiwszy Francuzkę, stał się Gustavem Jean-Marie Pinsonem, bardziej francuskim aniżeli rodowity Francuz, solidnym jak kamienie Sacre-Coeur.

Oczywiście nigdy nie porusza tego tematu. Ale Zoie wie, musiał jej powiedzieć. A madame Pinot, z miną pełną dezaprobaty, srebrnym krucyfiksem i półkami uginającymi się od gipsowych świętych...

Nigdy nie była żadną „madame”. Za młodu (jak twierdzi Laurent, który zna się na rzeczy), tańczyła w kabarecie Moulin Rouge. Czasem występowała w kapturze i welonie zakonnicy, na wysokich obcasach i w czarnym, satynowym gorsecie, tak ciasnym, że oczy łzawiły od samego patrzenia. Nikt by się tego nie spodziewał po bogobojnej handlarce dewocjonaliami, a jednak...

Nawet nasi przystojni Jean-Loup i Paulpaul, którzy brylują ze sztalugami po Place du Tertre, wabiąc klientki na lep komplementów i pięknych słówek. Pomyślałby kto, że przynajmniej oni nie mają nic do ukrycia. Lecz żaden z nich nigdy nie był w galerii ani nie studiował malarstwa i mimo samczego seksapilu są ukrytymi, acz zdeklarowanymi homoseksualistami. Planują ślub, może w San Francisco, gdzie podobne rzeczy nie budzą takich kontrowersji.

Tak twierdzi Zoie, która najwyraźniej wie wszystko. Anouk też wie więcej, niż się przyznaje. Coraz bardziej się o nią martwię. Kiedyś zwierzała mi się ze wszystkiego. Ostatnio jednak stała się skryta i niespokojna, godzinami przesiaduje w swoim pokoju, większość weekendów spędza z Jeanem-Loupem na cmentarzu, a wieczorami dyskutuje z Zoie.

To naturalne, że dziewczynka w jej wieku potrzebuje więcej swobody niż ta, którą miała dotychczas. Ale jej ciągła czujność, a zarazem chłód, z których może nawet nie zdaje sobie sprawy, nie dają mi spokoju. Zupełnie jakby coś nieubłagane nas od siebie oddalało. Kiedyś wszystko mi mówiła. Teraz uważnie dobiera słowa, a każdy uśmiech wydaje się wymuszony.

Czyżby z powodu Jeana-Loupa Rimbaulta? Nie myślcie, że nie zauważyłam, jak skrzętnie unika mówienia o nim, jak sztywnieje, kiedy o niego pytam, jak starannie ubiera się do szkoły, podczas gdy jeszcze niedawno ledwie przejeżdżała szczotką po włosach...

A może z powodu Thierry'ego? Może martwi się o Roux?

Próbowałam zapytać wprost, czy coś się stało, może ma jakieś kłopoty w szkole, o których nic nie wiem. Ale ona odpowiada zawsze grzecznie „nie, *maman*” i biegnie na górę odrabiać lekcje.

Wieczorem jednak słyszę śmiech dobiegający z pokoju Zoie i podkradam się

do schodów, a głos Anouk napływa do mnie jak wspomnienie. Wiem, że jeśli otworzę drzwi (na przykład z pytaniem, czy nie chcą herbaty), śmiech ucichnie, ich oczy nabiorą chłodnego wyrazu, a Anouk, którą usłyszałam z oddali, zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Zozie wprowadziła dziś zmiany w domku adwentowym. Otworzyła kolejne drzwi. Widać przez nie choinkę, sprytnie wykonaną ze świerkowych gałązek. Matka stoi na progu i patrzy na ogród, gdzie zebrani półkolem kolędnicy, czyli cukrowe myszy, zagląдают do środka.

Tak się składa, że my też dzisiaj ubrałyśmy choinkę. Jest malutka, pochodzi z kwiaciarni nieopodal, ale cudownie pachnie igłami i żywicą, jak w tej bajce o dzieciach zagubionych w lesie. Mamy też białe lampki i srebrne gwiazdki do zawieszenia na gałązkach. Anouk sama chciałaby ją ubrać, dlatego specjalnie czekałam, aż wróci ze szkoły.

– Co słyhać u Anouk? – rzuciłam pozornie lekkim tonem. – Ostatnio nie może usiedzieć w miejscu.

Zozie uśmiechnęła się znacząco.

– Idą święta – odpowiedziała. – Wszystkie dzieciaki biegają jak nakręcone.

– Mówiła ci coś? Martwi się sytuacją pomiędzy mną i Thierrym?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Myślę, że poczuła raczej wielką ulgę.

– Czyli niczym się nie przejmuje?

– Tylko przyjęciem – uspokoiła mnie Zozie.

Przyjęciem. Nadal nie wiem, co spodziewa się osiągnąć moja córka. Począwszy od chwili, gdy wspomniała o nim po raz pierwszy, moja mała Anouk stała się dziwna i uparta, snuje plany, obmyśla jadłospis i sprasza gości, doskonale obojętna na to, jak ich wszystkich pomieścimy.

– Czy możemy zaprosić madame Luzeron?

– Oczywiście, Nanou. Jeśli uważasz, że przyjdzie.

– A Nico?

– Też.

– No i oczywiście Alice. Jeana-Loupa i Paulpaula...

– Nanou, przecież oni mają swoje domy, mają rodziny. Dlaczego myślisz...

– Przyjdą – odpowiada z niezachwianą pewnością siebie.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem.

Może rzeczywiście wie, uznaję w duchu. Zdaje się wiedzieć bardzo dużo. Jest jeszcze coś, jakaś tajemnica w jej oczach, sekret, do którego nie zostałam

dopuszczona.

Zaglądam do *chocolaterie*. Panuje tam ciepła, niemalże intymna atmosfera. Świece płoną na stołach, adwentowe okno spowija różana poświata. Pomander zawieszony nad drzwiami rozpacza woń goździków i pomarańczy, pachnie też choinką i grzonym winem, które podajemy oprócz gorącej czekolady i pierników prosto z pieca. To przyciąga gości jak magnes, troje, czasami czworo naraz, zarówno stałych bywalców, jak i obcych oraz turystów. Stają przed witryną, łapią w nozdrza zapach i wchodzi do środka, lekko oszołomieni feerią aromatów i barw oraz widokiem ulubionych przysmaków w szklanych gablotach. Pomarańczowe prece z gorzkiej czekolady, *mendiants du roi*, kwadraciki chili, trufle z brzoskwińską brandy, aniołki z białej czekolady, lawendowe całuski szepczą niedosłyszalnie: „Spróbuj. Skosztuj. Posmakuj...”.

A Zozie tkwi pośrodku tego wszystkiego. Mimo nawału obowiązków zawsze uśmiechnięta i skora do żartów, rozdaje czekoladki na koszt firmy, przekomarza się z Rosette i przydaje blasku samą swoją obecnością...

Zupełnie jakbym patrzyła na siebie, dawną Vianne.

A kim ja jestem teraz? Czaję się za kuchennymi drzwiami, niezdolna odwrócić oczu. Pojawia się wspomnienie z przeszłości, mężczyzna zastygły na podobnym progu, podejrzliwe spojrzenie ogarniające wnętrze. Twarz Reynauda, jego głodny wzrok oraz wstrętna, zaszczuta mina człowieka, który na poły gardzi tym, co widzi, a jednak jakaś siła każe mu zajrzeć do środka.

Czy to możliwe, że się do niego upodobniłam? I stałam się kolejną wersją Człowieka w Czerni? Kolejnym Reynaudem, dla którego przyjemność to udręka, niezdolnym znieść cudzej radości, tkwiącym pomiędzy młotem a kowadłem zawiści i poczucia winy?

Bzdura. Ja miałabym być zazdrosna o Zozie?

Co gorsza, jak to możliwe, że się boję?

O wpół do piątej z zamglonej ulicy wpada Anouk z błyskiem w oku i migotliwym cieniem u stóp; to mógłby być Pantoufle, gdyby istniał. Na powitanie chwyta Zozie za rękę, dołącza do nich Rosette. We trzy kręcą się w kółko, wykrzykując „bambambam!”. Zabawa przeistacza się w dziki taniec, po czym wszystkie padają bez tchu na różowe fotele i chichoczą.

Spoglądam na nie zza drzwi i naraz uderza mnie pewna myśl. Za dużo tutaj duchów, to jasne. Duchów niebezpiecznych, śmiejących się do utraty tchu, duchów z przeszłości, której żadną miarą nie możemy wskrzesić. A najdziwniejsze jest to, że są prawie namacalne, tak jakbym ja, Vianne Rocher, sama stała się jednym z

nich, a trzy rozbawione istoty w sklepie istniały naprawdę, tworząc magiczny krąg, którego nic nie jest w stanie przerwać.

To niedorzeczne, wiem. Wiem, że istnieję naprawdę. Vianne Rocher to tylko nazwisko, które kiedyś nosiłam, może nawet fałszywe. Poza mną nie ma racji bytu, nie ma przyszłości.

Ale nie mogę przestać o niej myśleć; jest jak ukochany płaszcz lub para butów, oddane pod wpływem impulsu komuś, kto doceni je bardziej niż poprzedni właściciel. I myślę...

Ile siebie zdążyłam już rozdać innym? A skoro nie jestem już Vianne... to kto nią jest?

**CZEŚĆ SIÓDMA**

**WIEŻA**



*Środa, 19 grudnia*

– Ooo, witamy, madame. Pani ulubione? Chwileczkę: czekoladowe trufle według mojego specjalnego przepisu, opatrzone symbole Pani Krwawego Księżyca i łaskoczące w język. Tuzin? A może dwa? Zapakujemy je w pudełko wyłożone czarną bibułą i przewiązane najczerwieńszą wstążką...

Wiedziałam, że w końcu przyjdzie. Moje specjalne wywołują taki efekt. Zjawiała się tuż przed zamknięciem, gdy Anouk odrabiała na górze lekcje, a Vianne znowu siedziała w kuchni, przygotowując asortyment na jutro.

Najpierw widzę, jak łapie w nozdrza zapach. To połączenie wielu woni, choinki w rogu, starych ścian, goździków i pomarańczy, mielonej kawy, gorącego mleka, paczuli, cynamonu i oczywiście czekolady; jest odurzający, bogaty jak Krezus, mroczny jak śmierć.

Rozgląda się, ogarnia wzrokiem dekoracje na ścianach, obrazki, ornamenty, domek dla lalek w witrynie, dywaniki na podłodze, wszystko w odcieniach żółci, różu, czerwieni, złota i zieleni. „Jak w palarni opium”, ma na końcu języka i sama nie posiada się ze zdumienia na tak ekstrawaganckie skojarzenie. Nigdy nie widziała palarni opium, zna ją tylko z kart „Baśni z tysiąca i jednej nocy”, ale coś w tym jest, myśli. Coś prawie... czarodziejskiego.

Na zewnątrz szarozółte niebo jaśnieje obietnicą śniegu. Prognozy zapowiadają go od paru dni, choć ku srogiemu rozczarowaniu Anouk siąpi tylko kapuśniaczek i wszystko spowija gęsta mgła.

– Parszywa pogoda – mówi madame.

No tak, to do przewidzenia: ona nie widzi w chmurach magii, a jedynie zapowiedź kwaśnego deszczu, nie widzi gwiazd, tylko bożonarodzeniowe lampki, nie dostrzega ciepła i bliskości, tylko bezkresny tłum ludzi, którzy ocierają się o siebie i potracają bez sensu w poszukiwaniu prezentów kupowanych na ostatnią chwilę, prezentów otwieranych obojętnie i w pośpiechu, jako preludium do obiadu, w którym obdarowani wcale nie mają ochoty uczestniczyć. I jak co roku zasiądą niechętnie przy stole w towarzystwie tych, których nie widzieli od ubiegłych świąt i najchętniej wcale by nie oglądali...

Spoglądam na jej twarz przez Dymiące Zwierciadło. Pod wieloma względami to trudna twarz, twarz kobiety, której osobista baśń nie miała szansy na szczęśliwe

zakończenie. Straciła rodziców, męża i dziecko, wyszła na swoje dzięki ciężkiej pracy, przed laty wypłakała wszystkie łzy i teraz nie ma litości ani dla siebie, ani dla nikogo innego. Nienawidzi Bożego Narodzenia, gardzi Nowym Rokiem...

Wszystko to widzę Okiem Czarnego Tezcatlipoki. Teraz nie bez trudu dostrzegam też to, co kryje się za Zwierciadłem: grubą kobietę przed telewizorem, zajadającą *choux* z białego pudełka z cukierni, podczas gdy jej mąż pracuje trzecią nockę z rzędu, wystawę sklepu z antykami, porcelanową lalkę pod kloszem, drogerię, gdzie wstąpiła kiedyś po mleko i pieluchy dla córeczki, oschłą, szeroką i obojętną twarz matki, kiedy przyszła przekazać jej straszną nowinę...

Od tamtej pory przeszła długą drogę. A jednak wciąż ma w sobie pustkę, która rozpaczliwie domaga się wypełnienia...

– Dwanaście trufli. Nie. Niech będzie dwadzieścia mówi.

Tak jakby trufle robiły różnicę. Ale przecież te trufle są inne, myśli. A kobieta za kontuarem, kobieta o długich, ciemnych włosach z wplecionymi koralikami, kobieta w szmaragdowych butach na lśniących obcasach, butach do przetańczenia całej nocy, butach do skakania, fruwania, do wszystkiego prócz chodzenia, ona też jest inna, zupełnie niepodobna do reszty ludzi, a zarazem bardziej żywa, bardziej namacalna...

Na ladzie widnieje warstwa ciemnego proszku, w miejscu gdzie kakao osypało się z trufli. Łatwo narysować w nim palcem znak Jaguara, koci Aspekt Czarnego Tezcatlipoki. Madame patrzy nań, oczarowana kolorami i zapachem, kiedy starannie i bez pośpiechu owijam pudełko.

W tym samym (i jakże odpowiednim) momencie wchodzi Anouk z rozwianymi włosami, rozbawiona czymś, co zrobiła Rosette, i zmartwiała kobieta podnosi wzrok.

Czyżby coś dostrzegła? Czy to możliwe, że talent, który osiągnął tak doskonałą formę w osobach Vianne i Anouk, wziął swój początek u źródła? Anouk wita ją promiennym uśmiechem. Madame odwzajemnia uśmiech, zrazu z wahaniem, lecz w chwili gdy połączenie Krwawego Księżyca i Księżyca Królika wchodzi w relację z Jaguarem, jej zwiotczała twarz staje się niemalże piękna w swej tęsknocie.

– A to kto? – pyta.

– Moja mała Nanou.

I to wystarczy. Kto wie, może madame dostrzega w dziecku rys podobieństwa, a może to wpływ samej Anouk, która rozbiera ją swą buzią holenderskiej lalki i chmurą bizantyjskich włosów. Nie wiadomo. Ale oczy kobiety rozbłyskują nagłym blaskiem, a gdy proponuję jej gorącą czekoladę (może skusi się też na trufkę?), bez

oporów przyjmuje zaproszenie, po czym siada przy jednym z upstrzonych farbkami stolików i łączywie chłonie wzrokiem Anouk, która biega pomiędzy sklepem a kuchnią, serdecznie wita się z Nico i zaprasza go na herbatę, bawi się z Rosette guzikami, rozprawia o jutrzejszych urodzinach, wyskakuje na zewnątrz, by sprawdzić, czy pada śnieg, wbiega z powrotem, ogląda zmiany w domku adwentowym, przestawia figurki i znów wygląda na zewnątrz, no bo przecież musi spaść śnieg, przynajmniej na święta, ponieważ ona nade wszystko kocha śnieg...

Pora zamykać sklep. Właściwie powinnyśmy były to zrobić dwadzieścia minut temu. Madame wrywa się z letargu.

– Śliczną ma pani córeczkę – mówi, po czym wstaje, strzepuje z kolan czekoladowe okruchy i tęsknie patrzy w stronę kuchni, gdzie znikła przed chwilą Anou, zabierając ze sobą Rosette. – Traktuje tę małą jak siostrę.

Uśmiecham się, ale nie wyprowadzam jej z błędu.

– Ma pani dzieci? – pytam.

Waha się, a następnie kiwa głową.

– Córkę – odpowiada.

– Zobaczycie się w święta?

Rzykowne pytanie: świetlista smuga czystej bieli przecina jej aurę jak błyskawica.

Potrząsa głową, przezornie zachowując milczenie. Nawet dziś, po tylu latach, ból potrafi wrócić jak żywy. Kiedy on wreszcie minie? Przecież mówili, że minie! Wciąż jednak bierze górę nad pozostałymi uczuciami, usuwając w cień męża, kochanka, matkę i przyjaciół.

– Straciłam ją – mówi cicho.

– Tak mi przykro. – Kładę jej dłoń na ramieniu. Mam na sobie bluzkę z krótkim rękawem; brzęczy bransoletka z amuletami. Błysk srebra przyciąga wzrok...

Kotek poczerniał ze starości i bardziej przypomina Jaguara Czarnego Tezcatlipoki aniżeli tanie świecidełko, którym był dawniej.

Widzi go i zamiera; nie, to niemożliwe, taki zbieg okoliczności... To tylko tania biżuteria, która nie ma nic wspólnego z dziecięcą bransoletką i srebrnym kotkiem...

A może jednak, myśli. Przecież zdarzają się takie historie, nie zawsze w filmach, czasami również w życiu.

– Cóż za in...interesująca oz...ozdoba. – Głos tak jej drży, że ledwie wydobywa się z gardła.

– Dziękuję. Mam ją od lat.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– Każdy z amuletów to pamiątka ważnego wydarzenia. Ten przypomina o śmierci mojej matki. – Pokazuję małą trumienkę. Pochodzi z miasta Meksyku, znalazłam go w jakiejś pinacie. Na wieku trumny widnieje czarny krzyż.

– Matki?

– Tak na nią mówiłam. Nie znałam moich prawdziwych rodziców. Ten klucz z zawieszam z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Kotek jest najstarszy, to mój największy skarb. Mam go od zawsze, dostałam go, jeszcze zanim zostałam adoptowana.

Patrzy na mnie jak sparaliżowana. Wie, że to niemożliwe, lecz irracjonalny głosik w jej głowie podpowiada, że cuda się zdarzają, a czary istnieją naprawdę. To głos kobiety, którą była dawniej, która w wieku zaledwie siedemnastu lat zakochała się w trzydziestodwuletnim mężczyźnie. Powiedział, że ją kocha, a ona mu uwierzyła.

A dziewczynka? Czy nie dostrzegła w niej znajomych rysów? Czegoś, co szarpie i rozdziera serce jak kot pastwiący się nad kłębkami wełny...

Niektórzy ludzie, na przykład ja, to urodzeni cynicy. Ale kto raz uwierzył... Czuję, że madame należy do tej drugiej kategorii, wiedziałam to od początku, od chwili gdy ujrzałam porcelanowe lalki w recepcji „Le Stendhal”. Podstarzała romantyczka, zgorzkniała, pozbawiona złudzeń, a przez to bezbronna. Wystarczy jedno moje słowo, a jej piñata otworzy się jak stulony pęk. Słowo? Raczej imię.

– Muszę zamknąć sklep, madame. – Delikatnie prowadzę ją do drzwi. – Ale jeśli pani ma ochotę odwiedzić nas ponownie... W Wigilię urządzamy przyjęcie. Może zechce pani wpaść na godzinkę?

Spogląda na mnie oczami jak gwiazdy.

– O, tak – szepcze. – Dziękuję. Przyjdę.

*Środa, 19 grudnia*

Dziś rano Anouk wyszła do szkoły bez pożegnania. W sumie nie powinno mnie to dziwić, robi tak od początku tygodnia. Spóźniona wpada do kuchni z okrzykiem: „dzień dobry wszystkim!”, chwyta rogalika i wybiega.

To ta sama Anouk, która dawniej lizała mnie w policzek i krzyczała na całą ulicę: „kocham cię!”. Teraz jest milcząca i tak zamknięta w sobie, że strach nie opuszcza mnie ani na chwilę, a wątpliwości, które towarzyszą mi od dnia jej narodzin, z każdym dniem przybierają na sile.

Dorasta, to oczywiste. Ma tyle na głowie. Koleżanki. Praca domowa. Nauczyciele. Może chłopak (Jean-Loup Rimbault?), słodki zamęt pierwszego zauroczenia. Być może są też inne sprawy; sekrety szeptane na ucho, śmiałe plany, rzeczy, którymi dzieli się z przyjaciółkami, ale za nic nie zdradzi matce, bo spaliłaby się ze wstydu...

To normalne, przekonuję się w duchu. A jednak poczucie odrzucenia nie daje mi spokoju. Przecież nie jesteśmy jak reszta ludzi. Anouk i ja jesteśmy inne. I bez względu na konsekwencje nie mogę tego dłużej ignorować.

Owa świadomość sprawia, że się zmieniam. Staję się impulsywna i zrzędliva: czy moje dziecko lata wie, że ta dziwna nuta w moim głosie to nie złość, tylko strach?

Czy moja matka czuła to samo? Czy towarzyszyło jej to poczucie straty, ten lęk większy aniżeli strach przed śmiercią, gdy wzorem wszystkim matek usiłowała powstrzymać nieubłagany upływ czasu? Czy podążała za mną tak, jak ja podążam za Anouk, szlakiem porzuconych przedmiotów? Niechciane zabawki, za małe ubrania, nieopowiedziane bajki na dobranoc, pozostawione przez dziecko, które gorliwie wybiega w przyszłość, byle dalej od dzieciństwa, byle dalej ode mnie...

Moja matka opowiadała mi pewną historię. Pewna kobieta bardzo chciała mieć dziecko, ale że nie mogła począć, któreś zimy ulepiła sobie córeczkę ze śniegu. Ulepiła ją starannie, ubrała i pokochała, śpiewała jej piosenki, aż wreszcie Królowa Zimy zlitowała się nad nią i ożywiła Śniegowe Dziecko.

Kobieta – matka – była w siódmym niebie. Podziękowała Królowej Zimy za łzami w oczach i przysięgła, że jej córeczce nigdy niczego nie zabraknie, nigdy też nie zazna smutku.

– Proszę uważać – ostrzegła ją Królowa Zimy. – Swój ciągnie do swego, a świat podlega ciągłym przemianom. Niech pani trzyma córkę z dala od słońca i nakłania ją do posłuszeństwa, póki może. Dziecię zrodzone z tak silnej miłości nigdy nie zazna w życiu spełnienia. Nawet matczyne uczucie nie zdoła mu go zapewnić.

Ale matka nie słuchała. Zabrała córeczkę do domu, dbała o nią i kochała zgodnie z obietnicą daną Królowej. Mijał czas, dziecko rosło w czarodziejskim tempie, białe jak śnieg i piękne niczym jasny, zimowy poranek.

Zbliżała się wiosna, śnieg zaczął topnieć i Śniegowa Dziewczynka stawiała się coraz bardziej rozkapryszona. Mówiła, że chce wyjść z domu, pobawić się z innymi dziećmi. Oczywiście matka początkowo odmawiała. Ale dziecko nie dawało za wygraną. Płakało, dąsało się, nie chciało nic jeść, aż wreszcie matka niechętnie ustąpiła.

– Trzymaj się z dala od słońca – przestrzegła córkę. – Nigdy nie zdejmuj czapki i płaszcza.

– Nie zdejmę – obiecała dziewczynka i wybiegła na dwór.

Nie było jej przez cały dzień. Po raz pierwszy zobaczyła inne dzieci. Po raz pierwszy bawiła się w chowanego, uczyła się gier i piosenek. Wróciła do domu ledwie żywa, ale szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

– Czy jutro też będę mogła wyjść?

Matka zgodziła się z ciężkim sercem („tylko pamiętaj o czapce i płaszczu!”) i dziewczynka ponownie spędziła cały dzień na dworze. Zawarła tajemne przyjaźnie i złożyła uroczyste przyrzeczenia, po raz pierwszy rozbiła sobie kolano i znów wróciła do domu z błyskiem w oku oraz solennym postanowieniem, że kolejny dzień też spędzi z dziećmi.

Matka zaprotestowała („jesteś zmęczona!”), lecz ponownie musiała ustąpić. Trzeciego dnia Śniegowe Dziecko zasmakowało rozkoszy nieposłuszeństwa. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu złamało przyrzeczenie, stłukło szybę, pocałowało chłopca, a następnie zdjęło na słońcu czapkę i płaszcz.

Mijał czas. Kiedy zapadła noc, a dziewczynka wciąż nie dawała znaku życia, matka wybrała się na poszukiwania. Znalazła czapkę i płaszcz, ale Śniegowe Dziecko znikło. Została po nim tylko kałuża.

Cóż, nigdy nie przepadałam za tą historyjką. Spośród wszystkich opowieści mojej matki ta przerażała mnie najbardziej, nie tyle ze względu na samą treść, ile na wyraz matczynej twarzy, jej drżący głos i to, jak mocno mnie przytulała, podczas gdy wiatr szalał w zimowym mroku.

Oczywiście nie miałam wówczas pojęcia, czego tak się bała. Teraz już wiem. Podobno największą zmorą dzieciństwa jest strach przed porzuceniem przez rodziców. Odzwierciedla go wiele baśni, chociażby Jaś i Małgosia czy Królewna Śnieżka, prześladowana przez złą macochę...

Ale teraz to ja błędzę w lesie. Mimo żaru bijącego od piekarnika drzę na całym ciele i ciaśniej otulam się grubym swetrem. Ostatnio zimno daje mi się we znaki – Zozie natomiast wciąż paradyje w baletkach i kolorowych wzorzystych spódnicach, z włosami związanymi żółtą wstążką.

– Czy mogę wyskoczyć na godzinę?

– Oczywiście.

Jak mogłabym odmówić, skoro wciąż uparcie nie przyjmuje żadnych pieniędzy?

I ponownie zapytuję się w duchu:

Jakie są twoje warunki?

Czego chcesz?

Grudniowy wiatr hula po ulicy, ale nie ma nad nią żadnej władzy. Patrząc, jak Zozie gasi światła w sklepie i nucąc zamyka okiennice w witrynie, gdzie drewniane lalki świętują urodziny, a przed domkiem, pod latarnią werandy, chór czekoladowych myszy z tycimi śpiewnikami w łapkach snuje bezgłośnie pieśń pośród cukrowego śniegu.

*Czwartek, 20 grudnia*

Dzisiaj znów przyszedł Thierry, ale Zozie się z nim rozmówiła. Nie mam pojęcia, jak tego dokonała. Świadomość, ile jej zawdzięczam, nie daje mi spokoju. Nie zapomniałam jednak pamiętnego wieczoru, kiedy ujrzałam w niej samą siebie, Vianne Rocher, którą niegdyś byłam, odrodzoną w osobie Zozie de l'Alba, używającej moich metod i przemawiającej moim głosem, jakby rzuciła mi wyzwanie...

Dziś obserwowałam ją ukradkiem, podobnie jak wczoraj i przedwczoraj. Rosette bawiła się cichutko, w nagrzonej kuchni mieszały się aromaty goździków, ptasiego mlecza, rumu i cynamonu, miałam dłonie w panierce z cukru pudru i kakao, miedziane rondle lśniły, a czajnik pyrkotał na kuchni. Było tak krzepiąco, tak absurdalnie swojsko, a jednak gdzieś w środku trawił mnie lęk. Ilekroć brzęczał dzwonek, zaglądałam do sklepu, aby sprawdzić, kto przyszedł.

Nico zajął wraz z Alice, oboje nedorzecznie szczęśliwi. Nico mówi, że schudł, mimo swego upodobania do kokosowych makaroników. Na oko nie widać różnicy (jest wielki i rozradowany jak zawsze), ale Alice twierdzi, że zgubił pięć kilo i zapina pasek o trzy dziurki dalej.

– Jakby się człowiek zakochał – oznajmił pod adresem Zozie. – I zaczął na wyścigi palić kalorie, czy coś w tym stylu. Hej, ładne drzewko. Ekstra! Chcesz takie drzewko, Alice?

Głos Alice brzmi znacznie ciszej. Ale przynajmniej dziewczyna coś mówi, a jej drobna, spiczasta twarzyczka nabrała rumieńców. U boku Nico wygląda jak dziecko, lecz już nie zagubione, tylko szczęśliwe. Wprost nie może od niego oderwać oczu.

Pomyślałam o domku adwentowym i dwóch drewnianych figurkach z rączkami złączonymi pod choinką.

Przysła też madame Luzeron, która ostatnio zagląda coraz częściej i popijając mokrą, bawi się z Rosette. Ona też sprawia wrażenie bardziej swobodnej; dziś dostrzegłam pod jej płaszczem jaskrawoczerwony bliźniak, a żeby tego było mało, uklękała na podłodze i z powagą jeździła po kafelkach drewnianym pieskiem...

Jean-Loup i Paulpaul też przyłączyli się do zabawy. Potem zjawili się również Richard i Mathurin w drodze na partyjkę *petanque* oraz madame Pinot, co jeszcze



pół roku temu byłoby nie do pomyślenia. Teraz pozwala mówić do siebie po imieniu (Hermine) i od niechcenia prosi o „to, co zwykle”.

Mijało pracowite popołudnie, a ja ze wzruszeniem patrzyłam, jak klienci przynoszą prezenty dla Rosette. Zdażyłam zapomnieć, że częściej widują ją z Zozie niż ze mną, kiedy jestem zajęta na zapleczu, ale tak czy inaczej uświadomiłam sobie, ilu zyskaliśmy przyjaciół, odkąd zjawiała się u nas miesiąc temu.

Drewniany piesek od madame Luzeron, malowane zielone jajko od Alice, pluszowy zajęczek od Nico, układanka od Richarda i Mathurina, rysunek przedstawiający małpkę od Jeana-Loupa i Paulpaula. Nawet madame Pinot z kiosku na rogu przyszła z żółtą opaską do włosów i przy okazji złożyła zamówienie na krystalizowane fiołki w czekoladzie, które uwielbia wprost nieprzytomnie. Laurent Pinson wpadł swoim zwyczajem, żeby zwędzić trochę cukru oraz ogłosić hiobową wieść, że wszyscy cienko przędą i że na Rue des Trois Freres widział muzulmankę w czarczafie. Wychodząc, rzucił na stół paczuszkę, która po rozpakowaniu okazała się zawierać różową, plastikową bransoletkę. Zapewne pochodziła z czasopisma dla nastolatek, ale Rosette jest wniebowzięta i nie chciała jej zdjąć nawet do kąpielii. Tuż przed zamknięciem ponownie zjawiała się dziwna kobieta, którą widziałam tu wczoraj, kupiła kolejne pudełko trufli i zostawiła prezent dla Rosette. Bardzo mnie to zdziwiło: nie należy do grona naszych stałych klientów i nawet Zozie nie wie, jak się nazywa. Po rozpakowaniu prezentu nasze zdumienie wzrosło niepomniernie. Pudełko zawierało lalkę, wprawdzie niewielkich rozmiarów, lecz na oko starą i o dużej wartości, o miękkim tułowiu i porcelanowej twarzyczce, w czepku obszytym futerkiem. Rosette naturalnie nie posiada się ze szczęścia, ale przecież nie mogę przyjąć tak cennego prezentu i to od nieznajomej osoby. Spakowałam lalkę z powrotem do pudełka z zamiarem oddania jej kobiecie gdy – jeśli – zjawi się ponownie.

– Co się przejmujesz? – powiedziała Zozie. – Pewnie należała do jej dzieci czy coś w tym rodzaju. Weźmy madame Luzeron i jej mebelki...

– Tylko je pożyczyła – przypomniałam.

– Daj spokój, Yanne – odparła Zozie. – Naprawdę, przestań być taka podejrzliwa. Daj ludziom szansę...

Rosette wskazała pudełko. „Dzidzius”, pokazała.

– No dobrze. Ale tylko do jutra.

Rosette bezgłośnie zapięła z radości.

– Widzisz? – uśmiechnęła się Zozie. – To nie takie trudne.

Mimo to coś mnie dręczy. Wszystko przeważnie ma swoją cenę, za każdy

prezent i przejaw życzliwości przyjdzie w końcu zapłacić z nawiązką. Przynajmniej tego nauczyło mnie życie. Dlatego teraz mam się na baczności. Dlatego wiem dzwonki nad drzwiami, by ostrzegały mnie o przybyciu Życzliwych, którzy upomną się o zaległy dług...

Anouk wróciła ze szkoły jak zwykle; usłyszałam tylko tupot na schodach, gdy szła do swojego pokoju. Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przywitała się ze mną jak należy, przybiegła pocałować, wyściskać i porozmawiać. Wmawiam sobie, że jestem przewrażliwiona. Ale był czas, kiedy prędzej zapomniałaby o Pantoufle'u niż o tej odrobinie czułości...

Tak, dziś chętnie ujrzałabym nawet jego. Choćby w przelocie, na dowód tego, że moje dziecko lata wciąż istnieje. Lecz nie widziałam go od wielu dni, Anouk zaś ostatnio prawie się do mnie nie odzywa. Nie opowiada nawet o Jeanie-Loupie ani o koleżankach ze szkoły, ani o Roux, Thierrym, a nawet o przyjęciu, chociaż wiem, ile wysiłku włożyła w wypisywanie zaproszeń (każde ozdobione gałązką ostrokrzewu i małpką), układanie jadłospisu i planowanie gier.

Teraz obserwuję ją ponad blatem stołu i nie mogę się nadziwić, jak dorośle wygląda. I jaka jest niepokojąco piękna, z ciemnymi włosami, chmurnym spojrzeniem i subtelnie zarysowującymi się kośćmi policzkowymi w ożywionej twarzy.

Patrzę, jak bawi się z Rosette i z wdziękiem pochyla głowę nad żółtym lukrem tortu. I wzrusza mnie widok małych rączek Rosette w większych dłoniach siostry.

– Zdmuchnij świece, Rosette – mówi. – Nie, nie pluj. Zdmuchnij. O tak.

Patrzę, jak rozmawia z Zozie...

Och, Anouk, to się dzieje tak szybko, ten nagły przeskok ze światła do mroku, z bycia dla kogoś centrum wszechświata do przejścia na drugi plan, gdzie stajemy się ledwie cieniem, marginalnym, niegodnym uwagi i analizy...

Późnym wieczorem, gdy zostaję sama w kuchni, wkładam do pralki rzeczy Anouk. Na chwilę unoszę je do twarzy, jakby zachowały tę utraconą przeze mnie część dziecka. Pachną powietrzem, kadzidłem z pokoju Zozie oraz herbatnikowym potem. Czuję się jak kobieta przetrząsająca kieszenie kochanka w poszukiwaniu dowodu jego niewierności...

W kieszeni spodni znajduję coś, co zapomniała wyjąć. To drewniana laleczka z kołka na ubrania, podobna do tych z wystawy adwentowej. Patrzę uważnie i widzę, kogo miała przedstawiać, widzę twarz narysowaną flamastrem i trzy rude włosy związane wokół pasa. A gdy mrużę oczy, dostrzegam otaczającą ją bladą poświatę, tak mglistą i znajomą, że niewiele brakowało, a bym ją przeoczyła.

Raz jeszcze podchodzę do witryny i spoglądam na jutrzejszą odsłonę. Otwarte drzwi ukazują jadalnię, gdzie wszyscy zebrali się przy stole, na którym stoi czekoladowy tort. Nie zabrakło też maleńkich świeczek oraz talerzyków i szklanek, a gdy spoglądam uważniej, rozpoznaję przybyłych gości: grubego Nico, Zozie, chudziutką Alice w wielkich butach, madame Pinot z krucyfiksem, madame Luzeron w żałobnym płaszczu, Rosette, siebie, a nawet Laurenta. Thierry, który nie został zaproszony, stoi pod zaśnieżonymi drzewami.

Wszystkich spowija złocista poświata...

Ot, drobiazg.

O nie, wcale nie drobiazg.

Przecież w tej zabawie nie ma nic złego, tłumaczę sobie. Poprzez zabawy dzieci racjonalizują świat, baśnie zaś, nawet najmroczniejsze, pomagają im pogodzić się ze stratą, okrucieństwem, śmiercią...

Jednakże ta scenka kryje w sobie coś jeszcze. Rodzina i przyjaciele zebrani przy stole, choinka, ciasto czekoladowe – to wszystko znajduje się wewnątrz domku. Na zewnątrz wygląda inaczej. Wszędzie leży gruba warstwa cukrowego śniegu. Jezioro z kaczkami jest zamarznęte, myszy ze śpiewnikami gdzieś znikły, a na gałęziach wiszą mordercze szpikulce sopli.

Thierry stoi tuż pod nimi, a czekoladowy bałwan, wielki jak niedźwiedź, obserwuje go złowieszczo z pobliskiego lasu.

Spoglądam baczniej na lalkę. I konstatuje z dreszczem, że wygląda wypisz wymaluj jak Thierry: ma jego włosy, komórkę, a nawet minę, wyrażoną kreską ust i kropkami oczu.

Po chwili dostrzegam coś jeszcze. Spiralny symbol na śniegu, narysowany czubkiem małego palca. Widziałam go już w pokoju Anouk, był namazany kredą na tablicy i ołówkiem w notesie, powielany za pomocą guzików i elementów układanek, lśniący blaskiem, który nie budzi wątpliwości.

I wreszcie zaczynam rozumieć. Znaki wydrapane pod ladą. Amulety nad drzwiami. Nieoczekiwany napływ klientów, nowe przyjaźnie i zmiany, jakie zaszły w ciągu ostatnich kilku tygodni. To nie tylko dziecięca zabawa, lecz istna kampania na terytorium, o które toczy się walka. Walka, której byłam kompletnie nieświadoma.

A kto jest głównym strategiem?

Nie wiecie?

*Piątek, 21 grudnia*

Zimowe przesilenie Ostatni dzień semestru to istne szaleństwo. Na lekcjach głównie zabawy i sprzątanie, klasowe imprezy, ciasta i kartki świąteczne, a nauczyciele, którzy nie uśmiechali się przez cały rok, paradują w kolczykach w kształcie bombek i mikołajowych czapkach, a czasem nawet rozdają słodycze.

Chantal & Spółka spuściły z tonu. W zeszłym tygodniu wróciły do szkoły, jednak nie mogą nawet marzyć o odzyskaniu dawnej popularności. Pewnie przez ten liszaj. Suze odrastają włosy, ale wciąż nosi czapkę. Chantal wygląda w miarę, natomiast Danielle, która wyzywała Rosette, straciła większość włosów, a na dodatek brwi. Oczywiście nie wiedzą, że to moja sprawka, ale i tak omijają mnie szerokim łukiem jak owce elektrycznego pastucha. Koniec z głupim Jasiem i niewybrednymi żartami. Koniec z wyśmiewaniem moich włosów i odwiedzinami w *chocolaterie*. Mathilde słyszała, jak Chantal powiedziała do Suze, że jestem „walnięta”. Jean-Loup i ja mało nie pękliśmy ze śmiechu. „Walnięta”. Żenada.

Zostały tylko trzy dni, a Roux wciąż nie daje znaku życia. Szukam go od tygodnia, ale słuch po nim zaginął. Dziś poszłam nawet do jego hotelu i też wróciłam z niczym, zresztą na Rue de Clichy lepiej się nie zapuszczać, zwłaszcza po ciemku, bo można wdepnąć w rzygowiny i natknąć się na zwiniętego w kłębek pijaka.

Miałam nadzieję, że zjawi się chociaż na urodziny Rosette, ale gdzie tam. Strasznie za nim tęsknię. Nie mogę uwolnić się od myśli, że coś mu się stało. Czy wtedy kłamał o łodzi i naprawdę sfalszował ten czek? Czy to możliwe, że odszedł na zawsze? Thierry mówi, żeby się lepiej nie pokazywał, jeśli mu życie miłe. Zozie uważa, że pewnie ukrył się gdzieś w pobliżu. *Maman* nie mówi nic.

Opowiedziałam o wszystkim Jeanowi-Loupowi. O Roux, Rosette i całym tym bałaganie. Wyjaśniłam mu, że Roux to mój najlepszy przyjaciel i boję się, że odszedł na zawsze, na co Jean-Loup pocałował mnie, mówiąc, że to on jest moim przyjacielem...

To był tylko zwykły pocałunek. Nic obrzydliwego. Ale jestem cała rozdygotana, jakby ktoś grał mi w brzuchu na trójkacie albo...

O rany.

Jean-Loup twierdzi, że powinnam porozmawiać z *maman*, ale ona ma ostatnio

pełne ręce roboty, a przy obiedzie milczy jak zaklęta i tylko patrzy na mnie ze smutkiem i rozczarowaniem, jakbym o czymś zapomniała. I zupełnie nie wiem, co powiedzieć, żeby wszystko naprawić...

Pewnie dlatego wymknęłam się dziś wieczorem. Znowu myślałam o Roux i przyjęciu: czy aby na pewno dotrzyma słowa? Nie zjawił się na urodzinach Rosette, a jeśli nie przyjdzie w Wigilię, mój plan nie wypali. To Roux jest gwarancją udanego przedsięwzięcia. A jeśli się nie uda, już nigdy nie będzie tak jak dawniej, a musi być, po prostu musi, zwłaszcza teraz...

Wieczorem Zoie musiała wyjść, a *maman* znowu pracowała do późna. Dostaje tyle zamówień, że prawie nie daje rady, więc na kolację ugotowałam spaghetti i zaniiosłam swój talerz do pokoju, żeby jej nie przeszkadzać.

O dziesiątej położyłam się do łóżka, ale nie mogłam zasnąć i poszłam do kuchni napić się mleka. Zoie jeszcze nie było, a *maman* robiła trufle. Wszystko pachniało czekoladą, sukienka *maman*, a nawet Rosette, która bawiła się na podłodze kawałkiem ciasta i foremkami.

Było tak swojsko, tak przytulnie. To powinno wzbudzić moją czujność. *Maman* wyglądała na zmęczoną i spiętą; ugniatała masę jak ciasto na chleb, a kiedy weszłam do kuchni, prawie na mnie nie spojrzała.

– Pospiesz się, Anouk – powiedziała. – Nie chcę, żebyś siedziała do późna.

Ładna mi sprawiedliwość, pomyślałam. Rosette ma dopiero cztery lata i może.

– Przecież jutro nie idę do szkoły – przypomniałam.

– Nie chcę, żebyś się rozchorowała – ucięła *maman*.

Rosette pociągnęła mnie za nogawkę piżamy, żebym obejrzała jej ciasteczka.

– Bardzo ładne, Rosette. Chcesz je upiec?

„Mniam, mniam”, pokazała wesoło Rosette.

Jak dobrze, że tu jest, pomyślałam. Zawsze szczęśliwa, zawsze uśmiechnięta. Nie to, co reszta tych ponuraków. Kiedy dorosnę, zamieszkać z Rosette, na przykład w łodzi na rzece, jak Roux, i będziemy jeść parówki prosto z puszki, palić ogniska na brzegu, a Jean-Loup może zamieszkać w pobliżu...

Włączyłam piekarnik i wyjęłam blachę do pieczenia. Ciastka nosiły ślady brudnych paluszków Rosette, ale co tam.

– Upieczemy je z obu stron, jak herbatniki – oznajmiłam. – I zawiesimy na choince, dobrze?

Rosette śmiała się i pohukiwała, gestem poganiając ciastka, żeby szybciej rosły. Strasznie mnie to rozbawiło i na chwilę zrobiło się tak fajnie, jakby niebo roz pogodziło się nad głową. Ale *maman* się odezwała i chmury powróciły.

– Znalazłam coś, co należy do ciebie – powiedziała, wciąż ugniatając masę.

Ciekawe, co takiego znalazła i gdzie. Pewnie w moim pokoju albo w kieszeni. Czasami odnoszę wrażenie, że mnie szpieguje. Zawsze wiem, kiedy rusza moje rzeczy, widzę poprzesuwane książki i zabawki, poprzekładane papiery. Nie wiem, czego szuka, ale na razie nie znalazła mojej specjalnej kryjówki. To karton po butach, schowany głęboko na dnie szafy, z moim pamiętnikiem, zdjęciami oraz innymi drobiazgami, których nie chcę nikomu pokazywać.

– To twoje, prawda? – Otworzyła szufladę i wyjęła figurkę Roux, zostawioną w kieszeni spodni. – Sama ją zrobiłaś?

Kiwnęłam głową.

– Po co?

Nie odpowiedziałam. Cóż mogłam rzec? Chyba nie potrafiłabym tego wyjaśnić, nawet gdybym chciała. Po to, żeby wszystko wróciło do normy, żeby sprowadzić Roux, ale nie tylko jego...

– Widziałaś się z nim, prawda?

Milczałam. I tak z góry znała odpowiedź.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, Anouk?

– A dlaczego ty mi nie powiedziałaś, że jest tatą Rosette?

*Maman* znieruchomiała.

– Kto ci powiedział?

– Nikt.

– Zozie?

Potrząsnęłam głową.

– A więc kto?

– Sama zgadłam.

Odłożyła łyżkę na brzeg miski i powoli usiadła na krześle. Siedziała na nim tak długo, aż poczułam swąd przypalonych ciasteczek. Rosette dalej bawiła się foremkami, układając jedną na drugiej. Są plastikowe, każda w innym kolorze: fioletowy kot, żółta gwiazda, czerwone serce, niebieski księżyc, pomarańczowa mała i zielony diament. W dzieciństwie też lubiłam się nimi bawić, robiłam czekoladowe herbatniki i piernikowe ludki, które następnie ozdabiałam żółtym i białym lukrem wyciskanym z torebki.

– *Maman?* – zapytałam. – Dobrze się czujesz?

W milczeniu zmierzyła mnie nieodgadnionym spojrzeniem.

– Powiedziałaś mu? – odezwała się wreszcie.

Nie odpowiedziałam. Nie musiałam. Wyczytała to w mojej aurze, tak jak ja

czytałam w jej. Chciałam ją zapewnić, że wszystko w porządku, nie musi kłamać, bo ja już wiem i mogę jej pomóc...

– Przynajmniej teraz wiemy, dlaczego się ulotnił.

– Myślisz, że wyjechał?

W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

– Nie oszedłby z takiego powodu!

Ze znużonym uśmiechem podała mi lalkę z lśniącem znakiem Zmiennego Wiatru.

– Przecież to tylko lalka, *maman*.

– Myślałam, że mi ufasz, Nanou.

Nad jej głową przetaczały się smutne szarości i niespokojne żółcie, niczym przechowywane na strychu stare gazety, które ktoś chce wyrzucić. Widziałam, o czym myśli, jakby kartkowała album wspomnień. Ujrzałam siebie sześćioletnią, siedzącą obok niej przy chromowym blacie; obie uśmiechamy się radośnie, między nami stoi wysoka szklanka gęstej gorącej czekolady, a obok leżą dwie łyżeczki. Potem zobaczyłam otwartą książkę z obrazkami, pozostawioną na krześle. I swój rysunek z dwiema koślawymi postaciami, które miały przedstawiać *maman* i mnie pod lizakowym drzewem, uśmiechnięte od ucha do ucha. I siebie, łowiącą ryby na łodzi Roux. I znowu siebie, jak biegnę z Pantoufle'em tam, gdzie nigdy nie dotrę...

I cień majaczący nad naszymi głowami.

Jej strach sprawił, że włosy zjeżyły mi się na głowie. Chciałam jej zaufać, powiedzieć że wszystko w porządku, że jeszcze nie wszystko stracone, bo Zozie i ja próbujemy to przywrócić...

– Przywrócić?

– Nie martw się, *maman*. Wiem, co robię. Tym razem nic się nie stanie.

Jej aura rozbłysła, ale na twarzy wciąż malował się spokój. Uśmiechnęła się, powoli i cierpliwie dobierając słowa, jakby mówiła do Rosette.

– Posłuchaj, Nanou. To bardzo ważne. Chcę, żebyś mi wszystko opowiedziała.

Spojrzałam na nią z wahaniem. Przecież obiecałam Zozie...

– Zaufaj mi, Anouk. Muszę wiedzieć.

Spróbowałam jej wyjaśnić System Zozie, kolory, nazwy, symbole meksykańskie, Wiatr Zmienny, lekcje w pokoju Zozie, to, jak pomogłam Claude'owi i Mathilde i jak rozkręciłyśmy interes. Opowiedziałam o Roux, drewnianych figurkach i o tym, jak Zozie przekonywała, że nie ma czegoś takiego jak Wypadki, są tylko zwykli ludzie i osoby takie jak my.

– Mówiłaś, że prawdziwe czary nie istnieją – dodałam. Ale Zozie twierdzi, że

trzeba robić użytek z tego, co zostało nam dane. Nie możemy tak po prostu udawać, że jesteśmy takie jak inni. Musimy przestać się ukrywać...

– Czasami nie ma innego wyjścia.

– Nie, czasami można się postawić.

– Jak to?

Opowiedziałam jej o tym, co zrobiłam w szkole i o tym, jak za radą Zoie spróbowałam pokonać i wykorzystać wiatr. Już nie musimy się bać. Wreszcie opowiedziałam jej, jak ja i Rosette wspólnie poprosiłyśmy Wiatr Zmienny, aby sprowadził Roux, żebyśmy mogli stać się rodziną...

Słyszając to drgnęła jak oparzona.

– A Thierry? – zapytała.

No cóż, nie było tu dla niego miejsca. Przecież sama rozumie.

– Nie stało się nic złego, prawda? – dodałam. Chyba że...

Chyba że... Jeśli Roux naprawdę sfalszował czek, może rzeczywiście doszło do Wypadku. Może jest tak, jak mówi *maman*: wszystko ma swoją cenę, nawet magia powoduje równą i przeciwną reakcję, jak w trzeciej zasadzie dynamiki, której monsieur Gestin uczy nas na fizyce... *Maman* stanęła przodem do pieca.

– Robię gorącą czekoladę. Masz ochotę?

Potrząsnęłam głową.

Starła czekoladę do gorącego mleka, dodała gałkę muszkatołową, wanilię i kardamon. Zrobiło się późno, dochodziła jedenasta; Rosette prawie zasypiała na podłodze.

Przeszło mi przez myśl, że w sumie dobrze się stało, bo nie lubię mieć tajemnic przed *maman*. Pomyślałam też, że skoro teraz zna prawdę, to nie musi się już bać, znów może być Vianne Rocher i wszystko się ułoży...

Odwróciła się do mnie i zrozumiałam, że nic bardziej mylnego.

– Zabierz Rosette do łóżka, Nanou. Porozmawiamy o tym jutro.

Popatrzyłam na nią z ukosa.

– Nie jesteś zła?

Potrząsnęłam głową, ale widziałam, że to nieprawda. Miała bladą, stężalą twarz, a nad jej głową widniały czerwienie, gniewne oranże oraz czernie i szarości paniki.

– To nie wina Zoie – powiedziałam.

Widziałam po jej minie, że jest innego zdania.

– Nie powiesz jej, prawda?

– Idź spać, Nou.

Poszłam na górę i długo leżałam bezsennie, nasłuchując wiatru i deszczu pod



okapem, patrząc na chmury, gwiazdy i białe lampki świąteczne, które odbijały się od mokrej szyby i po chwili nie wiedziałam, które z nich to prawdziwe gwiazdy, a które nie.

*Piątek, 21 grudnia*

Od dawna nie zawracałam sobie głowy wrózeniem. Przypadkowa wizja, iskra z dłoni obcej osoby, ale nic więcej. Wiem, co lubią, to wszystko. Nie chcę znać ich tajemnic.

Dziś jednak muszę podjąć kolejną próbę. Przynajmniej to uświadomiła mi chaotyczna opowieść Anouk. W obecności dziewczynki udało mi się zachować spokój i złudzenie panowania nad sytuacją. Ale teraz słyszę grudniowy wiatr, a zza drzwi dobiegają głosy Życzliwych...

Karty na nic mi się nie przydadzą. Uparcie pokazują to samo, tylko układ się zmienia, choćbym tasowała je wte i wewte.

Głupiec, Kochankowie, Mag, Koło Fortuny.

Śmierć, Wisielec, Wieża.

Dlatego tym razem użyję czekolady. Metoda, z której nie korzystałam od lat. Muszę tylko zająć czymś ręce: trufle mogę robić z zamkniętymi oczami, wystarczy tylko zapach i szum topiącej się kuwertury – na ich podstawie określam temperaturę.

Wiecie, to swoiste czary. Moja matka gardziła nimi z całego serca, nazywała trywialnymi i uważała za stratę czasu, ale to moja magia. Zawsze przedkładałam własne narzędzia ponad to, co próbowała mi narzucić. Naturalnie każda magia ma konsekwencje, lecz chyba zabrnęliśmy zbyt daleko, żeby się tym przejmować. Popełniłam błąd, próbując okłamać Anouk, jeszcze większy zaś, próbując oszukać samą siebie.

Działam metodycznie, z na wpół przymkniętymi oczami. Czuję przed sobą zapach rozgrzanej miedzi i metaliczną woń wrzącej wody. Te rondle towarzyszą mi od lat, znam na pamięć ich kontury i wgłębienia, moje palce na dobre odcisnęły się w ich strukturze, znacząc plamami jednolitą powierzchnię.

Wszystko dokoła mnie zyskuje głębszy wymiar. Uwalniam swoje myśli, wiatr wzmaga się na zewnątrz, a księżyc, który za parę dni osiągnie pełnię, unosi się na tle chmur jak boja pośród spienionych fal.

Powierzchnia wody drży; nie mogę dopuścić do wrzenia. Ścieram na tarce czekoladę. Aromat prawie natychmiast wzbija się w górę; mroczna, ilasta woń gorzkiej czekolady. Jest zwarta i topi się powoli; ze względu na niską zawartość

tłuszczu będę musiała dodać masła i śmietany, które zapewnią truflom właściwą konsystencję. Ale teraz pachnie historią, górami i lasami Ameryki Południowej, świeżym drewnem, rozlaną żywicą i dymem z ogniska. Pachnie kadzidłem i paczulą, czarnym złotem Majów i czerwonym złotem Azteków, kamieniem, pyłem i młodą dziewczyną z kwiatami we włosach i czarą *pulque* w dłoni.

Zapach jest odurzający, czekolada staje się szklista, para unosi się z garnka i woń nabiera głębi, rozkwitając w cynamon, ziele angielskie i gałkę muszkatołową, z półszepcetem anyżu i espresso oraz jaśniejszą nutą imbiru i wanilii. Już prawie się roztopiła. Z garnka ulatuje obłoczek pary. Oto prawdziwa *Theobroma*, eliksir bogów w lotnej postaci, a w parze widzę...

Dziewczynkę tańczącą z księżycem. Królik podąża za nią krok w krok. Dalej stoi kobieta z głową ukrytą w cieniu, dzięki czemu wygląda, jakby patrzyła w trzy strony świata...

Para robi się za gęsta. Czekolada nie może przekroczyć temperatury czterdziestu sześciu stopni. Gorętsza zacznie się przypalać, a na powierzchni pojawiają się smugi. Za zimna zmetnieje. Po tylu latach nie potrzebuję termometru, wystarczy zapach i widok pary. Zdejmij garnek z ognia i wstaw do zimnej wody, niech temperatura opadnie.

Stygnąca czekolada wydziela kwiatową woń, pachnie fiołkami i lawendowym *papier poudre*. Pachnie babcią, której nigdy nie miałam, ślubnymi sukniami przechowywanymi starannie na strychu i bukietami pod szkłem. Prawie widzę to szkło, okrągły klosz, pod którym stoi lalka, czarnowłosa lalka w płaszczyku obszytym czerwonym futerkiem. Przypomina mi kogoś, kogo znam...

Kobieta o zmęczonej twarzy spogląda tęsknie na czarnowłosą lalkę. Chyba gdzieś ją widziałam. Za nią stoi druga kobieta, ale jej twarz jest zniekształcona przez klosz. To może być ktokolwiek...

Ponownie wstawiam garnek do rozgrzanej wody. Czekolada musi osiągnąć trzydzieści jeden stopni. Mam ostatnią szansę, by wydobyć z tego jakiś sens; spoglądając na roztopioną kuwerturę, czuję, jak drżą mi ręce. Teraz pachnie moimi dziećmi, Rosette i jej tortem urodzinowym oraz sześciolatnią Anouk, która gada jak nakrecona, śmieje się do rozpuku i planuje... co?

Festiwal. *Grand Festival Du Chocolat* – z wielkanocnymi jajkami, czekoladowymi kurkami i papieżem z białej czekolady...

Cudowne wspomnienie. Wygrałyśmy wówczas starcie z Człowiekiem w Czerni, byłyśmy górą, przynajmniej przez chwilę...

Ale nie ma czasu na nostalgię. Rozdmuchaj parę i spróbuj jeszcze raz.

Jesteśmy w „Le Rocher de Montmartre”. Zastawiony stół, wokół niego wszyscy nasi przyjaciele. To festiwal innego rodzaju: widzę uśmiechniętego Roux z koroną ostrokrzewu na rudych włosach. Tuli w objęciach Rosette i popija szampana.

Ale to tylko pobożne życzenia. Często widzimy to, co chcemy zobaczyć. Przez chwilę jestem bliska łez.

Ponownie rozgarniam ręką parę.

Kolejne święto. Trzaskają fajerwerki, maszeruje orkiestra, idą ludzie przebrani za szkielety; to Dzień Zmarłych, na ulicach tańczą dzieci z papierowymi latarniami o twarzach demonów i cukrowymi czaszkami na kijach. *Santa Muerte* defiluje ulicami, zwrócona trzema twarzami na trzy strony świata...

Ale co to ma wspólnego ze mną? Nigdy nie byliśmy w Ameryce Południowej, choć moja matka bardzo chciała tam pojechać. Nie dotarliśmy nawet na Florydę...

Wyciągam rękę, aby rozwiać parę. Wtedy ją widzę. Dziewczynkę o mysich włosach, ośmio, może dziewięcioletnią, która wraz z matką przeciska się przez tłum. Czuję, że różnią się od pozostałych – ich włosy, skóra – oszołomione chłoną wszystko, tancerzy, demony, malowane piñaty na długich, zaostrzonych drągach, z przywiązanymi petardami...

Raz jeszcze przesuwam ręką nad powierzchnią czekolady. Cienkie strużki dymu wzbijają się w górę i czuję proch, niebezpieczny zapach, zapach dymu, ognia i zawirowań...

Ponownie widzę dziewczynkę: bawi się z grupką dzieci w bocznej uliczce przed pogrążonym w półmroku niepozornym sklepem. Nad drzwiami wisi piñata w kształcie tygrysa w czerwone, żółte i czarne pręgi. Pozostali krzyczą: „Uderz! Uderz!” i obsypują ją gradem patyków i kamieni. Ale dziewczynka trzyma się na uboczu. Coś jest w sklepie, myśli. Coś... ciekawszego.

Kim ona jest? Nie mam pojęcia. Ale chcę wejść za nią do środka. W drzwiach wisi zasłona z długich pasków kolorowego plastiku. Dziewczynka wyciąga rękę – ma na nadgarstku srebrną bransoletkę – ogląda się na dzieci, wciąż atakujące tygrysią piñatę, po czym wchodzi do sklepu.

– Podoba ci się moja piñata?

Głos dochodzi z kąta. Należy do starej kobiety, babki, nie, raczej prababki, tak wiekowej, że w oczach małej dziewczynki zdaje się liczyć sobie sto, a może nawet tysiąc lat. Wygląda jak czarownica z książki z bajkami, widać tylko zmarszczki, oczy i guzowate ręce. W jednej z nich trzyma kubek; w nozdrza dziewczynki uderza dziwny zapach, gęsty i odurzający.

Półki dokoła niej uginają się od butli, słoików, garnków i tykw; pod sufitem

wiszą zasuszone korzenie o piwnicznym zapachu i wszędzie stoją zapalone świece, które rzucają na ściany płasające cienie.

Z górnej półki spogląda czaszka.

Dziewczynka początkowo bierze ją za czaszkę z cukru, lecz po chwili sama nie jest już pewna. Tuż przed sobą, na ladzie widzi czarny przedmiot długości około metra. Przywodzi na myśl trumienkę niemowlęcia.

Wygląda jak pudełko z *papiermache*, całe czarne, ze znakiem, który przypomina krzyż, ale niezupełnie, wymalowanym na wieku czerwoną farbą.

To pewnie piñata, myśli.

Prababka z uśmiechem podaje dziewczynce nóż. Jest bardzo stary i dość tępy, wygląda jakby go wykonano z kamienia. Dziewczynka patrzy ciekawie na nóż, po czym przenosi wzrok na staruszkę i jej dziwną piñatę.

– Otwórz – nalega kobieta. – Otwórz. To dla ciebie.

Aromat czekolady przybiera na sile. Osiąga już trzydzieści jeden stopni, temperaturę, której nie może przekroczyć kuwertura. Para gęstnieje, obraz traci kontury. Pospiesznie zdejmują czekoladę z ognia i próbują na nowo przywołać obraz.

– Otwórz.

Pachnie starością. Ale ze środka dobiega wołanie, to niezupełnie głos, lecz brzmi przymilnie, obiecująco...

– To dla ciebie.

To, czyli co?

Pierwsze uderzenie. Głuchy odgłos odbija się echem; wbrew niepozornym rozmiarom pudełka piñata dźwięczy jak drzwi krypty albo pusta beczka.

Drugie uderzenie. piñata pęka, na całej długości pojawia się rysa. Dziewczynka uśmiecha się triumfalnie; już prawie widzi kryjące się wewnątrz słodczyce i błyskotki.

Już prawie. Jeszcze tylko jedno uderzenie.

Na progu staje jej matka, rozgarnia plastikową zasłonę i zdumiona zagląda do środka. Woła córkę po imieniu. Jej głos brzmi piskliwie. Dziewczynka nie podnosi głowy, bez reszty pochłonięta czarną piñatą, która lada chwila ujawni swoje sekrety...

Matka znowu woła. Za późno. Dziewczynka jest zbyt zaabsorbowana. Stara gorliwie wychyla się do przodu; już prawie czuje w ustach ten smak, gęsty jak krew, jak czekolada.

Nóż opada z głuchym łoskotem. Rysa staje się szersza.

Nareszcie, myśli dziewczynka.

Rozwiały się ostatnie smugi pary. Czekolada zastygnie jak należy, będzie lśniąca i krucha. Już wiem, gdzie ją widziałam. Wiem, gdzie widziałam dziewczynkę z nożem w ręce.

Znam ją od urodzenia. Latami przed nią uciekałyśmy, matka i ja, snując się jak Cyganki od miasta do miasta. Spotykałyśmy ją w bajkach: to czarownica z domku na kurzej łapce, Szczurołap i Królowa Śniegu. Na chwilę dała się poznać jako Człowiek w Czerni, ale Życzliwi mają wiele twarzy, ich życzliwość rozprzestrzenia się jak ogień, podchwytyjąc melodię, zwiastując zmiany i wywabiając nas z miasta Hamelin, a nasze kłopoty pędzą na łeb na szyję śladem bajecznych czerwonych butów...

Teraz wreszcie ją widzę. Widzę jej prawdziwą twarz, ukrytą za maską życzliwości, zmienną jak księżyc i głodną, zachłanną, gdy przestępuje próg na swych niebotycznych obcasach i patrzy na mnie z góry z promiennym uśmiechem...

*Piątek, 21 grudnia*

Czekała na mnie. W sumie nie mogę powiedzieć, że byłam zdziwiona. Od kilku dni oczekiwałam jakiejś reakcji i prawdę mówiąc, nastąpiła z dużym opóźnieniem.

Pora wyjaśnić sobie to i owo. Rola udomowionej kotki przestała mi odpowiadać. Czas ujawnić drapieżne oblicze, stawić czoło przeciwnicze na jej terytorium.

Zastałam ją w kuchni, otuloną szalem, z kubkiem dawno wystygłej czekolady w ręku. Minęła północ, na zewnątrz wciąż padał deszcz, a w pomieszczeniu unosiła się lekka woń spalenizny.

– Witaj, Vianne.

– Witaj, Zozie.

Spogląda na mnie.

I znów wchodzę do gry.

Jeśli czegoś żałuję, to tego, że większość egzystencji innych ludzi zagarnęłam ukradkiem, a moi przeciwnicy nie mieli okazji docenić poezji swego upadku.

Moja matka, która nie grzeszyła nadmiarem inteligencji, mogła coś przeczuwać, choć podejrzewam, że raczej nie wierzyła własnej intuicji. Pomimo szerokich zainteresowań okultystycznych brakowało jej wyobraźni i przedkładała bezsensowne rytuały nad konkrety.

Nawet Francoise Lavery, która – mając takie zaplecze – musiała pod koniec zorientować się w sytuacji, nie zdołała ogarnąć kunsztu, z jakim jej życie zostało zreformowane i przepakowane do innego pudełka...

Zawsze była nieco chwiejna. Typ szarej myszki, podobnie jak moja matka, naturalna ofiara dla osoby mojego pokroju. Uczyła historii klasycznej, mieszkała opodal Place de la Sorbonne i polubiła mnie (podobnie jak większość ludzi) od pierwszego wejrzenia, kiedy to spotkałyśmy się (niezupełnie przypadkowo) na wykładzie w *Institut Catholique*.

Lat trzydzieści, nieco otyła, wiecznie na skraju depresji, bez przyjaciół, a do tego niedawno rozstała się z chłopakiem i szukała współlokatorki.

Była to oferta nie do odrzucenia, toteż bez wahania przyjąłam posadę. Pod nazwiskiem Mercedes Desmoines stałam się obrończynią i powiernicą Francoise.

Podzielałam jej sympatię do Sylvii Plath. Wraz z nią ubolewałam nad głupotą mężczyzn i wyraziłam żywe zainteresowanie jej beznadziejnie nudną pracą na temat roli kobiety w przedchrześcijańskim mistycyzmie. Ostatecznie w tej roli wypadam najlepiej. I tak, krok po kroku poznałam jej sekrety, podkreślałam jej melancholijne skłonności, a w odpowiednim momencie przejęłam na własność jej życie.

Oczywiście trudno nazwać to wielkim wyzwaniem. Istnieje pół miliona kobiet takich jak Francoise, o włosach w nieokreślonym odcieniu, okrągłolichych i kompletnie pozbawionych gustu, które kryją rozczarowanie pod maską starannego wykształcenia i zdrowego rozsądku. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że wyświadczyłam jej przysługę, a gdy była gotowa, podsunęłam jej możliwie bezbolesny środek, by nakłonić ją do współpracy.

Potem wystarczyło tylko dopiąć wszystko na ostatni guzik: list pożegnalny, identyfikacja, kremacja i tym podobne, po których mogłam porzucić tożsamość Mercedes, pozbierać to, co zostało z Francoise (konto, paszport, metrykę) i zabrać ją na jedną z zagranicznych wycieczek, na które zawsze chciała pojechać, ale jakoś nigdy nie miała okazji. A ludzie z jej otoczenia pewnie zachodzili w głowę, jak to możliwe, że kobieta może zniknąć tak całkowicie i skutecznie, nie pozostawiając za sobą nic, ani rodziny, ani dokumentów, ani nawet grobu.

Po jakimś czasie miała się pojawić jako nauczycielka angielskiego w Lycee Rousseau. Do tego czasu została zapomniana, pogrzebana pod stosem papierków. Prawda jest taka, że większość ludzi ma wszystko gdzieś. Życie płynie w takim tempie, że nietrudno zapomnieć o zmarłych.

Pod koniec chciałam, żeby zrozumiała. Cykuta to użyteczna trucizna, łatwo zdobyć ją latem i czyni z ofiary nader wdzięcznego słuchacza. Paraliż następuje w ciągu paru minut, a potem jest dużo czasu na wymianę poglądów, a raczej monolog, ponieważ samej Francoise głos chyba uwiązał w gardle.

Szczerze powiedziawszy, nie kryłam rozczarowania. Byłam bardzo ciekawa, jak zareaguje, i choć nie spodziewałam się oklasków, bierna postawa osoby o jej kalibrze intelektualnym sprawiła mi srogi zawód.

Ale nieładna twarz o wytrzeszczonych oczach i rozdziawionych ustach wyrażała tylko niedowierzanie. Gdyby padło na osobę o większej wrażliwości niż ja, jej przedśmiertny charkot, kiedy na próżno walczyła z wywarem, który zmógł Sokratesa, zapewne dręczyłby mnie w snach.

Tyle zachodu, pomyślałam. Zmarnowanego na biedną Francoise, która, niestety, odkryła miłość do życia dosłownie na parę minut przed wielkim finałem.



A ja ponownie zostałam z niejasnym poczuciem żalu. Znow poszło zbyt łatwo. Francoise nie stanowiła żadnego wyzwania. Srebrna myszka na mojej bransoletce. Naturalna ofiara dla takiego sępa jak ja.

Co prowadzi nas do Vianne Rocher.

Oto godna mnie przeciwniczka, czarownica, a do tego potężna, nawet mimo idiotycznych skrupułów i poczucia winy. Być może jedyna godna mnie przeciwniczka, z jaką miałam do czynienia. Czeka na mnie i wie, wreszcie przejrzała mnie na wylot. Nie ma nic przyjemniejszego niż pierwszy moment prawdziwej zażyłości...

– Witaj, Vianne.

– Witaj, Zozie.

Siadam przy stole naprzeciw niej. Przemarznięta kuli się w bezkształtnym ciemnym swetrze, blade usta tamują potok niewypowiedzianych słów. Uśmiecham się; w odpowiedzi jej aura rozbłyska kolorami, zasłona pozorów opada, a ja czuję niemalże przyływ serdeczności.

Na zewnątrz szaleje wiatr, śmiercionośny zwiastun śniegu. Śpiący w bramach bezdomni nie mają dzisiaj szans. Zawyją psy, drzwi zatrzasną się na głucho. Młodzi kochankowie popatrzą sobie głęboko w oczy i po raz pierwszy zwątpią w sens swych przyrzeczeń. Wieczność to szmat czasu, tu zaś, w martwym punkcie końca roku, śmierć nagle jawi się na wyciągnięcie ręki.

Ale czy nie na tym polega sens tej całej szopki? Mały przejaw buntu w obliczu ciemności? Nazwijcie to Bożym Narodzeniem, ale wszyscy wiemy, że jego historia sięga znacznie dalej. A pod otoczką lamety, kolędowania, przejawów życzliwości oraz prezentów kryje się bardziej posępna i prozaiczna prawda.

To czas utraty, ofiar z niewinnych, strachu, mroku, jałowości i śmierci. Aztekowie i Majowie wiedzieli, że ich bogowie bynajmniej nie marzą o ocaleniu świata, tylko o jego destrukcji. Jedynie krew może ich na chwilę udobruchać.

Siedziałyśmy w milczeniu, jak stare przyjaciółki. Bawiłam się bransoletką, a Vianne wpatrywała się w dno kubka. Wreszcie podniosła na mnie wzrok.

– Co tutaj robisz, Zozie?

Niezbyt oryginalne, ale w końcu od czegoś trzeba zacząć.

Uśmiechnęłam się pobłaźliwie.

– Jestem... kolekcjonerką – odpowiedziałam.

– Tak to nazywasz?

– Z braku lepszego określenia.

– A co kolekcjonujesz? – spytała.

– Zaległe długi. Niespełnione obietnice.

Drgnęła, zgodnie z moimi przewidywaniami.

– Ile jestem ci winna?

– Pomyślmy. – Znowu się uśmiechnęłam. – Uroki, zaklęcia, sztuczki, magia ochronna, przemiana słomy w złoto, odwrócenie złego losu, wyprowadzenie szczurów z Hamelin i ogólnie rzecz biorąc, zwrócenie ci dawnego życia... – Widziałam, że chce zaprotestować, lecz nie dałam jej dojść do głosu. – Chyba ustaliłyśmy, że zapłacisz w naturze.

– W naturze? – powtórzyła. – Nie rozumiem.

Rozumiała. To rzecz stara jak świat, zna ją na wylot. Ceną za pragnienie serca jest samo serce. Życie za życie. W świecie musi panować równowaga. Naciągnij gumkę, a wreszcie strzeli ci mocno w twarz.

Nazwijcie to karmą, fizyką, teorią Chaosu, lecz bez niej runą mury, ziemia usunie się spod nóg, ptaki spadną z nieba, morza przemienia się w krew i zanim się obejrzysz, nastąpi koniec świata.

Śmiało mogłabym odebrać jej życie. Ale dziś jestem wspaniałomyślna. Vianne Rocher ma dwa życia, ja potrzebuję tylko jednego. Jednakże ludzkie egzystencje można zamieniać, a tożsamości tasować jak karty i rozdawać od nowa. Tylko o to proszę. Jesteś mi coś dłużna, sama to powiedziałaś.

– Jak się nazywasz? – zapytała Vianne Rocher.

Jak się naprawdę nazywam?

O bogowie, minęło tyle czasu, że prawie zapomniałam. Wielka mi rzecz, nazwisko. Można je nosić jak płaszcz, wkładać na drugą stronę, a potem wyrzucić i ukraść kolejne. Nazwisko nie ma znaczenia. Liczy się tylko dług. Przyszłam się o niego upomnieć. Tu i teraz.

Jest tylko jedno małe „ale”. Nazywa się Francoise Lavery. Wygląda na to, że musiałam pomylić się w obliczeniach i przeoczyć jakiś drobny szczegół, ponieważ jej duch nie daje mi spokoju. Co tydzień piszą o niej w gazetach, na szczęście nie na pierwszej stronie, lecz i tak ten rozgłos bardzo mi nie w smak. W tym tygodniu po raz pierwszy padła sugestia, że być może chodziło o pospolite oszustwo. W całym mieście rozwieszono plakaty z jej zdjęciem. Rzecz jasna obecnie nie łączy nas żadne podobieństwo. Jednak obraz z kamery bankowej może doprowadzić policję po nitce do kłębka, po czym wystarczy jeden przypadkowy element i mój misterny plan legnie w gruzach.

Muszę zniknąć i to jak najszybciej (uwaga, nadchodzi twoja wielka chwila, Vianne). Najlepszym sposobem będzie na zawsze opuścić Paryż.

I właśnie w tym tkwi problem. Widzisz, Vianne, bardzo mi się tu podoba. W życiu nie myślałam, że zwykła *chocolaterie* może przynieść tyle frajdy... i korzyści. Jestem pod wrażeniem zmian, jakie tu zaszły; to miejsce ma potencjał, którego ty nigdy nie dostrzegałaś.

Dla ciebie było kryjówką. Dla mnie jest oknem cyklonu. Stąd możemy być Hurakanem, siać zamęt, wpływać na ludzkie losy, sprawować władzę (bo na tym to właśnie polega). A że przy okazji zarobimy trochę grosza? To też jest nie do pogardzenia, zwłaszcza w dzisiejszym skorumpowanym świecie.

Gdy mówię „my”...

Mam oczywiście na myśli „ja”.

– Ale dlaczego Anouk? – rzuciła ostro. – Po co wciągasz w to moją córkę?

– Bo ją lubię – odpowiedziałam.

Spojrzała z pogardą.

– Lubisz? Wykorzystałaś ją. Zdeprawowałaś. Pozwoliłaś, by uwierzyła, że jesteś jej przyjaciółką...

– Przynajmniej zawsze byłam z nią szczerą.

– A ja nie? Jestem jej matką...

– Sami wybieramy sobie rodzinę – odparłam z uśmiechem. – Lepiej uważaj, żeby Anouk nie wybrała mnie.

Rozmyślała o tym przez chwilę. Zachowała spokój, ale w jej aurze kłębiło się zdenerwowanie, oszołomienie i coś jeszcze, tak jakby czuła, wiedziała... Trochę mi się to nie spodobało.

– Mogłabym cię wyrzucić – oznajmiła wreszcie.

– Spróbuj – odrzekłam kpiąco. – Zadzwoń na policję albo lepiej do opieki społecznej. Jestem pewna, że udzielą ci koniecznego wsparcia. Pewnie jeszcze mają twoje dane w Rennes albo... Les Laveuses?

Wpadła mi w słowo.

– Czego właściwie chcesz?

Przedstawiłam jej zarys sytuacji. Czas nagli, ale ona nie musi o tym wiedzieć. Nie musi też wiedzieć o biednej Francoise, która wkrótce stanie się kimś innym. Zrozumiała jednak, że stałam się wrogiem; patrzyła na mnie zimnym, roziskrzonym wzrokiem, a gdy przedstawiłam swoje ultimatum, wybuchnęła wzgardliwym (aczkolwiek trochę histerycznym) śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że to ja mam wyjechać? – upewniła się z niedowierzaniem.

– No cóż – odparłam rzeczowo. – Czy na Montmartrze wystarczy miejsca dla

dwóch czarownic?

Jej śmiech zabrzmiał jak tłuczone szkło. Zawodzenia wiatru przybrały na sile.

– Jeśli uważasz, że spakuję manatki i ucieknę z powodu paru marnych zaklęć za moimi plecami, czeka cię gorzki zawód – oświadczyła. – Niejeden próbował. Pewien ksiądz...

– Wiem.

– No i?

A to dobre. Podoba mi się ta jej przekora. Właśnie na to liczyłam. Nietrudno zagarnąć czyjaś tożsamość, czyniłam to wielokrotnie. Lecz szansa, aby zmierzyć się z inną czarownicą na jej gruncie, przy użyciu dowolnych środków, przejąć na własność jej życie i dołączyć je do kolekcji na bransoletce, obok czarnej trumny i srebrnych bucików...

Ile razy dostajemy taką szansę?

Dam sobie trzy dni, ni mniej, ni więcej. Trzy dni na zwycięstwo lub porażkę. Potem będzie cześć, do widzenia, spadam na łąki i pastwiska zielone. Wolny duch i te rzeczy. Pójdę tam, gdzie wiatr mnie poniesie. Świat jest wielki i pełen możliwości, na pewno znajdę coś na miarę swego talentu.

Ale na razie...

– Posłuchaj, Vianne. Daję ci trzy dni. Masz czas do przyjęcia wigilijnego. Potem się spakujesz, zabierzesz, co trzeba, a ja nie stanę ci na drodze. Zostań, a nie ręcę za konsekwencje.

– Bo co? Co mi zrobisz?

– Zabiorę wszystko, kawałek po kawałku. Twoje życie, przyjaciół, dzieci...

Zesztywniała. No tak, trafiłam w czuły punkt. Dzieci, a zwłaszcza nasza mała Anouk, tak bystra i utalentowana...

– Nigdzie się stąd nie ruszę – oznajmiła.

Świetnie. Właśnie tego się spodziewałam. Nikt nie chce dobrowolnie wyrzec się życia. Nawet myszowata Francoise pod koniec stawiała trochę oporu. Po tobie spodziewam się znacznie więcej. Masz trzy dni na obmyślenie strategii. Trzy dni na obłaskawienie Hurakana. Trzy dni, aby stać się Vianne Rocher.

Chyba że oczywiście ja uczynię to pierwsza.

*Sobota, 22 grudnia*

„Do przyjęcia wigilijnego”. O co jej chodzi? Przecież w tych okolicznościach, z groźbą wiszącą nam nad głową nie może być mowy o żadnym przyjęciu. Taka była moja pierwsza reakcja, kiedy Zozie poszła spać, a ja zostałam w lodowatej kuchni, aby obmyślić plan defensywy.

Intuicja podpowiadała mi, żeby ją wyrzucić. Mogłabym, lecz myśl o tym, jak wpłynęłoby to na moich klientów (nie wspominając o Anouk), z góry wykluczała podobną strategię.

Co do samego przyjęcia... no cóż. Doskonale wiem, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni wigilijne spotkanie nabrało większego znaczenia niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Dla Anouk ma ona wymiar wielkiej uroczystości, a zarazem jest przejawem nadziei (być może obie jednakowo się łudzimy, że Roux wróci i jakimś cudem zaczniemy wszystko od nowa...).

Co do naszych klientów, nie, przyjaciół...

Wielu z nich od kilku dni znosi jedzenie, wino, ozdoby do domku adwentowego; nasza choinka to prezent z kwiaciarni, gdzie pracuje Alice, madame Luzeron podarowała szampan, a restauracja Nico dostarczyła naczynia i sztuce. Jean-Loup i Paulpaul przytargali mięso, za które pewnie zapłacili pochlebstwami i portretem żony dostawcy.

Nawet Laurent coś przyniósł (przyznaję, głównie cukier).

Wspaniale na powrót stać się częścią społeczności, czegoś większego aniżeli mała enklawa, którą dla siebie stworzyliśmy. Zawsze uważałam Montmartre za zimną i niedostępną dzielnicę, a mieszkańców za niegrzecznych i aroganckich snobów z głęboko zakorzenioną nieufnością wobec „intruzów”. Ale teraz widzę, że kamień skrywa czułe serce. Przynajmniej tego nauczyła mnie Zozie. Zozie, która odgrywa moją rolę równie dobrze, jak niegdyś robiłam to sama.

Moja matka opowiadała kiedyś taką historię. Podobnie jak wszystkie jej opowieści, również i ta była o niej samej, co zrozumiałam poniewczasie, gdy wątpliwości nagromadzone w miesiącach poprzedzających jej śmierć kazały mi wybrać się na poszukiwanie Syhdane Caillou.

To, co odkryłam, potwierdziło słowa rzucone przez moją matkę w delirium

podczas ostatnich dni. „Sama wybierasz sobie rodzinę”, powiedziała, ona zaś wybrała mnie, ośmiomiesięczną i w pewnym sensie stanowiącą jej własność, i przywłaszczyła sobie jak paczkę dostarczoną pod niewłaściwy adres.

„Ona by cię nie kochała”, zapewniła. „Była taka lekkomyślna. Pozwoliła ci odejść”.

Lecz poczucie winy ścigało ją przez wszystkie kontynenty, poczucie winy, które niepostrzeżenie przerodziło się w strach. Ów strach stanowił jej największą słabość i nigdzie nie pozwolił zagrzać jej miejsca. Strach, że ktoś mnie zabierze. Strach, że któregoś dnia odkryję prawdę. Strach, że przez te wszystkie lata była w błędzie, że niesłusznie wyciągnęła rękę po cudzą własność i prędzej czy później przyjdzie jej za to zapłacić.

A opowieść brzmi tak:

Pewna wdowa miała córkę, którą kochała nade wszystko w świecie. Mieszkały sobie w leśnej chatce i choć bieda zaglądała im w oczy, były ze sobą tak szczęśliwe jak nikt inny, ani przedtem, ani potem.

Były tak szczęśliwe, że mieszkająca nieopodal zawistna Królowa Serc postanowiła zdobyć serce córki, bo chociaż miała tysiąc kochanków i z górą sto tysięcy niewolników, wiecznie jej było mało i wiedziała, że nie spocznie dopóty, dopóki gdzieś pozostanie choćby jedno serce, które zostało ofiarowane komu innemu.

I tak Królowa Serc podkraśla się pod chatkę i ukryta wśród drzew patrzyła, jak córka wdowy sama bawi się przed domem. Chatka leżała daleko od najbliższej wsi i dziewczynka nie miała żadnych towarzyszy zabaw.

Królowa, która nie była żadną królową, tylko potężną czarownicą, przybrała postać małego, czarnego kotka, po czym wyszła z podniesionym ogonkiem spomiędzy drzew.

Dziewczynka przez cały dzień bawiła się z kotkiem, który wywracał koziółki, gonił za kawałkiem sznurka, chodził po drzewach, jadł jej z ręki i był zapewne najśłodszym i najmiłym zwierzątkiem, jakie widziała.

Lecz mimo swego mruczenia i dokazywania, kot nie zdołał skraść córce serca i gdy nadeszła noc, dziewczynka jak zawsze wróciła do domu, gdzie matka czekała na nią z kolacją. W przypiływie furii i rozczarowania Królowa wydarła serca wielu nocnym stworzeniom, lecz nie przyniosło jej to ulgi, albowiem jeszcze usilniej pragnęła serca dziewczynki.

Drugiego dnia zamieniła się w przystojnego młodzieńca i czekała na córkę wdowy, która na próżno szukała w lesie małego kotka. Nie licząc rzadkich wypraw

na targ, dziewczynka nigdy nie widziała chłopca, ten zaś był zachwycający: miał czarne włosy, niebieskie oczy i delikatne rysy. Natychmiast zapomniała o kotku i przez cały dzień spacerowali po lesie, śmiali się i rozmawiali, miło spędzając czas.

Lecz gdy zapadła noc i chłopiec skradł dziewczynce pocałunek, jej serce wciąż należało do matki. Królowa zapolowała na jelenie, wyrwała im serca i zjadła je na surowo, ale wciąż marzyła tylko o sercu dziecka.

Dlatego rankiem trzeciego dnia nie zmieniła postaci, tylko przyczała się w pobliżu chaty i patrzyła. A gdy dziewczynka na próżno szukała wczorajszego towarzysza zabaw, czarownica nie spuszczała wzroku z matki. Patrzyła, jak kobieta pierze w strumieniu ubrania i wiedziała, że ona zrobiłaby to lepiej. Patrzyła, jak matka sprząta chatkę i wiedziała, że to też zrobiłaby lepiej. Kiedy zapadła noc, przybrała postać kobiety i gdy dziewczynka wróciła do domu, na progu powitały ją dwie matki...

Cóż miała począć ta prawdziwa? Królowa Serc powieliła każdy szczegół jej wyglądu i zachowania tak bezbłędnie, iż nie sposób było dostrzec różnicy. Czegokolwiek się dotknęła, czarownica robiła to lepiej, szybciej, dokładniej...

Matka nakryła do stołu, kładąc dodatkowy talerz dla gościa.

– Ja przygotuję kolację – oznajmiła Królowa. – Znam wszystkie wasze przysmaki.

– Obie przygotujemy kolację – odrzekła prawdziwa matka. – Wtedy moja córka zadecyduje...

– Moja córka – odparła z naciskiem czarownica. – Już ja znam drogę do jej serca.

No cóż, prawdziwa matka była doskonałą kucharką. I nigdy nie włożyła w gotowanie więcej wysiłku, ani na Wielkanoc, ani w Yule. Lecz czarownica miała magię po swojej stronie i potrafiła rzucać potężne uroki. Matka знаła ulubione potrawy swego dziecka, ale Królowa znała te, które dziewczynka miała dopiero odkryć, i podczas kolacji stawiała je na stole jedną po drugiej.

Zaczęły od zimowej zupy, ugotowanej w miedzianym rondlu na kości z niedzielnego obiadu.

Ale czarownica podała lekki *bouillon*, gotowany na wolnym ogniu z najśłodszyimi szalotkami, doprawiony imbirem i trawą cytrynową, z dodatkiem tak chrupiących małych grzanek, że dosłownie rozpływały się w ustach.

Matka przyniosła drugie danie. Kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami i marmoladą z cebuli, ukochaną przez dziewczynkę krzepiącą potrawę.

Ale czarownica wyczarowała przepiórki, karmione od pisklęcia świeżymi

figami, upieczone i faszerowane kasztanami i *foie gras*, podane z *coulis* z granatu.

Matka była bliska rozpaczy. Przyniosła deser, zwykłą szarlotkę, upieczoną według przepisu swojej matki.

Czarownica zaś przyrządziła *piece montee*, pastelowe marzenie z migdałów i letnich owoców, w cieście lekkim jak piórko, pachnące konfiturą z róży oraz ptasim mleczkiem i podane z kieliszkiem Chateau d'Yquem...

– Niech ci będzie. Wygrałaś – powiedziała matka i serce jej pękło z trzaskiem na dwa równe kawałki. A czarownica z uśmiechem wyciągnęła rękę po zdobycz...

Ale córka nie pozwoliła się objąć, tylko padła na kolana obok biednej wdowy.

– Mamó, nie umieraj. Wiem, że to ty.

A Królowa Serc zawyla z wściekłości, ponieważ zrozumiała, że nawet teraz, w chwili rzekomego triumfu, serce dziewczynki wciąż do niej nie należy. Wrzasnęła tak głośno, że jej głowa trzasnęła jak balon i tym sposobem Królowa Serc stała się królową niczego.

Jeśli chodzi o zakończenie...

Cóż, to zależało od nastroju mojej matki. W jednej wersji matka nie umiera i żyje z córką w chatce długo i szczęśliwie. W smutniejsze dni matka umierała, a pogrążone w żalu dziecko zostawało same jak palec. Była też trzecia wersja, w której uzurpatorka sama pada na podłogę z niby to złamanym sercem, a dziewczynka przysięga jej wieczną miłość na oczach prawdziwej matki, która stoi obok, bezsilna i pokonana.

Nigdy nie opowiedziałam Anouk tej historii. Przerazała mnie, tak jak przeraża mnie teraz. W bajkach odkrywamy prawdę i choć nie można umrzeć z powodu złamanego serca, Królowa Serc istnieje naprawdę, chociaż ma wiele postaci.

Już miałyśmy z nią do czynienia, Anouk i ja. Jest wiatrem, który wieje u schyłku roku. Odgłosem klaskania jedną ręką. Guzem w matczynej piersi. Nieobecnym wzrokiem córki i miauczeniem kota. Ona kryje się w konfesjonale i wewnątrz czarnej piñaty. Lecz przede wszystkim to po prostu Śmierć, żarłoczna stara Mictecacihuatl we własnej osobie, Santa Muerte, Pożeraczka Serc, najstraszliwsza z Życzących.

Pora raz jeszcze stawić jej czoło. Chwycić oręż i stanąć do walki o życie, jakie sobie stworzyłyśmy. Aby to osiągnąć, muszę na powrót stać się Vianne Rocher, o ile zdołam ją odnaleźć. Vianne Rocher, która pokonała Człowieka w Czerni podczas Grand Festival du Chocolat. Vianne Rocher, która wie, co kto lubi. Handlarką słodkich snów, małych pokus, figielków, całusków, pralinek, małych pieszczotek i codziennej magii.



Jeśli tylko w porę ją odnajdę.

*Sobota, 22 grudnia*

Musiał spaść w nocy. Wszystko pokrywa cienka, biała warstewka, która momentalnie zamienia się w szarą bryłę. Na początek dobre i to. Niedługo będzie go więcej. Widzę to po chmurach, ciężkich i ołowianych, które wiszą tak nisko, że prawie dotykają iglic kościołów. Chmury tylko wyglądają na lekkie; Jean-Loup twierdzi, że woda zawarta tylko w jednej z nich może w istocie ważyć miliony ton. Mamy nad głową zatłoczony po brzegi wielopoziomowy parking, który tylko czeka, żeby spaść, dziś lub jutro, by oprószyć ziemię maleńkimi płatkami śniegu.

Na Butte przygotowania do świąt idą pełną parą. Na tarasie „Chez Eugene” siedzi tłusty Święty Mikołaj, popija *cafecreme* i straszy dzieci. Artyści też zakasali rękawy, a przed kościołem stoi grupa studentów śpiewająca psalmy i kolędy. Umówiłam się na rano z Jeanem-Loupem, a Rosette chciała (znów) zobaczyć szopkę, toteż wzięłam ją na spacer, w czasie gdy *maman* i Zozie wybrały się na zakupy.

Żadna nie wspomniała o wydarzeniach ostatniego wieczora, ale obie wyglądały normalnie, więc Zozie musiała chyba załagodzić sytuację. *Maman* włożyła czerwoną sukienkę, która zawsze poprawia jej humor, planowała jadłospis i w ogóle było jakoś tak miło i przyjemnie...

Kiedy dotarliśmy na Place du Tertre, Jean-Loup już czekał. Z Rosette zawsze wszystko trochę trwa (anorak, buty, czapka i rękawiczki), i gdy zziąjane przybiegłyśmy na miejsce, dochodziła jedenasta. Jean-Loup przyniósł aparat (ten duży, ze specjalnym obiektywem) i fotografował przechodniów, zagranicznych turystów, dzieci oglądające szopkę i tłustego Mikołaja z cygarem.

– Hej, to ty! – Jean-Loup czatował na posterunku ze swoim blokiem i próbował złapać w sidła młodą turystkę. Ocenia je po torebkach: potrafi bezbłędnie określić wartość na podstawie fasonu i zawsze rozpozna podróbkę.

– Wielbicielki podróbek nie szastają pieniędzmi – twierdzi. – Ale pokażcie mi ładnego *vuittona* i już jest moja.

Jean-Loup mało nie pękł ze śmiechu, kiedy mu o tym opowiedziałam. Rosette też się śmiała, choć pewnie nie załapała, w czym rzecz. Lubi Jeana-Loupa i jego aparat. „Zdjęcie”, pokazuje na jego widok. Uwielbia aparat cyfrowy: lubi pozować do fotografii i zaraz oglądać je w małym okienku.

Potem Jean-Loup zaproponował, żebyśmy poszli na cmentarz zobaczyć, czy zostało się trochę śniegu, więc zeszliśmy po schodkach obok funikularu [tramwaj linowoszynowy, atrakcja Paryża] i ruszyliśmy Rue Caulaincourt.

– Widzisz kotki, Rosette? – zapytałam, kiedy patrzyliśmy z metalowego mostu na cmentarz. Ktoś musi je dokarmiać, bo przy wejściu, gdzie niższy poziom cmentarza prowadzi do wielkiego, okrągłego klombu, skąd alejki rozchodzą się jak róża kompasu, siedziała cała zgraja, co najmniej ze dwa tuziny.

Zbiegliśmy po schodkami w kierunku Avenue Rachel. Cień mostu i ciężkie chmury wiszące nisko na niebie sprawiły, że panował tam niemal półmrok. Jean-Loup mówił, że będzie tam więcej śniegu, i miał rację: na każdym nagrobku widniała śniegowa czapa, mokra i podziurkowana. Było jasne, że wkrótce się roztopi. Ale Rosette kocha śnieg: chwyciła go paluszkami i śmiała się bezgłośnie, gdy woda ściekała jej po rączkach.

Wtedy go zobaczyłam, siedział tam, jakby na nas czekał. Nawet się specjalnie nie zdziwiłam. Szara postać tkwiła nieruchomo przy grobie Dalidy i tylko obłoczek pary z ust wskazywał, że mamy do czynienia z człowiekiem.

– Roux! – zawołałam.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Co ty tu robisz?

– Ładne mi przywitanie. – Uśmiechnął się do Rosette i wyjął coś z kieszeni. – Wszystkiego najlepszego, Rosette powiedział.

Był to lśniący jedwabiące gwizdek, wystrugany z pojedynczego kawałka drewna.

Rosette natychmiast wpackowała go do ust.

– Nie tak. Zobacz. – Zademontrował, dmuchając we właściwy otwór. Gwizdek zrobił fiuuuu, głośniejszy niż się można było tego spodziewać, i twarzyczka Rosette rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. – Podoba jej się – oznajmił z zadowoleniem Roux. Popatrzył na Jeana-Loupa. – Ty pewnie jesteś fotograf.

– Gdzieś ty się podziewał? – zapytałam. – Szuka cię masa ludzi.

– Wiem – odpowiedział. – Dlatego wyprowadziłem się z hotelu. – Wziął Rosette na rękę i połaskotał. Podniosła dłoń i dotknęła jego włosów.

– Mówię serio, Roux. – Zmarszczyłam brwi. – Była u nas policja, i w ogóle. Podobno sfalszowałaś jakiś czek. Mówiłam im, że to pomyłka, że nigdy byś czegoś takiego nie zrobił...

Może to wina światła, ale nie zobaczyłam jego reakcji. Dzień był pochmurny, wcześniej zapalono latarnie, a placki śniegu na kamiennych płytach sprawiały, że

otoczenie wydawało się jeszcze bardziej posępne. Tak czy inaczej, trudno powiedzieć. Miał wyciszoną aurę i nie wiedziałam, czy jest zły, przestraszony, czy choćby zaskoczony.

– Czy Vianne im uwierzyła?

– Nie wiem.

– Jej wiara we mnie jest po prostu niesamowita, co? Potrząsnął ze smutkiem głową, ale widziałam, że się uśmiecha. – Podobno wesele odwołane. Nie mogę powiedzieć, żebym się zmartwił z tego powodu.

– Powinieneś zostać szpiegiem – oświadczyłam. – Jakim cudem tak szybko się dowiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

– Ludzie mówią. Ja słucham – odparł.

– Gdzie teraz mieszkasz? – zapytałam.

Na pewno nie w hotelu, to już wiedziałam. Wyglądał jednak gorzej niż ostatnim razem, blady, nieogolony i wyczerpany. I znów go tutaj spotykam...

Ludzie naprawdę śpią na cmentarzu. Dozorca przemyka na to oko, dopóki nie śmiecą, ale można się czasami natknąć na koce, stary czajnik i kosz wyładowany opalem na nadchodzący wieczór lub ustawione w rzędzie puszek, ukryte w mauzoleum, do którego nikt już nie zagląda. Jean-Loup twierdzi, że wieczorami przez ogrodzenie widać co najmniej pół tuzina rozpalonych wewnątrz ognisk.

– Śpisz tutaj, prawda? – zapytałam.

– Śpię na swojej łodzi – odpowiedział Roux.

Kłamał, od razu wiedziałam. I wcale nie wierzyłam w tę jego łódź. Gdyby naprawdę ją miał, nie byłoby go tutaj i nie wynająłby pokoju przy Rue de Clichy. Ale Roux milczał. Dalej bawił się z Rosette, łaskotał ją i rozśmieszał, a ona pluła w gwizdek i zanosila się tym swoim bezgłośnym śmiechem, z buzią otwartą szeroko jak żabka.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – spytałam.

– Przede wszystkim muszę się zjawić na pewnym przyjęciu wigilijnym, zapomniałaś? – Zrobił minę do Rosette, która roześmiała się i zasłoniła rączkami twarz.

Odniosłam wrażenie, że Roux niczego nie traktuje poważnie.

– Przyjdiesz? – zapytałam. – Myślisz, że to bezpieczne?

– Przecież obiecałem, nie? Poza tym mam dla ciebie niespodziankę.

– Prezent?

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Poczekaj, a zobaczysz.

Wieczorem mało nie wylazłam ze skóry, tak bardzo chciałam opowiedzieć *maman* o spotkaniu. Ale po ostatniej naszej rozmowie wolałam mieć się na baczności. Lepiej trzymać buzię na kłódkę, jeszcze się wkurzy albo nie zrozumie.

Z Zoie to rzecz jasna zupełnie inna sprawa. Mamy całą masę tematów. W jej pokoju wkładam czerwone buty i siadamy na łóżku przykryte włochatym kocem, a ona opowiada mi o Quetzalcoatl, Jezusie i Ozyrysie, o Mitrze i bóstwie zwanym Siedem Papug. *Maman* też opowiadała mi kiedyś różne historie, ale teraz chyba nie ma czasu. Pewnie myśli, że jestem już na to za duża. Zawsze mi powtarza, że bym nie zachowywała się jak dziecko.

Zoie twierdzi, że dorosłość jest przereklamowana. Ona sama ani myśli się ustatkować. Jest tyle miejsc, których jeszcze nie widziała. Nie chce z tego zrezygnować na rzecz innej osoby.

– Nawet mnie? – zapytałam tego wieczora.

Uśmiechnęła się, ale wyglądała na przygnębioną.

– Nawet ciebie, mała Nanou.

– Przecież nie odchodzisz? – upewniłam się na wszelki wypadek.

Wzruszyła ramionami.

– To zależy.

– Od czego?

– Chociażby od twojej mamy.

– Jak to?

Westchnęła.

– Nie chciałam ci tego mówić – odrzekła. – Ale twoja mama i ja... ostatnio dużo rozmawialiśmy. I doszliśmy do wniosku... to znaczy, ona doszła, że chyba czas, abym się wyprowadziła.

– Wyprowadziła? – powtórzyłam.

– Wiatr zmienia kierunek, Nanou. – Zupełnie jakbym słyszała *maman*. Cofnęłam się myślami do Les Laveuses, wiatru i Życzliwych. Lecz tym razem to nie były wspomnienia. Myślałam o Ehecatlu, Zmiennym Wietrze i zobaczyłam nasze życie takim, jakie stałoby się po odejściu Zoie: opustoszały pokój, podłoga pokryta kurzem, a wszystko znów zwykłe i jednostajne. Ot, pospolity sklep z czekoladą, nic specjalnego...

– Nie możesz! – zawołałam ze zgrozą. – Potrzebujemy cię.

Potrząsnęła głową.

– Potrzebowałyście. Sama zobacz: interes kwitnie, macie mnóstwo przyjaciół.

Nie jestem wam już potrzebna. Życie toczy się dalej. Pora dosiąść wiatru.

Naraz przyszła mi do głowy straszna myśl.

– Chodzi o mnie, prawda? – zapytałam. – O to, co robiłyśmy. O nasze lekcje, figurki z drewna, i w ogóle. Boi się, że jeśli zostaniesz, dojdzie do kolejnego Wypadku.

Zozie wzruszyła ramionami.

– Nie zamierzam cię okłamywać. Nie podejrzewałam jednak, że będzie aż tak zazdrosna...

– Zazdrosna? *Maman*?

– A co myślisz? – spytała Zozie. – Pamiętaj, kiedyś była taka jak my. Chodziła własnymi ścieżkami. Ale teraz ma swoje zobowiązania. Nie może tak po prostu robić, co zechce. A twój widok przypomina jej na każdym kroku o tym, czego musiała się wyrzec.

– To niesprawiedliwe!

Zozie uśmiechnęła się z rezygnacją.

– A kto powiedział, że będzie inaczej? – odrzekła. – To po prostu kwestia kontroli. Dorastas, rozwijasz swoje umiejętności. Matka przestaje być dla ciebie wyrocznią. Traci grunt pod nogami, nie może zapanować nad strachem. Myśli, że cię jej zabieram, dając ci to, czego sama nie może ofiarować. Dlatego muszę odejść, Nanou. Zanim zdarzy się coś, czego obie będziemy żałować.

– A co z przyjęciem?

– Jeśli chcesz, mogę zostać do tego czasu. – Objęła mnie i mocno przytuliła. – Posłuchaj, Nanou. Wiem, że ci ciężko. Ale bardzo mi zależy, żebyś miała to, czego mnie nie było dane w życiu zaznać. Rodzinę. Dom. Własny kąt. Skoro wiatr domaga się ofiary, mogę się poświęcić. Nie mam nic do stracenia. Zresztą... Wydała lekkie westchnienie. Tak jak mówiłam, nie marzę o stabilizacji. Nie chcę spędzić życia na rozmyślaniach, co kryje się za następnym pagórkiem. Prędzej czy później i tak bym odeszła. Może teraz jest właściwy moment...

Naciągnęła wyżej koc, otulając nas szczelnie. Zacisnęłam mocno powieki, powstrzymując płacz, ale coś dławiło mnie w gardle, jakbym przełknęła ziemiaka w całości.

– Kocham cię, Zozie.

Nie widziałam jej twarzy (wciąż miałam zamknięte oczy), poczułam jednak, jak wydaje długie, głębokie westchnienie, jakby uwięzione gdzieś powietrze wreszcie wydostało się na zewnątrz.

– Ja ciebie też kocham, Nanou – odpowiedziała.

Siedziałyśmy tak długi czas, przytulone pod kocem. Na zewnątrz znów rozszalał się wiatr, a ja poczułam cichą ulgę, że na Butte nie ma drzew. Bo gdybym zdołała jednak zatrzymać Zoie i nakłonić wiatr, aby zabrał kogoś innego, rankiem niechybnie zastalibyśmy na ulicy zwalony pień.

*Niedziela, 23 grudnia*

Ale przedstawienie. A nie mówiłam? W innym życiu zrobiłabym furorę w przemyśle filmowym. Anouk połknęła haczyk, ziarno wątpliwości padło na podatny grunt. W Wigilię zbiorę niezły plon.

Raczej nie powtórzy Vianne naszej rozmowy. Moja mała Nanou jest dyskretna, nieczęsto dzieli się swoimi przemyśleniami. Poza tym matka sprawiła jej dotkliwy zawód, okłamała ją kilkakrotnie, a do tego wyrzuca na bruk jej najlepszą przyjaciółkę...

Ona też w razie potrzeby potrafi udawać. Dziś wyglądała na lekko przygnębioną, chociaż wątpię, by zwróciło to uwagę Vianne. Jest zbyt pochłonięta planowaniem jutrzejszej uroczystości, by dostrzec nagły brak entuzjazmu córki i odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie szwendała się przez cały dzień, w czasie gdy ciasta ślicznie piekły się w piekarniku i szumiało grzane wino.

Naturalnie ja też mam co nieco do zrobienia. Tylko że moje plany mają mniej kulinarny charakter. Magia Vianne jest zbyt „domowa” jak na mój gust. Nie myśl sobie, że nie widzę, co ci chodzi po głowie, Vianne. Kuchnia ożyła pod wpływem drobnych zaklęć. Powietrze przesycone wonią makaroników wprost iskrzy od czarów. A sama Vianne, w czerwonej sukience, z czerwonym jedwabnym kwiatem we włosach...

Kogo próbujesz nabrać, Vianne? Próżny trud, skoro ja zrobię to lepiej.

Większość dnia spędziłam poza sklepem. Musiałam odbębnić parę wizyt i załatwić kilka spraw. Dziś pozbyłam się wszelkich pozostałości po moich poprzednich wcieleniach, łącznie z Mercedes Desmoines, Emmą Windsor, a nawet Noelle Marcellin. Muszę przyznać, że zabołało. Ale zbyt wiele balastu ciąży, a zresztą nie będą mi dłużej potrzebne.

Potem przyszła kolej na parę towarzyskich wizyt. Madame z „Le Stendhal”, która bez oporów dała się namówić do przyjścia, Thierry Le Tresset, który czatuje w pobliżu w nadziei, że przyskrzyni Roux, no i sam Roux, który wyniósł się z meliny przy cmentarzu i osiedlił tymczasowo w niewielkim mauzoleum.

Śmiem twierdzić, że ma tam jak u Pana Boga za piecem. Owe mauzolea powstały w czasach, gdy martwi bogacze rezydowali w luksusie niedostępnym dla żyjącej biedoty. A stały dopływ błędnych informacji, współczucia, pochlebstw i



plotek, nie wspominając o gotówce i regularnych dostawach moich specjalów, zagwarantował mi może nie jego zaufanie i uczucie, ale przynajmniej obecność na wigilijnym przyjęciu.

Zastałam Roux na tyłach, w pobliżu ogrodzenia dzielącego cmentarz od Rue Jean Le Maistre. Jest to miejsce najbardziej oddalone od wejścia, gdzie zapomniane i zdewastowane groby wyrastają wśród stert kompostu i śmieci, a bezdomni kulą się przy koksowniku.

Dzisiaj było ich pół tuzina, ubranych w zbyt obszerne płaszcze i buty równie splekane i pokryte bliznami jak ich ręce. Dominowali wśród nich starcy (młodzi wolą zarabiać na Pigalle, gdzie młodość jest zawsze w cenie); jednego co rusz męczył rzęzący kaszel, dobywający się z czeluści płuc.

Kiedy lawirowałam między zaniedbanymi grobami w kierunku grupki mężczyzn, omietli mnie obojętnymi spojrzeniami. Roux powitał mnie ze zwykłym brakiem entuzjazmu.

– Znowu ty.

– Miło, że się cieszysz. – Podałam mu paczkę z prowiantem, kawę, cukier, ser, trochę kielbasy od miejscowego rzeźnika i parę gryczanych naleśników, żeby ją w nie zawinąć. – Postaraj się tym razem nie karmić kotów.

– Dzięki. – Wreszcie niemrawy uśmiech. – Jak tam Vianne?

– W porządku. Tęskni za tobą. – Odrobina wazeliniarstwa nie zaszkodzi.

– A Pan Duży?

– Czasami się pojawia.

Udało mi się go przekonać, że Thierry wymyślił całą aferę, aby ponownie przeciągnąć Vianne na swoją stronę. Nie zagłębiałam się w szczegóły zarzutów, ale wmówiłam Roux, że skargę wycofano z braku dowodów. Obecnie grozi nam tylko to, zapewniam, że Thierry w przyływie furii wyeksmituje Vianne, jeśli zbyt szybko zacznie się afiszować z uczuciami. I każę mu czekać, dopóki sprawa nie przycichnie, a ja nie przemówię Thierry'emu do rozsądku.

Tymczasem udaję, że wierzę w jego łódź, przycumowaną rzekomo w Port de l'Arsenal. Jej istnienie (nawet wyimaginowane) czyni go dumnym posiadaczem, który bynajmniej nie przyjmuje z mojej strony jałmużny w postaci żywności i drobniaków, tylko wyświadcza wszystkim przysługę, czuwając nad bezpieczeństwem Vianne.

– Byłeś dziś w porcie?

Potrząsnął głową.

– Może później.

Kolejne kłamstewko. Mam mu niby uwierzyć, że codziennie chodzi do Arsenalu i zagląda do łodzi. Oczywiście wiem, że to kompletna bzdura. Ale co tam, niech się męczy.

– Jeśli Thierry uprze się przy swoim – powiedziałam zapewnisz Vianne i dzieciom jakiś dach nad głową. Przynajmniej do czasu, kiedy znajdziecie coś lepszego. A to niełatwe o tej porze roku.

Popatrzył na mnie ze złością.

– Nie tego chcę.

Posłałam mu swój najśladniejszy uśmiech.

– Naturalnie – zapewniłam. – Jednak zawsze warto mieć jakąś furtkę, prawda? Potrzebujesz czegoś na jutro, Roux? Masz jakieś rzeczy do prania?

Raz jeszcze potrząsnął głową, a ja nie mogłam się nadziwić, że tak długo wytrzymał. W pobliżu jest oczywiście pralnia, a na Rue Ganeron są prysznice. Pewnie tam chodzi, pomyślałam. I pewnie uważa mnie za skończoną kretynkę.

Ale jest mi potrzebny, jeszcze przez chwilę. Po jutrzejszym dniu przestanie się liczyć. I będzie mógł iść na zatracenie, dokąd tylko dusza zapagnie.

– Dlaczego to robisz, Zozie? – Często zadaje mi to pytanie, a jego podejrzliwość wzrasta przy każdej próbie zalotów. Niektórzy mężczyźni po prostu tacy są, doskonale obojętni na moje wdzięki. Ale i tak mnie to wkurza. Tyle mi zawdzięcza, i ani słowa wdzięczności...

– Wiesz dlaczego, Roux – odpowiedziałam, pozwalając sobie na cień opryskliwości w głosie. – Robię to dla Vianne i jej dzieci. Dla Rosette, która zasługuje na ojca. Dla Vianne, która nigdy nie przestała o tobie myśleć. I, przyznaję, trochę dla siebie, bo jeśli Vianne odejdzie, odejdę i ja, a polubiłam tę *chocolaterie* i nie byłabym szczęśliwa, gdybym miała teraz zwinąć manatki.

To go przekonało. Wiedziałam, że tak będzie. Taki podejrzliwy typ nie ufa jakimkolwiek przejawom altruizmu. Cóż, to było do przewidzenia: sam ma na uwadze wyłącznie własny interes i liczy na udział w lukratywnym biznesie Vianne, a skoro się dowiedział, że Rosette jest jego córką...

Kiedy wróciłam do *chocolaterie*, dochodziła trzecia i zapadał już zmrok. Vianne, obsługująca właśnie klienta, rzuciła mi ostre spojrzenie, ale jej głos zabrzmiał w miarę przyjaźnie.

Wiem, co teraz myśli. Ludzie lubią Zozie. Manifestowanie niechęci do mnie przyniosłoby szkodę wyłącznie samej Vianne. Pewnie zachodzi w głowę, czy moje groźby miały ją sprowokować do otwartego i nieprzemyślanego ataku, tak aby przedwcześnie odkryła karty i straciła grunt pod nogami...

Jutro początek bitwy, myśli sobie. Kanapki i paszteciki, które zwiodyby na pokuszenie nawet świętego. Oto broń Vianne; przekonanie, że odpowiem tym samym to szczyt naiwności z jej strony. Magia domowa to flaki z olejem, każde dziecko wam powie, że woli czarny charakter od poczciwca, a podłą wiedźmę i głodnego wilka od cukierkowego księcia czy różanolicy księżniczki.

Założę się, że Anouk nie stanowi tutaj wyjątku. Poczekamy, zobaczymy. Dalej, Vianne. Jazda do garów. Zajmij się swymi kuchennymi czarami, a ja dopracuję własny przepis.

Według ludowego przysłowia droga do serca prowadzi przez żołądek.

Ja od razu zmierzam prosto do celu.

# **CZEŚĆ ÓSMA**

**YULE**

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina jedenasta*

Wreszcie spadł śnieg. Pada od rana. Wielkie, bajkowe płatki wirują z zimowego nieba. „Śnieg zmienia wszystko”, mówi Zozie. Rzeczywiście, czary już zaczynają działać; w miarę jak sypie śnieg, szary na tle rozświetlonego nieba, sklepy, domy i parkometry powoli przybierają postać miękkich, białych wartowników. Paryż znika; każda plama sadzy, każda porzucona butelka, torebka po chipsach, psia kupa i papierek po cukierku pod śniegiem zmieniają się nie do poznania i zyskują nową jakość.

Oczywiście to nieprawda. Ale łatwo dać się zwieść i uwierzyć, że dziś na pewno dokona się przemiana i rzeczywiście można wszystko naprawić, a nie tylko zasłonić i ozdobić, jak tanie ciasto lukrem.

Dziś otworzyłyśmy ostatnie drzwiczki domku adwentowego. A za nimi znajduje się szopka: matka, ojciec i maleństwo w żłóbku. No, może nie do końca maleństwo, bo siedzi prosto i uśmiecha się szeroko, z małpką u boku. Rosette jest zachwycona, ja zresztą też, ale widok mojej figurki, ustawionej w korytarzu, podczas gdy tamci świętują we trójkę, budzi we mnie mimowolne współczucie.

To głupie, wiem. Skąd ten żal? *Maman* mówi, że sami wybieramy sobie rodzinę; nieważne, że Roux nie jest moim prawdziwym ojcem, a Rosette jest tylko siostrą przyrodnią, a może nawet wcale nie jest moją siostrą...

Przygotowałam sobie przebranie. Wystąpię na przyjęciu jako Czerwony Kapturek, więc potrzebna mi tylko pelerynka, oczywiście z kapturem. Zozie pomogła mi go uszyć na starej maszynie madame Poussin, z kawałka starego materiału. Jak na własnoręcznie szyty kostium prezentuje się całkiem nieźle. Mam też koszyk ozdobiony czerwonymi wstążeczkami. Rosette wystąpi jako małpka, w brązowym dresiku z doszytym ogonem.

– Za kogo się przebierasz, Zozie? – zapytałam chyba setny raz.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Cierpliwości. Chcesz popsuć niespodziankę?

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina piętnasta*

Cisza przed burzą. Tak się właśnie czuję, kiedy Rosette śpi na górze, a śnieg żarłocznie pochłania wszystko na zewnątrz. Pada niestrudzenie, tłumi zapachy i dźwięki, okrada niebo ze światła...

Pokrywa już cały Butte. Nie ma nikogo, kto by mu w tym przeszkodził, nieliczni przechodnie przemykają pod ścianami w czapkach i szalikach oproszonych bielą, a dzwony St Pierrede-Montmartre dobiegają jak z oddali, jakby ktoś rzucił na nie zły urok.

Od rana prawie nie widziałam Zozie. Pochłonięta przygotowaniami miotam się między kuchnią, klientami i maszyną do szycia, w związku z czym nie mam czasu obserwować przeciwniczki, która przezornie nie wysuwa nosa ze swojego pokoju. Ciekawe, jakie będzie jej pierwsze posunięcie.

Głos mojej matki bajarki zapewnia, że nastąpi to podczas kolacji, jak w bajce o córce wdowy, ale niepokoję się na myśl, że nie widziałam żadnych przygotowań. Nie upiekła nawet jednego ciasta. Czy to możliwe, że opieram się na błędnych założeniach? Czy Zozie blefuje, próbując skłonić mnie do ruchu, który podważy moją pozycję? Czy to możliwe, że nawet nie kiwnie palcem, a ja sama niebacznie ściągnę sobie Życzliwych na kark?

Od piątku między nami panuje cisza, choć widzę, jak Zozie rzuca kpiące spojrzenia i chytrze mruga okiem, kiedy nikt nie patrzy. Wesoła jak zwykle i jak zwykle piękna, paraduje w swoich ekstrawaganckich butach jak gdyby nigdy nic, ale ja widzę w niej teraz tylko autoparodię, warstwa blichtru kryje bezdenny fałsz. Na swój jadowity sposób bawi się w najlepsze, jak podstarzała ulicznica w przebraniu mniszki. No tak, ona nie ma nic do stracenia. Gra toczy się o moje życie.

Po raz ostatni wyciągam karty.

Głupiec, Kochankowie, Mag, Koło Fortuny.

Wisielec, Wieża.

Wieża rozsypuje się na kawałki. Cegły odpadają ze szczytu i cała konstrukcja lada chwila się zawali. Małe figurki lecą w dół, bezsilnie machając rękami. Jedna z nich ma na sobie czerwoną sukienkę, a może pelerynę z kapturem?

Nie patrzę na ostatnią kartę. Zbyt często oglądałam ją w przeszłości. Moja

matka, wieczna optymistka, interpretowała ją na wiele sposobów, ale dla mnie oznacza tylko jedno.

Śmierć szczyrzy zęby z linorytu, zazdrosna i posepna, o przepastnych oczodołach i wiecznie pustym żołądku; Śmierć nienasycona; Śmierć nieubłagana, Śmierć jako dług wdzięczności wobec bogów. Na zewnątrz śnieg opada puchową pierzyną i mimo zmroku ziemia emanuje dziwnym blaskiem, jakby ulica i niebo zamieniły się miejscami. Daleko mu do idealnego śniegu adwentowej witryny, lecz Anouk jest wniebowzięta i co rusz pod byle pretekstem wygląda na zewnątrz. Właśnie wybiegła na ulicę, z okna widzę jej jasną postać na tle zgubnej bieli. Wygląda na bardzo niepozorną, małą dziewczynka zagubiona w lesie. Bzdura, przecież tu nie ma żadnego lasu. To jeden z powodów, dla których wybrałam to miejsce. Jednak pod śniegiem wszystko się zmienia i czary powracają. A ulicami i alejami Butte de Montmartre nadchodzą zimowe wilki...

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina szesnasta trzydzieści*

Po południu przyszedł Jean-Loup. Zadzwoił rano i powiedział, że przyniesie najnowsze zdjęcia. Sam je wywołuje, przynajmniej te czarnobiałe. W domu ma setki odbitek, wszystkie opisane i posegregowane w specjalnych teczkach. Wydawał się przejęty, jakby miał mi do pokazania coś ciekawego.

Przyszło mi do głowy, że może był na cmentarzu i wreszcie uwiecznił błędne ogniki, o których tyle gada.

Ale nie przyniósł zdjęć cmentarza. Nie przyniósł też zdjęć Butte ani szopki, ani bożonarodzeniowych światełek czy Mikołaja z cygarem w zębach, tylko fotografie Zozie, zrobione w *chocolaterie* plus kilka nowych, czarnobiałych. Zozie na zatłoczonej ulicy, Zozie w drodze do funikularu lub w kolejce do piekarni przy Rue des Trois Freres.

– Co to ma znaczyć? – zapytałam. – Przecież wiesz, że ona nie lubi...

– Przyjrzyj się uważnie, Annie – poprosił.

Wcale nie chciałam na nie patrzeć. Powodem naszej jedynej kłótni były te jego głupie zdjęcia. Wolałam tego uniknąć. Po co je zrobił? Chyba musiał mieć jakiś powód, pomyślałam.

– Proszę – powiedział Jean-Loup. – Tylko popatrz. Jeśli uznasz, że nie ma w nich nic dziwnego, sam je wyrzucę.

No cóż, muszę przyznać, że widok tych trzydziestu odbitek zwarzył mi humor. Nie dość, że pstrykał je bez pozwolenia, czyli innymi słowy szpiegował Zozie, to na dodatek rzeczywiście były dość specyficzne.

Na wszystkich widniała Zozie, bez dwóch zdań. Poznałam jej spódnicę z dzwoneczkami i wystrzałowe buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Te same włosy, ta sama biżuteria i torba z rafii, w której nosi zakupy.

Ale jej twarz...

– Majstrowałeś przy tych odbitkach – burknęłam, popychając zdjęcia w jego stronę.

– Nie, słowo honoru, Annie. Reszta wyszła jak należy. To musi być w niej. Widzisz inne wytłumaczenie?

Sama nie wiedziałam, jak to wyjaśnić. Niektórzy ludzie ładnie wychodzą na zdjęciach, mówi się, że są fotogeniczni – lecz Zozie zdecydowanie nie należała do



ich grona. Inni wychodzą w miarę; nie mam pojęcia, jak inaczej to określić, ale Zozie nie zaliczała się i do tej grupy. Wszystkie fotografie, bez wyjątku, wyszły paskudnie; miała skrzywione usta i dziwne spojrzenie, a nad głową smugę na kształt zwichrowanej aureoli.

– Po prostu nie jest fotogeniczna. I co z tego? Nie wszyscy muszą być.

– Jest jeszcze coś – odpowiedział Jean-Loup. – Zobacz. – ,

Wyjął złożony wycinek z jednej z paryskich gazet z niewyraźną fotografią kobiety. Według artykułu nazywała się Francoise Lavery. Ale wyglądała identycznie jak Zozie na zdjęciach Jeana-Loupa, miała nawet tę dziwną smugę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałam. Pokazał mi zdjęcie, od jakich roi się w gazetach, ziarniste i w powiększeniu. Kobieta bez wieku, z fryzurą na pazia i okularkami pod długą grzywką. Wcale nie przypominała Zozie. Nie licząc smugi i kształtu ust. Wzruszyłam ramionami. – To może być ktokolwiek.

– To ona – oznajmił z naciskiem Jean-Loup. – Wiem, że to niemożliwe, ale tak jest.

No nie wytrzymam. Artykuł też był kompletnie bez sensu. Dotyczył paryskiej nauczycielki, która zaginęła w zeszłym roku. Przecież Zozie nigdy nie była nauczycielką, prawda? A może Jean-Loup sugeruje, że mamy do czynienia z duchem?

Sam nie był pewien.

– Człowiek czyta o różnych rzeczach – skwitował, ostrożnie wkładając wycinek do koperty. – Poltergeist czy coś w tym rodzaju.

– Jasne.

– Możesz się śmiać, ale coś tu nie gra. Czuję to, kiedy jest w pobliżu. Przyniosę wieczorem aparat, zrobię parę zbliżeń. Potrzebuję dowodu...

– Ty i twoje duchy! – Zaczynał działać mi na nerwy. Jest tylko rok starszy ode mnie, a za kogo się, do licha, uważa? Gdyby wiedział choćby połowę tego, co ja, o Ehecatlu, Jaguarze albo Hurakanie, pewnie dostałby zawału. A gdyby wiedział o Pantoufle'u, o tym, jak z Rosette wezwałyśmy Zmienny Wiatr, albo o tym, co zdarzyło się w Les Laveuses, pewnie postradałby zmysły.

Dlatego zrobiłam coś, czego pewnie nie powinnam robić. Ale nie chciałam się znowu klócić, a gdyby gadał dalej, pewnie byłoby to nieuniknione. Ukradkiem narysowałam palcami znak Małpy, zartownisia. I strzeliłam nim w Jeana-Loupa, jakbym rzucała kamykiem zza pleców.

Zmarszczył brwi i dotknął czoła.

– Co się stało? – zapytałam.

– Sam nie wiem – odpowiedział. – Raptem poczułem... pustkę w głowie. O czym to rozmawialiśmy?

Ja naprawdę go lubię. Serio. Nie chcę, żeby mu się coś stało. Ale należy do tak zwanych zwykłych ludzi, którzy różnią się od takich jak my. Zwykli ludzie przestrzegają zasad. Ludzie tacy jak my ustalają własne. Jest tyle spraw, o których nie mogę mu powiedzieć i których na pewno by nie zrozumiał. Zozie mogę powiedzieć wszystko. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

Po wyjściu Jeana-Loupa spaliłam wycinek i zdjęcia. Zapomniał je zabrać. Spaliłam je w swoim kominku i patrzyłam, jak popiół robi się biały, po czym opada w palenisku jak śnieg.

No proszę. Już po wszystkim. Od razu lepiej. Nie, żebym podejrzewała Zozie, ale ta twarz o złośliwych oczkach i wykreconych ustach nie dawała mi spokoju. Przecież nie mogłam jej już widzieć, prawda? W sklepie, na ulicy, może w autobusie? I to nazwisko: Françoise Lavery. Czy gdzieś je już słyszałam? Jest oczywiście bardzo pospolite. Ale dlaczego kojarzy mi się...

Z myszą?

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina siedemnasta dwadzieścia*

Nigdy nie przepadałam za tym chłopakiem. Posłużył mi jako narzędzie, aby wyrwać ją spod opiekuńczych skrzydeł matki i uczynić bardziej podatną na mój wpływ. Ale przeholował, odważył się wystąpić przeciwko mnie i obawiam się, że musi odejść.

Dostrzegłam to w jego aurze, kiedy wychodził ze sklepu. Siedział na górze z Anouk (słuchali muzyki, grali w jakieś gry, czy co tam oni robią ostatnio), po czym zszedł na dół, zdjął kurtkę z wieszaka i uklonił się, nawet dość uprzejmie.

W niektórych łatwiej czytać niż w innych, a Jean-Loup Rimbault, mimo swego sprytu, ma dopiero dwanaście lat. Za czasów Francoise naoglądałam się sporo uczniowskiej obłudy, a jego uśmiech był nieco zbyt wylewny. Był to uśmiech chłopca, który wie za dużo i myśli, że mu się upiecze. Co też takiego było w teczce, którą zostawił w pokoju Anouk?

Może... zdjęcia?

– Przyjdiesz wieczorem?

Kiwnął głową.

– Pewnie. Sklep wygląda fantastycznie.

Rzeczywiście, Vianne nie próżnowała. U sufitu wiszą srebrne gwiazdy, a niezliczone świece tylko czekają, żeby je zapalić. Nie mamy dużego stołu, zestawiała więc małe stoliki, by stworzyć jeden długi, po czym nakryła go trzema obrusami, zielonym, białym i czerwonym. Na drzwiach wisi wieniec z ostrokrzewu, a cedr i świeżo zerwane gałązki świerkowe wypełniają powietrze leśnym zapachem.

W całym pomieszczeniu porozstawiała trzynaście tradycyjnych deserów bożonarodzeniowych, spiętrzonych w szklanych naczyniach jak pirackie skarby i mieniących się odcieniami złota i topazu. Czarny nugat dla diabła, biały nugat dla aniołów oraz klementynki, winogrona, figi, migdały, miód, daktyle, jabłka, gruszki, dżem z pigwy, *mendiants* przystrojone rodzynkami i skórką pomarańczową oraz *fougasse* [Tradycyjny chleb francuski z oliwkami, ziołami, orzechami i serem.] na oliwie z oliwek, pokrojony na dwanaście części jak tort.

Oczywiście nie zabrakło również czekolady: w kuchni stygnie świąteczne polano, a trufelki, całuski i pralinki piętują się na kontuarze w aromatycznej

otoczce kakao.

– Skosztuj. – Podaję mu jedną. – Twoje ulubione, przekonasz się.

Rozmarzony bierze trufkę; ma ostry, nieco ziemisty bukiet, jak grzyby zbierane o pełni księżyca. Kto wie, może grzyby to jedna z ingrediencji, moje specjały obfitują w tajemnicze składniki. Tym razem kakao zostało zaprawione tak, aby dać nauczkę natrętnym smarkaczom, a znak Hurakana narysowany w kakao na ladzie załatwi to bez najmniejszego problemu.

– Do zobaczenia na przyjęciu – mówi Jean-Loup.

Hm, raczej nie. Moja mała Nanou oczywiście będzie za tobą tęsknić, lecz wkrótce otrze łzy. Niebawem Hurakan zstąpi na „Rocher de Montmartre”, a to, co się wówczas wydarzy...

Cóż, kto wie? Przecież nie chcemy popsuć niespodzianki.

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina osiemnasta*

Wreszcie zamykamy *chocolaterie* i tylko plakat na drzwiach świadczy o tym, że coś się dzieje.

„Przyjęcie wigilijne o 19.30!” – krzyczą litery na tle małych gwiazdek. „Przebrania mile widziane”.

Jeszcze nie widziałam kostiumu Zozie. Musi być fantastyczny, ale Zozie nie puszczą pary z ust. Przesiedziałam godzinę przy oknie, patrząc na śnieg, po czym zniecierpliwiona poszłam do jej pokoju.

Ale na górze czekało mnie zdziwienie. Pokój przestał być pokojem Zozie. Ze ścian zniknęły obrazki, z drzwi chiński szlafrok, a z abażuru ozdoby. Półka nad kominkiem też świeciła pustką. Chyba dopiero wtedy to do mnie dotarło.

Brak butów.

Jej cudownych butów.

Na łóżku leżała mała, skórzana walizka, dość wysłużona, sądząc po sfatygowanym wyglądzie. Zozie właśnie ją zamykała; gdy weszłam, podniosła na mnie wzrok, a ja z góry wiedziałam, co powie.

– Kochanie – zaczęła. – Chciałam cię uprzedzić, naprawdę. Ale postanowiłam nie psuć ci zabawy.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– Wyjeżdżasz dzisiaj?

– Kiedyś muszę – odparła rzeczowo. – Po dzisiejszym dniu to już nie będzie miało znaczenia.

– Jak to?

Wzruszyła ramionami.

– Czy nie wezwałaś Zmiennego Wiatru? Nie chcesz stworzyć rodziny, tylko was czworo: ty, Roux, Yanne i Rosette?

– Przecież to nie znaczy, że musisz odejść!

Wrzuciła do walizki zabłąkany but.

– Nie ma tak dobrze, sama wiesz. Wszystko ma swoją cenę, Nanou. Inaczej nie da rady.

– Przecież ty też należysz do rodziny!

Potrząsnęła głową.

– Taki numer nie przejdzie. Nie z Yanne. Ma do mnie za duży żal, być może słusznie. Kiedy jestem w pobliżu, wszystko się komplikuje.

– Ale to niesprawiedliwe! Dokąd pójdziesz?

Zozie z uśmiechem podniosła głowę znad walizki.

– Tam, gdzie wiatr mnie poniesie.

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dziewiętnasta*

Przed chwilą zadzwoniła matka Jeana-Loupa z informacją, że syn nagle zachorował i jednak nie przyjdzie. Anouk nie kryje rozczarowania i martwi się o przyjaciela, ale jest tak przejęta, że nie usiedzi długo z nosem na kwintę.

W czerwonej pelerynce wygląda jak bombka na choinkę; skacze to tu, to tam i wprost wyłazi ze skóry.

– Już są? – pyta, chociaż goście zostali zaproszeni na wpół do ósmej, a kościelny zegar dopiero wybił siódmą. Widzisz kogoś na zewnątrz?

Śnieg sypie tak gęsto, że ledwo widać latarnię na drugim końcu placu, ale Anouk wytrwale koczuje przy oknie, przyciskając nosek do szyby.

– Zozie! – woła. – Jesteś gotowa?

Z góry pada stłumiona odpowiedź. Zozie od dwóch godzin nie wychyla nosa z pokoju.

– Mogę wejść? – krzyczy Anouk.

– Jeszcze nie. Przecież ci mówiłam, że to niespodzianka.

W oczach Anouk widać przejęcie, jej ekscytacja to w jednej czwartej radość, a w trzech czwartych oszołomienie. Raz wygląda na niespełna dziewięć lat, a za chwilę sprawia wrażenie dorosłej i powabnej, w ślicznej czerwonej pelerynie, z chmurą ciemnych włosów wokół twarzy.

– Uspokój się – powtarzam. – Tylko się zmęczysz.

Tuli się do mnie impulsywnie, jak przed laty, lecz nim zdążę ją objąć, już wymyka się z moich ramion i znów zaczyna biegać jak nakręcona. Skacze od talerza do talerza, od szklanki do szklanki, poprawia gałązki ostrokrzewu, ozdoby z bluszczu, świeczniki, serwetki przewiązane czerwonym sznurkiem i kolorowe poduszki na krzesłach. Zagląda nawet do wyszukanej w sklepie ze starociami wazy z rżniętego szkła, wypełnionej szkarłatnym zimowym ponczem z gałką muszkatołową i cynamonem, z dodatkiem skórki cytrynowej i kapki koniaku, z pomarańczą najeżoną goździkami na samym dnie.

Rosette, dla odmiany, jest pełna spokoju. Ubrana w kostium małpki śledzi i ogląda wszystko oczami jak spodki, lecz najbardziej fascynuje ją domek adwentowy z ośnieżoną szopką w srebrzystej poświacie, w otoczeniu małpek (Rosette upiera się, że małpa *to* świąteczne zwierzę) w miejsce tradycyjnych wołu i

osiołka.

– Myślisz, że przyjdzie? – pyta Anouk.

Oczywiście ma na myśli Roux. Pytała o niego wielokrotnie; aż boję się myśleć, co będzie, jeśli spotka ją rozczarowanie. No bo właściwie po co miałyby się zjawić? Pewnie zdążył już wyjechać z Paryża. Anouk jest święcie przekonana, że się pojawi, czyżby go widziała? Na samą myśl czuję niebezpieczny zawrót głowy, jakbym zaraziła się jej entuzjazmem, a śnieg w Yule stanowił nie tylko kaprys pogody, lecz magiczne wydarzenie, które mogłoby wymazać przeszłość...

– A ty, nie chcesz, żeby przyszedł? – pyta mnie teraz.

Myślę o jego twarzy, zapachu będącym mieszanką paczuli i oleju silnikowego, o tym jak w skupieniu pochyla głowę, o jego tatuażu i powolnym uśmiechu. Tak długo o nim marzyłam. I tak długo próbowałam walczyć z jego dystansem, pogardą wobec konwencji, uporczywym nonkonformizmem.

I myślę o latach spędzonych na tułaczce, o naszej drodze z Lansquenet do Les Laveuses, a potem do Paryża i na Boulevard de la Chapelle, z neonowym szyldem i pobliskim meczetem, o Place des Faux-Monnayeurs i *chocolaterie*. O tym, jak po drodze na próżno chcieliśmy się dopasować, zmienić, wtopić w tłum...

O pokojach hotelowych, pensjonatach, wsiach i miasteczkach, o nieustannym strachu i tęsknocie.

Przed kim tak naprawdę uciekałam? Przed Człowiekiem w Czerni? Życzliwymi? Matką? Sobą?

– Tak, Nou. Chcę.

Co za ulga, przyznać to wreszcie wbrew zasadom logiki i rozsądku. Po bezskutecznych próbach znalezienia z Thierryem może nie miłości, ale spokoju, przyznać sama przed sobą, że pewnych rzeczy nie da się zracjonalizować, że miłość to nie tylko kwestia wyboru i czasem trudno uciec przed wiatrem...

Oczywiście Roux nigdy nie wierzył, że się ustatkuję. Zawsze powtarzał, że oszukuję samą siebie, i czekał z cichą arogancją, aż któregoś dnia skapituluję. Chcę, żeby dziś przyszedł. Ale nie ucieknę, nawet jeśli Zozie zwali mi sufit na głowę. Tym razem wytrwamy na posterunku. Choćby nie wiem co.

– Ktoś przyszedł! – Brzęczą dzwonki nad drzwiami. Lecz stojąca na progu postać w kędzierzawej peruce jest znacznie cięższa niż Roux.

– Uwaga, ludziska! Z drogi, bo wiozę pokaźny ładunek!

– Nico! – krzyczy Anouk i rzuca się w kierunku gościa, odzianego w surdut oraz trzewiki po kolana, obwieszzonego biżuterią, jakiej nie powstydziliby się król. Taszczy naręcze prezentów, które kładzie pod choinką. Zdaje się wprost wypełniać



niewielkie przecież pomieszczenie swą rubaszną jowialnością.

– Za kogo się przebrałeś? – pyta Anouk.

– Za Henryka Czwartego, naturalnie – odpowiada dostojnie Nico. – Kulinarneho króla Francji. Hej... – Pociąga nosem. – Coś tu ładnie pachnie. Rzekłbym wręcz, że bardzo ładnie. Co tam chowasz w zanadrzu, Annie?

– Ach, mnóstwo rzeczy.

Zza pleców Nico wyłania się Alice, w paczce\* i z migotliwymi skrzydełkami u ramion, choć tradycyjne wróżki raczej nie noszą tak wielkich butów. Jest podekscytowana i śmieje się wesoło; nadal jest chuda, ale jej twarz zatraciła spiczaste kontury, co sprawia, że wydaje się ładniejsza i jakby mniej krucha.

– Gdzie Bucikowa Dama? – pyta Nico.

– Szykuje się – odpowiada Anouk i ciągnie go w kierunku zastawionego stołu. – Chodź, napij się. Mamy wszystko... – Zanurza chochlę w wazie z ponczem. – Tylko nie szalej z makaronikami. Jest tyle jedzenia, że możemy wykarmić całą armię.

Następnie zjawia się madame Luzeron. Poczucie godności wprawdzie nie pozwoliło jej się przebrać, lecz w błękitnym bliźniaku wygląda bardzo odświętnie. Kładzie prezenty pod choinką, przyjmuje od Anouk szklanekę ponczu i uśmiech od Rosette, która bawi się na podłodze drewnianym pieskiem.

Znów brzęczą dzwonki. Wchodzi Laurent Pinson w wypastowanych butach, jego twarz nosi krwawe ślady niedawnego golenia. Potem przychodzą Richard i Mathurin, Jean-Loup i Paulpaul (Jean-Loup ma na sobie najbardziej żółtą kamizelkę, jaką kiedykolwiek widziałam), a następnie madame Pinot (przebrana za zakonnice) i nerwowa kobieta, która dała Rosette lalkę (pewnie Zozie ją zaprosiła). Sklep wypełnia się gwarem, śmiechem i pobrzękiwaniem naczyń, talerze z kanapkami i słodyczami idą w ruch. Jednym okiem zaglądam do kuchni, podczas gdy Anouk w zastępstwie pełni honory domu. Alice skubie *mendiants*, Laurent bierze garść migdałów i chowa do kieszeni na później, Nico \* Krótka, stercząca spódniczka baletnicy, a także strój wróżki.

znów woła Zozie, a ja zachodzę w głowę, jakie będzie jej pierwsze posunięcie.

Stuk, stuk, stuk, słychać na schodach jej obcasy.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi z uśmiechem i wchodzi do sklepu, świeża i promienna w czerwonej sukience. Wszyscy widzimy, że podcięła włosy do ramion, tak jak ja, i założyła je za uszy, też jak ja. Ma moją prostą grzywkę, a nawet sterczący kosmyk z tyłu, którego nic nie jest w stanie przygłodzić.

Nieznajoma pani obejmuje ją na powitanie. Muszę się dowiedzieć, jak się

nazywa, myślę, choć na razie nie mogę oderwać oczu od Zoïe, która wśród oklasków roześmianych gości staje na środku.

– Za kogo się przebrałaś? – pyta Anouk.

Ale Zoïe zwraca się do mnie i to dla mnie przeznaczony jest znaczący uśmiezek.

– Ale heca, prawda Yanne? Nie widzisz? Przebrałam się za ciebie.

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta trzydzieści*

Niektórym naprawdę trudno dogodzić. Ale było warto, choćby dla widoku jej miny, nagłej bladości i dreszczu, który przeszył ją na widok siebie schodzącej po schodach.

Muszę przyznać, że odwaliłam kawał dobrej roboty. Suknia, włosy, biżuteria, wszystko prócz butów, odtworzone z zegarmistrzowską precyzją i doprawione charakterystycznym półuśmiechem.

– Jej, wyglądasie jak bliźniaczki – oznajmia z dziecinnym zachwytem gruby Nico, ponownie częstując się makaronikami, a Laurent wzdyga się nerwowo, jak przyłapany na niedozwolonej fantazji.

Naturalnie można nas odróżnić; zastosowałam tylko garstkę rekwizytów, pełna transformacja nie wchodzi w grę, jednakże łatwość, z jaką wcielam się w rolę, sprawia, że wszystkim przechodzą ciarki po plecach.

Ironia sytuacji nie umyka uwadze Anouk. Dziewczynka w dzikim zapamiętaniu wybiega ze sklepu i wbiega z powrotem do środka (podobno, żeby popatrzeć na śnieg, chociaż obie wiemy, że tak naprawdę wypatruje Roux), a nagły błysk jej aury wynika nie tyle z radości, ile z szalonej energii, która musi znaleźć upust, bo inaczej ją spali jak papierową latarnię.

Roux nie przyszedł. To znaczy, jeszcze nie. Najwyższy czas, żeby Vianne podała kolację.

Zaczyna z pewnym ociąganiem. Jest wcześnie, jeszcze nie wszystko stracone; jego nakrycie czeka na końcu stołu, a w odpowiedzi na pytania zebranych Vianne mówi, że to talerz na cześć zmarłych, stara tradycja będąca echem *Dia de los Muertos*, jakże adekwatna na dzisiejszą okazję.

Zaczynamy od zupy cebulowej, pachnącej dymem, wonnej jak jesienne liście, z grzankami, startym serem gruyere i szczyptą papryki na wierzchu. Vianne nalewa ją i spogląda na mnie ukradkiem, jakby czekała, aż wyciągnę z rękawa coś, co przyćmi jej starania.

Ale ja uśmiecham się tylko, jem, rozmawiam i prawie gospodyni komplementy. Vianne słyszy w głowie brzęk sztucców i nogi z lekka odmawiają jej posłuszeństwa. Cóż, *pulque* to tajemniczy wywar, a ktoś hojnie dolał go do ponczu (ktoś, czyli *moi*) dla uczczenia tak niepowtarzalnej okazji. Vianne serwuje ów

szlachetny napój, cmentarny aromat goździków wzbija się w powietrze, poncz piecze w język jak chili zaprawione ogniem, a ona myśli: czy to się kiedyś skończy?

Na drugie danie dostajemy słodkie *foie gras*, pokrojone na cienkich tostach z figami i pigwą. Słysząc rozkoszny trzask prawidłowo skryształizowanej czekolady i *foie gras* powoli rozplywa się w ustach, miękkie jak pralinka. Popijamy je zniechęconym przez Anouk lodowatym sauterne, które Rosette sączy ze szklaneczki wielkości napastrka, uśmiecha się szeroko i niecierpliwie prosi gestem o dolewkę.

Trzecie danie to łosoś *en papillote*, podany w całości z sosem *bearnaise*. Alice jęczy, że już nie może, ale Nico karmi ją z własnego talerza, kładąc jej do ust małe kaski i zaśmiewając się z jej ptasiego apetytu.

Potem nadciąga *piece de resistance* – gęś długo pieczona w gorącym piekarniku, aż tłuszcz wytopił się ze skóry, pozostawiając ją chrupką i niemal skarmelizowaną, a mięso jest tak kruche, że zsuwa się z kości jak pończocha z kobiecej łydki. Wokół gęsi widnieją kasztany i pieczone ziemniaki, obsmażone w złocistym tłuszczu.

Nico wydaje na poły lubieżny, na poły rozbawiony okrzyk.

– Chyba umarłem i poszedłem do nieba kalorii – oznajmia, atakując z zapalem gęsie udko. – Wiecie co, od śmierci mamy nie jadłem takich pyszności. Wiwat, kucharka! Gdybym nie był po uszy zakochany w tym tu oto wróbelku, ożeniłbym się z tobą, naprawdę... – I wesoło macha widelcem, mało nie wydlubując oka madame Luzeron, która w porę odwraca głowę.

Vianne uśmiecha się skromnie. Poncz musiał zacząć działać, bo rumieni się z zadowolenia.

– Dziękuję – mówi, podnosząc się z miejsca. – Cieszę się, że jesteście tu dzisiaj z nami, bo chciałabym wam podziękować za wszystko, co dla nas zrobiliście...

A to dobre, myślę sobie. Co oni niby takiego zrobili?

– Dziękuję za waszą lojalność, wsparcie i przyjaźń – ciągnie Vianne – w czasie, kiedy były nam bardzo potrzebne.

Znów się uśmiecha, być może po części świadoma substancji, które przenikają do jej żył, czyniąc ją rozgadaną, nierozważną, ba, niemal lekkomyślną, niczym młodsza Vianne z dawnego, na wpół zapomnianego życia.

– Nie miałam spokojnego dzieciństwa. Nigdzie nie zagrzałam długo miejsca i zawsze czułam się wyobcowana. Lecz oto mieszkam tu już cztery lata i zawdzięczam to ludziom takim jak wy.

Trzymajcie mnie, bo zasnę. Szukuje się niezła tyrada.

Nalewam sobie ponczu i podchwytyję spojrzenie Anouk. Jest trochę niespokojna, może z powodu nieobecności Jeana-Loupa. Musi być bardzo chory, biedaczek. Pewnie zjadł coś niestrawnego. A z tak delikatnym sercem trzeba baaardzo uważać. Wystarczy katar, grypa czy choćby zakłęcie...

Czy to możliwe, że poczuwa się do winy?

Proszę, Anouk, odsuń tę myśl. Dlaczego akurat ty miałabyś czuć się winna? Ty, tak wyczulona na najmniejszy przejaw zła? Ale widzę twoją aurę, kochana, widzę, jak patrzysz na moją szopkę i magiczną trójkę skąpaną w świetle elektrycznych gwiazd.

Prawda, jeszcze kogoś brakuje. Spóźni się, co było do przewidzenia, ale nadchodzi pospiesznie bocznymi ulicami Butte, czujny jak lis o krok od kurnika. Jego nakrycie czeka, talerze, szklanki, wszystko nietknięte.

Vianne zaczyna myśleć, że się ośmieszyła. Anouk zaś, że jej misterne plany i przygotowania spełzną na niczym, że nawet śnieg niczego nie zmieni i nic jej tu nie trzyma.

Kolacja zmierza ku końcowi, ale jest jeszcze czas na czerwone wino z Gers, na *p'tits cendres* obtoczone w dębowym pyle, na świeże sery niepasteryzowane, na sery dojrzałe, pastę pigwową, orzechy włoskie, zielone migdały oraz miód.

Vianne stawia na stole trzynaście deserów i świąteczne polano, opasłe jak biceps kulturysty, w zbroi z czekolady grubej na palec, i wszyscy, którzy myśleli, że mają już dość (nawet Alice), znajdują „troszkę” miejsca na mały kawałek (bądź dwa lub trzy, jak w przypadku Nico). W naczyniu z ponczem widać dno; Vianne otwiera butelkę szampana i pijemy toast.

*Aux absentes...*

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta druga trzydzieści*

Rosette robi się śpiąca. Przez cały wieczór była bardzo grzeczna, jadła palcami, ale nie brudziła, prawie się nie śliniła i co rusz rozmawiała (na migi) z Alice, siedzącą obok jej krzeselka.

Jest zachwycona skrzydełkami; dobrze się składa, bo Alice przyniosła jej w prezencie drugą parę. Rosette jest za mała, by czekać do północy, naprawdę powinna już iść spać, uznaliśmy więc, że może otworzyć prezenty. Zafascynowana wpatruje się w srebrzystofioletowe skrzydełka, które są naprawdę ekstra. Mam cichą nadzieję, że też takie dostanę, co – sądząc po kształcie mojej paczki – jest wielce prawdopodobne. Rosette jest teraz małą latającą, zachwycona pełza po całym sklepie i pod stołem śmieje się z Nico, trzymając czekoladowe ciastko w rączce.

Jest późno i zmęczenie daje mi się we znaki. Gdzie Roux? Dlaczego nie przyszedł? Nie mogę myśleć o niczym innym, ani o jedzeniu, ani nawet o prezentach. Jestem zbyt nakręcona, a serce mało nie wyskoczy mi z piersi. Na chwilę przymykam oczy i czuję zapach kawy oraz gorącej czekolady z przyprawami, którą pije *maman*. Brzęczą uprzątane naczynia.

Przyjdzie, myślę. Musi przyjść.

YULE Ale już późno, a jego wciąż nie ma. Czy nie zrobiłam wszystkiego jak należy? Świece, cukier, krąg, krew? Złoto i kadzidło? Śnieg?

Dlaczego jeszcze go nie ma?

Nie chcę płakać. W końcu mamy Wigilię. Przecież nie tak miało być. Czy to jest cena, o której mówiła Zoie? Pozbyłam się Thierry'ego, lecz jakim kosztem?

Brzęczą dzwonki u drzwi, otwieram oczy. Ktoś stoi na progu. Widzę go wyraźnie, cały na czarno, z rudymi włosami...

Patrzę uważniej. To nie Roux. W drzwiach stoi Jean-Loup, a rudowłosa kobieta obok niego to chyba jego mama. Jest trochę niezadowolona i zakłopotana, ale Jean-Loup wygląda normalnie, może trochę blady, ale w końcu to żadna nowość.

Zrywam się z krzesła.

– Jednak przyszedłeś! Hura! Jak się czujesz?

– Jak nowo narodzony – mówi z żartobliwym uśmiechem. – Jak mogłem nie przyjść na przyjęcie, w które włożyłaś tyle pracy?

Jego mama próbuje się uśmiechnąć.

– Nie chcę przeszkadzać – mówi – ale Jean-Loup nalegał...

– Witamy – odpowiadam.

*Maman* i ja biegniemy do kuchni po dodatkowe krzesła, a Jean-Loup wyjmuję coś z kieszeni. Zawiniątko w złotym papierku wygląda jak prezent, ale jest wielkości pralinki.

Podaje je Zozie.

– To chyba jednak nie moje ulubione.

Zozie stoi do mnie plecami, nie widzę ani jej twarzy, ani zawartości paczuszki. Pewnie postanowił jednak dać Zozie szansę; czuję taką ulgę, że mało nie zaczynam beczeć. Czyli wszystko się układa. Jeszcze tylko musimy poczekać na Roux i poprosić Zozie, żeby została.

Nagle Zozie odwraca się i widzę jej twarz. Jest wcale do siebie niepodobna. Może to tylko gra świateł, ale przez chwilę wygląda na... złą? Nie, wściekłą: ma oczy jak szparki i wykrzywione usta, a czekolada sączy się pomiędzy zaciśniętych palców jak krew.

Cóż, jak powiedziałam, robi się późno. Pewnie wzrok mnie zawodzi, bo po chwili znowu jest wesoła, uśmiechnięta i prześliczna w czerwonej sukience i rubinowych, aksamitnych czółenkach. A kiedy już mam spytać Jeana-Loupa o zawartość paczuszki, drzwi otwierają się ponownie i wchodzi kolejny gość, wysoka postać w bieli i czerwieni, w kapturze obszytym futerkiem i z wielką, sztuczną brodą.

– Roux! – krzyczę i zrywam się na równe nogi.

Roux zdejmuję sztuczną brodę. Widzę, że się uśmiecha. Rosette siedzi niemal u jego stóp. Podnosi ją i wywija młynka w powietrzu.

– Małpka! – woła. – Moja ulubiona. A do tego skrzydlata!

Tulę go na powitanie.

– Już myślałam, że nie przyjdiesz.

– No cóż, jestem.

Zapada cisza. Roux stoi, z Rosette uczeptioną ramienia. Sklep jest pełen ludzi, ale Roux patrzy na *maman* tak, jakby byli sami...

Spoglądam na nią przez Dymiące Zwierciadło. Zachowuje zimną krew, lecz jej aura emanuje blaskiem. Robi krok do przodu.

– Trzymałyśmy dla ciebie miejsce.

Mierzy ją przeciągłym spojrzeniem.

– Na pewno?

*Maman* kiwa głową.

Pozostali wlepiają w niego wzrok; boję się, że Roux zaraz coś powie, bo nie lubi, kiedy ktoś mu się natrętnie przygląda. W ogóle nie przepada za ludźmi...

Ale wtedy *maman* podchodzi bliżej i delikatnie całuje go w usta, na co Roux sadza Rosette na podłodze i wyciąga ręce.

Do tego nie potrzeba mi Dymiącego Zwierciadła. Wszyscy widzą pocałunek tych dwojga, którzy pasują do siebie jak ulał. *Maman* ujmuje go za rękę i z uśmiechem odwraca się do zebranych.

No dalej, ponaglami ją w myślach. Powiedz im. Szybko.

Patrzy na mnie przez chwilę i wiem, że usłyszała. Potem jednak przesuwa wzrokiem po kręgu przyjaciół, mama Jeana-Loupa nadal stoi obok niej z niezadowoloną miną i widzę, że *maman* się waha. Wszyscy się w nią wpatrują; wiem, co sobie myśli. To oczywiste. Czeka na Spojrzenie, które widziałyśmy setki razy, które mówi: nie jesteś jedną z nas, jesteś inna...

Nikt się nie odzywa. Patrzą na nią w milczeniu, syci i zaróżowieni na twarzach, oczywiście oprócz Jeana-Loupa i jego matki, która spogląda na nas jak na bandę rozbójników. Jest gruby Nico, który trzyma za rękę uskrzydloną Alice, madame Luzeron, trochę niedorzeczna w swoim bliźniaku, z perłami na szyi, madame Pinot w habicie, która bez koka wygląda na młodszą o dwadzieścia lat, Laurent z błyskiem w oku, Richard i Mathurin, Jean-Loup i Paulpaul, którzy palą na spółkę papierosa, i nikt, ale to nikt nie patrzy na nią w ten sposób.

Jej twarz ulega raptownej przemianie. Rysy łagodnieją, jakby kamień spadł jej z serca. Po raz pierwszy od narodzin Rosette wygląda jak Vianne Rocher, Vianne, która wpadła do Lansquenet na skrzydłach wiatru i nie dbała o to, co powiedzą inni.

Zozie uśmiecha się leciutko.

Jean-Loup łapie matkę za rękę i siłą sadza na krześle.

Usta Laurenta rozchylają się z lekka.

Madame Pinot czerwienieje jak truskawka.

– Kochani, chciałabym wam kogoś przedstawić – mówi *maman*. – To jest Roux. Ojciec Rosette.



*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta druga czterdzieści*

Słyszę wokół zbiorowe westchnienie, które w innych okolicznościach wzięłabym za przejaw dezaprobaty, lecz w tym wypadku, po sutym posiłku i winie, złagodzone świątecznym nastrojem i nieoczekiwanym czarem śniegu, brzmi jak „aaach!”, które słyhać na pokazach fajerwerków.

Roux patrzy czujnie, a następnie z uśmiechem bierze z rąk madame Luzeron kieliszek szampana i wznosi toast...

Gdy rozmowy zaczynają się na nowo, idzie za mną do kuchni. Rosette w przebraniu małpki towarzyszy mi na czworakach krok w krok; przypominam sobie, jak na niego patrzyła za pierwszym razem, jakby już wówczas go rozpoznała.

Roux pochyla się i dotyka jej włosów. Łączące ich podobieństwo jest tkliwe jak wspomnienia i stracony czas. Ominęło go tyle rzeczy: to, jak Rosette po raz pierwszy uniosła główkę, jej pierwszy uśmiech, rysowane zwierzątka, łyżkowy taniec, który tak rozzłościł Thierry'ego. Wyraz jego twarzy uzmysławia mi dobitnie, że Roux nigdy nie weźmie jej za złe tego, że jest inna, nie będzie się jej wstydził, porównywał z innymi dziećmi ani prosił, by stała się kimś innym...

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – pyta.

Ogarnia mnie wahanie. Którą prawdę wybrać? Powiedzieć, że się bałam, byłam zbyt dumna, zbyt uparta, żeby się zmienić i – podobnie jak Thierry – zaślepiona mrzonką, która jawiła się złotem, a okazała tylko pyłem na wietrze?

– Chciałam, żebyśmy osiadły gdzieś na stałe. Były zwyczajne.

– Zwyczajne?

Opowiadam mu o tułaczce z miasta do miasta, fałszywej obrączce, zmianie nazwiska, porzuceniu czarów, Thierryem, pogoni za akceptacją za wszelką cenę, a nawet o mojej duszy i cieniu.

Milczy przez chwilę, po czym śmieje się cicho.

– I to wszystko z powodu *chocolaterie*?

Potrząsam głową.

– Już nie.

Zawsze powtarzał, że za bardzo się przejmuję. Teraz rozumiem, że nie przejmowałam się tym, czym powinnam, tym, co naprawdę się dla mnie liczyło.

Bądź co bądź, *chocolaterie* to tylko kupa piasku i zaprawy murarskiej, kamień i szkło. Nie ma serca, nie ma życia prócz tego, które czerpie z nas samych. Jeśli tego się wyrzekniemy...

Roux podnosi Rosette, która wbrew swoim zwyczajom piszczy ze szczęścia i pokazuje coś obiema rączkami.

– Co powiedziała?

– Mówi, że wyglądasz jak małpa – wyjaśniam ze śmiechem. – W ustach Rosette to komplement.

Roux obejmuje nas obie. Przez chwilę stoimy spleceni w uścisku, Rosette wisi mu na szyi, ze sklepu napływa cichy szmer rozmów i otacza nas wszechobecna woń czekolady.

Naraz zapada cisza, brzęczą dzwonki, drzwi otwierają się na oścież i widzę kolejną postać w bieli i czerwieni, ale większą, zwalistą. Mimo sztucznej brody rozpoznaję ją natychmiast, nie muszę nawet widzieć cygara...

Thierry wkracza do środka rozkołysanym krokiem, za dużo wypił. Świdruje Roux nienawistnym spojrzeniem.

– Kim ona jest?

– Ona? – pyta Roux.

Thierry trzema susami przesadza pokój, zahaczając o choinkę i rozrzucając prezenty. Staje tuż na wprost Roux.

– Dobrze wiesz, o kim mówię. Twoja współpracownica. Ta, która pomogła ci zrealizować czek. Jest na taśmie kamery bankowej. I najprawdopodobniej oskubała w tym roku więcej niż jednego frajera.

– Nie mam żadnej współpracownicy – odpowiada Roux. – Nigdy nie zrealizowałem twojego...

Nagle widzę, że zaczyna rozumieć, ale jest za późno.

Thierry łapie go za ramię. Stoją blisko siebie, odbicia w zniekształconym lustrze, Thierry z dzikim wyrazem oczu, Roux poblądły na twarzy.

– Policja ma ją na celowniku – mówi Thierry. – Ale jest sprytna, dotąd wyślizgiwała się jak piskorz. Zmienia nazwiska. Działa w pojedynkę. Tym razem noga jej się powinęła, bo miała pecha trafić na takiego głupka jak ty. Kim ona jest? – krzyczy, a czerwona twarz naprawdę upodabnia go do Świętego Mikołaja. Mierzy Roux pijackim spojrzeniem. – Kim jest, u diabła, Vianne Rocher?

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć*

Ha, to się nazywa pytanie za milion dolarów, co?

Thierry jest pijany, od razu to widać. Cuchnie piwem i dymem cygar, który przyłgął do kostiumu Świętego Mikołaja i idiotycznej brody. W jego aurze czai się groźba, ale widzę, że jest do niczego.

Stojąca naprzeciw niego Vianne, blada jak płótno, ma rozchylone usta i płonący wzrok. Bezsilnie potrząsa głową. Wie, że Roux jej nie wyda. Anouk oniemiała: najpierw wzruszająca scenka w kuchni, a potem brutalne najście w chwili, gdy wszystko zdawało się już iść po jej myśli...

– Vianne Rocher? – powtarza pustym głosem Vianne.

– Zgadza się – mówi Thierry. – Znana również między innymi jako Francoise Lavery, Mercedes Desmoines i Emma Windsor.

Widzę, jak Anouk przestępuje z nogi na nogę. Jedno z nazwisk brzmi znajomo. Czy to ważne? Chyba nie. Ta rozgrywka raczej należy do mnie.

Thierry świdruje Vianne baczny spojrzeniem.

– On mówi do ciebie: „Vianne”. – Oczywiście ma na myśli Roux.

W milczeniu potrząsa głową.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy nie słyszałaś tego nazwiska?

Raz jeszcze potrząsa głową i nagle... ach!

Wreszcie to do niej dociera. Widzi, jak dała się wmanewrować w pułapkę i zaczyna rozumieć, że nie pozostaje jej nic innego, jak wyprzeć się siebie po raz trzeci...

Nikt nie zwraca uwagi na madame. Podczas kolacji rozmawiała głównie z Anouk, teraz zaś spogląda na Thierry'ego z wyrazem przerażenia na twarzy. Och, urobiłam ją, naturalnie. Za pomocą dyskretnych aluzji, subtelnych uroków i poczciwej, staroświeckiej chemii przygotowałam ją na tę chwilę prawdy. Teraz wystarczy tylko jedno nazwisko, a piñata strzeli jak kasztan nad ogniem...

Vianne Rocher!

Cóż, kolej na mnie. Z uśmiechem podnoszę się z miejsca i dla uczczenia tej podniosłej chwili pociągam ostatni łyk z kieliszka. Wszystkie spojrzenia kierują się na mnie: pełne strachu, nadziei, gniewu i uwielbienia, a ja wreszcie sięgam po nagrodę.

– Vianne Rocher? – mówię z uśmiechem. – To ja.

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta trzecia*

Musiała znaleźć moje dokumenty, ukryte w matczynej szkatułce. Potem wystarczyło tylko otworzyć konto na moje nazwisko, wysłać podanie o nowy paszport i prawo jazdy, czyli to, czego potrzebowała, aby zostać Vianne Rocher. Nawet wygląda teraz wypisz wymaluj jak ja i uśmiecha się jak gdyby nigdy nic. Posłużyła się Roux jako przynętą, używając skradzionej tożsamości w sposób, który prędzej czy później ma nas pogrążyć.

Och, teraz widzę pułapkę. I nieco poniewczasie, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, zaczynam rozumieć, do czego dąży. Chce mnie zmusić, abym się ujawniła, zdmuchnąć jak liść na wietrze i wypuścić w pogoń rozjuszone Furie...

Ale czymże jest nazwisko? Czy nie mogę wybrać innego? Nie mogę go zmienić, jak czyniłam to wielokrotnie, stawić czoło Zozie i to ją zmusić do odejścia?

Thierry w zdumieniu wytrzeszcza na nią oczy.

– Ty? – mówi.

Inni też spoglądają na nią ogłupiali.

– Ty ukradłaś pieniądze? Ty zrealizowałaś czek?

Stojąca za nią Anouk jest bardzo blada.

– To niemożliwe – mówi Nico.

Madame Luzeron potrząsa głową.

– Przecież Zozie to nasza przyjaciółka – mówi mała Alice i rumieni się jak piwonia. – Tyle jej zawdzięczamy...

Jean-Loupe wpada jej w słowo.

– Zawsze rozpoznam podróbkę – oświadcza. – Zozie nie jest taka, daję słowo.

Wówczas odzywa się Jean-Loup.

– Ale to prawda. Jej zdjęcie było w gazetach. Potrafi się zmieniać jak kameleon, jednak od razu wiedziałem, że to ona. Moje zdjęcia...

Zozie posyła mu jadowity uśmiech.

– Oczywiście, że to prawda. Szczera prawda. Mam więcej imion, aniżeli potrafię zliczyć. Przez całe życie z trudem wiązałam koniec z końcem. Nigdy nie miałam domu, rodziny, sklepu ani tego wszystkiego, co ma Yanne...

Uśmiech pod moim adresem wygląda jak spadająca gwiazda. Stoję niczym

wrosnięta w ziemię, niezdolna wykrztusić ani słowa, otumaniona jak pozostali. Oszołomienie jest tak silne, że prawie jestem skłonna uwierzyć, że ktoś dosypał mi czegoś do kieliszka: w głowie mi huczy jak w ulu, kolory tańczą przed oczami, a cały sklep wiruje jak karuzela.

Roux kładzie mi rękę na ramieniu, żeby mnie podtrzymać. Tylko on nie podziela ogólnej konsternacji. Czuję na sobie spojrzenie madame Rimbault, matki Jeana-Loupa. Twarz pod farbowanymi włosami krzywi się w wyrazie dezaprobaty. Najchętniej by stąd wyszła, lecz i ona dała się oczarować.

Zozie uśmiecha się i mówi dalej.

– Powiedzmy, że lubię przygody. Przez całe życie musiałam ostro ruszać głową, uprawiałam hazard, kradłam, żebrałam, oszukiwałam. Nie wiedziałam, że można inaczej. Nie miałam przyjaciół ani własnego kąta...

Urywa; czuję wyraźnie, jak w powietrzu iskrzy od czarów. Dokoła unosi się zapach kadzidła i lśniący pył. Jeszcze chwila, a okręci ich sobie wokół palca.

– Ale tutaj – ciągnie Zozie – znalazłam dom. Znalazłam ludzi, którzy darzą mnie sympatią i akceptują taką, jaka jestem. Wierzyłam, że tutaj zacznę od nowa, lecz stare nawyki okazały się silniejsze od postanowień. Przepraszam, Thierry. Zwrócę wszystko co do grosza.

W jej uniesiony głos wkradają się drżące, żarliwe nuty, a milcząca madame o nie znanym mi nazwisku podchodzi do Thierry'ego i staje przed nim. Aż pobladła z emocji, których nie potrafi wyrazić, a jej oczy lśnią w pociągłej twarzy jak agaty.

– Ile jest panu winna, monsieur? – pyta. – Oddam wszystko z procentem.

Thierry gapi się na nią z niedowierzaniem.

– Dlaczego? – pyta.

– Jestem pewna, że pańskie zarzuty są słuszne – odpowiada madame nosowym głosem rodowitej paryżanki. Jednakże wszystko, co dotyczy Vianne Rocher, kimkolwiek jest, dotyczy również mnie.

– Jak to? – pyta Thierry.

– Jestem jej matką.

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta trzecia pięć*

Cisza, która otaczała ją lodowatym kokonem, pęka w urywanym okrzyku. Vianne, już nie blada, ale zaróżowiona od *pulque* i nadmiaru emocji, staje przed madame, otoczona wianuszkiem osób, które zebrały się wokół nich.

Nad ich głowami wisi jemioła, a ja czuję nagłą, nieodpartą chęć, aby podbiec do Vianne i pocałować ją prosto w usta. Tak łatwo nią manipulować, podobnie jak nimi wszystkimi. Prawie czuję smak zwycięstwa, czuję jak pulsuje mi w żyłach, słyszę je niczym fale przybrzeżne na odległej plaży; smakuje słodko, jak czekolada.

Znak Jaguara ma wiele właściwości. Niewidzialność jest oczywiście możliwa tylko w bajkach, jednakże oko i mózg, w przeciwieństwie do kamer i filmu bez trudu dają się oszukać. I gdy uwaga wszystkich skupia się na madame, wymykam się prawie niezauważona i idę po spakowaną walizkę.

Zgodnie z moimi przewidywaniami Anouk poszła za mną.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała stanowczo. – Dlaczego podałaś się za Vianne Rocher?

Wzruszyłam ramionami.

– A co mam do stracenia? Zmieniam nazwiska jak rękawiczki, Anouk. Nigdzie nie zagrzewam długo miejsca. Na tym polega różnica między nami. Nie mogłabym żyć tak, jak wy, otoczona szacunkiem i poważaniem. Mam gdzieś, co o mnie myślą ludzie, ale twoja matka ma wiele do stracenia. Jest Roux, Rosette, no i oczywiście sklep.

– A ta kobieta?

Opowiedziałam jej żalostną bajeczkę o dziecku porwanym z samochodu i amulecie w kształcie kotka. Jak się okazało, Vianne nigdy jej o tym nie wspomniała. Jakoś mnie to nie dziwi.

– Ale skoro wiedziała, kim jest, dlaczego jej nie odszukała? – zapytała Anouk.

– Może się bała – podsunęłam. – A może czuła się związana z przybraną matką. „Sami wybieramy sobie rodzinę”, Nanou. Czyż nie to zawsze powtarzała? A może... – Teatralnie zawiesiłam głos.

– Co?

– Jesteśmy inne. Musimy trzymać się razem, Nanou. I same wybrać sobie rodzinę. W końcu – rzuciłam chytrze skoro nie powiedziała ci prawdy, może ty też

zostałaś porwana?

Dałam jej czas do namysłu. Z drugiego pomieszczenia wciąż dolatywał głos madame Luzeron, falujący naturalnym rytmem głosu urodzonej bajarki. Ona i jej córka mają pod tym względem wiele wspólnego, ale nie pora na refleksję. Mam walizkę, płaszcz, dokumenty. Jak zawsze podróżuję bez balastu. Wyciągam z kieszeni prezent dla Anouk, zawiniątko w czerwonym papierze.

– Nie chcę, żebyś wyjechała, Zozie.

– Nie mam wyboru, Nanou.

Prezent lśni na tle czerwonej bibuły. To bransoletka, nowiuteńki wąski pasek ze srebra. Doczepiony do niej pojedynczy amulet zmatowiał i ściemniał ze starości. Jest to małeńki, poczerniały srebrny kotek.

Wie, co to znaczy. I z gardła wyrywa jej się szloch.

– Zozie, nie...

– Przepraszam, Anouk.

Pospiesznie idę przez opustoszałą kuchnię. Dokoła piętrzą się sterty szklanek i talerzy z resztkami uczy. Na kuchence grzeje się czekolada, nad rondlem wiruje obłok pary, jedyny przejaw życia pośród martwej natury.

„Spróbuj. Skosztuj”, nalega.

Prosta, codzienna sztuczka, której Anouk skutecznie opierała się przez ostatnie cztery lata. Niemniej jednak na wszelki wypadek podchodzę do kuchenki i wyłączam gaz, po czym kieruję się w stronę tylnego wyjścia.

Jedną ręką niosę walizkę. Drugą ciskam w powietrze znak Mictecacihuatl, jakbym rzuciła kłębem pajęczyn. Śmierć i dar. Oto klucz do uwodzenia, znacznie potężniejszy niż czekolada.

Odwracam się i patrzę na nią z uśmiechem. Na zewnątrz ciemność połknie mnie w całości. Nocny wiatr flirtuje z moją czerwoną sukienką. Szkarłatne buty odcinają się krwistą plamą na śniegu.

– Nanou – mówię. – Wszyscy mamy wybór. Yanne albo Vianne. Annie albo Anouk. Wiatr Zmienny albo Hurakan. Czasem trudno być takimi jak my. Chcesz iść na łatwiznę, lepiej zostań tutaj. Ale jeśli chcesz dosiąść wiatru...

Na jej twarzy maluje się wahanie, jednak już wiem, że wygrałam.

Wygrałam w chwili, gdy przybrałam twoje nazwisko, idąc za głosem Zmiennego Wiatru. Widzisz, Vianne, nigdy nie chciałam tu zostać. Nie zależało mi na twojej *chocolaterie*. Nie pragnęłam żadnej cząstki smutnego życia, które przypadło ci w udziale.

Ale Anouk ze swoim talentem jest bezcenna. Taka młoda i zdolna, tak łatwo nią



manipulować. Jutro możemy być w Nowym Jorku, Nanou, w Londynie, Moskwie, Wenecji, a nawet w dobrym starym Meksyku. Vianne Rocher i jej córkę Anouk czeka wiele podbojów: czyż nie będziemy boskie, nie pozostawimy po sobie spustoszenia niczym zimowa zawierucha?

Anouk spogląda na mnie jak urzeczona. Wszystko wydaje się jej tak oczywiste, że nie może się nadziwić, że wcześniej tego nie dostrzegła. Uczciwa wymiana, życie za życie.

Czyż nie jestem teraz twoją matką? Lepszą niż dotychczasowa i w dwójnasób fajniejszą? Po co ci Yanne Charbonneau? Po co ci... ktokolwiek?

– Ale co z Rosette? – oponuje.

– Rosette ma teraz własną rodzinę.

Starannie rozważa moje słowa. Tak, Rosette ma rodzinę. Rosette nie musi wybierać. Rosette ma Yanne. Rosette ma Roux...

Wyrywa jej się kolejny szloch.

– Proszę...

– Chodź, Nanou. Przecież tego chcesz. Magii, przygód, ryzyka.

Robi krok do przodu i zatrzymuje się z wahaniem.

– Obiecujesz nigdy mnie nie okłamywać?

– Nigdy tego nie robiłam. I nie zrobię.

Kolejna pauza; natrętna woń czekolady Vianne szarpie mnie za poję płaszcza, powtarzając to swoje „spróbuj, skosztuj” słabym, płaczkliwym głosem.

Czy to wszystko, na co cię stać, Vianne?

Lecz Anouk nadal się waha.

Patrzy na moją bransoletkę, na srebrne amulety: trumnę, buty, kolbę kukurydzy, kolibra, węża, czaszkę, małpę, mysz...

Marszczy brwi, jakby usiłowała sobie przypomnieć coś, co ma dosłownie na końcu języka. Następnie patrzy na stygnący miedziany rondel i łzy napływają jej do oczu.

„Spróbuj. Skosztuj”. Ostatni smętny powiew perfum, jak wspomnienie dzieciństwa zawieszony w powietrzu.

„Spróbuj. Skosztuj”. Rozbite kolano; mała, wilgotna dłoń umazana kakao, wpisanym w linię życia i linię serca.

„Skosztuj. Posmakuj”. Wspomnienie wspólnego wylegiwania się w łóżku, między nimi książka z bajkami, rozbawiona Anouk śmieje się do rozpuku...

Raz jeszcze rzucam znak Mictecacihuatl, starej Pani Śmierci, Pożeraczki Serc, niczym czarne fajerwerki u jej stóp. Robi się późno; opowieść madame dobiega

końca i zebrani wkrótce za nami zatęsknią.

Oszołomiona Anouk sennie spogląda na kuchenkę. Przez Dymiące Zwierciadło widzę przyczynę jej wahania: niewielki szary kształt z mglistym zarysem ogona i wąsików.

– No i? – ponaglam. – Idziesz czy nie?

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta trzecia pięć*

– Byłam sąsiadką Jeanne Rocher. – Ścina samogłoski jak rodowita paryżanka, słowa wyfruwają jedno za drugim, jakby wystukiwała rytm obcasem. – Była trochę starsza ode mnie, zarabiała na życiem stawianiem tarota, pomagała ludziom rzucić palenie. Poszłam do niej raz, dwa tygodnie przed porwaniem córki. Powiedziała, że myślę o oddaniu małej. Nazwałam ją kłamczucha, ale mówiła szczerą prawdę.

Opowiadała dalej, z twarzą kompletnie pozbawioną wyrazu.

– Mieszkałam w kawalerce w Neuilly-Plaisance, pół godziny od centrum Paryża. Miałam starego citroena, dwa etaty w lokalnych kawiarniach i dostawałam okazjonalną jałmużnę od ojca Syhdanne, który nie zamierzał zostawić żony. Dwadzieścia jeden lat i zero perspektyw. Opiekunka do dziecka pochłaniała moje niewielkie zarobki, nie wiedziałam, co robić. Ale kochałam ją, naprawdę...

Myślę przelotnie o srebrnym kotku i czuję mimowolne wzruszenie. Czy jego też Zozie ukradła? Pewnie tak. Pewnie dzięki niemu zdołała omamić madame Caillou, której twarz łagodnieje pod wpływem rozdzierających wspomnień.

– Dwa tygodnie później zniknęła. Zostawiłam ją na dwie minuty, nie więcej... Jeanne Rocher musiała czatować w pobliżu w oczekiwaniu na sposobną chwilę. Gdy poszłam do jej mieszkania, zastałam drzwi zamknięte na klucz: wyniosła się i ślad po niej zaginął. Nie miałam żadnych dowodów. Ale nigdy nie przestałam się zastanawiać... – Podnosi na mnie rozjaśnioną twarz. – Kiedy spotkałam pani przyjaciółkę i zobaczyłam jej córeczkę, wiedziałam... wiedziałam...

Patrzę na obcą kobietę, która stoi na wprost mnie. Zwyczajna pięćdziesięciolatka, szerokie biodra i pociągnięte ołówkiem brwi nadają jej wygląd starszej niż jest. Mogłam ją tysiąc razy mijać na ulicy i w życiu nie domyśliłabym się, że coś nas łączy. Teraz stoi przede mną z wyrazem straszliwej nadziei na twarzy, a ja wiem, że to pułapka i wiem, że nazwisko nie jest moją duszą.

Ale nie mogę, po prostu nie mogę dopuścić, by uwierzyła...

– Madame, proszę – zwracam się do niej z uśmiechem. Ktoś z pani okrutnie zażartował. Zozie nie jest pani córką. Nie wiem, co pani wmówiła, ale to nieprawda. A co do Vianne Rocher...

Urywam. Twarz Roux nie wyraża żadnych uczuć, ale odszukał ręką moją dłoń i mocno ścisnął ją palcami. Wtedy zrozumiałam, że nie mam wyboru. Człowiek,

który nie rzuca cienia, nie jest człowiekiem, a kobieta, która wyrzeka się swojego imienia...

– Pamiętam czerwonego pluszowego słonika. I kocyk w kwiatki, chyba różowy. I misia z oczami z czarnych guzików. I małego srebrnego kotka na czerwonej wstążce.

Oczy madame Luzeron błyszczą pod narysowanymi ołówkiem brwiami.

– Latami towarzyszyły mi w podróży – ciągnę. – Słoń poróżowił ze starości. Wreszcie wylazły z niego trociny, a ja i tak nie pozwalałam jej go wyrzucić. Były to jedyne zabawki, jakie miałam; nosiłam je w plecaku z głowami na zewnątrz, żeby nie zabrakło im powietrza...

Milczy. Słyszę tylko jej chrapliwy oddech.

– Nauczyła mnie czytać z ręki – dodaję. – Wróżyć z kart, fusów i runów. Wciąż mam na górze jej karty do tarota. Rzadko z nich korzystam. Wiem, że to żaden dowód, ale nic więcej mi po niej nie zostało.

Wpatruje się we mnie z rozchyłonymi ustami, wykrzywionymi w niesprecyzowanym grymasie.

– Mówiła, że pani by o mnie nie dbała. I że nie wiedziałaby, co robić. Ale zachowała amulet i wycinek z gazety, a przed śmiercią próbowała mi wyznać prawdę, ale jej nie uwierzyłam. Nie chciałam uwierzyć.

– Śpiewałam piosenkę. Kołysankę. Pamiętasz?

Waham się. Miałam osiemnaście miesięcy, jakim cudem mogłabym coś takiego pamiętać?

Nagle wszystko wraca jak żywe. Kołysanka, by obłaskawić wiatr i przegonić Życzliwych...

*Via l'bon vent, via Vjoli vent,  
Via l'bon vent, ma mie m'appelle,  
Via Vbon vent, v'ld l'joli vent,  
Via l'bon vent, ma mie m'attend...*

Kobieta otworzyła usta i jęknęła; jej głos poruszył powietrze jak trzepot skrzydeł.

– Tak, to ona. To ona... – Głos odmówił jej posłuszeństwa; podeszła do mnie z otwartymi ramionami, jak tonące dziecko.

Podtrzymałam ją, inaczej by upadła. Pachniała zwiędłymi fiołkami i ubraniami zbyt długo przechowywanymi w szafie, naftaliną, pastą do zębów, kurzem i

pudrem. Był to zapach tak niepodobny do sandałowej woni mojej matki, że z trudem powstrzymałam łzy.

– Sylviane – powiedziała. – Moja Viane.

Przytuliłam ją, tak jak tuliłam moją matkę na dni i tygodnie przed jej śmiercią, szepcząc ciche słowa otuchy, których nie słyszała, chociaż niosły jej ukojenie. Wreszcie wybuchnęła płaczem, szlochając jak ktoś, kto widział więcej, aniżeli mogą znieść oczy i odczuwał silniej, aniżeli wytrzyma serce.

Cierpliwie poczekałam, aż się uspokoi. Po chwili płacz przeszedł w spazmatyczne drżenie, zalana łzami twarz zwróciła się w kierunku gości. Wszyscy stali bez ruchu. Scena okazała się ponad ich siły, widok ogromu cierpienia sprawił, że uciekli jak dzieci przed dzikim zwierzęciem konającym na środku drogi.

Nikt nie podał jej chusteczki.

Nikt nie patrzył jej w oczy.

Nikt się nie odezwał.

Naraz, ku mojemu zdziwieniu, madame Luzeron podniosła się z krzesła.

– Moje biedactwo – powiedziała swym oschłym tonem. Wiem, co czujesz.

– Naprawdę? – Głos madame ponownie nabrzmiał łzami.

– Ja też straciłam dziecko. – Położyła dłoń na ramieniu płaczącej i zaprowadziła ją do najbliższego fotela. – Przeżyłaś szok, napij się szampana. Mój świętej pamięci mąż zawsze wierzył w jego leczniczą moc.

Tamta uśmiechnęła się blado.

– Bardzo pani miła, madame.

– Heloise. Jak masz na imię?

– Michele.

Zatem tak brzmi imię mojej matki. Michele.

Przynajmniej wciąż mogę być Vianne, pomyślałam, po czym zadrżałam tak silnie, że musiałam z rozmachem usiąść na krześle.

– Dobrze się czujesz? – spytał zatroskany Nico.

Kiwnęłam głową, próbując się uśmiechnąć.

– Wyglądasz jakbyś sama potrzebowała tego lekarstwa – dodał, podając mi kieliszek koniaku.

Wyglądał tak poczciwie, a zarazem tak niestosownie w kędzierzawej peruce Henryka Czwartego i surducie, że zaczęłam płakać, sama nie wiem, dlaczego. I na chwilę zapomniałam o scenie, którą przerwała opowieść Michele.

Thierry nie zapomniał. Był pijany, jednak nie na tyle, żeby zapomnieć, w jakim celu śledził Roux. Przybył tu w poszukiwaniu Vianne Rocher i wreszcie ją znalazł,

może nie taką, jak sobie wyobrażał, ale tak czy inaczej tu była, ramię w ramię z wrogiem...

– A więc to ty jesteś Vianne Rocher. – Jego głos zabrzmiał głucho, a oczy błyszczały w czerwonej twarzy jak łebki od szpilek.

Skinełam głową.

– Tak. Ale to nie ja zrealizowałam twój czek...

Przerwał mi bez ceregieli.

– Nieważne. Liczy się to, że mnie okłamałaś. Okłamałaś. Mnie. – Gniewnie potrząsnął głową, pełen ubolewania nad własną naiwnością, jakby życie po raz kolejny nie sprostало jego wyśrubowanym wymaganiom. – Chciałem się z tobą ożenić. – Wyraźnie nie mógł tego przeboleć. – Dałbym ci dom, tobie i twoim dzieciom. Cudzym dzieciom. W tym jednym... wystarczy na nią spojrzeć. – Zerknął na Rosette przebraną za małą i jego twarz stężała w znajomym wyrazie. – Popatrzcie na nią – podjął. – Przecież to zwierzę. Chodzi na czworakach, nawet nie umie mówić. Ale zapewniłbym jej opiekę, zainteresowałam jej przypadkiem najlepszych specjalistów w Europie. Dla ciebie, Yanne. Ponieważ cię kochałem.

– Kochałeś? – powtórzył Roux.

Wszyscy spojrzeli w jego stronę.

Oparty o kuchenne drzwi, stał z rękami w kieszeniach i roziskrzonym wzrokiem. Pod rozpiętym kostiumem Mikołaja ubrany był na czarno i tak przypominał Szczurołapa z karty tarota, że prawie zabrakło mi tchu. I zaczął mówić, on, który nienawidzi zbiegowisk, za wszelką cenę unika scen i nigdy, ale to nigdy nie przemawia publicznie.

– Kochałeś? Nawet jej nie znasz. Jej ulubione czekoladki to *mendiants*, a kolor to jaskrawa czerwień. Ulubiony zapach: mimoza. Umie pływać jak ryba. Nie znosi czarnych butów. Kocha morze. Ma bliznę na lewym udzie, po tym jak wypadła z polskiego pociągu towarowego. Nie lubi swoich loków, chociaż są prześliczne. Słucha Beatlesów, ale nie ceni Stonesów. Dawniej kradła karty dań z restauracji, bo nie było jej stać, żeby w nich jeść. Jest najlepszą matką pod słońcem... – Urwał. – I nie potrzebuje twojej łaski. A co do Rosette... – Podniósł małą, tak że prawie dotknęła twarzą jego twarzy. – Nie jest „przypadkiem”. Jest idealna.

Na twarzy Thierry'ego odmalowało się zdumienie. I nagle zrozumiał. Rumieńce buchnęły mu na twarz; wodził wzrokiem od Roux do Rosette i z powrotem. Nie było mowy o pomyłce: Rosette ma bardziej okrągłą twarz, a jej włosy są jaśniejsze, ale ma oczy ojca i jego kpiące usta.

Thierry odwrócił się na pięcie, zahaczając o stół. Kieliszek spadł na podłogę,

rozpryskując się na setki fałszywych diamentów. Lecz gdy madame Luzeron schyliła się, aby je pozbierać...

– A to dopiero – powiedział Nico. – Mógłbym przysiąc, że się potłukł.

Rzuciła mi nieodgadnione spojrzenie.

– To się nazywa szczęście.

Zupełnie jak niebieskie naczynie ze szkła z Murano. Z tą różnicą, że przestałam się bać. Spojrzałam na przytuloną do ojca Rosette, nie czując przy tym ani urazy, ani strachu, ani niechęci, tylko rozpierającą dumę.

– Cóż, cieszcie się, dopóki możecie. – Thierry stał przy drzwiach, wielki w czerwonym kostiumie. – Wypowiadam ci umowę. Masz trzy miesiące, żeby się wynieść. – Popatrzył na mnie ze złośliwym triumfem. – A co, myślałaś, że po tym wszystkim pozwolę ci tu zostać? Bądź łaskawa nie zapominać, że to mój sklep. Nie uwzględniam cię w moich planach. Baw się dobrze. Do Wielkanocy już cię tutaj nie będzie.

Cóż, słyszałam to nie pierwszy raz. Trzasnęły drzwi, a ja nie poczułam strachu, tylko kolejny przypływ dumy. Najgorsze za nami, przetrwaliśmy. Zmienny wiatr wygrał, ale nie czułam się pokonana. Przeciwnie, rozpierała mnie energia, byłam gotowa stanąć w szranki z każdym, choćby z samymi Furiami...

Naraz uderzyła mnie straszna myśl. Poderwałam się z krzesła i potoczyłam wzrokiem po sklepie. Ponownie rozbrzmiał szmer rozmów; zrazu powoli, lecz z każdą chwilą nabierał tempa. Nico zagadnął Michele, Paulpaul flirtował z madame Pinot. Z tego, co usłyszałam, wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że Thierry był pijany i przed upływem tygodnia zapomni o sprawie, ponieważ *chocolaterie* stanowiła część Montmartre'u i podobnie jak „Le P'tit Pinson” nie mogła tak po prostu zniknąć z powierzchni ziemi.

Ale kogoś brakowało. Zozie zniknęła.

I nigdzie nie było śladu Anouk.

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta trzecia piętnaście*

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio widziałam Pantoufle'a. Prawie zapomniałam, jak to jest mieć go w pobliżu, patrzącego czarnymi oczkami, grzejącego mi kolana bądź przycupniętego na poduszce, na wypadek gdybym przestraszyła się Człowieka w Czerni. Ale Zozie już stoi w drzwiach i musimy dogonić Zmienny Wiatr...

Bezgłośnie wołam Pantoufle'a. Nie mogę odejść bez niego. Lecz on nie rusza się z miejsca i dalej siedzi na kuchence, marszcząc nosek. Nie pamiętam, kiedy widziałam go tak wyraźnie; każdy wąsik, każdy włoszek odcina się na tle światła. A z rondla unosi się zapach, który skądś znam.

Przecież to tylko czekolada, upominam się w duchu.

Ale pachnie jakoś inaczej. Pachnie jak czekolada, którą piłam w dzieciństwie, gorąca i kremowa, z wiórkami czekolady, pianką i cukrem na patyku, którym mogłam ją zamieszać.

– No i? – mówi Zozie. – Idziesz czy nie?

Ponownie wołam Pantoufle'a. Ale on dalej nie słyszy. Chcę iść, zobaczyć miejsca, o których mi opowiadała, dotrzeć wiatru i być boska, jednak Pantoufle siedzi obok rondla i nie mogę oderwać od niego wzroku.

Wiem, że to tylko mój wymyślony przyjaciel, a Zozie jest żywa i namacalna, lecz przypominam sobie historię o chłopcu, który sprzedał swój cień...

– No chodźże, Anouk – ponagla ostro. Zimny podmuch wiatru wpada do kuchni, śnieg opada na próg i jej buty. Ze sklepu dobiega nagły hałas, aromat czekolady przybiera na sile i słyszę wołanie *maman*.

Wtedy Zozie łapie mnie za rękę i wywleka na zewnątrz. Czuję, jak buty ślizgają mi się na śniegu, a lodowaty powiew wdziera się pod płaszcz.

– Pantoufle! – wołam ostatni raz.

Wreszcie podchodzi do mnie, podłużny cień na śniegu. Przez chwilę widzę jej twarz, nie przez Dymiące Zwierciadło, tylko przez cień Pantoufle'a. I nie jest to twarz Zozie, ale kompletnie obcej osoby, wykrzywiona i powyginana jak garść zardzewiałego metalu, a do tego stara, stara jak najstarsza praprababka świata. Wcale nie ma na sobie czerwonej sukienki, tylko spódnicę z ludzkich serc, a jej buty spływają krwią w wirującym śniegu...



Krzyczę i próbuję się jej wyrwać.

Rzuca we mnie znakiem Jaguara i zapewnia, że wszystko będzie dobrze, że mam się nie bać, bo mnie wybrała. I tak bardzo mnie potrzebuje, choć nikt nie jest w stanie tego zrozumieć.

Wiem, że nie mogę jej powstrzymać. Muszę iść. Zabrnęłam zbyt daleko, moje czary nie dorastają jej do pięt. Lecz aromat czekolady wciąż wdziera się do nosa niczym zapach lasu po deszczu i nagle widzę coś jeszcze. Widzę małą dziewczynkę, kilka lat młodszą ode mnie. Jest w jakimś sklepie, a przed nią stoi czarna skrzynka, podobna do trumienki na bransoletce Zozie.

– Anouk!

Rozpoznaję głos *maman*. Nie mogę jej zobaczyć, jest zbyt daleko. Zozie ciągnie mnie w mrok, posłusznie przebieram nogami. Mała dziewczynka zaraz otworzy skrzynkę, która kryje coś strasznego. Gdybym tylko wiedziała, może zdołałabym ją powstrzymać.

Stoimy naprzeciw *chocolaterie*, na rogu Place des Faux-Monnayeurs, spoglądając na brukowaną ulicę. Latarnia rzuca na śnieg krąg światła, a nasze cienie sięgają aż do schodów. Kątem oka widzę *maman*, wygląda na plac. Wygląda, jakby dzieliły ją ode mnie setki mil, chociaż w istocie odległość jest znacznie mniejsza. Są tam też Roux, Rosette, Jean-Loup i Nico. Ich twarze rysują się w oddali, jakbym oglądała je przez teleskop.

Drzwi stają otworem. *Maman* wychodzi na zewnątrz.

Z oddali dobiega głos Nico:

– Co to ma znaczyć, do cholery?

Pozostałe okrzyki giną w serii trzasków i zakłóceń.

Wiatr się wzmaga. Hurakan, *maman* nie ma z nim szans, chociaż widzę, że zamierza spróbować. Jest opanowana, prawie się uśmiecha. Że też ktoś mógł w ogóle pomyśleć, że Zozie jest do niej podobna.

Zozie posyła jej drapieżny uśmiech.

– Przyплыw ducha bojowego? – pyta ironicznie. – Za późno, Vianne. Wygrałam.

– Nie wygrałaś – odpowiada *maman*. – Tacy jak ty są z góry skazani na porażkę. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale to puste zwycięstwo.

Zozie prycha.

– A skąd to niby wiesz? Poszła za mną z własnej woli.

*Maman* puszcza jej słowa mimo uszu.

– Anouk. Chodź tutaj!

Ale ja stoję jak przygwożdżona do chodnika. Chcę iść, jednak jakiś szept, niczym lodowaty haczyk w moim sercu, ciągnie mnie w przeciwną stronę.

*Za późno. Dokonałaś wyboru. Hurakan nie odejdzie.*

– Proszę, Zozie. Chcę wrócić do domu.

*Do domu? Jakiego domu? Zbrodniarze nie mają domu, Nanou. Zbrodniarze dosiadają Hurakana.*

– Nie zrobiłam nic złego...

*Czyżby? Jesteś pewna?*

Jej śmiech brzmi jak pisk kredy na tablicy.

– Puść mnie! – krzyczę.

Ponownie wybucha śmiechem. Ma oczy jak dwa węgielki, a usta jak drut kolczasty; jakim cudem uważałam ją za ładną? Cuchnie zdechłymi rybami i benzyną. Jej ręce to same kości, a włosy – pęk gnijących wodorostów. Jej głos to noc i wiatr; czuję jej głód, pragnienie, aby połknąć mnie w całości.

Nagle dociera do mnie spokojny głos *maman*. Jej aura wygląda jak zorza polarna, jest jaśniejsza niż Pola Elizejskie; podnosi rękę i czyni gest, który znam na pamięć...

A kysz, zgiń, przepadnij!

Zozie uśmiecha się pobłaźliwie. Serca wokół jej pasa unoszą się i falują jak spódniczka cheerleaderki.

A kysz, zgiń, przepadnij! Tym razem widzę iskrę, która wystrzeliwuje ku Zozie jak zabłąkany węgielek z kominka.

Zozie ponownie się uśmiecha.

– Tylko na to cię stać? – pyta. – Na prymitywne sztuczki, które zna każde dziecko? Zmarnowałaś swój talent, Vianne, a mogłaś wraz z nami ujeżdżać wiatr. Cóż, nie przesadza się starych drzew. Wolność czasem przeraża.

Rusza w kierunku *maman* i nagle znów się zmienia. To oczywiście czary, ale jest tak piękna, że wprost trudno od niej oderwać wzrok. W miejsce serc pojawiła się jadeitowa spódnica, do której ma na sobie tylko złotą biżuterię. Jej skóra przybrała odcień mokki, a usta wyglądają jak pęknięty granat.

– Może jednak pójdziesz z nami, Vianne? – pyta z uśmiechem. – Jeszcze nie jest za późno. We trzy byłybyśmy niepokonane. Silniejsze niż Życzliwi. Potężniejsze od Hurakana. Byłybyśmy boskie, Vianne. Sprzedawałybyśmy czary i słodkie marzenia, nie tylko tu, ale wszędzie. Twoje czekoladki zyskałyby rozgłos na całym świecie. Wyobraź sobie te filie na wszystkich kontynentach. Wszyscy by cię kochali, Vianne, odmieniłabyś życie milionów...

*Maman* przystaje. A kysz, zgiń, przepadnij! Tym razem jednak robi to bez przekonania i iskra gaśnie w pół drogi. Robi krok w kierunku Zozie, dzieli je zaledwie parę metrów. Jej aura przygasła, wygląda jak postać rodem ze snu.

Chcę jej powiedzieć, że to oszustwo, że czary Zozie są jak tanie jajko wielkanocne, lśniące z wierzchu, ale puste w środku. Nagle przypominam sobie scenę, którą odsłonił przede mną *Pantoufle*, małą dziewczynkę, sklep, czarną skrzynkę i prababkę uśmiechniętą jak wilk w owczej skórze.

Odzyskuję mowę i krzyczę ile sił w płucach. Nie znam znaczenia tych słów, ale czuję ich moc, czuję, że dzięki nim powstrzymam zimowy wiatr.

– Zozie!

Patrzy na mnie.

– Co kryła czarna piñata?

*Poniedziałek, 24 grudnia. Wigilia, godzina dwudziesta trzecia dwadzieścia pięć*

Czary przysły. Przystanąła w pół kroku, wlepiając we mnie oczy. Podeszła bliżej i spojrzała mi prosto w twarz. Smród zdechłej ryby owiał mi twarz, lecz nawet nie zamrużyłam.

– Masz czelność o to pytać? – warknęła.

Z trudem wytrzymałam jej wzrok. Twarz Zoie uległa ponownej przemianie i znów stała się przerażająca, usta ziały niczym jaskinia, pełne spróchniałych zębów. Srebrna bransoletka na nadgarstku wyglądała jak obwieszona czaszkami, a spódnica z serc ociekała krwią, spływającą na śnieg. Budziła grozę, a zarazem trzęsła się ze strachu. *Maman* obserwowała ją z dziwnym uśmiechem, jakby rozumiała znacznie więcej niż ja.

W pewnej chwili lekko skinęła głową.

A ja ponownie wypowiedziałam magiczne słowa.

– Co kryła czarna piñata?

Zoie wydała z siebie gardłowy odgłos.

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami, Nanou – powiedziała.

I nagle znów stała się Zoie, dawną Zoie w rubinowych czółenkach, w szkarłatnej spódnicy, z różowym pasmem we włosach i barwnymi koralikami na szyi. Sprawiała wrażenie tak żywej i namacalnej, że widok jej smutnej miny dosłownie łamał mi serce. Dłoń na moim ramieniu zadrżała, a oczy wypełniły się łzami.

– Proszę – szepnęła. – Ach, proszę, Nanou, nie każ mi tego mówić.

*Maman* stała prawie na wyciągnięcie ręki. Za nią widziałam Jeana-Loupa, Roux, Nico, madame Luzeron i Alice, których aury błyskały jak fajerwerki podczas obchodów czternastego lipca, mieniąc się złotem, zielenią, srebrem i purpurą.

Przez otwarte drzwi napłynęła woń czekolady, a ja pomyślałam o miedzianym rondlu na piecu, o tym jak para wyciągała się ku mnie jak widmowe ręce w błagalnym geście, i prawie usłyszałam głos matki, mówiący: „skosztuj, posmakuj”.

Przypomniałam sobie, ile razy odmawiałam wypicia czekolady. Nie dlatego, że jej nie lubię, ale ze złości, że *maman* się zmieniła. Obwinałam ją za to, co się z nami stało i chciałam, żeby zrozumiała, że jestem inna...

To nie wina Zoie, pomyślałam. Zoie jest tylko lustrem, które pokazuje nam

to, co chcemy zobaczyć. Nasze nadzieje, antypatie, próżność. Lecz jeśli przyjrzeć się uważniej, to tylko kawałek szkła.

I powtórzyłam po raz trzeci, najgłośniej jak umiałam:

– Co kryła czarna piñata?

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta trzecia trzydzieści*

Widzę to wyraźnie, jak obrazek na karcie tarota. Pograżony w półmroku sklep, czaszki na półkach, małą dziewczynkę i praprababkę, która stoi obok z wyrazem zatrwazającej łapczywości na twarzy.

Wiem, że Anouk też to widzi. Widzi to nawet Zozie; jej twarz zmienia się bez przerwy, raz jest stara, raz młoda, raz Zozie, raz Królowa Serc, z ustami wykrzywionymi w wyrazie pogardy, zwątpienia lub strachu. I nagle ma tylko dziewięć lat, jest małą dziewczynką w odświętnej sukience, ze srebrną bransoletką na nadgarstku.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co było w środku? Naprawdę chcesz wiedzieć?

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta trzecia trzydzieści*

Naprawdę chcesz wiedzieć, Anouk?

Mam ci powiedzieć, co zobaczyłam?

Czego się spodziewałam, spytasz. Cukierków albo lizaków, czekoladowych czaszek, naszyjnika z cukrowych zębów, czyli tandetnych okolicznościowych gadżetów, które miały wystrzelić z piñaty i obsypać mnie mrocznym konfetti?

A może czegoś innego, czegoś w rodzaju objawienia okultystycznego, uchylecia rąbka tajemnicy zaświatów tudzież pewności, że zmarli towarzyszą nam na każdym kroku, siedzą przy naszych stołach, niestrudzeni wędrowcy, strażnicy wielkiego seretu, który pewnego dnia stanie się udziałem nas wszystkich?

Czyż nie tego pragniemy? Czyż nie chcemy uwierzyć, że Chrystus powstał z martwych, że strzegą nas aniołowie, że ryba w piątek to czasami przejaw cnoty, a innym razem grzech śmiertelny? Czyż nie chcemy wierzyć, że ma znaczenie upadek wróbla, wieży lub królestwa, a nawet całej rasy, unicestwionej w imię samozwańczego bóstwa, które się mianuje Jedynym Prawdziwym Bogiem, podobnie jak wielu mu podobnych? Panie, jacyż głupcy z owych śmiertelników, a najlepsze jest to, że wszyscy jesteśmy głupcami, nawet w oczach samych bogów, albowiem pomimo milionów zarzniętych na ich cześć, pomimo wszystkich modlitw, ofiar, wojen oraz niezliczonych objawień, kto tak naprawdę pamięta Starych Bogów, Tlaloca, Coatlicue, Quetzacoatla, a nawet starą, chciwą Mictecacihuatl we własnej osobie, których świątynie zamieniono w „zabytki”. Kamienie runęły, a piramidy skarłały, zatracone w czasie jak krew, które bez śladu wsiąka w piasek.

Co nas obchodzi, Anouk, czy za sto lat Sacre-Coeur stanie się meczetem, synagogą lub czymś jeszcze innym? Do tego czasu wszyscy pójdziemy do piachu, prócz Tego, który trwa wiecznie, buduje piramidy, wznosi świątynie, czyni z ludzi męczenników, komponuje wysublimowaną muzykę, przeczy zasadom logiki, chwali pokornych, wpuszcza dusze do nieba, dyktuje, w co się mamy ubierać, gromi niewiernych, maluje Kaplicę Sykstyńską, każe młodzieńcom ginać w imię dobrej sprawy, ucisza muzykantów za pomocą pilota, wiele obiecuje, a mało daje, nikogo się nie lęka i nigdy nie umiera, albowiem strach przed Śmiercią jest potężniejszy niżli honor, dobroć, wiara albo miłość...

Wracając do twojego pytania. O co chodziło?

Ach tak, czarna piñata.

Myślisz, że znalazłam tam odpowiedź?

Wybacz, skarbie. I dobrze się zastanów.

Chcesz wiedzieć, co zobaczyłam, Anouk?

Nic. Ni mniej, ni więcej. Zero. Nul.

Żadnych odpowiedzi, potwierdzeń, rekompensaty bądź prawdy. Tylko powietrze, stęchły podmuch z wnętrza czarnej piñaty, poranny oddech tego, który spał tysiąc lat.

„Nic” jest najgorsze ze wszystkiego, Anouk. Nie ma żadnego znaczenia ani informacji, żadnych bogów czy demonów. Umieramy... i nic. Zupełnie nic.

Spogląda na mnie ciemnymi oczami.

– Mylisz się – odpowiada. – Coś jednak jest.

– Niby co? Naprawdę wierzysz, że coś tu masz? Rusz głowę. *Chocolaterie*? Do Wielkanocy Thierry wyrzuci was na bruk. Ma mściwą naturę, jak wszyscy zarozumialcy. Za cztery miesiące wrócicie we trzy do punktu wyjścia, bez grosza przy duszy.

Myślisz, że masz Vianne? Otóż jesteś w błędzie. Brak jej odwagi, aby być sobą, a co dopiero swoją matką! Myślisz, że masz Roux? Nawet na to nie licz. To największy kłamca ze wszystkich. Spytaj o jego łódź, Anouk. Poproś, żeby ci pokazał tę swoją cenną łódź...

Lecz tracę ją, wiem to na pewno. Patrzy na mnie bez lęku. W jej oczach kryje się coś, czego nie potrafię dokładnie określić.

Litość? Nie. Nigdy by się nie odważyła.

– To istna udręka, Zozie.

– Udręka? – warknęłam.

– Być tobą.

Z mojego gardła dobył się bezgłośny ryk furii. To wołanie Jaguara, Czarnego Tezcatlipoki w jego najstraszliwszym wydaniu. Ale dziewczynka ani drgnęła. Uśmiechnęła się tylko i wzięła mnie za rękę.

– Zgromadziłaś tyle serc – powiedziała. – A wciąż nie masz własnego. Czy po to byłam ci potrzebna? Żebyś już nie była sama?

Spojrzałam na nią bez słowa, gniew odebrał mi mowę. Czy Szczurołap kradnie dzieci z miłości? Czy zły wilk uwodzi Czerwonego Kapturka z potrzeby towarzystwa? Jestem Pożeraczką Serc, ty mała kretyńko, jestem Strachem Przed Śmiercią i Złą Wiedzmą, jestem najbardziej ponurą z baśni, i ani się waż nade mną



litować.

Odepchnęłam ją. Ale ona nie chciała odejść. Raz jeszcze ujęła moją dłoń i nagle, nie pytając dlaczego, zaczęłam się bać...

Powiedzmy, że to było ostrzeżenie. Powiedzmy, że to był atak wywołany podnieceniem, szampanem i nadmiarem *pulque*. Nagle oblał mnie zimny pot, poczułam ucisk w piersi i nie mogłam złapać tchu. *Pulque* to nieprzewidywalny wywar, niektórym wyostrza zmysły, na innych zsyła delirium, popychając ich do nieobliczalnych czynów i sprawiając, że niebacznici na zagrożenie odsłaniają większą część siebie aniżeli powinni.

I wtedy zrozumiałam, iż żądza zawładnięcia tym dzieckiem sprowadziła mnie na manowce: pokazałam swoją prawdziwą twarz i świadomość nieoczekiwanej bliskości drugiego człowieka rozdarła mi trzewia jak wygłodniały pies.

– Puszczaj!

Anouk tylko się uśmiechnęła.

Owładnięta paniką odepchnęłam ją z całej siły. Potknęła się i upadła do tyłu w śnieg, ale i wtedy patrzyła na mnie z litością...

Bywają chwile, kiedy nawet najlepsi z nas rzucają broń i przystępują do odwrotu. Będą inne, mówię sobie w duchu, nowe miasta, nowe wyzwania, nowe dary. Ale dziś odejdę z pustymi rękami.

Nie dostaną mnie, nigdy.

Niewiele myśląc, skoczyłam przed siebie na oślep, potykając się na kocich łbach, ulatując z wiatrem, który wznosił się nad Butte jak słup czarnego dymu, pędząc w sobie tylko znanym kierunku...

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia, godzina dwudziesta trzecia trzydzieści pięć*

Przygotowałam dzbanek gorącej czekolady. To niezawodny sposób na stres, zwłaszcza że scena przed sklepem wstrząsnęła niejednym z nas. To wina światła, stwierdził Nico; dziwnego światła, które płata figle na śniegu. Albo wypiliśmy za dużo wina i kolacja ciążyła nam na żołądkach...

Nie wyprowadziłam go z błędu. Pozostałych też nie. Posadziłam drżącą Anouk w ciepłym sklepie i nalałam jej do kubka czekolady. Owinięta kocem przysypiała na siedząco; nie potrafiła nam powiedzieć, co widziała w chwili poprzedzającej zniknięcie Zozie, ani wytłumaczyć tego, że pod koniec ich głosy dobiegały z bardzo daleka.

Nico przyniósł coś, co znalazł na zewnątrz.

– Patrzcie, zgubiła but. – Otrzeptał ze śniegu własne buty i postawił znalezisko na stole. – Ooo, czekolada! Super! – Nalał sobie pełny kubek.

Anouk podniosła but. Był to rubinowy, aksamitny pantofelek z otworem na palec, obszyte urokami i zaklęciami na miarę wiecznej poszukiwaczki przygód.

„Spróbuj”, mówi. „Skosztuj. Posmakuj”.

Anouk zmarszczyła brwi, a następnie upuściła je na podłogę.

– Nie wiesz, że stawianie butów na stole przynosi pecha?

Z trudem ukryłam uśmiech.

– Już prawie północ – powiedziałam do niej. – Gotowa, aby obejrzeć prezenty?

Ku mojemu zdziwieniu Roux potrząsnął głową.

– O mały włos byłbym zapomniał. Robi się późno. Ale jeszcze zdążymy.

– Na co?

– To niespodzianka – odpowiedział.

– Lepsza niż prezenty? – spytała Anouk.

Roux uśmiechnął się tajemniczo.

– Sama zobaczysz.

*Poniedziałek, 24 grudnia Wigilia. Północ*

Port de l'Arsenal leży dziesięć minut drogi od Place de la Bastille. Pojechaliśmy ostatnim metrem z Pigalle, docierając na miejsce tuż przed wybiciem północy. Chmury rozproszyły się trochę i gdzieś widać rozgwieżdżone kawałki nieba osnutego złotem i oranżem. W powietrzu unosi się lekki zapach dymu, a w oddali połyskują blade iglice Notre-Dame.

– Co my tu robimy? – zapytałam.

Roux z uśmiechem położył palec na ustach. Niósł Rosette, wciąż rześką jak skowronek. Rozglądała się dokoła z zaciekawieniem dziecka, które już dawno powinno być w łóżku, lecz ani mu się to śni. Anouk też nie sprawiała wrażenia sennej, choć widziałam po niej, że cokolwiek wydarzyło się na Place des Faux-Monnayeurs, jeszcze do końca nie przebrzmiało w jej głowie. Większość gości została na Montmartrze; towarzyszyła nam tylko Michele, która trzymała się na uboczu jakby w obawie, że ktoś zarzuci jej natarczywość. Co rusz dotykała mojej ręki, niby to przez przypadek, głaskała Rosette po włosach lub oglądała swoje dłonie, jakby coś – plama, znak – mogło utwierdzić ją w przekonaniu, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Chcesz potrzymać Rosette?

W milczeniu potrząsnęła głową. Od chwili, kiedy powiedziałam jej, kim jestem, prawie się nie odzywała. Trzydzieści lat bólu i tęsknoty nadało jej twarzy znużony, zatroskany wyraz. Uśmiech zdaje się ją uwierać; przymierza go jak ubranie, co do którego jest pewna, że nie będzie pasować.

– Przygotowują nas na stratę – powiedziała. – Nie przychodzi im do głowy, aby przygotować nas na coś wręcz przeciwnego.

Kiwnęłam głową.

– Wiem. Damy radę.

Tym razem uśmiech wyszedł jej lepiej niż poprzednio, a w oczach zalśnił przelotny błysk.

– Też tak sądzę – odrzekła, ujmując mnie pod rękę. Mam przecucie, że to u nas rodzinne.

Na niebie rozbłysły pierwsze fajerwerki, rozpinając ogniste spadochrony nad rzeką. Wybuchaly raz po raz, szybując wdzięcznie ku Sekwanie złotymi i

zielonymi arabeskami.

– Północ. Wesołych świąt – powiedział Roux.

Nie towarzyszył im prawie żaden dźwięk, odległość i śnieg tłumili wszelkie odgłosy. Pokaz trwał kolejnych dziesięć minut, na niebie rozgrywało się istne szaleństwo. Świetliste pajęczyny, strzeliste fontanny, spadające gwiazdy oraz płonące pierścienie, szafirowe, srebrne, szkarłatne i różowe, nawoływały do siebie i przyzywały się nawzajem od Notre-Dame do Place de la Concorde.

Michele obserwowała je w milczeniu, z twarzą rozjaśnioną czymś więcej aniżeli fajerwerki. Rosette migiała jak szalona, pohukując ze szczęścia, Anouk zaś w uniesieniu spoglądała w niebo.

– W życiu nie dostałam fajniejszego prezentu – powiedziała.

– To jeszcze nie wszystko – oznajmił Roux. – Chodźcie za mną.

Poszliśmy przez Boulevard de la Bastille w kierunku Port de l'Arsenal, gdzie cumują łodzie wszelakiego rodzaju i wielkości, z dala od zgiełku i tłoku Sekwany.

– Powiedziała, że nie masz żadnej łodzi. – Anouk wspomniała Zozie po raz pierwszy od wydarzeń w „Le Rocher de Montmartre”.

Roux uśmiechnął się triumfalnie.

– Przekonaj się sama. – I wskazał na Pont Morland.

Anouk stanęła na palcach i wytrzeszczyła oczy.

– Która to?

– Nie zgadniesz?

Wśród łodzi przycumowanych wzdłuż nabrzeża znajdują się z pewnością okazalsze od tej. Port wpuszcza jednostki sięgające dwudziestu pięciu metrów długości, ta zaś jest o połowę krótsza. Z daleka widać, że przeżyła już swoje lata i służy bardziej wygodnie aniżeli prędkiej jeździe; ma staroświecki kształt i nie jest tak smukła jak jej sąsiadki, kadłub zaś wykonano z drewna, a nie z nowoczesnego włókna szklanego.

Mimo to wyróżnia się na tle pozostałych. Sylwetkę, kolorowym kadłubem, skrzynkami na kwiaty przymocowanymi na rufie, szklanym dachem, przez który można oglądać niebo...

– To twoja? – pyta Anouk.

– Podoba ci się? To jeszcze nie wszystko. Zaczekajcie woła Roux i widzimy, jak biegnie po schodach w kierunku łodzi przycumowanej obok mostu.

Na chwilę tracimy go z oczu. Naraz widać płomień zapalki. Na pokładzie błyska świeca. Płomień przesuwając się i łódź ożywa za sprawą świec rozstawionych

w każdym możliwym miejscu. Są ich dziesiątki, może nawet setki; płoną w słoikach po dżemie, na talerzykach, w metalowych puszkach i doniczkach. Wreszcie łódź wygląda jak tort urodzinowy i widzimy to, co wcześniej umknęło naszej uwadze: markizę, okno, znak na dachu...

Roux macha do nas ręką, żebyśmy podeszły bliżej. Anouk nie biegnie, tylko mocno trzyma mnie za rękę. Czuję, jak drży. I wcale nie dziwi mnie widok Pantoufle'a człapiącego u naszych stóp. Czy nie towarzyszy mu coś jeszcze, jakaś postać o długim ogonie i skulonym kształcie?

– Podoba wam się? – pyta Roux.

Same świece zapierają dech w piersi, odbijając się na wodzie tysiącami czarodziejskich ogników. Widzę je w źrenicach Rosette i Anouk, która wciąż ściska moją rękę i wydaje długie, głębokie westchnienie.

– Jakie to piękne – mówi Michele.

I ma rację. Lecz moją uwagę zwraca coś jeszcze...

– To *chocolaterie*, prawda?

Tak, teraz widzę to wyraźnie. Poczawszy od (pustego) szyldu nad drzwiami do niewielkiej oświetlonej witryny, przeznaczenie łodzi nie budzi żadnych wątpliwości. Wolę nie myśleć, ile mu zajęło stworzenie tego małego cudu, ile pochłonęło miłości, czasu, wysiłku...

Roux obserwuje mnie z rękami w kieszeniach. W jego oczach widzę cień obawy.

– Była w opłakanym stanie – mówi. – Wysuszyłem ją i naprawiłem. Poświęciłem na to każdą wolną chwilę. Słpiałem ją prawie cztery lata. Ale zawsze wierzyłem, że może kiedyś...

Mój pocałunek sprawia, że urywa w pół słowa. Roux pachnie farbą i dymem. Wokół nas płoną świece, Paryż lśni pod śniegiem, a ostatnie nieoficjalne fajerwerki gasną na niebie...

– Ble. Ej, wy tam, nie przy ludziach – mówi Anouk.

A nam brakuje tchu, żeby odpowiedzieć.

Pod Pont Morland zapada cisza; leżymy, patrząc na dogasające świece. Michele śpi na jednej koi, a Rosette i Anouk pod czerwoną peleryną na drugiej. Pantoufle i Bam czuwają nad ich spokojnym snem.

Nad nami, w naszym pokoju szklany dach ukazuje bezkresną płachtę rozgwieżdżonego nieba. Odgłosy dobiegające z Place de la Bastille brzmią niemal jak łoskot fal na samotnej plaży.

Wiem, że to tylko tanie czary. Jeanne Rocher byłaby niezadowolona. Ale to nasze czary, moje i jego. Roux smakuje czekoladą i szampanem. Wreszcie wyślizgujemy się z ubrań i leżymy spleceni pod kocem z gwiazd.

Po wodzie płynie melodia, która prawie rozpoznaję.

*Via l'bon vent, via joli vent...*

Wiatr wstrzymuje oddech.

## Epilog

*Wtorek, 25 grudnia Boże Narodzenie*

Kolejny dzień, kolejny dar. Kolejne miasto otwiera ramiona. No cóż, w Paryżu zrobiło się duszno, nie ma to jak Nowy Jork zimą. Brakuje mi tylko Anouk. No cóż uczymy się na własnych błędach.

Co do matki, hm, dostała swoją szansę. Czekają ją chwilowe zawirowania, ponieważ Thierry nie odstąpi od zarzutów, choć na moje oko niewiele wskóra. Podszywanie się pod kogoś to w dzisiejszych czasach zjawisko nagminne: będzie miał okazję się o tym przekonać, sprawdzając stan swego konta. Co do Françoise Lavery, znajdzie się wiele osób gotowych zaświadczyć, że w chwili popełnienia przestępstwa, Vianne Rocher znajdowała się na Montmartrze.

Pora zbadać nowe tereny. W Nowym Jorku krąży mnóstwo listów i nie ulega wątpliwości, że znaczna ich część nie dociera do adresatów. Nazwiska, adresy, karty kredytowe, nie wspominając o danych bankowych, karnetach do siłowni i życiorysach, czyli tych wszystkich drobiazgach, które współtworzą twoje życie i czekają, aż znajdzie je ktoś obdarzony inicjatywą i zbierze bujny plon...

Kim jestem teraz? Kim mogłabym być? Mogę być następną osobą, którą spotkasz na ulicy. Mogę stać za tobą w supermarkecie. Mogę być twoją nową najlepszą przyjaciółką. Mogę być każdym. Nawet tobą.

Nie zapominaj, że wolny ze mnie duch.

Lecę tam, gdzie poniesie mnie wiatr.